



**Vikram Seth**

**NIEBIAŃSKA MUZYKA**

Tłumaczyła Elżbieta Waluk

**Tytuł oryginału AN EQUAL MUSIC**



*Dla Philippe'a Honoré*

*Mogliśmy nie wspominać o tym wcale,  
Tylko słowem uwagę zwrócić na inne pragnienie  
W tym szarym parku, deszczu szale,  
Życie inne struny wprawiłoby w drzenie.  
Wyliczam dary twe w to stworzenie:  
Pióro, papier, atrament i natchnienie,  
Spokój dla serca dotykem czy słowem,  
Pokój dla duszy nutą i akordem.*

*Jak spacer tamten, zimowe godziny  
Zrodziły to? Błyskawicy cienia  
Nie było, ani liźnięcia płomienia  
Nie poczułem, który by historię naszą,  
oświecił użyczoną mocą;  
Raczej to, co nasze dusze trawiło  
Spopielale, w słowach, do nas powróciło.*

*I przekroczą bramę, i wejdą do domu tego, gdzie nie będzie ani chmury, ani słońca, ani ciemności, ani blasku, ale jedna niebiańska światłość; ani hałasu, ani ciszy, ale jedna niebiańska muzyka; żadnych obaw ani nadziei, ale jedna niebiańska majętność; żadnych wrogów ani przyjaciół, ale jedna niebiańska wspólnota; ani końców, ani początków, ale jedna niebiańska wieczność.*

**JOHN DONNÉ**

TLR

## CZEŚĆ PIERWSZA

### 1.1

Gałęzie są nagie, niebo mlecznofioletowe. Jest spokojnie chociaż niezupełnie cicho. Wiatr nawiewa czarną wodę w moją stronę.

Wokoło nie ma żywej duszy. Ptaki milczą. Odgłosy ruchu ulicznego przecinają Hyde Park. Docierają do mych szu jako straszny hałas.

Spoglądam na ławkę, ale nie siadam. Tak jak wczoraj, jak przedwczoraj, stoję, aż opuszczają mnie wszelkie myśli. Spoglądam na wodę Serpentine\*<sup>1</sup>.



Wczoraj, idąc przez park, przystanąłem na rozstaju ścieżek. Poczułem, że ktoś zatrzymał się za mną. Gdy ruszyłem dalej, usłyszałem odgłos kroków. Ktoś szedł za mną niespiesznie, w tym samym tempie, a potem nagle przyspieszył i wyprzedził mnie. Był to mężczyzna w grubym czarnym płaszczu, dość wysoki, mniej więcej mojego wzrostu, i młody, co wnioskowałem z jego ruchów, chociaż nie widziałem twarzy. Teraz dopiero wyraźnie było widać, że się spieszy. Po chwili, nie chcąc jeszcze przecho-  
dzić przez oślepiającą Bayswater Road, znowu się zatrzymałem, tym razem przy ścieżce dojazdu konnej. Usłyszałem niewyraźny odgłos kopyt. Jednak konie się nie pokazały. Spojrzałem w lewo i w prawo, lecz niczego nie zauważyłem.



Gdy zbliżam się do Archangel Court, kamienicy, w której mieszkam, zdaję sobie sprawę, że jestem obserwowany. Wchodzę na

---

<sup>1</sup> \* Serpentine—nazwa sztucznego jeziora w Hyde Parku w Londynie. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

korytarz. Stoją tu kwiaty, bukiet gerber przybrany różnymi liśćmi. Kamera obserwuje korytarz. Obserwowany budynek to budynek bezpieczny, a bezpieczny budynek to budynek szczęśliwy.

Parę dni temu młoda sprzedawczyni w piekarni stwierdziła, że jestem szczęśliwy. Kupowałem siedem croissantów. Wydając mi resztę, powiedziała:

— Jest pan szczęśliwym człowiekiem.

Spojrzałem na nią z takim niedowierzaniem, że aż spuściła wzrok.

—Pan zawsze nuci — dodała dużo ciszej, być może chcąc się wytłumaczyć.

—To moja praca — odpowiedziałem, wstydząc się swojej zgorzkniałości. W sklepie pojawił się kolejny klient, a ja wyszedłem.

Kiedy wkładałem tygodniowy zapas croissantów — oprócz jednego — do zamrażarki, zauważyłem, że nucę tę samą, wcale niełatwo wpadającą w ucho melodię jednej z ostatnich pieśni Schuberta:

*Widzę, człowieka patrzącego w górę.*

*Wygina dłonie z bólu.*

*Na jego widok przechodzi mnie dreszcz.*

*Księżyc objawia mi mnie samego.*

Nastawiam wodę na kawę i wyglądam przez okno. Z ósmego piętra widok rozciąga się aż po katedrę Świętego Pawła, dzielnic Croydon i Highgate. Poprzez brązowe gałęzie drzew w parku widzę odległe iglice, wieże i kominy. Londyn mnie niepokoi — nawet z tak wysoka nie sposób dostrzec wiejskiej okolicy.

To nie jest Wiedeń. To nie Wenecja. To nie jest moje rodzinne miasto otoczone wrzosowiskami.



Jednak to nie praca skłaniała mnie do nucenia tej pieśni. Nie grałem Schuberta od ponad miesiąca. Moje skrzypce tęsknią za nim bardziej niż ja sam. Stroję je i wkraczamy do dźwiękoszczelnej kabiny. Ani światło, ani

dźwięk nie dochodzą tu z zewnątrz. Elek- trony na miedzi i koński włos na akrylu tworzą moje wrażenie porządku.

Nie zagram niczego, co gramy w naszym kwartecie, niczego, co przypomina mi o niedawnym wspólnym graniu z jakimkolwiek człowiekiem. Zagram jego pieśni.

Wydaje się, że tononi mruczy coś na tę sugestię. Coś wesołego, z pewnością coś wesołego:

*W czystym strumyku  
Z radosnym pośpiechem  
Kapryśny pstrąg  
Przemknął obok mnie jak strzała.*

Gram fragment pieśni, gram zmiany pozycji prawej ręki fortepianu. Jestem pstrągiem, wędkarzem, strumykiem, obserwatorem. Śpiewam słowa, potakując unieruchomioną brodą. Tononi się nie sprzeciwia; rozbrzmiewa. Gram w B, w A, w E-dur. Schubert się nie sprzeciwia. Nie transponuję jego kwartetów smyczkowych.

Tam, gdzie nuta fortepianu jest za niska dla skrzypiec, gram ją o oktawę wyżej. Tak się składa, że cały fragment gram o oktawę wyżej niż w zapisie nutowym. Gdyby to była altówka... Ale lata całe nie grałem na altówce.

Ostatni raz, gdy byłem studentem w Wiedniu, dziesięć lat temu. Wciąż tam wracam i myślę: czyżbym się pomylił? Nie mogłem tego przewidzieć? Które z nas ucierpiało na tym bardziej? Tego, co tam utraciłem, do tej pory nie udało mi się odzyskać.

Co mi się przydarzyło tak wiele lat temu? Z miłością czy bez niej, nie mogłem dalej żyć w tamtym mieście. Z każdym oddechem czułem rosnące napięcie. Powiedziałem jej, że wyjeżdżam, i wyjechałem. Przez dwa miesiące niczego nie mogłem zrobić, nawet do niej napisać. Przyjechałem do Londynu. Smog się rozrzedził, ale, niestety, za późno. Gdzie teraz jesteś, Julio, i czy mi wybaczyłaś?

## 1.2

Virginie nie chce ćwiczyć, a jednak domaga się lekcji. Mam gorszych uczniów, bardziej nonszalanckich, ale nie aż tak frustrujących.

Idę przez park do jej mieszkania. Jest przegrzane i całe urządzone na różowo. Nigdy wcześniej mnie to nie denerwowało. Teraz, kiedy wchodzę do łazienki, aż mnie trzęsie.

Różowa wanna, różowy zlew, różowa muszla klozetowa, różowy bidet, różowe kafelki, różowa tapeta, różowy dywanik. Szczotki, mydło, szczoteczka do zębów, sztuczne kwiaty z jedwabiu, papier toaletowy — wszystko różowe. Nawet mały otwierany stopą pojemnik na śmieci jest blad różowy. Dobrze znam ten mały śmietnik. Za każdym razem, kiedy tu nocuję, zastanawiam się, co ja robię ze swoim i z jej czasem. Jest szesnaście lat ode mnie młodsza. To nie jest kobieta, z którą chcę dzielić życie. Ale zaczęliśmy i tak trwamy. Ona tego chce, a ja się na to godzę. Myślę, że z pożądania i samotności, z lenistwa i braku skupienia.

Nasze lekcje tworzą neutralną przestrzeń. Dziś jest to partita *e-moll* Bacha. Proszę, żeby zagrała ją cała, ale przerywam już po gawocie.

— Nie chcesz wiedzieć, jak się kończy? — pyta pogodnie.

— Nie ćwiczyłaś za wiele.

Udaje się jej zrobić minę winowajczynie.

— Wróć do początku — sugeruję.

— Gawota?

— Preludium.

— Masz na myśli takt siedemnasty? Wiem, wiem, powinnam pracować nadgarstkiem przy strunie E.

— Mam na myśli pierwszy takt.

Virginie udaje obrażoną. Kładzie smyczek na blad różowej jedwabnej poduszce.

— Virginie, nie chodzi o to, że nie potrafisz, tylko o to, że wcale tego nie robisz.

— Czego nie robię?

— Nie myślisz o muzyce. Zaśpiewaj pierwszą frazę, po prostu ją zaśpiewaj.

Podnosi smyczek.

— Chodziło mi o głos.

Virginie, wzdycha. W rytmie i z precyzją zaczyna:

— Mi-re-mi si sol si mi-fa-mi-re mi...

— Czy nigdy nie potrafisz zaśpiewać bez tych nonsensownych sylab?

— Tak mnie uczono. — Jej oczy błyszczą.

Virginie pochodzi z Nyons, o którym nie wiem nic ponad to, że leży gdzieś w pobliżu Awinionu. Dwa razy poprosiła, żebym tam z nią pojechał, potem przestała prosić.

— Virginie, to nie jest tylko jedna cholerna nuta po drugiej. Drugie mi-re-mi powinno nieść wspomnienie pierwszego. Tak. — Podnoszę swoje skrzypce i demonstruję. — Albo tak. Albo na twój własny sposób.

Gra od nowa, tym razem dobrze, i kontynuuje. Zamykam oczy. Ogromna miska potpourri drażni moje zmysły. Robi się ciemno. Zbliża się zima. Jaka ona młoda, jak mało pracuje. Ma tylko dwadzieścia jeden lat. Wędruję myślami do innego miasta, wspominam inną kobietę, która wtedy była taka młoda.

— Mam grać dalej?

— Tak.

Mówię Virginie, żeby luźno trzymała nadgarstek, żeby tu uważała na intonację, a tam na dynamikę, żeby grała *détaché*, ale ona to wszystko wie. W przyszłym tygodniu będzie pewien postęp, bardzo mały. Jest utalentowana, ale się nie przykłada. Chociaż jest studentką, muzyka jest dla niej jedną z wielu spraw. Niepokoi się o konkurs uniwersytecki, na którym będzie grać tę partitę. Myśli o sprzedaży swojego miremonta i naciągnięciu ojca — który finansuje jej zupełnie niestudencki styl życia — na kupno czegoś starego i włoskiego. Ma tu szerokie grono znajomych, gromady przyjaciół z całej Francji, którzy odwiedzają ją o każdej porze roku, rozległe klany krewnych i trzech byłych chłopaków, z którymi jest w dobrej komitywie. Jesteśmy ze sobą już od ponad roku.



A co do tej, którą wspominam, widzę ją z zamkniętymi oczami, grającą dla siebie Bacha: *Suitą angielską*. Jej palce delikatnie podróżują po strunach. Być może za szybko się poruszam. Ukochane oczy zwracają się w moją stronę. Jest tu tyle istot, zajętych, przejętych. Pozwól mi uwierzyć, że ona oddycha, że nadal istnieje gdzieś na tej przypadkowej planecie.

### 1.3

Kwartet Maggiore zbiera się na próbę w naszym stałym miejscu, w małym dwupiętrowym domu Helen.

Helen parzy kawę. Jesteśmy tutaj tylko ona i ja. Popołudniowe słońce wpada do środka. Aksamitny kobiecy głos śpiewa Cole'a Porterà. Cztery ciemnoniebieskie krzesła ustawione są w łuk pod minimalistyczną sosnową półką na książki. Futerał altówki i pulpity stoją w rogu kuchnio-jadalnio-salonu w otwartym planie.

— Jedną? Dwie? — pyta Helen. — Stale zapominam. Ciekawe dlaczego. To nie jest coś, o czym się zapomina, kiedy zna się dobrze czyjeś przyzwyczajenia. Ale ty nie zawsze dosypujesz cukru, prawda? Czasami wcale nie słodzisz. Aha! Wczoraj spotkałam kogoś, kto pytał o ciebie. Nicholas Spare. To okropny człowiek, a im bardziej jest jadowity, tym bardziej go czytują. Postaraj się, żeby napisał nam recenzję, Michaelu. Podkochuje się w tobie, jestem tego pewna. Marszczy brwi, kiedykolwiek cię wspomnę.

—Dzięki, Helen. Tylko tego mi brakuje.

—Tak jak i mnie, oczywiście.

—Żadnego podkochiwania się w kolegach z pracy.

—Nie jesteś wcale taki uroczy.

—Co tam nowego w ogrodzie?

— Jest listopad, Michaelu — zauważyła Helen. — Poza tym, nie zajmuję się już ogrodem. Oto twoja kawa. Co sądzisz o moich włosach?

Helen ma rude włosy i co roku zmienia fryzurę. Tym razem to mocna trwała. Kiwam głową z aprobatą i skupiam się na kawie.

Rozlega się dzwonek do drzwi. To Piers, jej starszy brat, nasz pierwszy skrzypek.

Wchodzi, lekko pochylając głowę. Całuje siostrę, która jest tylko parę centymetrów niższa, mówi mi „cześć”, zdejmuje elegancki, choć wymięty płaszcz, wyjmuje skrzypce i mruczy:

—Czy mogłabyś to wyłączyć? Próbuję stroić.

—Och, tylko do końca tego utworu — prosi Helen.

Piers sam wyłącza odtwarzacz. Helen nic nie mówi. Piers jest przyzwyczajony do zdobywania posłuchu.

— Gdzie, do cholery, jest Billy? — pyta. — Zawsze się spóźnia na próbę. Dzwonił?

Helen potrząsa głową.

—Przypuszczam, że tak właśnie bywa, kiedy się mieszka w Loughton czy Leyton, czy gdzieś tam.

—Leytonstone — poprawiam.

—Oczywiście — mówi Helen, udając przebłysk pamięci. Londyn dla niej to pierwsza strefa metra.

Wszyscy oprócz Billy'ego mieszkamy w centrum, blisko Hyde Parku i Kensington Gardens, chociaż w bardzo różnych warunkach. Piers mieszka w suterenie i drażni go dom Helen. Zawsze, gdy do niej przyjeżdża, jest zirytowany.

Po chwili Helen pyta go, jak się wczoraj bawił. Piers poszedł na koncert Kwartetu Steif. Podziwia ich od wielu lat. Tym razem grali Beethovena.

—Och, w porządku — mruczy Piers. — Ale z nimi nigdy nic nie wiadomo. Wczoraj wieczorem bardzo pracowali nad pięknym tonu. Dosyć to narcystyczne. I zaczyna mi się nie podobać twarz pierwszego skrzypka, z każdym rokiem jest coraz bardziej ściągnięta. A kiedy skończyli grać *Grosse Fuge*, podskoczyli, jakby właśnie upolowali lwa. Widownia, oczywiście, oszalała... Dzwoniła Erica?

—Nie... Więc koncert ci się nie podobał?

—Tego nie powiedziałem. Gdzie jest ten cholerny Billy? Powinien płacić jedno ciasteczko grzywny za każdą minutę spóźnienia. — Nastroiwszy instrument, gra gwałtowną frazę w ćwierćtonach pizzicato.

— Co to było? — pyta Helen, prawie wypluwając kawę. — Nie, nie, nie, nie powtarzaj tego.

— Próbką kompozycji a la Billy.

— To nie fair — mówi Helen.

Piers uśmiecha się półgębkiem.

— Billy dopiero się rozkręca. Za jakieś dwadzieścia lat wyrośnie na prawdziwego potwora, napisze coś szkaradnego dla Covent Garden — jeśli będzie jeszcze istniało — i obudzi się jako sir William Cutler.

Helen śmieje się i wstaje.

—Dość tego, nie obmawiaj kolegów za plecami.

—Trochę się martwię — kontynuuje Piers. — Billy o wiele za dużo mówi o tym, nad czym pracuje. — Odwraca się i czeka na moją reakcję.

—Czy rzeczywiście zasugerował, żebyśmy zagrali którąś z jego kompozycji? — pytam.

—Nie. Tak naprawdę to nie. Jeszcze nie. Ale mam przeczucie, że nie długo to nastąpi.

—Czemu nie poczekać i zobaczyć, czy coś zaproponuje? — sugeruję.

— Nie jestem za tym — mówi wolno Helen. — Byłoby strasznie, gdyby nam się nie spodobało, to znaczy, gdyby naprawdę brzmiało jak ta twoja improwizacja.

Piers znów się uśmiecha, niezbyt przyjemnie.

—Cóż, nie widzę nic złego w przeczytaniu tego raz — mówię.

—A jeśli niektórym się to spodoba, a innym nie? — pyta Helen. — Kwartet to kwartet. To mogłoby doprowadzić do różnego rodzaju napięć. Ale oczywiście byłoby gorzej, gdyby Billy stale chodził naburmuszony. Tak mi się zdaje.

—Logika Helen — ironizuje Piers.

—Ale ja lubię Billy'ego — zaczyna Helen.

—Tak jak my wszyscy — przerywa jej Piers. — Wszyscy się kochamy, to oczywiste. Ale w tej sprawie nasza trójka powinna przemyśleć swoje stanowisko, wspólne stanowisko, zanim Billy przedstawi nam czwartego Razumowskiego.

Billy przyjeżdża, zanim udaje się nam rozwinać ten wątek. Zmęczony wnosi swoją wiolonczelę, przeprasza, uśmiecha się na widok ciastek czekoladowych, które Helen kupuje, wiedząc, że to jego ulubione, połyka kilka, wdzięczny przyjmuje kawę, jeszcze raz przeprasza i zaczyna stroić.

— Lydia zabrała samochód, pojechała do dentysty. Wybiegłem z domu w szalonym pośpiechu, prawie zapomniałem nut Brahmsa. W metrze był straszny tłok. — Billy oddycha ciężko, pot błyszczy mu na czole. — Przepraszam, przepraszam, przepraszam. Już nigdy więcej się nie spóźnię. Nigdy, przenigdy.

— Zjedz jeszcze ciasteczko, Billy — mówi czule Helen.

—Kup telefon komórkowy, Billy — mówi Piers leniwym, nie znoszącym sprzeciwu, prawie doskonałym głosem.

—Dlaczego? — pyta Billy. — Po co? Po co mam kupować telefon komórkowy? Nie jestem ani alfonsem, ani hydraulikiem.

Piers potrząsa głową i milknie. Billy jest o wiele za gruby i zawsze taki będzie. Zawsze będzie go rozpraszała rodzina i kłopoty finansowe, ubezpieczenie samochodu i kompozycja. Mimo całej naszej frustracji i wszystkich napomnień zawsze będzie się spóźniał. Ale Billy zmienia się z chwilą, gdy dotyka smyczkiem strun. Jest cudownym wiolonczelistą, lekkim i głębokim; podstawą naszej harmonii, skałą, na której się opieramy.

## 1.4

Każda próba Kwartetu Maggiore rozpoczyna się bardzo prostą, bardzo wolną trzyoktawową gamą na cztery instrumenty równocześnie: czasem majorowo, jak sugeruje nasza nazwa, czasami minorowo, w zależności od tonacji pierwszego utworu, który mamy zagrać. Bez względu na to, jak niespokojne były ostatnie dni, nieważne stają się nasze denerwujące dyskusje o ludziach i polityce i nasze odmienne zdania na temat repertuaru i sposobu grania; próby przypominają nam, że jeśli chodzi o muzykę jesteśmy jednością. Próbujemy nie patrzeć na siebie nawzajem, gdy ćwiczymy gamy; nikt nie usiłuje prowadzić. Nawet pierwszą nie akcentowaną miarę taktu Piers ledwie zaznacza oddechem, a nie poruszeniem głowy. Kiedy

gram, uwalniam się w duchu kwartetu. Staję się muzyką gamy. Milczeniem wyrażam swoją wolę, wyzwalam siebie.

Po tym, jak Alex Foley odszedł pięć lat temu, a ja zostałem uznany za potencjalne drugie skrzypce przez Piersa, Helen i Billy'ego, spróbowaliśmy razem wielu różnych rzeczy, razem prowadziliśmy próby, nawet zagraliśmy razem kilka koncertów, ale nigdy nie graliśmy razem gamy. Nie wiedziałem nawet, że dla nich istniała. Nasz ostatni koncert odbył się w Sheffield. O północy, dwie godziny po jego zakończeniu, Piers zadzwonił do mojego pokoju hotelowego i powiedział, że wszyscy chcą, żebym do nich dołączył.

— Dobrze zagrałeś, Michaelu — powiedział. — Helen nalega, żeby cię przyjąć.

Pomimo uszczypliwości wycelowanej w siostrę, był to niewątpliwy prezent.

Piers wydawał się niemal rozradowany, zupełnie nie w swoim stylu. Dwa dni później, już w Londynie, spotkaliśmy się na próbie i rozpoczęliśmy tym razem od gamy. Gdy tak rosła, spokojna i prawie bez vibrato, czułem, jak ogarnia mnie szczęście. Kiedy zatrzymała się na szczycie tuż przed zejściem, spojrzałem na swoich nowych kolegów. Piers lekko odwrócił głowę. Zdziwił mnie. Uważałem, że jest ostatnim muzykiem, który bezgłośnie płakałby nad pięknem gam. Wtedy nie miałem pojęcia, co zaprzętało mu głowę. Być może, znów grając gamy, pozwalał w pewien sposób odejść Alexowi.

Dzisiaj ćwiczymy kilka kwartetów Haydna i Brahmsa. Te Haydna są wspaniałe, sprawiają nam radość. Gdy pojawiają się trudności, potrafimy je rozwikłać i dojść do porozumienia. Kochamy Haydna, a on sprawia, że kochamy też siebie nawzajem. Nie jak Brahms, który zawsze stanowił kość niezgody naszego kwartetu.

Nie czuję bliskiego związku z Brahmssem, Piers go nie znosi, Helen uwielbia, a Billy uważa za „wielce interesującego”, cokolwiek to znaczy. Poproszono nas, żebyśmy włączyli trochę Brahmsa do programu, który mamy przedstawić w Edynburgu; Piers, jako nasz planista, zaakceptował nieuniknione i wybrał *Pierwszy kwartet smyczkowy C-dur*.

Mężnie przeczytaliśmy pierwszą część partytury bez żadnej przerwy.

— Dobre tempo — powiedziała niepewnie Helen, patrząc bardziej na nuty niż na kogokolwiek z nas.

„Odrobinę napuszone” — pomyślałem.

— Nie jesteśmy Busch Quartet — powiedziałem.

— Lepiej nie mów nic złego o Busch — ostrzegła mnie Helen.

— Nie mówię. Ale oni to oni, a my to my.

— To dopiero arogancja — powiedziała Helen.

— Więc czy możemy kontynuować? Czy porządkujemy? — pytam.

— Porządkujemy — decyduje Piers. — To straszny bałagan.

— Kluczem jest precyzja — mówi Billy, jakby do siebie. — Jak z Schönbergiem.

Helen wzdycha. Znow zaczynamy grać. Piers nam przerywa. Patrzy prosto na mnie.

— To ty, Michaelu. Jesteś dość intensywny bez żadnego powodu. Nie masz wyrażać niczego szczególnego.

— Cóż, on mi każe być bardziej wyrazistym.

— Gdzie? — pyta Piers, jakbym był niedorozwiniętym dzieckiem. — Gdzie dokładnie?

— Takt piętnasty.

— Ja tam nic nie mam.

— A to pech — mówię krótko. Piers patrzy na moją partię z niedowierzaniem.

— Rebecca wychodzi za Stuarta — rzuca Helen.

— Co? — pyta Piers wyrwany z koncentracji. — Żartujesz.

— Nie, wcale nie. Słyszałam od Sally. A Sally słyszała to bezpośrednio od matki Rebecki.

— Stuart! — wykrzykuje Piers. — Dobry Boże. Wszystkie jej dzieci będą umysłowo upośledzone.

Billy i ja wymieniamy spojrzenia. Jest coś gwałtownego, irytującego i niespójnego w wielu naszych rozmowach podczas prób, co dziwnie kłóci się z dokładnością i ekspresją, które próbujemy osiągnąć. Na przykład He-



len zwykle mówi pierwszą rzecz, jaka jej przyjdzie do głowy. Czasem jej myśli wyprzedzają słowa, czasem na odwrót.

— Kontynuujmy — sugeruje Billy.

Gramy przez kilka minut. Zaczynamy nierówno, bez poczucia płynności.

—Po prostu mi nie wychodzi — mówi Billy. — Czuję się jak mięczak cztery takty przed B.

—A Piers wchodzi jak gulgoczący indor w czterdziestym pierwszym — zauważyła Helen.

— Nie bądź złośliwa, Helen — instruuje ją brat.

Wreszcie dochodzimy do wysokiego crescendo Piersa.

—O nie, o nie, o nie! — krzyczy Billy, zdejmując rękę ze strun i gestykulując.

—Jesteśmy wszyscy trochę za głośni — stwierdza taktownie Helen.

—To zbyt histeryczne — mówię.

—Kto jest zbyt histeryczny? — pyta Piers.

—Ty. — Reszta mi potakuje.

Duże uszy Piersa czerwienieją.

—Musisz złagodzić to vibrato — oznajmia Billy. — Jest jak dyszenie w słuchawkę.

—W porządku — mówi ponuro Piers. — A ty możesz być odrobinę posępniejszy w sto ósmym, Billy?

Zwykle tak nie jest. Atmosfera większości naszych prób jest bardziej serdeczna. Winę za to materiał, który gramy.

—Niczego nie osiągamy jako całość — mówi Billy z niewinnym ożywieniem w oczach. — To było okropnie zaaranżowane.

—Chcesz powiedzieć: niewłaściwie zaaranżowane? — pytam.

—Tak. Musimy to jakoś połączyć. To jest jakiś koszmarne hałas.

—To się nazywa Brahms, Billy — mówi Piers.

—Jesteś po prostu uprzedzony — wtrąca Helen. — Jeszcze go polubisz.

—Na starość.

—Może zaplanujemy strukturę wokół melodii? — sugeruje Billy.

—Cóż, tu jakby nie ma melodii — mówię. — A właściwie nie melodii, ale melodyczności. Czy to właśnie chcę powiedzieć? Jakie jest odpowiednie słowo?

—Melodyjności — mówi Helen. — A tak się składa, że melodii wcale tu nie brak.

—Ale co chcesz przez to powiedzieć? — pyta mnie Piers. — To wszystko jest melodia. To znaczy, nie mówię, że mi się podoba, ale...

—To ma być melodia? — Wskazuję smyczkiem na partię Piersa. — Wątpię, czy nawet sam Brahms przyznałby, że to melodia.

—Cóż, nie jest to arpeggio, nie jest to gama, nie jest to ozdobnik, więc... och, nie wiem. To kompletne szaleństwo. Przeklęty Edynburg...

—Przestań się wymądrzać, Piers — mówi Helen. — Zagrałeś ten ostatni kawałek naprawdę dobrze. Bardzo podobało mi się to glissando. Było szokujące, ale wspaniałe. Musisz to utrzymać.

Piers jest zaskoczony pochwałą, ale szybko ripostuje:

—Za to Billy brzmi teraz zupełnie bez wibracji.

—Próbowałem wydobyć ciemniejszą barwę — odcina się Billy.

—Cóż, brzmi grobowo.

—Mam kupić nową wiolonczelę? — pyta Billy. — Zaraz po tym, jak kupię telefon komórkowy?

Piers chrząka.

—Czemu po prostu nie zagrasz na C?

—Brzmi jak szczeknięcie.

—Zatem jeszcze raz? Od dziewięćdziesiątego drugiego? — sugeruję.

—Nie, od powtórki — mówi Helen.

—Nie, od siedemdziesiątego piątego — mówi Billy.

—W porządku — godzi się Piers.

Po kilku minutach znów przerywamy.

—Granie tego jest takie wyczerpujące — stwierdza Helen. — Aby te nuty robiły wrażenie, musisz każdą wypunktować. To nie tak jak skrzypce...

—Biedna Helen — mówię, uśmiechając się do niej. — Dlaczego nie zamienisz się ze mną instrumentami?

—Radź sobie, Helen — mówi Piers. — Brahms to twój ulubieniec.



Helen wzdycha.

— Powiedz coś miłego, Billy.

Ale Billy jest teraz skupiony na małym żółtym zeszytce nutowym, który przyniósł ze sobą.

—Mój eksperyment z dezodorantem się nie powiódł — mówi nagle Helen, unosząc kremowe ramię.

—Lepiej grajmy dalej, bo nigdy nie skończymy — ponagla Billy.

Wreszcie, po upływie półtorej godziny, dochodzimy do drugiej części. Na dworze zapadła ciemność, a my jesteśmy wyczerpani swoimi temperamentami i samą muzyką. Stanowimy związek czterech osób z różnymi rodzinnymi układami; każdy z nas bywa serdeczny, neutralny albo napięty. Widownie, które nas słuchają, nie mogą sobie wyobrazić, jak poważne, nieustępliwe i uparte jest nasze poszukiwanie czegoś, co wykracza poza nas samych, co wyobrażamy sobie oddzielnie, ale musimy wyrazić wspólnie. Gdzie w tym wszystkim jest harmonia ducha, a co dopiero podniosłość? Jak to się dzieje, że ten tryb pracy, te przystanki i starty, ta nonszalancja przekształcają się, pomimo naszych utyskiwań, w muzyczne złoto?

A jednak dosyć często od takich właśnie początków dochodzimy do zrozumienia utworu, które wydaje nam się zarówno prawdziwe, jak i oryginalne, i do takiego wyrazu, który usuwa z naszych umysłów i być może, przynajmniej na chwilę, z umysłów tych, którzy nas słuchają, wszelkie wersje, jakkolwiek prawdziwe, jakkolwiek oryginalne, grane przez inne ręce

## 1.5

W moim mieszkaniu jest zimno z powodu nieustannych kłopotów z ogrzewaniem na ostatnim piętrze. Starodawne kaloryfery w Archangel Court, teraz letnie, poparzą mnie wiosną. Każdej zimy obiecuję sobie podwójne szyby i każdej wiosny, kiedy jest obniżka cen, rezygnuję. W zeszłym roku pieniądze, które odłożyłem, zostały pochłonięte przez wymianę przedpotopowych rur, które zardzewiały i prawie wkleiły się w beton,

wskutek czego woda kapiała na głowę sąsiada z siódmego piętra. W tym roku muszę odnowić przynajmniej sypialnię.

Leżę w łóżku, marzę, zasypiam. Unosi się metalowa klapka, listy spadają na drewnianą podłogę. Zatrząskują się drzwi windy. Wstaję, nakładam szlafrok i idę do drzwi wejściowych: rachunek za telefon, kartka od jednego z moich uczniów, broszura biura podróży, list.

Otwieram pocztę srebrnym nożem do papieru, który Julia dała mi w pierwszą rocznicę naszego poznania. Rachunek dołączam do stosu innych rachunków, gdzie poleży tydzień czy dwa. Broszura ląduje w śmietniku. Wchodzę do kuchni, drżąc z zimna, napełniam czajnik, włączam go i zabieram list do łóżka.

Jest od mojego starego nauczyciela, Carla Källa — nazwisko czyta się z typową przewrotnością: „Szell”. Od lat nie mieliśmy kontaktu. Znaczek jest szwedzki. Pismo profesora Källa na kopercie jest gęste. To krótka notka, zdumiewająco nie nieprzyjemna.

Już nie uczy w Wiedniu. W zeszłym roku przeszedł na emeryturę i wrócił do małego rodzinnego miasta w Szwecji. Pisze, że był przypadkiem w Sztokholmie, kiedy tam graliśmy. Siedział na widowni, ale nie zdecydował się przyjść za kulisy po koncercie. Graliśmy dobrze. W szczególności to ma do powiedzenia: zawsze mi powtarzał, że mam „wytrwać”, no i wytrzymałem. Nie czuje się ostatnio najlepiej i wspomina dawnych studentów. Być może dla niektórych był zbyt surowy, ale to już przeszłość i nie sposób niczego naprawić; można jedynie mieć nadzieję, że doświadczenie zrekompensuje krzywdę. (Niemiecki profesora Källa w tym ostatnim zdaniu brzmi dziwnie, jakby tłumaczył z marsjańskiego). W każdym razie życzy mi wszystkiego dobrego i ma nadzieję, że jeśli kiedykolwiek będę uczył, to doświadczenia z nim podpowiedzą mi, jak tego nie robić. Nie planuje przyjazdu do Anglii.

Czajnik wyłączył się parę minut temu. Idę do kuchni i nie mogę sobie przypomnieć, gdzie jest herbata. W tym liście jest coś niepokojącego. Carl Käll umiera, jestem tego pewien.



Ktoś przybija młotkiem płytki łupkowe na dachu. Kilka ostrych stuknięć, cisza, kilka ostrych stuknięć. Podciągam żaluzje i wpuszczam trochę światła. Jest czysty, zimny, bezchmurny dzień.

W taki dzień czuję profesora. Stoi w szarej klasie i gapi się na pięciu podenerwowanych studentów. Wrócił z lunchu u Mnozila i jego czarny jak sadza płaszcz wydziela zapach czosnku i tabaki. *Und jetzt, meine Herren...* — mówi, ignorując Yuko, „naszą koleżankę z kraju poranka”, jak ją czasem nazywa. Stuka smyczkiem o fortepian.

Zostaję po zajęciach na prywatną lekcję. Gdy jesteśmy już sami, atakuje mnie.

— Jeśli tu jesteś jako *Gasthörer*, to tylko dlatego, że dobrze się rozumiemy.

— Tak jest, profesorze Käll.

— Chciałem *Sonata Kreutzerowską*, a ty w zamian przygotowujesz to!

— Przypadkiem udało mi się zdobyć kopię manuskryptu, a pismo Beethovena tym razem okazało się tak czytelne, że byłem zdumiony. Pomyślałem, że nie będzie pan miał nic przeciwko temu.

— Zdumiony. Podniecony również, bez wątpienia.

— Tak.

— Zdumiony i podniecony. — Wielki Carl Käll waży te słowa, bogate, dziwne narośle na korpusie muzyki. Jednak to nie jego sława, a fascynacja grą przyciągnęła mnie do niego; takie właśnie podniecenie jest w jego grze i przenosi się na tych, którzy mają szczęście go słuchać. Ale ile on teraz grywa koncertów? Pięć? Sześć rocznie?

— Pomyślałem, że inna sonata... ta zaraz przed *Kreutzerowską*...

Carl Käll potrząsa głową.

— Nie myśl, nie zalecam tego.

— Julia McNicholl i ja ćwiczymy ją od dwóch tygodni. Poprosiłem, żeby do nas dołączyła za pół godziny.

— Jaki dziś dzień?

— Piątek.

Wygląda na to, że profesor Käll nad czymś się zastanawia.

— Ta głupiutka Yuko jeździ w piątki do Zentralfriedhof złożyć kwiaty na grobie Beethovena.

Uśmiecham się mimo woli. Nie dziwi mnie to. Yuko robi wszystkie te rzeczy, których spodziewamy się po młodych japońskich studentkach: posłuszenie ćwiczy, strasznie cierpi i odwiedza wszystkie domy Beethovena i Schuberta, jakie uda jej się zlokalizować. Ale Yuko robi też coś, o czym wiem, że sam powinienem to robić — robiłbym, w rzeczy samej, gdybym potrafił. Nie przejmuję się tym, że Carl ją ignoruje, puszcza mimo uszu jego zniewagi i wydobywa wiedzę muzyczną z jego gry, a nie z jego gadania.

—Chcę *Kreutzerowską* na poniedziałek — mówi dalej Carl Käll.

—Ale, profesorze — protestuję.

—Na poniedziałek.

—Profesorze, nie ma szans, żebym ja... A nawet gdybym mógł, żeby pianista mógł...

—Jestem pewien, że *fraulein* McNicholl ci pomoże.

—Nasze trio zaplanowało próby na ten weekend. Zbliża się termin koncertu.

—Wasze trio najwyraźniej radzi sobie bez wielu prób.

Przez chwilę nic nie mówię. Carl Käll kaszle.

—Kiedy gracie następny?

—Za dwa tygodnie, w Bosendorfer Saal.

—A co?

—Zaczynamy wczesnym Beethovenem...

—Czy umyślnie mówisz tak ogólnikowo?

—Nie, profesorze.

—Którym?

—Opus 1 numer 3, *c-moll*.

— Tak, tak, tak, tak — mówi Carl Käll, sprowokowany wzmianką o kluczu. — Dlaczego?

—Dlaczego?

—Tak, dlaczego?

—Bo nasza wiolonczelistka to uwielbia.

—Dlaczego? Dlaczego? — Carl wygląda jak szalony.

—Bo uważa, że jest zdumiewający i ekscytujący.

Carl Käll przygląda mi się uważnie, jakby zastanawiając się, który krąg szyjny sprawi mu najmniej kłopotu przy łamaniu. Odwraca się. Kiedyś byłem jednym z jego ulubionych studentów. Było to w klasie mistrzowskiej na ostatnim roku w Royal Northern College of Music w Manchesterze, gdzie się na krótko spotkaliśmy, i to on właśnie zasugerował, ku mojej ogromnej radości, że powinienem pojechać z nim na studia do Wiednia jako starszy student poza standardowym planem studiów. Uważał, że jestem zdolny i że będę chciał podjąć karierę solisty. Teraz jest być może tak samo rozczarowany mną jak ja nim.

—Poświęcasz za dużo czasu na muzykę kameralną — oświadcza. — Masz szansę na lepszą karierę.

—Chyba tak — mówię. Nie podoba mi się jego protekcjonalny ton, ale nie reaguję.

—Powinieneś być przeze mnie prowadzony. Po to tu jesteś, czyż nie? Jesteś bardzo samodzielny. Za bardzo.

Głos Carla łagodnieje. Nic nie mówię. Nuci frazę z *Kreutzerowskiej*, wyciąga rękę po kopię manuskryptu, przygląda mu się przez chwilę z fascynacją, ale nie zmienia zdania.

— A więc do poniedziałku.



Herbata za mocno się zaparzyła — jest gorzka, ale jeszcze nadaje się do picia. Włączam telewizor i wracam do rzeczywistości. Cztery pulchne człekokształtne stworzenia: czerwone, żółte, zielone i fioletowe bawią się na trawiastym wzgórzu. Króliki skubią trawę. Stworzenia się przytulają. Z kopczyka wyłania się peryskop i mówi im, że czas się żegnać. Po krótkim proteście to właśnie robią, wskakując jedno za drugim do dołu w ziemi.

Carl Käll, ten starzec, ten uparty magik, brutalny i pełen duszącej energii, nie wypędził mnie z Wiednia bez powodu. Równie winien byłem ja sam, młodszy, nieustępliwy, niechętny, by zmienić mentora na dyktatora, i równie niechętny, by uchylić się przed niebezpieczeństwem.

Gdybym go nie spotkał, nie sprowadziłbym na świat głosów w moich dłoniach. Nie pojechałbym na studia do Musikhochschule. Nie poznałbym Julii. Nie straciłbym Julii. Nie byłbym niesiony prądem. Jak mogę jeszcze nienawidzić Carla? Po tylu latach pewnie wszystko podlega czynnikom zmian: deszczowi, bakteriom, pajęczynom, ciemności. Może nauczyłbym się od niego więcej, gdy- bym umiał wtedy przełknąć własną dumę. Julia miała rację, miała rację. Ale teraz myślę: niech umrze, jego czas nadszedł, nie potrafię mu odpisać. Dlaczego zrzuca na mnie odpowiedzialność za rozgrzeszenie?

Nie mógłbym się więcej od niego nauczyć. Ona myślała, że tak, albo miała nadzieję, że przynajmniej ze względu na nią zostanę w Wiedniu jeszcze jakiś czas. Ale ja się nie uczyłem, wychodziłem z wprawy, cofałem się w rozwoju. Kiedy się załamałem na koncercie, to nie dlatego, że byłem chory, ani dlatego, że nie przygotowałem dobrze materiału. To dlatego, że powiedział, że mi się nie uda. Widziałem, jak siedzi na widowni, i wiedziałem, że pragnie, by mi się nie powiodło.

## 1.6

— Najwyraźniej za bardzo się dzisiaj nawzajem irytujemy — mówi Virginie. Obraca się w moją stronę, nie unosząc się z poduszki.

Potrząsam głową. Patrzyłem w sufit, teraz zamykam oczy.

— Ugryzę cię w ramię.

— Nie rób tego — mówię. — Ja ugryzę cię mocniej i bardzo źle się to skończy.

Virginie gryzie mnie w ramię.

—Przestań, Virginie — mówię. — Po prostu przestań, dobrze? To boli. Nie bawi mnie to. Nie, i nie szczyp. Nie jestem zirytowany, tylko zmęczony. W twojej sypialni jest za gorąco. Mieliśmy dziś długą próbę i nie mam ochoty oglądać jakiegoś francuskiego filmu późno w nocy. Czemu go nie nagrasz?



—Jesteś taki nudny. — Virginie wzdycha. — Jeśli jesteś tak nudny w piątek wieczorem, nie mogę sobie wyobrazić, jaki będziesz w poniedziałek.

—Cóż, nie będziesz miała okazji się przekonać. W poniedziałek jedziemy do Lewes, a potem do Brighton.

—Kwartet, kwartet, fiu. — Virginie mnie kopie. Po chwili refleksyjnie dodaje: — Nigdy nie poznałam twojego ojca. A ty nigdy nie chcesz poznać mojego, nawet gdy jest w Londynie.

—Och, Virginie, proszę cię, jestem śpiący.

—Czy twój ojciec nigdy nie przyjeżdża do Londynu?

—Nie.

— Więc pojedę z tobą do Rochdale. Pojedziemy moim samochodem na angielską północ.

Virginie ma małego forda Ka, metalik, czarnego jak pantera — tak go nazywa. Wybraliśmy się nim na krótkie wypadki do Oksfordu i Aldeburgha. Kiedy prowadzę, stale powtarza „skreć tam”, gdy naprawdę ma na myśli „tu”. Doprowadziło to do wielu objazdów i głośnych kłótni.

Virginie jest bardzo dumna ze swojego samochodu (opisuje go jako „szybki, dynamiczny i elegancki”). Z pasją nienawidzi wszystkich dwuśladów, zwłaszcza od czasu, gdy podwieszono koło zapasowe jednego z nich wygięło maskę jej zaparkowanego Ka. Prowadzi ze swadą i wyobraźnią, której brakuje jej grze.

— Jakoś nie widzę cię w Rochdale — mówię smutno, chyba dlatego, że sam siebie ledwo tam widzę.

— A to dlaczego? — pyta.

— Nie ma tam eleganckich sklepów, Virginie. Żadnych ładnych apaszek. Byłabyś gazelą w fabryce cementu.

Virginie unosi się z poduszki. Jej czarne oczy błyszczą. Wygląda tak kusząco z czarnymi włosami opadającymi na ramiona i piersi. Biorę ją w ramiona.

—Nie — sprzeciwia się. — Nie bądź taki protekcyjny. Myślisz, że interesują mnie jedynie zakupy?

—Nie, nie jedynie zakupy — mówię.

—Myślałam, że chce ci się spać.

—Mnie tak, ale jemu nie. W każdym razie, co to zmienia — dziesięć minut tu czy tam?

Otwieram nocną szafkę.

—Michaelu, jesteś taki praktyczny.

—Hmm, tak... nie, nie. Virginie, nie. Przestań. Przestań. Po prostu przestań.

—Odpreź się — śmieje się. — To łaskocze tylko wtedy, gdy jesteś śpięty.

—Łaskocze? Łaskocze? Gryziesz mnie i myślisz, że to mnie łaskocze?

Virginie zanosi się śmiechem. Zamiast mnie odpreżyć, zupełnie mnie to ponosi.

Po gorącym prysznicu w różowej łazience nastawiam budzik.

—Po co? — pyta Virginie śpiącym głosem. — Jutro jest sobota. Możemy się obudzić w południe. Czy zamierzasz ćwiczyć, by dać mi dobry przykład?

—Węże wodne.

—O nie — mówi Virginie z obrzydzeniem. — W tej ohydnej, brudnej, śmierdzącej lodowatej wodzie. Wy, Anglicy, jesteście stuknięci.

## 1.7

Ubieram się po ciemku, nie budząc Virginie, i wychodzę. Mieszka po południowej stronie Hyde Parku, ja — po północnej. To właśnie pewnego mroźnego piątkowego ranka, wracając od niej, zauważyłem parę głów podskakujących w Serpentine. Najbliższego z kąpiących się spytałem, co właściwie wyprawia.

—A jak sądzisz?

—Pływasz, ale dlaczego?

—A dlaczego nie? Przyłącz się do nas. Pływamy tutaj od tysiąc osiemset sześćdziesiątego roku.

—Wyglądasz młodo jak na swój wiek.



Pływak roześmiał się, wyszedł z wody i stanął na brzegu, trzęsąc się z zimna. Dwudziestolatek mojego wzrostu, ale trochę bardziej umięśniony. Miał na sobie czarne kąpielówki firmy Speedo i żółty czepek.

—Nie przeszkadzaj sobie — powiedziałem.

—Nie, nie, i tak już wychodziłem. Trzy czy cztery minuty w tej temperaturze mi wystarczą.

Oplatał ramionami swoje ciało, czerwone z zimna — czerwone jak homar — tak powiedziałaaby Virginie. Gdy się wycierał, ja patrzyłem na mętną wodę Serpentine.

—Rozumiem, że jest przystosowana?

—O nie — zareagował wesoły młody człowiek. — Latem ją chlorują, ale zimą jesteśmy tu tylko my: węże wodne. Musieliśmy walczyć o pozwolenie zarządu parku, wydziału zdrowia, rady miasta i Bóg wie kogo jeszcze, by nadal móc tu pływać. Musisz być członkiem klubu i podpisać zgodę na utratę zdrowia z powodu wszystkich tych szczurzych sików i gęsiech odchodów, a wtedy możesz pływać pomiędzy szóstą a dziewiątą rano co dzień przez cały rok.

—Trochę to skomplikowane. I nieprzyjemne. To wszystko w stojącym stawie.

—O, nie, nie, nie jest stojący, wpływa pod ziemią do Tamizy. Nie martwiłbym się. Każdy z nas trochę tej wody połknął i nikt jeszcze nie umarł. Po prostu przyjdź jutro rano o ósmej. Będzie tu cała paczka. W soboty pływamy na wyścigi. Pływam też w piątki i w niedziele, ale cóż, jestem trochę dziwakiem. Zapomniałem się przedstawić: jestem Andy.

— Michael. — Uścisnęliśmy sobie dłonie.

Kilku biegaczy spojrzało na Andy'ego z niedowierzaniem i pobiegło dalej.

—Jesteś zawodowym pływakiem? — spytałem. — To znaczy, jaki jest ogólny poziom tego klubu?

—Och, tym się nie przejmuj. Kilku z nas przepłynęło Kanał, ale reszta ledwie dopływa do tej żółtej boi. Jestem tylko studentem. Studiuję prawo na University College. A czym ty się zajmujesz?

—Jestem muzykiem.

—Naprawdę? Na czym grasz?

—Na skrzypcach.

—Doskonale. Cóż, pływanie to najlepsza gimnastyka dla ramion. Zatem do zobaczenia jutro.

—Nie jestem pewien, czy jutro się spotkamy.

—Spróbuj — powiedział Andy. — Nie bój się. To wspaniałe uczucie.

Jednak pojawiłem się następnego dnia. Chociaż nie jestem specjalnie wysportowany, skusił mnie dziwaczny luksus pływania na otwartym powietrzu w samym sercu Londynu. W zimie była to masochistyczna przyjemność, ale po paru tygodniach naprawdę zaczęło mi to sprawiać radość. Woda rozbudzała mnie i wprowadzała w nowy dzień. Kawa i ciastka w klubie, głównie męskie towarzystwo, dyskusja nad kapryśnym utrudnianiem nam wyścigu, wspomnianie dawnych wieloletnich członków, wymiana uprzejmości w niesamowitej różnorodności akcentów — to wszystko otwierało przede mną świat spoza Archangel Court, Kwartetu Maggiore i mieszkania Virginie, przeszłości, przyszłości i nieustępliwego natłoku myśli.

## 1.8

Co do mojego akcentu: co się z nim stało? Gdy wracam do Rochdale, łapię się na tym, że podkreślam, czasem nawet zaznaczam to, co niegdyś ukrywałem. Od początku matka wbijała mi do głowy, że powinienem „mówić poprawnie”. Czuła, że w dotkniętym bezrobociem i zabitym dechami mieście, w którym mieszkaliśmy, nie ma dla mnie przyszłości. Jedynym sposobem na wyrwanie się była dobra szkoła, a później, jeśli to możliwe, uniwersytet i solidny zawód. Moje trwanie przy swoim powołaniu spotkało się z niezrozumieniem obojga rodziców, wycofaniem poparcia i powtarzaniem uwagami, że zmarnowałem lata ich wyrzeczeń. Mój ojciec miał sklep mięsny przy małej ulicy. Nikt w rodzinie nie marzył o studiach uniwersyteckich. Teraz był ktoś, kto miał szansę się dostać, a nie chciał nawet spróbować.

— Ale tato, jaki sens ma wypełnianie tych formularzy? Ja nie chcę studiować. Chcę być muzykiem. W Manchesterze jest wyższa szkoła muzyczna.

—Chcesz grać na skrzypcach? — spytał wolno tato.

—Chce być skrzypkiem, Stanleyu — wtrąciła matka.

Strasznie się zdenerwował.

—Cholerne skrzypki, ot, co to jest, cholerne skrzypki. — Znów spojrzał na mnie. — Jak utrzymasz mamę z cholernych skrzypek, gdy mnie zabraknie?

—A może studia muzyczne na uniwersytecie? — zasugerowała matka.

—Nie mogę, mamó. Nie zdaję egzaminów z muzyki. A poza tym, ja chcę tylko grać.

—Do czego dojdiesz graniem? — zażądał odpowiedzi tato.— Dobrej emerytury za to nie dostaniesz. — Próbował mówić spokojniej. — Musisz myśleć o przyszłości. Czy w tej szkole muzycznej dostaniesz stypendium?

—Cóż, niekoniecznie.

—Niekoniecznie! — krzyknął. — Niekoniecznie! A jak pójdziesz na uniwersytet, to na pewno dostaniesz stypendium. Nie myśl sobie, że tego wszystkiego nie wiem. Ktoś powinien zbadać twoją głowę. Spójrz, co się działo z nami i ze sklepem w zeszłym roku. Sądzisz, że zdołamy cię utrzymać, gdy tak będziesz sobie brzdąkał?

—Pójdę do pracy. Opłacę swoje studia — odpowiedziałem, nie patrząc na żadne z nich.

—Będziesz musiał oddać swoje skrzypce szkole — stwierdził tato. — Nie licz na to, że kupimy ci drugie.

—Pani Formby zna kogoś, kto mógłby mi je pożyczyć, przynajmniej na kilka miesięcy.

Oczy ojca zapłonęły żywym ogniem; wyszedł z domu ciężkim krokiem. Kiedy wrócił po kilku godzinach, nie był już tak zdenerwowany, ale jeszcze bardziej zmieszany i zasmucony.

— Byłem w szkole — zaczął powoli, patrząc to na mamę, to na mnie — i ten pan Cobb mi powiedział: „Pański Michael jest bardzo zdolny, bardzo bystry. Mógłby studiować języki albo prawo, albo historię. Dostałby się i

studiowałby, gdyby zechciał". Więc o co chodzi? Dlaczego tego nie chcesz? Chcę to wiedzieć. Twoja matka i ja całe życie ciężko pracowaliśmy, żebyś miał lepszą przyszłość, a ty skończysz, grając w jakimś pubie czy nocnym klubie. Co to ma być za przyszłość?

Trzeba było lat i pomocy innych ludzi, by nas pogodzić. Jedną z tych osób była jego siostra, ciocia Joan, irytująca mediatorka, która obydwu nas dręczyła, aż żaden nie mógł już dłużej tego znieść.

Zeszliśmy się na trochę po śmierci mamy, ale było oczywiste, że tato myślał, iż to ja, odwracając się plecami do jej marzeń, pozbawiłem ją szczęścia, na które zasługiwała.

Później przyszedł na mój pierwszy recital w Manchesterze, ale pełen rezerwy i podejrzeń. W ostatniej chwili próbował się wycofać i nasza sąsiadka, pani Formby, musiała go dosłownie wepchnąć do swojego samochodu. Tego wieczoru usłyszał aplauz, jaki zgotował mi dobrze ułożony świeatek spoza jego podwórka, i ostatecznie zdecydował, że może i jest coś pozytywnego w wybranej przeze mnie profesji. Teraz jest ze mnie dumny i podejrzanie bezkrytyczny.

Gdy wyjeżdżałem do Wiednia, tato się nie sprzeciwiał. Ciocia Joan uspokajała moje sumienie, mówiąc, że jedna osoba do opieki nad ojcem w zupełności wystarczy. Być może to dramatyczne przeżycia, łamiąc jego ducha, uczyniły go łagodniejszym. Jeśli jest coś odrobinę niepokojącego w tym, jak skupia całą swoją uwagę na naszym kocie Zsa-Zsa, to przynajmniej mało zostało w nim dawnej złości, która niegdyś mnie przerażała i czasami wydobywała ze mnie coś podobnego: coś, co wolno się zapalało i wolno gasło.

## 1.9

Wracając z cotygodniowego pływania, nucę Schuberta i wchodzę do Archangel Court. Wyjmuję mały czarny klucz elektroniczny i słyszę, jak szklane drzwi otwierają się, chociaż nie zdążyłem dotknąć czujnika.

—Dziękuję, Rob.

—Nie ma za co, panie Holme.

Rob, nasz tak zwany główny odźwierny, a w rzeczywistości jedyny, czasem zwraca się do mnie po imieniu, a czasem po nazwisku i nie ma w tym żadnej logiki.

—Ponury dzień — stwierdza z pewnym entuzjazmem.

—Tak. — Naciskam przycisk windy.

—Chyba nie był pan znowu popływać, co? — pyta, wskazując na moje zmierzwione włosy i skrecony ręcznik.

—Niestety, tak. To uzależnienie. A propos uzależnień, czy ma pan dzisiejszy los na loterię?

—Nie, nie, zawsze kupujemy je po południu. Pani Owen i ja omawiamy numery podczas lunchu.

— Jakież wiadomości od dzieci?

— A tak. Przy okazji, panie Holme, w sprawie windy... we wtorek rano mają robić przegląd, więc chciałbym wcześniej pana ostrzec.

Kiwam głową. Winda zjeżdża i zatrzymuje się. Jadę do swojego mieszkania.

Myślę często, jakim szczęściem jest mieć to, czego wielu muzykom brakuje — dach nad głową, który mogę nazwać swym własnym. Mimo obciążenia hipoteką lepsze to niż opłacanie czynszu. Miałem szczęście, że znalazłem to mieszkanie — i to w tak złym stanie. W obecnych czasach nigdy nie mógłbym sobie pozwolić na te trzy małe pokoje ze skośnymi sufitami, które mimo dziwnych kłopotów z wodą i ogrzewaniem są schronieniem pełnym światła. Kocham ten widok. Nade mną nie ma nikogo, więc nie słyszę kroków nad głową, a na tej wysokości nawet odgłosy ruchu ulicznego są przytłumione.

Budynek pomimo statecznej fasady z czerwonej cegły jest różnorodny, pod pewnymi względami nawet dziwny — budowany na potrzeby klienta w latach trzydziestych zawiera mieszkania wszelkich rozmiarów, od jednopokojowych po czteropokojowe, i co z tego wynika, ma różnych mieszkańców: młodych urzędników, samotne matki, emerytów, właścicieli okolicznych sklepów, paru lekarzy, turystów, którzy podwynajmują ludzi, którzy pracują w City, gdzie łatwo dojechać linią Central. Czasem jakiś

dźwięk przenika przez moje ściany — płacz dziecka, grane na saksofonie dźwięki *Strangers in the Night*, zgrzyt wiertarki, ale najczęściej, nawet poza moją dźwiękoszczelną kabiną, jest cicho.

Człowiek, który przyszedł obejrzeć mój telewizor, powiedział, że niektórzy mieszkańcy mają telewizory podłączone do systemu ochrony i mogą obserwować poczynania swoich sąsiadów, gdy ci wchodzi i wychodzą z budynku albo stoją w holu, czekając na windę. Uśmiechamy się, otwieramy sobie drzwi, życzymy sobie nawzajem dobrego dnia. Nad nami czuwa życzliwy Rob, zręcznie łączący rozliczne funkcje — gospodarza domu, komentatora pogody, złotej rączki i psychoterapeuty.

W mieszkaniu zaczynam czytać gazetę, którą kupiłem w drodze do domu, ale nie potrafię skupić się na wiadomościach. Mam dziwne uczucie przymusu. Jest coś, co muszę zrobić, ale nie jestem pewien, co to jest. Usiłuję to przemyśleć. Tak, muszę zadzwonić do taty. Nie rozmawiałem z nim od prawie miesiąca.

Mija co najmniej tuzin dzwonek, zanim odbiera.

—Halo? Halo? Czy to Joan? — Wydaje się zły.

—Tato, tu Michael.

—Kto? Michael? A, cześć, cześć, co słychać, Michaelu? Czy coś się stało? Dobrze się czujesz? Wszystko w porządku?

— Tak, tato. Dzwonię, żeby się dowiedzieć, jak ty się czujesz.

— Świetnie, świetnie, nigdy nie czułem się lepiej. Dzięki za telefon.

Miło usłyszeć twój głos.

—Powinienem dzwonić częściej, ale wiesz, jak to jest, tato. Właśnie sobie uświadomiłem, że minął już miesiąc. Jak się ma ciocia Joan?

—Nie za dobrze, wiesz, wcale nie za dobrze. Tak między nami, zaczyna tracić pamięć. Wczoraj dostała mandat, bo nie mogła sobie przypomnieć, gdzie zostawiła samochód. Prawdę mówiąc, przy jej artretyzmie wcale nie powinna prowadzić. Przykro jej będzie, że się z tobą rozminęła. Poszła po zakupy. Powiem jej, że o nią pytałeś.

—A Zsa-Zsa?

—Zsa-Zsa jest w schronisku. — Śmieje się.

—Och. Dlaczego?



—Podrapała mnie dwa tygodnie temu. Trochę to trwało, zanim moje ręce wydobrzały.

—Dokuczałeś jej?

—Nie. Joan wyszła, a ja oglądałem *Inspektora Morse 'a z Zsa-Zsa* na kolanach, gdy zadzwonił telefon. Myślałem, że to w filmie, a potem zrozumiałem, że nie. Więc podskoczyłem, żeby odebrać, a ona mnie podrapała. Ale zdążyłem odebrać telefon.

—Tak?

—O tak. Zdążyłem na czas, ale na słuchawce zostały plamy krwi. Inspektorowi by się to spodobało. Gdy Joan wróciła, zadzwoniła po lekarza. Trzeba było założyć opatrunek. Wiesz, mogło wdać się zakażenie. Joan oczywiście stanęła po stronie Zsa-Zsa. Powiedziała, że musiałem ją przestraszyć.

Mój ojciec wydaje się wątpliwy.

—Tato, postaram się przyjechać za jakieś dwa tygodnie. Jeśli mi się nie uda, to na pewno będę na Gwiazdkę. Nie jedziemy wtedy na tournée.

—A tak, dobrze. Świetnie będzie cię zobaczyć, Michaelu. Naprawdę świetnie.

—Pójdziemy do Owd Betts na lunch.

—Tak, byłoby wspaniale. — Wzdycha. — Wczoraj śnił mi się parking.

—To oznacza tylko mandat za parkowanie, tato.

—Nie, ten drugi parking. Gdzie stał sklep.

—Aaa.

—Zniszczyli nasze życie. Zabili twoją matkę.

—Tato. Tato.

—To prawda.

—Wiem, tato, ale to, cóż, to przeszłość.

— Tak. Masz rację. — Milknie na chwilę, a potem mówi: — Powinieneś się ustatkować, synu.

— Jestem ustatkowany.

— Cóż, można być ustatkowanym i ustatkowanym. Czy spotykasz się ostatnio z jakimiś ładnymi dziewczynami, czy myślisz tylko o skrzypcach?

—Spotykam się z kimś, tato, ale... — Zmieniam temat. — Muszę już kończyć. Po południu mamy próbę, a jeszcze nie przeczytałem dokładnie swojej partii. Zadzwoń wkrótce. Nie pozwól, żeby Zsa-Zsa i ciocia Joan zmawiały się przeciwko tobie.

—W zeszłym tygodniu przyniosła rybę pod drzwi. — Ojciec znów się śmieje.

— Kto przyniósł rybę?

— Sąsiedzi rozmrażali ją na parapecie. Zsa-Zsa poczuła jej zapach i przyniosła ją. Jeszcze zawiniętą w folię.

—Ile lat ma teraz Zsa-Zsa? — Śmieję się.

—Szesnaście skończyła w sierpniu.

—Radzi sobie.

—Tak.

—No to do widzenia, tato.

— Do widzenia, synu.

Przez kilka minut po odłożeniu słuchawki siedzę spokojnie i myślę o ojcu. Kiedy przyjechał do Londynu trzy lata temu, winda była przez kilka dni zepsuta. Uparł się, że wejdzie powoli na moje ósme piętro. Następnego dnia zainstalowałem go w małym hoteliku w pobliżu. Ale skoro jedynym powodem jego wizyty w Londynie było odwiedzenie mnie, to w pewien sposób niweczyło ten cel. Teraz rzadko wyjeżdża z Rochdale. Czasem wybiera się do Manchesteru. W Londynie staje się niespokojny. Jedną z wielu rzeczy, które mu tutaj przeszkadzają, jest to, że woda nie pieni się odpowiednio.

Po śmierci mojej matki był niepokieszony. Jego owdowiała siostra twierdziła, że nie przeżyje samotności, więc wprowadziła się do niego i wynajęła swój dom. Zsa-Zsa, kot moich rodziców, wtedy jeszcze młody i bardzo nietowarzystki, od razu ją polubił. Mój ojciec dał sobie radę, ale nigdy nie przebolewał śmierci matki.

Jeśli chodzi o sklep i parking, to nieprzyjemna sprawa. Rada miasta, planując rozbudowę głównej drogi, wydała przymusowy nakaz sprzedaży naszego sklepu, który znajdował się tuż obok tej drogi, w bocznej uliczce. Było to coś więcej niż tylko nasz sklep — to był nasz dom. Wiele domów



naszych sąsiadów też zostało przejętych. Odszkodowanie było śmieszne. Rodzice przez lata próbowali się odwoływać, ale nic nie działali.

Ja sam mieszkałem wówczas w Manchesterze, mając się różnych dziwnych zajęć, by zarobić na życie i zaoszczędzić na studia muzyczne. Z początku wcale nie mogłem pomóc, a potem tylko trochę. Poza tym stosunki między nami nadal były napięte. Po dwóch czy trzech latach, gdy dostałem się do Royal Northern College of Music, mój ojciec, pozbawiony pracy i celu w życiu, zapadł na serię chorób oskrzeli. Matkę wyczerpała opieka nad nim, praca w szkolnej stółce i toczący się proces o odszkodowanie. Chociaż on był chory, to matka umarła — zupełnie nagle, miała wylew.

Po kilku kolejnych latach wahania rada zdecydowała się ostatecznie nie poszerzać drogi. Nabyty teren sprzedano firmom budowlanym. Małe sklepy i domki, już opuszczone, zburzono. Na miejscu, gdzie Stanley Holme, rzeźnik, niegdyś uprawiał swój zawód, jest teraz tylko asfalt. Zrobiono tu parking.

## 1.10

Kiedy mówię, że pochodzę z Rochdale, ludzie w Londynie uśmiechają się, jak gdyby sama nazwa była zabawna. Już mnie to nie denerwuje ani nie dziwi. Tak naprawdę, gdybym miał czegoś nie lubić, to być może samego miasta. Ale myślę, że to, co nas spotkało, mogło wydarzyć się wszędzie.

Właściwie jako chłopiec byłem w Rochdale dosyć szczęśliwy. Nasz dom stał niedaleko granic miasta i gdy dostałem rower, mogłem wyjeżdżać na wrzosowiska, czasem ze szkolnym kolegą, częściej sam. W kilka minut byłem na wsi. Czasem wchodziłem na wzgórza, czasem po prostu leżałem w trawiastych zagłębieniach, gdzie nie było słyhać wiatru. Gdy pierwszy raz to zrobiłem, byłem zaskoczony; nigdy przedtem nie słyszałem takiej ciszy. I w tę ciszę po minucie czy dwóch wpadła pogodna pieśń skowronka.

Często leżałem tak godzinami; rower parkowałem bezpiecznie przy opuszczonej gospodzie Owd Betts u podnóża góry. Czasem śpiewał pojedynczy skowronek, czasem, gdy głos jednego niknął w górze, włączał się drugi. Czasem, gdy słońce wyłaniało się po przelotnym deszczu, słychać było całą orkiestrę skowronków.

W Londynie, mimo że mieszkam wysoko, nie ma naturalnej ciszy. Nawet w środku sześciusetakrowego parku ze wszystkich stron, a nawet z góry słychać odgłosy ruchu ulicznego. Ale w niektóre poranki biorę stołek i idę do podwodnego ogrodu w pobliżu oranżerii. Siadam w jednym z wyłomów w wysokim wapiennym murze i patrzę poprzez zalane wodą półki skalne na prostokątny basen. Wśród wodnych lilii grają fontanny, zagłuszając hałasy, których nie przytłumił płot. Wiewiórki biegają odważnie, małe myszki nieśmiało. Gołąb grucha u mych stóp. A latem śpiewają kosy.

Dzisiaj, gdy przechadzam się wokół podwodnego ogrodu, przypomina mi się pewna rozmowa z Julią. Nasze trio fortepianowe grało wtedy koncert gdzieś w pobliżu Linzu i po występie poszliśmy we dwoje na spacer do lasu za domem naszego gospodarza. Tej nocy była pełnia i słyszeliśmy gorączkowy śpiew słowika.

—Bardzo ostry — zauważyłem. — Dionizetti ptasiego świata.

—Ciiii, Michaelu — odpowiedziała Julia, opierając się o mnie.

Gdy słowik umilkł, spytała:

—Nie podoba ci się?

—Nie jest to mój ulubiony ptak. A twój?

—Tak.

—To na pewno za sprawą twojej austriackiej krwi.

—Och, nie wygłupiaj się. Lepiej mnie pocałuj.

Pocałowaliśmy się i poszliśmy dalej.

—Jeśli to naprawdę twój ulubiony ptak, Julio, to cofam to, co powiedziałem.

—Dziękuję. A jakiego ty lubisz?

—Skowronka, oczywiście.

—Ach, rozumiem. *Wzlatujący skowronek?*

—O nie, to nie ma z tym nic wspólnego.

—To taki szary ptaszek, prawda?

—Cóż, twój słowik to też żaden rajski ptak.

—Przypuszczam, że nie ma zbyt wielu przystojnych kompozytorów — stwierdziła Julia po chwili. — Schubert wyglądał jak żaba.

—Ale żaba, którą byś pocałowała?

—Tak —odpowiedziała bez wahania Julia.

—Nawet gdyby odwróciło to jego uwagę od komponowania?

—Nie —powiedziała Julia. — Wtedy nie. Ale nie sądzę, żebym odwróciła jego uwagę. To by go zainspirowało i dokończyłby swoją *Niedokończoną*.

—Wierzę, że by ją dokończył, kochanie. Więc może to dobrze, że nigdy go nie pocałowałaś.

Zaczęło kropić i wróciliśmy do domu.

## 1.11

Gdy przyjmowano mnie do Kwartetu Maggiore, Helen zapytała, co słychać u Julii. Znały się, ponieważ nasze trio i ich kwartet — oba niedawno założone — spotkały się na letnich warsztatach w Banff w kanadyjskich górach.

Odpowiedziałem, że straciliśmy kontakt.

— O, jaka szkoda — stwierdziła Helen. — A co u Marii? Wspaniała wiolonczelistka! Uważam, że wasza trójka grała bardzo dobrze. Pasowaliście do siebie.

— Myślę, że Maria ma się dobrze. Nadal jest w Wiedniu.

—Uważam, że to bardzo przykre, kiedy traci się kontakt z przyjaciółmi — paplała ze współczuciem Helen. — Miałam kolegę ze szkoły, o rok starszego ode mnie. Uwielbiałam go. Chciał zostać, wyobraź sobie, dentystą... Och, to chyba nie jest twój czuły punkt?

—Nie, wcale nie. Ale może powinniśmy kontynuować próbę. Jestem umówiony na piątą trzydzieści.

—Oczywiście. Mówiłeś mi, że się spieszysz, a ja proszę, paplam sobie.

Stracić kontakt — i słuch, i zapach, i smak, i widok. Nie ma tygodnia, żebym o niej nie myślał. I to po dziesięciu latach — nazbyt uparty ślad w pamięci.

Po wyjeździe z Wiednia napisałem do niej, być może za późno. Nie odpisała. Pisałem i pisałem w próżnię.

Napisałem do Marii Novotny, która odpowiedziała, że Julia nadal bardzo się gniewa i że powinienem dać jej trochę czasu. Moje listy przeszkadzały jej w ostatnim roku studiów. Być może powinienem był zrezygnować. Jednak Maria zawsze była bardziej przyjaciółką Julii niż moją. Znały się, zanim ja się pojawiłem i tak nagle zniknąłem. Nie zdradziła mi żadnych tajemnic i nie dała nadziei.

Po ukończeniu studiów Julia zniknęła z powierzchni ziemi.

Napisałem do Musikhochschule, prosząc o przesłanie jej listu. Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Napisałem na adres jej rodziców, którzy mieszkali w pobliżu Oksfordu — bez rezultatu. Napisałem do jej ciotki w Klosterneuburgu — również bez odpowiedzi. Znów napisałem do Marii. Odpisała, że też nie ma od Julii wiadomości. Była jednak pewna, że nie ma jej w Wiedniu.

Wreszcie, po ponad roku od naszego rozstania, złamany stratą, zadzwoniłem do jej rodziców. Jej ojciec spędził z nami dzień, kiedy przyjechał do Wiednia na konferencję historyczną. Był fanem Audena i zabrał nas na małą pielgrzymkę do Kirchstetten, małej wioski, gdzie Auden przeżył swe ostatnie lata. Wieczorem, już w Wiedniu, poszliśmy na kolację i na koncert. Od razu przypadliśmy sobie do gustu.

Odebrała kobieta.

— Halo? — powiedziałem. — Czy to pani McNicholl?

— Tak. Z kim mam przyjemność? — Wyczułem dobrze skrywane austriacki akcent.

— Mówi Michael Holme.

— A tak, tak. Rozumiem. Proszę poczekać. Zawołam męża. — Jakby panika wyparła jej pewność siebie.

Po kilku chwilach dr McNicholl podniósł słuchawkę. Nie miał nieuprzejmego głosu, ale sprawiał wrażenie osoby, która chce jak najszybciej wydostać się z zatrzaśniętej windy.

—Cześć, Michaelu. Domyślam się, że chodzi o Julię. Odsyłałem jej twoje listy, ale, cóż, odpowiedź należy do niej.

—Jak jej poszły egzaminy? — Maria już mi powiedziała, że bardzo dobrze, ale próbowałem podtrzymać rozmowę.

—Zdała.

—Ma się dobrze, prawda?

—Tak — odpowiedział stanowczo.

—Czy mógłby pan jej przekazać, że dzwoniłem? Proszę.

Chwila ciszy, a potem niechętnie:

—Tak.

—Gdzie ona teraz jest? Czy jest tam, to znaczy, czy jest z państwem w Oksfordzie?

—Na litość boską, Michaelu, czy nie dość ją skrzywdziłeś? — Cierpliwość doktora McNicholla wyczerpała się i odłożył słuchawkę. Zrobiłem to samo. Ze smutkiem zrozumiałem, że to nie ma sensu.

## 1.12

Moim pierwszym zajęciem dzisiaj jest lekcja — wspólna harówka z dwunastolatkiem, który wolałby grać na gitarze. Po jego wyjściu zabieram się do pracy nad kwartetem. Przeglądam muzykę do naszej następnej próby, ale nie mogę się skupić. Zamiast tego włączam płytę z *Triem fortepianowym c-moll* Beethovena, tym, o które Carl Käll tak mnie wypytywał wiele lat temu.

Jakież cudowne są jego pierwsze samonumerowane utwory, to trio triów, które mówi światu: tak, już te utwory uczyniłyby mnie sławnym. Wśród nich właśnie jest klejnot: opus 1 numer 3. Carl oczywiście nie zgadzał się ze mną; uważał, że ten jest najslabszy ze wszystkich.

Było to Julii ulubione ze wszystkich triów Beethovena. Szczególnie lubiła tę minorową wariację w drugiej części, chociaż wydawało się, jakby wiolonczela i skrzypce w tej spokojnej melancholii okradały ją z jej własnej ważności. Kiedykolwiek to słyszała czy grała lub tylko czytała nuty, poruszała lekko głową z boku na bok. I uwielbiała niekrzykliwe zakończenie całej kompozycji.

Chociaż często słuchałem tego utworu, ani razu przez ostatnie dziesięć lat go nie zagrałem. Gdy gram w triach ad hoc, jeśli ktokolwiek zasugeruje taką możliwość, zniechęcam innych, mówiąc czasami, że mi się nie podoba. A co do nagrań, to żadne z nich nie przypomina mi, jak ona je grała, chociaż niektóre przynoszą ulgę memu sercu.

Ale co przypominało mi o sposobie jej gry? Czasem fraza czy dwie na koncercie, czasem trochę więcej, ale nigdy coś dłuższego. Powiedzieć, że w jej grze była pewna naturalność, niczego nie tłumaczy; w końcu każdy gra zgodnie ze swoją naturą. Odpowiednie zaskoczenie, intensywność, koncentracja — próba oddania tego, co przekazywała, nie ma sensu. Równie trudno jest mi opisać piękno jej gry jak to, co czułem, gdy ją poznałem. Czasem w ciągu kilku ostatnich lat, gdy włączałem radio, słyszałem grę kogoś, kto, jak mi się zdawało, grał jak Julia. Ale jakiś zwrot frazy wystarczał, bym tracił tę pewność; a jeśli jeszcze miałem nadzieję czy wątpliwości, to rozwiewało je przedstawienie wykonawcy na końcu.

W zeszłym roku usłyszałem urywek Bacha w taksówce, najbardziej nieprawdopodobnym ze wszystkich możliwych miejsc. Rzadko jeżdżę taksówkami, w taksówkach rzadko słyszy się muzykę, a już na pewno nie klasyczną. Prawie dojechaliśmy do studia, gdy kierowca przełączył na stację numer 3. Był to koniec *Preludium* i początek *Fugi*, co dość dziwne, *C-dur*. Powiedziałem sobie: to Julia. To jest Julia. Wszystko za tym przemawiało. Dojechaliśmy; kierowca wyłączył radio; zapłaciłem mu i pobiegłem. Byłem już spóźniony na sesję; tak czy inaczej, wiedziałem, że muszę się mylić.

Dzwoni Virginie, aby odwołać lekcję. Gdy ustalała datę, nie spojrzała w kalendarz. Okazuje się, że ten termin był już zajęty. Właśnie przyjechała przyjaciółka z Paryża. Ona nie rozumie, a ja tak, a poza tym z nią umówiła się wcześniej, więc czy nie będzie mi to przeszkadzało?

—Kim jest ta przyjaciółka? — pytam.

—Chantai. Opowiadałam ci o niej, prawda? Jest siostrą Jeana-Marie. — Jean-Marie to przedostatni chłopak Virginie.

—W porządku, Virginie.

—Więc jaką datę ustalamy?

—Nie mogę teraz o tym rozmawiać.

—Dlaczego nie?

—Jestem zajęty. — W rzeczywistości zdenerwowało mnie podejście Virginie do naszych lekcji.

—Ech, och — powiedziała z wyrzutem Virginie.

—Sama jesteś ech, och.

—Jesteś taki marudny, Michaelu. Otworzyłeś wszystkie okna?

—Dziś jest zimno. Nie zawsze potrzebuję świeżego powietrza.

—A tak, wielki arktyczny pływak boi się zimna.

—Virginie, przestań być nudna.

—Dlaczego jesteś nie w humorze? Przeszkodziłam ci w czymś?

—Nie.

—Czy właśnie coś skończyłeś?

—Tak.

—Co?

—Słuchałem pewnego utworu.

—Jakiego?

—Virginie!

—Cóż, jestem ciekawa.

—Chcesz powiedzieć, że jesteś ciekawska, a to zupełnie co innego.

—Tylko odrobinę innego. Więc?

—Więc co?



—Co to za tajemniczy utwór?

—*Trio C-dur* Beethovena, przepraszam, *ut mineur*, na piano-forte, skrzypce, wiolonczelę, opus 1 numer 3.

—Bądź po prostu miły, Michaelu.

—Staram się.

—Dlaczego przez tę muzykę się na mnie złościł?

—Nie rozłościłem się na ciebie, jak to ujmujesz. Nie złościę się na ciebie. Jeśli na kogokolwiek się złościę, to na siebie samego.

—Bardzo lubię to *Trio* — stwierdza Virginie. — Wiesz, że on sam zaaranżował je na kwintet smyczkowy?

—Co za bzdury, Virginie. No dobrze, ustalmy datę lekcji i miejmy już to z głowy.

—Ale to prawda, Michaelu. Nie przetransponował tego.

—Virginie, uwierz mi, gdyby był jakiś kwintet smyczkowy C-dur Beethovena, z całą pewnością bym o nim wiedział, prawie na pewno bym go słyszał i bardzo możliwe, że bym go zagrał.

—Przeczytałam to w *Guide de la Musique de Cltambre*.

—Niemożliwe!

—Poczekaj. Poczekaj. Chwileczkę. — Po kilku sekundach wraca do telefonu. Słyszę, jak przewraca kartki. — Tu jest. Opus 104.

—Co powiedziałaś?

—Opus 104.

—Ależ to szaleństwo. To w niewłaściwym momencie jego życia. Jesteś pewna?

—Nie jesteś zbyt zajęty? Chcesz teraz ze mną porozmawiać? — pyta Virginie. W jej głosie słychać zdziwienie.

—O tak. Tak. Co tam jest napisane?

—Zobaczmy — mówi Virginie, tłumacząc dość płynnie ze swojej książki. — Piszą tu, że w tysiąc osiemset siedemdziesiątym roku zaaranżował trzecie *Trio fortepianowe* opus i jako kwintet smyczkowy... na początku zrobił to jakiś amator, Beethoven pisze, jak to się mówi, zabawną pochwałą — koszmarna instrumentacja amatora była kwintetem na trzy głosy, a Beethoven przerobił ją



właściwie na pięć głosów i przekształcił z żenującej próby w godny zaprezentowania utwór. A oryginalna trzygłosowa instrumentacja amatora zostaje ofiarowana piekielnym bogom w podniosłym holocaustie. Czy wyrażam się jasno?

—Tak, tak. To nie wiary godne! Czy jest coś jeszcze?

—Nie. Po komentarz odsyłają do *Tria*.

—Czy zawsze czytasz opracowania, Virginie?

—Nie, tylko przeglądam, jak to wy, Anglicy, mówicie.

—Ten Anglik nie. — Śmieję się.

—Jesteś zadowolony? — pyta Virginie.

— Tak sędzę. Tak. Tak. Bardzo zadowolony. Dziękuję ci, Virginie.

Dziękuję. Przepraszam, że wcześniej byłem nieuprzejmy. Kiedy chcesz mieć lekcję?

—W przyszłym tygodniu w czwartek o trzeciej.

—Czy to nie za długa przerwa?

—O nie. Nie za długa.

—Cóż, więc ćwicz.

—Tak, oczywiście — odpowiada wesoło Virginie.

— Nie wymyśliłaś tego wszystkiego? — pytam. To wydaje się takie niewiarygodne, ale nie zdołałaby wymyślić tylu wiarygodnych szczegółów na poczekaniu.

— Nie wygłupiaj się, Michaelu.

— I jest dwoje skrzypiec, dwie altówki i wiolonczela — bez żadnych dziwnych kombinacji, tak?

—Tak. Tak właśnie jest napisane.

—Opus 104?

—Opus 104.

## 1.14

—Opus 104?

—Opus 104.

—To bardzo dziwne, proszę pana, *c-moll* Cóż, nie ma tego w katalogu płyt kompaktowych. Nie widzę tego wśród kwintetów smyczkowych Beethovena.

—Może z jakiegoś powodu jest wymienione jako trio fortepianowe.

—Zobaczę... nie, przykro mi, tam też nie ma. Sprawdzę w komputerze. Wpiszę *Kwintet smyczkowy c-moll* i zobaczymy, co się znajdzie. Nie, niestety wcale nam nie pomaga. Podaje: „Żadne płyty nie odpowiadają zapytaniu”... Zobaczymy, co będzie, gdy wpiszę opus 104... Przykro mi, niestety, widzę tu jedynie Dvofaka... Nie chodzi panu o Dvoraka?

—Nie. Nie chodzi mi o Dvofaka.

—Cóż, czy życzyłby pan sobie, bym zamiast tego zamówił *Trio*?

—Nie, dziękuję.



Głos dziewczyny w Chimes jest nieco powątpiewający.

—*Kwintet smyczkowy c-moll* Beethovena. Gdzie pan słyszał o tym utworze?

—Powiedziała mi o nim przyjaciółka. Jest dobrze udokumentowany.

—Cóż, niestety, nie mamy partytury odpowiadającej pańskiemu opisowi. Gdyby zostawił pan swój numer telefonu...

—Słuchaj, musicie mieć gdzieś spis numerów dzieł Beethovena. Czy mogłabyś sprawdzić jeden-zero-cztery?

—Chyba tak — odpowiada z westchnieniem.

Po powrocie mówi tonem zaskoczonym i skruszonym:

—Cóż, wygląda na to, że miał pan rację.

—Wygląda na to?

—To znaczy, ma pan rację. Nie wiem, co powiedzieć. Przepraszam. Nie mamy go, a nakład jest wyczerpany.

— Ale to Beethoven, a nie Engelbert Humperdinck, prawda? Jesteś zupełnie pewna, że nie można tego gdzieś zamówić?

Następuje chwila ciszy.

— Właśnie o czymś pomyślałam. Czy zechce pan minutkę poczekać?

— Nawet tydzień, jeśli to konieczne.

Po powrocie wyjaśnia:

—Przeglądałam mikrofilmy. Nie wiem, co pan o tym pomyśli. Emerson Editions wydaje to w aranżacji na kwintet klarnetowy. Partyturę i partie. Moglibyśmy to dla pana zamówić. Całość kosztu- je trzydzieści dwa funty. Jeśli to mają, dostawa zajmie tylko dwa tygodnie. To wszystko, co istnieje.

—Kwintet klarnetowy? To czyste szaleństwo. Cóż, chyba to zamówię. Nie, nie, proszę nie zamawiać. Jeszcze tu wrócę.



Główna publiczna biblioteka muzyczna w Londynie otwarta jest, co zdumiewające, od pierwszej po południu, więc decyduję się spróbować w Manchesterze.

Dzwonię do Biblioteki Muzycznej Henry'ego Watsona, mojego drugiego domu, gdy byłem studentem w Manchesterze, a co ważniejsze, przez trzy lata między szkołą a studiami. W tamtych czasach nie stać mnie było na nuty ani płyty. Gdyby ta biblioteka nie istniała, nie wiem, czy wytrwałbym przy swoim marzeniu zostania muzykiem. Wiele jej zawdzięczam; z pewnością pozwoli mi stać się jeszcze większym dłużnikiem.

W słuchawce odzywa się głęboki męski głos. Wyjaśniam, czego potrzebuję.

W jego odpowiedzi słychać zaskoczenie.

— Ta aranżacja to jego, mówi pan? Tak, oczywiście, oczywiście, skoro jest numer opusu, to musi być, nieprawdaż?... Chwileczkę.

Długa przerwa. Dwie, trzy minuty. Wreszcie:

— Tak, mamy zbiór partii dla kilku kwintetów Beethovena: pański jest wśród nich. Spójrzmy: jest 4, 29, 104 i 137. To wydanie opublikował Peters, ale nie wiem, czy jest jeszcze w druku. Mamy je od dawna. Od lat dwudziestych, jeśli nie wcześniej. Ucieszy pana wiadomość, że mamy miniaturowy zapis nutowy —jeden z Eulenburgów. Też dość stary. Jest na nim data: dziesiątego sierpnia tysiąc dziewięćset szesnasty rok. Cóż, człowiek uczy się co dzień czegoś nowego. Muszę przyznać, że nigdy nie sły-  
szałem o opusie 104.

—Nie wiem, jak panu dziękować. Jest tylko jeden problem: mieszkam w Londynie.

—To nie powinno być trudne. Prowadzimy pożyczki międzybiblioteczne, więc każda porządna biblioteka może się po to zgłosić.

—Na przykład Biblioteka Muzyczna Westminsteru?

—Tak, sądzę, że tak. Mieli swoje, nazwijmy to, przejścia, ale powinni jeszcze umieć odróżnić trio od kwintetu.

—Ma pan rację, nie jest w najlepszej formie — mówię z uśmiechem. — Ale słyszałem, że przez ostatnie kilka lat wy też mieliście swoje kłopoty. Zatargi z radą miasta i tak dalej.

—Cóż, kłopoty trwają od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku. Nie najgorzej nam idzie w porównaniu z innymi. Najważniejsze to się utrzymać.

—Mam za co dziękować pańskiej bibliotece — dodaję. — Sam byłem w Manchesterze przez siedem lat.

—Aaaa.

Gdy tak rozmawiamy, przychodzi mi na myśl zarys murów, światło wpadające przez okna, ciężkie mahoniowe półki. I książki, wspaniałe nuty, które mogłem pożyczać, zanim jeszcze wstąpiłem do Royal Northern College of Music — kiedy próbowałem przeżyć odłożyć, nie wspomagany przez żadną instytucję naukową ani muzyczną.

—A przy okazji — kontynuuję — gdy ostatni raz byłem w Manchesterze, zauważyłem, że wyposażyliście się w nowoczesne półki i usunęliście piękne stare mahoniowe meble.

—Tak. — Jego głos brzmi odrobinę defensywnie. — To dobre, solidne półki, ale nieco śliskie. Kiedy już poradzimy sobie ze śliskością, będą dobrze służyły naszym potrzebom.

—Jak planujecie to zrobić?

—Taśma. Albo papier ścierny.

—Papier ścierny?

— Tak, papier ścierny, bardzo dobrze działa. Ja jestem zwolennikiem papieru ściernego. Dziwi mnie jedna rzecz: wygląda szorstkie powierzchnie, a gładkie czyni szorstkimi... Cóż, tych nut nie będę odnosił.

Położę je z boku, z karteczką, że czekamy na prośbę o wypożyczenie z Londynu.

— Gdyby był pan tak uprzejmy. Dziękuję. Bardzo panu dziękuję.



Nie mogę w to uwierzyć. Zagram ten *Kwintet*, gdy tylko dostanę nuty. Maggiore może zaprosić drugiego altowiolistę. Wiem o tym, że w przeciwieństwie do *Tria* nic tak nie poruszy mojego serca i ręki. Ale teraz nie mogę się doczekać, kiedy to usłyszę. Gdzieś w Londynie z pewnością musi być nagranie.

Wsiadam do autobusu i zajmuję miejsce na samym przodzie. Jest mroźny, przejrzysty dzień. Wiatr przeciska się przez krawędzie szyby przede mną i zwiewa na drogę suche liście platanów. Przez nagie gałęzie drzew widzę Serpentine.

Wkrótce jednak jestem na Oxford Street; otacza mnie antyteza zieleni i wody. Czerwone autobusy i czarne taksówki jak dwa wrogie gatunki gigantycznych mrówek zdominowały ruch uliczny. Ludzie robiący wcześniejsze zakupy gwiazdkowe biegają po zatłoczonych chodnikach jak oszalałe mszyce.

Wchodzę do napotkanych sklepów muzycznych — Tower, HMV, Virgin, Music Discount Centre — rozmawiam z niezliczonymi sprzedawcami i przeglądam długie strony katalogów płyt kompaktowych, i w końcu zdaję sobie sprawę, że przecież tego nagrania nie ma na i CD i najprawdopodobniej nigdy nie było.

Sfrustrowany dzwonię do Piersa po radę. Mówi, że wydaje mu się, iż słyszał o tym utworze, ale nie potrafi doradzić, jak zdobyć nagranie. Potem dzwonię do Billy'ego, który, co dziwne jak na wszechstronnie nowoczesnego kompozytora, głęboko wierzy w zalety winylu.

—Mm — mruczy Billy. — To mało prawdopodobne, ale mógłbyś spróbować u Harolda Moore'a. Mają mnóstwo starych płyt, może coś tam znajdziesz. Jesteś przecież w okolicy. Nie zaszkodzi spróbować. — Udziela mi wskazówki i dodaje: — Cudownie byłoby to zagrać, jeżeli ten utwór w ogóle istnieje.

—Nie ma żadnego Jezeli", Billy. Udało mi się zlokalizować partie i partyturę.

—Och, bardzo chciałbym przeczytać partyturę — mówi Billy ożywiony duchem kompozytora. — Bardzo bym chciał. To przeróbka, prawda, ale nie tylko przeróbka, Musiał poczynić wiele zmian — mam na myśli poważne zmiany. Jak pojedyncza wiolonczela może spełniać podwójną funkcję? A co z przerwanyymi akordami na fortepianie? To by nie pasowało do smyczków, prawda? I...

—Billy, strasznie mi przykro, muszę już kończyć. Ale wielkie dzięki. Naprawdę. Do zobaczenia wieczorem.

Wybiegam ożywiony swoją misją i znajduję sklep. Po szklanochromowych tytanach z Oxford Street, tamtejszych ruchomych schodach, decybelach i ochroniarzach, sklep Harolda Moore'a to dickensowska przystań z grupką podejrzanie wyglądających ludzi ospale przeglądających płyty w kartonach. Kierują mnie do piwnicy, gdzie oglądam ofertę. Rozmawiam ze starszym życzliwym mężczyzną, który niestety nie może mi pomóc.

—Jest pan pewien, że nie chodzi o opus 29?

—Jestem pewien.

— Cóż, proszę zapisać swoje nazwisko i adres na tej kartce. Gdy coś się pojawi, skontaktujemy się z panem.

U góry spostrzegam zajętego mężczyznę stojącego za ladą na tyłach sklepu. Mam już wyjść, ale chociaż wiem, że to beznadziejne, jednak próbuję.

Zamyka oczy i puka się w usta palcem wskazującym.

— Wie pan, to brzmi znajomo. Nie chcę dawać złudnych nadziei, ale może zechciałby pan jeszcze raz zejść do piwnicy? Jest tam stos nagrań z Europy Wschodniej, który jakiś czas już tam leży. Jeszcze ich nie sklasyfikowałem według kompozytorów, ale mam nikłe przecucie... Oczywiście mogę się mylić, a nawet jeśli mam rację, mogliśmy już to sprzedać.

Po pięciu minutach wyjmuję płytę, i wręcza mi, obejrzawszy ją z obu stron.



## 1.15

Na Regent Street wsiadam do autobusu jadącego do domu. Przednie miejsca są zajęte, więc siadam przy oknie w połowie długości autobusu. Kilka francuskich uczennic chichocze, plotkuje i kłóci się za moimi plecami.

Ściskam cenną płytę. Zdjęcie na okładce przedstawia duży pokój w stonowanych brązach i nudnym złocie, na podłodze błyszczą wyszukany parkiet, jest nie za duży wybór waz i obrazów poustawianych tu i tam, abażur, perski dywanik, drzwi z firanką, za nimi inny pokój, i następny, cały apartament pełen światła: przyjemne preludium do zachwycającego winylu wewnątrz. Jediną dziwną rzeczą jest drewniany pulpit na środku podłogi, z rodzaju tych, które, jak sobie wyobrażam, dołącza się do czerwonych pluszowych linek oddzielających publiczność. Nie można było go przedstawić? - Czy jest przymocowany do podłogi? Czy też może jest to mebel — wieszak na kapelusze lub na pojedynczy kapelusz?

Gdy autobus wjeżdża na Oxford Street, Francuzki zaczynają klaskać.

Na mojej płycie są dwa kwintety smyczkowe Beethovena: mój *c-moll*, tak desperacko poszukiwany i tak niespodziewanie znaleziony; i jeden *E-dur*, kolejna kompletna niespodzianka, chociaż przypominam sobie, że bibliotekarz wspominał jego numer opusu: 4. Zostały nagrane (z dodatkową altówką) przez Kwartet Suk i wydane w 1977 przez czeskie wydawnictwo Supraphon. Według notki na okładce, członkowie kwartetu, zajęci w orkiestrach, „mają ograniczone możliwości występów koncertowych, ale starają się jak najlepiej je wykorzystać. Systematycznie przedstawiają mniej znane utwory, które uważają za niesłusznie pomijane, i zapraszają innych instrumentalistów do wspólnych wykonań dzieł, uzyskując niezwykle połączenia, które publiczność ma okazję usłyszeć bardzo rzadko”.

Brawo. Brawo Suk. Brawo Supraphon. Co ja bym bez was począł? Za dwadzieścia minut będę w swoim mieszkaniu, ale nie posłucham tego od razu. Późno w nocy, po próbie, wrócę do domu, zapalę świece, położę się na kanapie i zatopię w *Kwintecie*.



Gdy autobus niestrudzenie przedziera się przez Oxford Street, zatrzymywany przez przystanki, światła, korek i szalonego pieszego próbującego przejść przez jezdnię, francuskie uczennice ożywiają się, dyskutując na temat zalet rywalizujących firm kosmetycznych. Wracam do okładki.

Kwartet Suk, założony w 1968 roku, początkowo zwany był Kwartetem '69. Nazwa najwyraźniej nie dość dobrze przemyślana. Jednak rok później „przyjął za zgodą wykonawców testamentu kompozytora Josefa Suka swoją obecną nazwę”.

Więc moje pierwsze wrażenie, że ich nazwa ma coś wspólnego ze skrzypkiem Josefem Sukiem, było zupełnie błędne. A może i nie, ponieważ zauważam, że ani w niemieckim, ani we francuskim tekście nie ma słowa „kompozytor”. Ale skrzypek był w końcu prawnikiem kompozytora... który, jeśli dobrze sobie przypominam, sam był zięciem Dvoraka, jak ja, będącego synem rzeźnika. Moje myśli szamoczą się teraz gwałtownie, podnoszę wzrok znad płyty, by spojrzeć, dlaczego nie ruszamy się z miejsca.

Utknęliśmy w kolejce autobusów zaraz za światłami, w połowie długości sklepu Selfridges. Obracam lekko głowę, by przyjrzeć się jednemu z moich ulubionych pomników, pretensjonalnej, odzianej w lapis rzeźbie Anioła Selfridges z klęczącą wokół niego świtą. Ten anioł i ekscentryczny budynek jego imienia to jedyne rzeczy na Oxford Street, które potrafią wywołać mój uśmiech.

Mój wzrok nie dociera do Anioła Selfridges.

Półtora metra ode mnie siedzi Julia i czyta książkę.

## 1.16

Za szybą dokładnie naprzeciwko siedzi Julia. Jej autobus zatrzymał się na światłach.

Zaczynam walić w szybę i krzyczeć:

— Julio! Julio! Julio! Julio! Julio!

Nie słyszy mnie. Jesteśmy w oddzielnych światach. Przestań czytać, Julii spójrz. Wyrzyj przez okno. Popatrz na mnie. O Boże.

Pasażerowie wokół mnie przestają rozmawiać. Uczennice dyszą. W autobusie naprzeciwko nikt nic nie zauważa,

Nadal walę w szybę. W każdej chwili jej autobus albo mój może ruszyć. Uśmiecha się do czegoś w książce, a moje serce przestaje bić.

Mężczyzna siedzący za nią dostrzega całe zamieszanie. Jest zadowolony, ale nie zaalarmowany. Gestykułuję desperacko — i mężczyzna z wielką rezerwą puka Julię w ramię, wskazując na mnie.

Julia spogląda na mnie, jej oczy się rozszerzają... W zdumieniu? W konsternacji? Rozpoznaniu? Muszę wyglądać dziwnie — zaczerwieniona twarz, oczy pełne łez, zaciśnięte pięści — jestem o dekadę starszy. Światła zmieniają się w każdej chwili.

Grzebię w torbie, szukając pióra i kawałka papieru, zapisuję swój numer telefonu ogromnymi cyframi i przykładam do szyby.

Patrzy na kartkę, potem na mnie, jej oczy są pełne zakłopotania.

Obydwa autobusy ruszają jednocześnie.

Moje oczy śledzą ją. Jej oczy śledzą mnie.

Szukam numeru z tyłu autobusu. 94.

Łapię płytę i biegnę do drzwi. Ludzie robią mi wolne przejście.

Uczennice szepczą zadziwione:

—*Fou.*

—*Soul.*

—*Non. Fou.*

—*Non. Soul.*

Konduktor wchodzi po schodach. Nie mogę go wyminąć. Muszę stanąć z boku. Tracę czas, tracę go.

Wreszcie schodzę, mijam kilka osób i wyskakuję z ruszającego autobusu.

Przemykam między samochodami na drugą stronę ulicy. Straciłem zbyt wiele czasu. Jej autobus odjechał. Jest daleko z przodu, dzieli nas kilka innych autobusów i taksówek. Usiłuję przecisnąć się przez tłum, ale jest za gęsty. Nigdy go nie dogonię.

Ktoś wysiada z taksówki. Młoda kobieta z torbami zakupów już ma ją przejąć, gdy się wtrącam.

—Proszę — mówię. — Proszę.

Cofa się o krok i gapi się na mnie.

Wsiadam. Mówię do kierowcy:

—Chcę dogonić numer 94 przed nami.

Odwraca się nieco i kiwa głową. Ruszamy. Zapala się żółte.

Zatrzymujemy się.

—Czy nie mógłby pan przejechać? — błagam. — Jeszcze nie ma czerwonego.

—Zabiorą mi prawo jazdy — mówi zdenerwowany. — A w ogóle to po co ten pośpiech? Niewiele czasu pan zaoszczędzi.

—Nie o to chodzi — wyrzucam z siebie. — W tym autobusie jest ktoś, kogo nie widziałem od lat. Muszę go dogonić. Ona może wysiąść.

—Uspokój się pan — mówi kierowca. Ale robi, co może. Gdy jezdnia rozszerza się w zatoczkę dla autobusów, wyprzedza jeden czy dwa. Potem ulica się zwęża i nic nie może zrobić. Nagle ruch znowu zwalnia. Tylko kurierzy na rowerach przemykają szybko między rzędami samochodów.

—Czy nie mógłby pan spróbować zjechać z Oxford Street i potem się włączyć?

Potrząsa głową.

— Tutaj nie ma jak.

Po kolejnej ryzykownej próbie wyprzedzania kierowca mówi:

— Słuchaj pan, jestem bliżej, ale szczerze mówiąc, nie zdążę, nie na Oxford Street. Zwykle jest wolno, ale nie aż tak wolno. Najlepiej będzie teraz wysiąść i biec za nim.

—Ma pan rację. Dzięki.

—Należy się dwa funty sześćdziesiąt.

Mam w portfelu tylko pięciofuntowy banknot, a nie mogę czekać na resztę. Mówię mu, że reszty nie trzeba, i chwytam torbę.

— Hej, nie tymi drzwiami — krzyczy, gdy otwieram drzwi po prawej. Ale wiem, że na zatłoczonych chodnikach nie mam szans.

Moim jedynym ratunkiem jest biec pomiędzy pasami przeciwnego ruchu.

Spocony, w kłębach spalin, z załzawionymi oczami biegnę, dyszę i biegnę dalej. Po drugiej stronie ruch przyspiesza, ale po naszej się zatrzymał.

Doganiam autobus tuż przed Oxford Circus. Przebiegam jezdnię i wsiam. Próbuję wbiec po schodach, ale nie mogę. Wchodzę powoli z nadzieją i ze strachem.

Julii tam nie ma. Na jej miejscu siedzi mały chłopczyk z ojcem. Przechodzę na przód pojazdu i przyglądam się twarzom. Schodzę na dół, gdzie znów przyglądam się wszystkim. Nie ma jej.

Stoję. Ludzie zerkają na mnie i odwracają się. Konduktor, czarna kobieta z siwymi włosami, wygląda, jakby chciał coś powiedzieć, ale się nie odzywa. Nie prosi o opłatę za przejazd. Autobus skręca w Regent Street. Na Piccadilly Circus wysiadam ze wszystkimi. Przechodzę przez ulicę, niesiony przez tłum. Wiatr rozwiewa małe kawałki gruzu. Widzę przed sobą znak Tower Records.

## 1.17

Siadam pod figurką Erosa wśród turystów, handlarzy narkotyków i chłopców do wynajęcia. Ktoś coś do mnie mówi, ale nie mogę pojąć co.

Wstaję. Idę Piccadilly, przejściem podziemnym zaludnionym przez zmarzniętych i biednych, przez Hyde Park, aż dochodzę do Serpentine. Pozbyłem się wszystkich monet, jakie miałem przy sobie. Białe słońce zachodzi. Słychać gęganie gęsi. Siadam na ławce i chowam głowę w dłoniach. Po chwili idę dalej. W końcu docieram do domu.



Światelko automatycznej sekretarki mruga, więc szybko naciskam przycisk. Ale nic nie ma: wiadomość od Billy'ego; wiadomość od ludzi montujących podwójne okna; wiadomość od kogoś, kto myśli, że jestem London Bait Company.

Na co liczyłem? Jak ktokolwiek mógłby zapamiętać w kilka sekund siedem przypadkowych, niewyraźnie nabazgranych cyfr? Ale jestem w książce telefonicznej. Z pewnością, ujrzawszy mnie, będzie wiedziała, jak można mnie znaleźć.

To była ona. Wiem, że to była ona. Moje oczy mogły się mylić tak samo jak moje uszy, gdy ktoś inny grał w radio, a jednak wszystko mówiło mi, że to ona. Jej złotobrzowe włosy, teraz dłuższe, jej szaroniebieskie oczy, jej brwi, jej usta, cała jej kochana twarz, dwóch takich twarzy nie mogłoby być na świecie. Była nie dalej niż po drugiej stronie przejścia, ale mogła też być w Wiedniu. Jej wyraz twarzy — to był wyraz twarzy Julii — nawet ułożenie głowy, gdy czytała, jej uśmiech, zatopienie w lekturze.

Czarny płaszcz na taki dzień jak dziś, ciemnoniebieski szal na szyi. Co ona robi w Londynie? Dokąd jechała? Gdzie poszła? Czy wysiadła, by mnie szukać? Czy się mineliśmy? Czy stała gdzieś na chodniku, przeczesywała wzrokiem tłum i płakała?

Dwie warstwy szyby między nami; to było jak wizyta w więzieniu u ukochanej osoby po wielu latach.

Autobusy słyną z tego, że jeżdżą konwojami. Czy mógł być inny numer 94, którym jechała, przed tym, w którym straciłem nadzieję? Po co teraz o tym myśleć? Jaki to ma sens?

Czy była w Londynie przez ostatnie dziesięć lat? Nie, z pewnością bym się o tym dowiedział. Zatem czy była w Anglii? Co teraz tutaj robi? Gdzie jest?

Boli mnie żołądek. Niedobrze mi. Czy to dlatego, że szedłem w zimnie spocony? Przez cały dzień prawie nic nie jadłem.

Co mogłem wyczytać w jej oczach? Zdziwienie? Trwogę? Żal? Czy mogłem wyczytać miłość? Czy w oczach tej kobiety mogłem wyczytać miłość?

## CZEŚĆ DRUGA

### 2.1

Przebrnąłem przez próbę. Mija dzień, potem kolejny. Kupuję chleb i mleko. Jem, piję, gołę się. Wyczerpany bezsennością zasypiam. Uczę, chodzę na próby. Włączam wiadomości i przyswajam słowa. Wymieniam pozdrowienia z naszym dozorcą i z innymi mieszkańcami budynku. Jak już kiedyś, po ucieczce z Wiednia, mój mózg i ciało same sobą kierują.

Jeśli Julia mieszka w Londynie, to nie ma jej numeru w książce telefonicznej. Jeśli nie mieszka w Londynie, to może być gdziekolwiek.

Nie mogę też znaleźć zgubionej płyty. Dowiaduję się, że taksówkarz powinien był ją zanieść na posterunek policji, a stamtąd powinni przesłać ją do londyńskiego biura rzeczy znalezionych. Dzwonię tam. Czy pamiętam numer taksówki? Nie. Mam się przypomnieć za parę dni. Tak zrobię, bez wątplenia. Dwa dni później, dzwonię raz jeszcze. Nie mogą mi pomóc. Może zabrał ją kolejny pasażer taksówki? To się ciągle zdarza z parasolkami. Jeśli się czegoś dowiedzą, skontaktują się. Ale czuję, że już więcej nie zobaczę tej płyty. Nie usłyszę tego, czego usłyszenia byłem tak bliski.

Rozmawiam z Ericą Cowan, naszą agentką. Jest zaskoczona, słysząc mój głos. Zwykle to Piers się z nią kontaktuje. Pytam ją o radę, jak odnaleźć Julię McNicholl.

Zadaje kilka pytań, zapisuje parę szczegółów i pyta:

—Ale dlaczego tak nagle, Michaelu, po tylu latach?

—Ponieważ przedwczoraj widziałem ją w Londynie w autobusie i muszę ją odnaleźć. Muszę.

Erica milknie, po czym mówi poważnie i z wahaniem:

—Michaelu, czy mogłeś się pomylić?

—Nie.

—Jesteś pewien, że chcesz odnowić znajomość po takiej, cóż, przerwie?

—Tak. I, Erico, proszę, zachowaj to dla siebie. Chodzi o to, że nie chcę, aby Piers, Helen i Billy ciągle o tym rozmawiali.

—Cóż — mówi Erica, widocznie zadowolona z naszej wspólnej tajemnicy. — Popytam w kraju i zapytam Lothara w Salzburgu, czy może pomóc.

—Zrobiłabyś to, Erico, naprawdę? Bardzo ci dziękuję. Wiem, jaka jesteś zajęta. Ale — ä propos Austrii — jest pewna wiolonczelistka, Maria Novotny, dość aktywna w muzycznym świątku Wiednia, która była i myślę, że jest przyjaciółką Julii. Nasza trójka studiowała w Musikhochschule i graliśmy razem. Może to, sam nie wiem, może to jakiś trop.

—Możliwe — stwierdza Erica. — Ale czy nie chciałbyś sam tego sprawdzić?

—Nie jestem pewien — odpowiadam. — Po prostu myślę, że zapytanie od agenta, miejscowego agenta, takiego jak Lothar, może przynieść lepsze rezultaty.

Czuję pewną obawę, głęboko ukrytą w myślach, że Maria mogłaby wiedzieć, gdzie jest Julia, ale nie chciałaby mi powiedzieć.

—Sądzisz, że twoja przyjaciółka, Julia McNicholl, nadal występuje? — pyta Erica. — Mogła porzucić muzykę.

—To niewyobrażalne.

—Ile miałyby teraz lat, w przybliżeniu?

—Trzydzieści. Nie, trzydzieści jeden, tak sądzę. Nie, trzydzieści dwa.

—Kiedy ostatni raz ją widziałeś? To znaczy, nie licząc tego zdarzenia w Londynie?

—Dziesięć lat temu.

—Michaelu, jesteś pewien, że chcesz znów się z nią spotkać?

—Tak.

—Ale dziesięć lat — czy to nie przesada?

—Nie.

Następuje chwila milczenia, po czym Erica staje się pragmatyczna.

—Mac pisane z „a”? Jedno czy dwa „l”?

—Bez „a”, dwa „l”. Aha, i „h” po „c”.

—Jest Szkotką? Albo Irlandką?



—Jej ojciec jest ćwierć-Szkotem, ale ona ze wszystkich praktycznych względów jest Angielką. Cóż, myślę, że Angielką i Austriaczką.

—Spróbuję, Michaelu. To może być początek mojej nowej kariery. — Głos Eriki jak zwykle brzmi bardzo optymistycznie.

Jeśli Erica, nasz Wielki Biały Wódz, połączenie matczynej troskliwości z drapieżnością rekina, jej nie znajdzie, to już nie wiem kto. Ale mijają kolejne dni i z każdym biuletynem niedobrych wiadomości od Eriki moja nadzieja topnieje.

Wreszcie mówię jej, że rodzice Julii mieszkają w Oksfordzie.

—Dlaczego wcześniej o tym nie wspomniałeś? — pyta Erica, notując szczegóły i nie mogąc ukryć złości. — Zaoszczędziłabym dużo czasu.

—Cóż, Erico, masz rację, ale myślałem, że lepiej będzie, jeżeli najpierw spróbujemy ścieżką zawodową. Nie chciałem marnować twojego czasu, ale nie mogłem znieść myśli o dręczeniu jej rodziców.

—Michaelu, to akurat będę zmuszona zostawić tobie.

—Nie mogę. Naprawdę nie. Kiedy próbowałem, lata temu, zatrzymałem się w martwym punkcie. Byłaś taka uprzejma, trudno mi cię o to prosić, ale sam nie mogę tego zrobić.

—Nie jestem pewna, jak to ująć. — Erica wzdycha. — Czuję się z tym, nazwijmy to zadaniem, niezręcznie. Ale lubię cię, Michaelu, i spróbuję ostatni raz. Jeśli rzeczywiście ją znajdę, mogę jedynie zapewnić, że umożliwię jej kontakt z tobą.

—Tak. To uczciwe rozwiązanie. Zgadzam się.



Erica dzwoni do mnie w następny weekend.

—Zgadnij, skąd dzwonię.

— Nie mam pojęcia... nie, chyba zgadnę. Erico, nie musiałaś robić sobie takiego kłopotu.

— Cóż — mówi Erica — Oksford nie jest dalej niż niektóre dzielnice Londynu. A prawdziwy detektyw dąży do źródła. Poza tym, i tak miałam z kimś się tutaj spotkać — dodaje szybko.

—I?

—Michaelu, nie mam dobrych wiadomości — wyjaśnia Erica pośpiesznie. — W dziekanacie powiedzieli mi, że dr McNicholl zmarł pięć czy sześć lat temu. Sądzą, że pani McNicholl wróciła do Austrii, ale nie mają jej nowego adresu. Co do Julii, to zupełnie nic o niej nie wiedzą. Numer telefonu, który mi podałeś, nadal działa; przy okazji, na początku trzeba dodać piątkę, ale to zupełnie inna sprawa. Odwiedziłam ich dom na Banbury Road. Obecni właściciele kupili go od kogoś innego, więc przechodził z rąk do rąk przynajmniej dwa razy.

Nie wiem, co powiedzieć. Erica kontynuuje:

— Trop się urwał. Tak mi przykro. Zaczynało mi się to podobać i z jakiegoś dziwnego powodu dziś rano czułam, że mi się uda. Cóż, to wszystko. Ale pomyślałam, że zadzwonię z Oksfordu, żeby ci o tym powiedzieć i zapytać, czy przychodzi ci do głowy jakieś inne nazwisko, ktoś, kogo mogłabym tutaj odszukać.

—Wszystkiego próbowałam — mówię, starając się ukryć rozczarowanie. — Jesteś cudowna.

—Wiesz co, Michaelu — zwierza się nagle Erica. — Ktoś kiedyś tak właśnie zniknął z mojego życia. Po prostu odszedł. Lata zabrało mi pogodzenie się z tą myślą, chociaż nigdy nie zrozumiałam i chyba nadal nie rozumiem, jak to się mogło stać tak nagle. Ale teraz, kiedy patrzę na mojego męża i dzieci, myślę sobie: „dzięki Bogu”.

—Cóż...

—Musisz wpaść do nas wkrótce na kolację — zaprasza Erica.

— Sam. Nie, z pozostałymi. Nie, sam. Co powiesz na przyszły czwartek?

—Erico... wolałbym na razie pobyć sam.

—Oczywiście.

—To bardzo miło z twojej strony.

—Wcale nie. Czysty egoizm. Karmienie trzody. Sprzątanie stajni. Poza tym, jak mówiłam, miałam tu spotkanie. Dziś w Oksfordzie jest pięknie, wszystko błyszczy po deszczu. Ale trudno zaparkować, jak zawsze. Pa, pa — słyszę dwa głośnie całusy i Erica się rozłącza.

## 2.2

Dni mijają. Nie mogę znieść towarzystwa innych osób, ale gdy jestem sam, niedobrze mi od wspomnień.

Kurczowo trzymam się rutyny życia, która ze swej natury składa się — oprócz lekcji, których terminy ustaliam sam — z przypadkowych zdarzeń: występów z kwartetem, prób, pracy sesyjnej, gry na zastępstwie w Camera Anglica.

Uczę Virginie, ale zawsze wynajduję jakiś powód, by nie zostać na noc. Wyczuwa problem. Jakżeby nie? Czasem patrzy na mnie i z wyrazem bólu zmieszanego ze zdziwieniem i złością.

Jedynym stałym punktem tygodnia jest pływanie w sobotę rano. Bez tego cały tydzień traci swój rytm.

Dziś jednak jest pewna różnica. Węże wodne są filmowane dla telewizji. Wszyscy robimy, co możemy, żeby wypaść flegmatycznie.

Nie jest za zimno jak na listopadowy poranek, chociaż skoro program zostanie wyemitowany w okolicach Gwiazdki, będzie się wydawało zimniej. Trzy ładne dziewczyny wynajęte przez telewizję przedstawiają sytuację. Stoją na długiej platformie, trzęsą się w kostiumach kąpielowych, przesadnie piszcząc. Phil i Dave przeciągle gwizdzą i zostają uciszeni przez operatorów.

— Uuuuuuu — trzęsie się jedna. — Wrócimy do was po przerwie, jesteście szalone, że to robimy, ale...

Kamera filmuje łabędzie i gęsi pływające po jeziorze i spacerujące dookoła brzegu. Małe Lido wygląda zdumiewająco czysto. Wygląda na to, że Phil wmiótł do wody całe masy ich brudnych odchodów.

— Gdzie jeszcze? — pyta i wzrusza ramionami.

Złoty pies myśliwski płynie ze swoim panem. Ujęcie nie jest zadowalające. Mokry pies i zmarznięty pan jeszcze raz zostają skierowani do wody.

Potem zaczyna się wyścig. Giles ustala kolejność według naszych wcześniejszych wyników. Stajemy na trampolinie, nurkujemy, najpierw najwolniejszy, potem pozostali pojedynczo, podczas gdy na brzegu ktoś mie-

rzy czas. Andy, młody student prawa, nurkuje ostatni. Jego utrudnienie jest tak duże, że nie ma szans.

Wszyscy wychodzą, trzęsąc się, ale zwycięsko. W klubie kamery zostają wyłączone.

— Nie wolno tu wchodzić, to teren prywatny.

— Co, Phil, wstydzisz się czegoś? — pyta Dave. — Niech lale wejdą ze swoją ekipą.

Andy, nagle zmartwiony, nakłada koszulę i wyciągnąwszy jej poły, zdejmuje kąpielówki.

— Żart o zakonnicy! Żart o zakonnicy! — krzyczy Gordon. Posłuchajcie żartu o zakonnicy. Były sobie cztery zakonnice i doszły do perłowych bram...

— Zamknij się, Gordon. To był kiedyś miły klub — śmieje się ktoś.

— Zanim do niego wstąpiłem — odpowiada dumnie Gordon. Czajnik gwizdże. Gdy Phil parzy herbatę, smętny Ben wciąga mnie do rozmowy. Ben, zanim przeszedł na emeryturę, był kontrolerem mięsa.

— Jestem na diecie. Jem gruszki — mówi z powagą. — I popijam wodą.

— To chyba chwilowa moda.

— Trzy kilo gruszek.

— Dlaczego? — pytam, zastanawiając się, ale nie dociekając, czy to jego dzienna, czy tygodniowa porcja, i czy tylko tyle wolno mu zjeść.

— Prostata.

— Aaaach — mruczę ze zrozumieniem, nie oświecony jeszcze, ale nie głodny światła. — O, jest herbata. Przyniosę ci kubek.

Złoty pies myśliwski szczeka i prosi. Phil macza w herbacie swoje ciastko z płatków owsianych i daje psu połowę.

Ubrany, żegnam się ze wszystkimi.

— Na razie, Mike.

— Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

— Trzymaj się, stary.

Trzy łabędzie lecą nisko nad wodą i ziemią. Na drugim brzegu widzę oddział kawalerii; ich hełmy i odznaki pobłyskują w słońcu.

Po moście z potrójnym łukiem po mojej lewej przejeżdżają samochody. Ekipa telewizyjna nadal stoi na platformie, ale trzech pięknych dziewczyn już nie widać.

Przechodzę pod mostem, wzdłuż jeziora. Przy Bayswater Road zatrzymuję się na drinka. Fontannę wieńczy mała rzeźba z brązu przedstawiająca dwa misie ściskające się podczas zabawy. Uśmiecham się. Napiwszy się, poklepuję ich główki w podziękowaniu i ruszam do domu

## 2.3

Przed Archangel Court jest trawnik ogrodzony niskim żywopłotem. Kilka rabat z kwiatami, mały staw dla złotych rybek, wysoki ostrokrzew otoczony cyklamenami; tym terenem zajmuje się nasz ogrodnik na pół etatu, kuzyn Roba. Zwykle jest tak małomówny, jak Rob jest gadatliwy.

Idę przez ten mały zielony kawałek trawnika i zauważam kobietę w spodniach i blezerze szybko podążającą ścieżką. Jest zmizerniała, mocno umalowana, chyba pod sześćdziesiątkę. Spoglądam na nią, a ona na mnie, przypuszczalnie zastanawiając się, czy jako obcy zdążający do tego samego budynku powinniśmy wymienić uprzejmości.

Gdy wchodzę na ścieżkę, spogląda mi prosto w oczy.

— Uważam, że nie powinien pan chodzić po trawie — mówi strasznie napszonym głosem z mocnym akcentem, który mnie denerwuje.

Przez chwilę staram się opanować.

— Cóż, zwykle tego nie robię — wyjaśniam. — Ale myślę, że czasem miło jest się tak przejść. Dziękuję za podzielenie się uwagami w tej sprawie.

Następuje cisza i idziemy obok siebie. Otwieram przed nią zewnętrzne szklane drzwi, ale skoro nigdy wcześniej jej tu nie widziałem, ani też nie czuję się dziś zbyt szarmancki — nie wewnętrzne. Trzymam w ręku czarny klucz, ale czekam, aż znajdzie w torebce swój. Wydaje się podenerwowana naszą bliskością, ściśnięta ze mną jak w kanapce między dwiema warstwami szkła.

— A przy okazji — pytam. — Dlaczego w ogóle chciała pani ze mną rozmawiać, jeśli tylko to miała mi pani do powiedzenia?

Ciszej, ale nadal stanowczo stwierdza:

— Ja tylko myślałam o trawie.

Rob unosi głowę znad „Daily Mail”, zauważa nas zza swojego biurka i otwiera przyciskiem drzwi. Kobieta idzie korytarzem do dalszej windy. Ja czekam przy swojej, bliższej.

— Zaprzyjaźniamy się z Bee? — pyta mnie Rob.

Opowiadam mu o naszej dziwnej wymianie zdań, a on się śmieje.

—O tak, Bee potrafi być nieco ostra... Są tu nowi, przyjeżdżają z Sussex raz w tygodniu. Jej mąż nie znosi, gdy ludzie depczą po trawie. Parę dni temu powiedział do mnie:

—Rob, na trawie bawią się dzieci.

—Jak miło — odparłem. — W końcu po co jest trawa?

Do drzwi dzwoni kurier w czarnej skórce i zostaje wpuszczony do środka.

—Paczka dla numeru dwadzieścia sześć. Czy pan podpisze? — zwraca się do Roba z widocznym pośpiechem.

—Numer dwadzieścia sześć to pani Goetz. Nadal jest w... Lepiej będzie, jeśli doręczy ją pan osobiście. Tam jest winda... O, Michaelu, przypomniałem sobie. Przyniósł to dla ciebie taksówkarz. Nie było cię, więc zostawił tutaj.

Sięga na półkę pod biurkiem i podaje mi białą reklamówkę. Gapię się na nią.

—Dobrze się czujesz? — pyta Rob.

—Tak, tak — mówię, siadając na sofie.

—Mam nadzieję, że nic się nie stało — mówi Rob, ignorując dzwoniący telefon.

—Nic się nie stało — odpowiadam. — Przepraszam... po prostu nie mogę uwierzyć, że ktoś mógłby... Czy zostawił jakąś wiadomość? Czy coś powiedział?

—Nie, tylko tyle, że zostawiłeś to w jego taksówce i że cieszy się, że cię odnalazł.



— Jak wyglądał?

— Wiesz, nie przyglądałem się. Biały. W okularach. Pod czterdziestkę. Niski. Gładko ogolony. Będzie nagrany na wideo systemu ochrony, jeśli chcesz zobaczyć. To było dwadzieścia minut temu.

— Nie, pójdę już na górę.

— Tak, tak zrób. Ta płyta dużo dla ciebie znaczy? — pyta Rob nieco rozbawiony.

Kiwam głową i naciskam guzik windy.

## 2.4

Nie zmywając z siebie nieczystości Serpentine, nastawiam *Kwintet smyczkowy*. Dźwięk wypełnia pokój: tak znajomy, tak kochany, tak niepokojąco i uroczo inny. Od tego momentu, zaledwie dziesięć taktów od początku, kiedy to nie fortepian odpowiada skrzypcom, ale same skrzypce udzielają odpowiedzi, do ostatniej nuty ostatniej części, gdzie wiolonczela, zamiast grać triole, wspiera swą najniższą, najbardziej dźwięczną, najbardziej otwartą nutą wspaniale oszczędny akord c-moll, jestem w świecie, w którym czuję, że wiem wszystko i nic.

Moje ręce śledzą smyczki *Tria c-moll*, podczas gdy uszy śpiewają z *Kwintetem*. Tutaj Beethoven okrada mnie z tego, co moje, dając to innym skrzypcom; tam daje mi górne rejestry tego, co zwykła grać Julia. Magiczna translacja. Słucham jej raz jeszcze od początku do końca. W drugiej części to pierwsze skrzypce — któż by inny? — śpiewają motyw fortepianu, a wariacje stają się dziwnie, tajemniczo odległe, będąc w pewnym sensie wariacjami o stopień oddalonymi, orkiestralnymi wariantami wariacji, ale też ze zmianami, które idą dalej, niż sama orkiestracja mogłaby wyjaśnić. Muszę zagrać to z Maggiore, muszę. Jeśli zagramy to z zaprzyjaźnioną altowiolistką, Piers z pewnością nie będzie miał nic przeciwko temu, żebym raz grał pierwsze skrzypce.

Nadal nie wiem, jak taksówkarz mnie odnalazł. Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to to, że obejrzał torbę albo rachunek, że poszedł do Harolda



Moore'a tego samego dnia, kiedy ja tam byłem, że ktoś tam rozpoznał tę płytę i że starszy pan na dole pamiętał, że zostawiłem im swój adres. Ale czy nie po drodze było mu do Bayswater przez tyle dni z rzędu? Czyżby był na wakacjach? I co skłoniło go do takiego wysiłku? Do takiej uprzejmości? Nie znam jego nazwiska ani numeru jego taksówki. Nie wiem, jak go znaleźć, żeby mu podziękować. Ale gdzieś w tej muzyce, zmieszanej w mej pamięci z tyloma innymi pozamuzycznymi wspomnieniami, to dziwne zdarzenie też znalazło pewien rodzaj domu.

## 2.5

Piszę do Carla Källa niezręczny list, życząc mu wszystkiego dobrego na emeryturze i mało wspominając o sobie. Wyznaję jednak, że bardzo się cieszę, iż słyszał nas w Sztokholmie i nie wstydził się swojego studenta. Wiem, że co prawda nie zrobiłem kariery, jaką sobie dla mnie wymarzył, ale muzykę, którą kocham. Jeśli w ogóle myślę o Wiedniu, to o jego wczesnym okresie. To nieprawda, ale po co poszerzać przepaść między ludźmi i tak będącymi w separacji? Dodaję, że jeśli jestem dla siebie wymagający, to dzięki niemu i dzięki temu, że go podziwiam. W większej części jest to prawda.

Był szydercą: „Wy, Anglicy! Finzi! Delius! Lepiej byłoby pozostać w kraju bez muzyki, niż mieć taką”.

I uwodzicielem: gdy pewnego razu graliśmy z Julią dla niego, wysiłał się, by ją pochwalić, swobodnie, inteligentnie, hojnie. Nie mogła zrozumieć, jakie widziałem w nim wady, ani wtedy, ani później. Kochała mnie, tak, ale uważała, że nie dostrzegam belki w swoim własnym oku. Chociaż, kiedy poznałem go w Manchesterze, czyż i mnie nie oczarował?

Dlaczego między sobą nazywaliśmy go Carlem? Dlatego, że było to coś, czego on najbardziej nie znosił.

— Panie profesorze, panie profesorze.

Co ten wytworny dźwięk, który on wydobywał, miał wspólnego z kłanianiem się, uniżaniem, poddaństwem ducha? Ale po co się nad tym rozwodzić teraz, kiedy muszę stawić czoło terażniejszości?

Mija grudzień. Pewnego ranka, wcześnie, idę ścieżką obok Archangel Court i nagle się zatrzymuję. Dziesięć jardów przede mną stoi lis. Gapi się natrętnie na krzak laurowy. Jest szaro, a lampa uliczna rzuca ostre cienie. Z początku myślałem, że to kot, ale tylko przez chwilę. Wstrzymuję oddech. Przez dobre pół minuty nie ruszamy się — ani on, ani ja. Wtem z jakiegoś powodu — przypadkowy dźwięk, zmiana wiatru, intuicyjna ostrożność — lis obraca głowę i patrzy na mnie. Patrzy mi prosto w oczy przez kilka sekund. Potem przebiega spokojnie drogę i niknie we mgle.

Virginie jedzie do Nyons na kilka tygodni, by spędzić Boże Narodzenie z rodziną, potem zamierza odwiedzić swoich szkolnych przyjaciół w Montpellier, w Paryżu, w St-Malo. Przyjmuję to z ulgą.

Wyobrażam sobie, jak pędzi po autostradach swoim małym czarnym Ka. Sam nie mam samochodu. Piers, Helen czy Billy — moje współczujące smyczki — zwykle podwożą mnie, gdy gramy poza miastem. Lubię prowadzić samochód; być może powinienem kupić coś używanego. Ale nie mam zbyt dużych oszczędności, za to wielć wydatków: rzeczywistych, takich jak hipoteka; potencjalnych, jak moje własne dobre skrzypce. Mój tononi został mi wspaniałomyślnie pożyczony i jest w moich rękach od lat, ale nie mam dokumentu na potwierdzenie mojego do niego prawa. Kocham te skrzypce, a one na mnie reagują, ale należą do pani Formby i na jej życzenie mogą mi zostać odebrane i przez lata leżeć w szafie nie używane, nie kochane, głuche. Ona może niedługo umrzeć i skrzypce staną się częścią spadku po niej. Co im się przydarzyło przez ostatnie dwieście siedemdziesiąt lat? Czyje ręce zastąpią moje?

Dzwon kościelny wybija ósmą. Leżę w łóżku. Ściany mojej sypialni są puste: żadnych obrazów, żadnej tapety we wzory — po prostu biała i magnoliowa farba i małe okno, przez które, leżąc, widzę jedynie niebo.

## 2.6

Życie zmienia się w znośną samotność. Powrót tej płyty wszystko zmienił. Słucham sonat i triów, których nie słyszałem od czasów Wiednia. Słucham *Suit angielskich* Bacha. Lepiej sypiam.

Lód zaczyna skuwać Serpentine, ale Węże wodne pływają dalej. Prawdziwym problemem nie jest zimno — temperatura i tak nie spadnie poniżej zera — ale ostre małe drzazgi i igiełki pływającego lodu.

Nicholas Spare, krytyk muzyczny, zaprasza mnie i Piersa (ale nie Helen ani Billy'ego) na swoje przedgwiazdkowe przyjęcie: pierożki z bakaliami, mocny poncz i jadowite, złośliwe plotki przeplatane kolędami wygrywanymi przez samego Nicholasa na rozstrojonym fortepianie.

Nicholas mnie irytuje; po co więc chodzę na jego coroczne przyjęcia? Dlaczego właściwie mnie zaprasza?

—Mój drogi chłopcze, kompletnie zgłupiałem na twoim punkcie — mówi mi, chociaż będąc tylko parę lat młodszy, nie mógłbym być droгим chłopcem Nicholasa. Poza tym Nicholas głupieje na punkcie każdego. Patrzy na Piersa z nie udawanym (ale lekko prze-sadzonym) pożądanym.

—Spotkałem wczoraj wieczorem Ericę w Barbakanie — mówi Nicholas. — Powiedziała mi, że wasz kwartet kwitnie, że gracie wszędzie: Lipsk, Wiedeń, Chicago. Rzuciła nazwami miast jak agent biura podróży. „To wspaniałe — powiedziałem. „A jak ci się udaje załatwić im takie występy?” „Och — ona na to — w świecie muzycznym są dwie mafie: żydowska i gejowska, a Piers i ja mamy obie te bazy zaliczone”.

Nicholas wydaje ochrypły śmiech i zauważając, że Piersa wcale to nie śmieszy, wgryza się w swoje ciastko.

—Erica przesadza — wyjaśniam. — Nasza kariera jest niepewna; przypuszczam, że podobnie jak większości kwartetów.

—Tak, tak, wiem — mówi Nicholas. — Wszyscy mają się kiepsko oprócz trzech tenorów i Nigela Kennedy'ego. Nie musisz mi mówić. Jeśli jeszcze raz to usłyszę, zacznę krzyżeć. — Omiata pokój wzrokiem. —

Muszę jeszcze kiedyś was posłuchać, naprawdę muszę. Jaka szkoda, że nie macie żadnych nagrań. Czy w przyszłym miesiącu gracie w Wigmore?

—Dlaczego czegoś o nas nie napiszesz? — pytam. — Jestem pewien, że Erica to zasugerowała. Nie wiem, jak ludzie się o nas dowiadują. Nikt nigdy nie pisze recenzji z naszych występów.

—To ci redaktorzy — odpowiada niepewnie Nicholas. — Jedyne, co uznają, to opera i muzyka współczesna. Uważają muzykę kameralną za pewnego rodzaju zaścianek, to znaczy, standardowy repertuar. Powinniście coś zamówić u naprawdę dobrego kompozytora. Tak można zdobyć recenzje. Pozwólcie, że wam przedstawię Zensyne'a Churcha. To on, o tam. Właśnie napisał wspaniały kawalek na baryton i odkurzacz.

—Redaktorzy? — pyta Piers z pogardą. — To nie redaktorzy. To ludzie tacy jak ty, których interesuje tylko to, co połyskliwe i modne. Wolałbyś pójść na światową premierę jakiegoś śmiecia niż na wspaniałe wykonanie czegoś, co cię znudzi, bo jest dobre.

Nicholas Spare wyżywa się w ataku.

—Uwielbiam, kiedy się złościysz, Piers — mówi prowokacyjnie. — A co byś powiedział, żebym przyszedł do Wig i napisał recenzję, umieszczając wasz występ na liście najlepszych koncertów przyszłego tygodnia?

—Odebrałoby mi głos — stwierdza Piers.

—Więc obiecuję. Daję słowo honoru. Co gracie?

—Mozarta, Haydna, Beethovena — mówi Piers. — Jest między tymi utworami powiązanie tematyczne, które może cię zainteresować. Każdy kwartet ma swoją część fugalną.

Fugalną? Cudownie — mówi Nicholas z rozproszoną uwagą. — A w Wiedniu?

— Samego Schuberta: *Quartettsatz*, kwintet *Pstrąg*, *Kwintet smyczkowy*.

— Och, *Pstrąg* — wzdycha Nicholas. — Jak słodko. Cały ten nudny urok. Nienawidzę *Pstrąga*. Jest taki konserwatywny.

—Pieprz się, Nicholas — rzuca Piers.

—Tak! — mówi Nicholas, ożywiając się. — Nienawidzę go. Pogardzam nim. Niedobrze mi się robi. Jest kiczowaty, lekki i oklepany. Łatwo w nim przewidzieć wszystkie ruchy. Jestem zdumiony, że ktoś jeszcze to grywa. A właściwie, nie, po namyśle, nie jestem zdumiony. Niektórzy ludzie powinni sobie przebadać uszy. Wiesz co, Piers, twoje uszy są o wiele za duże. Cóż, jak już mówiłem, nie jestem snobem, lubię lekką muzykę, ale...

Piers wściekły wylewa szklanekę ciepłego ponczu na głowę gospodarza.

## 2.7

Następnego dnia mamy próbę w domu Helen. Oboje z Piersem wydają się zgaszeni. Zachowanie Piersa wpłynęło na innych. Helen dokucza mu za nastawienie przeciwko nam Nicholasa Spare'a, zwłaszcza po tym, jak obiecał napisać recenzję. Ale, jak mówi Piers, Nicholas już parę razy w przeszłości składał takie obietnice, zawsze poparte jego świętym honorem, po czym unikał Piersa przez miesiąc czy dwa po nie zrecenzowanym koncercie, a później znów się doniego przymilał, jak gdyby nigdy nic.

—Nie wiedziałem, że tak bardzo lubisz *Pstrąga* — mówię.

—Cóż, lubię — odpowiada Piers. — Każdy traktuje go jak pewnego rodzaju divertimento albo gorzej.

—Jednak uważam, że jest o jedną część za długi — mówię.

—Helen, czy mógłbym prosić o filiżankę herbaty — mruczy Piers.— Im gorętsza, tym lepiej.

—Cofam to, co powiedziałem — dodaję szybko. — Wygląda na to, że Billy spóźnia się jak zwykle. Co będzie tym razem? Żona, dzieci czy metro?

—Dzwonił — mówi Helen. — Nie mógł włożyć wiolonczeli do futerału. Nóżka się zacięła. Ale jest już w drodze. Powinien być lada chwila.

—To oryginalna wymówka — stwierdza Piers.

Billy wreszcie przyjeżdża, serdecznie przeprasza i oznajmia, że musimy omówić coś ważnego. Coś strukturalnego, związanego z naszym progra-

mem w Wigmore Hall. Myślał o tym przez cały dzień. Wygląda na bardzo zmartwionego.

—Mów, Billy — zachęca Piers cierpliwym tonem. — Niczego nie lubię bardziej od dobrej dyskusji o strukturze.

—Cóż, o to właśnie chodzi, Piers, ty zawsze musisz być sceptyczny.

—Mów, Billy, nie daj się zastraszyć Piersowi.

—Posłuchajcie — mówi Billy. — Grając Haydna, Mozarta i Beethovena w tej kolejności, mieszamy tonacje. Powstaje kompletny chaos. Najpierw trzy krzyżyki, potem jeden, potem cztery. Nie ma żadnego wrażenia progresji, a widownia będzie się czuła skołowana.

—O nie! — mówi Piers. — Jakie to straszne. Ale gdybyśmy namówili Mozarta do napisania kawałka z trzema i pół krzyżyka...

Helen i ja wybuchamy śmiechem, a Billy niepewnie się przyłącza.

—Zatem? — pyta Piers.

—Po prostu zmień kolejność Mozarta i Haydna — sugeruje Billy. — To rozwiąże problem. Rosnąca kolejność krzyżyków stworzy wrażenie rosnącej struktury.

— Billy, przecież Mozart pisał później niż Haydn — mówi Helen.

—Tak — dodaje Piers. — Co z chronologicznym stresem publiczności?

—Wiedziałem, że to powiesz — przyznaje Billy z przebiegłą miną, najprzebieglejszą, na jaką go stać. — Więc mam rozwiązanie. Wyrzuć *Kwartet A-dur* Haydna. Zagraj późniejszego Haydna, coś, co zostało napisane po Mozarcie.

—Nie — protestuję.

—Co na przykład? — pyta Helen. — Tak z ciekawości.

—To opus 50 *f-moll* z krzyżykiem — proponuje Billy. Też ma trzy krzyżyki, więc nic innego się nie zmienia. Jest ogromnie interesujący i ma ostatnią część fugalną, więc nie psuje ogólnego motywu koncertu.

—Nie, nie, nie! — krzyczę. — Billy, naprawdę, widownia ma gdzieś kolejność krzyżyków.

—Ale ja nie — mówi Billy.

—Czy nie ma tam fragmentu, w którym pojawia się sześć krzyżyków? — pyta podejrzliwie Piers. — Pamiętam, że grałem to kiedyś na studiach.



To był koszmar. Jeśli o mnie chodzi, to jestem pewien, że już za późno na powiadomienie Wigmore o zmianie programu — dodaje szybko. — Już jest na pewno wydrukowany.

—Zatem zadzwońmy i dowiedzmy się — proponuje Billy.

—Nie, nie! — protestuję. — Kontynuujmy próbę. Całe to zamieszanie to tylko strata czasu.

Cała trójka patrzy na mnie zdziwiona.

—Uwielbiam *Kwartet a-moll* — tłumaczę. — Nie zrezygnuję z niego.

—Aaa — mówi Billy.

—Ooo — dodaje Piers.

—Ach — dołącza Helen.

—Nie, nie zrezygnuję. Uważam, że to najlepszy koncert Haydna. Właściwie to mój ulubiony kwartet smyczkowy wszech czasów.

—No dobrze, to była tylko propozycja — delikatnie wycofuje się Billy, jakby chcąc załagodzić sytuację.

—Naprawdę, Michaelu? — dopytuje się Helen. — Naprawdę?

—Wszech czasów? — Piers jest poruszony. — Najwspanialszy kwartet smyczkowy wszech czasów?

—Nie twierdziłem, że najwspanialszy — mówię. — Wiem, że nie jest najwspanialszy, cokolwiek to znaczy, i nie obchodzi mnie, co to znaczy. To mój ulubiony i tylko to się dla mnie liczy, więc zrezygnujmy z Mozarta i Beethovena i zagrajmy Haydna trzy razy z rzędu. Wtedy nie będzie żadnego strukturalnego ani chronologicznego stresu i nie będzie też potrzeby bisu.

Na kilka chwil zapada cisza.

— Och — znów wzdycha Billy.

—Zatem — mówi Piers. — Niech tak będzie. Żadnych zmian w programie, Michael je zawetował. Przykro mi, Billy. Chociaż właściwie wcale nie jest mi tak przykro.

—A propos bisu — wtrąca Helen. — Czy trzymamy się naszego sekretnego planu? To będzie niezły szok dla widowni. Billy, ten twój pomysł jest naprawdę genialny.



—Tak, Billy jest genialny — dodaje. — Po takim koncercie co innego by pasowało?

Billy się uspokaja.

— Cóż, to Michael ma najtrudniejsze zadanie w tym bisie — mówi Piers. — Więc skoro ten pomysł mu się podoba, zróbmy to. Ale nie wiem, czy do tego dojdzie. Zakładając, że spodobamy się widowni na tyle, by chciała bisu. — Urywa na chwilę. —Zacznijmy pracować nad tym już dziś. Wszystko oprócz tej problematycznej nuty Michaela. W ten sposób zobaczymy, do czego mamy dążyć, zanim go pogrążymy.

Billy wygląda tak, jakby chciał coś powiedzieć, ale zastanawia się i kiwa głową.

Po nastrojeniu i zagranium naszej rytualnej gry ćwiczymy czterominutowy bis przez ponad godzinę. Zatapiamy się w jego dziwnym, splątanym, niezwykłym pięknie. Chwilami przestaję oddychać. Czegoś takiego nie graliśmy jeszcze jako kwartet.

## 2.8

Zostały trzy dni do świąt. Jadę na północ.

Pociąg jest zatłoczony. Popsute zwrotnice przed stacją Euston spowodowały półgodzinne opóźnienie. Ludzie cierpliwie siedzą, czytają, rozmawiają, patrzą przez okno albo na przeciwległą ścianę.

Pociąg rusza. Zapełniają się kratki krzyżówek. Plastikowe mieszadełka wzburzają herbatę w kubkach. Dziecko zaczyna płakać głośno i w jakimś celu. Dzwonią telefony komórkowe. Szeleszczą papierowe serwetki. Za oknem szary dzień dobiega końca.

Stoke-on-Trent, Macclesfield, Stockport i w końcu Manchester. Jest bezwietrzny, ale mroźny dzień. Nie zamierzam się tu kręcić. Odbieram samochód, który zarezerwowałem, by dojechać do Rochdale. To dość ekstrawaganckie, ale będę mógł pojechać po wrzosowiskach, kiedy zechcę, i zabrać panią Formby na przejażdżkę.

— Wszystkie nasze samochody mają alarm — mówi dziewczyna z mocnym północnym akcentem. Spogląda na mój adres i podaje kluczyki. Już czuję, jak wraca mój akcent.

Jadę i mijam pomnik przy Piccadilly Square, czarny budynek ze szkła, w którym niegdyś mieściła się redakcja „Daily Express”, później Habib Bank i Allied Bank of Pakistan, hurtownie odzieżowe, Muzeum Żydowskie, synagogę, kościół, McDonalda, saunę, kancelarię prawniczą, pub, wypożyczalnię wideo, aptekę, piekarnię, bar kanapkowy, bar z greckim jedzeniem, szarą wieżę telekomunikacyjną z siecią przekaźników i odbiorników. Krańce Manchesteru ustępują wreszcie plamom zieleni i w zmierzchu widzę konia na polu, dom czy dwa, bezlistny kasztan i platany, a w końcu ciemną ostrogę Gór Pennińskich, która ochrania moje rodzinne miasto.

Wszyscy moi szkolni koledzy wyprowadzili się z Rochdale.

Oprócz ojca, cioci Joan, pani Formby i starego nauczyciela niemieckiego, doktora Sparsa, nie łączą mnie z tym miastem żadne więzi. Jednak to, co się z nim stało, jego powolne zniszczenie i śmierć, napęłniają mnie przejmującym smutkiem.

Wietrzny deszcz ze śniegiem powinien omieść niebo, ale na razie dzień jest spokojny. Jutro nasza trójka pójdzie do Owd Betts na lunch. W Wigilię pójdziemy do kościoła. W drugi dzień świąt jak zwykle zawiozę panią Formby do Blackstone Edge. Nie chcę odwiedzać cmentarza. Pojadę tą zaopatrzoną w alarm i centralny zamek białą toyotą na parking, posiedzę przez chwilę tam, gdzie niegdyś mieszkaliśmy, i położę białą różę — jej ulubiony kwiat — na tym płaskim i, mam nadzieję, pokrytym śniegiem miejscu, gdzie żyła moja matka.

## 2.9

Mój ojciec siedzi z Zsa-Zsa na kolanach i drzemie. Przez kilka ostatnich dni czuł się nie najlepiej, więc naszą planowaną wyprawę do Owd Betts przełożyliśmy na po świątach. Ojciec nie czuje się też na siłach, by pójść wieczorem do kościoła. Ciocia Joan uważa, że jest leniwy.

Mały salon zdobią ostrokrzew i jemiola, ale od śmierci mamy nie było choinki. Dom pełen jest kartek, już nie powieszonych, jak kiedyś, ale porozkładanych na wszystkich płaskich powierzchniach w domu. Trudno postawić gdzieś szklanę.

Wpada parę osób: starzy przyjaciele moich rodziców i cioci Joan, ludzie, którzy nas znali w czasach, gdy mieliśmy sklep, sąsiedzi. Mój umysł wędruje. Nasz sąsiad mieszkający dwa domy dalej zmarł na raka wątroby. Irenę Jackson wyszła za Kanadyjczyka, ale to długo nie potrwa. Siostrzenica pani Vaizey poroniła w czwartym miesiącu. Jakby nie dość było, że duża ciężarówka wpadła w zeszłym miesiącu na witrynę sklepu Susie Prentice, to jeszcze jej mąż uciekł z jej najlepszą przyjaciółką, wyjątkowo brzydką kobietą, i znaleziono ich w hotelu w Scunthorpe.

— Scunthorpe! — wykrzykuje ciocia Joan, zachwycona i przerażona.

W zdrowiu i w chorobie, ześlij nam dziecię, z prochu powstałeś i w proch się obrócisz.

Zsa-Zsa i ja robimy się niespokojni, więc wychodzimy na dwór. Na posypanej żwirem ścieżce poniżej murku z otoczków skacze rudzik. Rześkie powietrze mnie orzeźwia. Zsa-Zsa uważnie przygląda się rudzikowi.

Gdy byłem w podstawówce, przez pewien czas musiałem mieć białe myszki. Udało mi się kupić dwie. Moja matka bardzo się ich bała i nie pozwalała trzymać ich w domu, więc umieściłem je w starej toalecie na podwórzu przy śmietnikach. Pewnego ranka zobaczyłem straszną scenę. Jedna myszka zdechła, a wtedy ta druga zjadła jej głowę.

Zsa-Zsa obniża barki i zaczyna się czołgać. Krasnal w ogrodzie sąsi dów uśmiecha się biernie.

## 2.10

Gdy mieliśmy sklep, dni przed Bożym Narodzeniem były okresem wytężonej pracy. Prawie każdy chciał odebrać swojego indyka na ostatnią chwilę albo dostać go do domu. Jako nastolatek pomagałem w dostawach.

Mogłem rozwieźć na swoim rowerze kilka zamówień za jednym razem (dwa zawsze łatwiej balansowały rower niż jedno), ale chociaż tato często to sugerował, odmawiałem zamontowania metalowego koszyka z przodu. Skoro robiłem, co do mnie należało, dlaczego miałem rujnować wygląd roweru, który obok radia był moją najcenniejszą rzeczą.

Ogromna drewniana lodówka — bardziej szafa niż lodówka, zasłaniająca całą ścianę w piwnicy — pełna była w grudniu różowych zwłok. Zamykała się z trzaskiem wielkiej mechanicznej kadencji. A gdy włączał się dziki silnik umieszczony u dołu po lewej stronie razem z wentylatorem i metalową osłoną, stłumiony hałas dawał się słyszeć w salonie u góry.

W moje szóste urodziny, gdy bawiłem się z kolegami w chowanego, uznałem, że lodówka będzie wspaniałą kryjówką. Nałożyłem kilka swetrów, wkradłem się do środka i przy odrobinie wysiłku udało mi się zamknąć drzwi. Wystarczyło kilka sekund w tym ciasnym, ciemnym, lodowatym miejscu, bym był gotów się poddać. Nie wiedziałem jednak, że za trzasnąwszy drzwi od wewnątrz, nie będę mógł się wydostać.

Moje walenie i krzyki zagłuszał warkot silnika i krzyki kolegów. Ale nie mogło upłynąć więcej niż parę minut, gdy ktoś u góry usłyszał moje wołanie i przybiegł mi na ratunek. Gdy mnie wyprowadzono, byłem w szoku, nadal wrzeszczałem i zupełnie nie mogłem rozmawiać. Miesiące później śniły mi się koszmary, budziłem się zlany potem, oniemiały ze strachu i klaustrofobii.

Gdy miałem około dziesięciu lat, pojechałem z tatą ciężarówką odebrać ptaki z indyczej farmy. Niektórym indykom ucinano głowy, inne oskubywano z piór, jeszcze inne biegały i gulgotały. Tak bardzo unieszczęśliwiała mnie myśl o tych ptakach przemieniających się w stosy mięsa w naszej lodówce, że obiecałem sobie, iż nie zjem świątecznego indyka, teraz ani nigdy. Pomimo kuszącego zapachu nadzienia i drwin ojca wytrwałem w swoim postanowieniu przez jedną Gwiazdkę.

Jabłkowy sos mojej matki ustąpił pod rządami cioci Joan sosowi żurawinowemu, na co tato zawsze narzekał. Nie ma prawdziwych świąt bez

sosu jabłkowego; sos żurawinowy to amerykański specjał, jest zbyt cierpki i powoduje niestrawność.

W tym roku nie będzie białej Gwiazdki, ale zwykła, byle jaka, deszczowa. Jestem jednak w dobrym nastroju po obfitym posiłku zakończonym świątecznym puddingiem z białym sosem rumowym. Próba zamiany go przez ciocię Joan na maślane brandy została skutecznie odrzucona. Kupiłem butelkę szampana i mój ojciec wypił kilka lampek.

— Odrobina przyjemności nie zaszkodzi — twierdzi.

— Tak — mówi ciocia Joan. — A jak sądzę, trochę więcej przyjemności tylko pomoże.

— To dobre na moje serce — mówi ojciec. — Czy to nie twoje Węże? — pyta, wskazując na telewizor.

Rzeczywiście, Węże wodne pokazano w wiadomościach; pływają jak co roku w Boże Narodzenie na sto jardów. Jest tam połowa naszej paczki, ale jest też wielu nowych na trampolinie. Zebrał się tłum, który ich dopinguje. Bardzo się cieszę z tego, że jestem teraz w domu; siedzę wygodnie, głaszcząc Zsa-Zsa za uszami. Zastanawiam się od niechcienia, czy program, który nagrali jesienią, będzie pokazany. A może już go wyemitowano?

— Nigdy nie wybaczyłam Maggie Rice — mówi ciocia Joan, nie odrywając wzroku od ekranu.

— Słucham, ciociu Joan?

— Maggie Rice. Nigdy jej nie wybaczyłam.

— Czego jej nie wybaczyłaś?

— Podstawiła mi nogę na wyścigach w Zielone Świątki.

— Nie!

— Jej wymówką było to, że już dwa razy wcześniej wygrałam ten wyścig. Nigdy więcej się do niej nie odezwałam.

— Ile miałaś lat? — pytam.

— Siedem.

— Och.

— Nigdy nie zapomniałam i nie wybaczyłam — mówi ciocia Joan z satysfakcją.

— Co się z nią później stało?

— Nie wiem. Nie wiem. Może już nie żyje. Właściwie to była całkiem miła dziewczyna.

— Naprawdę? — pytam. Czuję się bardzo senny.

Ciocia Joan spogląda na tatę, który zasnął z zadowolonym wyrazem twarzy.

— Jej ojciec miał sklep na Drake Street — kontynuuje ciocia Joan. — Ale Drake Street jest martwa, zabiło ją centrum handlowe. Sprzedali nawet Champness Hall.

— Pójdę na spacer — mówię. — Chyba w tym roku daruję sobie przemówienie królowej.

— W porządku — mówi ciocia Joan ku mojemu zaskoczeniu.

— Może wstąpię do pani Formby z kawałkiem twojego świątecznego puddingu.

— Jej mąż zasiadał w radzie — odezwał się ojciec z zamkniętymi oczami.

— Wrócę za godzinę czy dwie — informuję.

## 2.11

Pani Formby śmieje się zadowolona, widząc mnie w progach. Jest dość bogatą, bardzo brzydką kobietą w okularach z grubymi szklami i z wystającymi zębami. Jej mąż, który zmarł parę lat temu, też był dość brzydki; pamiętam to, chociaż nie spotykałem go zbyt często, gdy byłem dzieckiem. Byli dla mnie podniecająco egzotyczną parą.

W młodości — wyobraźcie sobie — on był mistrzem jazdy na wrotkach, a ona skrzypaczką w orkiestrze; trudno wyobrazić ich sobie w młodości, skoro nawet w dzieciństwie wydawali mi się starzy. Mieszkali w dużym kamiennym domu z wielkim ogrodem pełnym cudownych kwiatów, niedaleko naszej biednej dzielnicy z brukowanymi ulicami, małymi domkami i sklepikami. Nadal nie mam pojęcia, jak się poznali, skąd pochodził ich majątek i czy pan Formby był rzeczywiście związany z radą miasta.



— Witaj, Michaelu. Jak miło cię dzisiaj widzieć. Myślałam, że przyjedziesz jutro, żeby zabrać mnie na przejażdżkę.

—Dziś jestem na piechotę. Próbuję spalić lunch.

—Co to? Czy to dla mnie?

— Kawalek świątecznego puddingu cioci. Tygodnie przygotowań, sekundy konsumpcji. Zupełnie jak w muzyce.

Państwo Formby nie mieli własnych dzieci. Ja, będąc jedynakiem, nie miałem w domu towarzystwa do zabawy. Zwłaszcza pani Formby mnie polubiła i nalegała, bym chodził z nią na różne imprezy, które wtedy, podobnie jak teraz, odbywały się z dala od naszego miasteczka. To właśnie ona — a nie on — nauczyła mnie jeździć na wrotkach i zabrała mnie, gdy miałem zaledwie dziewięć lat, bym usłyszał wspaniałego *Mesjasza* w Belle Vue.

— Czy poznałeś mojego bratanka i jego rodzinę? Właśnie zjedliśmy obiad. Nasze ciasto niestety jest ze sklepu. Może wypijesz z nami szklaniczkę?

—Chyba pójdę dalej, pani Formby.

—O nie, Michaelu, nic z tego, musisz przez to przejść.

Bratanek, łysy, rumiany mężczyzna koło pięćdziesiątki, dyplomowany rzeczoznawca budowlany z Cheshire, przyjmuje mnie z okrzykiem: „O tak, ten skrzypek”. Mierzy mnie wzrokiem z dezaprobatą. Jego żona, dużo młodsza, zajęta jest trzema dziewczynkami, które ciągną się za włosy, wykrzykują wzajemne oskarżenia i kłócą się o to, który kanał oglądać.

Gdy już mam w ręku kieliszek wina, pani Formby siada w wygodnym fotelu, nie zwracając uwagi na hałas. Wypijam swoje wino tak szybko i grzecznie, jak potrafię, i wychodzę.

Jestem już blisko mojej starej okolicy. Ruch jest bardzo mały. Nogi same prowadzą mnie na parking, gdzie kiedyś stał nasz sklep. Dzisiaj na pewno jest tam pusto. Ale w ostatniej chwili coś mnie powstrzymuje i staje w bezruchu, niepewny celu. Obawiam się niespokojnych myśli.

W moją świadomość wkrada się niezwykle piękny dźwięk. Mam dziewięć lat. Siedzę między panem a panią Formby przejęty oczekiwaniem. Ludzie dokoła nas rozmawiają i szeleszczą programami.



Na okrągłą scenę wchodzi nie słonie i lwy, ale grupa mężczyzn i kobiet; wielu z nich niesie zdumiewające instrumenty, błyszczące i świecące. Małego, kruchego mężczyznę wita aplauz, jakiego nigdy nie słyszałem, po czym następuje dziwna, zupełna cisza.

Na znak dany pałeczką ogromny cudowny dźwięk wypełnia salę. Pragnę — bardziej niż czegokolwiek innego na świecie — być częścią takiego dźwięku.

## 2.12

W drugi dzień świąt wiozę panią Formby drogą wzdłuż Blackstone Edge. Gdy opuściłem dom, by zamieszkać w Manchesterze, jej stara przyjaciółka pożyczyła mi nie używane skrzypce. Ale gdy pani Formby usłyszała, że jadę do Wiednia studiować u samego Carla Källa, nalegała, żebym zabrał jej własnego tononiego. Mam je od tamtej pory. Ona jest szczęśliwa, że ktoś na nich gra, że to jestem właśnie ja. Kiedy przyjeżdżam do Rochdale, zawsze zabieram je ze sobą. Tę coroczną przejażdżkę traktuje jako opłatę za używanie swoich skrzypiec.

Niebo jest przejrzyste, gdzieniegdzie tylko przetykane chmurami. Uwielbiam światło w pobliżu Blackstone Edge. Widoczność jest bardzo dobra; można objąć wzrokiem całą równinę, aż za Rochdale i Middleton do Manchesteru, nawet do Cheshire.

— W domu wszystko w porządku? — pyta. Związek pani Formby z naszą rodziną miał swoje wzloty i upadki. Zawsze była jedną z naszych najlepszych klientek, ale przez pewien czas uważano, że to ona zniechęciła mnie do uniwersytetu.

— Tak — odpowiadam. — Wszystko w porządku. Tato czasem niedomaga, ale, cóż, jest coraz...

— A w Londynie?

— Tak, też wszystko dobrze.

— Czy masz już skrzynkę na kwiaty? — Panią Formby martwi moje mieszkanie bez kwiatów.

Pracując w jej ogrodzie jako dziecko, nauczyłem się nieco o kwiatach. Ale jestem zbyt leniwy i za dużo podróżuję, by się nimi zajmować; poza tym mam w pobliżu park, a regulamin domu nie pozwala na trzymanie skrzynek na parapetach. Tłumaczę jej to wszystko, jak już raz czy dwa razy w przeszłości.

—Dużo podróżujesz?

—Tyle co zwykle. W maju gramy koncert w Wiedniu. Ten by się pani spodobał. Tylko Schubert.

—Tak — mówi pani Formby, a jej twarz się rozjaśnia. — Schubert! Gdy byłem młoda, mieliśmy wieczory schubertowskie. Moja przyjaciółka próbowała przemycić trochę Schumanna. Nie pozwoliłam na to. Nazywałam go niewłaściwym Schu!... Właśnie, Michaelu. Nasze lokalne towarzystwo muzyczne zastanawiało się, czy wasz kwartet nie zagrałby tu, w Rochdale, w Gracie Fields Theatre. Powiedziałam im, że nie sędzę, ale obiecałam, że cię za- pytam. Wierz mi, ja tylko przekazuję życzenie, więc nie czuj się w żadnym razie zobowiązany.

—Dlaczego pomyślała pani, że nie zechcę, pani Formby?

—Po prostu szósty zmysł. Cóż, towarzystwo muzyczne jest nadal dość aktywne. Według mnie to nasz jedyny jasny punkt, jeśli chodzi o kulturę. Oczywiście, to głupie, że do jedyne go porządnego audytorium nie można dojechać autobusem... Jak sądzisz, czy to możliwe?

—Po prostu nie wiem, pani Formby — mówię wreszcie. — Chciałbym to zrobić, to znaczy, chciałbym, żebyśmy zagraли. Ale nie sędzę, że wypadłoby to dobrze. Chyba nie potrafię tego wytłumaczyć. To głupio brzmi i nawet nieco egoistycznie.

—Wcale nie, Michaelu — stwierdza pani Formby. — Zagrasz tu, kiedy będziesz gotowy. Szczerze mówiąc, jeśli nie nastąpi to za mojego życia, nie będę rozczarowana. Niektórych rzeczy nie należy wymuszać. A jeśli zostaną wymuszone, nic dobrego z nich nie wyniknie... Przy okazji, musisz podziękować cioci. Świąteczne ciasto było naprawdę pyszne.

—Czy zjadła pani chociaż trochę, czy tylko nakarmiła wnuczki?

—Cóż — śmieje się pani Formby. — Trochę jednak zjadłam. Jak tam twoje skrzypce?

—Mają się świetnie. Na początku roku dostroiłem je, bo trochę brzęczały, ale teraz śpiewają jak skowronek.

Zatrzymałem samochód na poboczu, by spojrzeć na strome zielone zbocze. Niegdyś zjeżdżałem z niego na rowerze, nie hamując; pamiętam, jak wiatr przeczesywał mi włosy. Dokąd lecą na zimę skowronki?

—Wiesz, że chciałabym, żebyś na nich grał, Michaelu — zaczyna pani Formby zmartwionym głosem.

—Wiem. I bardzo się cieszę — mówię z nagłym niepokojem. — Nie mówiłem pani jeszcze, że z Wiednia jedziemy do Wenecji?

Więc biorę je w odwiedziny do rodzinnego miasta. To powinno je uszczęśliwić. Nie myśli pani o zabraniu mi ich, prawda?

—Nie, nie, wcale nie — odpowiada pani Formby. — Ale mój bratanek nakłania mnie do założenia funduszu powierniczego na wykształcenie moich wnuczek i do spisania testamentu. Nie wiem, co robić. Popytałem trochę i dowiedział się, że są to teraz bardzo cenne skrzypce.

—Cóż, tak, tak sędzę — potwierdzam smutno.

—Wiele lat temu nie kosztowały mnie tak dużo — kontynuuje. — Właściwie to mnie martwi, że tak zyskały na wartości. Nie lubię swojego bratanka, ale lubię wnuczki.

— Gdyby mi ich pani nie pożyczyła, nigdy nie byłoby mnie stać na ich kupno — tłumaczę. — Jest pani niezwykle hojna.

Oboje dobrze wiemy, że gdyby nie ona, pewnie wcale nie zostałbym muzykiem,

— Chyba nie zniosłabym myśli, że gra na nich ktoś obcy — mówi pani Formby.

Więc proszę mi je dać, pani Formby, mam ochotę powiedzieć. Kocham je, a one kochają mnie. Przywykliśmy do siebie. Jak jakiś obcy może wydobyć dźwięk, który od tak dawna jest w moich rękach? Jesteśmy razem od dwunastu lat. Ich dźwięk jest moim. Nie zniosłbym myśli o rozstaniu.

Ale nie mogę tego powiedzieć. Nic nie mówię. Pomagam jej wysiąść z samochodu i stoimy parę minut na poboczu, patrząc na wieżowce Rochdale i dalej, na mniej wyraźne równiny.

## 2.13

Gdy miałem dziewięć lat, naszą rozwrzeszczaną, szeleszczącą papierkami od cukierków i rzucającą papierowe samolociki klasę zabrano na szkolny koncert. Było to moje pierwsze doświadczenie muzyki na żywo. Gdy następnego dnia odwiedziłem panią Formby, opowiedziałem jej o nim. Pamiętałem zwłaszcza utwór o skowronku

— *Skowronek w przestworzach*, chyba tak się nazywał.

Pani Formby uśmiechnęła się, podeszła do gramofonu i nastawiła coś, co, jak mówiła, było kolejnym utworem zainspirowanym przez tego samego ptaka. Stałem zauroczony od pierwszej nuty *Wzlatującego skowronka*. Wśród wielu cudów jej domu zauważyłem też parę skrzypiec leżących obok i chociaż wiedziałem, że pani Formby grała kiedyś na skrzypcach, trudno było mi uwierzyć, gdy powiedziała, że sama grała niegdyś ten utwór.

— Teraz nieczęsto podnoszę skrzypce — powiedziała. — Ale chciałabym przeczytać ci wiersz, który stał się inspiracją dla powstania tej kompozycji.

I przeczytała mi wersy George'a Mereditha, które zainspirowały Vaughana Williamsa. To było dziwne przeżycie dla dziewięciolatka, tym dziwniejsze, że obserwowałem twarz pani Formby i ekstatyczny wyraz jej oczu powiększonych przez grube szkła okularów.

*Wznosi się i zaczyna krążyć,  
Upuszcza srebrny łańcuch dźwięku,  
Z ogniów wielu, nieprzerwany  
W świergocie, gwiździe, drganiach, zgiełku...*

*A pieśń jego niebiosa wypełnia,  
To miłość do ziemi właśnie wzbudza,  
Unosząc się coraz wyżej.  
Nasza dolina jest jego złotym pucharem,*

*On sam zaś winem, które się przelewa,  
By wznieść nas, gdy odleci...*

*Aż jego wietrzne skrzydła  
Znikną w świetle, a wtedy wyobraźnia śpiewa.*

Pani Formby nie zadała sobie trudu, by wytłumaczyć mi wiersz. Zamiast tego powiedziała, że chcą za kilka tygodni posłuchać *Mesjasza* Haendla — w koncercie zaśpiewa ich siostrzenica z Sheffield — i że jeśli moi rodzice się zgodzą, to zabiorą mnie ze sobą. To właśnie dzięki temu usłyszałem i zobaczyłem, jak mały i schorowany Barbirolli odtwarza w King's Hall w Belle Vue gwałtownie rosnący dźwięk, który kołysał moją głowę przez wiele dni i który razem z *Wzlatującym skowronkiem* doprowadził do tego, że błagałem panią Formby, by nauczyła mnie grać na skrzypcach.

Przez jakiś czas uczyła mnie grać na małych skrzypcach, na których sama grała jako dziecko. Wyparło to jazdę na wrotkach, moją pierwszą obsesję. Gdy chodziłem jeszcze do podstawówki, udało jej się znaleźć mi dobrego nauczyciela. Moi rodzice nie byli zachwyceni, ale uważali to za pewnego rodzaju nobilitację, a ponadto przynajmniej przez kilka godzin w tygodniu było wiadomo, że nie będę rozrabiał. Płacili za to tak jak za moje wycieczki szkolne, zajęcia dodatkowe, książki, które uważałem, że powinienem mieć, wszystkie te rzeczy, które mogły poszerzyć moje horyzonty i pomóc przygotować się do studiów uniwersyteckich. Nie żywili dla muzyki szczególnej sympatii. W salonie moich dziadków stało pianino. Wokół ustawione były inne meble, tak jak w dzisiejszych czasach wokół telewizora, ale nikt nigdy na nim nie grał, chyba że jakiś przypadkowy gość.



Szkoła średnia, w której uczyłem się później, była starym liceum ze wspaniałymi tradycjami muzycznymi. Lokalne władze oświatowe zapewniały usługi nauczycieli muzyki. Teraz zostało to zredukowane, jeśli nie zniknęło zupełnie. Wtedy istniał system wypożyczania instrumentów za darmo albo prawie za darmo dla tych, których nie było na nie stać.

Wszystko to skasowały systematyczne cięcia budżetowe w oświacie. Centrum muzyczne, w którym młodzi amatorzy z całej okolicy zbierali się w soboty, żeby grać w orkiestrze, od lat jest opuszczone. Wczoraj przejeżdżałem obok i widziałem rozbite okna. Gdybym urodził się w Rochdale pięć lat później, nie wyobrażam sobie, jak — pochodząc z takiego środowiska, a było wielu jeszcze biedniejszych — zachowałbym swoją miłość do skrzypiec.

Nad ruiną góruje ładny ratusz, ale jest to miasto z wydartym sercem. Wszystko świadczy o jego upadku. Przez ostatnie stulecie, gdy upadał tujszy przemysł, znikwały miejsca pracy i bogactwo. Potem nadszedł koszmar planowania: ludzkie slumsy zmieniły się w nieludzkie, kościoły kótwiczono na wysepkach wśród ulic, budowano dzielnice handlowe tam, gdzie wcześniej były małe sklepiki. Wreszcie, po dwóch dekadach zaciskania pętli przez rząd w Londynie, wszystkie lokalne organizacje społeczne zostały pozbawione środków — szkoły, biblioteki, szpitale, komunikacja. Miasto, które było ojczyzną wspólnej inicjatywy mieszkańców, straciło poczucie wspólnoty.

Zamknięto teatry i wszystkie kina. Stowarzyszenia literackie i naukowe ograniczyły albo zakończyły działalność. Pamiętam swą rozpacz, gdy usłyszałem, że mają zlikwidować księgarnię. Pozostało z niej kilka półek na tyłach domu towarowego W.H. Smith's.

W ciągu następnych kilku lat umrze mój ojciec, ciocia Joan, pani Formby. Wątpię, czy potem jeszcze odwiedzę Rochdale. Skoro sam zamierzam zerwać więzy z moim miastem, to dlaczego oplakuję je teraz z taką złością?

## 2.14

W drodze powrotnej do Londynu spędzam parę godzin, snując się po Manchesterze.

Kolo południa docieram do Bridgewater Hall. Przyszedłem poradzić się ogromnego, gładko ciosanego kamienia. Gdy dziś przesuwam po nim



dłońmi, daje mi pierwotne uczucie spokoju, ale z wnętrza jego zimnego serca emanuje spóźniony impuls niebezpieczeństwa.

Zaglądam do Biblioteki Muzycznej Henry'ego Watsona. Nie zamówiłem jeszcze partytury i partii *Kwintetu smyczkowego* Beethovena. Nie mogę się doczekać, kiedy go zagram, choć jestem pełen niepokoju. Oto miejsce, gdzie mieszkają te nuty. Bibliotekarz po sprawdzeniu mej wiarygodności pozwala mi je wypożyczyć na moją starą kartę.

W pociągu do Londynu przeglądam nuty. Gdy po zmroku docieram wreszcie na miejsce, dzwonię do Piersa.

—Co słyhać? — pyta Piers. — Jak tam święta?

—W porządku. A twoje?

—Okropne w tradycyjny sposób. Szarady. Nie kończąca się pieprzona wesołość. Nawet się dobrze bawiłem, tyle że matka stała się prawdziwą alkoholiczką. Rodzice wreszcie dali mi spokój. Teraz Helen musi odpowiadać na wszystkie pytania o ślub i dzieci. Czy ciebie też to spotkało?

—Nie, tym razem mój ojciec nie mówił zbyt dużo o moim ustatkowaniu się. Zwykle to robi.

—Więc co słyhać? — pyta Piers.

—Pamiętasz ten *Kwintet* Beethovena, o którym kiedyś rozmawialiśmy?

—Tak, *C-dur*, prawda, oparty na *Triu!* Mówiłeś, że znalazłeś nuty. Udało ci się zdobyć nagranie?

—Tak. I właśnie wypożyczyłem partyturę z biblioteki muzycznej w Manchesterze.

—Doskonale! Zatem znajdziemy kogoś, kto gra na altówce, i przećwiczmy to. Kogo weźmiemy? Emmę?

—Pewnie, czemu nie? Ty znasz ją lepiej niż ja. Zadzwonisz do niej?

—Tak jest.

—Jeszcze jedna sprawa. Czy bardzo by ci przeszkadzało, gdybym ten jeden raz grał pierwsze skrzypce?

Następuje sekunda ciszy.

—To nie tylko kwestia mojego komfortu — mówi Piers.

—A więc zapytamy innych?



—Nie, Michaelu — oznajmia Piers nieco zdenerwowany.— Bez względu na to, co powiedzą, uważam, że to nie jest dobry pomysł. Gdy Alex i ja graliśmy na zmianę pierwsze i drugie skrzypce, nie tylko nas doprowadzało to do szału, ale Helen też. Cały czas powtarzała, że nie może się dostosować do innych głosów, zwłaszcza do drugich skrzypiec. A Billy też czuł się tak, jakby grał za każdym razem z innym kwartetem.

—Ale to tylko na jeden raz. Nie gramy tego dla publiczności.

—A jeśli nam się spodoba? Jeśli zechcemy zagrać to dla publiczności? Wtedy utkniemy w tej konfiguracji.

—Piers, chodzi o to, że ten utwór bardzo dużo dla mnie znaczy.

—Więc dlaczego nie poprosisz paru kolegów z Camerata Anglica i nie zagrać tego razem?

—Bez naszego kwartetu to nie byłoby to.

—Cóż, z naszym kwartetem mi to nie pasuje.

—Przemyśl to jeszcze, Piers.

—Przykro mi, Michaelu, już to przemyślałem.

—Oczywiście, że nie — wykrzykuję, rozzłoszczony jego egizmem.

—Tak. Już dawno to przemyślałem. Rozważyłem to ze sto razy. Kiedy odszedł Alex — tłumaczy nieco roztrzęsiony Piers — zadreślałem się pytaniem, gdzie popełniliśmy błąd. Inne sprawy też miały znaczenie, ale myślałem, że to leżało u źródła problemu.

—Cóż, sam wiesz najlepiej — kwituję, zbyt zdenerwowany, by mu współczuć. A właściwie nie cieszy mnie pełne żalu wspomnienie Alexa: w końcu gdyby on i Piers nie zerwali, nie byłoby mnie w tym kwartecie.

— Michaelu — mówi Piers. — Po jego odejściu przeszedłem koszmar. Wiem, że teraz jestem beznadziejny jako drugi skrzypek, jeśli kiedykolwiek byłem dobry. Gdybym miał przyjąć tę rolę w naszym kwartecie, przypominałoby mi to tamte czasy i miałyby wpływ na moją grę. Nie byłoby to dobre dla nikogo z nas.

Nie odzywam się.

— Cóż — mówi. — Mamy próbę pojutrze o piątej u Helen. Odpowiada ci to? — Piers znów uniósł przyłbicę.

—Tak. Dlaczego miałyby mi nie odpowiadać?

—No to do zobaczenia.

—Tak. Do zobaczenia.

## 2.15

Nigdy dobrze nie znałem Alexa, chociaż spotkaliśmy się kilka razy podczas tych tygodni, które spędziliśmy w Banff. Nawet Helen, która uwielbia plotki, nie mówi o nim i o jego wpływie na nich wszystkich; a ja zawsze czułem, że lepiej nie pytać, co się właściwie stało, zanim dołączyłem zespołu. Na początku wydawało się, jakby cała trójka z premedytacją unikała rozmów o byłym partnerze, a potem, gdy czuliśmy się ze sobą dobrze, to pytanie wydawało się pozbawione sensu.

Jego imię wymieniano rzadko. Gdy ktoś je wspomniał, Piers często zatapiał się we własnych myślach. Czasem, gdy napomknęła o nim Helen, warczał jak raniony ryś.

Gdybym wtedy wiedział, że sześć lat później zajmę jego miejsce, Alex zaciekawilby mnie bardziej, gdy się poznaliśmy. Na pozór był wesołym człowiekiem, energicznym, łatwym w kontaktach, lubił skupiać na sobie uwagę, chętnie dowcipkował i recytował żartobliwe wiersze, był bardzo szarmancki w stosunku do kobiet i najprawdopodobniej bardzo je lubił. Julia czuła do niego sympatię. Gdy słyszałem, jak gra raz pierwsze, raz drugie skrzypce (zarówno wtedy, w Kanadzie, jak i na przypadkowych koncertach w Londynie, na które chodziłem), stawało się dla mnie oczywiste, że jest nie tylko doskonałym, ale też niezwykle elastycznym skrzypkiem —bardziej elastycznym niż Piers, który nieco odstawał, grając drugie skrzypce. Być może, jak utrzymywał Piers, gdyby Alex zgodził się grać zawsze drugie skrzypce, zostaliby razem, a ja nigdy nie dołączyłbym do Maggiore. Ale być może to, że byli zarazem kochankami i partnerami skrzypkami, skazało ich na niepowodzenie. Gdy napięcie wkradło się w jeden ze związków, musiało promieniować i na drugi. A Piers, nawet będąc w najlepszym nastroju, nie jest osobą łatwą we współżyciu.

Alex zostawił Piersa, kwartet oraz Londyn i przyjął posadę w Szkockiej Orkiestrze Kameralnej. Piers był zrozpaczony. Kiedy dołączyłem do kwartetu, był bez partnera od ponad roku. Wtedy pojawił się Tobias.

Tobias Kahn był bardzo silnym, skoncentrowanym, poważnym skrzypkiem. Muzyka stanowiła całe jego życie — nie miał innych zainteresowań — i wierzył z pełnym przekonaniem, że istnieje właściwy i niewłaściwy sposób grania muzyki. Był członkiem innego kwartetu smyczkowego. Piers stopniał pod jego urokiem.

Piers i Alex byli sobie równi. A z Tobiasem było tak, jakby Piers odbierał rozkazy od przełożonego; niewidzialna piąta osoba wciąż była wśród nas. Ten dziwny i denerwujący epizod uświadomił mi, jak niepewne, mimo całej swej siły, są więzy między nami.

Piers jest i zawsze był urodzonym muzykiem: jest bardzo skupiony, bardzo zdyscyplinowany, a jednak niesztynny w swej grze. Gdy coś gra, pozwala, by kierowała nim i chwila, i struktura. Pod wpływem Tobiasa zawładnęła nim obsesja na punkcie świętego zapisu teorii: czym jest utwór, czym powinien być, czym musi być, czym nie może być. Takt, fraza czy pasaż miały pewne tempo; należało się go trzymać, choćby nie wiem co. Naszym zadaniem była realizacja reprodukcji partytury. Wszystko inne — ciekawy pomysł, zmiana tempa, zachcianka, słowem, wszystko, co zanieczyszczało świątynię — było odrażające. W naszej muzyce nie było miejsca na pochwalne westchnienia. Tworzyliśmy bezduszną doskonałość.

Piers grał zupełnie wbrew swej naturze, co było koszmarem dla pozostałych. Niewymuszone zachowanie, granie z minuty na minutę, to wszystko zniknęło — z początku było ucinane, potem nawet nie podejmowaliśmy prób. Czasami to Tobias, a nie Piers grał i kłócił się z nami. Trudno to dobrze wytłumaczyć, nawet z tak dalekiej perspektywy. Przypominało to „inwazję porywaczy ciał”.

Helen nie mogła pojąć, co wstąpiło w jej brata. Tobias był dziwnym gościem — prawie nie miał osobowości, tylko umysł w garści potężnych i poważnych idei — i nie mogła zrozumieć, co Piers w nim widział. Był antytezą Alexa. Nawet Billy, którego dość interesują kwestie teorii, czuł się głęboko nieszczęśliwy. Uważał styl Tobiasa za niepoahamowane folgowa-

nie własnej woli. Próby były torturą. Czasem omawialiśmy coś przez trzy godziny, nie zagrawszy ani jednej nuty. To wgryzało się w nasze życie i prawie nas rozbiło, a rozbiłoby na pewno, gdyby potrwało trochę dłużej. Helen chciała odejść, zanim naprawdę straci brata. Raz, gdy byliśmy w Japonii, powiedziała, że zrezygnuje, gdy tylko skończy się tournée. Ale po ponad roku gorączka opadła. Piers jakoś wyzwolił się spod wpływów Tobiasa, i nie tylko on, ale i my wszyscy stopniowo znów staliśmy się sobą.

Nigdy bez potrzeby nie wspominamy Tobiasa. Krążymy wokół tematu, ale go nie dotykamy. Doświadczenia tego roku, niespodziewany ból — mało prawdopodobne, żeby którekolwiek z nas zdołało o tym zapomnieć.

Wielu muzyków — czy to grających w orkiestrach, czy wolnych strzelców — uważa muzyków z kwartetów za dziwną, obsesyjną, introspektywną, separatystyczną rasę, nieustannie podróżującą do egzotycznych miejsc i witaną z podziwem jakby należnym z definicji. Gdyby znali cenę tego nie tak pewnego podziwu, nie nienawidziliby nas tak bardzo. Oprócz niepewnych finansów i ciągłego niepokoju o koncerty, właśnie ta bliskość między nami i tylko między nami, większa, niż zdajemy sobie sprawę, ogranicza nasze dusze i czyni z nas większych dziwaków, niż naprawdę jesteśmy. Być może nawet nasz stan egzaltacji podobny jest do zawrotów głowy, które towarzyszą brakowi powietrza.

## 2.16

Na mojej automatycznej sekretarce jest kilka wiadomości od Virginie. Dzwonię do niej, ale włącza się automat. Późno w nocy, gdy już prawie zasypiam, słyszę telefon.

—Dlaczego nie zadzwoniłeś do mnie w święta? — domaga się odpowiedzi Virginie.

—Virginie, mówiłem ci, że nie zadzwonię. Byłem na północy.

—A ja na południu. Właśnie po to są telefony.

—Mówiłem ci, że nie zadzwonię, że chcę pobyć sam.

—Ale skąd mogłam wiedzieć, że będziesz taki okropny?

—Czy dobrze się bawiłaś w... gdzie właściwie spędziłaś święta? W Montpellier? W Saint-Malo?

—W Nyons, oczywiście, z rodziną, jak doskonale wiesz, Michaelu. Tak, dobrze się bawiłam.

Bardzo dobrze. Nie potrzebuję ciebie, by się dobrze bawić.

—Wiem, Virginie.

—Im dłużej się znamy, tym mniej cię rozumiem.

—Virginie, już prawie spałem.

—Och, Michaelu, taki z ciebie nudziarz — mówi Virginie. — Ty zawsze już prawie zasypiasz. Nudny stary piernik — dodaje dumnie.

—Virginie, jesteś coraz lepsza w angielskich idiomach. Tak, ja też o tym myślałem. Jestem o szesnaście lat od ciebie starszy.

—To co? Dlaczego zawsze mi mówisz, że nie jesteś we mnie zakochany?

—Tego nie powiedziałem.

—Nie, ale to miałeś na myśli. Lubisz mnie uczyć?

—Cóż, wtedy, kiedy reagujesz.

—A lubisz ze mną rozmawiać?

—Tak, kiedy nie jest za późno.

—A lubisz się ze mną kochać?

—Co?... Tak.

—To mnie zadowala. Codziennie ćwiczyłam przez dwie godziny, kiedy byłam we Francji.

—Kochanie się?

—Nie, głuptasie, na skrzypcach. — Virginie zaczyna chichotać.

—Dzielna dziewczynka.

—Jutro mamy lekcję i zobaczysz, jakie poczyniłam postępy.

—Jutro? Słuchaj, Virginie, w sprawie jutrzejszej lekcji, zastanawiam się, czy nie moglibyśmy jej o parę dni przełożyć?

— Dlaczego? — Słyszę, jak wydyma usta.

— Pamiętasz ten *Kwintet* Beethovena, o którym mi mówiłaś?

Zdobyłem nuty i zagramy go pojutrze. Chcę je najpierw dokładnie przeczytać.

— Ależ to wspaniale, Michaelu. Czy mogę się przyłączyć do gry?  
— Zaraz, Virginie, chwileczkę...  
— Nie, posłuchaj. Ty zagrasz drugą altówkę, bo zawsze narzekasz, że nie masz okazji zagrać na altówce, a ja zagram drugie skrzypce.  
— Nie, nie! — krzyczę, odganiając ten pomysł jak rój pszczół.  
— Dlaczego reagujesz tak gwałtownie, Michaelu?  
— Chodzi o to, że... Piers poprosił już kogoś innego.  
— Ale to była tylko propozycja. — Virginie wydaje się zaskoczona.

Ale ze mnie okrutny głupiec. Ale nie będę się pograżał, tłumacząc.

— Michaelu — mówi Virginie. — Kocham cię. Nie zasługujesz na to, ale cię kocham. I nie chcę cię jutro widzieć. Nie chcę cię widzieć ani z tobą rozmawiać, dopóki nie zagrasz tej głupiej muzyki. To ja ci o niej powiedziałam. Nawet nie wierzyłeś, że istnieje.

— Wiem, wiem.

Virginie odkłada słuchawkę bez pożegnania.

## 2.17

Spotykamy się u Helen, aby zagrać *Kwintet* Beethovena. Cały wczorajszy dzień spędziłem, studiując swoją partię.

Ani Piers, ani ja nie nawiązujemy do naszej rozmowy. Przyjąłęmswoją rolę drugiego skrzypka, nawet dla tego utworu. Pozostałe partie zostały rozdane innym muzykom i nastroiiliśmy instrumenty. Emma Marsh, którą Piers zna z czasów studenckich w Royal College of Music, dołącza do nas jako druga altowiolistka. Jest niską, pulchną, ładną, młodą kobietą; gra na altówce w swoim kwartecie, więc powinna się dobrze do nas dopasować. Billy i Helen spoglądając na siebie, robią sobie miejsce do gry.

— Wszystkie powtórki? — pyta Helen.

— Tak — odpowiadam.

Billy studiuje swoją partię z intensywnym zainteresowaniem i prosi o partyturę. Będzie grał w kwintecie prawie bez przerwy, zupełnie inaczej



niż w triu, w którym grał wcześniej. Niektóre z jego wyższych lirycznych linii melodycznych przeszły do Helen.

Piers wydaje się zakłopotany. Dobrze.

Nigdy wcześniej nie czułem się nieszczęśliwy jako drugi skrzypek i nie zgadzam się ze stwierdzeniem, że jest to partia drugorzędna. Jego rola jest inna, a nie mniej ważna; ciekawsza, bo bardziej wszechstronna. Czasem, jak altówka, drugie skrzypce stanowią serce kwartetu; czasem ich liryczny śpiew jest równy pierwszemu, ale w ciemniejszym i niższym rejestrze.

Dziś jednak jestem nieszczęśliwy i zasmucony. Musiałem odstąpić od roli, którą uważam za swoją i którą tak słyszę. Piers nawet sobie nie wyobraża, jak chętnie zakłułbym go zatrutym końcem smyczka. Nigdy bym się nie spodziewał, że jest tak nieugięty.

Ale teraz szybko oddycha i zaczynamy: allegro con mnóstwo brio.

W ciągu minuty zapominam o urazach, należnych mi prawach i przyjemnościach. Są bez znaczenia wobec tej pięknej, pełnej energii muzyki. Gramy pierwszą część bez żadnej przerwy i ani razu się nie mylimy. Na koniec Piers gra niezwykle szybką serią wznoszących się i opadających dźwięków, po czym następuje ogromny donośny akord całej naszej piątki, odpływający szybko w trzy łagodniejsze akordy.

Patrzymy na siebie z promiennymi uśmiechami. Helen potrząsa głową.

— Jak to możliwe, że nigdy tego nie słyszałam? Jak to możliwe, że nikt o tym nie wie?

—Jest cudowne. — To wszystko, co może powiedzieć Emma.

—Dziękuję ci, Michaelu — mówi Piers z promienną twarzą.

—To prawdziwe odkrycie. Ale trzeba się przy nim napocić.

—Jeszcze bardziej mi podziękujesz po drugiej części — odpowiadam.—  
Jest piękna.

—Ale musiała zostać napisana jakieś dobre dwadzieścia lat po *Triu* — stwierdza Billy. — Co jeszcze komponował w tym okresie?

—Niewiele — mówię, sprawdzisz to uprzednio. — Więc co sądzą? Avanti?

—Avanti — wykrzykują wszyscy i po szybkim nastrojeniu instrumentów i przygotowaniu serc wchodzimy w wolną część na temat i wariację.



—Jak dobrze jest grać ten *Kwintet*, grać go, nie nad nim pracować — grać dla własnej przyjemności, bez potrzeby przekazywania cze- gokol- wiek spoza naszego kręgu odtwarzania, nie spodziewając się przyszłej sceny, zbyt nagłej burzy oklasków. Ten *Kwintet* istnieje bez nas, a jednak nie może istnieć bez nas. Śpiewa do nas, a my śpiewamy w nim; poprzez te małe czarno-białe owady uczone pięciu cienkich linii człowiek, który przekształcił to, co tyle lat wcześniej, jeszcze słysząc, skomponował, przemawia do nas przez lądy i morza, i dziesięć pokoleń, napęłniając nas raz smutkiem, raz zdumionym zachwytem.

Dla mnie jeszcze ktoś inny jest obecny w tej muzyce. Tak jak jej obecność mogła podrażnić moją siatkówkę przez dwie warstwy ruchomej szyby, tak przez ten labirynt drobinek kurzu zmienianych ruchami naszych ramion we wzrokowe, zmysłowe vibracje — znowu czuję jej obecność. Labirynt mego ucha szokuje pokłady pamięci. Oto w moim ramieniu jest jej siła, w moim pulsie jest jej duch. Ale gdzie ona jest, tego nie wiem ani nie mam nadziei, że się dowiem.

## 2.18

Poznałem Julię dwa miesiące po przyjeździe do Wiednia, wczesną zimą. Było to na studenckim koncercie. Grała *Sonata* Mozarta. Powiedziałem jej później, jak urzeczony byłem jej grą. Zaczęliśmy o sobie opowiadać i odkryliśmy, że oboje pochodzimy z Anglii — chociaż z innych Anglii, gdyż jej ojciec wykładał historię w Oksfordzie. Jej rodzice poznali się po wojnie, tak jak my, w Wiedniu. Po tygodniach męki z niemieckim wielką przyjemność, wielką ulgę sprawiała mi możliwość rozmawiania po angielsku, więc paplałem o wiele więcej niż zwykle. Uśmiechnęła się, gdy powiedziałem, że pochodzę z Rochdale, ale potem zachęciła mnie do opowiadania o swoim mieście, co nigdy wcześniej mi się nie przydarzyło. Zaprosiłem ją na obiad. Była zimna noc, na ziemi leżał roztopiony śnieg, a Wiedeń był w swej najbardziej szarej i ponurej wersji. Kiedy szliśmy do restauracji, poślizgnąłem się, a ona mnie podtrzymała, żebym nie upadł. Instynktownie ją pocałowałem, sam siebie zdumiewając, a ona była zbyt

zaskoczona, by się sprzeciwić. Miała na głowie szary jedwabny szal — zawsze lubiła szale. Spojrzałem jej w oczy, odwróciłem wzrok i zdałem sobie sprawę, tak jak i ona, że bardzo się zakochałem.

Od chwili naszego poznania nie mogłem myśleć o niczym innym prócz niej. Nie wiem, co we mnie widziała poza prawie desperacką tęsknotą, ale w ciągu tygodnia od naszego poznania zostaliśmy kochankami. Pewnego ranka, po nocy miłości, próbowaliśmy razem coś zagrać. Nie poszło za dobrze; oboje byliśmy zbyt zdenerwowani. Parę dni później spróbowaliśmy jeszcze raz i zaskoczyło nas to, jak naturalnie graliśmy, z jakim wyczuciem siebie i muzyki. Razem z wiolonczelistką, przyjaciółką i koleżanką z klasy Julii, Marią, założyliśmy trio i zaczęliśmy występować, gdzie się tylko dało, w Wiedniu i poza nim. Za namową koleżanki wysłaliśmy kasetę i zgłoszenie do letniej szkoły w Banff. Tej zimy, tej wiosny, tego lata żyłem we śnie.

Była ode mnie pięć lat młodsza — prawdziwa studentka, nie jak ja, uczeń po studiach przywiązany do określonego nauczyciela. Mimo to pod wieloma względami wydawała się starsza. Dobrze się czuła w naszym mieście, gdzie mieszkała już od trzech lat. Chociaż całe życie przed przyjazdem na studia do Wiednia spędziła w Anglii, wychowała się, mówiąc i po niemiecku, i po angielsku. Wychowała się w zupełnie innym świecie, dla mnie niedostępnym, w którym literaturę, sztukę i muzykę chłonie się bez wysiłku i tłumaczenia — z rozmów i podróży, z książek i płyt, z samych ścian i półek. Mimo nauki w szkole i mimo samodzielnych lektur, czasem przypadkowych, czasem obsesyjnych, to ona stała się moim najlepszym nauczycielem, i za to wszystko, jak i za wszystko inne, złożyłem w jej dłonie swoje serce.

Nauczyła mnie cieszyć się sztuką, ogromnie rozwinęła mój niemiecki, zachęciła mnie nawet do gry w brydża. Pokazywała mi sekrety muzyki, po prostu grając ją: radość, jaką sprawiała mi gra z nią albo we dwoje, albo w naszym trio, była tak wielka jak radość grania w kwartecie. Potem zrozumiałem, że nawet o muzyce dowiedziałem się więcej od niej niż od kogokolwiek innego, bo tego, czego się od niej nauczyłem, nie byłem uczony.

Czasami chodziła do kościoła, nie w każdą niedzielę, ale od czasu do czasu, zwykle gdy chciała za coś podziękować lub o coś prosić. Dla mnie był to świat nieprzezroczysty, ponieważ nie modliłem się, nawet rytualnie, od czasów szkolnych. Dla niej stanowiło to bez wątpienia jedną z podstaw pewności siebie, ale czułem się z tym niezręcznie i było jasne, że ona też nie chce o tym rozmawiać, chociaż nigdy tego otwarcie nie powiedziała. Miała w sobie siłę i delikatność, jakiej nigdy wcześniej nie spotkałem. Może widziała we mnie tę nieprzystającą odmienną — niestabilność, opór, sceptycyzm, szorstkość, impulsywność, czasami nawet panikę, prawie szaleństwo. Ale jak którakolwiek z tych cech mogła wydawać się atrakcyjna? Powiedziała, że to dlatego, iż od lat musiałem zarabiać na swoje utrzymanie, jestem inny od reszty studentów, których zna. Mówiła, że uwielbia moje towarzystwo, chociaż nigdy nie wiedziała, jakiego nastroju się u mnie spodziewać. Musiała czuć, jak bardzo jej potrzebowałem, gdy zaczynałem pogrążyć się w depresji. A przede wszystkim musiała wiedzieć, jak bardzo ją kochałem.

Nadeszła druga zima. Wcześniej tego roku zaczął sprawiać mi kłopoty trzeci palec. Powoli reagował i był sprawny dopiero po długiej rozgrzewce. Carl nie ukrywał wściekłości i zniecierpliwienia: moje rozluźnione tryle były dla niego kolejną obelgą, a moje niepokoje wyrazem nieodpowiedzialności. Było to tak, jakby jeden z potencjalnych diamentów w jego koronie okazywał się zwykłym węglem, zdolnym do zmiany w swoją idealną formę tylko pod intensywną i ciągłą presją. On ją zastosował, a ja się załamalem.

Przez całą zimę próbowała ze mną rozmawiać, dodać mi odwagi, bym został tam, gdzie planowałem, do końca roku, jeśli nie z innych powodów, to chociaż ze względu na miłość. Ale nie mogłem z nią rozmawiać o pustce w mojej głowie. Mówiła mi, żebym nie wyjeżdżał skłócony ze swoim nauczycielem, i wciąż przypominała mi, co na początku widziałem w Carlu, co ona nadal w nim widziała: kogoś, czyja gra sięgała głębiej i dalej niż czysta wirtuozeria, czyja muzyka przekazywała w każdej frazie szlachetność ducha. Ale konflikt z nim tak mocno odcisnął się w moich myślach,

że jej obrona wydawała mi się nieznośną zdradą z jej strony, tym gorszą, że od niego nie oczekiwałem już zrozumienia.

Wyjechałem. Zaszyłem się w Londynie, bo nie mogłem też znieść myśli o powrocie do domu. Nie pisałem do niej ani nie dzwoniłem. Stopniowo zacząłem dostrzegać wszystko jej oczami, mniej zraniony i nie tak zaślepiony, zrozumiałem, jak uczciwie się zachowała, z jaką miłością, i zdałem sobie sprawę, że przez swój nagły wyjazd i milczenie mogę ją utracić. Tak się właśnie stało. Minęły dwa miesiące. Gdy wreszcie napisałem, już przestało jej zależeć.

Próbowałem dzwonić, ale ktokolwiek odbierał telefon w akademiku, zawsze wracał po kilku minutach z wiadomością, że wyszła. Moje listy pozostawały bez odpowiedzi. Raz czy dwa myślałem nawet o podróży do Wiednia, ale miałem bardzo mało pieniędzy, a ponadto bałem się bolesnych wspomnień, obecności Carla Källa i tego, jak Julia mogłaby przyjąć moje wyjaśnienia. Poza tym był to już okres letnich wakacji i mogła gdzieś wyjechać. Mijały miesiące. W październiku zaczął się następny semestr i nadal nie miałem od niej żadnych wiadomości.



Ostra świadomość utraty Julii ustąpiła przytępionej chęci przetrwania. Po jakimś czasie straciłem nadzieję, a z nią zniknął niepokój. Nadal miałem przed sobą dwie trzecie życia. Napisałem do agencji, która znalazła mi pracę. Mniej więcej po roku zgłosiłem się na przesłuchanie do Camerata Anglica i zostałem przyjęty. Grałem, przetrwałem, z czasem nawet trochę zaoszczędziłem, skoro nie miałem na kogo wydawać. Odwiedzałem muzea, galerie, biblioteki. Chodziłem wszędzie. Zaznajomiłem się z Londynem i jego udogodnieniami, ale nie mogłem poczuć się londyńczykiem. Moje myśli były gdzie indziej, na północy i na południu. Obrazy, które oglądałem, książki, które czytałem, przypominały mi o niej, bo to ona pod wieloma względami mnie stworzyła.

Gdy słuchałem muzyki, często był to Bach. W końcu to w jej towarzystwie, poprzez jej grę moje uczucie do jego muzyki przerodziło się z podziwu w miłość. Czasami Maria grała sonaty na wiole da gamba, czasem

graliśmy w dwoje jego muzykę skrzypcową i klawesynową, parę razy nawet zmusiła mnie do zaakcentowania pedałem dzieła organowego po skrajnie lewej części fortepianu. Chorał organowy, *An Wasserflussen Babylon*, wzruszał mnie, nawet gdy graliśmy go razem. Ale to wtedy, gdy ona grała sama dla siebie, powiedzmy suitę albo inwencję czy fugę, właśnie wtedy prawie zupełnie poddawałem się Bachowi i jej grze.

Spałem już wcześniej z innymi kobietami, a i ona miała już chłopaka, ale to ja byłem jej pierwszą miłością, a ona moją. I jak na razie jedyną. Tak naprawdę nigdy nie przestałem jej kochać. Jaka teraz jest, kim jest? Czy jestem obsesyjnie wierny komuś, kto mógł zupełnie się zmienić (ale jak to możliwe, czy mogłaby zmienić się aż tak bardzo?); kto znienawidził mnie za to, że ją zostawiłem, kto mógł mnie zapomnieć albo świadomie nauczył się o mnie nie myśleć? Przez ile sekund czy tygodni od chwili, gdy ujrzała mnie w autobusie, przetrwałem w jej myślach?

Jak mogłaby mi wybaczyć, skoro ja sam sobie nie wybaczyłem? Kiedy słyszę Bacha, myślę o niej. Kiedy gram Haydna albo Mozarta, Beethovena albo Schuberta, myślę o ich mieście. Ona mi je pokazała, każdy stopień i kamień prowadzi mnie do niej. Nie byłem tam od dziesięciu lat. Mamyjechać wiosną i nic, jestem tego pewien, nic mnie na to nie przygotowuje.

## 2.19

Od trzech miesięcy śledzi nas dziwny gość: fan przylepa. Na początku wzięliśmy go za niegroźnego entuzjastę: krawat, okulary na łańcuszku, marynarka, jaką noszą wykładowcy akademicy. Jeździł za nami tu i tam, witał się z nami w garderobach, stawiał drinki; przyczepił się do nas z monopolistyczną manią, rozprawiał ze znawstwem o tym, co gramy, nalegał, żebyśmy przyjęli jego zaproszenie na kolację. Zazwyczaj udawało się nam od tego wymigać. Helen była najostrożniejsza z nas wszystkich i — co do niej niepodobna — kilka razy potraktowała go ostro. Czasem wydawał się szalenie podniecony, ale to, co mówił, było tak dziwną mieszanką sensu i rzeczy nieistotnych, że niełatwo było zupełnie go zignorować. Kiedy wy-



znał, że wie, skąd się wzięła nazwa naszego kwartetu. Piers zdenerwował się i rozzłościł; przecież miał to być nasz sekret.

W zeszłym miesiącu w Yorku nasz fan przylepa wprosił się na przyjęcie. Gospodarz, który miał coś wspólnego z miejscowym towarzystwem muzycznym, po koncercie zaprosił kilka osób do swego domu na kolację. Fan, który przyjechał za nami aż tak daleko na północ, został uznany za naszego przyjaciela.. Wszedł do domu i przejął kontrolę. Ku zdumieniu naszych gospodarzy nienacka pojawili się kelnerzy z jedzeniem i picciem, by niepotrzebnie uzupełnić to, co już podano. Dopiero wtedy stało się jasne, że ten człowiek nie jest osobą mile widzianą przez kwartet, ale sprawy zaszły za daleko: był już w transie. Stał się samozwańczym mistrzem ceremonii, usadzał ludzi, wzywał kelnerów, prosił o przygaszenie świateł. Rozmawiał, śpiewał, by zilustrować swą myśl tańczył. Wstał, by skomponować pean na cześć sztuki i naszego arcyzmu. Padł na kolana. Wówczas nasz gospodarz przypomniał sobie, że następnego ranka musi zdążyć na wczesny samolot i przepaszając za niegościnnosć, wprosił wszystkich ze swego domu. Fan tańczył przez chwilę na ulicy, potem wsiadł do samochodu firmy obsługującej przyjęcia i tam śpiewał, co chwilę głośno kaszląc. To był najgorszy z jego wybryków; nie wiedzieliśmy, co robić.

—Czy nie powinniśmy sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku? — spytał Billy, włączając samochód.

—Nie — odpowiedział Piers. — Nie jesteśmy za niego odpowiedzialni. Powinien sam się o siebie martwić. Proszę Boga, żebyśmy więcej drania nie spotkali.

—Przestań, Piers, on jest nieszkodliwy — uspokajał go Billy.

— Cóż, przykro mi ze względu na naszych gospodarzy.

—Zachowaj odrobinę współczucia dla siebie. Wątpię, czy jeszcze raz nas zaproszą.

—Och, Piers — westchnęła Helen.

—A co ty do cholery możesz o tym wiedzieć? — domagał się odpowiedzi Piers, obracając się na przednim siedzeniu, by zmierzyć ją wzrokiem.

— To ja będę musiał opowiedzieć Erice, co się stało, i prosić, żeby napra-

wiła szkodę. A co będzie, jeśli on się pojawi na naszym następnym koncercie?

Helen wydała się wstrząśnięta samą tą myślą. Objąłem ją ramieniem dla dodania otuchy. Myślę, że gniew Piersa potęgowało to, że zdawał sobie sprawę, jak zdenerwowała się Helen.

— Jeśli będzie na widowni w Leeds — powiedziała — po prostu przestanę grać. Trzymaj tam ramię, Michaelu. — Westchnęła.

— Jestem dziś taka zmęczona. Oto pytanie: jak można skończyć z milionem funtów jako muzyk z kwartetu smyczkowego?

—Zacząć od dziesięciu milionów — odparł Billy.

—Billy, oszukujesz, już to kiedyś słyszałeś — mówi Helen.

—Odziedziczyć po ciotce — mruczy Piers, nie oglądając się tym razem. Helen nic nie odpowiedziała, ale poczułem, że jej ramiona zeszywniały.

—Piers — wtrącam. — Co za dużo, to niezdrowo.

—Czy mogę ci coś doradzić, Michael? — odcina się Piers. — Nie wtrącaj się w sprawy rodzinne.

— Och, Piers — westchnęła Helen.

—Och, Piers, och, Piers, och, Piers! — wykrzyknął jej brat. — Mam tego dość. Wpuść mnie. Pójdę do hotelu na piechotę.

—Ale już jesteśmy na miejscu — odezwał się Billy. — Zobacz, to tu.

Piers warknął i dał za wygraną.

## 2.20

Jest lutowy wieczór, 7.30. Niebo nad widownią jest ciemne. Gdy wchodzimy na scenę, mój wzrok wędruje ku miejscu, gdzie siedzi Virginie. Za nami jest kremowozłote sklepienie, a nad nami półkokuła ozdobiona dziwaczными i pięknymi ornamentami. Siadamy.

Oklaski milkną. Stroimy i jesteśmy gotowi zaczynać. Piers unosi smyczek, by zagrać pierwszą nutę. Wtedy Billy kicha, bardzo głośno. Często kicha przed koncertem, dzięki Bogu, nigdy w trakcie. Przez widownię przechodzi fala rozbawienia i sympatii. Patrzymy na zarumienionego



Billy'ego, który grzebie w kieszeni, szukając chusteczki. Piers czeka kilka sekund, upewnia się, że wszyscy jesteśmy gotowi, uśmiecha się do Billy'ego i opuszcza smyczek; zaczynamy.

Zimowy wieczór w Wigmore Hall, uświęconej siedzibie muzyki kameralnej. Przez ostatni miesiąc ćwiczyliśmy bardzo intensywnie. Repertuar jest prosty — trzy klasyczne kwartety: Haydna opus 20 numer 6 *A-dur*, mój najukochańszy kwartet; potem pierwszy z sześciu kwartetów, które Mozart sam zadedykował Haydnowi, *G-dur*, i wreszcie, po przerwie, goni-twa-cum-maraton, eteryczny, żartobliwy, nieprzerwany, cudowny, wyczerpujący *Kwartet c-moll* z krzyżykiem Beethovena, który powstał rok przed śmiercią kompozytora i który, tak jak partytura *Mesjasza*, pocieszał i zachwycał go w ostatnich chwilach życia, tak samo jak zachwycał i pocieszał Schuberta, gdy umierał w tym samym mieście rok później.

Słabnący, niesłabnący, słabnący dźwięk, wzlot; fale dźwięku otaczają nas murem, nawet gdy je tworzymy: Helen i ja w ich jądrze, Piers i Billy po obu stronach. Wzrok skupiamy na nutach; ledwie na siebie zerkamy, ale przekazujemy sobie i odbieramy sygnały, jakby dyrygował nami sam Haydn. Jesteśmy dziwnym komponentem, już nie sobą, ale Maggiore, złożonym z wielu oddzielnych części: krzesel, pulpitów, nut, smyczków, instrumentów, muzyków — siedzących, stojących, poruszających się, dźwięczących — wszystko po to, by stworzyć te skomplikowane vibracje, które pobudzają wewnętrzne ucho, a przez nie szarą substancję, która mówi: radość, miłość, smutek, piękno. Nad nami, tu, w apsydzie, dziwna figura nagiego mężczyzny otoczonego cierniami i próbującego sięgnąć po promień światła, przed nami pięćset czterdzieści półwidocznych istot skupionych na pięciuset czterdziestu różnych sieciach wrażenia, odbioru zmysłowego i uczucia, a w nas duch kogoś piszącego w 1772 roku zaostrzonym ptasim piórem.

Kocham każdą część *Kwartetu* Haydna. Mogę go słuchać i zagrać w każdym nastroju. Oślepiające szczęście *Allegro*; cudowne *Adagio*, gdzie moje małe figury są jak odpowiedź na pieśń Piersa; kontrastowe *Menuet* i *Trio*, każde będące niczym minikosmos, a jednak stanowiące sposób na brzmienie nie dokończone; i melodyjna, bezpretensjonalna, różnorodna

*Fuga* — wszystko mnie zachwyca. Ale część, która najbardziej mi się podoba, to ta, w której nie gram wcale. *Trio* jest naprawdę triem. Piers, Helen i Billy zatrzymują się na swoich najniższych strunach, podczas gdy ja odpoczywam — intensywnie, zamierzenie. Mój tononi jest uciszony, smyczek leży na moich kolanach. Zamykam oczy. Jestem tu i nie jestem. Sen na jawie? Lot do granic galaktyki i być może kilka miliardów lat świetlnych dalej? Wakacje, mimo że krótkie, od obecności moich nazbyt obecnych kolegów? Melodia odpływa trzeźwo, głęboko, i znów zaczyna się *Menuet*. Ja powinienem to grać, myślę niespokojnie. To *Menuet*. Powinienem dołączyć do reszty, znów powinienem grać. I co dziwne, słyszę, jak gram. Tak, skrzypce mam pod brodą, smyczek w ręce, i gram.

## 2.21

Ostatnie dwa akordy *Fugi* Haydna gramy doskonale: żadnego masywnego *Dammerungu* jakiejś demonicznej walki — to zachowamy sobie na trzy ogromne dwunastonutowe akordy na końcu *Kwintetu* Beethovena — ale jowialne *au revoir*, lekkie, ale znaczące.

Jesteśmy wzywani na scenę oklaskami kilka razy. Helen i ja uśmiechamy się od ucha do ucha, Piers stara się wyglądać jak mąż stanu, a Billy kilka razy kicha.

Następny jest Mozart. Na próbach więcej się nad nim napociliśmy niż nad Haydnem, chociaż jest w kluczu bardziej naturalnym dla naszych instrumentów. Podoba się im, chociaż Helen ma swoje zastrzeżenia. Billy uważa, że jest fascynujący, ale z drugiej strony, rzadko udało mi się znaleźć utwór, którego Billy nie uważałby za fascynujący z kompozycyjnego punktu widzenia.

Ja za nim nie przepadam. Kiedy ten utwór pojawił się na próbie, Piers, najbardziej zadufany w sobie człowiek, jakiego znam, twierdził, że to ja jestem w sobie zadufany. Próbowałem tłumaczyć. Powiedziałem, że nie podoba mi się epidemia dynamicznych kontrastów; uważałem je za zbyt przeładowane. Dlaczego nie mógł pozwolić nam chociaż ukształtować po-

czątkowych taktów? Nie podobał mi się też nadmierny chromatyzm. Był dziwnie ciężki, nawet nie-Mozartowski. Piers uważał, że jestem stuknięty. Tak czy inaczej, oto go gramy, i to dosyć dobrze. Na szczęście to, co myśle o tym utworze, nie wpłynęło na grę pozostałych. Wręcz przeciwnie, ich entuzjazm ożywił moją grę. Tak jak u Haydna, *Trio* jest moim ulubionym fragmentem, chociaż tym razem muszę też grać dla własnej przyjemności. W ostatniej, fugalnej — czy raczej fugowej — części nefugalne kawałki odzywają i robią to, co powinna robić fuga, przynajmniej ta szybka: odlatują. No cóż. Zainspirowani czy nie, przyjmujemy aplauz dość szczęśliwi.

W czasie przerwy siedzimy w garderobie spokojniejsi, ale wciąż spięci. Nerwowo klepię skrzypce. Potrafią być humorzastą bestią, a ja nie będę mógł ich nastroić przez następne czterdzieści minut: pomiędzy siedmioma częściami Beethovena nie ma przerwy.

Billy brzdąka na pianinie, a to jeszcze bardziej mnie denerwuje. Gra kilka taktów ciekawego *encore*, które tak starannie przygotowaliśmy, i nuci sobie różne jego części, a ja z tego powodu cierpię różnego rodzaju przedwczesne agonie. Nawet w najlepszej chwili nienawidzę przerw.

—Proszę, Billy!

—Co? A tak, rozumiem — mówi Billy i przestaje grać. Marszczy brwi. — Powiedz, dlaczego ludzie zawsze muszą kaszleć zaraz po zakończeniu części? Jeśli wstrzymywali się przez dziesięć minut, to nie mogą wytrzymać jeszcze dwóch sekund?

—Widownia! — mówi Piers, jakby to miało wszystko tłumaczyć.

Helen częstuje mnie odrobiną whisky z małej srebrnej piersiówki, którą trzyma w torebce.

—Nie upij go — warczy Piers.

—Tylko na wzmocnienie — mówi Helen. — Nerwy. Patrz, biedny Michael cały się trzęsie.

—Nie trzęsę się. W każdym razie nie bardziej niż zwykle.

—Idzie nam bardzo dobrze — mówi kojąco Helen. — Naprawdę dobrze. Wygląda na to, że wszystkim się podoba.

—To, co naprawdę im się podoba, to twoja czerwona suknia i nagie ramiona — mówi Piers.

—Billy, zagraj nam fragment Brahmsa — prosi Helen, ziewając ostentacyjnie.

—Nie, nie — krzyczy Piers.

—Cóż, może chwilę sobie pomilczymy? — pyta Helen. — Żadnych nieprzyjemnych uwag, marudzenia, mnóstwo koleżeńskiej miłości i współczucia.

—Bardzo dobrze — mówi Piers pojednawczym tonem, podchodząc i gładząc ramiona siostry.

—Naprawdę już nie mogę się tego doczekać — wyznaję.

—I o to chodzi — chwali mnie Piers.

—Od tej wolno zaczynającej się fugi przechodzą mnie dreszcze — mówi do siebie Billy.

—Chłopcy, jesteście roztrzęsieni — mówi Helen. — Czy nie możecie trochę mniej przejmować się muzyką? Nie bylibyście tak zdenerwowani.

Przez chwilę jesteśmy cicho. Wstaję i wyglądam przez okno, opierając dłonie na kaloryferze.

— Martwię się, że moje skrzypce się rozstroją — mówię prawie szeptem.

— Nic im nie będzie — szepcze Helen. — Nic im nie będzie.

## 2.22

Czterdzieści minut później przyjmujemy aplauz. Koszula Billy'ego jest mokra od potu. Powiedział kiedyś o *Kwartecie c-moll* z krzyżykiem: „Dasz z siebie wszystko w pierwszych czterech taktach i co zrobisz dalej?”, ale i on, i my odpowiedzieliśmy na to pytanie na swój własny sposób.

To utwór, po którym nie może być żadnego bisu. Za czwartym razem, kiedy wywołani weszliśmy na scenę, powinniśmy już zostawić instrumenty, żeby dać widowni znak, ale nie zrobiliśmy tego, więc teraz wchodzimy z instrumentami, jak poprzednio, i tym razem siadamy. Aplauz momentalnie milknie, jakby pod batutą dyrygenta. Słysząc szepty oczekiwania, po-

tem zapada cisza. Patrzymy na siebie, koncentrujemy się na sobie. Do tego, co teraz zagramy, nie potrzebujemy nut. Mamy to we krwi.

Za kulisami dokonałem małych poprawek w tononim. Teraz bezgłośnie je sprawdzam i proszę, by mnie nie zawiodły.

Zwykle Piers zapowiada bis. Tym razem wszyscy troje patrzą na mnie i ledwie dostrzegalnie kiwiają. Zaczynam grać. Pierwsze dwie nuty gram na pustych strunach, tak jakby były przejściem zestrojenia w granie.

Gdy gram kilka pierwszych wolnych nut, słyszę z różnych punktów ciemnej sali wstrzymane oddechy zaskoczonego rozpoznania. Po czterech solowych taktach dołącza do mnie Piers, potem Billy i wreszcie Helen.

Gramy pierwszy kontrapunkt *Kunst der Fuge* Bacha.

Gramy prawie bez vibrato, trzymając smyczki na strunie i grając na pustych strunach, kiedy tak jest naturalnie, nawet jeśli to oznacza, że nasze frazy niedokładnie się replikują. Gramy z taką intensywnością, z takim spokojem — nie wyobrażałem sobie, że zdołamy coś takiego poczuć czy stworzyć. *Fuga* płynie, a nasze wędrujące smyczki podążają jej śladem, prowadzone i prowadzące.

Gdy dochodzę do małej ósemki, maleńkiej nutki, która była źródłem mego niepokoju, Helen, która właśnie tutaj ma przerwę, obraca lekko głowę i patrzy na mnie. Widzę, że się uśmiecha. To F poniżej środkowego C. Muszę zestroić o ton najniższą strunę, żeby móc to zagrać.

Gramy w energicznym transie. Te cztery i pół minuty mogłyby być wieloma godzinami lub sekundami. W myślach widzę rzadko używane klucze w oryginalnym zapisie, zatapianie się i podrywanie wszystkich naszych głosów, szybkie i wolne, równoległe i przeciwstawne, i w myśli słyszę, co już zabrzmiało, co brzmi i co jeszcze zabrzmie. Muszę tylko zrealizować na strunach to, co dla mnie już jest rzeczywiste; tak jak Helen, Billy i Piers. Nasze synchroniczne wizje zlewają się i stajemy się jednym: ze sobą, ze światem i z tym tak od nas odległym człowiekiem, którego siłę otrzymujemy poprzez kształt jego zapisanej wizji i pojedynczą, szybko płynącą sylabę jego nazwiska.

## 2.23

Piers i ja zdejmujemy smokingi i przebieramy się w coś wygodniejszego. Tę operację mamy tak wytrenowaną, że zajmuje nam ona dziewięćdziesiąt sekund. Ludzie stoją przed garderobą i na schodach.

Gdy otwieramy drzwi, Erica Cowan wmaszerowuje z ramionami rozpostartymi w powitalnym geście. Za nią podąża grupa dwudziestu czy trzydziestu osób.

—Cudownie, cudownie, cudownie — wykrzykuje Erica, posyłając całąsy na wszystkie strony. — Gdzie jest Billy?

—Pod prysznicem — odpowiada Piers.

Billy wybiega korytarzem przed nadejściem publiczności. Za parę minut do nas wróci, odświeżony i dobrze się prezentujący. Jego żona, Lydia, rozmawia z Virginie. Piers z przymkniętymi oczami opiera się o wieszak na płaszcze. Życzliwi słuchacze otaczają nas ze wszystkich stron.

— Dziękuję, tak, dziękuję, cieszę się, cieszę się, że się podobało... Hej, Luis! — wykrzykuje nagle z entuzjazmem, zauważając kogoś, kogo rozpoznaje.

Wszyscy wolelibyśmy być teraz sami, ale Maggiore musi się uśmiechać, aby żyć.

Piers, nie mogąc się wykręcić, musi odpowiedzieć na zadane przez poważną młodą kobietę pytanie, którego nie znosi — o pochodzenie nazwy naszego kwartetu. Spozstrzega swoich rodziców, macha do nich i od razu zajmuje ich rozmową na tematy rodzinne.

Fan przylepa także jest tutaj, uczepiony Helen spowitej w oszłamiającą czerwień. Na szczęście jednak zostaje odepchnięty przez paru jej studentów z Guildhall.

Jak łatwo się domyślić, Nicholasa Spare'a nie ma w pobliżu, chociaż po tym, co zrobił Piers, trzeba by mieć nieprawdopodobną szlachetność ducha, by się tu pojawić. Nie dotrzymał też obietnicy ujęcia naszego koncertu w najciekawszych wydarzeniach muzycznych tygodnia. Tak naprawdę, według naszych źródeł z zarządu filharmonii, nie ma tutaj żadnych krytyków. To niezwykle frustrujące — cudowny koncert i ani strzępu wiado-



mości w prasie, że się odbył. Nie, jak podejrzewam, żeby świat zajął wiele szpalt w gazecie wszechświata.

— Och, *c'est la guerre* — mówi Erica do Piersa, gdy ten zaczyna narzekać. — Tak naprawdę to krytycy się nie liczą.

— To bzdury, Erico, dobrze o tym wiesz — ucina Piers.

— Wieczór jest zbyt cudowny, by zrzędzić — mówi Erica. — Och, to Ysobel Shingle. Ysobel przez Y, uwierzyłbyś! Jest ze Stratus Records... Ysobel, Ysobel — krzyczy Erica i macha energicznie.

Wysoka młoda kobieta, tak szara, jakby nigdy nie widziała słońca, z czołem zmarszczonym od zmartwień, z drżącą gorliwością mówi Ericie i Piersowi, jak bardzo podobał się jej koncert.

— Zaproponuj nam kontrakt — mówi Erica bez namysłu.

Ysobel uśmiecha się w przerażający sposób.

— Cóż, mam pewien pomysł — zaczyna. — Ale nie sędzę, rozumiecie, żeby to było właściwe miejsce do... — zmienia temat.

— Jutro o dziesiątej trzydzieści będę w twoim biurze — mówi Erica.

— Wiesz co, Erico, pozwól, że to ja do ciebie zadzwonię. Chcę to prze-myśleć. Chciałam wam tylko powiedzieć, jak bardzo... — Wygina dłonie w bolesnym geście, po czym prawie w panice odwraca się i wychodzi.

— Co za dziwna kobieta — mówi pani Tavistock, która sądząc ze zdradzieckich opowiadań Piersa i Helen, sama jest dosyć dziwna.

— To ona stoi za sukcesem wytwórni Stratus — wtrąca Erica.

— Naprawdę? — pyta Piers, niechcący zaskoczony.

— To wspaniałe, że była dziś na widowni — mówi Erica. — Pójdę tym tropem jak pies myśliwski.

Dziesięć minut później Helen i ja gawędzimy z młodą kobietą z zarządu filharmonii, gdy nagle słyszymy końcówkę jednej z rozmów Piersa:

— Tak mi przykro — mówi. — Mam ten problem od dziecka... Nigdy nie radziłem sobie z głupimi pytaniami.

— Lepiej pójdę i go zaknebluję — odzywa się Helen.

Wcześniejszy gwar milknie; tłum trochę się przerzedził. Billy i Lydia poszli do domu zwolnić rodziców Billy'ego, którzy pilnują Jango, ich trzy-



letniego synka. Fan przylepa jakoś się zdematerializował, ale wciąż kręci się parę osób.

Virginie też już poszła. zaproponowała, że mnie odwiezie, ale zdecydowałem, że pojedę z Helen, Piersem i Billym, aby w samochodzie krótko omówić z nimi koncert.

Rozglądam się po pokoju, zmęczony, ale w pewien sposób zadowolony, Bach nadal dźwięczy mi w głowie.

— Michael — mówi Julia, gdy pada na nią mój wzrok.

## 2.24

— Julia. — Jej imię jest na moich ustach, ale nie wydobywa się żaden dźwięk, żaden szept.

Patrzy na mnie, a ja na nią. Po prawej stronie ma jakąś ciemnozieloną lielię, ubrana jest na zielono. To była ona; to jest ona.

—Cześć — mówi.

—Cześć.

W jej spojrzeniu jest intensywność. Zielony jedwab wtapia się w ciemnozielone liście, wytartą zieleń obrusu, oliwkową zieleń krzesel, grubą akksamitną zieleń zasłon, butelkową zieleń nieskończonego obrazu. Spoglądam w dół. Leży tam piękny perski dywan w drobny czerwony wzorek.

— Długo tu jesteś? — pytam.

— Czekałam na zewnątrz. Nie mogłam się zdecydować, co zrobić. Studiuję wzór dywanu. Nieregularne kształty ułożone w regularne rzędy.

— A więc jesteś tu — mówię.

—Nie wiedziałam, że grasz w Maggiore — wyjaśnia Julia. — Po prostu przeczytałam miesięczny program i pomyślałam o Banff i o tym, jak ich wtedy spotkaliśmy.

—Dołączyłem parę lat temu. — To o czymś takim mamy teraz rozmawiać? Spoglądam na nią. — Przyszłaś na koncert, nie wiedząc, że w nim gram?

— To był cudowny koncert — mówi. Jej oczy są wilgotne.

Kieruję wzrok w stronę okna. Na zewnątrz pada deszcz. Góra czarnych

plastikowych worków na śmieci stoi przy wjeździe do ślepej uliczki. Światło latarni gra na ich śliskich powierzchniach.

—To ty byłaś w autobusie. Nie mogłem się pomylić.

—Tak.

— Dlaczego tak długo czekałaś, żeby się ze mną skontaktować? Dlaczego nie szukałaś mnie w książce telefonicznej?

Następuje chwila ciszy. Dokoła nas rozmawiają ludzie. Słyszę, jak Piers wykłada jakąś prawdę o pewnym aspekcie teorii. Julia robi krok w moją stronę.

—Nie miałam sił, żeby znów się z tobą zobaczyć.

—Więc co tu robisz?

— Po Bachu wiedziałam, że przyjdę za kulisy. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego. To chyba nie był dobry pomysł. Tyle czasu stałam na korytarzu. Ale dobrze jest znowu cię widzieć, nie tylko słuchać, jak grasz.

Nie ma na palcu pierścionka, ale na nadgarstku błyszczą mały złoty zegarek z plecionym złotym paskiem. Szyję zdobi mały brylant. Jej oczy wydają się bardziej zielone niż niebieskie. Z jej głosu, ze sposobu, w jaki ściska torebkę, wnioskuję, że zamierza zaraz odejść.

— Proszę cię, nie odchodź — mówię, chwytając ją za rękę. — Muszę cię znów zobaczyć. Czy teraz mieszkasz w Londynie? Zadzwonisz do mnie? Jutro nie mam w planie nic specjalnego. — Patrzy na mnie zaskoczona. — Dokąd teraz pójdziesz, Julio? Może chciałabyś coś zjeść? Masz samochód? Nie możesz wyjść na taki deszcz. Nie możesz.

Julia zaczyna się uśmiechać.

— Nie, nie zadzwonię do ciebie. Nigdy nie byłam dobra w rozmowach przez telefon. Ale gdzieś się spotkamy.

—Gdzie? I kiedy?

—Michaelu, puść moją rękę — szepcze.

—Gdzie?

— Och, gdziekolwiek — mówi Julia, rozglądając się. — Co powiesz na Wallace Collection? O pierwszej?

—Tak.

—Spotkamy się przy wejściu.

—Julio, daj mi swój numer telefonu.

Potrząsa głową.

—A jeśli nie przyjdiesz? Jeśli się rozmyślisz?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, podeszła do nas Helen.

— Julia! — mówi Helen. — Julia! Wieki całe! Kanada, prawda? Banff. Co za cudowne czasy. Co u ciebie? Przyjechałaś na wycieczkę z Wiednia? Michael mówił, że zerwałaś kontakt, i oto jesteś!

—Tak — mówi Julia z przenikliwym, delikatnym uśmiechem. Tak, oto jestem.

— Piers! — krzyczy Helen. — Zobacz, kogo tu mamy. Piers zatopiony w rozmowie z jakimś młodym mężczyzną kiwa głową, trochę rozkojarzony. Julia rusza w stronę drzwi.

— Pozwól odprowadzić się do samochodu — proszę.

Nakłada płaszcz i otwiera drzwi na korytarz.

—W porządku, Michaelu. Powinieneś zostać i omówić koncert. Koncert bez omówienia...

—... jest jak brydż bez czwartego. Tak.

—Gdzie jest Billy? — pyta Julia.

—Pojechał do domu zająć się dzieckiem.

—Billy ma dziecko? — dziwi się Julia.

—Tak. Syna.

—Kiedy widziałam, jak wasza czwórka się kłania, pomyślałam sobie o pierwszej frazie *Piątej* Beethovena — mówi. Gestem pokazuje nuty: trzech wysokich chudych muzyków i jeden niski gruby.

Nie mogę powstrzymać śmiechu na to skojarzenie. Co się w niej zmieniło? Jej włosy są dużo dłuższe, twarz bardziej ściągnięta — ale wygląda to na dzieło dwóch lat, a nie dziesięciu.

— Czy masz jeszcze coś do powiedzenia o naszym występie? — pytam, próbując podtrzymać rozmowę.

—Cóż... szkoda, że widziałam nazwisko Haydna na twoich nutach na pulpicie, gdy grałeś Mozarta.

—I?

—I nic. Było wspaniale. Ale muszę już iść. Naprawdę muszę...  
Jak twój palec?

—Ostatnio nie mam z nim wielu kłopotów. Właściwie przez ostatnie pięć lat, odkąd dołączyłem do kwartetu... To dziwne, gdy twoje ciało buntuje się przeciwko tobie i nagle decyduje, że nie chce już czegoś robić.

Wyjmuję z kieszeni pióro i biorę ją za rękę. Piszę swój numer telefonu na krawędzi dłoni. Patrzy na mnie zdumiona, ale nie oponuje.

— To numer telefonu z automatyczną sekretarką i faksem. Przepisz go, zanim się położysz do łóżka. — Pochyliam się, żeby ucałować jej dłoń, jej linię życia, jej linię miłości. Moje usta zbliżają się do jej palców.

— Michaelu, nie, nie, proszę. — Desperacja w jej głosie po-wstrzymuje mnie. — Daj mi spokój. Pozwól mi odejść. Spotkamy się jutro.

—Zatem dobranoc, Julio, dobranoc. — Puszczam jej dłoń.

—Dobranoc — mówi cicho, odwracając się.

Podchodzę do okna. Po paru minutach pojawia się przy tylnych drzwiach. Otwiera parasolkę i przez chwilę wydaje się, jakby nie wiedziała, w którą stronę pójść. Deszcz pada na uliczkę, na czarne worki ze śmieciami. Dlaczego akurat Wallace Collection — zastanawiam się, chociaż to nie ma żadnego znaczenia. Jak dzisiaj zasnę, czy uwierzę w to, co się stało, gdy już zostanę sam? Przez parę chwil jej twarz jest oświetlona, ale zbyt słabo, bym mógł cokolwiek z niej wyczytać. Jest może starsza, ale nadal tak piękna jak dawniej. Jak bardzo ja się zmieniłem? Skreca w prawo, a ja obserwuję, jak wychodzi na główną ulicę i znika mi z oczu.

## CZEŚĆ TRZECIA

### 3.1

Zjawia się chwilę przed pierwszą. Zerka na mnie nerwowo, szybko, uśmiecha się niepewnie. Nie biorę jej za rękę ani ona mnie.

—Nigdy wcześniej tu nie byłem.

—Nigdy?

—Nie. Chociaż często chciałem.

—Cóż, pozwiedzamy? — pyta.

—Tak. Moglibyśmy też pójść na kawę, jeśli chcesz. Albo coś zjeść.

—Już jadłam lunch — mówi. — Ale jeśli ty nie...

—Nie jestem głodny.

—Kiedy pierwszy raz poszedłeś do galerii sztuki w Wiedniu, to było ze mną, prawda?

—Tak — odpowiadam.

—Więc to właściwe, że tutaj też będę twoim przewodnikiem.

—Tylko że Wiedeń był twoim miastem, a Londyn jest moim.

—Odkąd to Londyn jest twoim miastem? — Julia się uśmiecha.

—Tak naprawdę to nie jest — mówię i uśmiecham się do niej. — Ale się naturalizuję.

—Wbrew własnej woli?

—Niezupełnie.

—Pozostali w kwartecie to londyńczycy, prawda?

—Tak jakby. Billy urodził się i wychował w Londynie, Piers i Helen pochodzą z Walii, ale teraz są właściwie londyńczykami.

—Najlepiej pamiętam Aleca.

—Alexa — poprawiam.

Julia nieco zdziwiona kiwa głową.

—To był szok, gdy zobaczyłam ciebie zamiast niego.

—Naturalnie.

— Pamiętam, jak recytował jakiegoś kanadyjskiego poetę ku zdumieniu naszych gospodarzy.

— Tak, zabawny tekst.

— I pamiętam, jak leżałam bezsennie w Banff, wsłuchując się w odgłosy pociągów — mówi Julia.

— Ja też.

— Dlaczego odszedł? Czy on i Piers byli kochankami? — Julia patrzy na mnie bardzo bezpośrednio, czule i uważnie.

— Tak przypuszczam. Ale po paru latach, cóż, Piers nie lubi o tym mówić. Myślę, że wszystko się rozpadło, jak to czasem bywa.

Muzycznie i pod innymi względami. Pamiętasz, zmieniali się jako pierwsze i drugie skrzypce.

— Przepis na katastrofę.

— Tak. Nie robimy tego, odkąd ja dołączyłem pięć lat temu...

A jak ty zaaklimatyzowałaś się w Londynie? A przy okazji, przykro mi z powodu twojego ojca.

Julia wygląda na zaskoczoną.

— Julio, przepraszam, nie chciałem, żeby to zabrzmiało tak nonszalanczko — tłumaczę, czując się nagle winny i zmieszany. — Nie to chciałem powiedzieć. Po tym dniu, kiedy cię zobaczyłem, próbowałem cię odszukać. Ale ślad urwał się w Oksfordzie. Tak mi przykro. Lubiałem go. I wiem, że ty go uwielbiałaś.

Julia spogląda na swoje delikatne, cienkie palce, które krzyżuje i powoli prostuje, jakby pozwalając, by przepłynęły przez nie jej myśli.

— Rozejrzemy się? — pytam.

Przez chwilę nie odpowiada, potem unosi wzrok i pyta:

— Więc wejdziemy?

Kiwam głową.

Kiedy mnie poznała, moja matka już nie żyła, a teraz nie żyje jej ojciec. Chociaż odciął mnie od wszelkiej wiadomości o niej, gdy najbardziej jej potrzebowałem, w głębi serca był życzliwym człowiekiem. Pokojowy z natury, pisał o historii sztuki wojennej z obiektywną jasnością. Myślę, że



Julia odziedziczyła jego charakter. Ale jak mogę wyciągać takie wnioski, skoro spotkałem go tylko raz w życiu?

### 3.2

Chodzimy przez dwie godziny z sali do sali, prawie nie rozmawiając. To nie jest neutralne otoczenie, tylko konkurencyjne. Jest zajęta — czasem obrazem, czasem czymś niewytłumaczalnym. Wydaje się upodabniać wyrazem twarzy do tych na obrazach, zatapiać się w nich, nieświadoma mojej obecności, głucha na moje komentarze. Zatrzymuje się przed *Damą z wachlarzem* Velazqueza.

— Przepraszam, Michaelu, byłam daleko.

— W porządku. — Patrzy na damę, a ja na nią. Po co się denerwować? Zawsze taka była w galeriach. W Wiedniu był pewien obraz Vermeera, przed którym stała pół godziny, dopóki nie dotknąłem jej ramienia i nie wydobyłem z transu.

Idę jej śladem i wodzę za nią wzrokiem. Młody, niezwykle skupiony czarny łucznik; niesforna, zwiewna młoda kobieta na huśtawce rzucająca różowy pantofelek kochankowi; syn Rembrandta, Titus. Kim są ci ludzie i jaki przypadek dał im wspólne schronienie w tym budynku? Ile twarzy każde z nas dodało do swej pamięci przez ostatnie dziesięć lat?

Strażnik w następnej sali dyskretnie się gimnastykuje. Na ścianach wiszą obrazy Wenecji. Z pewnością nie jest to powód, dla którego mnie tu sprowadziła.

Jej wzrok przesuwa się z obrazów na strażnika, a potem na mnie:

—A więc, czy w końcu tam byłeś? — pyta.

—Nie, jeszcze nie.

—Ja tak — mówi cicho.

—Cóż, tak bardzo tego chciałaś.

—Ja? — pyta ze śladem napięcia.

—My.

Staje przed obrazem przedstawiającym kościół z kopułą i wieżą w oddali, po drugiej stronie wody. Chociaż nigdy tam nie byłem, wygląda znajomo.

—Pojechałyśmy tam z Marią parę miesięcy po moich końcowych egzaminach — mówi. — W pierwszą noc była burza z piorunami; błyskało nad całą laguną. Płakałam, co było głupie, bo przecież wyglądało to tak pięknie.

—Nie tak głupie. — Chcę dotknąć jej ramienia, ale tego nie robię. Mam wrażenie, jakby cała ta scena rozgrywała się między nieznajomymi.

—Powinieneś tam pojechać — mówi.

—Pojadę — odpowiadam. — Jedziemy tam wiosną.

—My, to znaczy kto?

—Kwartet.

—Macie jakieś plany?

—Kilka koncertów i, cóż, sama Wenecja. Lecimy tam z Wiednia.

—Z Wiednia? — pyta Julia. — Z Wiednia?

—Tak — potwierdzam. Ona milczy, więc dodaję: — Gramy w Musikverein koncert złożony z utworów Schuberta.

Po chwili mówi spokojnym głosem:

—Powiem matce, żeby pamiętała o tym koncercie. Mieszka tam teraz. I mojej ciotce.

—A ty? Nie przyjdiesz?

—Mieszkam teraz w Londynie.

—A jednak mieszkasz w Londynie. — Moja twarz się rozjaśnia. — Wiedziałem.

Nagle coś się z nią dzieje i robi się blada z niepokoju.

—Michaelu, muszę już iść. Jest po trzeciej. Straciłam poczucie czasu. Muszę... kogoś odebrać.

—Ale...

—Teraz nie mogę ci tego wyjaśnić. Muszę iść, naprawdę muszę. Spóźnię się. Do zobaczenia jutro.

—Ale kiedy? Gdzie?

—O pierwszej?

—Tak, ale gdzie? Znowu tutaj?

—Nie, zostawię ci wiadomość na sekretarce.

— Dlaczego nie zadzwonisz później?

— Nie mogę. Będę zajęta. Zostawię ci wiadomość, zanim wrucisz. —  
Odwraca się, żeby wyjść. Wydaje się bliska paniki.

— Dlaczego nie zadzwonisz i nie powiesz, że trochę się spóźnisz?

Julia nie odwraca się ani nie zatrzymuje, by odpowiedzieć.

### 3.3

Taki był koniec naszego spotkania. Nie dotknęliśmy się na pożegnanie. Nie rozmawialiśmy nawet przez pięć minut — a to, co powiedzieliśmy, było sztuczne, urywane. Nie wiem nic o tym, co teraz myśli i kim teraz jest. Jestem pusty. Lekki cytrynowy zapach jej perfum nadal unosi się w powietrzu. Chodzę po salach, gapiąc się na broń: miecze, szable, sztylety, zbroje, hełmy. Koń w czarnej zbroi najeżdża na mnie jak czołg. Pokój pełen dzieci namalowanych przez Greuze'a, tłusciutkich sztuczną niewinnością; uśmiechają się do mnie lub patrzą drżąco w niebo. Zegar z czarną tarczą pokazuje dwie złote figury, boginię i młodego mężczyznę: króla albo księcia. Ona przewyższa go wzrostem, ale opiera swe drobne paluszki na jego ogromnej dłoni. Chodzę niespokojny, w transie, widzący, nie widzący: alegoria, mit, krajobraz, rodzina królewska, psy, martwe dzikie ptactwo. Strażnik trzyma dłonie skrzyżowane za głową, którą porusza w prawo i w lewo. Rozciąga palce. Słyszę w tej sali głos swoich skrzypiec. Otacza nas Wenecja — spokojny Canaletto turkusowej wody, odrażające wizyjne formy Guardiiego.

Nie spędziliśmy tych godzin razem. Byliśmy zapieczętowani w oddzielnych światach. To jedyna sala, w której rozmawialiśmy. A jednak jak można nakłaniać do odnowienia takiej znajomości? Nie wydawała się zgorzkniała; powiedziała nawet, że jutro chce się ze mną spotkać.

Zatrzymuję się przed wszystkimi portretami, przed którymi ona się zatrzymywała. Widzę ją i słyszę; jej spięte ramiona, gdy stała przed damą z

wachlarzem, jej śmiech, gdy patrzyła na ubraną na różowo kokietkę Fragonarda na huśtawce.

Staję przed tym obrazem i przypominam sobie jej śmiech. Czy jest szczęśliwa? Dlaczego chce się jeszcze ze mną zobaczyć? Dlaczego poprosiła, żebym przyszedł właśnie tutaj? Czy to po prostu pierwsza rzecz, jaka przyszła jej do głowy po koncercie? Z pewnością to nie ze względu na Wenecję.

Jej śmiech wyrażał zachwyty. Jednak nagle stała się niespokojna i smutna.

Zaczerwieniona twarz patrzy szelmowsko na pantofelek, który leci nad trawą. Liny giną w zamglonym tłumie ciemności. Ten obraz ma swój urok, więc zatrzymał ją na chwilę. Po co szukać innego powodu?

### 3.4

Świat dostaje się do mojej głowy przez automatyczną sekretarkę. Jest siedem wiadomości: niezłe żniwo. Pierwsza jest od Julii. Sugeruje, żebyśmy spotkali się jutro o pierwszej w oranżerii w Kensington Gardens. To tylko kilka minut drogi ode mnie, ale tego przecież nie mogła wiedzieć.

Kilka telefonów dotyczących Camerata Anglica i różnych prób, które mam sobie według ich biura „wpisać” lub „wykreślić”.

Dzwoni Erica Cowan, żeby pozachwycać się wczorajszym koncertem i powiedzieć, że Helen przekazała jej, iż Julia przyszła wczoraj za kulisy. Jak cudownie. Cieszy się moim szczęściem; cierpliwość popłaca. Ma ciekawe wiadomości dla całego kwartetu, ale będą musiały poczekać do jutra.

Wiadomość od Piersa. Wydaje mu się, że byłem nieco rozkojarzony, gdy omawialiśmy koncert. Chciałby, żebyśmy go krótko podsumowali. Ponadto Erica ma dla nas jakąś wiadomość. Czy moglibyśmy się spotkać jutro u Helen o drugiej po południu?

Dzwonię do Piersa. Co powie na piątą zamiast drugiej? Zgadza się; sprawdzi, czy innym pasuje. Pytam go, jakie interesujące wiadomości ma

dla nas Erica. Piers odpowiada wymijająco. Erica uważa, że powinniśmy się zebrać, żeby to rozważyć.

Następna wiadomość od kobiety, trochę wściekłej, zastanawiającej się, dlaczego London Bait Company nie odbiera jej telefonów w środku dnia.

Wiadomość od Virginie, bardzo wesołej. Koncert bardzo jej się podobał i przerywa ćwiczenie — tak, obiecuje, że będzie ćwiczyć — żeby mi powiedzieć, jak inspirująco graliśmy.

Dzwoni telefon, moje serce podskakuje, ale to znowu Erica. Mówi, jakby zjadła za dobry lunch.

— Michaelu, kochanie, tu Erica, czułam, że muszę do ciebie zadzwonić. Wczorajszy koncert był po prostu cudowny.

— Dzięki, Erico, właśnie odsłuchiwałem twoją wiadomość.

— Ale nie dlatego dzwonię. Chodzi o to, Michaelu, mój drogi, że musisz być bardzo ostrożny. Życie nie jest proste. Właśnie jadłam lunch ze starym znajomym i nie mogę oprzeć się wrażeniu, że pewne rzeczy nie dzieją się bez powodu. Rozumiesz, co mam na myśli?

— Nie bardzo...

— Oczywiście, to mogło być fizyczne, duchowe czy jakiegokolwiek. Helen mi powiedziała, oczywiście.

— Ale, Erico...

— Czy wiesz, że kiedy dobijasz do czterdziestki, robisz się intensywnie fizyczny? Wcale się nie interesuję mężczyznami w moim wieku; zajmują mnie jedynie młodszy, którzy w większości są po prostu cudowni, ale zupełnie niedostępni. Dawniej byłam niesamowicie wybredna; ludzie krążyli wokół z nie kończącym się pożądaniem, ale mówiło się: o nie, nie — a teraz wszystko się zmieniło. Kłopot w tym, że nawet jak chcesz porozra-  
biać, to wszyscy młodzi mężczyźni chcą tylko, żebyś przedstawił ich ludziom, którzy załatwią im pracę.

— Cóż...

— Więc płoniesz z pożądania, ale jesteś starą prukwą. Patrę czasem w lustro i siebie nie poznaję. Kim ona jest? Skąd się wzięły te zmarszczki? Kiedyś miałam okrągłą twarz, raczej księżycową, i pragnęłam, by była po-

ciągła, a teraz oczywiście jest pociągła, okropnie pociągła, i nie bardzo mi się podoba bycie starą prukwą. Przydałaby mi się taka księżycowa twarz.

— Nie jesteś pociągła, Erico, jesteś atrakcyjna i pijana.

— Nie masz jeszcze czterdziestki, więc nic nie wiesz — złości się Erica.

— I jesteś mężczyzną.

— Gdzie byłaś na lunchu?

— Och, w The Sugar Club, mają w jedzeniu te niewymawialne składniki, jak jicama czy metaxa — czy ja chciałam powiedzieć: metaxa?

— Nie jestem pewien.

— Ale mają też wspaniałą listę win.

— Najwyraźniej.

— Niegrzeczny chłopiec! Mój mąż zaprosił mnie tam w rocznicę ślubu w zeszłym roku i było to prawdziwe odkrycie. Teraz zabieram tam wszystkich swoich przyjaciół. Spróbuj kangura.

— Spróbuję, Erico. Jaką masz ciekawą wiadomość dla kwartetu?

— A, o to chodzi. Myślę, że Stratus proponuje nam nagranie.

Nie mogę uwierzyć własnym uszom. Stratus!

— Żartujesz, Erico — mówię. — Nie mówisz poważnie.

— To ma być wdzięczność?

— Ależ to wspaniale! Jak to załatwiłaś?

— Dziś rano odbyłam cudowną długą pogawędkę z Ysobel, ale porozmawiamy o tym wszystkim jutro o drugiej.

— Nie o drugiej. O piątej.

— O piątej?

— O piątej. Zapisz sobie.

— Och, zapamiętam.

— Erico, nic nie zapamiętasz. Nie po tym zakrapianym lunchu.

— No dobrze. Ale nie mów innym, co ci powiedziałam. Chcę, żeby to była niespodzianka. Pamiętaj, cicho sza.

Ale jestem pewien, że Erica zadzwoniła do każdego z nas i wymogła milczenie na każdym z osobna.

Zanim się rozłączę, radzę jej pić dużo wody, wziąć nurofen i spróbować szybko powtórzyć „Ysobel Shingle” dziesięć razy z rzędu.



## 3.5

Myśląc o Julii i nie mogąc zasnąć, oglądam banalny thriller późno w nocy i odpływam o trzeciej nad ranem.

O jedenastej jest rześko i bezchmurnie, ale się ściemnia i koło południa mamy ciężką ulewę. Ale Julia nie dzwoni, żeby zmienić miejsce naszego spotkania.

Za kwadrans pierwsza, zaopatrzony w parasol, w czapce i opatulony przed zimnem, wychodzę w ciemny dzień. Stare liście, które spadły dawno temu, leżą poskręcane dookoła. Deszcz zacina i moczy mi spodnie poniżej kolan. Parasol ze słabymi drutami staje się szalonym czarnym żaglem. Park jest prawie zupełnie pusty, bo kto poszedłby na spacer w taką pogodę?

Na każdej większej gałęzi płatanu siedzi z tuzin gołębi, wśród nich kilka brązowych; dziobkami ustawione do wiatru, nastroszone i ciche, wyglądają jak grube owoce. Na dole spokojnie przechadza się kruk, skrzecząc z poczuciem władzy. Mija mnie kilku żalosnych biegaczy.

Dochodzę do oranżerii. Parę osób, najprawdopodobniej schwytych w pułapkę burzy, sączy herbatę albo czyta gazety. Wewnątrz budynek jest piękny: bardzo wysoki biały prostokąt z alkowami, południowa ściana złożona z wysokich kolumn na przemian z ogromnymi oknami, by wpuszczać światło czy jakąkolwiek pogodę danego dnia. Ani śladu Julii.

Przy odrobinie szczęścia można tu usłyszeć echo, ale dziś wyjący wiatr, deszcz uderzający w wysokie okna pod ostrym kątem, płacz niezadowolonego dziecka i przypadkowe brzęki z kuchni tworzą efekt, który bez wątpienia zachwyciłby Billy'ego.

Julia wchodzi parę minut później. Wygląda, jakby przed chwilą wstała z łóżka. Jej blond włosy są matowe i prawie brązowe, suknia przemoczona. Niespokojnym spojrzeniem omiata oranżerię.

Jestem przy drzwiach w sekundę.

— Ta parasolka — mówi, walcząc.

Uśmiecham się, obejmuję ją i całuję w usta bez zastanowienia, jak wtedy, za pierwszym razem, tak dawno temu.

W połowie odpowiada, potem szybko się cofa. Przez chwilę nie patrzy na mnie, jakby próbując się pozbierać.

— Co za burza — mówi, gładząc włosy.

— Dlaczego nie zadzwoniłaś, żeby zmienić miejsce? — pytam. — Cała przemokłaś.

— Och, nie chciałam wprowadzać zamieszania.

— Stań przy kaloryferze.

Słucha mojej rady i drżąc z zimna, patrzy na deszcz. Staję za nią i kładę ręce na jej ramionach. Nie odsuwa się.

— Julio, ja nadal cię kocham.

Nic nie mówi. Czy mi się zdaje, czy jej ramiona sztywnieją?

Kiedy się odwraca, słyszę szept:

— Napijmy się kawy. Długo czekałeś?

— Julio! — Może ignorować moje słowa, ale po co ten zamierzony banał?

Czyta ból w moich oczach. Nadal nic nie mówi. Siadamy. Podchodzi kelnerka, zamawiamy kawę i kawałek piernika. Po chwili milczenia Julia pyta z wahaniem:

— Czy masz jakieś wiadomości o Carlu Kallu?

— Dostałem od niego list parę miesięcy temu.

— Napisał do ciebie?

— Tak. Prawdopodobnie wiesz, że jest teraz w Szwecji.

Kelnerka przynosi nasze zamówienie. Julia wpatruje się w talerz.

— Plotka głosi, że jest bardzo chory — mówi.

— Czytając jego list, też tak pomyślałem.

Czuje, że nie chcę o nim mówić, i przechodzi do innych spraw. Dotykamy tematów ostrożnie, po kolei, jakby miały nagle nas zaatakować: dobrzy znajomi, prawdopodobieństwo, że burza wkrótce się uciszy, *decorum*. Dowiaduję się, że Maria po serii artystycznych chłopaków jest teraz żoną solidnego mieszczaniana.

Dotykam czerwonego śladu po lewej stronie brody; to znamię skrzypka. Mimo otaczającej mnie przestrzeni mam wrażenie, że coś się nade mną zamyka. Znowu myślę o Carlu. Jego smyczek unosił się do góry i w dół

jak przełącznik, a on mówił mi, co mam robić. Dla niego orkiestra była tym, czym pub czy nocny klub dla mojego ojca. Nawet kariera muzyka kameralnego nie była dla mnie dość dobra. Gdy grał, słyszałem dźwięk tak szlachetny, okrągły, ciepły, nieafektowany, że pragnąłem go naśladować, ale gdy próbowałem jego technik, cierpiał na tym mój własny styl. Dlaczego nie chciał pozwolić mi samemu się uformować, pomagając mi, zamiast ciągle ograniczać?

Jej wzrok jest skupiony na mojej twarzy, jednak czuję w nim pewną rezerwę. Potem mówi coś, co ginie w otaczającym nas hałasie. Słysząc głośny brzęk, dziecko trzy stoliki dalej przeraźliwie wyje.

—Przepraszam, Julio, to miejsce jest nie do wytrzymania. Nie słyszałem, co powiedziałaś.

—Chociaż raz — mówi i widzę w jej minie odrobinę napięcia i rozba-  
wienia.

—Chociaż raz co?

—Nic.

—Ale co powiedziałaś?

— Będę musiała ci powiedzieć, Michaelu, prędzej czy później. Lepiej  
prędzej.

— Tak.

— Jestem mężatką. — Powtarza cicho, prawie do siebie: — Jestem mę-  
żatką.

—To niemożliwe.

—Tak jest.

—Jesteś szczęśliwa? — Staram się, by mój głos nie zabrzmiał żałośnie.

—Myślę, że tak. Tak. — Przesuwa palcem po małym kwadracie wokół  
swojego niebiesko-białego talerza.

—A ty? — pyta.

—Nie, nie. To znaczy, nie jestem żonaty.

—Więc jesteś sam?

Wzdycham i wzruszam ramionami.

—Nie.

—Jest miła?

—Nie jest tobą.

— Och, Michaelu. — Julia przestaje wodzić palcem wokół talerza. —  
Nie rób tego.

—Dzieci? — Pytam, patrząc jej w oczy.

—Jedno. Chłopiec. Luke.

—I wszyscy razem mieszkacie szczęśliwie w Londynie.

—Michaelu!

—Nadal grasz, oczywiście?

—Tak.

—Tylko tyle muszę wiedzieć. Czemu nie nosisz obrączki?

— Nie wiem. Rozprasza mnie. Rozprasza mnie, gdy gram na pianinie.  
Spoglądam na nią i nie mogę się skupić na muzyce. Michaelu, to ty wyjechałeś z Wiednia.

To prawda. Co mogę powiedzieć? Znam tylko swoją gorzką prawdę.

— Nie mogłem oddychać w pobliżu Carla. Nie wiedziałem, że nie będę mógł bez ciebie żyć. Nigdy nie myślałem, że cię utraciłem, że cię stracę.

—Mogłeś napisać po wyjeździe, wyjaśnić.

—Napisałem...

— Miesiące później. Kiedy ja powoli się załamałam. — Milknie na chwilę, potem kontynuuje: — Nie ufałam sobie na tyle, by móc otworzyć twoje listy, kiedy wreszcie zaczęły przychodzić. Nie myślałam o niczym innym, tylko o tobie — w każdej godzinie, każdego dnia, kiedy spałam, gdy się budziłam. Nie — mówi z oddali, jakby spoza pamięci bólu i złości.

— Tak mi przykro, kochanie.

—Michaelu, nie nazywaj mnie tak — prosi smutno.

Przez chwilę nic nie mówimy, potem Julia stwierdza:

—Cóż, to było wtedy.

Przestało padać. Wyraźnie widać ogród na zewnątrz z ogromnymi zielonymi zwierzętami o różnych kształtach wyciętymi z żywopłotu. Niebo jest bezchmurne.

—Słuchaj — mówię. — To rudzik.

Julia patrzy na mnie i kiwa głową.

—Wiesz — kontynuuję. — Często tu przychodzę, nie do samej oranżerii, ale do zatopionego ogrodu. Czasem wiosną przychodzę, by posłuchać kosów. A ty nadal jesteś zakochana w swoich słowikach?

W oczach Julii połyskują łzy.

Przerywam ciszę:

— Słuchaj, wyjdźmy stąd i chodźmy na spacer. Mieszkam w pobliżu.

Kręci głową, jakby zaprzeczała temu, co właśnie powiedziałem,

—Musisz się porządnie wysuszyć — mówię.

—Ja też mieszkam niedaleko. — Kiwa głową. — Zaparkowałam w pobliżu. Lepiej już pójdę.

—Nie chcesz, żebym miał twój numer telefonu?

—Nie — odpowiada, wycierając oczy.

—Więc weź mój adres — mówię, wyjmując żółtą naklejkę z portfela, i zapisuję go. — A teraz ty zapisz swój. Nie zamierzam znów cię stracić.

—Michaelu, nie jestem tu po to, byś mnie odzyskał.

—Wiesz, że nie to miałem na myśli. Nie jestem takim głupcem.

—Nie wiem, co miałeś na myśli — mówi. — I nie wiem, co ja tutaj robię.

—Więc podaj swój adres, proszę.

Waha się.

— Na wypadek, gdybym chciał ci przysłać kartkę na Gwiazdkę. Albo, kto wie, może kolejny list.

Potrząsa głową i zapisuje swój adres. Mieszka w Elgin Crescent, w Notting Hill, tylko milę od mojego domu.

—Wciąż nazywasz się McNicholl? Ze względów zawodowych?

—Nie. Przyjęłam nazwisko męża.

—Które brzmi?

—Hansen.

—Ooo, to ty jesteś Julia Hansen. Słyszałem o tobie.

Julia uśmiecha się mimo woli, ale poważnie, widząc nieszczęście w moich oczach.

Idziemy przez park, niewiele mówiąc, ja do swojego mieszkania, ona do samochodu.

### 3.6

— Nie, Piers, kochanie, ona nie jest szalona — mówi Erica, stawiając swoją szkocką na jednym z kwadratowych stolików w mieszkaniu Helen. — Ekscentryczna, tak, neurotyczna, tak, ale nie szalona.

— Ale, Erico — odzywa się Billy. — Czy nie mogłabyś jej przekonać? Nie mogłabyś? To znaczy, czy nie mogłabyś jej powiedzieć, że nie możemy tego zrobić i że mamy w repertuarze mnóstwo rzeczy, które z przyjemnością zagramy. Mnóstwo.

Erica energicznie kręci głową.

— Siedziałam w jej biurze przez dwie godziny i wałkowałam ten temat, ale uparła się: albo to, albo nic. Nie interesuje ją nic innego, co mamy do zaoferowania. Mówi, że repertuar kwartetowy jest nagrany w nadmiarze i że nie będzie do niego dokładać.

— Nie rozumiem tego — mówi Helen. — Słucha całego koncertu, a potem czepia się bisu.

— Powiedziałam jej, że nie jest to coś, co zazwyczaj gracie — tłumaczy Erica z matczynym uśmiechem. — A ona na to: „Szkoda, bo jeśli zaproponuję im to nagranie, to będą musieli”. Uwierz mi, Helen, bardzo, bardzo rzadko widziałam Ysobel Shingle nastawioną do czegokolwiek tak entuzjastycznie jak do waszego wykonania Bacha. Oferta od Stratusa to poważna sprawa. Nie mam na myśli pieniędzy — dodaje szybko Erica. — Wiele nie dostaniecie. Ale z pewnością zostanie to zauważone.

— Może nam to bardzo zaszkodzić — zauważa Billy. — Nagranie *Kunst der Fuge* Bacha dla wytwórni Stratus będzie szeroko recenzowane i jeśli ludziom się nie spodoba, możemy na zawsze wystrzelić z orbity w ciemność.

— Tak — mówi Erica. — A jeśli im się spodoba, oślepi was blask sławy. Cóż, proszę bardzo. To wy musicie zdecydować. Ale chętnie spędzę dwie godziny, przekonując was, skoro nie udało mi się namówić jej. Czy raczej zniechęcić.

— To szaleństwo — mówi Piers. — To oderwie naszą uwagę od właściwego repertuaru.



—To wyzwanie — mówi Erica.

—Łatwa odpowiedź — ucina Piers.

Erica zwraca się do mnie nie zrażona.

—Niewiele mówiłeś, Michaelu.

—Niczego nie powiedział — uściśla Helen. — Co, u diabła, się z tobą dzieje, Michael? Wyglądasz, jakby cię tu nie było. Dobrze się czujesz?

—Co o tym sądzisz? — pyta Billy, spoglądając na mnie.

—Nie wiem — odpowiadam. — Jestem trochę oszołomiony. — Zwracam się do Eriki, usiłując się skupić. — To dlatego nie powiedziałeś nam przez telefon o jej propozycji?

—Być może — mówi Erica. — Tak, chciałam się nacieszyć widokiem waszych reakcji. I nie chciałam, żeby którekolwiek wpłynęło na opinię innych.

Piers chrząka.

—Jak długa jest *Kunst der Fuge*, Billy? — pytam.

—Półtorej godziny, dwie płyty CD.

—A wszystko, co z tego kiedykolwiek graliśmy, to cztery i pół minuty — mówi Piers.

—Ale sprawiało nam to radość — dodaję.

—Tak — mówi Helen. — Może nawet większą niż wszystko, co wcześniej grałam.

—Graliście to doskonale, doskonale! — krzyczy Erica, przesadzając z entuzjazmem. — A widownia milczała przez całe pięć sekund, zanim zaczęła klaskać. Jedna, dwie, trzy, cztery, pięć! Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

—To jest bardzo zły pomysł — mówi Piers nieporuszony. — Odwróci to naszą uwagę od tego, co chcemy robić. Będzie to nam przeszkadzać w występach, a nie je uzupełniać. Nie możemy zagrać całej tej przeklętej rzeczy, tylko musimy ją nagrać. Kwartety nie robią czegoś takiego na scenie. Poza tym Bach nie napisał tego na kwartet smyczkowy.

Billy kaszle, aby zwrócić na siebie uwagę.

— Jestem pewien, że gdyby kwartet smyczkowy istniał w jego czasach, to by dla niego pisał.

—Billy, czy to znowu twoja gorąca linia z Bachem? — pyta Piers.

—Naprawdę nie jest jasne, dla kogo to napisał — kontynuuje spokojnie Billy. — Jestem całkiem pewien, że pisał to na instrumenty klawiszowe, ale niektórzy uważają, że nie miał w zamyśle żadnego konkretnego instrumentu. Inni sądzą, że nie zostało to napisane, by to grać, tylko jako ofiara dla Boga, ducha muzyki czy coś w tym stylu, ale uważam, że to niemądre. Nie, nic się nie stanie, jeśli to zagramy.

—A altówka dla odmiany gra tyle samo co inne instrumenty — mówi medytacyjnie Helen.

Piers spogląda na sufit.

—Właściwie obydwie altówki — wtrąca Billy.

—Co masz na myśli? — pyta Helen.

—Cóż — mówi Billy z powagą Buddy — pamiętasz, jak Michael musiał przestrajać najniższą strunę w Wigmore? Gdybyśmy to nagrywali, a nie grali na koncercie, mógłby zagrać całą tę fugę na altówce zamiast na skrzypcach i uniknąłby kłopotu. A są jeszcze inne fugi, gdzie jego partia schodzi tak nisko, że naprawdę musiałyby ją grać na altówce.

Moja twarz rozjaśnia się na myśl, że mógłbym znów grać na altówce.

—Więc — pyta Erica, nalewając sobie pełną szklanekę raczej nie rozcieńczonej whisky. — Jaki jest wniosek z tego spotkania? Co mam przekazać Ysobel?

—Tak! — mówi Helen, zanim ktokolwiek zdążył się odezwać.

— Tak! Tak! Tak!

Billy śmiesznie wzrusza ramionami, porusza głową i prawą ręką, co oznacza: cóż, ryzyko istnieje, ale z drugiej strony, od czego jest życie, Bach jest taki fantastyczny, a Helen taka gorliwa, więc, cóż, tak, w porządku.

— Zastanawiam się, czyją altówkę mógłbym pożyczyć — mówię.

Piers, który zwykle jest naszym programistą, gdyby tym razem spróbował się przeciwstawić, musiałby stawić czoło rebelii.

—Zasugerujmy inny program i sprawdźmy ją — mówi.

—Znam Ysobel. — Erica kręci głową.

—Więc kiedy mielibyśmy nagrywać? — pyta zdenerwowany Piers. — Jeśli założyć, że się na to zgodzimy.

Erica uśmiecha się małym uśmieszkiem przedwczesnego triumfu,

—Ysobel daje nam niespodziewanie wolną rękę, ale jak najszybciej chcę znać odpowiedź, czy się tego podejmiemy. Mogłoby to spowodować lukę w katalogu i jeśli będziemy zwlekać z decyzją, to może zacznie się rozglądać za kimś innym, kto ją wypełni. Nagle zaczęła mówić, a właściwie szeptać na swój własny sposób, a propos niczego konkretnego, a może to ja nie zrozumiałam powiązania, co byłoby dla mnie, oczywiście, typowe, o tym, jak bardzo podoba jej się brzmienie Vellinger Quartet...

—Nie powinniśmy się spieszyć z decyzją — mówi Piers, próbując zachować twarz wobec strategii Eriki.

—Nie, ale nie możemy też pozwolić, żeby z powodu zwłoki sprzątnięto nam kontrakt sprzed nosa — mówi Helen. — Nie jesteśmy jedynym porządnym kwartetem na rynku. Pamiętasz, jak opóźnialiśmy powrót na Ridgebrook Festival i zamiast nas wybrali Skampa?

—Wiesz co, Helen — replikuje Piers. — Do wszystkiego podchodzisz na początku entuzjastycznie, ale czy pamiętasz koło garncarskie? Doprowadzałaś nas do szafu, aż wreszcie ojciec ci je kupił, a potem ulepiłaś na nim jeden garnek, i to nawet nieładny, i rzuciłaś to. Nadal stoi w garażu.

—Miałam szesnaście lat — mówi Helen, zraniona. — I jaki to ma związek? Jeśli Vellinger ukradną nam kontrakt, będzie to wyłącznie twoja wina.

—No dobrze — podsumowuje Piers. — Dobrze, dobrze, powiedzmy szalonej Shingle, że jesteśmy dość głupi, żeby zastanowić się nad jej pomysłem. Ale potrzebujemy czasu, żeby go przemyśleć. Nie możemy zdecydować się natychmiast. Odmawiam. Chodźmy do domu i zastanówmy się. Przez tydzień. Przynajmniej przez tydzień.

—Spokojnie — sugeruje Helen.

—Tak, oczywiście, spokojnie — mówi przygaszony Piers.

### 3.7

Zapada zmierzch po dziwnym dniu, tak pełnym zdarzeń. Muszę się przejść po okolicy. Już mam wyjść na zewnątrz Archangel Court, gdy zaczyna mnie siwowłosy, nienagannie wyglądający i dość tajemniczy pan Lawrence — pan S.Q. Lawrence.

— Hmm, panie Holme, czy mógłbym zamienić z panem słówko? W sprawie windy. Rozmawialiśmy z zarządem domu i... słówko z Robem... taka niewygodna... ale dosyć szczęśliwe zakończenie, zgodzi się pan?

Mało słyszę z tego, co mówi. Strzępy zdań jak spadające gwiazdy na horyzoncie docierają do mej świadomości. Zastanawiam się nad znaczeniem litery Q przed jego nazwiskiem.

— Tak, tak — zgadzam się bez oporu.

— Cóż, muszę powiedzieć — mówi pan Lawrence z zaskoczeniem, ale i z ulgą. — Liczyłem, że pan to powie. Oczywiście musimy brać pod uwagę innych mieszkańców wynajmujących na dłuższy okres... niezadowolające zachowanie... zwłaszcza niewygodne dla pana... oczywiście można by zmienić na Otisa... umowa serwisowa... wahadłowe i obrotowe... cóż, więc tak to wygląda.

— Bardzo przepraszam, panie Lawrence, muszę pędzić. Za chwilę zamykają piekarnię. Croissanty, rozumie pan. — Otwieram drzwi i wychodzę w wilgotną noc.

Zadaję sobie pytanie, dlaczego musiałem się tłumaczyć, że idę kupić croissanty? Kiedy znowu zobaczę Julię?

W piekarni jest nowa dziewczyna; świeża mimo tak późnej pory, wygląda i mówi jak Polka. Mijam greckie restauracje, australijski pub, budki telefoniczne z wizytówkami prostytutek przyklejonymi taśmą po wewnętrznej stronie. Potrzebuję bardziej pustych ulic. Skręcam na zachód ku białym skwerom.

Ich serca są pełne niedostępnych drzew. Spaceruję przez godzinę po pustych alejkach. Niebo jest zachmurzone, powietrze łagodne jak zimą. Gdzieś w oddali włącza się alarm w samochodzie, wyje przez pół minuty, potem milknie.

Wyznałem, że ją kocham, a ona nie odpowiedziała. Moje dłonie spoczywały na jej ramionach i czułem, że są spięte. Patrzyła przed siebie na duże okna i nagie, połamane przez wiatr gałęzie kasztanowca.

Gdy wracaliśmy przez park, prawie nic nie mówiła. Gałązki leżały porozrzucone po deptaku, mewy krzyczały nad okrągłym stawem. Prowadziłem niespójną rozmowę, jakby nie chciała odnieść się do tego, co powiedziałem.

Nudne srebrne kopuły Stakis Hotel: tam się pożegnaliśmy.

Pan i pani Hansen, i ich syn Luke. Kot? Pies? Złota rybka? Nie mogę telefonować do ich domu, ich przystani.

Gdybym mógł porozmawiać z nią dziś wieczorem, ukoiłoby to moje serce. Gdybym znów mógł ją objąć, odzyskałbym spokój.

### 3.8

Koło północy padam na łóżko, wyobrażając sobie, że jestem z nią. Nic mi się nie śni, być może dlatego, że jestem taki zmęczony.

O dziesiątej rano słyszę dzwonek domofonu. Patrzę na miniaturowy niebieski ekran i widzę jej twarz, trochę zniekształconą. Jej włosy przykrywa szal.

To zdumiewające: jakby myśl o niej ją wyczarowała.

—Michael, tu Julia.

—Cześć! Wejdź na górę. Właśnie się golę. Pierwsza winda, ósme piętro — mówię i naciskam przycisk.

Wydaje się skonsternowana przez tę wejściową procedurę. Otwiera wewnętrzne szklane drzwi i uśmiecha się. Po bardzo, jak mi się wydaje, długim czasie słyszę windę i dzwonek do drzwi. Otwieram.

—Och, przepraszam, jesteś zajęty — mówi, patrząc na mnie. Mam ręcznik przewieszony na ramionach, pianę na brodzie i szyi i idiotycznie szeroki uśmiech na twarzy. — Nie wiedziałam, że się golisz.

—Cud, że się nie zaciałem. Co cię sprowadza?

—Nie wiem. Byłam w okolicy. — Urywa. — Jaki widok! Jest cudowny.  
I tak ju jasno.

Podchodzę do niej, ale ona szybko mówi:

—Michael, proszę.

—Dobrze, dobrze, rozumiem, piana na twarzy. Włączyć jakąś muzykę?  
Zaraz skończę.

Kręci głową.

—Nie zniknij — mówię. — Nie jesteś tylko złudzeniem przy goleniu?

—Nie.

Po kilku minutach wychodzę z łazienki. Podążam za zapachem kawy do części salonu, która funkcjonuje jako kuchnia. Julia wygląda przez okno. Gdy staję za nią, odwraca się zaniepokojona.

—Mam nadzieję, że się nie gniewasz — mówi. — Zaparzyłam kawę.

—Dziękuję — odpowiadam. — Już dawno nikt tego dla mnie nie zrobił.

—Nie? Myślałam...

—Cóż, tak... ale ona tu nie nocuje.

—Dlaczego?

—Nie mieszkamy razem. Czasem ją odwiedzam.

—Opowiedz mi o niej.

—Jest studentką, skrzypaczką. Francuzka z Nyons. Na imię ma Virginie.

—Spodobałaby mi się?

—Nie wiem, chyba nie. Nie, nie to chciałem powiedzieć. Nie miałabyś nic przeciwko niej, tyle że nie miałabyś z nią wiele wspólnego. Chociaż ja ją lubię — dodaję, czując, że jestem nielojalny.

—W salonie nie widziałam żadnych zdjęć oprócz fotografii twojej rodziny — stwierdza Julia.

—Nie mam żadnych jej zdjęć — mówię szybko. — Chyba potrafiłbym ją opisać: czarne włosy, czarne oczy... nie, nie mogę. Nie umiem opisywać ludzkich twarzy.

—Cóż, podoba mi się płyn po goleniu, który ci dała.

—Hmm.

—Jak się nazywa?

—Hawana.



—Jak stolica Kuby?

—A jest jakaś inna Hawana?

—Nie, chyba nie ma.

—A mnie podoba się twój cytrynowy zapach. Co to jest?

—Michaelu, nie udawaj, że interesuje cię nazwa moich perfum.

—Prezent od męża?

—Nie, kupiłam je sama miesiąc temu. Spodobałby ci się James — mówi Julia.

—Oczywiście — odpowiadam bez sensu.

—Nie wiem, dlaczego przyszłam. To głupie z mojej strony. Byłam ciekawa, gdzie mieszkasz. Już tego dnia, gdy zobaczyłam cię na Oxford Street, wiedziałam, że mieszkasz blisko mnie.

—Skąd mogłaś to wiedzieć?

—Trzy pierwsze cyfry.

—Rozumiem.

—Znalazłam twoje nazwisko w książce telefonicznej. Nie zapamiętałam całego numeru.

—A jednak szukałaś.

—Tak.

—I nie zadzwoniłaś?

—Pamiętam, że pomyślałam, patrząc na te nazwiska: Holland, Holliday, Holli's, Holt i tak dalej: „To tylko nazwiska. Zwykłe nazwiska”. W wiedeńskiej książce telefonicznej przeczytałam oczywiście: Kind, Klimt, Ohlmer, Peters — nic się w mojej głowie nie dzieje, nic się we mnie nie porusza.

—Co ty mówisz, Julio?

—Beethoven, Haydn, Mozart, Schubert — nie rozumiesz, o co mi chodzi? To tylko nazwiska — czasem myślę, że nazwiska z książki telefonicznej. Nie, widzę, że nie rozumiesz. Ależ tu jest wysoko, wysoko, ponad wszystkim.

—Tak, cóż — mówię, chwytając się czegoś, co przynajmniej mogę pojąć. — Mieszkanie jest bardzo jasne, jak zauważyłaś. I ten widok na katedrę Świętego Pawła, co rekompensuje niskie ciśnienie wody. — Pokazuje

na kontakt. — Jeśli tu się włączy odkurzacz, można posprzątać całe mieszkanie. Trzy małe pokoje, żaden pałac, ale jest większe niż to w Wiedniu. Podoba ci się?

— Z mlekiem, bez cukru, czy tak? — odparowuje pytaniem Julia.

— Czarną.

— Słucham? — wydaje się zakłopotana, jakby ta zmiana moich nawyków oznaczała coś więcej.

Uśmiecham się, widząc jej zaskoczenie.

— Piję bez mleka.

— Dlaczego?

— Zawsze zapominałem je kupić, więc przyzwyczailem się do picia czarnej.

Zabieramy kubki do drugiej części pokoju i siadamy. Patrzą na nią, ona na mnie. O co chodzi w tej pogawędce i w tej ciszy?

— Cieszysz się, że przyszłam? — pyta.

— Tak, ale nie mogę w to uwierzyć — mówię. — To niewiarygodne.

— Nie przeszkadzam ci?

— Nie. A nawet gdybyś przeszkadzała, to co? Dziś rano nie mam żadnych lekcji, ale za godzinę mam próbę. Wczoraj wydarzyło się coś przedziwnego.

— Co się stało?

— Poproszono nas o nagranie *Kunst der Fuge* Bacha.

— *Kunst der Fuge*? Całej?

— Tak. Dla wytwórni Stratus.

— Michaelu, to wspaniale. — Twarz Julii rozjaśnia się ze szczęścia na samą myśl o tym; cieszy się moim szczęściem.

— Grywałaś fragmenty. Teraz też to robisz?

— Czasami. Nie za często.

— Mam nuty. A w drugim pokoju jest pianino.

— Och nie, nie mogę, nie mogę — gwałtownie protestuje, jakby osłaniając się przed niebezpieczeństwem.

— Dobrze się czujesz? — Dotykam jej ramienia i przykrywam je dłonią.

—Tak — odpowiada. Moja ręka przesuwa się do boku jej szyi. Odsuwa ją delikatnie.

—Przepraszam, jeśli cię zdenerwowałem. Bardzo chciałbym znowu usłyszeć, jak grasz. Bardzo chciałbym coś z tobą zagrać.

—O nie! — mówi smutno. — Wiedziałaś, że będziesz chciał żebyśmy zegrali razem. Niepotrzebnie przychodziłam. Wiedziałaś, że nie powinnam. Rozczarowałam cię.

—Julio, co ty mówisz? Nie jestem rozczarowany. Jak mógłbym?

—Szkola Luke'a jest tuż za rogiem. Odwiozłam go, potem siedziałam w samochodzie, zastanawiając się, co robić. — Wygląda na przerażoną. — Kiedy już zdecydowałam się do ciebie zadzwonić, było jeszcze za wcześnie, więc przesiedziałam godzinę w kawiarni i zmieniałam zdanie co dziesięć minut.

—Dlaczego nie zadzwoniłaś? Nie śpię od dziewiętej.

—Musiałam sama pewne sprawy przemyśleć. Nie chodzi o to, że byłam w okolicy. Chciałam cię zobaczyć. Byłeś ogromną częścią mojego życia. Nadal jesteś. Ale niczego od ciebie nie chcę, niczego skomplikowanego. Zupełnie niczego.

Czuję się, jakby główny temat rozmowy został na mnie wymuszony.

—Czym zajmuje się James? — pytam, wymawiając to imię tak spokojnie, jak tylko potrafię, chociaż wszystko się we mnie buntuje. Wolałbym nazwać go „twoim mężem”.

—Jest bankierem. Amerykaninem. Z Bostonu. Tam mieszkaliśmy po ślubie. Aż do przyjazdu do Londynu.

—Kiedy to było?

—Ponad rok temu... Luke tęskni za Bostonem. Często pyta, kiedy tam wrócimy, chociaż nie jest tu nieszczęśliwy. Jest pewnego rodzaju przywódca w swojej grupie.

—Ile ma lat?

—Prawie siedem. Sześć i dziesięć dwunastych, według niego. Lubi ułamki, ale nie jest małym kujonkiem, jest kochany.

Czuję przyspieszone bicie serca.

—Julio, kiedy wyszłaś za męża? Jak szybko po moim powrocie do Anglii?

— Około roku.

—Nie. Nie. Nie wierzę. Nie mogę. To niemożliwe. Mniej więcej wtedy rozmawiałem z twoim ojcem. Nic mi o tym nie wspominał.

Julia milczy.

— Czy James był w pobliżu, gdy ja tam byłem?

— Oczywiście, że nie. — W jej głosie pobrzmiwa nieomal nutka pogardy.

—Nie zniosę tego.

—Michaelu, lepiej już pójdę.

—Nie, nie idź.

—A twoja próba?

—Tak, zapomniałem... tak, chyba lepiej będzie, jak... Ale czy mogłabyś przyjść jutro? Proszę, będę na nogach koło dziewiątej. Nawet wcześniej. O której zaczynają się lekcje?

—O ósmej trzydziści. Michaelu, nie mogę tak po prostu zaprowadzić Luke'a do szkoły i potem spotkać się z tobą. Nie mogę. To byłoby zbyt — sama nie wiem — zbyt niewłaściwe.

— Dlaczego? Co zrobiliśmy?

— Nic. — Julia potrząsa głową. — I niczego nie chcę. Ty też nie. Prześfaksuj do mnie za dzień lub dwa. Oto mój numer.

— Prześfaksować do ciebie?

—Tak. Michaelu, wiem, że to głupio brzmi, ale pisz po niemiecku... Oboje używamy tego faksu, a nie chcę, żeby James się martwił...

—Dobrze. Wiesz, twoje oczy są dziś rano niezwykle niebieskie.

— Co? — Wydaje się zaskoczona. — Nie rozumiem...

—Twoje oczy. Czasem są niebieskoszare, czasem niebieskozielone, ale dziś są po prostu niebieskie.

—Proszę, przestań, Michaelu. — Julia się rumieni. — Nie mów w ten sposób. To mnie denerwuje. Naprawdę tego nie lubię. Już nie mam dwudziestu jeden lat.

Wychodzę z nią za drzwi. Wchodzi do windy. Jej twarz jest obramowana przez malutkie kółka i krzyżyki zewnętrznej szyby. Słysząc trzask i wewnętrzne drzwi z gładkiej stali zsuwają się szybko, zasłaniając jej przejętą twarz.

### 3.9

Zebraliśmy się na próbę programu kwartetów dwudziestego wieku — Bartoka, Szostakowicza, Brittena — ale zamiast pracować, przez ostatnie pół godziny dyskutujemy, czy przyjąć ofertę Stratusa.

Helen omiata Billy'ego piorunującym spojrzeniem. Billy czuje się nieswojo.

Problem, który Billy właśnie poruszył, łatwo omówić, ale trudno rozwiązać. *Kunst der Fuge* ma być zagrana przez kwartet smyczkowy, i to w zaplanowanej tonacji *d-moll* — Billy nie chce słyszeć o żadnej innej — ale niektóre fragmenty drugiego najwyższego głosu (granego przeze mnie) są poniżej zakresu skrzypiec. Mogę je zagrać na zwykłej altówce, co nie stanowi żadnej trudności. Jednak ponadto część fragmentów trzeciego najwyższego głosu (granego przez Helen) jest o kwartę poniżej możliwości altówki. I tu mamy kłopot.

—Nie mogę przestroić o kwartę, Billy. Nie bądź idiotą. Jeśli nalegasz na tę samą tonację, to po prostu będziemy musieli przetransponować te fragmenty o oktawę — stwierdza Helen.

—Nie — mówi uparty Billy. — Już to przerabialiśmy. To nie jest wyjście. Musimy zrobić to, jak należy.

—Więc có proponujesz? — pyta zdesperowana Helen.

—Cóż — mówi Billy, nie patrząc na nikogo konkretnego. — Moglibyśmy poprosić jakiegoś wiolonczelistę, żeby zagrał te wszystkie szczególne kontrapunkty, a ty zrobiłabyś resztę.

Cała trójka zwraca się w stronę Billy'ego.

—Mowy nie ma — mówię.

—To śmieszne! — mówi Piers.

—Co? — pyta Helen.

Synek Billy'ego, Jango, bawi się właśnie w odległym rogu salonu Helen. Czuje, że jego ojciec jest atakowany, i podchodzi. Żona Billy'ego, Lydia, która jest fotografikiem, czasem zostawia z nim synka, a jeśli akurat mamy próbę, Jango nam towarzyszy. Jest grzecznym dzieckiem i bardzo muzycznym. Billy mówi, że kiedy ćwiczy, Jango słucha go godzinami, a czasem nawet tańczy. Nigdy jeszcze nie przeszkadzał nam w grze.

Teraz Jango patrzy na nas wszystkich zmartwiony.

— Na konika — mówi Billy, sadzając go sobie na kolanach.

Helen niczym Meduza potrząsa w stronę Billy'ego rudymi lokami.

—Żałuję, że Erica w ogóle wspomniała o tak koszmarnym pomysłe. Tak się do tego przygotowywałam psychicznie — odzywa się Helen.

—Czy nie mogłabyś przestroić altówki o kwartę, przynajmniej najniższej struny? Czy byłaby za luźna? — pyta Billy.

Jego nieartystyczna sugestia spotyka się ze spojrzeniem pełnym obrzydzenia.

— Czasem, Billy — mówi Helen — wydaje mi się, że jesteś najbardziej idiotyczny z nas wszystkich. Już ci powiedziałam, że nie mogę.

—Och! — To cała odpowiedź Billy'ego.

—Więc co powiemy Erice? — pyta spokojnie Piers. — Od początku nie uważałem tego za genialny pomysł.

—Nic nie powiemy, Piers, nic nie zrobimy przez tydzień. Muszę mieć czas do namysłu — mówi Helen.

—Namysłu nad czym?

—Po prostu do namysłu — mówi ostro Helen. — Mam zrobić naprawdę cudowną rzecz, a ty mi to odbierasz. Nie pozwolę ci na to. To do ciebie podobne, Piers. Najwyraźniej cię to bawi.

—Dobrze, już dobrze — mówi Piers. — Kontynuujemy próbę? Mamy dużo do zrobienia.

—Zastanawiam się, czy moglibyśmy — odzywa się Billy niepewnie. — Zanim zaczniemy próbę...

—Czy moglibyśmy co? — pyta zdenerwowany Piers.

—Obiecałem Jango trochę Bacha, jeśli będzie greczny.



—Na litość boską — mówi Piers. Nawet ja jestem zaskoczony niewrażliwością Billy'ego.

—A dlaczego nie? — odpowiada Helen ku naszemu zaskoczeniu. — Zagrajmy to.

Więc stroję szybko i gramy pierwszy kontrapunkt *Fugi* Bacha. Biedna Helen. Spoglądam w lewo, ale teraz nie wydaje się bardzo spięta. Zauważam, że Piers też patrzy na nią z braterską troską. Billy spogląda na swojego synka, który siedzi przed nim z przekrzywioną głową. Nie wiem, ile z tego rozumie, ale z wyrazu jego twarzy; widać, że bardzo mu się podoba.

Utwór kończy się zbyt szybko.

— To nie było pożegnanie — mówi Helen zdecydowana. — To było *au revoir*. Nie zostawimy tego.

### 3.10

Wczesnym rankiem następnego dnia dzwoni telefon. Leżę w łóżku, myśląc o Julii, ale nie udaje mi się wyczarować jej na linii.

—Michael?

—Tak. Helen?

—Masz szczęście. Pamiętaj, jeśli usłyszysz kobiecy głos, nigdy pierwszy nie wypowiadaj imienia. Jeśli się pomylisz, zdenerwujesz ją.

—Helen, wiesz, która jest godzina?

—Nazbyt dobrze. Całą noc oka nie zmrużyłam. Wyglądam przerażająco.

—O co chodzi? — ziewam.

—Dlaczego Billy tak się zachowuje?

—Jak?

—Nieczekoladowo. Miękki z twardym wnętrzem.

—Billy to Billy.

—Porozmawiaj z nim. Proszę.

—W takiej sprawie to nic nie da.

—Myślisz, że tylko utwierdzi się w swoim zdaniu?

—Nie, Helen, wiesz równie dobrze jak ja, że to go nie utwierdzi, ale po prostu go nie zmieni.

—Tak, chyba tak. Właśnie dlatego musisz mi pomóc.

—Helen, kocham Bacha, bardzo chętnie znów zagrałbym na altówce, a ponadto chociaż raz my oboje mielibyśmy wspaniałe partie, ale to koniec. Co mogę zrobić? Piers już prawdopodobnie powiedział Erice, a ta powiedziała Shingle.

—Nie, wcale nie. Wymogłam na Piersie obietnicę, że przez tydzień nic tej choleralnej Erice nie powie.

—Więc jaka moja w tym rola?

—Pomożesz mi znaleźć altówkę, którą mogłabym przestroić o kwartę. Biorę kilka wdechów.

—Helen, i ty wiesz, i ja wiem, że altówka, każda altówka, jest zbyt mała nawet na dźwięki, które wydaje. Niżej nie da się jej przestroić. A już na pewno nie o kwartę.

—Ja to zrobię. Muszę. Zdobę wspaniałą siedemnastocalową gasparo da salo i ogromnie grube struny, i...

—...i osteopatologa, i fizykoterapeutę, i neurologa, i nawet to nie pomoże. Helen, nawet ja uważam coś powyżej szesnastu cali za niewygodne. Mówię to jako ktoś, kto ma kłopoty z palcami...

—Cóż, jestem twojego wzrostu — mówi Helen, której obsesja jest silniejsza niż próżność. — A ty jesteś przyzwyczajony do skrzypiec, więc oczywiście duża altówka będzie ci się wydawać niewygodna. Rozmawiałam z Erikiem Sandersonem. Powiedział, że to jest możliwe.

—Naprawdę tak powiedział?

—Cóż, on... on powiedział, że to interesująca propozycja. Jedziemy spotkać się z nim o trzeciej. Zakładam, że nie jesteś zajęty dziś po południu? Wezmę pożyczkę, jeśli będzie trzeba, i on zrobi dla mnie ten instrument.

—Kiedy rozmawiałaś z Erikiem Sandersonem?

—Tuż przed telefonem do ciebie.

—Helen! Jesteś niebezpieczna dla otoczenia.

—Cóż, ma dwójkę małych dzieci, więc zakładam, że rodzina budzi się o siódmej.

—I nasz mistrz wydawał się trzeźwy i skupiony, czyż nie?

—Nie, wydawał się zaspany i zaskoczony, tak jak ty, ale całkowicie zdolny do rozmowy.

—A dlaczego mam ci towarzyszyć?

—Potrzebuję moralnego wsparcia. My, głosy środkowe, musimy trzymać się razem. A ponadto dużo się nauczysz. Eric jest najlepszym lutnikiem na rynku, a ty musisz się dowiedzieć, dlaczego twoje skrzypce czasami brzęczą. Co więcej, chętnie pożyczę ci moją wspaniałą altówkę wtedy, gdy będzie ci potrzebna, a ja będę grała na niższej.

—Jesteś sprytniejsza, niż się spodziewałem, Helen.

—Jestem, jak to ujmuje Ricki Lake, tym wszystkim.

—Niestety, nie oglądam Ricki.

—Więc tracisz to, co w życiu najlepsze. Gdybym tylko poszła za jej radą, miałabym w swoim życiu mężczyznę, a w głowie pio senkę, a tak pozostaje mi wysoka samoocena. Ciebie też to dotyczy,

— Nie chcę mężczyzny w swoim życiu.

—Przyjadę po ciebie piętnaście po drugiej. Jego warsztat mie ści się w Kingston.

—Och, to tereny Kolei Brytyjskiej. Zdumiewa mnie, że zapuszczasz się tak głęboko w dżunglę.

—Beznadziejna choroba — mówi Helen. — Do zobaczenia po drugiej.

### 3.11

Odkładałam słuchawkę i leżę w łóżku z rękami pod głową. Od trzech dni nie mam wiadomości od Julii. Wstaję, przechadzam się po mieszkaniu, podnoszę żaluzje.

Włączam radio — stację numer 3. Mimo że mam pełen stojak płyt i mieszkam w mieście bogatym w koncerty, robię to i rano, i wieczorem prawie instynktownie. Ten program sprawia mi przyjemność i często zaskakuje, a kiedy mieszkałem w Rochdale, był dla mnie jedynym źródłem muzyki klasycznej. Co rok Halle Orchestra występowała w Champness Hall, trzy czy cztery razy w roku pani Formby zabierała mnie na recital

organizowany przez miejscowe towarzystwo muzyczne albo na coś specjalnego do Manchesteru, i to był cały mój kontakt z profesjonalnie wykonywaną muzyką klasyczną. Moje małe radio, które łąpało muzykę z publicznej stacji, było dla mnie wszystkim; godzinami słuchałem go w swoim pokoju. Było dla mnie równie ważne jak biblioteka publiczna w Manchesterze; nie wiem, czy bez tego zostałbym muzykiem.

W rozpraszającej się ciemności szukam Wenus. Już świta — na horyzoncie widzę warstwę różu z jedną prawie pionową kreską, jakby Lucyfer zjeżdżał z nieba. Nastawiam czajnik, opróżniam wazon, wyrzucam do śmieci grube gałązki ostrokrzewu.

Graję kantatę Bacha: *Wie schön leuchtet der Morgenstern...* Przypominam sobie jednego z ulubionych poetów komicznych Julii. Układam liścik po niemiecku, naśladując styl, z którego się naśmiewał, i drukuję go:

Niżej nie podpisany pragnie przedłożyć ten oto dowód swego ciągłego istnienia i uprasza odbiorcę o stawienie się (bynajmniej nie w trzech osobach) w jego skromnych, a jednak wyróżnionych progach pomiędzy dziewiątą a dziesiątą jutrzejszego ranka, a w razie niemożności dnia następnego.

A jeśli towarzyszył jej będzie duch świętej pamięci Johanna Sebastiana, Okaże on radość i wdzięczność swoją w niewypowiedzianej a obfitej mierze.

Składając zapewnienia o najszczerzych uczuciach swoich, pozostaje niezmiennie

W samej rzeczy niewypowiedzianie jej uniżonym sługą.

Podpisuję się wielkim zamaszystym podpisem nad nazwiskiem Otto Schnórkel. Tego typu rzeczy bawiły ją kiedyś, ale, jak mówi, nie ma już dwudziestu jeden lat.

Korzystając z instrukcji obsługi, usuwam swoje nazwisko i numer telefonu z informacji, która zwykle drukuje się nad przesłaną wiadomością, i nadaję faks.

Zarzucam splątana sieć. Skoro przeżyłem dziesięć lat nieobecności i pu-  
stego żalu, dlaczego te trzy dni wydają się nie do zniesienia?

### 3.12

Virginie dzwoni koło południa.

—Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś, Michaelu?

—Byłem bardzo zajęty.

—Zagrałeś bardzo dobrze, zostawiłam ci przynajmniej trzy wiadomości.

—Nie prosiłaś, żebym oddzwonił.

—Nie doceniasz mojej pochwały.

—Ależ tak, ale nie zdawałem sobie sprawy, że mamy coś pilnego do  
omówienia.

—Cóż, nic pilnego nie ma — mówi rozzłoszczona Virginie.

—Przepraszam, Virginie, masz rację, powinienem był oddzwonić, ale  
miałem dużo na głowie.

—Co?

—Och, to i tamto.

—I jeszcze coś innego.

—Co innego?

—Michaelu, ty zawsze mówisz: „to, tamto i coś innego”, kiedy czegoś  
unikasz.

—Niczego nie unikam — odpowiadam rozdrażniony.

—Kim ona jest?

—Kim kto jest?

—Spotykasz się z kimś nowym?

—Nie! Nie, nie spotykam się z nikim nowym — mówię z zaciętością,  
która zaskakuje i Virginie, i mnie.

—Och — mruczy ze skruchą, która sprawia, że czuję się winny.

—Dlaczego tak powiedziałaś?

—Po prostu tak czułam, ale ty naprawdę nie sypiasz z nikim innym, Mi-  
chaelu?

—Nie. Nie sypiam.

—Więc dlaczego nie sypiasz ze mną?

—Nie wiem. Po prostu nie wiem. Zdarzały się dłuższe przerwy. Mam teraz dużo na głowie.

Robię co w mojej mocy, by mówić spokojnie, ale to, że jestem zmuszony do kłamstwa, coraz bardziej mnie złości.

— Tak, Michaelu — odpowiada cierpliwie Virginie. — Już to mówiłeś. Czym się martwisz?

— Och, Bachem, *Fugą*, możliwością nagrania.

Virginie prawie nie reaguje na tę wiadomość. Żadnych gratulacji, zdumienia, nic.

— Naprawdę? — pyta. — Chciałabym dziś po południu ciebie zobaczyć. Chodźmy na popołudniówkę.

—Nie mogę, Virginie.

—A co robisz?

— Czy musisz wszystko wiedzieć? — pytam.

Po drugiej stronie następuje cisza.

—Skoro musisz wiedzieć, jadę do Erica Sandersona pokazać mu swoje skrzypce. Czasami brzęczą; wiesz, że mnie to martwi.

—Jedziesz sam?

—Cóż, nie... tak się składa, że nie. Helen musi się z nim spotkać w sprawie altówki.

—Helen? — pyta Virginie ciszej i odrobinę spekulacyjnie.

—Virginie, przestań. To mi działa na nerwy.

—Dlaczego mi nie powiedziałaś, że jedziesz z Helen?

—Bo nie pytałaś. Bo to nieważne. Bo nie musisz znać każdego szczegółu mojego życia.

—*Va te faire foutre!* — mówi Virginie i rzuca słuchawkę.

### 3.13

Helen kompletnie się gubi zaraz po przekroczeniu Tamizy. Ja pilotuję, korzystając z mapy. Jest niezwykle milcząca. Przypisuję to nie tylko temu,

że znalazła się na dziewiczym dla niej terenie, ale też temu, że sama chyba nie wierzy w rozwiązanie problemu z altówką.

— O co chodziło z tym kołem garncarskim? — pytam, by czymś ją zająć.

—Och, ten Piers — mówi niecierpliwie Helen. — Za każdym razem, gdy jesteśmy u mnie w domu, napada go zły humor i wyżywa się na mnie. Gdzie indziej zazwyczaj jest miły, przynajmniej wobec mnie. To wina mojej ciotki.

—Spróbuj zjechać teraz na lewy pas, Helen. Jak to wina twojej ciotki?

—Cóż, to ona zostawiła mi ten dom; no, może nie dosłownie jej wina. Miała rację, mówiąc, że kobietom jest w życiu ciężiej niż mężczyznom i że muszą się wspierać i tak dalej. Ale myślę, że najważniejsze było to, że nie akceptowała Piersa, czy raczej jego stylu życia. Naprawdę była bardzo miła. Lubiłam ją i Piers też ją lubił. Może nie powinniśmy ćwiczyć w tym domu, ale gdzie indziej? Gdy tylko przekroczy próg, zaczyna warczeć.

—Cóż, jeśli się mieszka w suterenie...

Helen przemyka na żółtym i odwraca się do mnie.

— Chciałabym, żeby dom był dość duży, by pomieścić nas oboje, ale nie jest. A Piersa stać chyba na większe mieszkanie. Ale on oszczędza na lepsze skrzypce, a ponieważ z natury nie jest oszczędny, więc to jest walka.

Po paru sekundach pytam:

—Czy wasi rodzice nie mogą mu pomóc?

—Mogą, ale nie chcą. Gdy tylko ojciec to proponuje, matka ma pianę na ustach.

—Och.

—Myślę, że przez ostatnie dziesięć lat bardzo się zestarzała i zgłupiała. Nigdy nie wiadomo, jacy się staną rodzice. Poruszyłam ten temat w czasie świąt i matka wpadła w szał: wszystkie skrzypce są tak samo dobre, po ich śmierci Piers będzie mógł zrobić, co chce, ze swoją częścią pieniędzy, ale dopóki ona ma jeszcze coś do powiedzenia i tak dalej.

—Piersowi musi być ciężko.



—W zeszłym tygodniu był u Beare'a, ale wszystko, co znalazł i co mu się podobało, było poza jego zasięgiem. Biedny stary Piers. Naprawdę mi go szkoda. Chce spróbować na aukcjach za parę miesięcy.

—Cóż, twoja altówka jest śliczna — mówię.

—Tak jak twoje skrzypce. — Helen kiwa głową. — Chociaż kochasz je bardziej, niż ma to sens.

—Właściwie nie są moje.

—Wiem.

—Spędziłem z nimi więcej czasu niż z jakąkolwiek ludzką istotą, ale nadal nie są moje. A ja nie jestem ich. Co ciekawe, ostatnio rzadko brzęczą.

—Hmm — mruczy Helen.

Przez chwilę jedziemy w milczeniu.

—Czy wiedziałeś, jaka będzie praca w kwartecie? — pyta Helen. — Że będziemy spędzać wspólnie tyle czasu?

—Nie.

—Uważasz, że to zbyt dużo?

—Czasem tak myślę, gdy jestem w trasie. Ale najtrudniej jest Billy'emu. W końcu on ma zobowiązania. Podwójne zobowiązania.

—A ty nie? — pyta Helen dość sztywno.

—Ja jestem tylko połowicznie związany. Albo połowicznie nie związany. To to samo.

—Rozmawiałam niedawno z Lydią po koncercie. Mówiła, że czasem torba Billy'ego stoi w korytarzu jeszcze nie rozpakowana, a tu już czas znów ją pakować. Myślę, że dla współmałżonka to też jest trudne.

—Więc jakie jest rozwiązanie problemu związków? Przelotne romanse? — pytam.

—Nie wiem — odpowiada Helen. — Pamiętasz Kyoto?

—Oczywiście, ale nie próbuję.

—Przypominam sobie — mówi Helen — od czasu do czasu. — Uśmiecha się do siebie, nie do mnie.

—Helen, to było przelotne. Aleja się tak nie czuję. I nigdy nie będę. To też dobrze.

—W Quartetto Italiano kobieta była żoną wszystkich trzech mężczyzn po kolei.

—Cóż, w Quartetto Maggiore oznaczałoby to bigamię i kazirodztwo.

—Ale nie z tobą.

—Helen, ja nie jestem dobry dla nikogo. Powinnaś to zrozumieć raz na zawsze.

—Z pewnością nie dla Virginie.

—Być może jestem dla niej taki ostry dlatego, że jest moją studentką. Nie wiem. Chciałbym umieć się powstrzymać.

—Ani dla Julii? — Helen, nie słysząc odpowiedzi, przygląda mi się bardzo uważnie. — Byłeś bardzo zajęty od tego wieczoru w Wig.

—Helen, skupmy się. Zaraz będzie dość skomplikowany zjazd, później skręt w prawo, a potem w lewo po około stu jardach. Już prawie jesteśmy na miejscu.

Helen kiwa głową. Jest dość mądra, by nie naciskać.

### 3.14

Eric Sanderson jest dużym mężczyzną koło czterdziestki. Nosi brodę i ogromne sówie okulary.

Jego pracownia na strychu pełna jest drewna w różnych stadiach tworzenia: od głuchych pni po nastrojone i zaopatrzone w struny skrzypce, altówki i wiolonczele. Para dziewcząt w fartuchach puka i hebluje. Czuć zapach ambrozji: połączony zapach wielu rodzajów drewna, olejów, żywicy i lakierów.

— To dopiero kłapa — mówi, pokazując nam porządnie wyglądające skrzypce ustawione przy drzwiach. — Rzadko spotykana kłapa, muszę dodać. Ale jest na nie kupiec. Co mam począć? Muszę z czegoś żyć. Ktoś je podnosi, gra na nich i mówi: „Takie właśnie chcę”. Więc co mogę zrobić? Chciałbym powiedzieć, że tych nie sprzedam, że mają kiepski dźwięk... ale wtedy przychodzi z banku list o zadłużeniu... Chociaż, nawet jeśli je sprzedam, wolałbym,

żeby świat o nich nie wiedział. Ale oczywiście, po roku czy dwóch nawet dobre skrzypce mogą zacząć źle brzmieć. Albo na odwrót, nie sądzicie?

— Zgadzam się — odpowiada Helen zaskoczona i rozbrojona.

—Naturalne? — pyta Eric, patrząc na włosy Helen.

—Tak — odpowiada Helen, rumieniąc się.

—Dobrze. Dobrze. Ostatnio dużo henny dookoła. Ciekawy pigment. Czy Strad by go używał, gdyby wtedy istniał? Ognista czerwień.

—Ognista czerwień?

—Tak. Ognista czerwień. Ten cudownie czerwony kolor, ciemnoczerwony lakier. Co to za zmiana po tych bladych żółciach. Stradivari używa jej w Cremonie, Gagliano w Neapolu, Tononi w Bolonii, a... ale ty masz dla mnie tononiego, prawda? — pyta, odwracając się do mnie.

—Tak, ale moje nie są czerwone.

—Och — mówi Eric zgaszony. — Nigdy tego nie zrozumieć. Stary Johannes ma tę piękną czerwień w Bolonii, a młody Carlo wyjeżdża do Wenecji i powraca do starej żółci. Dlaczego?

—Dlaczego?

Przygląda mi się uważnie przez grube szkła swoich okularów. Dwie uczennice pracują dalej, nie zaniepokojone okrzykami mistrza.

—Niestety nie wiem — odpowiadam. — Ale chyba jestem do nich przyzwyczajony i naprawdę podoba mi się ten kolor. To niezwykły żółcień, jakby miodowobursztynowy. — Wyjmuję skrzypce z futerału. Eric Sanderson je ogląda.

—Tak — mówi z aprobatą. — Całkiem znośny kolor jak na miodowobursztynowy. Ale czasami brzęczą? Proszę coś zagrać.

Gram około pół minuty partity Bacha.

Patrzy pełen wątpliwości.

—Nie za wiele brzęczenia. Ale zakładam, że w towarzystwie są nieśmiały. Zostaw je tutaj.

—Naprawdę nie mogę — odpowiadam. — W każdym razie nie w tym tygodniu.

—Więc jak mogę ci pomóc? Jaka jest historia problemu?

—Trochę brzęczały podczas naszego amerykańskiego tournée w zeszłym roku. Dałem je do obejrzenia parę miesięcy temu, ale po kilku tygodniach znów grały głośniej. Teraz się uspokoiły, ale boję się, że znowu zaczną.

—Może być wiele przyczyn. Więc pojechaliście na Alaskę i na Hawaje w tym samym tygodniu?

—Tak się składa, że ani tam, ani tam.

—Los Angeles i Chicago?

—Tak.

—W dzisiejszych czasach ludzie za dużo podróżują — stwierdził Eric Sanderson. — I za szybko. Gdyby byli z drewna, dwa razy by się nad tym zastanowili. Hmm, trochę starte — mówi, sprawdzając wnętrze denty-stycznym lusterkiem. — Chociaż nie jest tak źle. Żadnych widocznych pęknięć. To może być cokolwiek. Niedawno byłem na wystawie weneckich instrumentów. Takich jak Gaudy. Mnóstwo plotek. „Całe wieki cię nie widziałam, moja droga. Czy słyszałaś o La Fenice?” W porę udało mi się uciec. Biedna stara Serenissima. Oczywiście teraz beznadziejna muzycznie, ale to tam wszystko się narodziło — opera, anty fonia... któż to tak wtedy rozprawiał?... Skąd je masz?

—Rochdale.

—Rochdale, mówisz? — Sanderson gładzi brodę, marszcząc brwi.

—Tak.

—W tej nazwie nie ma poezji. Nie, zupełnie brak w niej poezji. Ashby-de-la-Zouch: to jest coś. Posłuchaj: sandarak, damara, mastykowiec, kalfonia... — Nuci te nazwy z mistycznym nabożeństwem.

Helen wzdycha.

—Poezja znaczy dla mnie więcej niż muzyka — wyznaje Eric Sanderson. — Tak czy inaczej, większość muzyków bierze leki na nadciśnienie. To cię będzie drogo kosztowało — mówi, zwracając się do Helen, która wygląda na nieco skonsternowaną.

—Naprawdę? — pyta Helen rozdrażniona szybką zmianą tematów.

—I nie jest tego warte. Z rozmowy telefonicznej wnoszę, że chcesz, bym zrobił instrument w jednym konkretnym celu. *Scordatura*. ..

*scordatura*... to dopiero smaczne słowo. Ale jak taka altówka przeżyje resztę swojego życia? Nie grana, nie czczona i nie nastrojona.

— Cóż — mówi Helen. — Być może później można by ją normalnie nastroić i mogłabym grać na niej jak na każdej normalnej altówce.

Spotyka się to z milczeniem i dalszym odchodzeniem od tematu.

— Ja wierzę w sykomorę i angielskie lasy — oznajmia Eric Sanderson. — Dlaczego wszyscy mają używać włoskiego klonu? Czy Włosi nie używaliby sykomory, gdyby tu mieszkali?

— Jestem pewna, że tak — mówi Helen.

— Używali buku, używali topoli, używali... cóż, nawet ślimak... tu grusza, tam heban, cokolwiek, co akurat było pod ręką. Kiedyś podziwiałem pewien projekt, gdy ktoś powiedział: „Ale przecież to zwykły ślimak”. „Ślimak nigdy nie jest zwykły”, odpowiedziałem. — Zwraca się w moją stronę. — Z tego, co wiem, to właśnie może być przyczyną tego brzęczenia.

— Ale czy możesz to zrobić? — pyta zawodzącym głosem Helen.

Sanderson puka w gipsowy odcisk zwoju wiolonczeli.

— Myślałem o tym — mówi. — Moją pierwszą reakcją było: to wyzwanie. Ale po zastanowieniu... sprawy mają się tak: przestroić o sekundę, nie ma sprawy. Prawdopodobnie sama mogłabyś to zrobić na własnej altówce. Minorowa tercja, to już bardzo ryzykowne. Majorowa tercja, uważam, że niemożliwe. Nawet gdyby udało ci się wydobyć z niej dźwięk, byłby to dźwięk sflaczały. O kwartę... ale dlaczego ktoś przy zdrowych zmysłach chciałby przestroić altówkę o kwartę? A tak, *Kunst der Fuge*, wspominałaś, *Kunst der Fuge*. Mój umysł nie jest zbyt bystry o tej porze dnia. A moje córki domagają się śniadania. Wiecie, uważam, że powinniście spróbować w bractwie wczesnej muzyki. Oni doradzą wam dużo lepiej niż ja. Mają większe doświadczenie w strojeniu i przestrajaniu. Podam wam parę numerów.

— Więc nie możesz tego zrobić?

Eric Sanderson wydyma wargi.

— Czy naprawdę chcesz wyrzucić siedem czy osiem tysięcy funtów na coś tak specyficznego? Cóż, byłby to ciekawy problem projektowy. Ale musiałyby być bardzo duże.

— Raz grałam na siedemnastocalowej altówce — mówi Helen. — Po jakimś czasie przestała być niewygodna.

— Czy to był dobry instrument?

— Był cudowny.

— Na twoim miejscu — radzi Eric Sanderson — a mówię to wbrew własnym interesom, zdobądź tamtą altówkę i porozmawiaj z wczesnymi ptaszkami. To dziwni ludzie, ale znają się na rzeczy.

W samochodzie Helen siedzi milcząca. A gdy przejeżdżamy przez Albert Bridge, stwierdza:

— Nie powiedział mi niczego, czego nie mógłby powiedzieć przez telefon.

— Cóż, chyba masz rację, ale zawsze to lepiej...

— Powiem Piersowi, że wszystko załatwiłam. Musimy zacząć nagrywać. Mam altówkę, jaką chcę.

— Ale, Helen, to kłamstwo. Wcale jej nie masz.

— Mam — mówi Helen. — Widzę ją oczyma wyobraźni. Słyszę ją w myślach. Istnieje.

Helen jedzie beztrąsko przez Chelsea.

— Pójdiesz ze mną do tych specjalistów, prawda? — pyta.

— Nie, nie pójdę.

— Och, Michaelu, nie bądź nierozsądny. Zawsze byłeś taki pomocny. Jak ustawiłabym swoje półki bez ciebie?

— Nie, Helen, nie. Nie próbuj mnie w to wciągnąć. I nie zgadzam się, żebyś powiedziała Piersowi, że rozwiązałaś problem. Nie rozumiesz, jak nam będzie trudno później się z tego wycofać?

— Nie będziemy musieli — mówi spokojnie Helen. — Zatrzymajmy się na kawę. Jaka to ulga być znowu w Londynie.

Niespokojna noc, po niej niespokojny ranek. O jedenastej, kiedy już przestałem na nią czekać, Julia dzwoni do moich drzwi. Mój zachwyty jest oczywisty. Tak jak i moje zaskoczenie. Jest zdumiewająco dobrze ubrana: długi czarny kaszmirowy płaszcz, szara jedwabna suknia, opałowe kolczyki. Włosy upięte ma w kok. Wyciąga do mnie rękę, aby powstrzymać, jak się domyślam, próbę pocałunku.

— Twój dozorca wpuścił mnie do budynku. Musiał zapamiętać moje wysiłki ostatnim razem.

— Nie dziwi mnie to.

— Ale tym razem nie zajął mnie rozmową.

— To też mnie nie dziwi. Wyglądasz zjawiskowo.

— Tak mi przykro, coś mnie zatrzymało.

— Och, tym się nie przejmuj — odpowiadam, pomagając jej zdjąć płaszcz. — Ale po co ta elegancja o jedenastej rano?

Julia nic nie odpowiada, tylko podchodzi do dużego okna.

— Jak pięknie wszystko stąd wygląda — mówi. — Park, jezioro, dalekie wzgórza po obu stronach. A cała dolina pomiędzy nimi pełna ludzi. Dziś rano, gdy się ubierałam, zadałam sobie pytanie: kim jest Londyńczyk? Ty nim nie jesteś, ja też nie, ani James, Luke nie chce nim być. Dziś w City jest jakiś lunch i z jakiegoś powodu James chce, żebym tam poszła. Na pewno się zastanawiasz, dlaczego mam na sobie to wszystko.

— O której jest ten lunch?

— O wpół do pierwszej. Mam przedtem kilka spraw do załatwienia, więc się spieszę. Nie mogę długo zostać. Nie przyniosłam Bacha, ale przyniosłam coś innego. Może być?

— Ależ tak! Tak, oczywiście.

Wchodzimy do małej dźwiękoszczelnej kabiny. Ustawiam lampę tak, że światło pada na nuty na pianinie.

— Nie trzeba, nie mam nut. To tylko jedna część i znam ją bardzo dobrze. Ty też ją sobie przypomnisz.

Siadam obok niej.



Julia zaczyna grać, nawet nie sprawdzając dźwięku pianina. Cztery pierwsze nuty prowadzą mnie do studenckiego koncertu w Wiedniu, gdzie się poznaliśmy. To wolna część *Sonaty C-dur*, K.V. 330 Mozarta.

W jej grze jest coś delikatnego, niezwykle dziwnego i przejmującego, jakby próbowała przemówić do czegoś więcej niż tylko do mojego słuchu. Nie potrafię tego określić, ale jestem poruszony. Siedzę z głową w dłoniach, a Mozart kapie nutką po nutce do moich myśli.

Kończy i patrzy na mnie wyczekująco.

—Nie spodziewałem się czegoś takiego — mówię.

—Było dobrze? — pyta.

— Nie. Nie było dobrze. — Potrząsam głową. — Było trochę lepiej niż dobrze... Czasami przez te wszystkie lata myślałem, że nie żyjesz.

Julia marszczy brwi, jakby usiłując zrozumieć, co mogło wywołać taką uwagę, i mruczy:

— Muszę już iść.

— Nie odchodź od razu. Może kawy? — proponuję, gdy wychodzimy na korytarz. — Albo herbaty? Czy powiedziałem coś niewłaściwego?

— Naprawdę nie mogę. — Spogląda na zegarek.

— Chciałbym, żebyś posłuchała fragmentu czegoś innego — mówię, usiłując zyskać na czasie.

—Co to jest?

—Jedna podróż sentymentalna zasługuje na drugą.

—Nie drocz się, Michaelu. Co to jest?

—Nie dowiesz się, jeśli nie posłuchasz. Zapomnij o swoich sprawach. Włączę płytę. To stary przyjaciel, tyle że odmieniony. Ale nie powiem ci, co to jest.

—Czy masz to na płycie kompaktowej? — pyta Julia zaskoczona. — Czy mogę ją pożyczyć? Naprawdę nie mam czasu teraz jej posłuchać. I naprawdę nie chcę wybuchnąć przed tobą płaczem.

—Jest na płycie winylowej.

—To świetnie. Mamy adapter.

Zdejmuję okładkę *Kwintetu smyczkowego* Beethovena i podaję jej płytę w zwykłej białej koszulce.

— Nie wolno ci spojrzeć na logo wytwórni na płycie — mówię.  
— Albo lepiej oddaj mi ją na chwilę. Czasem trudno jest się powstrzymać od przeczytania czegoś. Chcę zakleić napis.

— Po co ta cała tajemnica?

— Żebyś nie wiedziała, co to jest, dopóki nie usłyszysz kilku pierwszych nut.

— Masz też nuty?

— Tak się składa, że mam.

— Daj mi je w kopercie. Obejrzę je później.

Gdy pomagam Julii włożyć płaszcz, czuję nieodpartą chęć, by ją objąć i pocałować. Ale widzę, że tego właśnie się obawia. Muszę się trzymać niewinnych zasad tych wizyt, dla niej tak przepelnionych niepokojem. Jednak jej gra stworzyła niezwykle intymny nastrój. Płyta, którą trzyma, przypomina mi o naszym triu. Julia stoi tak blisko, że słyszę, jak oddycha.

Czekam z nią na windę, szczęśliwszy i bardziej niespokojny po tych kilku minutach spędzonych razem.

Tym razem, gdy jest już w środku, przyciskam nos do oplecionej siatką szyby, a gdy winda sunie w dół, widzę i słyszę, że Julia się śmieje.

### 3.16

Późno w nocy dostaję od niej faks napisany po angielsku:

Najdroższy Michaelu,

nie mogłam w to uwierzyć. Nigdy tego nie słyszałam. Nigdy nawet o tym nie słyszałam. Wiesz, ile znaczyło dla mnie to *Trio*.

Czy możemy się spotkać jutro rano około dziewiątej? Zakładam na podstawie Twojego wcześniejszego faksu, że nie jesteś zajęty. Jeśli z jakiegoś powodu jest inaczej, proszę, przefaksuj mi odpowiedź.

Julia

Czytam i czytam ten liścik. Pierwsze i ostatnie słowa, napisane tym samym charakterem pisma, skracają lata przerwy. Nie napisała „Całuję”, ale z pewnością nie można być „najdroższym” bez tego.

O dziewiątej, znów ominąwszy domofon, Julia dzwoni bezpośrednio do moich drzwi. Myślę, że Rob musi być nią zauroczony, chociaż dziś przyszła w dzinsach.

— Co znasz na pamięć z Mozarta? — pyta bez wstępów, prowadząc mnie do dźwiękoszczelnej kabiny.

—Z jego sonat skrzypcowych?

—Tak.

—Dlaczego pytasz?

— Nie chcę, żebyś stał za moimi plecami i przyglądał mi się przez ramię.

Patrzę na nią ze zdumieniem.

—Mógłbym mieć swoje nuty oddzielnie na pulpicie — mówię.

—Odpowiedz na pytanie — domaga się Julia.

—Masz na myśli całą sonatę? Żadnej, chyba żadnej. Nie teraz.

—Wystarczy fragment — dodaje. — Fragment to nawet lepiej. Druga część *e-moll* — Nuci frazę dokładnie w tonacji.

—Tak! — mówię, trochę zamroczony oczekiwaniem. — Myślę, że to jeden z niewielu, które znam na pamięć, prawie na pamięć. Niedawno go słuchałem, ale nie grałem chyba od kilku lat. Będę musiał spojrzeć na nuty... O, tu są. Zostawię nuty otwarte i będę spoglądał na nie tylko wtedy, gdy się zatnę. Stanę tutaj, jeśli chcesz. Ale dlaczego nie chcesz, żebym zaglądał ci przez ramię?

—Nazwij to kaprysem.

—Dobrze. Pozwól mi nastroić. Zagrajmy „a”.

Przez chwilę spoglądam na dwie kartki nut mojej partii i mówię jej, że jestem gotowy. Radosne wspomnienie Wiednia zalewa moje myśli.

Gramy fragment. Odnoszę wrażenie, że Julia mnie prowadzi. Jej partia jest ciągła — nie ma wejść, kiedy musi czekać na mój znak. Przegapia — czy to ja przegapiłem? — moment, w którym oboje zaczynamy po pauzie. Jej wzrok często spoczywa na mnie. Ale znów jest, tak jak wczoraj, inten-

sywność, wczucie się w siebie; cudownie subtelna bezpośredniość napętnia jej grę, a przez osmozę także i moją.

W jednej zygzakowatej schodzącej linii gram „a” zamiast „a” z krzyżkiem, dość poważny błąd, ale ona nic nie mówi, ani wtedy, ani później. Być może postanowiła nie być dla mnie zbyt surowa za pierwszym razem. A może widzi wszystko z pewnej perspektywy i nie chce pedantycznie czepiać się jednej nuty w całym intensywnie zagrany fragment.

—Czy zagramy też drugą część? — pytam, gdy kończymy.

—Niech tak zostanie — odpowiada. Patrzymy na siebie.

— Kocham cię, Julio. Być może nie ma sensu tego mówić, ale wciąż cię kocham.

Wzdycha, nie ze szczęścia. Jej palce masują nieobecny pierścionek. Ponowne zakochanie się w niej, choć nigdy jej nie zapomniałem, dużo mnie nie kosztuje. Dla niej, kiedy już udało się jej wymazać mnie z myśli, a nawet zmienić nazwisko, mogłoby to być też bardzo kosztowne.

— Ja... ciebie — mówi nareszcie głosem tak pełnym żalu, że mogłaby mówić coś wręcz przeciwnego.

Nawet się nie dotykamy, by potwierdzić to, co powiedzieliśmy. Wtedy delikatnie, lekko całuję ją w szyję. Oddycha wolno, ale nic nie mówi.

—Więc? — pytam.

Uśmiecha się smutno.

—Granie i miłość — to trochę zbyt łatwe równanie.

—Powiedziałaś mu o mnie.

—Nie. Nie wiem, co zrobić z tym ukrywaniem: faksy po niemiecku, spotkania u ciebie... ale tak naprawdę czuję się, jakbym to Luke'a...

—Zdradzała?

—Boję się tych wszystkich słów. Są takie ostre i wściekłe.

—A muzyki?

—Tak, muzyki też, w pewien sposób. Ale o niej mogę przynajmniej z tobą rozmawiać. Tak byłam głodna rozmów o muzyce i grania jej z kimś, kto rozumie mnie taką, jaką byłam dawniej, przed tymi wszystkimi zmianami w moim życiu.

Biorę ją za rękę. Potrząsa głową, ale nie cofa dłoni.

— Co powinienem powiedzieć, Julio? Co byś chciała, żebym powiedział? Mnie jest łatwo powiedzieć Kocham, Kocham, Kocham. Nie jestem żonaty.

— A twoja przyjaciółka z Lyon wie o tym?

—Z Nyons. Nie. Nie wie... Co czytałaś tego dnia, gdy zobaczyłem cię w autobusie?

—Nie pamiętam. Czy to nie dziwne? Zupełnie nie pamiętam. A przecież to coś takiego, czego się nie zapomina.

—Nigdy się nie pozbierałem po stracie ciebie. Musisz to wiedzieć. Ale teraz tak bardzo boję się z tobą rozmawiać, boję się tego, że powiem niewłaściwe słowo i nie zobaczę cię nigdy więcej. Czy między nami wszystko tak bardzo się zmieniło?

—Nie wiem. Nie wiem. Właśnie odwiozłam Luke'a do szkoły. Nie jest szczególnie muzykalny. Michaelu, to straszne. Naprawdę nie możemy.

Zamyka oczy. Całuję je.

—Więc?

—Widzę kilka siwych włosów — mówi.

—Są niezasłużone — tłumaczę.

—Wątpię.

Całuje mnie. Obejmuje ją w tym dźwiękoszczelnym pokoju, z dala od światła i ruchu Bayswater i wszystkich sieci świata. Obejmuje mnie, jakby nie mogła znieść myśli o tym, że mógłbym ją jeszcze raz opuścić.

### 3.17

Słońce pada na nasze ciała. Julia nie chce opuszczać żaluzji. Przeczesuję palcami jej włosy, teraz dłuższe niż kiedyś. Kochamy się nie z czułością, ale z ekstazą zrodzoną z głodu — a jednak czuję, jak odpływa z niej napięcie. Nie chce, bym mówił, nie mówi też sama, ale jej oczy są utkwione we mnie i gotowe odczytać każdy wyraz. Zapach jej ciała zmieszany z lekkimi perfumami doprowadza mnie do szału.

Potem, gdy wracam do łóżka, opiera głowę na moim ramieniu i zasypia. Nie mogę spojrzeć na jej twarz. Lekko kładę moją wolną dłoń najpierw na

jednej powiece, potem na drugiej. Jest daleko, w jakimś innym świecie, poza moim zasięgiem. Gdzieś w oddali przelatuje helikopter, ale hałas jej nie budzi. Chwilę później znowu wstaję, delikatnie uwalniając swoje ramię. Przez chwilę, nie dłużej niż pół minuty, obserwuję ją. Być może to czuje. Jej oczy się otwierają; patrzy na mnie, jakby czytała w moich myślach. W jej twarzy najpierw pełnej pożądania, a potem spokoju, widzę powracającą ambiwalencję.

— Lepiej już pójde, prawda, Michaelu?

Kiwam głową, chociaż nie mogę się zgodzić. Próbuje się uśmiechnąć na pocieszenie. Prawie nigdy nie kochaliśmy się w świetle dziennym, kiedy byliśmy razem, nie wiem dlaczego. Moje myśli zajmuje wiele spraw: obejmują wszystko od momentu, gdy pierwszy raz zobaczyłem ją jako student, aż po wszystkie sceny, słowa i gry tych kilku ostatnich dni. Wiem, że są sprawy, które mnie niepokoją, nie mogę się z nimi pogodzić, ale nie potrafię ich określić. Jednak myśl o tym, co się stało, przepala się przez te lekkie, nie uładzone mgiełki.

### 3.18

Chociaż wyszła godziny temu, pokój nadal nią pachnie. Mija dzień, dwa. Nie mam od niej żadnej wiadomości: ani telefonu, ani faksu lub listu, ani wizyty.

Za dnia i w nocy zanurzam twarz w pościel. Jestem we wszystkich godzinach, które kiedykolwiek razem spędziliśmy. Jestem we wszystkich pokojach, w których kiedykolwiek razem byliśmy.

### 3.19

Minęły trzy dni. Dłużej tego nie wytrzymam. Spaceruję po parku, żeby uspokoić myśli.

Platany są nagie, ale ich łuszczącą się korę rozjaśnia światło. Fontanny przy końcu Long Water, parę tygodni temu suche, otoczone błotem, teraz znów szumią. Pojawiają się przebiśniegi i gdzie-niegdzie nieśmiały kro-

kus. Wierzby płaczące nad Serpentine znowu ożyły, wszystkie są już jasnozielone.

Jest koło trzeciej po południu. Lekcje wkrótce się skończą. Czy odbierze Luke'a ze szkoły? Bezwiednie idę na róg skweru. Obserwuję ulicę, leniwie, czujnie. Więc po to wyszedłem z domu, by jej wypatrywać?

Pojawia się, idzie szybkim krokiem. Wchodzi po schodach i staje wśród innych kobiet. Po kilku minutach pojawiają się mali chłopcy w małych zielonych czapczkach; uściskani i ucałowani zostają zabrani przed szkołą.

Julia i Luke idą, trzymając się za ręce, wzdłuż skweru, potem skręcają, zatrzymują się przy ranę roverze i wypuszczają ogromnego brązowego psa z czarnym pyskiem, który tak bardzo cieszy się na ich widok, że trudno zapiąć mu smycz.

Są teraz na mojej ulicy. Obserwuję ich okiem outsidera: mały chłopiec w czapce, dobrze, ale swobodnie ubrana kobieta średniego wzrostu idąca cudownie niespiesznym krokiem — jej włosy są bardziej złote niż brązowe, ale z daleka nie widzę jej twarzy; obok nich ogromny złotobrazowy pies o śmiesznych, niezgrabnych ruchach, którego obecność czyni rodzinę nietykalną.

Widzę teraz jej zatroskaną twarz; właśnie minęła mój dom, spoglądając w górę. Teraz idą dalej, w stronę parku.

Zatrzymują się przy przejściu dla pieszych. Pies męczy się na smyczy. Chłopiec opiera się policzkiem o rękę matki.

Znowu jestem w parku. Podążam za nimi, patrząc z daleka, jak spacerują alejkami wśród młodych lip; chłopiec i pies bawią się na trawie. Kilka minut później pies, którego pysk przypomina misia grizzly, przebiega obok mnie, szczekając, potem zawraca i biegnie do swojego właściciela.

— Buzby! Buzby! Chodź tutaj. Dobry pies! — woła Luke dziecięcym głosem.

Julia spogląda za siebie, zatrzymuje się i coś w jej postawie mówi mi, że mnie dostrzegła. Waham się, ona się waha i zaczynamy iść ku sobie. Chłopiec i pies biegają wokół niej jak nieregularnie zderzające się planety.

—Cześć — mówię.



—Cześć.

—Więc to jest Luke?

Chłopiec patrzy pytająco na matkę.

—Tak. Luke, to jest Michael.

—Cześć — witam go.

—Cześć — mówi Luke, ściskając mą dłoń.

—Często tu przychodzisz? — pytam.

—Czasami, kiedy mama odbiera mnie ze szkoły.

—Nasz pies to lubi — wyjaśnia Julia. — Za naszym domem jest ogród komunalny, całkiem duży, ale pies woli park.

—Buzby! — mówię, głaszcząc psa po głowie. — Ładny pies, ładne imię.

Julia patrzy na mnie zdumiona.

—Słyszałem, jak Luke do niego wołał — wyjaśniam.

—A tak, oczywiście — odpowiada Julia.

Buzby rusza, by poszczekać na drzewo. Luke podąża za nim.

—Minęły trzy dni — mówię.

—Tak — potwierdza Julia, uśmiechając się do mnie.

—Byłem taki szczęśliwy. Jestem taki szczęśliwy. Dlaczego zniknęłaś?

—Nie zniknęłam. Oto jestem.

—Jesteś szczęśliwa?

—Cóż mogę odpowiedzieć? Ale jestem szczęśliwa, że cię widzę.

—Czy naprawdę często tu przychodzisz? Czy mogłem spotkać cię tu przypadkiem w zeszłym roku?

—Nie tak często. Mniej więcej raz na dwa tygodnie. Zimą rzadziej. I cóż, spotkaliśmy się tu przypadkiem, czyż nie?

Zaczynam się śmiać. Ona też. Wraca Luke. Przygląda się nam spokojnie, lekko marszcząc brwi.

— Mamo, oprowadźmy Buzby'ego wokół Okrągłego Stawu — sugeruje Luke, wyraźnie wymawiając słowa z odrobiną, jak sędzę, bostońskiego akcentu. Przygląda mi się z zainteresowaniem, a ja patrzę na niego. To ładny dzieciak, ma dużo ciemniejsze włosy niż Julia; takie właśnie mógłby mieć, gdyby był naszym synem.

—Myślę, że powinniśmy wracać — mówi Julia. — Niedługo zrobi się ciemno.

—To była wiewiórka — odzywa się Luke, by zwrócić moją uwagę. — Szaleje, kiedy widzi wiewiórki. Wrócimy za pięć minut. Obiecuję, mamó.

—Luke, powiedziałam nie. — Julia jest stanowcza. — Mam już dość spacerów.

—Więc Michael może iść z nami — stwierdza Luke, chwytając mnie za rękę. — Buzby go lubi. — Jakby na potwierdzenie tych słów Buzby wraca i zatrzymuje się czujnie przed nami.

Julia patrzy na mnie, ja na nią, Luke na nas oboje, a Buzby na naszą trójkę.

—Jeśli nie wrócisz za dziesięć minut, Luke, to jutro włożę ci jabłko do pudełka na lunch.

—O fuj, tak się boję — mówi Luke z uśmiechem. — Co jest gorsze niż znalezienie w jabłku robaka? — zwraca się do mnie.

—Dość, Luke — upomina go Julia.

—Więc co? — pytam.

—Znalezienie tylko połowy robaka — mówi Luke i zaczyna zanosić się od śmiechu.

Jego matka, która z pewnością słyszała to już setki razy, robi lekko drwiącą minę. Jego matka... jego matka... Co sobie myśli, gdy przejmuje kontrolę nad jej synem?

Kiedy idziemy z Lukiem nad Okrągły Staw, chłopiec mówi:

—Nie, nie z ruchem wskazówek zegara. Odwrotnie. Buzby tak woli.

—Czy wy, Amerykanie, nie powinniście mówić „przeciwnie”?

—Tak, chyba tak. Mój tato raz tak powiedział. Ale tu jestem Anglikiem. Skąd znasz moją mamę?

—Poznałem ją w Wiedniu.

—To było, zanim ja się urodziłem.

—Tak jest.

Luke wydaje się nad tym zastanawiać. Buzby oddala się, potem wraca, by całkiem przyjaźnie czekać na łabędzie.

— Tak naprawdę na imię mam Lucius—mówi Luke.—Lucius Hansen. Mój dziadek też ma na imię Lucius.

—Ale wszyscy nazywają cię Luke?

—Tak. Jaka jest różnica między kaczką a tancerką?

—Kaczką, powiedziałaś? Czy praczką?

—Kaczką, głupku. Och, przepraszam. Kaczką.

—Nie wiem. Jedna jest tłusta i lata, druga jest chuda i upada.

—Tancerka nie upada.

—W *Jeziorze łabędzim* tak.

—Co to jest jezioro łabędzie.

—To balet: wiesz, ludzie tańczą na scenie. Niezbyt ciekawe. Chociaż muzyka jest bardzo ładna.

—W każdym razie to zła odpowiedź — mówi Luke niewzruszony.

—Więc jaka jest prawidłowa?

—Jedna przebiera szybko nogami, druga kwacze na jajkach.

Obaj wybuchamy śmiechem. Buzby podbiega do nas, otrząsając się z wody.

—Sam to wymyśliłeś? — pytam. — To dobre.

—Nie, przeczytałem w książce z zagadkami. Tato dał mi ją na Gwiazdkę. Dał mi trzy książki: książkę z zagadkami, książkę o samolotach i książkę o znaczkach.

—Żadnej książki o dinozaurach?

—Dinozaury są martwe — oznajmił mi Luke.

—Jaki to pies? — pytam. — Jakiś gigantyczny labrador?

—Labrador? — wykrzykuje Luke z pogardą. — To leonberger, właściwie to jeszcze szczeniak. Ma jedenaście miesięcy.

—Szczeniak? — wołam zdziwiony. — Jest duży jak lew.

—Jest dość głupi — zwierza się Luke. — Zjadł trawę, na której były ślimaki, i dostał dyspepsji czy czegoś. — Słownictwo Luke'a jest niezwykle bogate jak na jego wiek.

—O co chodzi z tymi jabłkami w twoim pudełku? — pytam go.

—Nie lubię jabłek — krzywi się.

—Wszystkie dzieci lubią jabłka.

— Ja nie. Wolę brzoskwinie. Albo pomarańcze. Albo cokolwiek innego. Gdy jesteśmy w połowie drogi, Luke pyta:

—Czy poznałeś mamę, zanim poznała tatę? — Nie wydaje się zbyt zadowolony.

—Co? A, tak. Oboje byliśmy wtedy studentami. Jestem muzykiem.

Następuje krótka pauza, w czasie której Luke zastanawia się nad tym, co powiedziałem.

— Mama zmusza mnie do gry na pianinie — mówi w końcu. — Mówię jej, że będę pilotem i że to strata czasu, ale nie słucha. Wcale.

— Lubisz grać?

— Może być — mówi Luke, gapiąc się na wodę, po czym dodaje coś niezrozumiałego o gamach.

—Nie usłyszałem. Ty mamroczesz.

—Ja tak mówię — odpowiada Luke, nagle pochmurniejąc.

—Jeszcze przed chwilą mówiłeś tak wyraźnie.

— To dlatego, że mamie trudno jest usłyszeć, co mówię. Jest głucha... Oj! — Zakrywa usta dłońmi.

— Dlaczego? — Śmieję się. — Bo każe ci ćwiczyć gamy?

Ale Luke z szeroko otwartymi oczami kompletnie zszokowany zastanawia się nad tym, co właśnie powiedział.

—Nie mów jej — wyrywa mu się.

—Czego?

Luke blednie. Wygląda na przerażonego.

—Tego, co powiedziałem. To nieprawda. To nieprawda.

—W porządku, Luke. Już dobrze. Uspokój się.

Przez kilka minut nic nie mówi. Wydaje się winny i przejęty, prawie sparaliżowany strachem. Kładę dłonie na jego głowie, a on nie protestuje. Jestem pełen desperackiej troski i źle się czuję, stając twarzą w twarz z jego słowami. Nie wiem, co odpowiedzieć.

### 3.20

Wracamy do punktu wyjścia. Buzby podbiega do Julii, energicznie szczerkając, i obiegają kilka razy. Luke znowu wydaje się zdenerwowany.

Jeśli to prawda, nie mogę sobie tego wyobrazić. Zapada zmrok. Przypominam sobie, jak w oranżerii, kiedy stała przy kaloryferze, powiedziałem coś do niej, a ona nie odpowiedziała. Każdy jej brak reakcji zaczyna teraz nabierać sensu. Unikanie pewnych, myślałem że przypadkowych tematów; czy moja albo jej twarz była odwrócona wtedy, gdy je poruszałem? Może zbyt serio traktuję słowa Luke'a i kilka minut konsternacji?

Julia śmieje się, mówi nam, że spóźniliśmy się prawie o minutę. Buzby, obiegłszy ją dwa razy, opuszcza układ słoneczny, a Luke biegnie za nim.

—Mam nadzieję, że nie sprawiał za dużo kłopotu — mówi Julia. — Miewa swoje humory. Właśnie teraz wydawał się trochę przygaszony, jakby się bał, że będziesz narzekał na jego zachowanie. Był grzeczny?

—Bardzo grzeczny. Ale nie wie, co to jest *Jeziro łabędzie*.

—Słucham? — Julia wydaje się zmieszana.

—*Jeziro łabędzie*, balet — wyjaśniam ostrożnie i zbyt dokładnie. Marszczy brwi.

—Oczywiście, Michaelu, ale on nie ma jeszcze siedmiu lat. O czym rozmawialiście?

—Głównie o książkach. I zagadkach.

—Tak. Lubi te rzeczy. — Jej twarz się rozjaśnia. — Opowiadał ci o tancerce i kacze?

—Przebiera nogami i kwacze na jajkach. Tak.

W oddali słyszę dźwięk klaksonów; łabędzie podrywają się do lotu.

—Czy coś się stało? Co się stało? — pyta Julia. — Co cię gnębi?

—Nic.

—Nic?

—Naprawdę, nic. Zapatrzyłem się na łabędzie. Zobaczymy się jutro? — Biorę ją za rękę.

—Nie.

—Przepraszam. Zapomniałem.

—Uważam, że przez jakiś czas nie powinniśmy się spotykać. Naprawdę tak myślę.

—Muszę cię zobaczyć. Muszę z tobą porozmawiać.

—O co chodzi, Michaelu, czy dobrze się czujesz? — pyta zaniepokojonym głosem.

—Tak, dobrze. Powiedz, że spotkasz się ze mną...

—Dobrze, ale...

—Jutro rano?

Kiwa głową zmęczona.

Słońce zachodzi. Chłopiec i pies wracają. Jeśli to prawda, to już niedługo będzie zbyt ciemno, by mogła zobaczyć, co mówię. Mówię, że chciałbym jeszcze pospacerować, ale cała trójka odwraca się i odchodzi.

Luke trzyma ją za rękę. Julia pochyla się, żeby go pocałować. Odgłosy wokół mnie są przytłumione. Trzy kształty poruszają się w zmierzchu, zlewając się z innymi spacerującymi o tej porze. Wkrótce giną mi z oczu i ja również idę w swoją stronę.

TLR

## CZEŚĆ CZWARTA

### 4.1

Następny dzień przynosi jasny i czysty świt. Daleko za drzewami Okrągły Staw spowija złotożółta poświata. Uwielbiam tę porę roku: gałęzie jednych drzew strzelają w górę, na innych zwisają w dół. Kępki białych kwiatków na świeżej zielonej trawie wyglądają jak jeże.

Ogromny, stary bezlistny kasztan, kontrastujący z alejką młodych srebrnych lip, zachęcająco zwiesza swe gałęzie, puste o tej porze roku. Na jego szczycie śpiewa ptak, rudzik, sądząc z dźwięku, jednak jest tak wysoko, że nawet te nagie gałęzie wystarczają, by go ukryć.

Cofam się parę kroków, próbując wypatrzeć ptaszka. Ciężki gołąb wlatuje na wyższe gałęzie i wydaje się, jakby to on tak pięknie śpiewał, zachwycony występem swojego niewidocznego sąsiada.

To właśnie wtedy, gdy wspomniałem słowika, oczy Julii tak nagle wypełniły się łzami. Teraz rozumiem, że przyczyna była inna, niż sądziłem.

W zatopionym ogrodzie kilka żółtych prymulek to jedyne oznaki życia, a w starym lipowym żywopłocie, dwa razy ode mnie wyższym i o wiele starszym, widać nikły promyk czerwonych pączków i gałązek. Moglibyśmy wspólnie podziwiać ten widok, ale co z porannym chórem rozbrzmiewającym dookoła w całej swej okazałości? Co z samolotem zniżającym lot na zachód w stronę Heathrow?

Spaceruję tam, gdzie chodziliśmy wczoraj z Lukiem. Tak wcześnie rano mewy są jeszcze cicho. Liczę łabędzie: czterdzieści jeden razem z pięcioma młodymi. Odrażające łabędziątko o czarnych łapkach rzuca mi sprytnie spojrzenie. Pięć dorosłych wlatuje z odległej części stawu. Skrzydła ogromnych, niezgrabnych ptaków ciężko hałasują nad moją głową. Gęsi uciekają, gęgając.

Ile z tego mogłaby usłyszeć? Usiłuję to sobie wyobrazić. Krakanie wrony, odgłosy sroki na platanie przy Bayswater Road, warczące i dyszące autobusy — co może usłyszeć?



## 4.2

Nie przyszła, jak obiecała, a ja nie wiem, co robić. Mógłbym znów wysłać jej faks, ale gdyby chciała, sama mogłaby to zrobić. Teraz nazbyt dobrze rozumiem, dlaczego do mnie nie zadzwoni. Zdarzyło się to tylko raz, gdy miała pewność, że włączy się moja automatyczna sekretarka. Może usłyszała sygnał. A może po prostu poczekała parę sekund, zanim zaczęła mówić? Czy ma aparat słuchowy? Nigdy go nie wyczułem, gdy dotykałem jej włosów, jej twarzy.

Ale przecież graliśmy razem w tym pokoju, skrzypce i fortepian, w tonacji, w rytmie, a ona grała ze świadomością tak oczywistą, że musiała słyszeć muzykę, którą tworzyliśmy.

Powiedziałem — w tonacji — ale oczywiście fortepian, jeśli jest nastrojony, zawsze będzie w tonacji. I chociaż odpowiadała na moją grę, było tak, jakby bliskość była dla niej nie do zniesienia. Poprosiła, żebym stanął tam, gdzie będzie mnie widziała. Czy po to, by obserwować, jak poruszają się moje palce i smyczek?

Zaśpiewała frazę w tonacji, zanim podeszła do fortepianu. Miała doskonale wysoki głos, gdy ją poznałem, ale czy udałoby się jej go zachować bez pomocy dźwięku z zewnątrz?

Niektóre sprawy stają się bardziej jasne, niektóre bardziej tajemnicze. Wskazówki mogą stanowić pułapki. Lyon zamiast Nyons: przejęzyczenie? Pomyłka? Nie dosłyszana spółgłoska? Ja sam ciągle robię takie błędy.

Jak jej się udaje tak dobrze z tym sobie radzić? Dlaczego mi o tym nie powiedziała? Jak może znieść granie muzyki, nawet myśleć o muzyce? Co słyszała, kiedy przyszła"tia nasz koncert w Wigmore? Bis nie był zaznaczony w programie.

Mija dzień, a ja czekam w zawieszeniu, niespokojny, niepewny. Nie ma prób, więc nie muszę grać. Nie mogę nawet słuchać muzyki. Czytam kilka wierszy ze starej antologii. Przeraza mnie myśl, że to może być prawda, i czuję przymus, beznadziejną chęć chronienia jej — bo cóż mogę zrobić?

Następnego dnia postanawiam do niej napisać. Ale co innego mogę jej przekazać ponad to, że pragnę znów ją zobaczyć? Czy ona chce, żebym wiedział? Czy Luke się przyznał? Czy jest w ogóle jakaś tajemnica?

### 4.3

W mój niepokój wpada list: niebieska koperta, zwykły złoty znaczek, wczorajsza data stempla, znajomy pochyły charakter pisma. Znów korzystam z noża do papieru, który mi kiedyś dała, by otworzyć zaklejoną przez nią kopertę.

Poranne światło pada na kilka kartek jasnoniebieskiego papieru; czytam napisany granatowym atramentem najdłuższy list, jaki kiedykolwiek do mnie napisała.

Najdroższy Michaelu,

tak, to prawda. Dowiedziałbyś się prędzej czy później, a przez nasze spotkanie w parku dowiedziałeś się wcześniej. Luke był bardzo zdenerwowany i widać było, że Ty też jesteś czymś przejęty. Po powrocie do domu powiedział mi, co się stało. Nie chciał, żeby to mu się wymknęło. Biedny Luke, był smutny przez całą godzinę. Był przekonany, że mnie zdradził, podczas gdy tak naprawdę zdjął mi z serca wielki ciężar. Zwykle jest wobec mnie bardzo opiekuńczy i kiedy przychodzą jego koledzy, stara się, żeby wszystko było zupełnie normalnie. Nie chce, żeby ktokolwiek, a już na pewno żaden z jego kolegów, domyślił się, że coś jest ze mną nie w porządku. Ale obawiam się, że sprawiam mnóstwo kłopotów; bałam się powiedzieć Ci o tym, myśląc, że to popsuje nasze kontakty. Jeśli zdecydowałam się przyjść za kulisy i ożywić wszystkie uśpione wspomnienia, to pod warunkiem, że będziemy sobie równi. Z całą pewnością nie chciałam tego, co zobaczyłam w Twoich oczach dwa dni temu. Również z tego powodu piszę Ci o tym, a nie mówię.

Ale moja sytuacja nie jest całkiem żałosna ani godna pożałowania. To prawda, że głuchota jest straszna, ale ja miałam czas, by się z nią oswoić.

Straciłam słuch w ciągu kilku miesięcy, nie minut, i nie odczuwałam skutków ubocznych.

Nie chcę przedstawiać swojej sytuacji w jasnych barwach. Na początku myślałam, że tego nie przeżyję. Muzyka jest sensem mojego życia. Dla mnie to, że zostałam zdradzona przez własne uszy, było nie do zniesienia, bardziej niż dla innych ludzi.

Jak to się zaczęło? Nie zniosłabym rozmowy z Tobą twarzą w twarz, więc lepiej będzie, jeśli teraz opiszę Ci całą tę historię. Wszystko zaczęło się jakieś trzy lata temu. Na początku nie zdawałam sobie sprawy, że coś jest nie tak, chociaż ludzie wydawali się mówić niewyraźnie, zwłaszcza przez telefon, i poczułam, że coraz mocniej naciskam klawisze. Raz czy dwa zastanawiałam się, dlaczego tak rzadko słyszę ptaki, ale pomyślałam, że tego roku w Nowej Anglii mamy spokojniejszą wiosnę. W tamtym okresie nie grywałam z innymi muzykami, więc pilnowanie swoich wejść nie było problemem. Parę razy James powiedział mi, że słucham muzyki o wiele za głośno, ale się tym nie przejęłam.

Prawdopodobnie coraz trudniej było mi usłyszeć fortepian, ale tak wiele z tego, co się słyszy, jest w głowie i w palcach. Prawda jest taka, że nie zdawałam sobie sprawy, co się dzieje. Jak mogłabym sobie wyobrazić, że tracę słuch przed trzydziestką!

Wtedy zdarzyło się coś, co mnie naprawdę zaalarmowało. Pewnej nocy, gdy Jamesa nie było, Luke miał zły sen. Płakał w swoim pokoju, a ja go nie słyszałam, dopóki nie wszedł do mojej sypialni. Dwa dni później, gdy byłam z nim na rutynowych badaniach, wspomniałam lekarzowi, co się wydarzyło. Potraktował to poważnie i wysłał mnie do specjalisty, który z kolei powiedział, że mam pięćdziesięciodecybelową utratę słuchu w obu uszach, i zapytał, dlaczego, na litość boską, nie przyszedłam do niego wcześniej.

W następnym tygodniu utrata słuchu zwiększyła się do sześćdziesięciu decybeli i lekarze byli bardzo zmartwieni i zaniepokojeni. W mojej rodzinie nie było podobnego wypadku u tak młodej osoby. Ciotka Katerina, która mieszka w Klosterneuburgu, ma kłopoty ze słuchem, ale w końcu już jakiś czas temu skończyła siedemdziesiąt lat. To prawda, miałam infekcję

w obu uszach — prawdopodobnie od pływania — w wieku około ośmiu lat. Trwała przez prawie rok. Ale wtedy wyraźnie to zdiagnozowano, podczas gdy te symptomy, jak się wydawało, nie miały przyczyny. Pierwszy specjalista, do którego poszliśmy, był bezradny, i dopiero następny, dużo młodszy, postawił prawdopodobną diagnozę: autoimmunologiczna choroba ucha — coś, o czym nigdy nie słyszałam. Stale tłumaczył Jamesowi wartość „wysokiego stopnia podejrzliwości” w rozpoznawaniu rzadkich chorób; uważał, że ma taką umiejętność, i nazywał ją darem Hitchcocka, ale uważam, że była to standardowa frazeologia.

Leczenie polegało na przyjmowaniu dużych dawek różnych sterydów i immunopresantów. Gdybyś wtedy mnie zobaczył (choć nie mógłbyś, bo wtedy mieszkałam w Bostonie), wątpię, czy rozpoznałbyś mnie. To było po prostu straszne. Widziałam w lustrze kogoś przerażonego i spuchniętego od leków.

Na jakiś czas mój słuch się ustabilizował, a nawet poprawił. Ale kiedy spróbowano odstawić leki, mój stan nie tylko powrócił do poprzedniego, ale nawet się pogorszył. Ostatecznie udało nam się odstawić sterydy, ale mój słuch został zniszczony. Czuję się, jakbym była owinięta w watę, i bez aparatu słuchowego prawie niczego nie słyszę wyraźnie. Czasem nagle słyszę nieziemsko wysoki gwizd. Tak jest od dwóch lat. Miewam dobre i złe dni, czasem jedno ucho ma się lepiej, czasem drugie, ale straciłam już nadzieję, że odzyskam słuch.

Lekarze wyjaśnili mi, że mój własny układ immunologiczny traktuje części mojego ucha wewnętrznego — nikt nie wie dlaczego — jako wrogie i niebezpieczne, i niszczy je. Ale nie doszukuję się tu żadnych symboli. Kiedyś to robiłam i to było jeszcze gorsze. Wydawało mi się, że tracę rozum. Już tego nie robię. Traktuję to jako dziwny fizjologiczny fakt, który bez wątpienia kiedyś będzie uleczalny, ale niestety, jeszcze nie teraz.

Dziwne było przejście ze świata dźwięku do świata ciszy — nie bezdźwięczności, tak naprawdę, bo jednak słyszę różne dźwięki, tyle że zwykle są one zniekształcone. Tak się bałam stracić muzykę i tak się bałam utracić Luke' a; cóż to za matka, która nie może nawet usłyszeć jego płaczu. Gdyby nie on, nie wiem, czy znalazłabym w sobie dość siły, by się pozbierać.

Biedne dziecko, miał wtedy tylko cztery latka. James był cudowny. Nawet zgolił wąsy, żeby łatwiej mi było czytać z ruchu warg! Bank stale gdzieś go wysyłał, aż wreszcie powiedział im, że potrzebuje posady z odrobiną stabilizacji. Stąd Londyn.

James stwierdził całkiem słusznie, że nie mogę wycofać się z życia, odsunąć się od niego i od Luke'a. Stać nas było na opiekunkę. Przejęła ode mnie wiele obowiązków i była z Lukiem, gdy ja nie mogłam. Miałam skupić się na muzyce i próbować pogodzić się ze swoim stanem.

Więc rzuciłam się w obcy świat niesłyszących: zapobiegawcza terapia polegająca na ćwiczeniu mówienia, zajęcia z czytania z ruchu warg, godziny ćwiczeń przed lustrem; nawet odrobina języka migowego, którego właściwie nigdy nie używałam. Nauczenie się czegoś zabiera tyle czasu, tyle wysiłku, zwłaszcza uczenie się czegoś, co jest potrzebne do funkcjonowania tak dobrze — prawie tak dobrze — jak przedtem. Trudno mi było znaleźć silną wolę, by to zrobić. Ale, jak sobie mówiłam, muzyka to język, niemiecki i angielski to języki, czytanie z rąk i ust to też tylko języki, więc człowiek z czasem i dzięki wysiłkowi poprawia swoje umiejętności. Mogło to być interesujące. Jest także wyczerpujące, ale idzie mi lepiej, niż się spodziewałam. To, że w wieku ośmiu lat miałam tę infekcję ucha, pomogło mi, bo wtedy też musiałam czytać z ruchu warg. Ale, jak zauważył jeden z moich nauczycieli, nigdy nie dowiesz się z samego ruchu warg, czy ktoś potrzebuje gliny czy liny.

Noszę aparat słuchowy, ale nie tak często, jak myślisz. To skomplikowane — czasem przeszkadza mi usłyszeć właściwą wysokość. Kiedy byłam z Tobą, nigdy go nie miałam, jedynie na koncercie. W Wigmore Hall jest jakaś pętla drutu, która pomaga, gdy ustawię aparat w pewnej pozycji. To wszystko jest bardzo nudne, dopóki nie staje się niezbędne.

A co do grania, to ponieważ nadal gram muzykę kameralną, nauczyłam się oceniać — z ruchu smyczka, położenia palców, zmian postawy, widocznego przyspieszenia oddechu, ze wszystkiego i z niczego — kiedy grać i w jakim tempie. Byłeś świadkiem mojej smutnej nowej wirtuozerii tamtego dnia z Mozartem. Ale dałam sobie radę, bo dobrze znałam sonatę i wiedziałam z doświadczenia, jak odczytywać Twoje dłonie, oczy i ciało.

Nie słyszałam wiele z tego, co grałeś, a jednak wiem, że grasz dobrze, chociaż właściwie nie potrafię wyjaśnić, skąd ta pewność. A kiedy pożyczyłeś mi *Kwintet* Beethovena, nie słuchałam muzyki tak, jak robiłabym to w przeszłości. Wysoko ustawiłam basy i słabo słyszałam kwintet; czułam tylko jego wibracje, śledząc partyturę. Bardzo mi się podobała. Ale wiem, że nigdy tak naprawdę nie usłyszę czegoś, czego już wcześniej nie słyszałam na własne uszy i co potrafię wydobyć w melodii i fakturze z pamięci.

Zostawmy Beethovena. Pamiętasz nasze spacerowanie w Heiligenstadt? ...ale dość o tym. Czy pamiętasz słowa: *Aber welche Demütigung, wenn jemand neben mir stund und von weitem eine Flöte hörte und nichts hörte oder jemand den Hirten singen hörte und ich auch nichts hörte...*<sup>\*2</sup>

Cóż, kiedy słuchałeś śpiewu rudzika tego dnia w oranżerii, tak właśnie się czułam, ale nie było to upokorzenie, tylko poczucie gorzkiej niesprawiedliwości, żalu, straty i litości nad sobą; wszystko zmieszane w przerażające uczucie. Wtedy zacząłeś mówić o kosach i słowikach. Naprawdę, Michaelu, teraz, kiedy wiesz, że jestem głucha, lepiej uważaj na swoje słowa i nie rań mnie nimi tak prosto w serce.

Piszę to w słoneczny ranek. Dom jest pusty. Luke jest w szkole, James w pracy, gosposia naszej matki na porannych lekcjach francuskiego gdzieś w South Ken. Siedzę w pokoju na pierwszym piętrze, widzę przez okno ogród, a w nim pierwsze krokusy, białe, szafranowe, fioletowe, żółte. Dziewięćdziesięcioletnia kobieta siedzi na ławce i czyta, ma przy sobie małego białego pieska, krótkowłosego teriera. Tuż pod oknem jest nasz mały ogródek; zajmę się nim dziś po południu, jak skończę ćwiczenia.

Wiem, gdzie mieszkasz, ale Ty nie wiesz nic o geografii moich dni, o nastroju i barwach moich pokojów, o kształcie półkolistego ogrodu, o moich cyklamenach, o brzmieniu i dotyku mojego pianina, o świetle na prostym dębowym stole w jadalni. Powiedziałam Jamesowi, że spotkaliśmy się parę razy w celach zawodowych. James często bawi się z Lukiem, więc nasze spotkanie wkrótce wyszłoby na jaw. James nie był zaniepokojony;

---

<sup>2</sup> \* *Aber welche...* (niem.) — Ale jakie to upokorzenie, jeśli ktoś obok mnie sta i z daleka słyszał flet, a ja nic nie słyszałam, albo ktoś słyszał śpiewających pasterzy a ja także nic nie słyszałam.



nawet zasugerował, żebym zaprosiła cię na obiad. Myślę, że przypadniecie sobie do gustu.

Bardzo pragnę w jakiś sposób dzielić z Tobą swoje życie i muzykę. Ale, Michaelu, nie wiem, w jaki sposób nasza miłość mogłaby się spełnić. Dawno temu mogła, ale teraz? Nie mogę żyć podwójnie. Boję się skrzywdzić kogokolwiek, nas wszystkich. Nie wiem, jak dalej postępować — ani nawet, jak się teraz wycofać. Być może, próbując Was ze sobą poznać, niczego nie zintegruję, skoro niczego nie można zintegrować.

Z Tobą łączy mnie największe szczęście i nieszczęście, jakiego kiedykolwiek zaznałam. Być może dlatego Cię unikałam. Poza tym, jak mogłabym do Ciebie zadzwonić, nawet znając Twój numer? Być może właśnie dlatego przestałam Cię unikać i przyszłam Cię zobaczyć w ten deszczowy wieczór, kiedy Twoja głowa — i moja — pływała z wszystkimi fugami.

Odpisz szybko. Czy to wszystko zmienia coś między nami? Na pewno tak, ale jaka to zmiana? Mogłabym przefaksować ten list, ale wydawało mi się to niewłaściwe.

Miałam Ci tyle do powiedzenia, Michaelu. Prawdopodobnie powiedziałam za dużo i za mało.

Całuję,  
Julia

#### 4.4

Najdroższa Julio,

odpowiadam natychmiast. Prosiłaś o to, więc zakładam, że to, co jest do Ciebie zaadresowane, przeczytasz tylko Ty. Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? Jakże musiało Ci być ciężko ze świadomością, że kiedyś będziesz musiała mi to wyznać, zwłaszcza że nie wiedziałaś, kiedy i jak to zrobić. Brak mi słów. Jeśli przyznam, że to wszystko jest okropne — a takie właśnie jest — obawiam się, że stracisz nadzieję. Nie chcę, żebyś my-



ślała, że się nad Tobą lituję. Ale gdyby mnie się to przydarzyło i Ty byś się o tym dowiedziała, czyż nie litowałabyś się nade mną? „Kochała mnie za niebezpieczeństwa, których uniknąłem...” A jednak, kiedy grałaś Mozarta tamtego dnia, sama albo później ze mną, ta wiadomość nie miałaby dla mnie sensu. Czuję się błogosławiony, będąc w zasięgu tego dźwięku.

Co udaje Ci się słyszeć? Czy słyszysz swój głos? Wcale się nie zmienił. Czy na pewno już nic nie można na to poradzić? Jak kiedyś powiedziałaś, nie bardzo umiem patrzeć na sprawy oczami innych ludzi.

To wcale nie była wina Luke'a. Jeśli miałem się dowiedzieć, a przecież tak musiało być, to jego uwaga i Twój list stały się najprostszym sposobem. Patrzę na Twój list; te kartki papieru zapisane Twoim charakterem pisma wypełniają pustkę tych wszystkich lat.

To prawda, nie znam Twojego życia oprócz tych jego okruchów, które spędzasz ze mną albo o których mi mówisz.

Widzę Cię w małym pokoiku w schronisku młodzieżowym albo w moich własnych pokojach pod czujnym okiem pani Meissl. Nie mogę odwiedzić Cię tam, gdzie mieszkasz — wydaje mi się, że teraz nie potrafiłbym tego znieść. Ale muszę Cię wkrótce zobaczyć. Nie mogę bez Ciebie żyć, tak po prostu. Julio, czy ty też mnie potrzebujesz? — nie tylko jako przyjaciela, ale jako kolegę muzyka?

Muszę z Tobą porozmawiać. Jeśli za mną tęsknisz, to rozumiesz, jak bardzo ja tęsknię za Tobą. Przyjdź do mnie, nie jutro, bo prawdopodobnie nie przeczytasz tego przed jutrzejszym popołudniem, ale w piątek. Uda Ci się? Jeśli nie, wyślij faks. Albo zostaw wiadomość na mojej sekretarce. Jeśli podniosę słuchawkę, mów dalej. Przynajmniej będę miał przyjemność słyszeć Twój głos.

Tak wiele zrozumiałem: chwile Twojego milczenia, nagłe zwroty w naszych rozmowach. Ale wszystko to nadal jest zagadkowe i przerażające. Czy mógłbym jakoś pomóc? Musimy spotkać się w piątek. To nie może nic między nami zmienić, nie wolno nam do tego dopuścić.

Kocham Cię,  
Michael

## 4.5

Po próbie kwartetu idę do dużej księgarni w pobliżu uniwersytetu i w dziale medycznym kupuję książkę o głuchocie. Czuję przymus, by czegoś się o niej dowiedzieć. Jest napisana prostym, choć technicznym językiem, i to na tyle, co ciekawe, interesującym, że później, w nocy, kiedy siedzę w łóżku z książką opartą na kolanach, na kilka minut zapominam o tym, że to choroba Julii skłoniła mnie do jej przeczytania. Nastawiłem *Kwintet smyczkowy* Schuberta i przy dźwiękach muzyki zaznajamiam się ze skomplikowanym chaosem, który kryje się za ciemnymi chrząstkami zewnętrznych uszu.

Nowe słowa wpływają jedno po drugim: rekrutacja, szum w uszach, stereorzęski, organ Cortiego, błona podstawowa, tympanometria, degeneracja prążków naczyniowych, uszkodzenia błony, neurofibromatoza... Muzyka milknie. Czytam, nie wstając z łóżka, by ją zmienić. Struktury, symptomy, przyczyny, lekarstwa... niewiele o autoimmunologii... trochę o stanach idiopatycznych — co z definicji nie ma znanej przyczyny.

Przefaksowała mi wiadomość, że przyjdzie jutro rano. Boję się tego spotkania i tęsknię do niego. Chcę pozwolić jej mówić; ale co będzie, jeśli ona pozostawi to mnie?

Jest tyle szczegółowych pytań, ale przede wszystkim jest straszne, niewyobrażalne pytanie: co to oznacza dla niej? I inne, egoistyczne: co ja znaczę dla niej? Dlaczego, kiedy zrozumiała, że muzyka się od niej oddala, zdecydowała się wpleść swoje życie w moje? Czy stałem się punktem rozpoznawczym, powrotem do dnia, gdy muzyka jeszcze miała dla niej sens, nie będąc jedynie możliwym do wyobrażenia pięknem?

## 4.6

Julia się śmieje. Jest tu od niecałych pięciu minut. To nie tak miało być.

— Co cię tak śmieszy?

—Michaelu, jesteś beznadziejny, kiedy starasz się być troskliwy. Zniekształca ci to twarz.

—Co masz na myśli? — pytam dość ostro.

—Teraz lepiej.

—Co lepiej?

—To, co właśnie powiedziałaś.

—Zupełnie straciłem wątek.

—Teraz mówiłaś tak naturalnie, bo zapomniałaś, że masz być troskliwy. Jest mi dużo łatwiej cię zrozumieć, kiedy mówisz naturalnie, więc nie przesadzaj z dokładną wymową. Proszę! Chyba że chcesz mnie rozśmieszyć. Teraz zapomniałam, o co mnie pytałaś.

—Pytałem o twoją muzykę — przypominam.

—A tak — mówi Julia. — Tak, przepraszam. — Trzyma mnie za rękę, jakbym to ja potrzebował współczucia. — Mówiłam ci, że przestałam grać po egzaminach w Wiedniu; cóż, po ślubie James namówił mnie, żebym wróciła do grania, dla własnej przyjemności. Gdy wychodził do pracy, ja siadałam do fortepianu. Czułam się tak zdenerwowana, że ledwo mogłam dotknąć klawiszy. Byłam w drugim albo trzecim miesiącu ciąży, ciągle było mi niedobrze i czułam się naprawdę tak krucha, że akord dłuższy niż dwunutowy stawał się wstrząsem. Tak się składa, że zaczęłam od *Dwuczęściowych inwencji*, bez żadnych skojarzeń z tobą, lecz z moimi wczesnymi lekcjami u pani Shipster. Nie grałam od półtora roku — tak, od półtora roku...

—Dzięki pani Shipster — zauważam. — Dzięki twoim rodzicom. I dzięki Jamesowi. Przynajmniej nie musiałaś zarabiać na życie palcami.

Julia nic nie mówi. Zauważam, jak intensywnie wpatruje się w moją twarz, w moje usta. Co mnie powstrzymuje? Czy nie mogę po prostu jej powiedzieć, jak bardzo ją kocham i że chcę jej pomóc?

—Czy to z powodu aparatu słuchowego nosisz długie włosy?

—Tak.

—Ładnie wyglądasz z długimi.

—Dziękuję. Już to mówiłaś. Nie musisz teraz tego powtarzać, bo...

—Ale to prawda... czy masz go w tej chwili? — pytam. — Czy jest włączony?

—Nie, nie mam go. Myślałam o tym. Ale po co wszystko zmieniać?

—Jak możesz na ten temat filozofować?— pytam.— Nie rozumiem tego.

—Cóż, dla ciebie to nowe, Michaelu, cały ten dziwaczny świat.

—I cały czas się pogarsza?

—Trochę.

—Z dnia na dzień?

—Z miesiąca na miesiąc. Nie wiem, jak długo jeszcze będę mogła grać w zespole. Na szczęście przy fortepianie można być w pojedynkę kilkoma muzykami, więc nie będę samotna. Mam kilka zaplanowanych koncertów solowych, jeden w Wigmore w grudniu. Schumann i Chopin. Możesz mnie zaskoczyć i przyjść potem za kulisy.

—O nie, nie przyjdę posłuchać, jak grasz Schumanna — mówię z udawaną nonszalancją. — To niewłaściwy Schu. — Przez moment nie mogę sobie przypomnieć, gdzie to słyszałem.

—To ograniczony pogląd, Michaelu — śmieje się Julia.

—Wąskie strumienie są głębokie.

Julia wygląda na zaskoczoną, ale szybko odparowuje:

—Wąskie strumienie są po prostu wąskie.

—Dobrze już, dobrze. Nic mi nie powiedziałaś o swojej karierze. Kiedy zaczęłaś znowu grać przed publicznością?

—Kiedy Luke miał kilka miesięcy. Jako dziecko uwielbiał słuchać, jak gram, więc dzieliłam czas na granie dla niego i karmienie go. Czasem karmiłam go przy pianinie i grałam wolną ręką jakby jednocześnie inwencją. — Uśmiecha się do tej nieco dziwacznej wizji.

—I tak grałaś publicznie?

—Bardzo śmieszne. James zapytał pewnego dnia, czy nie zagrałabym dla paru osób następnego wieczoru. Bardzo rzadko prosi mnie o cokolwiek, jeśli nie jest pewny efektu, więc zgodziłam się bez zastanowienia. Gdy przyszli, rozpoznałam wśród nich krytyka muzycznego z „Boston Globe” i parę innych osobistości lokalnego świata muzycznego. Nie byłam uszczęśliwiona tym małym podstępem, ale ponieważ obiecałam, więc zagrałam, spodobało im się i tak się zaczęło. Z początku był to raczej salon niż scena, ale mniej więcej po roku James i inni zasugerowali, żebym wy-

stępować publicznie, a ponieważ czułam się gotowa, zdecydowałam się. Większość ludzi w rejonie Nowej Anglii zna mnie jako Julię Hansen, więc pozostałam przy tym nazwisku.

—Nowe nazwisko, nowy początek, żadnych starych znajomości?

—Tak. Julia McNicholl przestała grać.

—Grałaś przez kilka miesięcy po moim wyjeździe.

—Miałam swoje studia. Trzymałam się ich.

Nic nie mówię.

—Mimo wszystko nigdy nie wiedziałam, jakie mam szczęście — stwierdza Julia. Po chwili dodaje: — Nikt nie wie, jak to się stało. Męczy mnie czytanie z ruchu warg. Nasze uszy są bardzo dziwne. Nie słyszymy gwizdów na psa. Czy wiedziałeś, że nietoperze zaczynają się nawzajem słyszeć powyżej Bacha?

—Nie rozumiem — mówię.

—Cały zakres ich słyszenia leży poza czterema oktavami Bacha.

—Cóż — mówię. — Myślę, że można by wszystko przetransponować o cztery oktawy dla nietoperzy.

—Michaelu, odwróciłeś się i przegapiłam, co mówiłeś.

—Och, nie warto tego powtarzać.

—Powtórz — prosi cicho Julia.

—To był żaloszny żart.

—Niech ja o tym zdecyduję — mówi ostro Julia.

—Powiedziałem, że może powinno się przetransponować Bacha o cztery oktawy w celu dokształcenia barokowych nietoperzy.

Julia wpatruje się we mnie i zaczyna się śmiać. Wkrótce po jej policzkach spływają łzy; pierwsze, jakie widzę, i zupełnie niepotrzebne.

— Tak, masz rację, Michaelu — odpowiada, obejmując mnie pierwszy raz w tym tygodniu. — Masz rację. To było żaloszne.

## 4.7

Helen dzwoni do mnie bardzo podekscytowana.

— Lunch. Tak. Dzisiaj. Nie, Michaelu, żadnych wymówek. Ja stawiam. To altówka. Zdobyłam ją!

Spotykamy się w Santorini Taverna. Helen, nie chcąc tracić czasu na błahostki, zamawia dla nas obojga.

—Wczoraj byłam na otwarciu wystawy wspaniałej ceramiki — mówi Helen. — Bardzo porcelanowa, bardzo dziwaczna, bardzo głęboka. Ale jakiś obrzydliwy kolekcjoner wpadł, zanim ktokolwiek miał szansę coś obejrzeć, i obok każdego przedmiotu zaznaczył czerwone kropki. Każdy, kto potem przechodził, wył z rozczarowania, odwracając przedmioty do góry nogami.

—Dlaczego nie dałaś mi szansy spojrzeć na menu?

—A po co chciałaś oglądać menu?

—Na wypadek, gdybym miał ochotę na coś innego.

—Och, nie wygłupiaj się, Michaelu, kleftikon jest naprawdę pyszny. Lubisz cielęcinę, prawda? Nigdy nie pamiętam. Weźmy butelkę czerwonego wina. Jestem w nastroju do świętowania.

—Za półtorej godziny mamy próbę.

—Och. — Helen macha ręką. — Nie bądź takim zrzędą.

—To ty się upijasz, nie ja. Albo robisz się śpiąca. Albo jedno i drugie. Kobiety za szybko upijają się niewielką ilością alkoholu podczas lunchu.

—Czyżby, Michaelu?

—Wierz mi. I chcę szpinaku.

—Dlaczego szpinaku?

—Lubię szpinak.

—Szpinak jest niezdrowy. Wybałuszają się od niego oczy.

—Co za bzdury, Helen.

—Nigdy nie lubiłam szpinaku — mówi Helen. — Piers też nie. W tym jednym się zgadzamy. Czasem zastanawiam się, czemu poprosił mnie, żebym dołączyła do kwartetu. I nad tym, dlaczego w ogóle to zrobiłam. Jestem pewna, że lepiej by się nam układało, gdybyśmy nie byli tak blisko siebie. Albo gdybyśmy nie byli oboje muzykami. Albo gdyby on pierwszy nie zdecydował się na skrzypce. Nie żeby mi to przeszkadzało; każdy porządny kompozytor wolał grać na altówce... Tak, dobrze. — Właśnie spo-



strzegła, że obok naszego stolika stoi kelner. — Poprosimy butelkę czerwonego wina. A mój przyjaciel chciałby odrobinę okropnego szpinaku.

—Podajemy tylko doskonały szpinak, proszę pani.

—Cóż, więc będziemy musieli wziąć taki.

Kelner kłania się i znika. Helen jest najwyraźniej cenioną stałą klientką.

Po szybkim kieliszku Helen mówi mi, że w sferze mroku wczesnej muzyki znalazła kogoś, kto rozwiązał jej problem.

— Prawdziwą trudnością nie było zdobycie jednej z tych olbrzymich altówek, tylko jej przestrojenie. Jak przestroić o kwartę? Hugo jest prawdziwym geniuszem. Nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak on; wygląda jak owłosiony embrion, ale jest kochany. Założył dwie dolne struny pokryte srebrem, a dwie górne zwykle i popędziliśmy do sklepu ze skrzypcami — w Stoke Newington, wyobrażasz sobie? — by wypracować napięcie. Naprzeciwno był jazz bar i Hugo chciał, żebyśmy się tam kiedyś wybrali, ale ja po prostu tego tutaj nie czuję...

Helen uderza się w lewą pierś i wypija kieliszek z ochotą przywodzącą na myśl kapitana Haddocka.

Nalewam sobie drugi kieliszek. Jeśli się nie dołączę, Helen będzie się przewracać, zanim zaczniemy grać gamy.

—Cóż — mówi dalej Helen. — Pierwsza próba przestrojenia jej o kwartę nie powiodła się. Struny potrzebowały ogromnego napięcia i płytki przestały wibrować. Zupełnie ogłuchły... Nie, to dla niego... naprawdę nie rozumiem, jak możesz to jeść, Michaelu. Nie cierpię tego. Kiedy miałam sześć lat, przez całą godzinę musiałam siedzieć w kącie, bo odmówiłam jedzenia szpinaku. Nigdy go nie zjadłam. I nigdy też nie przeprosiłam.

—Helen. Struny ogłuchły. I co dalej?

—Rozmawialiśmy o szpinaku...

—Rozmawialiśmy o twojej altówce.

—Prawda. Ogłuchła i tak dalej. I wtedy... Na czym to ja skończyłam?

—Dobrze, Helen. Dostyc wina, aż skończysz opowiadać.

—I wtedy, wtedy, a tak, wtedy pojechał do Birminghamu albo Manchesteru, czy gdzieś, i znalazł człowieka, który jest carem strun. Zabiera jelita wprost z rzeźni i parują u niego w wanienkach. Jego dom musi śmierdzieć



jak rzeźnia. — Helen odpycha swój kleftikon razem z widelcem. — Czy wiesz, że gdyby nie to, że nie lubię warzyw, z pewnością zostałabym wegetarianką?

—Czy wszystko w porządku, proszę pani? — pyta nasz kelner.

—O tak, w doskonałym — mówi Helen nieco zamyślona. — I wtedy Hugo przyjechał, cały cuchnący, z ogromnymi grubymi strunami, i spróbowaliśmy paru. Udało się nam je nastroić bez zbyt dużego napięcia, ale oczywiście kiedy przyłożył smyczek, struny były tak luźne, że widać było, jak wibrują z jednej strony na drugą.

Helen macha ręką, aby to zilustrować, i przewraca kieliszek, który na szczęście jest pusty. Przesuwam go w bezpieczne miejsce.

—Staram się nie myśleć o biednych krowach. Czy może owcach? — zastanawia się Helen.

—Twoje struny... — przypominam.

—Tak. Brzmiały dziwnie i trzeba było wymuszać z nich dźwięk. Godziny całe zabrało wydobyć z nich dźwięku od momentu przyłożenia smyczka.

—Ale chyba zawsze jest taki problem z altówką, czyż nie? — pytam, a na myśl przychodzi mi kilka żartów o altówce.

—Ten był sto tysięcy razy poważniejszy — mówi Helen. — Ale trochę prób, błędów i przestrajania, i Hugo sprawił, że te struny z północy zagrały. Użył bardzo, bardzo ciężkiego smyczka, który pożyczył od swojego kolegi; dźwięk nadal jest niski, ale brzmi po prostu wspaniale. Muszę tylko poćwiczyć te opóźnienia w czasie. Nie wiem, jak mu dziękować. Sugerował...

—To wspaniale, Helen — mówię. — Teraz jedz. To wymaga uroczystej szklanki wody mineralnej.

—Wody? — pyta Helen, mrugając. — Wody? Tak wielki jest twój entuzjazm?

—Wody — mówię stanowczo, patrząc na zegarek. — I być może kawy, jeśli zdążymy.

—Wina — mówi Helen. — Wina. Bez życia wino nic nie jest warte.

## 4.8

Billy ma nawyk wykonywania szerokich gestów na pustych strunach; to choroba wielu wiolonczelistów. Uderzając strunę, zwłaszcza pod koniec frazy, unosi lewą rękę ponad gryf w geście ostentacyjnego rozluźnienia — patrz, mamó, bez trzymanki! Gdy robi tak przy strunie C, wygląda to na gest pożegnania.

Nigdy mi się to nie podobało. Przypomina to pianistów akcentujących wspaniałe parabole szerokim gestem rąk albo piosenkarzy, których głowy kiwają się jak kwitnące mleczki na łąkach.

W spojrzeniu Helen jest pewne niebezpieczne zdecydowanie. Biorąc pod uwagę to, ile wypłała podczas lunchu, gra zaskakująco dobrze. Jednak zachowuje się dziwnie, kiedy ma zagrać frazę imitującą: odpowiada frazą, która jest prawie klonem poprzedniej. Na początku ogranicza się tylko do dźwięku, i już to denerwuje: Piers ma kłopoty przy arpeggio w triolach staccato, a Helen zacina się w tym samym momencie dokładnie w ten sam sposób, jak gdyby jakiś duszek wyskoczył z niego i wskoczył w nią. Powinienem być bardziej jej pomóc z tym winem.

Gramy jeden z kwartetów Haydna, opus 64, i całkiem dobrze nam idzie, jak to zwykle z Haydnem, chociaż wszystko to nas dekoncentruje. Gesty Billy'ego przy tylu smacznych pustych C stały się jeszcze szersze, a imitacje Helen objęły jej mimikę. Ale zauważam, że teraz robi coś jeszcze dziwniejszego. Zawsze gdy ma przerwę po pustej strunie, zdejmuję rękę z altówki.

Jestem tym tak zafascynowany, że bezwiednie zaczynam robić to samo. Ale naprawdę szokujące jest to, że Piers, gapiąc się na mnie i na Helen, sam zaczyna z szerokim uśmiechem zdejmować rękę z instrumentu. Wszyscy gramy z szerokim gestem Billy'ego na naszych miniaturowych wiolonczelach, ekstrawagancko gestykułując, gdy nasze lewe ręce nie mają nic lepszego do roboty.

Twarz Billy'ego staje się coraz bardziej czerwona, jego gesty coraz oszczędniejsze, a sama jego gra coraz bardziej ścieśniona, aż w środku

frazy dwa razy kicha i nagle urywa. Wstaje, opiera wionoczele o krzesło i zaczyna poluzniać włosie na smyczku.

—Co się stało, Billy? — pyta Helen.

—Mam tego dość — mówi Billy, patrząc na nas z wściekłością.

Piers i ja mamy skruszone miny, ale Helen wydaje się zdziwiona.

—Dość czego? — chce wiedzieć.

—Wiesz, czego — odpowiada Billy. — Wszyscy wiecie. Kiedy to zaplanowaliście?

—Niczego nie planowaliśmy, Billy — mówi Piers.

—Tak po prostu wyszło — dodaje.

—Co wyszło? — pyta Helen, uśmiechając się łagodnie do Billy'ego.

—Ty to zaczęłaś — oskarżają Billy. — Właśnie ty. Nie udawaj niewiniątka.

Helen zerka na czekoladowe ciasteczka, ale decyduje, że mogłyby raczej go zdenerwować niż uspokoić.

—Przepraszam, Billy — mruczę. — Myślę, że Helen nawet tego nie zauważyła. Piers i ja nie powinniśmy byli do niej dołączyć.

—Jeśli nie podoba wam się to, co robię na pustych strunach, to okazaliście to w ohydny sposób.

Helen zaczyna rozumieć i patrzy na swoją lewą dłoń.

— Och, Billy, Billy — mówi, wstając i całując go w policzek.

— Siadaj, nie miałam pojęcia, co robię. Dlaczego nagle zrobiliście się tacy wrażliwi?

Billy, wyglądający jak niedźwiedź ze zranioną łapą, zgadza się usiąść i ściska smyczek.

—Nienawidzę, kiedy się przeciwko mnie zmawiacie — oznajmia ze zbolalym wyrazem twarzy. — Nienawidzę tego.

—Billy, my się nie zmawiamy — mówi Piers.

—O tak, zmawiacie się. — Billy patrzy na nas pochmurny. — Wiem, że nie chcecie zagrać kwartetu, który napisałem.

Piers i ja spoglądamy na siebie, ale zanim udaje się nam coś powiedzieć, Helen wykrzykuje:

—Ależ tak, Billy, oczywiście, że tak. Bardzo chcielibyśmy go grać.

—Zagrać — szybko dodaje.

—Raz — uzupełnia mnie Piers.

—Tak z ciekawości, wiesz, kiedyś przy okazji — mamrocę z poczuciem winy.

—Cóż, nie jest jeszcze skończony — mówi Billy.

—Ach — wzdycha Piers z widoczną ulgą.

—Może powinniśmy z tym poczekać do powrotu z Wiednia — sugeruję.

— I do rozpoczęcia pracy nad Bachem — dodaje Piers. Helen patrzy na Piersa dość zaciekawiona, ale nie mówi ani słowa. Billy, którego obawy się potwierdziły, nie patrzy na żadne z nas. Zajmuje się czytaniem nut do następnej części. Lodówka Helen brzęczy, wydając dźwięk dziwnie zawieszony pomiędzy „g” a „g” z krzyżykiem.

## 4.9

Przez prawie cały czas, ponad szpinakiem, pustymi strunami i całą resztą, moje myśli wracają do Julii, więc nie jestem dobrze przygotowany na telefon od Virginie.

—Michael, tu Virginie. Jeśli jesteś, proszę, odbierz i nie chowaj się za swoją automatyczną sekretarką. Halo, Michaelu, słyszysz mnie? Proszę, odbierz telefon, Michaelu, proszę, Michaelu, przestań grać ze mną w te swoje gierki, nie zamierzam...

—Halo.

—Dlaczego nie odebrałeś wcześniej?

—Virginie, czy wiesz, która jest godzina?

—Jedenasta trzydzieści. No i co? Nie rozmawiałeś ze mną od dwóch tygodni. Myślisz, że łatwo mi zasnąć?

—Virginie, nie mogę teraz rozmawiać.

—Dlaczego nie? Miałeś ciężki dzień?

—Cóż, tak, dosyć.

—Biedny Michael, biedny Michael, bardzo chciałbyś już wrócić do łóżka.

—Tak.

—*Oh, qu'est-ce que tu m'énerves!* Będę mówić, jak mi się podoba. Z kim ty sypiasz? Kim ona jest?

—Przestań, Virginie.

—Nie kłam. Wiem to, wiem. Sypiasz z kimś?

—Tak.

—Wiedziałaś. Wiedziałaś! — wykrzykuje Virginie. — Okłamałeś mnie. Kłamałeś, że z nikim się nie spotykasz. A ja ci uwierzyłam. Jesteś obrzydliwy, Michael. Pozwól mi z nią pomówić.

—Virginie, uspokój się, bądź rozsądna...

—Och, nienawidzę was, Anglików. Bądź rozsądna, bądź rozsądna. Masz serce z betonu.

—Virginie, posłuchaj, lubię cię, ale...

—Lubię, lubię. Daj ją do telefonu. Powiem jej, jak mnie lubisz.

—Jej tu nie ma.

—Nie jestem kretynką, Michael.

—Nie ma jej tu, Virginie, nie ma jej tu, rozumiesz? Nie zadreńczaj się. Bardzo mi przykro z tego powodu, ale nie wiem, co robić. Co byś zrobiła na moim miejscu?

—Jak śmiesz? — pyta Virginie. — Jak śmiesz mnie o to pytać? Kochasz ją?

—Tak — mówię cicho po krótkiej pauzie. — Tak, kocham.

—Nie chcę cię więcej widzieć, Michael. — W głosie Virginie słychać łzy i złość. — Nigdy więcej nie chcę cię widzieć. Jestem młoda i będę się dobrze bawić. Zobaczysz. I pożałujesz. Pożałujesz wszystkiego. Mam nadzieję, że ona złamie ci serce tak, że nie będziesz mógł spać ani nic. Zawsze lekko mnie traktowałeś, bo cię kochałam.

—Dobranoc, Virginie. Nie wiem, co powiedzieć. Przykro mi. Naprawdę mi przykro. Dobranoc.

Odkładałam słuchawkę, nie czekając na odpowiedź. Nie oddzwania.

Zachowuję się okropnie i wiem o tym. Ale nie mam pola manewru. Nigdy nie myślałem, że ją wykorzystuję. Był to układ, z którego, jak sądziłem, była zadowolona. Ale teraz widzę, że stajemy się sobie obcy; z każdym mijającym tygodniem myślimy o sobie coraz mniej i stopniowo znikamy ze swego życia, Biedna Virginie, mówię do siebie, i trochę się wstydzę na samą myśl o niej. Mam nadzieję, że znajdzie kogoś zupełnie niepodobnego do mnie: niewymagającego, szczęśliwego z natury, a przede wszystkim nie wpisanego nieodwracalnie w życie innej kobiety.

#### 4.10

Pewnego sobotniego ranka, ku mojemu zdumieniu, Julia pojawia się tuż przed ósmą przy Serpentine. Nigdy nie widuję jej w czasie weekendu, ale James wyjechał, a Luke jest u kolegi. Zdumiona przygląda się moim czynom. Nie wierzyła, że to robię, a teraz, kiedy widzi to na własne oczy, nadal nie rozumie, dlaczego. Przecież nie jestem specjalnie wysportowany. Odpowiadam, że jej zadaniem nie są spekulacje, tylko dodawanie mi otuchy. Jednak jej obecność sprawia, że płynę po przekątnej i kończę ostatni. Najodważniejsi pytają głośno, kim jest. Mówię im, że to moja sprzątaczką.

Potem idziemy do mojego mieszkania, kochamy się. Odpływa z niej napięcie i nieznośna ambiwalencja. Zamyka oczy. Wzdycha, mówi mi, co mam robić. Tego, co ja do niej mówię, nie może usłyszeć.

—Czuję się jak utrzymanek — skarżę się jej. — Odwiedzasz mnie, ale nigdy nie mogę być pewien, kiedy to nastąpi. Nigdy nie wiem, czy będziesz chciała się kochać czy nie. Kiedy tu jesteś, czuję się cudownie, a przez resztę czasu wciąż się zastanawiam, kiedy znów się pojawisz. Przynosisz mi prezenty, co mi się podoba, ale kiedyż ja będę miał okazję nałożyć spinki do mankietów poza sceną?

—A Virginie, czy ona... czy ci płaciła?

—Zmieniasz temat.

—Wcale nie. Płaciła ci?

—Tak, za lekcje, oczywiście.

—A przestała, kiedy zaczęliście ze sobą sypiać?

Spoglądam na Julię zaskoczony. Jest bardzo bezpośrednia.

— Nie — odpowiadani. — Raz to zasugerowałem, ale powiedziała, że byłoby to równoznaczne z tym, że to ja jej płacę.

—To budzi respekt. Może nie dość ją cenisz.

—Naprawdę? — pytam i całuję ją. — Weźmy razem prysznic.

—Boże drogi, Michaelu, co się z tobą stało przez te dziesięć lat?

— Chodź. Zmyję z ciebie Serpentine.

Nie w pełni się to udaje, ponieważ dziwne ciśnienie wody w moim budynku znów daje znać o sobie i Julia stoi cała namydlona z głową w pianie, a z prysznicą leci tylko cienka letnia strużka.

— Nie martw się — mówię. — Wezmę trochę wody z kuchennego kranu.

Mruży oczy, aby wyczytać przez pianę, co mówię.

— Pospiesz się, Michaelu — prosi.

— Wyglądasz cudownie. Sprawdzę, czy mam jeszcze film w aparacie.

— Udaję, że robię zdjęcie.

— To nie jest śmieszne. — Wydaje się zdenerwowana.

Dzwoni domofon. Młody Jamie Powell, jeden z moich uczniów, pojawia się na małym niebieskim ekranie. Proszę go, aby poszedł na spacer i wrócił za dziesięć minut. Jest najoporniejszym z moich uczniów, więc cieszy się z tego.

Julia jest już ubrana, kiedy Jamie wchodzi. Jest wrednym, choć muzycznym nastolatkiem, beznadziejnym w grze na skrzypcach, lecz uwielbiającym gitarę. Nie wiem, dlaczego jego rodzice nalegają, byśmy kontynuowali te lekcje, ale dla mnie przynajmniej jest to jakiś dochód. Patrzy na nas dwoje z widocznym rozbawieniem. Julia, nie pocałowana i nie pocałowawszy mnie, wychodzi po szybkiej prezentacji: „Jessico, to jest Jamie; Jamie, to jest Jessica”. A Jamie naśmiewa się ze mnie przez całą lekcję.

Chociaż nam przerwano, chociaż już wyszła i mogę jej przez jakiś czas nie zobaczyć, jednak jej wizyta uczyniła mnie szczęśliwym na resztę dnia. Prawie nie myślę o przyszłości naszego związku, tak jestem oszołomiony intymnością, niewiarą i podnieceniem, że z stał ponownie nawiązany. Kie-



dy jesteśmy razem, rozmawiamy prawie o wszystkim — o czasach w Wiedniu, gdy byliśmy szczęśliwi, o muzyce i o latach oddalenia, teraz już nie straconych, tylko brakujących. Ale chociaż opowiadam o tym okresie mego życia, nie dotykam ciemności, nadal dla mnie niezrozumiałej, która mnie ogarnęła, powodując czy też wymuszając tę przepaść między nami.

Opowiadam jej o tym, jak słuchałem radia w taksówce i byłem pewny, że to ona gra. Czułem to, mówię, przecież nie mogłem się mylić. Zastanawia się przez sekundę i mówi, że to jednak była pomyłka. Nie była w tym czasie w Anglii ani nigdy nie grała Bacha publicznie. To nie mogła być ona, tylko jakaś inna kobieta.

— Kobieta? — pytam.

— Tak — odpowiada. — Skoro mówisz, że mnie z nią pomyliłeś.

#### 4.11

Chociaż opowiada o swojej rodzinie, nigdy nie wspomina o tym, jak poznała Jamesa, jak ją uwiódł i zdobył. Ja też nie chcę wiedzieć,

Nasze czułości nie są takie jak dawniej. Raz skarcony, nie nazywam jej tak jak kiedyś. Jest miejsce na tylko jedno „kochanie” i nie chcę, nawet jeśli jej to nie przeszkadza, przypominać jej o domu, stole w jadalni, o dziecku i mężu. Czuję, że znam ją jak nikt inny, że rozumiem istotę jej osobowości: wielką poszarpaną pepowinę, która łączy ją z muzyką. Znałem ją, gdy po raz pierwszy i może jedyny — chociaż co ja mogę o tym wiedzieć? — była zakochana.

Dobrze się między nami układa i moje godziny, nawet gdy jestem sam, płyną w zróżnicowanej jasności. Ale ona żyje w dwóch światach, które są ze sobą w sprzeczności. Ma życie poza mną, miejsca i ludzi dla mnie niedostępne. W Wiedniu moi i jej przyjaciele, tacy jak Wolf i Maria, ubogacali nasz związek, a nawet sami stali się przyjaciółmi. Teraz jesteśmy w bańce mydlanej i inni ludzie są jedynie słowami podczas rozmów. Jesteśmy wciśnięci w zbroje. Ale przez te lata rozłąki staliśmy się mniej towa-

rzyscy: ona nie radzi sobie w tłumie, a ja po prostu powróciłem do wcześniejszego, samotniczego stylu życia.

Nawet jeśli oboje mamy ochotę na jakiś koncert, nie idziemy, mimo że sala jest wyposażona w przekąźniki. Kto wie, kogo moglibyśmy spotkać albo kto mógłby nas zobaczyć. Poza tym, jej aparat słuchowy, nawet odpowiednio nakierowany na przekąźnik, czasem nie pozwala usłyszeć właściwej wysokości. Kiedy Julia jest ze mną, nigdy go nie nosi.

Spodziewałem się u niej większego protestu, więcej żalu, wściekłości. Kiedy to mówię, Julia opowiada mi o ludziach, których poznała, ucząc się czytania z ruchu warg. Jeden z nich cierpi na chorobę, od której ma straszne ataki mdłości. Inny stracił słuch po wylewie; potraça ludzi na ulicy, a ci odpychają go, jakby był pijakiem. Pewna kobieta koło pięćdziesiątki straciła słuch z dnia na dzień z powodu ile wykonanej operacji.

— Jakoś sobie radzą — mówi. — Ja jestem w dużo lepszej sytuacji.

—Ale ty jesteś muzykiem. Dlatego tobie jest najtrudniej.

—Cóż, teraz mogę to podzielić z tobą.

—Zbyt lekko to traktujesz.

—Michaelu, ja muszę z tym żyć. Ty też jakoś byś sobie radził, gdyby przydarzyło się to tobie. Może tak nie uważasz, ale poradziłbyś sobie.

—Wątpię, Julio. Nie wiem, co bym sobie zrobił... Masz więcej odwagi niż ja.

— Nie mam. Ale wiem, że głucha matka jest lepsza niż żadna.

Nie mam pojęcia, co odpowiedzieć.

— Przynajmniej — mówi po chwili — Przynajmniej nie urodziłam się głucha. Przynajmniej pamięć może mi podpowiedzieć, jak brzmi *Kwintet smyczkowy* Schuberta. Mam więcej szczęścia niż Mozart, który nigdy nie słyszał nawet nuty tego utworu, albo Bach, który nigdy nie słyszał nawet nuty Mozarta...

Czasem maska spada i czuję jej nieszczęście.

Pytam, jak jej się udaje wciąż grać tak dobrze, z takim wyczuciem. Nie rozumiem tego. Ona, która tak chętnie rozmawia o muzyce, odpowiada bardzo krótko. Mówi jedynie, że znajduje myślową analogię do tego, jak

słyszy daną frazę, i pozwala, by jej ciało to wyraziło. Jej głuchota jest dla mnie zaprzeczeniem marzeń, ale prze-cież nie mogę tak natrętnie jej wy-pytywać. Co ma na myśli, mówiąc: „wyraża”? Co uszy mogą jej przeka-zać? Skąd wie, z jaką siłą nacisnąć pedał?

Nadal lubi drobne, namacalne przyjemności życia. Jedną z nich jest wi-dok z okien autobusów, więc czasem jeździmy, siedząc u góry po prz ciw-nych stronach przejścia. To musi jej przypominać, tak jak i mnie, o tym, jak zobaczyliśmy się po raz pierwszy.

—Nie czuję się dumna z powodu tych eskapad — mówi dzisiaj.

— Gdyby kto inny robił to, co ja, nie wiem, co bym o nim pomyślała.

—Że jest odrażający, Julio. Nie chcesz chyba tego powiedzieć? Nie je-steś ze mną szczęśliwa, czy tak?

—Jestem, jakże mogłabym nie być? — Wyciąga rękę w moją stronę, ale spostrzega konduktora i wycofuje się.

Jak godzi te wizyty u mnie z rolą żony i matki w domu? Jeśli wzajemne zaufanie ma dla niej wartość, to musi czuć ból; jednak nie myślę o tym, bojąc się, że zaleje także nasz świat. Nie pytam jej, a ona mi nie mówi, czy w ciągu ostatnich dwóch tygodni była w kościele, a jeśli tak, to jakie myśli przychodziły jej do głowy.

Cudzołóstwo i grzech; to śmieszne, nie ma łagodniejszych słów. Ale przecież Julia nie może tego zaakceptować; sama tak łagodna, musi wie-rzyć w miłosiernego Boga. Wszystko to jest dla mnie obce, nawet niezro-zumiałe. Czy wymogłem na niej więcej, niż sama chciała? A gdybyśmy pozostali przy muzyce i niczym więcej, by odtworzyć wzajemne natchnie-nie i więzi przyjaźni, tak dawno utracone? Czy wtedy nie byłoby poczucia winy? Czy pogodziłaby się z myślą o dwóch mężach, innym w każdym ze światów? Czy zniósłbym to bez narzekań i sprzeciwów?

Nie ma sensu się nad tym zastanawiać teraz, kiedy to wszystko trwa. Ale co byłoby, gdyby się nie zaczęło? Gdybyśmy się nie kochali, my, których krew płynie jednym rytmem? Jakie by to było wzruszające, jakie niewin-ne, smutne, przejmujące, piękne — jak godne pochwały, jak fałszywe, jak męczące, jak niewygodne.

## 4.12

Erica jedzie z nami taksówką do wytwórni Stratus Records. Właśnie oznajmiła, że nowa dziewczyna w jej biurze zarezerwowała dla nas cztery bilety zamiast pięciu na lot do Wiednia i Wenecji. Nie zdawała sobie sprawy, że wiolonczela Billy'ego zawsze zajmuje osobne miejsce.

—To oburzające, Erico — kwituje Piers. — Pozbądź się jej.

—Cóż, jest nowa, młoda, właśnie skończyła studia, nie wiedziała.

—Więc co robimy z tym ostatnim biletem? Lecimy oddzielnie?

—Agent biura podróży powiedział, że skontaktują się z nami pod koniec tygodnia. Na razie jestem optymistką.

—A kiedy nie jesteś? — wykrzykuje Piers.

—Tak czy inaczej — mówi Billy, patrząc ponuro przez okno taksówki — nie palę się do tego wyjazdu.

—O co znowu chodzi, Billy? — pyta niecierpliwie Piers. — Nigdy wcześniej nie miałeś zastrzeżeń do Schuberta.

—Cóż, przede wszystkim uważam, że program jest pozbawiony równowagi — wyjaśnia Billy. — Nie możemy zagrać i *Kwintetu smyczkowego*, i *Pstrąga*.

—A co tym razem, Billy? Bałagan chronologiczny? Jeden jest zbyt wczesny, drugi za późny?

—Cóż, tak, oba są kwintetami i oba są ogromne.

—Zagramy je — mówi Piers. — Wszystkie utwory Schuberta do siebie pasują. A poza tym, gdyby dożył siedemdziesiątki, to wszystko byłby wczesny Schubert. Jeśli miałeś jakieś wątpliwości, dlaczego nie wspomniałeś o nich wcześniej?

—A poza tym naprawdę wolałbym grać drugą wiolonczelę w *Kwintecie smyczkowym* — dodaje Billy.

—Ale dlaczego? — pytam. — Pierwsza wiolonczela ma same najpiękniejsze melodie.

—Całe piękno, jakie potrafię znieść, mam w *Pstrągu* — mówi krnąbrnie Billy. — I podobają mi się te burzliwe fragmenty w *Kwintecie*: da-da-da da-da-da da-da-da dam! To ja powinienem je grać. Ja jestem kotwicą

kwartetu. Dlaczego drugą wiolonczelę zawsze musi grać wiolonczelista z zewnątrz?

Helen, której udało się otoczyć ramieniem i Billy'ego, i mnie, ścisza jego ramiona, a przez przypadek także moje.

—Jeszcze kiedyś zagrasz drugą wiolonczelę z jakimś innym kwartetem.

—Nie wiem — mówi Billy po chwili. — Poza tym, to nie to samo.

—Co się dzisiaj z wami dzieje? — pyta Helen zdenerwowana.

— Wszyscy wydają się spięci.

—Ja nie — mówię.

—Tak, ty też. Jesteś spięty od Bóg wie jak dawna.

—A ty nie jesteś? — pyta Piers.

—Nie, a dlaczego miałabym być? — pyta Helen. — Spójrz! — Wskazuje przez okno fragment St James's Park. — Jest wiosna.

—Helen zakochała się w tym okropnym facecie imieniem Hugo — objaśnia nam Piers. — Jest częścią zespołu zwanego coś tam Antiqua, gra na barokowych skrzypcach, nosi sandały i brodę: sami rozumiecie.

—Nie jestem zakochana — prostuje Helen. — A on wcale nie jest okropny.

—Oczywiście, że jest — mówi Piers. — Musisz być ślepa.

—Wcale nie jest okropny, Piers. Do tej chwili byłam w świetnym nastroju.

—Wygląda jak owłosiony ślimak — ciągnie Piers.

—Nie pozwolę tak mówić o moich znajomych — mówi zdenerwowana Helen. Spotkałeś go tylko raz, więc nie wiesz, jaki jest miły. To dzięki niemu udało mi się zdobyć głębszą altówkę i to dzięki temu w ogóle możemy nagrywać. Nie zapominaj o tym.

—Jakżebym mógł — odpowiada Piers.

—Nie chcesz zrealizować tego nagrania? — pyta Helen. — Myślałam, że wreszcie udało się nam ciebie przekonać.

—Cóż, jest trzy do jednego — mówi Piers jakby do siebie.

—Piers — dodaje Helen. — Każdy czuje, że jest trzy do jednego od czasu do czasu. I nikt cię do niczego nie zmusza. Kiedy Tobias był...

Brat rzuca jej przeszywające spojrzenie i Helen urywa w pół zdania.

— Dobrze, już dobrze. Przepraszam. Przepraszam. Nie chciałam o tym wspominać. Ale to absurdalne. Nie wolno mówić o Aleksie. Nie wolno mówić o Tobiasie, już o nikim nie wolno mówić.

Piers z zaciśniętą szczęką milczy, starając się nie patrzeć na żadne z nas.

—Negacja, negacja, negacja. Wszyscy jesteście dzisiaj tak negatywnie nastawieni — mówi pogodnie Helen. Dziś rano, kiedy parzyłam kawę, nagle uświadomiłam sobie, jak nudni są muzycy. Wszyscy nasi przyjaciele są muzykami i nie interesuje nas nic poza muzyką. Jesteśmy ograniczeni. Kompletnie ograniczeni, łąk sportowcy.

—Dobra, załoga — stwierdza Erica. — Jesteśmy na miejscu. Pamiętajcie: najważniejsza jest jedność.

#### 4.13

Ysobel Shingle wita nas namiętną pochwałą i wcale nie upiera się przy sztywnych terminach, przy stylu gry ani przy kolejności poszczególnych części *Kunst der Fuge*, w której inne układy są dopuszczalne. Jest zachwycona myślą, że dzięki naleganiom Billy'ego i uporowi Helen uda się nam zagrać cały utwór bez transponowania czegokolwiek.

Pyta, czy wolelibyśmy nagrywać w normalnym studiu czy w bardziej naturalnej atmosferze — wspomina o kościele, z którego czasami korzystają. Erica mówi jej, że nie możemy o tym zdecydować tak wcześnie, i wydaje się, że to, jak wszystko inne, wcale jej nie przeszkadza.

Ysobel jest niezwykle spięta i zdenerwowana podczas rozmowy, więc na zakończenie próbujemy ją uspokoić. Jest coś niepokojącego w jej bladej twarzy, wydaje się, jakby właśnie spadła z innej planety i próbowała pogodzić się z nowymi warunkami, a jednocześnie przeprowadzić swoją transgalaktyczną misję.

Wygląda na to, że boi się Eriki, telefonu, nawet własnej sekretarki, ale Erica powiedziała nam, że w rzeczywistości Ysobel Shingle nie boi się nikogo, nawet sponsorów, którzy pozornie rządzą wytwórnią Stratus Records. Chodzi na ich zebrania i kiedy tylko ją krytykują albo coś kwestio-



nują, zniża głos do szeptu i mamrocze tak intensywnie, że wycofują swoje zastrzeżenia. Każdy boi się ją stracić, bo to ona jest siłą napędową ich „A i R”, jak to w skrócie nazywa Erica: „Artyści i Repertuar”.

Od czasu do czasu, nawet podczas naszego spotkania, jej głos zdaje się zanikać i tylko usta się poruszają. Chociaż nas to dziwi, zauważam, że Julia bardzo dobrze odnalazłaby się w tej sytuacji. Zdumiewa mnie ta myśl. Ale nagle Ysobel Shingle uśmiecha się ponuro, jakby odzyskując pewność siebie, i jej głos wydostaje się z tunelu:

— Więc moglibyśmy, wiecie, to też załatwić, jeśli się zgodzicie, oczywiście. Dział marketingu i reklamy obędzie mnie żywcem ze skóry, jeśli się nie zgodzicie, ale decyzja należy wyłącznie do was.

Jej uśmiech znika na myśl o niedalekim męczeństwie, więc szybko godzimy się na to, o czym wcześniej mamrotała pod nosem.

Piers zatrzymuje swoje obiekcje dla siebie i sprawia wrażenie bardzo entuzjastycznie nastawionego do projektu, Helen usiłuje ukryć zaskoczenie i wdzięczność. Po zakończeniu rozmowy Erica zachwycona przebiegiem spotkania i spóźniona na następne, z hiszpańską diwą, rozsyła całusy, ścisiska kulącego się Piersa i wybiega korytarzem na ulicę, by złapać taksówkę, która właśnie zatrzymała się na światłach.

#### 4.14

—Michael, czy to ty?

—Tak, tato. Halo, to ja. Co słyhać?

—Och, niewiele. Zsa-Zsa jest chora. Jutro zabieramy ją do weterynarza.

—Mam nadzieję, że to nic poważnego.

—Ciagle wymiotuje i wydaje się, że nie ma w ogóle, nie ma...

—Energii?

—Energii. — W głosie ojca słyhać ulgę.

Nie mogę powiedzieć, żebym martwił się kotem, który raz w roku przeraża wszystkich swoim stanem zdrowia. Już przekroczyła swój limit dziewięciu wcieleń i chyba wcale nie zdaje sobie z tego sprawy ani nie jest wdzięczna.



—Dobrze się czujesz, tato?

—W porządku, dobrze... Dawno cię nie słyszałem.

—Byłem bardzo zajęty.

—Mogę sobie wyobrazić. Wiedeń. Czyż nie?

—Nie, tato. To dopiero będzie.

—Nie wiem, jak ty to robisz.

—Co robie?

—No wiesz, jak dajesz sobie ze wszystkim radę. Joan i ja rozmawialiśmy o tym, jacy jesteśmy z ciebie dumni. Kto by pomyślał, że będziesz się tym wszystkim zajmował... Och, wiem, co miałem powiedzieć. Czy pani Formby dzwoniła do ciebie?

—Nie, tato. Nie dzwoniła.

—Prosiła o twój numer telefonu, a ja nie widziałem powodu, żeby jej go nie podać.

—Nic się nie stało, tato.

—Nie chcę dawać twojego numeru wszystkim ludziom. Nie chcę, żeby ci się naprzykrzali, jeśli sobie tego nie życzysz.

—Rób, jak uważasz, tato. Jeśli dasz go komuś, to w porządku. Czego chciała? Czy coś mówiła?

—Nie, nic. Czy powinienem był spytać?

—Nie. Tak się tylko zastanawiałem.

— Mówiła, że bardzo smakował jej pudding gwiazdkowy, który jej przyniosłeś. Miła z niej dama. Zawsze taka była.

—Ciocia Joan ma się dobrze?

—Dobrze, tylko... wiesz, jej ręce...

—Artretyzm.

—No właśnie.

—Pozdrów ją ode mnie.

—Oczywiście.

—To do widzenia, tato. Wkrótce zadzwonię.

Odgrywam tę rozmowę w myślach. Chyba mogę się wkrótce spodziewać telefonu od pani Formby. Idę do swojego małego pokoju muzycznego — bardziej celi niż pokoju — i otwieram futerał skrzypiec. Unoszę akxa-

mitny oliwkowozielony pokrowiec i wyjmuję tononiego. Delikatnie, bardzo delikatnie dotykam instrumentu wierzchem dłoni z obu stron.

Jak długo jesteśmy razem, my dwoje: lata w Wiedniu, później lata samotności, lata z kwartetem. Weszły w moje życie tego samego roku co Julia. Tak długo już śpiewamy jednym głosem. Tak bardzo w siebie wrosliśmy. Jak cokolwiek mogłoby nas teraz rozdzielić?

#### 4.15

Lękam się telefonu. Nic dobrego nie spodziewam się usłyszeć. Julia nie może ze mną rozmawiać. Jedyne, co telefon może mi teraz zesłać, to wyrzuty młodej kobiety, która uważa się za skrzywdzoną, albo prośba starej kobiety, która była dla mnie bardzo dobra, ale ma władzę odebrać mi to, co kocham.

Virginie nie dzwoni. Pani Formby nie dzwoni. Często nie ma żadnych wiadomości na sekretarce i wtedy czuję ulgę. Są dni, kiedy jest ich kilka. Czasem jestem nękaną przez klientów London Bait Company. Chyba powinienem coś z tym zrobić.

Przyglądam się sobie w lustrze. Dwa tygodnie po przesileniu będę miał trzydzieści osiem lat. Na skroniach, blisko uszu, widzę nitki swizny. Gdzie jestem teraz, mając za sobą połowę życia? Gdzie będę w wieku mojego ojca?

Czy ktoś widział bankiera z wąsami? Co jest niezwykłego w tym, że zgolił wąsy?

Julia i ja nie możemy spędzać ze sobą wiele czasu. Mamy jedynie to, co uda się wyrwać z dnia. Ani razu, nie licząc naszego pierwszego spotkania, nie spotkaliśmy się wieczorem, i nawet nie mamy na to nadziei. Zatem noc mam jedynie dla siebie: praca, czytanie, spacer po okolicy. Pewnego wieczoru przechodzę jej ulicą. Poprzez zasłony widać światło. Czy są w pokojach z widokiem na ogród?

Opowiedziała mi o wieczorach. Są świątynią domowego zacisza: Luke, James, pianino, książki, telewizja z włączonymi napisami, Buzby. Nie wychodzą często.

Chociaż wiem, co robi, nie mam poczucia tempa, rytmu jej dnia. To jest poza moim zasięgiem. Jednak to, czym dzielimy się za dnia, jest czymś więcej, niż mógłbym sobie wyobrazić tej ponurej zimy.

Magnolia, forsycja, klematis: wydaje się, że pogoda płata figle w ostatnich kilku latach i że wszystko się pomieszało.

Zastanawiam się, czy powinienem zadzwonić do pani Formby, ale nie dzwonię. Nasze instrumenty stanowią osobny kwartet: każdy prowadzi własne życie. Helen przyzwyczajają się do przestrojonej altówki, którą pożyczyła. Na niej wędruje po niższych zakresach tenoru w *Kunst der Fuge*, jednocześnie grając wszystko inne na własnej, tradycyjnej altówce. Czy ten ogromny pożyczony instrument buntuje się przeciwko owemu dziwnemu strojeniu? Co sądzi o niskich, wolnych tonach swojego przestrojonego głosu? Czy patrzy na mniejszą, częściej używaną koleżankę z zazdrością i pogardą?

Skrzypce Piersa nie czują się, jak sądzę, bezpiecznie. Wiedzą, że szuka nowych i że planuje je sprzedać.

Ukochana wiolonczela Billy'ego prowadzi interesujące życie. Służy mu do grania jego własnych, nie przedstawionych utworów, a także do eksperymentów stylistycznych i technicznych. Ostatnio Billy pozwala sobie na dużo większą dowolność w wycuciu czasu. Nie zwiększając głośności dźwięku ani nie odchodząc od ustalonego rytmu, uzyskuje dzięki temu subtelniejszy efekt i ożywia to, co akurat gramy. Jego wiolonczeli udało się, pomimo całego zamieszania, zająć razem z nami miejsce w samolocie do Wiednia.

Myślę o swojej starości w tym mieście i o tej niewyobrażalnej rekapitulacji. Wyczuwam w Julii spokój, którego nie potrafię docenić ani zrozumieć. Czy kiedy to, co się dzieje, dobiegnie końca, wszystkim, co usłyszy, będzie jedynie głos w jej głowie?

Gramy razem z Julią parę *Sonat manchesterskich* Vivaldiego. Mój tonowi śpiewa zachwycony, jakby chciał powiedzieć, że pamięta je dobrze z

czasów, gdy grały na koncertach samego kompozytora. To, co ona gra na klawiszach, jest jasne i piękne. Dopiero teraz zauważam, że bardzo rzadko, pod koniec frazy, jej palec lekko dotyka klawisza, tak delikatnie, że nie słyszę żadnego dźwięku, który ona bez wątpienia słyszy.

Dni, które teraz ze sobą spędzamy, zlewają się z wieczorami, które spędzaliśmy w tamtym mieście, na pół przerażeni, na pół zakochani. Wkrótce zakwitnie bez, kasztan rozwinie hałaśliwe liście. To dziwne uczucie wiedzieć, że mieszka tam teraz jej matka, a ona jest tu, w Londynie.

Maggiore ćwiczy *Kwintet smyczkowy* Schuberta bez piątego muzyka: pełne próby będą mogły się odbyć, dopiero gdy spotkamy się z naszym drugim wiolonczelistą w Wiedniu. To ciekawe i potrzebne ćwiczenie; często musimy ćwiczyć z wyimaginowanym partnerem. Billy jest z początku przygaszony, ale już po chwili gra pierwszą wiolonczelę jak zwykle po mistrzowsku. W pewnej chwili rozśmiesza nas, akcentując jedną szczególnie uroczą melodię, by nam pokazać, że się nie martwi.

Austriacki pianista, który ma grać z nami *Pstraga*, miał przyjechać na koncert do Londynu w zeszłym tygodniu. Planowaliśmy jedną przed wyjazdową próbę, ale nic z tego nie wyszło. Z jakiegoś powodu jego koncert odwołano i nie zjawił się w Londynie.

Nadchodząca podróż do Wiednia mogłaby być dla mnie trudna. Zamknąłbym się pewnie w pokoju hotelowym, a mój umysł wędrowałby po mieście — po parkach, kawiarniach, brzegach Dunaju, wzgórzach północnych dzielnic. Teraz, kiedy znów się spotkaliśmy, nie obawiam się bólu.

W maju, oczywiście, będą bzy. I te białe kwiatki, które widziałem tylko w Wiedniu, na tych podobnych do akacji drzewach.

## 4.16

Słyszę dzwonek do drzwi. Wkładam szlafrok i idę otworzyć.

— Kto tam?

Cisza.

Patrzę przez wizjer. Na korytarzu stoi Julia z zabawnym wyrazem twarzy. Rob musiał ją wpuścić. Wystarczyło, że się do niego uśmiechnęła.

—Och, jak ponuro! — mówi Julia, wchodząc do środka. — Jest za ciemno. Podnieś żaluzje. Nic nie widać. I niczego nie słyszę. Nie, dzień nie jest ładny, Michaelu, ale jest już po dziewiątej. To niemożliwe, że dopiero wstałeś. Idziemy na zakupy.

—Nie zniżaj się nade mną — protestuję. — Wczoraj wróciliśmy z Norwich późno w nocy. Próbuję odespać.

Ale Julia podnosi żaluzje i nie odpowiada.

—Teraz jest lepiej — stwierdza.

—Chodźmy do łóżka. Wracajmy do łóżka — mówię.

— Nie ma na to czasu. Nie zwracaj sobie głowy goleniem. Weź prysznic. Zaparzę kawę. Przestań ziewać. Korzystaj z dnia.

Nadal ziewając, staram się robić, co każe. Pod prysznicem myślę o tym, co powiedziała, i wykrzykuję: „Dlaczego na zakupy?”, chociaż wiem, że jej odpowiedź zagłuszy szum leżącej wody. Potem przypominam sobie, że przecież nie będzie żadnej odpowiedzi. Ale dlaczego mamy iść na zakupy? Wolałbym po prostu zostać z nią w domu.

— Ponieważ za tydzień są twoje urodziny — wyjaśnia Julia, pijąc kawę.

—Rzeczywiście — mówię zadowolony.

—Więc jesteś w moich rękach.

—Tak, widzę, że tak.

—Masz okropnie niemodne swetry, Michaelu.

—Ale zbliża się kwiecień. Nie potrzebuję kolejnego swetra.

—Potrzebujesz cienkiego letniego swetra. Zobaczmy, co tu masz... Co ty robiłeś wczoraj wieczorem? Wyglądasz na zmęczonego.

—Byłem w Norwich na koncercie z Camerata Anglica i wróciłem dopiero o trzeciej.

—O trzeciej?

—Ktoś mnie podwiózł, ale złamał się kluczyk do samochodu i musieliśmy wezwać pomoc drogową... to nieważne szczegóły. Tak miło cię widzieć.

—I wzajemnie.

—Wzajemnie — czy to zwrot Jamesa?

—Jamesa, powiedziałaś? Nie, wcale nie!

—Jestem pewien, że tak. Nigdy nie mówiłaś „i wzajemnie”.

—Cóż, musiałam to podłapać gdzieś w Stanach... Kończ już, Michaelu. Nie mamy całego dnia.

—Co za dzień! Chcę po prostu leżeć w łóżku z misiem i powieścią sensacyjną.

Julia wygląda przez okno. Pada. Chmury zakrywające całe niebo są jak z brudnej waty; szare budynki wyznaczają horyzont. Nawet krople deszczu spływają po szybie w ślimaczym tempie.

—Dzień dość wiedeński — mówi Julia. — Podoba mi się.

—Dokąd idziemy?

—Do Harveya Nicholasa.

—To nie w moim stylu.

—W moim też nie. Ale tam właśnie idziemy.

—Dlaczego?

—Parę dni temu widziałam u męża przyjaciółki ładny sweter. Spodobał mi się i chcę kupić taki dla ciebie.

Pół godziny później jesteśmy w dziale męskim dużego sklepu i oglądamy nie tylko swetry, ale także krawaty i koszule. Dziewczyna za ladą uśmiecha się do nas: para wspólnie robiąca zakupy. Czuję nagłe uniesienie, a potem niepokój.

—Wpadniemy na jakiegoś kolegę twojego męża — mówię do Julii.

—Na pewno nie, Michaelu. Oni wszyscy siedzą w Canary Wharf i doradzają światu w sprawie fuzji firm farmaceutycznych. Co sądzisz o tym?

— Jest bardzo ładny.

Przykłada do mnie brązowy sweter i robi poważną minę.

— Nie, wcale nie. Potrzebujesz czegoś bardziej zielonego albo niebieskiego. Nigdy nie było ci dobrze w brązach, czerwieniach i różach.

Wybiera coś ciemnozielonego z kołnierzem polo.

—Nie wiem — mówię. — Przypomina mi dywan za kulisami w Wigmore Hall.

—To prawda — śmieje się Julia. — I wcale nie jest dobry na lato. Ale jaki miły w dotyku. To szenila.

—Skoro tak mówisz.

—Jesteś beznadziejny.

—Julio, czuję się dość dziwnie. Trochę kręci mi się w głowie.

—To mnie nie dziwi. Nigdy nie lubiłeś robić zakupów.

—Nie, Julio, naprawdę.

Czuję się niezręcznie, pod presją, kręci mi się w głowie; jasne światło, dużo ludzi dookoła, upał, kolory, uczucie zamknięcia w podziemiach, może nawet brak snu... Nie wiem, co się dzieje, ale chcę usiąść. Czuję się, jakbym był w dwóch światach. To jest szczyt intymności — robimy razem zakupy, a sprzedawczynie uśmiechają się do nas. Siadam pod ścianą i zakrywam oczy dłońmi.

— Michaelu, co się stało?

Czuję, że gdzieś nade mną zatraskują się drzwi. Zlewające się dźwięki, klienci rozmawiający w kilku językach, zamrożone indyki w chłodni, hałas silnika, który napędza lodówkę, desperackie pragnienie ucieczki od wszystkiego, co mnie otacza.

—Julio...

—Czy dobrze się czujesz? — szepcze.

—Tak, tylko pomóż mi wstać.

—Michaelu, zabierz ręce z twarzy. Nie słyszę, co mówisz.

—Julio, pomóż mi wstać.

Stawia torbę na podłodze i jakoś podnoszę się przy jej pomocy. Nadal opieram się o ścianę.

— Nic mi nie będzie. Nic mi nie będzie. Muszę tylko stąd wyjść.

—Zawołam kogoś.

—Nie, nie, po prostu wyjdźmy stąd.

Dochodzimy do ruchomych schodów, potem do drzwi. Julia mówi:

— Och, moja torba. Michaelu, oprzyj się tutaj. Wrócę za chwilę. Wraca za pół minuty; torba się znalazła. Ale w jej oczach widzę, jak strasznie muszę wyglądać. Z czoła spływają mi strużki potu. Ktoś z obsługi biegnie w moją stronę.



— Nic mi nie będzie. — Usiłuję się uśmiechnąć. — Mam nadzieję, że pada. Potrzebuję świeżego powietrza. I kawy.

— Tu u góry jest miejsce... — mówi Julia.

— Nie, proszę. Gdzieś indziej.

— Tak, mój kochany, oczywiście. Gdzieś indziej.

— Tak mi przykro... — Kiwam głową i opieram się o nią.

— Cicho — mówi Julia, wyprowadzając mnie na deszcz. Nie może otworzyć parasolki, więc deszcz moczy jej włosy i kapie dużymi kroplami na sukienkę.

#### 4.17

Siedzimy na górze, w kawiarni w małym pasażu, jakieś sto jardów dalej. Julia posadziła mnie twarzą do okna. Zamówiliśmy kawę. Przez chwilę w milczeniu patrzę przez okno.

— To mi się nie zdarzyło od lat — mówię.

— Jak się teraz czujesz? — pyta.

— Wydawało mi się, jakby coś się nade mną zamykało — wyjaśniam i pochylam głowę.

Julia wyciąga rękę i czule gładzi mnie po policzku.

Siedzę cicho przez parę minut. Pozwala mi odzyskać oddech.

— Właśnie dlatego mieszkam tam, gdzie mieszkam — mówię. — Wysoko, w niedostępnym orlim gnieździe. Czy pamiętasz, jak się odpręzałem, gdy tylko wyjeżdżaliśmy z miasta?

— Tak, pamiętam.

Ale mówiąc to, daje mi do zrozumienia, co naprawdę pamięta: scenę naszego rozstania. To też zdarzyło się na rogatkach miasta, w Lier; dzbanek białego wina na stole pod kasztanami i beznadziejna gorycz. Zeszła ze wzgórza sama. Miałem za nią nie iść.

— Nigdy nie byłeś ze mną na północy, w Rochdale. Obiecałem, że cię tam zabiorę, żebyś posłuchała skowronków na wrzosowiskach.

—Tak — mówi Julia, patrząc na swoje dłonie. Jej smukłe palce leżą na pobrudzonym ketchupem obrusie w pobliżu płytkiej i pękatej filiżanki z kawą. Wciąż nie nosi obrączki.

—Jakiż ze mnie głupiec — mówię.

—Cóż, mogłabym je zobaczyć — stwierdza Julia.

—Skowronki nie są ładne.

— Nie mogę pojechać z tobą na północ — mówi Julia z uśmiechem. — Ale jadę z tobą do Wiednia — dodaje jakby od niechcienia.

Gapię się na nią bez słowa.

—Myślałam, że to ja mam kłopoty ze słuchem — mruczy.

—Nabierasz mnie. To niemożliwe.

Minutę temu ogarniała mnie ciemność. Skąd ta szalona zmiana?

—Spytaj Piersa — mówi.

—Piersa?

—I swoją agentkę, Alicie Cowan.

—Erice. Nie! Wiedziałbym o tym.

—Wszystko wydarzyło się wczoraj. Gram z wami *Pstrąga*.

—Niemożliwe. — Czuję, jak krew odpływa mi z twarzy.

— Co jest bardziej nieprawdopodobne: że to prawda czy że wymyśliłam coś niewiarygodnego, licząc, że w to uwierzysz?

Julia zachowuje się nieznośnie spokojnie, co świadczy o tym, jak dobrze się bawi.

—Zostań tu — mówię. — Nie ruszaj się.

—Dokąd idziesz?

—Do łazienki.

—Zatem jesteś zadowolony?

—Jestem oszołomiony.

Schodzę na dół i idę do budki telefonicznej. Jestem przekonany, że Piersa nie będzie w domu, a jednak jest.

—Co się, do cholery, dzieje, Piers?

—Chwilę, chwilę, uspokój się, Michaelu. O co chodzi?

—Co z tym *Pstrągiem*, Wiedniem i Julią? Czy to prawda?

—Tak, najprawdziwsza prawda. Wszystko ustaliliśmy wczoraj. Próbowaliśmy się z tobą skontaktować, ale nie było cię w domu. Gdzie się podziewałeś?

—Byłem w Norwich.

—Ach, tak. Lubię te rejony. Jechałeś przez Newmarket czy przez Ipswich?... Już wiem, co ci chciałem powiedzieć. Nie wiem, dlaczego miałeś takie kłopoty ze zdobyciem nut do *Kwintetu C-dur*, który graliśmy. Jest doskonałe wydanie Henie. Byłem wczoraj w Chappell's i...

—Piers — mówię groźnie. — Ja pytam o Wiedeń, a nie o Chappell's.

—Nie dostałeś mojej wiadomości?

—Nie przesłuchałem jeszcze wiadomości. Wróciliśmy o trzeciej w nocy. Jaka to była wiadomość?

—Że muszę pilnie z tobą porozmawiać. To wszystko. W każdym razie nic wielkiego. Ty nie grasz w *Pstragu*.

To prawda. Fortepian i cztery smyczki, ale bez drugich skrzypiec.

—Znasz Julię Hansen?

—Czy ją znam?

—Cóż, powiedziałaś o niej Julia, więc zakładam, że ją znasz. Czy dobrze gra?

—Czy ty jesteś nienormalny, Piers?

—Słuchaj, Michael, jeśli nie potrafisz być uprzejmy...— mówi Piers głosem bardziej zmęczonym niż agresywnym.

—Dobrze, już dobrze. Przepraszam. Podaj mi szczegóły.

—Pojawiły się komplikacje. Otto Prachner miał lekki atak serca i nie może grać przez kilka miesięcy. Dlatego nie mógł przyjechać do Londynu na koncert. Z nie wyjaśnionych przyczyn jego agent skontaktował się z Lotharem dopiero wczoraj. A Lothar natychmiast skontaktował się z Ericą i zarządem Musikverein i również, co było miłe z jego strony, lecz sądzę, że chciał po prostu zaoszczędzić czas, bezpośrednio ze mną, primariuszem kwartetu, jak lubi mnie nazywać. Polecił Julię Hansen, którą również reprezentuje. Najwyraźniej jest dobra, ma wiedeńskie koneksje, jak stary biedny Otto, i to się zgadza. Faksy fruwały wczoraj przez cały dzień. Jesteś tam jeszcze, Michaelu?

—Tak, jestem.

—Więc skontaktowałem się z pozostałymi, zanim się zgodziłem, bo oni grają w *Pstragu*. Próbowałem też skontaktować się z tobą. Ale skoro nie jesteś bezpośrednio zainteresowany, nie rozumiem, dlaczego tak cię to porusza. Znasz ją osobiście? Mam nadzieję, że nic jej nie jest. Z pewnością Lothar nie wystawiłby kogoś zielonego, by grał Schuberta przed wiedeńską widownią.

Nie mogę tego wszystkiego ogarnąć.

—Czy programy są już wydrukowane? — pytam. — Do koncertu zostało tylko kilka tygodni.

—Och, nie — mówi Piers już spokojniejszym głosem. — Program będzie drukowany parę dni przed koncertem. Przecież ktoś może zachorować. Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

—Tak, to jest chyba mój problem. Nieodpowiadanie na głupie pytania.

—Słucham?

—Piers, wiesz cholernie dobrze, że znam Julię.

—A skąd niby miałbym to wiedzieć? — odpowiada Piers ze złością.

—Ty też znasz Julię. Julia to Julia. Banff, pamiętasz? Wigmore Hall? Moje wiedeńskie trio? Chryste, Piers!

—Och! — wzdycha Piers. — Nie chcesz chyba powiedzieć, że to ona?

—A kto inny?

—Ale czy ona nie nazywała się Julia Mackenzie czy jakoś tak?

—Chcesz powiedzieć, że naprawdę nie wiedziałeś?

—Przez cały czas to mówię.

Zaczynam śmiać się jak wariat.

—Michael? — Piers jest zaniepokojony.

—Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

— Cóż, jeśli to jest ta Julia, to pamiętam z Banff, że jest bardzo dobra.

—Oczywiście, że tak.

—Więc się zgadzasz?

—Pewnie!

—A dlaczego byłeś taki zły?

— Myślałem tylko, że ty wiesz, kim ona jest, i nic mi o tym nie powiedziałeś.

— Ach, rozumiem. Dobrze. Dobrze. Zmartwiłeś mnie.

— Czy Lothar powiedział coś więcej tobie i Erice?

— Na przykład co?

— Cóż, że ona teraz nie grywa w zespołach.

— Och, a to dlaczego?

— Nie jestem pewnien... Myślę, że woli repertuar solowy.

— Och, cóż, to nie jest takie ważne... Przypadkiem Lothar wspomniał, że mieszka teraz w Londynie. Powinniśmy spotkać się na parę prób .przed wyjazdem do Wiednia.

— Tak... tak.

— I Michaelu, a propos prób, Helen mówi, że trzeba będzie znaleźć inne miejsce w następną środę. Ma remont i...

— Przepraszam, Piers, kończą mi się drobne. Zadzwoń później. Wychodzę z budki. Staję w deszczu i zaczynam się śmiać. Pozwalam, by woda zmoczyła mi włosy i ochłodziła głowę.

#### 4.18

Julia zamówiła kolejną kawę i sący ją teraz ze zmartwioną miną. Młoda kobieta z torbami na zakupy ze sklepu Harrods stoi przy stoliku i coś do niej mówi. Julia odpowiada monosylabami.

Jej twarz rozjaśnia się na mój widok. Nie próbuje tego ukryć.

— Soniu, to Michael — przedstawia nas. — Przepraszam cię, Soniu, ale mamy do omówienia kilka muzycznych zawodowych spraw, które z pewnością by cię znudziły.

Kobieta pojmuje aluzję i żegna się wylewnie:

— I tak muszę już pędzić, Julio, kochanie. Cudownie było cię spotkać, i to właśnie tutaj. Deszcz zmusza ludzi do szukania schronienia w najdziwniejszych miejscach. Musicie wkrótce wpaść do nas z Jamesem. — Uśmiecha się do mnie, bardziej ustami niż oczami, i odchodzi.

— Kto to był?

—Och, matka kolegi Luke'a — wyjaśnia Julia. — Despotyczna kobieta. Męczy nauczycieli, żeby dali jej synowi ważną rolę w sztuce bożonarodzeniowej. Masz mokre włosy. Gdzie byłeś?

—To wspaniałe — mówię, ściskając ją mocno za rękę. — Wprost nie mogę w to uwierzyć. *Mohnstrudel! Guglhupfi Palatschinken!*

—Mmm! — wzdycha Julia, a jej twarz rozjaśnia się na myśl o ulubionych wypiekach. — Au! Puść moją rękę.

—Rozmawiałem z Piersem.

—Tak? — Julia unosi brwi.

—Nie mogę w to uwierzyć. Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

— Tak samo zareagowałam, gdy zobaczyłam wczoraj faks od mojego agenta.

— Skąd wiedziałaś, że ja nie wiem?

— To było oczywiste. Nie udałoby ci się tak długo zachować spokoju — śmieje się.

— A tobie tak?

— Cóż, nie udało mi się? — pyta z promiennym wyrazem twarzy. Chciałbym ją pocałować, ale się powstrzymuję. Kto wie, jakie jeszcze Sone kręcą się w pobliżu?

—Już nie potrzebuję prezentu urodzinowego — mówię.

—Cóż, wygląda na to, że sama będę musiała coś wybrać.

—Julio, Piers nic nie wie o twoich kłopotach ze słuchem?

— Nie — odpowiada Julia i jej promiennosc gaśnie. — Nie, oczywiście, że nie.

— A twój agent wie? — pytam.

—Tak. Ale uważa, że mogłoby to mieć katastrofalne skutki, gdyby się rozniosło w muzycznym świecie. Jakie to ma znaczenie, skoro udaje mi się dobrze grać?

—To prawda — mówię. — Ale jak długo można ukrywać coś takiego?

—Nie wiem.

—Jak ci się to udaje?

—To nieprawdopodobny wysiłek. Nie wiem, czy udaje mi się do końca, ale nawet jeśli ktoś podejrzewa, to jak na razie nic o tym nie wiem.

Kiwam głową rozkojarzony. Mój wcześniejszy niepokój jest teraz tylko odległą mgiełką. Ogarnia mnie dziwna i drażniąca radość, uczucie łączenia się dwóch światów: próby tu, w Londynie, a potem Wiedeń, o dekadę starszy. Julia i moi koledzy zagrają razem, a ja będę jedynie obserwatorem, słuchaczem. Ale muszę chodzić na te próby. Dla niej będą one pełne niebezpieczeństw. A poza tym, czego nie oddałbym, by usłyszeć, jak budzi *Pstrąga* do życia?

#### 4.19

Julia zaproponowała mi wspólny wieczór, pierwszy raz od naszego rozstania.

Są moje urodziny. Jamesa nie ma w mieście. Umówiliśmy się w restauracji niedaleko jej domu. Jest przestronna, bez muzyki, z dobrym oświetleniem. Ściany są białe, z alkowami o różnych kształtach w kolorach ciemnozielonym i indygo. Gdzieś tam stoją białe orchidee w wazonikach. Julia załatwiła rezerwację na moje nazwisko. Przychodzę trochę przed czasem, ona nieco się spóźnia, zauważa mnie, uśmiecha się i szybko rozgląda po sali.

— Czy chciałabyś się przesiąść? — zagaduję. — Ze względu na światło?

— Tak jest dobrze.

— Nie ma tutaj nikogo, kogo znasz, prawda? — pytam.

— Nie. A nawet gdyby był, to jem kolację z przyjacielem.

— Pozwolisz zaprosić się na kolację w swoje urodziny, prawda?

— Cóż...

— No, może nie dokładnie w dniu urodzin, ale kilka dni wcześniej lub później?

— Może — uśmiecha się Julia. — Ale będziesz musiał lepiej się ubrać, jeśli znów mamy razem wyjść. Jesteś przystojny, Michaelu, jak możesz ubierać się tak koszmarnie? Nie masz przyzwoitego garnituru?

— Uważam, że dobrze się ubieram — protestuję. — I noszę spinki, które dostałem od ciebie.



—To ta koszula...

—Cóż, nie było ciebie, więc kto mi miał doradzić? Poza tym, nie ma sensu się stroić. Kiedy zdarza się jakieś przyjęcie podczas trasy, to najczęściej tuż przed lub zaraz po występie i mam wtedy na sobie standardowy strój pingwina.

—Michaelu. — Julia nagle poważnieje. — Opowiedz mi wszystko o waszym kwartecie.

—Przecież ich znasz.

—Słabo. Jak wyglądają próby? Martwiłam się przez ostatnie kilka dni. Czego mam się spodziewać?

—Cóż, nie wiem, od czego zacząć. Próby są dość intensywne. Piers próbuje trzymać wszystkich krótko. Billy ma swoje własne pomysły na wszystko. Kiedy raz wbije sobie coś do głowy, trudno go potem przekonać. A Helen, cóż, jest wspaniałym muzykiem, ale bardzo łatwo się rozprasza. Przy okazji, ucieszy cię wiadomość, że Billy zawsze się spóźnia, więc będziesz miała towarzystwo. I jeszcze jedno, Billy woli próby od występów albo tylko tak mówi. Próby pozwalają mu poszukiwać, a na występach jedynie się denerwuje.

—Czy wszyscy są dla siebie mili? — pyta Julia.

—Tak, na razie.

—Co za ulga. To i tak będzie skomplikowane.

Kelner krąży wokół naszego stolika; zamawiamy.

—Warzywa? — pyta.

—Co mamy do wyboru? — chce wiedzieć Julia.

Kelner robi głęboki wdech. Najwyraźniej nie przestudiowaliśmy menu z szacunkiem, na jaki zasługuje.

— Brokuły, cukinia, fasola, pory, szpinak.

— Poproszę groszek — mówi Julia.

Kelner patrzy na nią z wyraźnym zdumieniem. Julia spostrzega to i jest zmieszana.

— Niestety, proszę pani, nie mamy groszku w menu.

Na jej twarzy pojawia się chwilowe zaskoczenie.

—Miałam na myśli fasolkę, fasolkę po bretońsku — mówi szybko.

—A co chciałaby pani do picia? — Kelner kiwa głową. — Czy przegła-  
dała pani kartę? Czy chciałaby pani poradzić się naszego znawcy win?

Szybko wybieram coś na chybił trafił z karty win.

Julia zdenerwowała się swoim potknięciem i czuje się pokonana.

—Nie musimy tutaj jeść — mówię, kiedy kelner znika.

—Och, zapomnijmy o tym — odpowiada. — Pod koniec dnia czasami  
tracę energię. Naprawdę wolę fasolkę. O co chodzi?

—Nie podoba mi się ten gość, który nas obsługuje. Wygląda jak bezro-  
botny aktor, który próbuje się na nas odegrać.

—Obsługuje — powtarza Julia rozbawiona.

To mnie trochę irytuje. Julia, która nigdy nie mieszała niemieckiego z  
angielskim, zawsze wytykała mi przypadkowe elementy dialektu w mojej  
mowie.

—O czym myślisz? — pyta Julia. — Wyglądasz, jakbyś był daleko stąd.

—O niczym... — mówię, wracając do tego, o czym myślałem wcześniej.

—Szkoda, że nie gram z tobą *Pstrąga*.

—Czy to nie zdumiewające, że Schuberta nie ma wśród kompozytorów  
na fryzie Albert Memorial? Przeczytałam o tym niedawno. Chciałoby się  
wziąć dłuto i wyryć tam jego nazwisko.

—Zróbmy to dziś wieczorem — proponuję ze śmiechem.

—Czy warto dać się za to aresztować?

—Tak. James może wpłacić za nas kaucję.

Żałuję tych słów, gdy tylko opuszczają me usta. Ale ku mojemu zdzi-  
wieniu ta uwaga nie przyćmiewa jej nastroju. Nie nalega też, abyśmy po-  
znali się z Jamesem. Nie do pomyślenia —jak mogłaby tego chcieć?... Jak  
często ze sobą śpią?... Czy poznali się, zanim wyjechała z Marią do Wene-  
cji?... Dlaczego zgodziła się zagrać z Maggiore? Ze względu na Wiedeń?  
Aby mieć szansę zagrać cudownego *Pstrąga*? Dla mnie?... Co jest nie w  
porządku z moim sumieniem, że martwię się o nią, ale nie czuję się win-  
ny?

Być może przez te trzy ostatnie lata tak bardzo się nią zajmował, że po-  
została wzajemna czułość. Być może uczucie, jeśli w ogóle istniało, spo-  
wzedniało. Czy to o jego życie z nią jestem zazdrosny? Ona z pewnością

myśli o mnie i innych kobietach, ale nigdy nie zapytała, czy był ktoś oprócz Virginie przez te wszystkie lata. Czy to też jest temat tabu, jak to, dlaczego wyszła za Jamesa? Przestrzegamy wzajemnej dyskrecji.

Tak, może czytać z moich ust, ale jeszcze nie z myśli. Rozmawiamy o tym i owym. Pojawiają się potrawy i wino. Wokół nas słychać nienachalny szmer rozmów. Julia nie patrzy mi w oczy. Wydaje się czymś zmartwiona.

—Niektórzy ludzie marnują swój słuch — mówi nagle z goryczą. — Parę dni temu rozmawiałam z pewnym twardogłowym wiolonczelistą z Filharmonii. Było oczywiste, że jest zupełnie znudzony swoją pracą i muzyką; prawie jej nienawidził. Zakładam, że był dobrym muzykiem, i być może nadal nim jest.

—Cóż, to się często zdarza — wyjaśniam.

—Potrafię zrozumieć bankiera albo kelnera, który nienawidzi swojej pracy, ale nie muzyka.

—Och, daj spokój, Julio. Lata studiów, zmudna praca, żałosna pensja, nieprzydatność do czegokolwiek innego, brak możliwości wyboru tego, co się gra... sama czułabyś się jak w pułapce, nawet jeśli kiedyś to kochałaś. Miałem podobne wrażenie, gdy byłem wolnym strzelcem w Londynie. Nawet teraz nie jest tak łatwo. Nie zapominaj, że ty też przestałaś grać na jakiś czas. Z tą różnicą, że, jak sądzę, ciebie było na to stać.

Marszczy brwi, unosi głowę. W milczeniu sący wino, siląc się na spokój. Mój wzrok wędruje od twarzy Julii do jej małego złotego zegarka i z powrotem.

—To nie była jedyna różnica — mówi w końcu.

—Nie powinienem był o tym wspominać.

—Nie wyobrażam sobie, że ty mógłbyś nienawidzić muzyki.

—Rzeczywiście, chyba nie mógłbym — odpowiadam. — Helen nawet sądzi, że za dużo o niej mówię. I uważa, że przywiązanie, jakie czuję do moich skrzypiec, jest trochę przesadzone.

—Ja też jestem bardzo przywiązana do swojego fortepianu.

—Ale nie możesz zabrać go ze sobą w trasę, prawda?

—No to co?

—Cóż, nie sądzę, żeby to był taki sam związek, skoro ćwiczysz na jednym instrumencie, a podczas występów grasz na innym.

Julia marszczy brwi.

—Nie żeby Helen była taką pragmatyczką — dodaję szybko. — W zeszłym tygodniu zdenerwowała się jakimś telewizyjnym programem, w którym usłyszała, że wszechświat może się rozpaść za Bóg wie ile miliardów lat. Po co się denerwować tym, ku czemu zmierza wszechświat?

—Skoro jest tyle bliższych kłopotów? — Julia znów jest rozbawiona.

—Cóż, tak właśnie jest, nie uważasz?

—Przy okazji, co się stało z twoją panią Formby? — wtrąca Julia zniechęta.

—Pani Formby? Skąd tak nagle przyszła ci do głowy pani Formby?

—Nie wiem — odpowiada.

—Przecież ty jej nawet nie poznałaś, Julio.

—Nie wiem, co mnie skłoniło, żeby o nią zapytać. Pomyślałam o Carlu, a może o twoich skrzypcach, i wtedy przypomniałam sobie o niej. Z jakiegoś powodu w ostatnich latach często myślałam o pani Formby.

—Jestem pewien, że dużo częściej niż o mnie — zauważam żartobliwie.

— Michaelu, myślałam o tobie tak, jakbyś popełnił samobójstwo i nie zostawił żadnego listu.

Opuszcza wzrok. Nie wolno mi odpowiedzieć. Przez chwilę siedzę spokojnie, zbyt oszołomiony, by cokolwiek zrobić. Przyciskam stopę do jej stopy, i wtedy Julia podnosi głowę.

— Pani Formby ma się świetnie — mówię. — Jak twoja kaczka?

—Wyśmienita — ocenia Julia, chociaż nie tknęła potrawy przez ostatnich kilka minut. — Czy naprawdę nie przejmujesz się wszechświatem i tym wszystkim?

—O nie, nie wciągniesz mnie w żadną religijną dyskusję — mówię ostrożnie.

—Ale lubisz czytywać Donne'a. Nasze zakonnice nazywały go „Donné Apostata”.

—To nic nie znaczy, Julio. Lubię go czytać właśnie dlatego, że nie przejmuję się tym, co się kryje za tą poezją. Odpreża mnie późno w nocy.

— Odpręża! — wykrzykuje Julia zszokowana.

— Podoba mi się jego język, ale prześlizguję się po ideach. Nie obchodzi mnie jego dysputy biblijne... Nigdy nie zrozumiem, dlaczego ludzie robią tyle szumu wokół tego całego Boga — dodaję brutalnie.

— Ty po prostu nie znosisz władzy, Michaelu, w żadnej formie. — mówi Julia. — Uwielbiasz bohaterów, ale nie znosisz władzy. Niech Bóg ma w opiece twoich bohaterów, jeśli okaże się, że mają gliniane nogi.

— Na litość boską — rzucam rozdrażniony tą analizą swojego charakteru.

— Mój ojciec tuż przed śmiercią przestał być sobą — mówi. — Pamiętam, że modliłam się, aby umarł szybko. Za każdym razem, kiedy go odwiedzaliśmy, wydawał się bardziej wrogi, bardziej nieprzystępny. W końcu nawet nie interesował się Lukiem. Dobrze, że zmarł, zanim straciłam słuch. Byłoby to dość zabawne: on nie rozumiałby mnie, a ja nie rozumiałabym jego.

Wyciągam rękę i kładę dłoń na jej nadgarstku. Wydaje się zadowolona, ale potem cofa rękę.

—Może powinniśmy jeść gdzieś dalej od domu — mówię. — Będę trzymał ręce przy sobie.

—Nie o to chodzi, Michaelu. To oczywiste, że nie jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Gdy zabierają nasze talerze, staram się zmienić temat.

—Nie powinnaś zamartwiać się próbą — mówię.

—Będziesz tam, prawda?

—Oczywiście.

—Nie myśl, że to jest konieczne.

—Będę tam, ponieważ chcę cię posłuchać.

—To wspaniały utwór na fortepian.

—I na skrzypce — dodaję z żalem.

—I na wiolonczelę — mówi Julia, po czym nuci kawałek partii wiolonczeli z jednej z wariacji.

Kelner pyta, czy mamy ochotę na kawę lub deser, ale stoi za jej plecami, więc Julia nuci dalej i dopiero gdy spostrzega, że na niego patrzy, zdaje

sobie sprawę, że jesteśmy o coś pytani. Kelner czeka na zamówienie; Julia odwraca się do niego i mówi szybko:

— Tak, w porządku. Tak, to weźmiemy.

Kelner prawie niedostrzegalnie przewraca oczami, uzupełniając to emfaticzną cierpliwością.

—Co, proszę pani?

—Co? Och, przepraszam, czy mógłby pan powtórzyć, co pan powiedział?

—Espresso, cappuccino, latte, filtrowana; bezkofeinowa albo zwykła — wylicza, robiąc przesadne pauzy pomiędzy słowami.

Julia rumieni się, ale nie odpowiada.

—Więc, proszę pani?

—Nic, dziękuję.

—A deser? Mamy...

—Nie, dziękuję. Poproszę o rachunek. — Zdenerwowana odsuwa swoje krzesło.

—Przepraszam — mówię. — Bardzo cię przepraszam. Powinienem był coś mu powiedzieć. Był chamski.

Potrząsa głową.

— Nie mógł wiedzieć, o co chodzi — mówi Julia, potrząsając głową. — Powinnam była mu powiedzieć, że mam kłopoty ze słuchem, i poprosić, żeby powtórzył zamówienie. Tego przede wszystkim nas uczą: nie wstydić się. Dlaczego ja tego nie umiem? Czy dlatego, że nie mogę sobie pozwolić, aby wszyscy ludzie o tym wiedzieli? Czy po prostu jestem tchórzem?

Kelner przynosi rachunek. Julia płaci, zostawiając, jak zauważam, hojny napiwek, po czym wstajemy. Nadal wydaje się zdenerwowana.

Wieczór kończy się nieprzyjemnie. Zapraszam ją do siebie, znając z góry jej odpowiedź; wiem, że musi wracać do domu, do Luke'a. Jednak zgadza się wstąpić do pobliskiego baru Julie's. Jest przejrzysta, ciepła noc, siadamy na zewnątrz i rozkoszujemy się swoją obecnością. Rozmawiamy, sącząc kawę i likier, dzielimy się deserem. Potem dziękuję jej, ale bez po-



całunku. Odprowadzam ją do domu, ale na jej życzenie nie pod same drzwi.

## 4.20

— Nie sądziłam, że będziemy ćwiczyć bez basisty — mówi Julia. Piers, Helen, Billy i Julia zebrali się na pierwszą próbę kwintetu *Pstrąg* Schuberta. Udało się nam zarezerwować salę z porządnym fortepianem w Royal College of Music. Na razie jestem jedynie obserwatorem, ale później ma nastąpić krótka próba naszego kwartetu.

Gdybym tylko o tym pomyślał, zrozumiałbym, jak nieobecność basisty może wpłynąć na Julię; głębokie, rytmiczne pulsowanie bardzo by jej pomogło. Powinienem wcześniej ją ostrzec albo jakoś temu zaradzić.

—Kłopot w tym, że basista jest w Wiedniu — mówi Helen. — Nic nie można na to poradzić. Będziemy mieli z nią kilka prób już na miejscu.

—Z nią? — pyta Julia zaskoczona.

—Tak, z Petrą Daut — wyjaśnia Piers.

—Przepraszam, nie usłyszałam nazwiska. Jak się je pisze?

Nie odzywam się i pozwalam Piersowi odpowiedzieć. Im mniej twarzy musi obserwować, tym lepiej.

—D, A, U, T. Znasz ją? Rozumiem, że z twoimi wiedeńskimi koneksjami...

—Chyba nie — stwierdza Julia. — Ale przecież nie obracam się w światku orkiestrowym, więc nie mam kontaktu z kontrabasistami.

—Czy możemy zacząć? — pyta Piers.

—Piers — mówi Julia — zanim zaczniemy, jeszcze kilka spraw...

—Tak?

—Nie będzie kolejnej próby przed wyjazdem do Wiednia, prawda? — pyta swobodnym głosem. — Chciałabym, żebyśmy przećwiczyli to z basistą. Uważam, że bez tego nie wydobędziemy prawdziwego brzmienia utworu.

—Czy chciałabyś, abyśmy zaangażowali kontrabasistkę? — rzuca Helen, a Billy zerka znad swojej wiolonczeli.



Julia nie daje się sprowokować.

—Nie jestem wybredna — mówi.

—Ja też uważam, że powinniśmy ćwiczyć z basistą — włącza się Billy.

— To jeden z niewielu utworów, kiedy ktoś wspiera mnie od dołu, i to mi się podoba. Mogę zapytać Bena Flatha, czy z nami poćwicz.

—Czy nie będzie miał nic przeciwko próbom z nami, jeśli nie zagra na koncercie? — pyta Piers.

—To mój kumpel — wyjaśnia Billy. — Zrobi to, by nam pomóc i dla czystej przyjemności oraz pod warunkiem, że nie zawarczę głośniej od niego w *Scherzu*, a także dla paru drinków po próbie. Może więcej niż paru — dodaje Billy.

—To świetnie, Billy — mówi Julia. — Dziękuję wszystkim.

—Gram na zastępstwie w Filharmonii jutro wieczorem, więc go spotkam — ciągnie dalej Billy. — Czy mam go zapytać, czy jest chętny i kiedy miałby czas?

Wszyscy kiwają głowami.

—Czy chciałabyś, żebym przewracał ci kartki? — pytam Julię.

—Nie trzeba, Michaelu. Nie korzystam z nut, więc tylko by mnie rozpraszały. Ale czy mógłbyś trzymać moją partię na kolanach i śledzić ją, a kiedy zatrzymamy się w połowie części, pokazać mi miejsce, od którego ponownie zaczniemy?

— Jesteś pewna, że nie chcesz nut?

— Zupełnie pewna. Znam je bardzo dobrze. Mam nadzieję, że za pierwszym razem zagramy całość bez żadnych przerw. Zrobmy tak, oczywiście, jeśli wszyscy się zgadzają.

Piers unosi brwi. Jej stwierdzenie jest czymś więcej niż prośbą. My, smyczkowcy, zwyczajowo porozumiewamy się w trakcie gry i jesteśmy szczęśliwi, mogąc dawać sobie różne znaki i zostawiając innych samym sobie, zwłaszcza jeśli, tak jak w tym utworze, trzy smyczki tworzą półkole z pianistą dyskretnie usytuowanym za ich plecami.

— Oczywiście, to nam odpowiada — mówi wspaniałomyślnie Piers, chociaż wiem, że niełatwo mu przychodzi wysłuchiwanie instrukcji od kogoś z zewnątrz.

Spoglądam na nuty. W partii fortepianu jest dużo pauz, więc boję się o wejścia Julii. Jeśli zagra to pierwszy raz bez przerwy, to może przynajmniej uda jej się lepiej wyczuć rytm.

—Czy tak jest dobrze? — pyta Piers, wybijając tempo: TAM-mmm-  
amtata-tatata-TAM?

—Wydaje się trochę za wolno — mówi Billy. — Co sądzisz, Julio? To twoja fraza.

—To jest allegro vivace, więc może bardziej vivace? — sugeruje Julia, demonstrując na fortepianie, jakie woli tempo.

—W porządku. — Piers kiwa głową. — Dam jedną nie akcentowaną miarę taktu. Gotowi?

Patrzę na Julię, serce mi wali. Wydaje się odprężona, czujna, jej wzrok jest utkwiony w pozostałych muzykach, a nie w klawiaturze czy nutach. Teraz rozumiem, dlaczego takie ważne jest dla niej, by nauczyć się na pamięć całego utworu, a nie tylko własnej partii.

Kiedy jej palce wydobywają muzykę z klawiszy, Julia obserwuje na zmianę Piersa i Billy'ego z czujnością kogoś, kto czyta z kartki. Ich palce, smyczki i oddechy dają jej wskazówki. Na początku, tam gdzie z kontrabasu wydobywałoby się jedynie niskie, ciągle warczenie, i tak musiałyby to robić. Ale w pozostałych miejscach widzę, jak ciężko musi pracować, żeby nadrobić brak tego instrumentu. Z palców kontrabasisty dostałaby widoczne wskazówki... Nie ma sensu teraz na ten temat spekulować; czuję się tak, jakbym stał na linii nad przepaścią i słuchał ptaka wznoszącego się z ziemi i śpiewającego w górze, coraz wyżej i wyżej — dziwny obraz w skojarzeniu z utworem, którego tytuł jest nazwą ryby.

W swojej solówce Julia akcentuje parę nie akcentowanych ósemek. Rozumiem, że to po prostu inna wersja, ale Helen spogląda na nią dość surowo.

— Powtórka? — pyta Julia, kiedy dochodzą do pierwszego punktu decyzyjnego.

— Dalej! — mówi uradowany Piers.

Zakończyli pierwszą część, co więcej, wykonali ją wspaniale. Trudno mi jednak cieszyć tym pięknem, tak jestem spięty. W niektórych miejscach,

tam, gdzie się tego nie spodziewam, Julia przejmuje prowadzenie, aby uniknąć podążania za skomplikowanymi znakami; kiedy indziej patrzy na swoje ręce i nie potrafię zrozumieć, jak jej się udaje nie wypaść z rytmu. Kiedy rozlega się finalny dwunastodźwiękowy akord — jedenaście sans bass — który odzwierciedla dwunastodźwiękowy akord z początku części, moja lewa dłoń leżąca na partyturze drży.

—Pomijamy wszystkie powtórki? — pyta Piers.

—Oprócz tych w *Scherzu* — mówi Billy.

Po ustaleniu tempa grają *Adagio*; jest kilka problemów, ale nie tak ważnych, żeby mogły im przeszkodzić. Kiedy zaczyna się trzecia część, *Scherzo*, następuje impas.

Problemem jest pierwsza fraza. Piers i Helen grają trzy ósemki presto, a po nich akcentowaną ćwierćnutę, z którą pozostali sobie nie radzą.

Próbują i próbują, ale wciąż nie jest to doskonale skoordynowane. Nie chodzi o to, aby szybko to zagrać, lecz o to, by rozwiązać problem. Widzę, że Julia coraz bardziej się denerwuje, a pozostali są coraz bardziej zdziwieni. Skoro dotychczas grała tak dobrze, to problem nie może być natury muzycznej.

—Na początku zawsze trudno jest grać z nowym zespołem — stwierdza Billy.

—Zróbmy pięciominutową przerwę — sugeruje Piers. — Muszę zapalić.

—Czy tutaj wolno palić? — pyta Billy.

—Czemu nie? No dobrze, wyjdę na zewnątrz.

— Rozprostuję nogi — mówi Helen nieco przejętym głosem. — Idziesz?

—Pewnie — mówi Billy. — Dobry pomysł.

—Zostanę tutaj — wyjaśniam.

Julia nic nie mówi. Wydaje się pogrążona we własnym świecie, jakby chciała oddalić się ode mnie, od nas wszystkich.

Moje własne niepokoje ustępują. Gdy zostajemy sami, pytam:

— Czy masz aparat?

—Tak, w jednym uchu. Na początku trochę pomagał, ale zaczął zniekształcać wysokość. Nie mogłam go dopasować, tak by się nie zdradzić,

więc wyłączyłam go po pierwszej części. A później, w drugiej części, zrozumiałam, że nie za dobrze sobie radzę, więc kiedy miałam przerwę, znów go włączyłam. Teraz zupełnie się zgubiłam. Jestem pewna, że z kontrabasem...

—To nie rozwiązałyby problemu z początku *Scherza* — mówię cicho.

— To prawda. Chyba będę musiała im powiedzieć...

—Nie rób tego jeszcze. Nawet o tym nie myśl. To nic nie pomoże, a zamiast tego otworzysz nową puszkę Pandory. Odpreż się.

—To tak jakby powiedzieć: „Nie myśl o żyrafie”. — Julia uśmiecha się smutno. — Gwarantuje przeciwny skutek.

—Nie przejmuj się, Helen.

—Nie przejmuję się.



—Słuchaj, Julio, skoro odbierasz wzrokowe wskazówki z tempa i rytmu, to może powinnaś po prostu zdjąć aparat. Nie wiem, jak w ogóle udaje ci się zareagować na dźwięk, zwłaszcza kiedy jest zniekształcony.

—Może. — Julia nie wydaje się przekonana radą kogoś, kto nie potrafi zrozumieć, co ona sama może, a czego nie może usłyszeć.

— Dobrze. — Całuję ją. — Spróbuj ze mną. Nie masz nic do stracenia. — Wyjmuję skrzypce, szybko zaciskam smyczek i nie tracąc czasu na strojenie, podaję jej rytm, kilka razy kiwam głową i gram pierwszą frazę.

Po kilku próbach udaje się nam, a przynajmniej jest dużo lepiej niż poprzednio.

— Jeszcze jakieś sugestie? — pyta Julia bez uśmiechu.

— Tak. W *Andante*, gdzie wszyscy grają sześć nut w takcie, a ty grasz trzy nuty na każdą ich jedną, trochę zwalniasz. Każdy próbował to prze-pchnąć, ale wtedy na nich nie patrzyłaś.

— Cóż, to ja prowadziłam.

— Od tyłu. — Śmieję się i ona też się śmieje. — Spróbuj ze mną — sugeruję znowu, unosząc smyczek, i gramy.

— To dobre — mówi Piers.

Oboje jesteśmy zaskoczeni. Nie zauważyłem, kiedy wszedł.

—Grajcie dalej — prosi.

—Zapomniałeś zapalniczki? — pytam rozdrażniony.

— Coś w tym stylu — ripostuje Piers i wychodzi.

Wszyscy wracają i kontynuujemy próbę. Grają całe *Scherzo* bez żadnych komplikacji, a później czwartą i piątą część.

Na koniec Piers mówi:

—Było dobrze, ale wolałbym, wiecie, zostawić ćwiczenie szczegółów na próbę z kontrabasistą. Zakończmy dziś *Pstragiem*. Mam nadzieję, Julio, że nie masz nic przeciwko temu. Kwartet musi teraz coś przećwiczyć, a trochę nam się spieszy. Kiedy Billy umówi się z Benem Flathem, zakładając, że tamten się zgodzi, skontaktuję się ze wszystkimi w sprawie następnej próby. Chyba nie mam twojego numeru — zwraca się do Julii.

—Czy mógłbyś przesłać mi faks? — pyta Julia. — Telefon mnie dekoncentruje, kiedy ćwiczę, a to ostatnio jest bardzo ważne.

—Nie masz automatycznej sekretarki? — dziwi się Piers.

—Wolałabym faks — mówi spokojnie Julia, podając mu swój numer.

#### 4.21

Piers mieszka na Westbourne Park Road, na pograniczu biednej i bogatej dzielnicy, w jednopokojowej suterenie. Pomieszczenie jest dość wysokie, co, biorąc pod uwagę wzrost Piersa, jest dużym plusem. Nad nim znajduje się biuro podróży, które reklamuje tanie wycieczki do Portugalii; obok biura po jednej stronie jest pizzeria, a po drugiej kiosk z gazetami. Naprzeciwko stoi masywny wieżowiec, a dalej widać osiedle domków z brązowej cegły.

Piers zaprosił mnie na drinka następnego dnia po próbie; właśnie otwiera butelkę czerwonego wina. Jest gościnny, ale wydaje się zakłopotany.

—Latem na tę ścianę pada trochę późnego światła — mówi.

—Czy to nie jest północna strona? — pytam.

—Tak jakby — odpowiada Piers zamyślony. — Kupiłem to mieszkanie od pewnego artysty. — Potem, podążając za tokiem moich myśli, dodaje: — Masz rację, to trochę dziwne. Światło wpada z tej strony na kilka minut

o zachodzie słońca w środku lata. Może jest od czegoś odbite. Na ścianie tworzy się cudownie czerwona plama. W zeszłym roku właściciel kiosku przykuł do poręczy ogromny metalowy pojemnik i to trochę przeszkadza.

—Dlaczego z nim nie porozmawiasz?

—Rozmawiałem. Mówi, że ludzie zaczęli kraść gazety i czasopisma wystawione na zewnątrz i że nie miał wyboru, musiał to zrobić. Pewnie mógłbym poprosić, żeby to przestawił, a przynajmniej usunął z mojej linii światła, ale... — Piers wzrusza ramionami. — Wiesz, o czym chcę z tobą porozmawiać?

—Nie, myślałem, że to tylko randka!... Tak, wiem. Jestem pewien, że wiem.

Piers kiwa głową.

— Wy tłumacz mi, co jest nie w porządku z Julią? To cudowna pianistka, jest taka muzykalna w swej grze; wiesz, co mam na myśli.

Gra z nią to sama przyjemność, ale wszyscy się zastanawiamy... czy mógłbyś wyjaśnić nam ten problem z początkiem *Scherza*! Czy to po prostu tik, który czasem się zdarza?

—Problem został rozwiązany, prawda? — Popijam łyk wina.

—Tak — mówi Piers ostrożnie.

—Zapewniam cię, że kiedy Ben Flath do nas dołączy, większość pozostałych problemów zniknie.

—Do nas? — uśmiecha się Piers.

—Do was, jeśli chodzi o ścisłość.

Być może Piers zauważa żal w moim głosie. W każdym razie jego następna uwaga kładzie mnie na łopatki.

—Chcę, żebyś zagrał na skrzypcach w *Pstragu*.

—Nie!

To słowo samo się wyrwało, ale oczywiście znaczy ono „tak!”

Piers puka palcem w wąską srebrną zapalniczkę.

—Mówiłem poważnie.

—Ale ty go kochasz, Piers — wykrzykuję, pamiętając, co się stało, gdy Nicholas Spare wyśmiał *Pstraga*.



—Co się wydarzyło podczas przerwy? — pyta Piers, unikając odpowiedzi.

—Przerwy?

—No wiesz, kiedy wyszliśmy z sali.

—Och, trochę pograliśmy, spróbowaliśmy inaczej niektóre trudniejsze momenty... — Wzruszam ramionami.

—W tym coś było — mówi cicho Piers, ale po chwili dodaje: — Słuchaj, nie obraź się, że cię zapytam, ale...

—Pytaj.

—Nie obawiasz się, że nie zdołasz tego zagrać? Nie zrozum mnie źle. Chodzi o to, że, wiesz, w rejestrze, w którym zazwyczaj grasz...

—Pytasz, czy poradzę sobie w piszczącej wariacji w części czwartej?

—Tak, i w innych momentach też. — Piers potakuje odrobinę zawstydzony. — To jest bardzo eksponowane.

—Poradzę sobie — mówię nie urażony. — Już to grałem, na studiach. Wieki temu, ale powinno mi się przypomnieć. Słuchaj, Piers, wiem, że bardzo chciałbyś zagrać *Pstrąga*. Czy jesteś pewien, że chcesz być aż tak hojny?

—Nie jestem hojny — ucina Piers szorstko. — To utwór, który można albo zagrać wspaniale, albo kompletnie położyć. To prawdziwy dialog między fortepianem a skrzycami. W tej chwili, przyznaję, mam i tak dużo na talerzu — za dużo. Zakładam, że jeśli w Musikverein mogą zaakceptować zmianę jednego muzyka, to mogą też zaakceptować dwie.

—A co dokładnie masz na swoim talerzu? — pytam z uśmiechem.

—Och — mówi Piers wymijająco. — To i owo.

—I co innego? — dodaję bez zastanowienia.

—Co?

— Przepraszam, wybacz, coś mi się przypomniało. Automatyczna reakcja. Zapomnij o tym.

—Dziwny z ciebie gość, Michael.

—Więc?

—Więc co?

—Co jeszcze masz na talerzu?



— Gram *Sinfonia Concertante* z St Martin-in-the-Fields, ponadto zaraz po Wiedniu mam koncert solowy, i jest jeszcze ten Bach, na którego wszyscy są tak zdecydowani.

— A ty nie?

Piers rozkłada ręce.

—Zaczynam czuć się tak, jakby to wszystko zostało mi narzucone. Wczoraj ćwiczyłem go o drugiej w nocy. To dziwnie uzależnia.

—Twoi sąsiedzi z pewnością znaleźliby na to inne określenie.

—Jacy sąsiedzi? — pyta Piers z uśmiechem. — Nie mam sąsiadów w tej norze. Nad nami jest biuro podróży.

—A tak, rzeczywiście.

—W każdym razie — mówi Piers — to nie pierwszy raz, jak wiesz, kiedy czuję się pokłócony z kolegami, partnerami, współ-pracownikami czy kimkolwiek jesteśmy. Musi być jakieś dobre słowo.

—Współciartkami?

Piers kontynuuje, nie tyle nie rozweselony moją uwagą, ile jej nieświadomy:

— Kwartet to najdziwniejsza rzecz. Nie wiem, do czego go porównać. Do małżeństwa? Do firmy? Do plutonu pod ostrzałem? Samoszanującego się i samozniszczalnego kapłaństwa? Łączy w sobie tyle napięć zmieszanych z przyjemnościami. Dolewam nam obu wina z butelki.

—Myślę, że nie zdawałem sobie sprawy, ile bólu niesie praca w kwartecie — mówi jakby do siebie. — Najpierw Alex; potem ta cała sprawa z Tobiaszem. Co parę lat dzieje się coś druzgocącego, i to pewne, że znowu coś się wydarzy.

—Alex był, zanim ja dołączyłem — zauważam, starając się uniknąć dyskusji o tym, jak bardzo na naszą czwórkę wpłynął związek Piersa z Tobiaszem.

—Jedyny plus tego wieżowca jest taki, że poranne światło odbija się tu dopiero o jedenastej — mówi Piers. — Inaczej to miejsce byłoby jeszcze bardziej ponure.

Kiwam głową bez słowa.

—Wiesz, pamiętam światło w Wenecji — dodaje Piers jakby do siebie.  
— Spędziliśmy tam miesiąc. Na początku przyprawiało go o potworne bóle głowy, które potem nagle zanikły, i wtedy bardzo zaczęło mu się tam podobać. Parę dni potem wpadliśmy na wspaniały pomysł założenia kwartetu. Właściwie wymyślił to Alex. — Piers spogląda na zapalniczkę i kontynuuje zniecierpliwiony: — Dlaczego ja o tym mówię?

—Ciekawy jestem, czy Maggiore będzie istnieć, nawet kiedy my wszyscy, jedno po drugim, odejdziemy — zastanawiam się głośno. — Zabyłszy wcześniej w promieniach sławy, oczywiście.

—Mam nadzieję — mówi Piers. — Dwanaście lat to nie tak długo w życiu kwartetu, chociaż czasami czuję się, jakby minął cały wiek. Cóż, Takacs mają dwóch nowych członków, w Borodin z oryginalnego składu został tylko wiolonczelista, a w Juiliard's zmienił się cały zespół. Ale nadal są tym, kim byli.

— Jak topór George'a Washingtona? — podpowiadam.

Piers marszczy brwi, czekając na wyjaśnienie.

— Dwa razy zmienił ostrze, trzy razy rękojeść, ale to nadal jego topór.

—A tak, rozumiem... O, i jeszcze coś: pamiętasz, jak chciałeś grać pierwsze skrzypce w *Kwintecie* Beethovena?

—Chyba mało prawdopodobne, żebym o tym zapomniał, prawda? — mówię ostrożnie.

—Chyba nie. Cóż, zastanawiałem się nad tym i zmieniłem zdanie. Chciałem uniknąć napięć, które się pojawiły, kiedy Alex i ja wymienialiśmy się miejscami.

—Oczywiście, zgadzam się z tobą.

—Ale granie ciągle drugich skrzypiec może ci się wydawać dość męczące. I frustrujące. — Piers pije łyk i spogląda na mnie, jakby zadawał mi pytanie.

—Wcale nie — mówię, zastanawiając się, czy naprawdę w to wierzę. — Cóż, to inny instrument niż pierwsze. To jakby kameleon zmieniający się z melodii w akompaniament i z powrotem. Uważam nawet, że to ciekawe. Chyba, ogólnie rzecz biorąc, jestem o tym przekonany.

—Ale chciałeś grać pierwsze skrzypce w *Kwintecie*! — naciska Piers.

—To było ze szczególnego powodu, Piers. Tłumaczyłem ci to. Ten utwór dużo dla mnie znaczy.

—Cóż — ciągnie Piers. — Moje pytanie jest proste: czy zastanowiłbyś się, czy chciałbyś, czy zagrasz pierwsze skrzypce albo jedyne skrzypce wtedy, gdy nie będziemy grać wyłącznie jako kwartet? — Zauważając moje zdziwienie, kontynuuje: — Na przykład w sekstecie smyczkowym albo kwartecie fletowym, albo kwintecie klarnetowym, albo w czymś podobnym.

—Piers — mówię zdumiony. — To wino uderza ci do głowy. Czy widziałeś się ostatnio z psychiatrą?

—Ani jedno, ani drugie — odpowiada chłodno Piers.

—A zatem, na pewno nie miałbym nic przeciwko temu i mogę się nad tym zastanowić, ale nie jestem pewien, czy tego chcę.

—To dość skomplikowana odpowiedź i wewnętrznie sprzeczna.

—Jestem pewien, że taka musi być, i ty o tym wiesz. Nie możemy sami decydować. Billy'emu i Helen to się nie spodoba. Czuli się nieswojo po twojej zamianie z Alexem. A w kwintecie czy sekstecie smyczkowym konsekwencje będą podobne.

—A w czymś takim jak kwartet fletowy? Albo kwintet fortepianowy, albo jak *Pstrąg*?

—Mogłoby być nieco inaczej, masz rację. Cóż, zastanowię się, albo nie, wiesz co, nie będę się zastanawiał. Jestem szczęśliwy tam, gdzie jestem.

—Więc nie zagrasz w *Pstrągu*?

—Zagram! — mówię szybko.

—Dlaczego? Kolejne prywatne skojarzenie?

—Nie, to bardziej *ad hoc*. Chcę zagrać z Julią. To może być ostatni raz, kiedy ona...

—Kiedy ona co?

—Zagra z innymi muzykami.

—Co masz na myśli? — Piers przygląda mi się uważnie z całą swoją badawczą pasją. — Czy sprawia jej kłopot gra z innymi?

—Nie, właściwie nie.

—Michaelu, uważam, że nie jesteś ze mną zupełnie szczery.

—Jestem. Mówię ci tylko, że myśli o solowej karierze, a to oznacza ograniczenie występów w zespołach. Ale nie wiem, kiedy dokładnie zamierza przestać. Nie wiem nawet, czy rzeczywiście ma taki zamiar.

—Więc nie lubi grać muzyki kameralnej? — pyta Piers.

—Tego nie powiedziałem.

—A co powiedziałaś? Co jest z nią nie tak? Co się stało na próbie? Czy jej koncentracja nagle słabnie? Czy to problem tylko z tym konkretnym utworem? Czy chodzi o ciebie, to znaczy o waszą przyjaźń? Muszę wiedzieć, a ty musisz mieć jakieś przypuszczenia.

Próbuję unikać tej nerwowej, agresywnej salwy.

—Nie wiem, Piers. W przyszłości to nie będzie problem.

—Ale to jest problem — mówi Piers. — Zaczynam żałować, że nie udało mi się z tobą skontaktować, zanim zgodziliśmy się ją przyjąć. Najwyraźniej wiesz coś, czego żadne z nas nie wie. Jesteśmy kwartetem. Nasza praca opiera się na zaufaniu. Więc o co chodzi? Wyrzuć to z siebie!

Jestem przyparty do muru. Kłamałem pod przymusem, ale kłamałem, i Piers to wie.

— Nie mogę ci powiedzieć, dopóki nie porozmawiam z Julią — mówię wreszcie.

Piers przeszywa mnie inkwizycyjnym spojrzeniem.

—Michael, nie mam zielonego pojęcia, o co chodzi, ale wiem, że mnie to martwi. I najwyraźniej ciebie też. Więc cokolwiek to jest, musisz mi powiedzieć, i to teraz.

—To kłopoty ze słuchem — wyjaśniam prawie bezgłośnie, patrząc na podłogę.

—Kłopoty ze słuchem? Jakiego rodzaju?

Nic nie mówię. Przeraza mnie to, co zrobiłem. Ale czy to nie ja otworzyłem szparę, która pozwoliła mu drażnić?

—Więc? — pyta Piers. — Powiedz to, Michaelu. Albo zaraz zadzwonię do Lothara i dowiem się od niego. Mówię poważnie. Zaraz do niego zadzwonię.

—Ona głuchnie, Piers — mówię bezradnie. — Ale, na litość boską, nie mów nikomu.

—To wszystko? — pyta Piers. Jego twarz zupełnie straciła kolor.

—Tak, to wszystko. — Kiwam głową.

Piers jest zaskoczony, ale z pewnością mi wierzy.

—To prawda, tak? Tak czy nie? Jedno słowo.

—Tak.

—Lepiej zadzwońmy do Lothara — mówi cicho. — To katastrofa.

Wstaje. Chwytam go za ramię i przymuszam, by usiadł.

— Nie — zaprzeczam, patrząc mu w oczy. — Nawet o tym nie myśl. To nie jest katastrofa.

—Czy Billy wie? A Helen?

—Oczywiście, że nie. Nie powiedziałem im. Tobie też nie powinienem był powiedzieć.

—Powinieneś był powiedzieć nam o tym wcześniej — oznajmia Piers z pogardą w głosie. — Jak mogłeś to przed nami ukrywać? Jesteś nam to winien, i sobie też.

— Nie mów mi, co ci jestem winien — ucinam ostro. — Złamałem dane słowo, mówiąc o tym. Bóg wie, że może nigdy nie zostanie mi to wybaczone. Nie chciałem tego. Mam jedynie nadzieję, że to jej jakoś pomoże, jeśli wszyscy będziemy wiedzieli, jakie dawać jej wskazówki i jak ją prowadzić...

— Więc mamy kuśtykać, tak?

— Da wspaniałe przedstawienie. Oszołomi i ciebie, i bogatych mieszczan Wiednia, a Billy powie, że błogosławił nam duch Schuberta, każdemu z nas.

—Łącznie ze mną, milczącym obserwatorem?

—Łącznie z tobą, skoro będzie wiedział, co poświęciłeś.

— Teraz nie wydaje się to wielkim poświęceniem — mówi sucho Piers.

— Zobacysz, że tak będzie — odpowiadam żarliwie.

Czekam, aż powie coś ostrego o Julii, ale zaskakuje mnie.

— Cóż, mam taką nadzieję. Ze względu na nas i na ducha Schuberta. — Przez chwilę rozmyśla, zachowując prawie denerwujący spokój. — Uwagi Nicholasa rozdrażniły mnie, bo sam mam mieszane uczucia, jeśli chodzi o *Pstrąga*. To dziwny utwór. Kończy się i zaczyna, pełno w nim powtórek, a

jego ostatnia część rzeczywiście sprawia wrażenie, jakby została dołączona; to prawda, ale szczerze go kocham. Wydaje się absurdalne, że miał wtedy tylko dwadzieścia dwa lata.

— Przecież możemy się poddać — mówię.

Po kolejnej dłuższej przerwie Piers mówi:

— Tak, myślałem o tym dość długo. Ale przestałem już uważać, że wszystko, co nie jest tworzeniem arcydzieła, jest bezcelowe. Po prostu zadaję sobie dwa pytania o to, co tutaj robię, w tej niszy w galaktyce. Czy lepiej coś zrobić, czy nie? I czy lepiej, żebym zrobił to, czy coś innego? — urywa i dodaje: — I chyba jeszcze jedno: czy lepiej będzie, jeśli zrobi to ktoś inny, nie ja?

— Rozumiem, Piers. Dziękuję ci za to. Z głębi serca.

— I z dna kieliszka? — Piers z powagą unosi swój kieliszek.

Kiwam głową i z grobową miną wznoszę za niego toast.

— Na pewno dziwisz się, że nie powiedziałem, jak mi przykro z powodu Julii.

— Nie, nie dziwię się — odpowiadam po chwili zastanowienia.

Ale dziwię się sobie samemu, że tak łatwo złamałem dane jej słowo, że usiłowałem nawet bez namowy tak formułować swoje odpowiedzi, aby zrzucić z siebie ten ciężar — i z niej, powtarzam sobie, mając nadzieję, że to prawda — aby zrzucić ciężar tej tajemnicy. Ale jak mogłem to zrobić bez pozwolenia, bez uzgodnienia? Wymuszam na Piersie przyrzeczenie, że nie powie nic Helen ani Billy'emu, pod warunkiem, że jutro sam im to powiem.

## 4.22

Wysyłam do niej faks zaraz po powrocie do domu. Tym razem żadnej parodii biurokratycznego stylu, tylko suche stwierdzenie, że musimy się spotkać jutro rano w pilnej sprawie. Nawet jeśli tylko na dziesięć minut, musi przyjść do mojego mieszkania.

Przychodzi. Prawdopodobnie właśnie odwiozła Luke'a do szkoły. Tym razem, gdy się całujemy, czuję, że coś jest nie tak, bo przerywa nagle i pyta, co mnie martwi. Ma wolną godzinę, ale sugeruje, żebyśmy załatwili tę pilną sprawę bez zwłoki.

— Julio, on wie. Musiałem mu powiedzieć.

Patrzy na mnie z przerażeniem.

—Powiedziałem mu wczoraj wieczorem. Nie mogłem tego uniknąć. Tak mi przykro.

—Przecież ja wczoraj wieczorem z nim byłam — mówi Julia.

—Z kim?

—Z Jamesem.

—Nie, nie, miałem na myśli Piersa. Przeczynał, że coś jest nie tak.

— O czym ty mówisz, Michaelu? Nawet jeśli Piers wie, jakie to ma znaczenie? To jest ta pilna sprawa? — zaczyna się odprężyć, chociaż nadal jest zdziwiona.

— Dziś muszę powiedzieć Helen i Billy'emu. Dlatego musiałem najpierw z tobą porozmawiać.

— Michaelu, nie rozumiem. Co ty mu właściwie powiedziałeś?

—Cóż, o tobie, o twoim problemie.

Zamyka oczy, wyraźnie zaskoczona.

—Julio, nie wiem, co mam powiedzieć...

Jej oczy wciąż są zamknięte. Biorę jej rękę i przykładam sobie do czoła. Po chwili otwiera oczy; nie patrzy na mnie, ale gdzieś dalej, poprzez mnie. Czekam, aż się odezwie.

—Czy nie mogłeś wcześniej ze mną o tym porozmawiać? — mówi wreszcie.

—Nie mogłem. Przyparł mnie do muru. To była kwestia zaufania.

—Zaufania? Zaufania?

—Nie mogłem patrzeć mu w oczy i dalej kłamać.

—A myślisz, że co ja muszę robić w domu? Mnie nie przychodzi to łatwo. Tyle tylko, że alternatywa jest jeszcze gorsza.



Tłumaczę, co się stało, i jak do tego doszło. Mówię jej, że to może jej nawet pomóc, jeśli wynikną z tego wskazówki, współczucie i pomoc. Wiem, że to wszystko jest żalonym samousprawiedliwieniem.

— Być może — mówi cicho Julia. — Ale na dłuższą metę, po co ktoś, kto to wszystko wie, miałby mnie zaangażować?

Na to pytanie nie da się odpowiedzieć.

—Skrzywdziłem cię. Wiem. Tak mi przykro.

—Nie jestem głupia, Michaelu — dodaje po chwili. — Kiedyś to musiało się wydać. Mój ojciec mawiał, że świątek akademicki pełen jest przecieków, ale świątek muzyczny jest jeszcze gorszy. Może inni ludzie oprócz Lothara wiedzą albo już podejrzewają. Stworzyłam sobie reputację ekscentryczki, żeby trochę to ukryć. Ale to wszystko jest teraz bez znaczenia.

—Wymuszę na nich milczenie.

—Tak — powiedziała zmęczonym głosem. — Tak, tak zrób. Muszę już iść.

Jeśli nikt nie będzie chciał z nią występować, to przyspieszyłem to, czego najbardziej się obawiałem. Jak mam jej teraz powiedzieć, że gram z nią w *Pstragu*! To nie jest właściwy moment. Ale jeśli nie teraz, to kiedy?

—Zostań trochę dłużej, porozmawiajmy, Jplio.

—A kontrabasista, ten przyjaciel Billy'ego? — pyta.

—Nie wiem.

—Muszę iść.

—Co zamierzasz zrobić? — pytam.

—Nie wiem. Pójść na spacer.

—Do parku?

—Chyba tak.

—Nie chcesz, żebym z tobą poszedł?

Potrząsa głową. Tym razem nie czeka na windę, ale zaczyna schodzić wieloma piętrami schodów.

#### 4.23

Helen, Billy i ja spotykamy się w pobliskiej kawiarni. Helen ma w domu remont, a ja nie proponuję, abyśmy spotkali się w moim mieszkaniu, które

jak na razie przepelnione jest duchem tego ostatniego spotkania. Postanowiłem powiedzieć im obojgu równocześnie. Przepraszam Billy'ego za miejsce i za to nagłe spotkanie, ale okazuje się, że Billy i tak musiał przyjechać do miasta. Rozmowy z każdym z nich osobno byłyby nie do zniesienia; chcę już mieć to za sobą.

Gdy tylko dostajemy kawę, mówię, co mam do powiedzenia. Z początku żadne z nich w to nie wierzy. Helen prawie wydaje się winna. Billy wypytuje mnie dokładnie o stronę muzyczną. Wyjaśniam, że powiedziałem już Piersowi, ale że nikt inny nie może się dowiedzieć. Helen kiwa głową. Jej szok i współczucie są oczywiste. Billy mówi, że powie Lydii, ale nikomu innemu.

—Billy, proszę. Nawet nie Lydii.

—My nie mamy przed sobą żadnych tajemnic — wyjaśnia. I dodaje bez sensu: — Na tym polega małżeństwo.

— Zmiłuj się, Billy, nie chcę wiedzieć, na czym polega małżeństwo. To nie jest tajemnica pomiędzy wami. Powierzam ci jej życie muzyczne. Nie uważasz, że Lydia by to zrozumiała?

Billy nic nie mówi, ale jest zdumiony.

—A kontrabasista, twój przyjaciel, Ben...

—Przed nim nie można tego ukryć — stwierdza Billy, opanowując sytuację. — Jest bystry. Nie chodzi o to, jak zagra Julia, tylko jak się wszyscy będziemy zachowywać. Zostaw to mnie. Nie, nie powiem Lydii. W każdym razie postaram się tego uniknąć.

—Ze wszystkich koncertów to musiał być akurat ten — mówi Helen. — I akurat Musikverein. Co zrobimy? Co możemy zrobić? Nie chodzi o to, że strasznie mi jej szkoda.

—Cóż, są tylko cztery wyjścia — oznajmia Billy. — Możemy się wycofać z koncertu. Możemy natychmiast starać się znaleźć kogoś innego. Możemy zagrać z nią, nikomu nic nie mówiąc. Albo możemy wyciąć *Pstrąga* i spróbować zagrać coś innego za zgodą organizatorów. Osobiście uważam, że powinniśmy zrobić jeszcze jedną próbę i zobaczyć, jak się uda. Ostatnim razem poszło świetnie, jeśli nie liczyć tej śmiesznej wpadki w *Scherzu*. Ale przynajmniej tajemnica się wyjaśniła. Co o tym sądzi Piers?

— Piers nie będzie grać w *Pstrągu* — mówię. — Ja zagram.

Helen i Billy patrzą na mnie zaskoczeni.

— I uważam, że powinniśmy grać dalej. Naprawdę musimy razem zagrać. Mam co do tego niesamowite przeczucie. To będzie wspaniały występ. Wierście mi, oszołomimy wiedeńczyków. Jestem pewien, że tego wieczoru nie stanie się nic złego.

#### 4.24

Przesyłam Julii faks z wiadomością o *Pstrągu*. To jedyny sposób, by dać jej znać przed próbą. Nie ma już czasu na spotkanie, nawet gdyby tego chciała. Nie dostaję żadnego faksu z odpowiedzią.

Spotykamy się na próbie. Ćwiczę od wielu dni i jestem pozornie spokojny, czyli po prostu sztywny ze zdenerwowania. Julia kłania mi się obojętnie. Być może próbuje ustanowić równowagę pomiędzy sobą a każdym z nas. Ben Flath, najwyraźniej za radą Billy'ego, odwrócił swój kontrabas w stronę fortepianu, więc Julia może lepiej przyjrzeć się jego dłoniom. Głęboka pulsacja kontrabasu bardzo pomaga, tak jak i przesadzone kiwanie głową Billy'ego, jego gesty na pustych strunach, które teraz, jak uważa, są jeszcze bardziej uzasadnione. Całe to wizualne przedstawienie trzeba będzie stonować podczas prób w Wiedniu, ale teraz jest bardzo pomocne.

Granie z nią, a nawet samo granie *Pstrąga*, którego wykonywałem wcześniej tylko raz, w Manchesterze, całe lata temu, jest spełnieniem niewyczuwalnego oczekiwania. Jednak pomimo całego szczęścia zawartego w tym utworze nasza gra jest spięta i dziwna. Kiedy pracujemy nad nim w ogromnych łukach, jest mniej problemów. Kiedy pracujemy takt po takcie, Piers, taktownie i analitycznie gestykulując, pomaga nam wyjaśnić to, czego być może Julia nie zrozumiała z powodu swojej wady słuchu.

Z początku dziwi mnie to, że Piers towarzyszy nam przez całą próbę. Przecież zrzekł się swojej partii w tym utworze. Ale zachowuje się nie jak maniak kontrolujący wszystkich, tylko jak doradca z zewnątrz w sytuacji bezprecedensowej zarówno dla naszego kwartetu, jak i dla Julii, w pełni świadomej swej ułomności.

Mimo jej chłodu pod koniec próby wyczuwam, że wycofaliśmy się znad przepaści.

Ale gdy Piers stwierdza, że powinniśmy zrobić jeszcze jedną próbę przed wyjazdem do Wiednia, wszyscy zgodnie potakują, łącznie z uczynnym Benem Flatthem.

## 4.25

Spotykamy się raz jeszcze. Tym razem wszystko udaje się świetnie. Dudnienie kontrabasu koresponduje z jej pulsem. Ale gdy tylko kończymy, ona wychodzi, zamieniając ze mną słowo czy dwa, tyle samo ile z pozostałymi członkami kwartetu.

Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Czy straciła do mnie zaufanie, czy potrzebuje więcej czasu w samotności, by zapoznać się z utworem? Od kilku dni nie mam od niej wiadomości; żadnych wizyt ani listów. To zakłóca mój spokój. Myślę o niej przez cały czas.

Noce są chłodne, dni jasne, wiosenne. Zieleń z dolnych partii drzew sięgnęła po same korony i objęła cały park, który tak uwielbiam; nie widzę już poprzez gałęzie ani jeziora, ani niskiego pagórka. Cały świat kwitnie i jeśli jestem rozdrażniony i smutny, to dlatego, że nie mogę się z nią tym wszystkim dzielić. Za parę dni nastanie maj i wszyscy znajdziemy się w samolocie.

Wreszcie przysłała mi liścik: czy przyjdę na lunch za dwa dni? Jamesowi to odpowiada; będzie koniec tygodnia, dzień odpoczynku, czyli krótka drzemka dla akcji i obligacji. Pisze, że za mną tęskni. Pora lunchu będzie najlepsza, bo Luke nie będzie musiał iść spać, a też chciałby mnie spotkać. Wszyscy ślą życzenia.

To jej pierwsze prawdziwe słowa, ale co one znaczą? Dlaczego muszę go teraz poznać? Po co tak ryzykować; czy ona właśnie tego chce? Czy muszę być wychłostany za to, co zrobiłem? Nie znam Jamesa, a jednak oni wszyscy przesyłają mi życzenia. Więc cóż mam do powiedzenia?

Oni wszyscy: mąż, żona, dziecko, pies. Z mojej wysokiej kryjówki obserwuję świat. Odpowiem, oczywiście, że tak; i najlepiej jak potrafię, po-

staram się udać spokój, którego nie czuję. Ci, których kocha, nie mogą zostać skrzywdzeni. Ale wiem, że nie jestem w tym dobry. Gdybym mógł decydować, wcale bym nie poszedł. Znalazłbym jakiś sposób, jakiś pretekst, żeby to odłożyć. Ale nie widziałem jej od tak dawna. Jeśli ryzykuję, to jest to moje ryzyko, nad którym, chcąc nie chcąc, mam kontrolę. Odpisuję niechętnie, że z przyjemnością przyjdę.

## 4.26

Czuję pulsujący ból za lewym okiem. W pobliskim kościele rozlega się dzwon, ten, który gra „g”. Dziś jest dzień mojego lunchu u Julii. Gole się ostrożnie. W swoich oczach widzę wątpliwości.

Co wie James Hansen? Ile mu powiedziała ze względu na siebie i na niego? Była rozgoryczona naszym rozstaniem w Wiedniu tyle lat temu. Skoro nie było żadnego rozwiązania, postanowienia, czy mówiłaby o tym, co jej serce musiało znieść? Czy powiedziałałaby mu, świadoma tego, jak mógł się czuć, nie będąc pierwszym?

Ale dlaczego miałby znać naszą przeszłość? Jestem jednym z jej kolegów muzyków, nikim więcej; dawnym kolegą poznanym w odległym mieście. Nie chciała mi powiedzieć o jego zalotach, o tym, czy chodzili razem do Mnozila albo Liera, albo do Cafe Museum. Czy bywali w tych miejscach, pełnych intymnych wspomnień, czy też starała się je omijać? Dlaczego miałaby mu o mnie opowiadać, o naszych spotkaniach w szarych pokojach, o naszym rozstaniu przy stole pod kasztanami? Jakie tajemnice mogą przetrwać dziewięć lat małżeństwa albo okres dziewięć razy dłuższy?

A jeśli James i ja się nie polubimy, co wtedy? Co będzie, jeśli on mi się spodoba?

To on namówił ją, by wróciła do muzyki, za co każdy, kto słyszał, jak Julia gra, powinien być mu wdzięczny. Nie chcę tego spotkania. Czy ona nie przeczuwa niebezpieczeństwa?

Dlaczego zaprosiła mnie do domu? W swym pierwszym długim liście pisała o oknach, o fortepianie, o ogrodach; znała mój styl i przestrzeń, więc czyż i ja nie powinienem poznać jej otoczenia? Ale po co jednocześnie wzajemnie sprzeczne światy: jej życie ze mną, jej życie z nim? Czy moja wizyta złagodzi nasze poczucie winy? Czy wykluczy wątpliwości, kiedy Luke będzie mnie wspominał? Czy ona wie, że nam się nie ułoży? Czy jestem jednym z tych listów, które zostawia się niby umyślnie, niby nieumyślnie na widoku, żeby rzeczy nie wypowiedziane mogły być ujawnione?

Czy nie mógłbym zachorować? Ale wtedy bym jej nie zobaczył, nie powąchałbym jej delikatnych perfum, nie porównałbym jej ze wspomnieniem, które w sobie noszę. Píše, że za mną tęskni. To musi być prawda. Idę wolnym krokiem skwerami i ulicami, które prowadzą mnie do jej domu.

#### 4.27

Drzwi otwiera on, nie ona.

—Cześć, jestem James. Ty jesteś Michael? — Ścisną mi dłoń, uśmiecha się swobodnie.

—Tak. Miło cię poznać. — Kiwam głową.

Jest niższy niż ja i szerszy. Gładko ogolony, niebieskooki jak ona, jasnowłosa. Ciemne włosy Luke'a muszą być po dziadkach. Ma bostoński akcent, którego nie próbuje ukrywać.

—Wejdz. Julia jest w kuchni, a Luke na podwórku. Mówił mi, że już się znacie.

—Tak.

—Cóż, chce ci zadać kilka zagadek... Czy dobrze się czujesz?

—Trochę boli mnie głowa. To minie.

—Tylenol? Nurofen? Paracetamol?

—Nie, dzięki. — Idę za nim do salonu.

—Czego się napijesz? Tylko nie mów, że soku pomarańczowego. Kieliszek wina? Martini? Przyrządzę takie, od którego głowa zaraz przestanie cię boleć.

—Martini? Czemu nie?

—Dobrze. Lubię je, ale Julia nie. Ani nikt z jej przyjaciół. Ani nikt w tym kraju.

—Więc dlaczego mi je zaproponowałaś?

—Nigdy nie tracę nadziei, że znajdę kogoś, kto je lubi. Byłeś w Stanach?

—Tak. Na tournée.

—A za tydzień zabierasz Julię do Wiednia.

—Tak.

—To dobrze. Przyda jej się trochę wypoczynku.

—Cóż, to właściwie nie jest wypoczynek — mówię z dziwnym uczuciem gniewu wywołanym jego uwagą, i starając się tego nie okazać. — Dla niej to ciężka praca. Zresztą dla każdego. Ale z jej głuchotą...

—Tak — ucina i zajmuje się przyrządzaniem drinka. Po chwili dodaje: — Jest niezwykła.

—Wszyscy tak uważamy.

—Jak jej gra?

—Jeszcze piękniejsza niż przedtem.

—Niż przed czym?

—Przed Wiedniem — mówię, wyglądając przez okno na bezlistne platan, które chyba jeszcze nie zrozumiały, że to już kwiecień.

—Oczywiście — przytakuje James Hansen. — Proszę, zmieszane, nie wstrząśnięte. Niestety, chyba nie jestem oryginalny.

—Ani ja — mówię, biorąc drinka. — To zaleta niebycia ekspertem. Dla mnie całą uciechę stanowi oliwka. — O czym ja tak bełkoczę? Mój wzrok pada na ślubną fotografię, na zdjęcia ojca Julii (tak sędzę) trzymającego malutkiego Luke'a. Fotografie, obrazy, książki, dywany, zasłony, poduszki — zaludniony pokój, życie solidne jak skała.



—A to ciekawe — stwierdza James Hansen ze śmiechem. — Zaczynam rozumieć, dlaczego wiedza przydaje się w banku, ale w sztuce mogłaby być przeszkodą. Jeśli nie jesteś wybredny, podoba ci się o wiele więcej.

—Chyba w to nie wierzysz — mówię.

—Nie, nie wierzę — odpowiada z przekorą.

Ten człowiek jest mężem Julii? Ten człowiek śpi z nią co noc?

Co ja robię, wymieniając z nim uprzejmości?

— Poczekamy, aż Julia przyjdzie, czy pójdziemy zobaczyć, co robi? Caroline, nasza pomoc domowa, ma dziś wolne, więc Julia postanowiła przygotować jakąś zapiekankę, co oznacza, że nie będzie musiała długo siedzieć w kuchni. Ale może nie słyszała dzwonka.

Kuchnia znajduje się w piwnicy; przez okno widać ulicę, ale drzwi prowadzą do ogrodu. Luke właśnie wbiega, a Julia przekręca gałkę przy piekarniku, kiedy trzymając kieliszki, schodzimy po schodach.

—Luke!

—Tato! Buzby gonił kota pani Newton i ona... O, cześć!

—Cześć, Luke... cześć, Julio — mówię, bo Julia właśnie się odwróciła i uśmiecha się do nas.

Nigdy wcześniej nie widziałem Julii w roli gospodyni domowej. Syn, mąż, ogromny, ciężki piec, mgnienie kremowych kamelii z ogrodu, miedziane garnki zwisające z sufitu, fartuch, łyżka. Niepokoi mnie jej promiennosc.

—Gdzie jest Buzby? — pytam Luke'a, nagle czując przerażającą pustkę w głowie.

—W ogrodzie, oczywiście — mówi Luke.

—Cóż, gotowe — oznajmia Julia. — Ale zanim siądziemy, pozwólcie, że oprowadzę Michaela po ogrodzie. Czy mógłbyś nakryć do stołu, kochanie?

Zdejmuje fartuch, otwiera drzwi i prowadzi mnie do małego wydzielonego poletka, które przylega do wspólnego ogrodu. Jesteśmy sami.

Przez chwilę mówi o swoich kwiatach: o tulipanach, czerwonych i złotych, niektórych już przekwitłych, o gęstym brązowożółtym i silnie pach-

nącym laku, o kilku bratkach, brązowych i fioletowych, nadal kwitnących; no i oczywiście o zdumiewających spóźnionych kameliach.

Zatem to on jest „kochaniem”, a ja gościem, być może cierpiącym, to bez znaczenia. Moją gospodynią jest wspaniała Julia... Julia i James, cudowna para... stworzona dla siebie, tak, nawet ich monogramy do siebie pasują... uroczy dodatek do naszej małej miejscowej społeczności, chociaż on jest Amerykaninem, jak zapewne wiecie.

Julia podąża za moim wzrokiem do starej wistarii pod ścianą, której pnąca są w każdym stadium rozwoju, od rozkwitających po suche; dokoła uwijają się pszczoły. Jak wiele z ogrodu jest dźwiękiem, niedostępnym dla niesłyszących? Nasze kroki po żwirze, plusk wody w małej fontannie, pieśń ptaszka i brzęczenie pszczoły... Ile rozmowy trzeba wyczytać z oczu?

— Pewna rodzina mieszkała tu dwadzieścia lat. Tak naprawdę nigdy ich nie spotkałam — mówi Julia. — James pierwszy przyjechał i wszystko zorganizował; ja wtedy przeżywałam ciężki okres.

Kiwam głową. Boję się odezwać. Czuję się tak, jakbym tracił rozum. Dwadzieścia lat. Zmierzymy to zdjęciami, chesnym za szkołę, wspólnymi posiłkami, przyjemnościami małżeńskiego łoża, wspieraniem się w trudnych chwilach, splotami wistarii. Zmierzymy to zaufaniem, zbyt ciężkim, by ważyło uncję.

— Ten cytrynowo-jaśminowy zapach, który przyprawia o zawrót głowy, pochodzi z tych małych białych kwiatków tutaj. Nie pomyślałabyś, co?

— Och, myślałem, że to ty tak pachniesz.

— Czyż nie są cudowne? — pyta zarumieniona, wskazując na kremowe kamelie. — Nazywają się Jury's Yellow.

— Tak. Cudowne.

— Wiesz co, nigdy nie wiadomo, kiedy kamelie zwiędną — Julia marszczy brwi. — Nie dają znać w porę. Jeśli brakuje im wody, nie wyglądają na nieszczęśliwe przez jakiś czas, nie pokazują, że cierpią; po prostu wędną.

—Dlaczego mnie tu zaprosiłaś? Dlaczego?

—Ależ, Michaelu...

— Ja wariuję. Dlaczego musiałem go poznać? Czy nie wiedziałaś, co się stanie?

—Dlaczego przyjąłeś zaproszenie, skoro tak się czujesz?

—A jak inaczej mógłbym cię zobaczyć?

—Michaelu, proszę, nie zrób sceny. Nie zawieźdź mnie znowu.

—Znowu?

—James idzie w naszą stronę... Proszę, Michaelu.

— Lunch na stole, kochanie — mówi James Hansen. — Przepraszam, że skracam wam wycieczkę, ale umieram z głodu.

Lunch mija jak we mgle. O czym rozmawiamy? O tym, że zwykle nie mają więcej niż paru gości, bo Julii trudno jest nadażyć za rozmową. Zrezygnowano z selera, bo Julia nic nie słyszy, kiedy go chrupią. O burzy sprzed dwóch tygodni. O lekcjach muzyki Luke'a. O jego znieawidzonym przedmiocie w szkole. O sytuacji w Wielkiej Brytanii i w Stanach. O różnicy między amerykańskimi a niemieckimi steinwayami. Coś o praktykach bankowych; nawet nie pamiętam swojego pytania ani nie wiem, dlaczego je zadałem, nie będąc zainteresowany tym tematem. Tak, zapiekanka z jaginięciną. Tak, smaczna. Och, projekt finansowy? Kuskus, mój ulubiony, tak.

Jej mąż jest spostrzegawczy, mądry i zrównoważony. Inaczej wyobrałem sobie bankiera ze Wschodniego Wybrzeża. Nie rozumiem, jak on może tego nie widzieć; ale czy byłby taki spokojny i życzliwy, gdyby widział? Pudding ryżowy z rodzynkami. Mama miś, tata miś i mały miś, wszyscy jedzą swoją kaszkę. Czuję odrętwiałą nienawiść do tego porządnego człowieka.

— Za tydzień przyjeżdża babcia. Ona robi jeszcze lepszy pudding — mówi Luke. — Dodaje jeszcze więcej rodzynek.

— Och, naprawdę? — pyta Julia.

— Myślałem, że będzie w Wiedniu na naszym koncercie — mówię. Luke zaczyna się śmiać.

— To Oma — tłumaczy. — Nie babcia.

Co ja tutaj robię? Czy nie jestem intruzem? A może to ona nie powinna była przychodzić za kulisy w Wigmore? Czy ja jestem jakąś algą na tej skale?

— Rozumiem, że wylatujecie razem — mówi James.

—Cóż, tym samym samolotem — odpowiadam. — Naszej agentce udało się zdobyć szósty bilet dzięki temu, że ktoś zrezygnował.

—Czy towarzyszy wam na wszystkich tournée?

—Nie, nie zawsze.

— Będziecie grali w świetnej sali — mówi James. — Julia mówi, że ma najlepszą akustykę na świecie. Byliśmy tam parę razy. Moim zdaniem brzmiało nieźle.

Nic nie mówię.

— Będziemy grali w mniejszej sali, kochanie, w Brahms-Saal

— zwraca się Julia do męża. — Nie pamiętam, żebyśmy byli tam na koncercie.

— A dla kogo jest szósty bilet? — pyta James.

—Dla wiolonczeli Billy'ego — mówię. Jak wspaniale udaje mi się z chować spokojny głos.

—Chcesz powiedzieć, że siedzi tam ze wszystkimi pasażerami i jest karmiona kawiozem?

Julia się śmieje. Luke wtóruje jej niepewnie.

Widzisz, Julio, nie urządziłem sceny. Ale co ja tu robię? Czy moje serce musi odpokutować za to, co zrobiłem? Chyba cię za to znienawidzę.

—Czy przed startem wiolonczela też zapina pasy? — pyta Luke.

—Tak, myślę, że tak... wiecie co, bardzo mi przykro, ale muszę już iść.

—Ale nie obejrzałeś jeszcze reszty domu — mówi Julia. — Nie widziałeś pokoju, w którym gram...

—A ja nie zadałem swoich zagadek.

—Przepraszam, Luke, naprawdę mi przykro. Następnym razem. Obiad był cudowny. Bardzo dziękuję za zaproszenie.

— Przynajmniej dopij kawę — prosi James z uśmiechem.

Dopijam. Równie dobrze mógłby to być wybielacz.

— Cóż, było nam bardzo miło — mówi w końcu James i odwracając się od żony, dodaje: — Nie zawsze tak bywa z przyjaciółmi Julii. Może to nieuprzejme z mojej strony, ale tak jest. Mam nadzieję, że się wkrótce znowu spotkamy.

— Tak... tak...

Gdy dochodzimy do drzwi, słysząc dzwonek, długi, natrętny dzwonek — akord dwóch nut, wysokiej i niskiej. Julia wydaje się go zauważać.

— Nikogo się nie spodziewamy, prawda? — pyta James. Na progu stoi wystrojona kobieta z małym chłopcem.

—...mały tak nalegał, a ponieważ właśnie przejeżdżaliśmy obok, nie było sensu dzwonić do was z komórki, w samochodzie to podobno niebezpiecznie... O, cześć — mówi, spoglądając na mnie.

—Cześć — odpowiadam. Wygląda znajomo, ale ból za oczami nie pozwala mi na niczym się skoncentrować.

Przyspieszam, pokonując ruchliwą ulicę. Kto potrafi podróżować dwiema drogami jednocześnie? To niepojęte, że uczucia rozkwitają za wcześnie lub za późno i że właśnie wtedy wkracza bank i wszystko zawłaszcza. Luke odmierzy ryżowym puddingiem dwadzieścia, czterdzieści, sześćdziesiąt lat życia. Kto powinien być wierny tym niepisany prawom, historiom ukrytym w kameleonowym słowie miłość? Co ten człowiek ma wspólnego z Wiedniem? My przynajmniej mamy wspomnienia. Nikt obcy tego nie zrozumie. Być może przemknął przez to miasto, ale ono należy do nas.

## CZEŚĆ PIĄTA

### 5.1

Jest późne popołudnie. Billy i jego wiolonczela podróżują obok siebie w samolocie. Piers i Helen mają miejsca w pobliżu. Siedzimy z Julią cztery rzędy za nimi. Ona ma miejsce przy oknie. Chwilę wcześniej czytała. Teraz śpi.

Stewardesa Austrian Airlines podsuwa mi tacę kanapek zawiniętych w kolorowe serwetki.

— Kremowe są z serem, pozostałe z łososiem — mówi.

— Słucham? — Hałas samolotu zagłusza jej głos. Nie widzę tu niczego, co by nawet odrobinę przypominało krem.

— Kremowe są z serem, pozostałe z łososiem — powtarza, a w jej znużonym głosie słyszę błaganie: „Boże, uchron mnie przed takim idiotą”.

— Nie jestem półgłówkiem, proszę pani — mówię. — Rozumiem po a gielsku. Które są kremowe?

— Te. — Wskazuje zaskoczona.

— A co w nich jest kremowe? Nadzienie?

— Papier, oczywiście... och, przepraszam, nie zdawałam sobie sprawy, że jest pan daltonistą. — Przygląda mi się z niedowierzaniem.

— Nie jestem daltonistą. To pani chyba nie rozróżnia kolorów. Te opakowania są zielone\*<sup>3</sup>.

Jej oczy rozszerzają się ze zdumienia i mimo że wziąłem już swoje kanapki, nadal trzyma przede mną tacę. Potem nagle odbiega, by ochłonać, i nie obsługuje już nikogo innego.

— Przez cały czas mówiła „zielone” — mówi Julia, która już się obudziła i była świadkiem całej rozmowy.

---

<sup>3</sup>\*Nieporozumienie spowodowane podobnym brzmieniem angielskich słów *cream* (kremowy) i *green* (zielony).

—W takim razie dlaczego, na litość boską, pozwoliłaś, bym zrobił z siebie kompletnego idiotę?

—Zazwyczaj bywa odwrotnie. „Zielony” i „kremowy” wyglądają przecież zupełnie inaczej. A poza tym, dlaczego byłeś taki opryskliwy?

— Ja byłem opryskliwy?

— Widok kogoś, kto ma władzę, doprowadza cię do szału. Wystarczy mundur.

— Odkąd to stewardesy mają władzę?

— Żółwie\*<sup>4</sup>?

Zaczynam się śmiać.

—Dobrze, śmieję się — mówi Julia. — Ale trudno jest czytać z ruchu warg z takiej odległości i pod tym kątem. W klasie dla biznesmenów jest łatwiej.

—Jestem pewien. A w pierwszej klasie jeszcze łatwiej. Wierzę ci na słowo.

Nie spotkaliśmy się od pamiętnego lunchu. Julia prawie spóźniła się na samolot, wpadła do sali odlotów w ostatniej chwili. Kiedy zgasły napisy: „zapiąć pasy”, zauważyłem, że siedzi obok siwego mężczyzny pogrążonego w lekturze magazynu sklepu bezcłowego. Zapytałem, czy zechciałby zamienić się ze mną miejscami. Moja żona i ja zgłosiliśmy się za późno i nie dostaliśmy miejsc obok siebie. Parę razy zwróciłem się do niej „kochanie”. Był bardzo pomocny, ale kiedy się przesiadł, Julia dała mi do zrozumienia, że jest na mnie zła.

Zrozumiałem, że to, co mamy za sobą, to przeszłość. Teraz jesteśmy w drodze do Wiednia. Nie pomyślę o tym pierwszym wieczorze, kiedy ją zobaczyłem, ani o gasnącym świetle naszego rozstania. Spokój kawiarenek nas wzmacni. Teraz jesteśmy tu jako muzycy, a nie kochankowie.

Nie wspominam o obiedzie, do którego mnie zmusiła. Julia oświadcza, że po występie zostanie na tydzień w Wiedniu u matki. Jej teściowa jest w

---

<sup>4</sup> \* Nieporozumienie spowodowane podobną wymową angielskich słów *authorities* (władza) i *tortoises* (żółwie).



Londynie i zajmie się Lukiem. Dowiaduję się, że Maria zaprosiła nas na jutro na obiad.

— Jesteś zdenerwowana? — pytam.

— Tak.

— To dziwne, prawda? — mówię. — Pamiętasz, jak prawie zdobyliśmy altowiolistę i kontrabasistę, aby zagrać *Pstrąga* z naszym triem?

— Maria chce, bym pojechała z nią do Kärnten.

— Możesz?

— Właściwie nie.

— Dlaczego nie powiedziałaś matce, że te cztery dni spędzisz z nami w hotelu? Przecież będziesz z nią później ponad tydzień.

Potrząsa głową. Znowu zamyka oczy. Wygląda na zmęczoną.

Czy Londyn mógłby kiedykolwiek zwrócić nam to, co utraciliśmy w Wiedniu? Czy Wiedeń może przywrócić to, co straciliśmy w Londynie? Pozwalam swoim myślom utonąć w szumie silnika, spoglądam na jej twarz i na wieczorne niebo.

## 5.2

Zniknęły chmury i zaszło słońce; jest noc. Otoczony pierścieniem lasu czarnego jak jezioro, wylania się Wiedeń — wielka karuzela, wieża, złota siatka, gdzieś srebry punkt i ciemna strefa, której nie potrafię zidentyfikować. Wkrótce lądujemy.

Trochę rozmawiamy, gdy karuzela z bagażami wjeżdża i wyjeżdża. Wszystko jest nazbyt dziwne i znajome. Rozmawiam z Billym, nie spuszczać z niej oka.

Pani McNicholl czeka już na córkę i teraz pojedą razem do Klosterneuburga. Po paru chwilach pojawia się Lothar, by nas przywitać i zabrać do hotelu. Mówi o setkach spraw, a ja niczego nie rejestruję.

Jestem zbyt niespokojny, by spać. O północy wstaję z łóżka, ubieram się i wychodzę do miasta. Spaceruję godzinami tu i tam: tu, gdzie coś się stało, tam, gdzie coś zostało powiedziane.

Nie widzę miasta tak, jak widziałem je kiedyś: na świeżo, zauroczony zaskoczeniem. Te kształty są dla mnie stanami ducha. Wysoki, chłodny, kamienny, na pół upiorny, na pół *gemittlich*, Wiedeń jest teraz nieruchomy jak ogromne serce rozczłonkowanego ciała.

*Still ist die nacht, es ruhen die Gassen.* Wśród wyludnionych ulic słychać odgłos moich kroków. Moje myśli wypalają się po kolei. Koło trzeciej znów kładę się do łóżka i śpię, nie śniąc, a przynajmniej nie pamiętam snów. *Gute Ruh, gute Ruh, tu die Augen zu.*

### 5.3

Następnego ranka po śniadaniu Julia przyjeżdża do hotelu i wszyscy razem z Lotharem jedziemy do długiego budynku w czwartej dzielnicy, w którym mieści się stara fabryka fortepianów Bósendorfera razem z biurami, małą salą koncertową i kilkoma pokojami do prób; z jednego z nich właśnie skorzystamy. Koncert jest we wtorek, więc nie zostało nam dużo czasu.

Petra Daut i Kurt Weigl, którzy zagrają z nami, są już na miejscu. Dużo o nich słyszeliśmy, ale się nie znamy, więc pulchny i miły Lothar dokonuje prezentacji.

Petra, kontrabasistka, ma ciemne, mocno kręcone włosy i okrągłą twarz, zawsze uśmiechniętą, co dodaje jej nienadzwyczajnym rysom zaskakującej atrakcyjności. Po godzinach znika w „trójkacie bermudzkiem”, ponieważ zarabia na życie, grając jazz w tamtejszych nocnych klubach. Lothar zapewnił nas jednak, że ma opinię doskonałego muzyka klasycznego i że już kilka razy wcześniej grała *Pstrąga*.

Kurt, drugi wiolonczelista w kwintecie smyczkowym, jest bladym, wysokim, uprzejmym i nieśmiałym mężczyzną z małym jasnym wąsikiem.

Swoje opinie wyraża cicho, doskonałym angielskim, jedynie gdy wygłasza sprzeciw wobec krytyków uważających *Pstrąga* za utwór „do pominięcia”, można usłyszeć archaizmy. To miłe z jego strony, tym bardziej że nie gra w *Pstrągu*. Wiedział, że najpierw będziemy ćwiczyć ten utwór, ale postanowił być z nami od początku, żeby przyzwycząić się do naszego stylu. Lothar musiał więc powiedzieć mu o kłopotach Julii ze słuchem.

Petrę poinformował kilka tygodni temu. Piers i Erica byli zdania, że powinna wiedzieć o tym jak najwcześniej. Według Lothara na chwilę zanie-mówiła, a potem powiedziała: „Tym lepiej. Nie usłyszy, jak wszystko knocę”. A teraz Julia mówi jej, że właśnie kontrabas słyszy najwyraźniej. Stoimy w trójkę na boku i omawiamy grę pod względem wizualnym i muzycznym. Widzę, że ta rozmowa Julię męczy. Przez kilka ostatnich miesięcy miała bardzo mało okazji, by czytać niemiecki z ruchu warg. Szczególny kłopot ma z Petrą, która przechodzi z angielskiego na niemiecki za każdym razem, gdy nie jest pewna, czy dobrze rozumie jakiś niuans.

Miejsce jest pieczarowate i opuszczone. Kiedy wchodzimy do sali prób, spostrzegamy zdumiewająco czerwony fortepian ozdobiony abstrakcyjnym wzorem w złote liście. Nawet brzeg kłapy i skrzydła są czerwone, a mosiężne nogi zaprojektowano tak, by przypominały pedały. Julia wpatruje się w instrument z najwyższym obrzydzeniem.

— Szykowny — stwierdza Petra.

— Nie mogę na tym grać — oznajmia Julia ku mojemu zaskoczeniu.

— Skąd wiesz? Jeszcze go nie słyszałaś — zauważa Petra.

Julia się śmieje, a Petra wygląda na zażenowaną.

—Cóż — mówi Julia. — To jakby moja stara ciotka zdecydowała się nagle nałożyć czerwono-złotą mini i pójść do swej ulubionej kawiarni. Trudno byłoby z nią normalnie rozmawiać, gdyby się tak ubrała.

—Myślę, że nie lubisz czerwonego koloru — kwituje Petra niepewnie.

—Wygląda dobrze na automacie coca-coli tam, przy windzie — ripostuje Julia, wskazując na foyer.

— Rzeczywiście — mówi nagle Helen. — Znajdźmy coś innego. Potwornie jaskrawa bestia. Nie chciałabym grać Schuberta na altówce w grochy.

Na szczęście znajdujemy ogromny pusty pokój do ćwiczeń z szarym dywanem i zwykłym pogrzebowym fortepianem. Petra przyniosła własny zapadający się stół, który teraz ustawia i dopasowuje tak, żeby Julia mogła ją lepiej widzieć. Rozpoczyna się próba. Gramy utwór prawie bez przerw.

Petra, pochylona, z zamkniętymi oczami, kładzie ogromny nacisk na synkopy w ostatniej części, a potem wygrywa opóźnione ósemki.

Helen, która siedzi naprzeciwko niej, przerywa grę.

— Petro, uważam, że powinniśmy tu przystopować.

— Przecież właśnie to robię — mówi Petra. — To powinno być cool. Er-cool.

— Lubię jazz — stwierdza Helen. — I jestem pewna, że Schubert też lubiłby jazz. Ale on nie pisał jazzu.

— Och — wzdycha Petra. — Szkoda, że nie gramy w Konzerthaus. Wiednia w Musikverein jest taka burżuazyjna. Przydałoby się ją obudzić.

— Petro; proszę — mówi Helen. — To nie jest muzyka środka. To tylko *Pstrąg*.

Petra wzdycha; zgadzamy się spróbować mniej „innovacyjnie” i kontynuujemy utwór.

Pomimo wielkiego zdenerwowania i Julii, i mojego, pierwsza próba poszła dobrze. Zdumiewa mnie sposób, w jaki podłapuje rytm od Petry, mimo że w jej wykonaniu nie jest on wyraźny, mechaniczny. Zwłaszcza w ostatniej części, gdzie triole kontrabasu tworzą niskie, przeciągłe, prawie niecharakterystyczne warczenie, fortepian nie traci swojego pulsu, ale przepływa nad tym wszystkim dokładnie i lekko.

Spoglądam na nią i prawie zapominam o swoim instrumencie. Jak dobrze gra; jak dobrze gra z nami. Jakimiż to dziwnymi drogami wróciliśmy tutaj? Czy *Pstrąg* i Wiedeń są dla nas nie dokończonymi sprawami? Są chwile, gdy moje wątpliwości ustępują i oceniam sytuację z perspektywy, w której, na przekór wszystkiemu, przeszłość błogosławi, nie straszy, i wszystko znów wydaje się możliwe.

## 5.4

Po jeszcze jednej próbie *Pstrąga* ćwiczymy *Kwintet smyczkowy*. Potem oddajemy klucze, wychodzimy na zalaną słońcem, pustą ulicę.

Naprzeciwko budynku Bósendorfera jest pusta parcela, porośnięta trawą i spuchniętymi główkami dmuchawców. Na środku pod kwitnącą akacją stoi zabawna biała figurka — naturalnych rozmiarów niedźwiadek na czterech łapach, z wysoko uniesionymi barkami i pochyloną głową, bardziej przypomina ogromnego i sympatycznego psa.

Wszyscy odchodzą. Zostajemy tylko Julia i ja. Trzymając misia za uszy, omawiamy próbę.

— Wiem, jakie to wszystko musi być trudne — mówię. — Ale naprawdę dobrze zagrałaś.

— To był jeden z moich kiepskich dni — stwierdza.

— Nigdy bym się nie domyślił.

— Kontrabas pomaga.

— Petra jest dobrym muzykiem. Chociaż zgadzam się z Helen, że...

— Nie o to chodzi — tłumaczy Julia. — Uważam, że bez kontrabasu nie potrafiłabym zagrać. Jest coraz gorzej. Ile kameralnych utworów na fortepian zawiera partię kontrabasu?

— Cóż, jest Dvofak... myślę o jego *Kwintecie smyczkowym*.

Julia odwraca się i nie patrząc na mnie, oznajmia:

— Ten koncert będzie ostatni, na którym gram z innymi.

— Nie mówisz poważnie!

Nie odpowiada, nieświadoma mojej reakcji.

Kładę dłoń na jej dłoniach i wtedy znów na mnie spogląda.

— Nie możesz tak mówić. Nie możesz.

— Wiesz, że tak, Michaelu. Moje uszy są do niczego. Jeśli przy tym zostanę, to zwariuję.

— Nie, nie! — Nie mogę tego słuchać. Zaczynam walić głową w grzbiet kamiennego misia.

— Michaelu, zwariowałeś? Przestań. — Przykłada dłoń do mojego czoła.

—Nie uderzyłem się mocno. Chciałem tylko, żebyś przestała tak mówić. Nie mogę tego znieść.

—Ty nie możesz tego znieść — mówi Julia z nutką pogardy.

—Ja... nie mogę.

— Lepiej chodźmy do Marii, bo się spóźnimy — prosi Julia.

Unika mojego wzroku, a później wsiadamy do samochodu. Gdy prowadzi, wcale nie mogę z nią rozmawiać.

## 5.5

Nasze trio spotyka się w progu domu Marii; znowu jesteśmy razem i nie możemy nic powiedzieć przez parę sekund. Potem następują uściski, „ileż to już lat” i „wyglądasz dokładnie tak samo”. Ale wiemy, że ziemia szybko się kręci, i wiemy, że wszystko jest zupełnie inne.

Julia spotykała się z Marią od czasu do czasu, ale ja nie widziałem jej, odkąd opuściłem Wiedeń. Mały chłopczyk z kręconymi brązowymi włosami ciągnie ją do środka.

—*Mutti* — woła. — *Pitou hat mich gebissen.*

—*Beiss ihn* — odpowiada krótko Maria. Ale mały Peter jest uparty, więc matka ogląda jego rączkę, mówi, że jest bardzo dzielny, i prosi, żeby nie drażnił kota, bo ten zmieni się w tygrysa.

Peter wydaje się sceptyczny. Potem, zauważywszy, że mu się przyglądamy, chowa się za matką i wbiega z powrotem do domu.

Maria przeprasza, że Markus, jej mąż, jest poza miastem, ale mówi, że ma dla mnie niespodziankę. Wchodzimy do kuchni, gdzie Wolf, mój kumpel z pierwszego roku studiów w Wiedniu, przygotowuje dużą porcję sałatki. Uśmiecha się i padamy sobie w ramiona. Wyjechał z Wiednia przede mną i przez parę lat byliśmy w kontakcie, ale nie mieliśmy o sobie żadnych wiadomości przez ostatnie trzy czy cztery lata. On też wstąpił do kwartetu, chociaż w jego przypadku Carl Käll nie miał nic przeciwko rezygnacji z kariery solowej.



—A co ty tutaj robisz? — pytam. — Oczywiście, przyjechałeś z tak daleka, żeby posłuchać, jak gramy.

—Masz czerwony ślad na czole — mówi Wolf.

—Zaatakował go niedźwiedź. A właściwie to on zaatakował niedźwiedzia — wyjaśnia Julia.

—Wszedłem na drzwi. A właściwie to one na mnie weszły. Zniknie za godzinę.

—Mam nadzieję, że nie przemawia przez ciebie doświadczenie — mówi do mnie Julia i odciąga Marię na bok.

—Nie mogę przyjść na wasz koncert — mówi Wolf. — Jutro wracam do Monachium.

—Szkoda. Więc co tutaj robisz? Grasz ze swoim kwartetem?

—Oni jeszcze nie wiedzą, że tu jestem, ale dowiedzą się wkrótce — mówi Wolf. — Na razie trzymam to w tajemnicy. Zaproszono mnie, że bym spróbował zagrać jako drugi skrzypek w Traun.

—To wspaniale! — wykrzykuje.

Traun jest jednym z najsłynniejszych kwartetów na świecie; wszyscy są już po pięćdziesiątce i byli bardzo znani, gdy my jeszcze byliśmy studentami. Ledwie mogę sobie wyobrazić wśród nich swojego dobrego przyjaciela Wolfa. Pamiętam ich wiolonczelistę, świetnego muzyka, ale dziwnego człowieka; był tak nieśmiały, że nikomu nie patrzył w oczy. Kiedy spotkaliśmy się po koncercie, zachowywał się tak, jakby spodziewał się usłyszeć ode mnie, zwykłego studenta, jakąś druzgocącą krytykę jego gry; zachowywał się tak niewiarygodnie, że z początku myślałem, że mnie podpuszcza.

— To było naprawdę dziwne — mówi Wolf. — Mój kwartet się rozpada. Dwoje z nas nie może znieść pozostałej dwójki i tyle. Doszły mnie słuchy, że Günther Hassler zdecydował się odejść na emeryturę i Traun szuka drugiego skrzypka, więc napisałem do nich. Wysłuchali mnie w różnych kawałkach i oto jestem. Chcą, żebym za parę tygodni zagrał z nimi parę próbnych koncertów. Nie robię sobie nadziei, podziwiam ich wszystkich i wiem, że przesłuchują też innych, ale nigdy nic nie wiadomo... Powiedz, co macie w programie oprócz *Pstrąga!* Maria mi o tym powiedziała.



—Na początek *Quartettsatz*, a po przerwie *Kwintet smyczkowy*.

—Sam Schubert, co? Duży program.

—Za duży?

—Nie, nie, wcale nie. Jak to możliwe, że właśnie ty grasz w *Pstragu!*

Opowiadam mu o propozycji Piersa.

—Jakiż on inny od naszego pierwszego skrzypka. — Wolf jest pod wrażeniem. — To szlachetny gest. Naprawdę. Wiesz, co powinienesz być zrobić w odpowiedzi?

—Co?

—Zasugerować, że zastąpisz *Quartettsatz* dłuższym z dwóch triów smyczkowych. Jest prawie takiej samej długości, a twój pierwszy smyczek wystąpiłby w nim bez ciebie. To by wyrównało rachunki.

Zastanawiam się nad tym przez chwilę.

—Szkoda, że o tym nie pomyślałem — mówię. — Ale wiesz, on na pewno powiedziałby, że powinniśmy przynajmniej raz wystąpić na scenie jako kwartet.

—Miły gość.

—Właściwie nie jest miły — stwierdzam. — Ale być może dobry.

—A co to za tajemnica z Julią? — pyta konspiracyjnie Wolf.

—Jaka tajemnica?

—Maria jest bardzo taktowna i wymijająca, więc coś w tym musi być.

—Między Julią i mną?

—Och, tylko to? — pyta Wolf rozczarowany. — To każdy widzi. Myślałem, że chodzi o coś innego. Czy jest coś jeszcze? Coś tajemniczego?

—Nie, nic mi nie wiadomo.

—Wiesz, ona ma bardzo dobrą reputację w Niemczech, chociaż nie gra często, zaledwie kilka koncertów solowych rocznie. Parę lat temu grała w Monachium. Byłem zaproszony na ten koncert i odkryłem, że to ona...

Pierwszy raz będziesz grał w Musikverein?

—Tak.

—Jesteś zdenerwowany?

—Cóż...

— Daj spokój. Nic nie zmienisz, więc po co się martwić? Czy zagrasz wszystkie oktawy w pierwszej wariacji? — Wolf z przesadą naśladuje wyczerpanego skrzypka piszczącego na strunie E, gubiąc większość wysokich nut.

— Dlaczego pytasz, czy je zagram? A mam jakiś wybór?

— Oczywiście, że masz. W jednym ze źródeł nie ma tych oktaw. Trzeba przyznać, że brzmią dość głupio.

— Już za późno. Są w mojej głowie i w palcach.

— Raz słyszałem, jak ktoś tak zagrał — mówi Wolf. — Brzmiało o wiele lepiej, ale oczywiście wszyscy sądzili, że skrzypek po prostu stchórzył... A jak tam twoje wytrzymanie? Wytrzymaj, wytrzymaj, wytrzymaj — powtarza Wolf. — Wiesz, że Käll jest chory? Pogodziłeś się z nim? Nie czekaj z tym, aż umrze.

— Wczoraj wieczorem myślałem o nim, spacerując po mieście.

— Z baru do baru.

— Nie byłem z tobą.

— I... co?

— Nic; po prostu o nim myślałem. I o setce innych spraw.

— Parę miesięcy temu graliśmy w Sztokholmie i po koncercie Carl przyszedł za kulisy. Wyglądał okropnie... Nie miałaś do niego cierpliwości.

— Ja nie miałem do niego cierpliwości?

— Właśnie — mówi Wolf, który nigdy nie mógł się zdecydować, czy jest klaunem czy mędrcom.

Nie kontynuuje tematu, a ja nie wypytuję. Dawno temu Julia sugerowała coś podobnego. Ale jak można walczyć z oporem we własnej głowie? Nie mógłbym dłużej grać pod okiem Carla Källa, tak samo jak nie mógłbym grać, gdyby połamano mi wszystkie palce. Poczułem wtedy okropną niemoc. Byłem zupełnie bezradny, tak jak pewnie ona teraz. Ale mój stan udało się przynajmniej z czasem rozproszyć, czy też zwalczyć.

Przy obiedzie Maria mówi więcej i jest bardziej nerwowa niż dawniej. Nie wiem, czy chce w ten sposób zapobiec wypowiedziom Julii, która mogłaby się zdradzić przed Wolfem, czy może małżeństwo, rodzina i czas tak ją zmieniły. Podobnie jak Julia, znalazła męża spoza kręgów muzycznych, ale pozostała przy panieńskim nazwisku Novotny ze względów zawodowych. Szybko przeskakuje z tematu na temat: ponura tegoroczna zima bez promienia słońca, nagłe i wczesne nadejście lata prawie bez przejściowej wiosny, ogromne krzaki bzu w dużym ogrodzie za domem, które koniecznie musimy obejrzeć po obiedzie, ich plany spędzenia Zielonych Świątek w rodzinnym mieście męża w Kärnten, gdzie, jak zakłada, dołączy do nich Julia, przywiązanie Petera do ich kotka Pitou, który ma dopiero roczek i lubi spać w futerale jej wiolonczeli, gdy ona ćwiczy, żal, że nie jest dodatkową wiolonczelistką grającą z nami w kwintecie smyczkowym...

Wolf musi już iść, więc odprowadzamy go do drzwi.

—Na Zielone Świątki musimy uciec z Wiednia — mówi Maria przy kawie. — Na Stadtpark parkują wtedy setki autobusów i pojawiają się tysiące Włochów i Japończyków.

—Dlaczego Japończycy mieliby obchodzić Zielone Świątki? — pytam.

Maria przygląda mi się przez chwilę, a następnie zwraca się do Julii:

—Czy zdecydowałaś już, co będziesz robić po koncercie? Pojedziesz z nami do Kärnten czy zostaniesz w Wiedniu z matką? Wcale nie masz dla mnie czasu, odkąd ona się tu przeprowadziła.

—Jeszcze nie jestem pewna, Mario. — Julia się waha. — Ona jest bardzo zaborcza. A dziś przyjeżdża moja ciotka, więc nie wiem, jak znaleźć czas, by poćwiczyć.

—A Kärnten?

—Nie wiem, jeszcze nie wiem. Wyjdźmy obejrzeć bez. Jest taka cudowna pogoda.

—Pójdę najpierw obudzić Petera — mówi Maria.

Rozespany Peter trochę kaprysi, ale rozwesela się na widok kotka przypniętego pod krzakiem bzu. Biegnie za nim, potyka się i przewraca. Wi-

dząc troskę na twarzy matki, zaczyna płakać. Maria zabiera go do domu i zostajemy z Julią sami.

Cudowny zapach wypełnia ogród.

—Czy Maria wie o nas?

—Cóż, nie zaszkodziłoby, gdybyś przy obiedzie trochę mniej na mnie patrzył.

—Zapisywałem sobie w myślach twój obraz na późniejsze godziny... więc dziś wieczorem idziesz do matki?

—Tak.

—Chodźmy teraz do hotelu. Moglibyśmy spędzić razem godzinę czy dwie.

—Jest trzecia. — Julia potrząsa głową. — Muszę jechać do domu i poćwiczyć, zanim pojawi się ciotka. Poza tym chciałabym pójść do kościoła.

Dotyka mojego czoła, gdzie utworzył się mały guzek.

—Minęło tyle czasu — mówię.

—Tak. — Nie zrozumiała moich słów. — Jakie to dziwne, nasza trójka znów razem. Mam ochotę powiedzieć: „Mario, wyjmij *Trio* Beethovena *c-troll...*”, a wcześniej chciałam zaproponować, żebyśmy poszli jutro na obiad do Mnozila, ale przecież Mnozila już nie istnieje.

—Nie istnieje? — pytam. To tak jakby Schonbrunn wyparował. Potrząsam głową z niedowierzaniem, a nawet ze zdumieniem. Dziwne, że tam nie trafiłem podczas nocnej wędrówki.

—Nie — mówi Julia. — Już go nie ma. Jest tam teraz coś innego, jedno z tych bezosobowych, bezdusznych miejsc, jaskrawe i smutne.

—Jak to możliwe, że wcześniej o tym nie wspomniałaś? Co się stało? Czy on jeszcze żyje?

—Myślę, że tak. Chyba po prostu sprzedał interes.

—Zastanawiam się, czy istnieje jeszcze Azja? — Znowu potrząsam głową. — Kiedy w weekendy centrum miasta zamierało, miejscowa chińska restauracja była jedynym miejscem, gdzie studenci mogli się porządnie najeść.

—Tak. Przynajmniej była tam w zeszłym roku.

—Julio, czy mówiłaś poważnie, że nie zagrasz więcej z innymi muzykami?

—Jest coraz gorzej, Michaelu. Sądzę, że to niemożliwe. — Jej oczy przepelnia ból.

Maria zbliża się do nas. Patrzy niepewnie i wyczuwam dezaprobatę skierowaną głównie do mnie.

—Musimy iść — mówi Julia.

—Dobrze — odpowiada Maria, nie zadając żadnych pytań. — Wiem, że przez kilka dni będziecie bardzo zajęci. Ale następnego dnia po koncercie powinniśmy spędzić popołudnie nad Dunajem, jak za dawnych czasów. Markus pracuje do późna prawie codziennie i nawet w weekendy, więc jestem pewna, że będzie mógł się zwolnić na parę godzin i wybrać się z nami. Miły rodzinny piknik. Zgoda?

—Świetnie. — Julia przystaje bez namysłu. — Co ty na to?

—Doskonały pomysł — odpowiadam, próbując wygnać ze swego głosu cały przepelniający mnie żal.

Dzień po koncercie jest dla Maggiore dniem wolnym; następnego dnia mamy lecieć do Wenecji. To drogocenny czas, czas, który moglibyśmy spędzić we dwoje.

## 5.7

Ćwiczę w pokoju hotelowym, używając tłumika. Moje palce, mózg i serce, z początku dziwnie wojownicze, po godzinie wpadają w spokojny rytm.

Mój pokój znajduje się na najwyższym piętrze. Jest cicho. Przez wysoko umieszczone okno widzę wieżę katedry Świętego Szczepana.

Dzwoni Helen i pyta, czy zjem z nimi kolację; dawno mnie nie widzieli. Jako jedyny w kwartecie znający i niemiecki, i to miasto, byłbym najlepszym przewodnikiem. Znajduję jakąś kiepską wymówkę i zapewniam ich,

że świetnie poradzą sobie po angielsku. Nocą w tym mieście grupowa wesołość doprowadzałyby mnie do szału.

O ósmej zastanawiam się, czy zamówić jakąś przekąskę i wcześniej się położyć; ale gdy zapada zmrok, wychodzę z pokoju, przez labirynt korytarzy idę do windy i zjeżdżam do holu. Lilie, paprocie, abażur, lustro, stojak na parasole. Schubert spogląda na mnie znad lady recepcji; obsługa drze papierowe formularze.

Opieram się o blat i zamykam oczy. Świat pełen jest dźwięków: darcie papieru, odgłos przejeżdżających tramwajów wprawiający ziemię w drżenie; brzęk kubków od kawy, a ponad szmerem pełnego baru odgłos faksu lub dalekopisu. Co o tych dźwiękach sądzi Schubert?

—Czym mogę panu służyć? — Nie, nie jest wiedeńczykiem. Jaki to akcent? Serbski? Słoweński?

—Nic, nic. Czekam na kogoś.

—Czy pokój się panu podoba? — pyta, sięgając do telefonu, który właśnie zaczął dzwonić.

—Jest doskonały... Chyba wstąpię do baru. A może mógłbym napić się tutaj, w foyer?

—Oczywiście. Powiem kelnerowi. Proszę usiąść, gdzie pan sobie życzy... Halo? Hotel Schubertring.

W rogu holu, z dala od zadymionego baru, piję kieliszek zimnego kremsera. Obok mnie przechodzą Helen, Billy i Piers. Spoglądam na peonie i róże ułożone w koszyku na stole.

—...i nie wolno ci wziąć przewodnika Spartakusa i zniknąć w trójkącie bermudzkiem — mówi Helen.

—Aż do występu będę oszczędzał energię — odpowiada spokojnie Piers.

—O czym wy rozmawiacie? — pyta Billy, gubiąc wątek rozmowy.

Drugi kieliszek wina; jest już ciemno. Wyruszam na spacer. Przepelniają mnie wspomnienia, rozpacz i pulsacje nieznośnego napięcia, po których następuje odprężenie, prawie uniesienie. Kiedy mijam Musikhochschule, czuję, że potrafiłbym odtworzyć przeszłość, że każde zło da się naprawić, że mogę po prostu wejść do Mnozila i zobaczę tam staruszka patrzącego



przez siebie jak starożytny Cezar, odpowiadającego krótko, niezobowiązująco i bez nawiązywania kontaktu wzrokowego na wszystkie pytania jakiegoś stałego klienta siedzącego w niewidocznym kącie. Kłopoty rodzinne, utrata pracy, problemy finansowe; najdziwniejsze pytania i wyznania, a przecież dlaczego ktoś miałby obnażać swoje serce przed starym Mnozi-lem, który z szorstkości i zwięzłości wypowiedzi uczynił sztukę?

Nie przypominam sobie prawdziwej rozmowy z nim; przez półtora roku przychodziłem do jego restauracji, z początku sam, potem z Julią, ale to najprawdopodobniej nie wystarczyło, chociaż na Gwiazdkę w moją pierwszą szarą szczęśliwą zimę na naszym stoliku stała odświeżona zawinięta butelka wina. *Frau* Mnozil rzadko wychodziła z kuchni, ale jej czesko-wiedeńska obecność była obficie zaznaczona w jadłospisie: *Knodelsuppe* albo *krenfleisch*, albo *Schokonuss-Palatschinken...* litania przysmaków. Rzadko było nas na nie stać. Zwykle gdy mieliśmy dość posiłków w studenckiej stołówce, jedliśmy zupełną warzywną z ziemniakami za czterdzieści szylingów i przesiadywaliśmy spokojnie w tym zadymionym miejscu, przepełnionym zapachem czosnku i kawy.

Właściciel nigdy nie zniżył się, żeby usługiwać. Kelner podchodził do lady, a *Herr* Mnozil, który już podsłuchiwał zamówienie, podawał mu napoje. Nie tolerował nowych, wymyślnych gustów. Kiedy jakiś pechowy turysta nieostrożnie poprosił o wodę mineralną, został zapytany oburzonym głosem z wiedeńskim akcentem, czy chce umyć sobie nogi: *Wusta die Fuss bod'n?* Na nerwowe pytanie: „A co by pan w zamian polecił?”, mój gospodarz odpowiadał lekceważąco: *A andres Lokal!*

Kiedyś byłem tam szczęśliwy. Ale jakie życie mogłem jej zapewnić? I jak mógłbym zostać dłużej pod nadzorem mojego mentora? On też tu przychodził, ale siadywaliśmy przy innych stolikach, daleko od siebie. Pod koniec prawie nie rozmawialiśmy. Właśnie mijam to miejsce; wszystko zupełnie zmienione; błyszczące, niegościnne stoliki, wewnątrz nie do odróżnienia od setek innych miejsc. A więc moje wspomnienie należy już do historii.

Do lady przymocowana była szklana szafka, w której leżały warzywa oraz kiełbaski i zawinięte sery. Śmieszne, ale nikt nigdy niczego z niej nie



zamawiał. Mieliśmy z Julią taką umowę: kto pierwszy zauważy klienta kupującego coś z tej szafki, temu druga osoba funduje obiad. Minął ponad rok od tego zakładu do naszego rozstania, ale żadne z nas nie miało szczęścia.

## 5.8

Późno w nocy zaczyna padać deszcz. Ciężkie salwy rozbijające się o moje okno nie pozwalają mi zasnąć, a kiedy wreszcie zasypiam z wyczerpania, znowu mnie budzą.

Podczas golenia spostrzegam, że guz na czole już prawie zniknął.

Dziś rano mamy próbę w Musikverein. Nie mogą udostępnić nam Brahms-Saal, w której jutro wystąpimy, więc ćwiczymy w długim, wąskim, pięknym pokoju z widokiem na Karlskirche. Próba przebiega całkiem dobrze, ale po jej zakończeniu ogarnia mnie złe przeczucie.

Spoglądam przez okno na dziwny, majestatyczny kościół; ponad kwitnącymi lipami wznosi się jego niebieska kopuła i jeden z dwóch jakby meczetowych minaretów, przypominających mi minarety synagogi w Bayswater niedaleko mojego domu. Londyn i Wiede nakładają się na siebie. Coś złego stanie się jutro, coś bardzo złego. Boję się o siebie i boję się o Julię.

Podczas obiadu, który jemy z Julią we dwoje, prawie nic nie mówię. Po-tem sugeruję, żebyśmy poszli do hotelu.

—Michaelu, muszę iść do domu.

—O nie, znowu!

— Nie mogę. Muszę grać. Powinam poćwiczyć kilka rzeczy, które uważałam dziś rano.

— Jak możesz być taka pragmatyczna?

Śmieje się i sięga ponad stołem po moją dłoń. Czuję, że drży.

— O co chodzi? — pyta łagodnie.

— Jestem niespokojny o jutro. Czuję się tak, jakbym widział na widowni Carla, osadzającego mnie, wyrażającego dezaprobatę i dającego słabą ocenę; po prostu martwię się, Julio. Nie powinienem ci o tym mówić.

—Nie martw się.

—Pojedź ze mną do Wenecji.

—Michaelu. — Puszczaj moją dłoń.

— Nie wiem, jak udało mi się przeżyć te wszystkie lata bez ciebie.

Jakże słabo i banalnie brzmią te słowa, jakby wyjęte żywcem z romansu dla gospodyń domowych.

— Nie mogę — mówi. — Po prostu nie mogę.

—Ani twoja matka, ani Maria nie są pewne, czy się u nich zatrzymasz.

Więc dlaczego chcesz tu zostać?

—Nie mogę... Michaelu, jak mogłabym jechać z tobą do Wenecji? Pomyśl, o co mnie prosisz... Proszę, nie rób takiej smutnej miny. Jeśli chcesz, możemy zaraz pojechać do mojej matki i poćwiczyć razem. A potem wyjść na kolację.

—Nieszczególnie chciałbym spotkać się z twoją matką.

—Michaelu, przestań wykrzywiać ten widelec.

—Jaki ma fortepian? — pytam, czepiając się pierwszej myśli, która przychodzi mi do głowy.

—Bluthnera. Jest w rodzinie od stu lat. Dlaczego pytasz? Powiedziałeś „forte pian”, prawda?

—Tak. Nadal ma małego jamnika?

—Michaelu!

—Kawa? U Wolfbauera?

— Lepiej już pójdę. Proszę, nie dodawaj jeszcze tego do mojego napięcia.

— W porządku. Jedźmy tam razem — mówię.

Wspólnie spędzony czas to lepsze niż nic. Po co psuć sobie tę chwilową przyjemność spoglądaniem wstecz i naprzód? Julia przedstawia mi swojej matce, która uważnie mi się przygląda. Chociaż nie spotkaliśmy się na lotnisku, z pewnością pamięta mnie ze zdjęć. Przez lata wyobrażałem ją

sobie jako dużą kobietę ciągniętą przez małego pieska. Julia jest spokojna, nie ma zamiaru łagodzić naszej wzajemnej antypatii.

Ćwiczę na strychu, a ona w pokoju muzycznym wychodzącym na ogród. O czwartej przynosi mi podwieczorek i oznajmia, że niestety nie będziemy mogli wyjść na kolację. O siódmej pod nadzorem matki w milczeniu spożywamy posiłek, przerywany głównie odgłosami szczekania z odległego pokoju. Jedną z głównych przyczyn, dla których pani McNicholl nie chciała pozostać w Anglii, była absurdalność naszych przepisów dotyczących kwarantanny. Drugą, według Julii, było jej życzenie, aby ponownie zamieszkać w katolickim kraju. Po obiedzie mówię Julii, że mam już dość, i że wracam.

— Ja też mam już dość ćwiczeń — dodaje szybko Julia. — Zakończmy na dziś. Przejedźmy się.

Chłodne podziękowania złożone *Frau* McNicholl zostają nagrodzone chłodnym stwierdzeniem, że cieszy się z naszego spotkania. Stoi w ogrodzie pod bukiem pokrytym liśćmi w kolorze miedzi, krwawym bukiem, jak by powiedziała po niemiecku, i poucza Julię, żeby jechała ostrożnie i żeby uważała.

—Czy musiałaś obiecać Marii, że spędzimy z nią nasz ostatni dzień? — pytam w samochodzie.

—Wtedy o tym nie pomyślałam. Teraz tego żałuję.

Wysokie topole rosną równolegle do torów wzdłuż Dunaju; cudowne światło dotyka wierzchołków długich gałęzi kasztanowca. Po drugiej stronie drogi światło pełza po ścianach domów i klasztoru w Klosterneuburgu.

—Dlaczego Zielone Świątki są tutaj takim wielkim świętem?

—zastanawiam się głośno, nadal zły na Marię.

—Co powiedziałaś? — pyta Julia, zerkając w moją stronę.

—Dlaczego Zielone Świątki są tu takie ważne?

—Nie wiem. Być może dlatego, że imperium austro-węgierskie było państwem wielojęzycznym.

—Co masz na myśli?

—Michaelu, lepiej ze mną nie rozmawiać, kiedy prowadzę, chyba że to naprawdę konieczne. Muszę patrzeć na drogę.

Skreca przy Nussdorf i jedzie krętą Kahlenberg Road.

— Ależ, Julio!

Zjeżdża na bok i zatrzymuje się.

—Dokąd ty właściwie jedziesz? — pytam.

—Właśnie tam, gdzie myślisz, że jadę.

—Julio, nie. Dlaczego właśnie tam?

—A dlaczego nie?

Jedziemy na miejsce naszego ostatniego spotkania dawno temu; tamtego dnia najpierw jechaliśmy tramwajem, a później szliśmy pieszo.

Przed nami, ponad pagórkami pokrytymi winnicami rozciąga się Wiedeń, składana mapa wspomnień. Jedziemy dalej; zatrzymujemy się i parkujemy w pewnej odległości. Być może to miejsce też zniknęło, tak jak restauracja Mnozila, albo zostało zmienione. Ale nie.

Przy domu rosną dwa ogromne kasztany, gęste od liści. Obok pompy kwitnie geranium. Przy długich stołach siedzą pary młodych ludzi i grupki studentów; piją, jedzą i rozmawiają w blasku zachodzącego słońca.

Dzbanek wina z pobliskiej winnicy. Zmierzch. Pijemy w przyjaznej ciszy, bez śladu gorzkości. Moje skrzypce, nie ubezpieczone od kradzieży, leżą w futerale obok mnie. Raz jeszcze Julia dotyka mego czoła, śladu po uderzeniu w kamiennego misia.

W świetle lamp zauważam żyłki przezroczystych liści. Oświetlona gałązka promienieje na tle nocnego nieba.

Mało rozmawiamy, być może dlatego, że drgający płomień świecy przekształca moje słowa.

— Pojadę z tobą do Wenecji — oznajmia nagle Julia, gdy nalewam wino do jej kieliszka.

Milczę. Nie spodziewałem się tego. Dziękuję czemuś ukrytemu w ciemności, ale nic nie mówię. Nie rozlewam ani kropli. Moja dłoń nie drży. Napełniam teraz swój kieliszek i unoszę go, wciąż nic nie mówiąc. Pijemy za nią? Za nas? Za ducha zakazanej miłości? Cokolwiek mam na myśli, ona kiwa głową, jakby chcąc powiedzieć, że rozumie.

## 5.9

Poranek w dniu naszego występu jest błękitny i gorący.

Wysłałam faks, który Julia napisała wczoraj wieczorem do swojej przyjaciółki w Wenecji, i czekam, aż recepcjonista odda mi kartkę.

Kwartet Maggiore spotyka się w holu. Wszyscy jesteśmy spięci i pełni oczekiwania, ale złe przeczucie, które dręczyło mnie wczoraj, ulotniło się. Idziemy piechotą do Musikverein, to tylko kilka minut drogi. Dzisiejsza próba generalna odbędzie się w Brahms-Saal.

Fortepian stoi na podwyższonej scenie pomiędzy dwoma czerwonymi filarami. Wczoraj Julia obejrzała kilka instrumentów i stwierdziła, że ten najbardziej jej odpowiada. Gdy chodzi o dźwięk, wszystkie są dobrze sprawdzone, więc Julia uznała, że jeśli nawet ktoś taki jak Claudio Arrau mógł wejść na scenę, nie zagrawszy wcześniej na przeznaczonym dla niego fortepianie, to ona jest w dobrym towarzystwie.

Julia poprosiła Piersa jako obserwatora o dwie rzeczy. Po pierwsze, aby doradził jej w sprawie wyważenia dźwięku w tej sali. Także w odniesieniu do nas wszystkich. Po drugie — żeby uważnie śledził jej partię, kiedy gra piano albo pianissimo, aby mieć pewność, że nie gra nut, które słyszy jedynie w myślach.

Sala zmieniła się od czasu, gdy byłem tu ostatnio, dawno temu, jako widz. Kolory są inne; wtedy było więcej bieli i złota, teraz jest dużo ciemnej czerwieni i marmurowej zieleni. Ale białe popiersie starego Brahmsa góruje nad salą jak zwykle i cieszę się, w przeciwieństwie do Helen i Bill-y'ego, że nie będę go widział ze swojego miejsca.

Zręczliwy dozorca, który wczoraj zaprowadził nas do sali prób, jest dzisiaj bardziej przychylny, bo dałem mu napiwek. Przypominam sobie, że jako studenci często z Julią wchodziliśmy na koncerty do głównej sali, Grosser Saal, przekupując osoby sprzedające programy. A ponadto w tym budynku, będącym prawdziwym labiryntem klatek schodowych i korytarzy, prawie zawsze możliwe było znalezienie jakiegoś nie pilnowanego przejścia. Podczas przerwy przenosiliśmy się na bliższe wolne miejsca, kłaniając się sąsiadom. Julia mimo swojej nieśmiałości była pod tym

względem odważniejsza. Usprawiedliwiała się, mówiąc, że artyści są szczęśliwsi, gdy przynajmniej przednie rzędy są całkowicie wypełnione.

Julia i Petra uzgadniają, jak się ubrać wieczorem, żeby uniknąć kontrastu. Julia będzie miała zieloną jedwabną suknię, a Petra ciemnoniebieską. Kurt rozmawia z Piersem na podobne prawie tematy: czy wolimy fraki czy garnitury i czy uważamy szerokie pasy za coś istotnego.

Helen stoi z dala od tego wszystkiego, z głową opuszczoną najpierw na jedno ramię, potem na drugie, potem uniesioną. Martwi się, zawsze się martwiła *Kwintetem smyczkowym*. Jej altówka jest zmienna w swoich koalicjach: trio ze skrzypcami, z pozostałymi dwoma środkowymi głosami, z obiema wiolonczelami... W całym tym pięknie nie ma dla niej stałej roli; są tylko lotne piaski zachwyty.

Przeglądamy z Billym cienki złoty program na ten wieczór, podziwiamy jego elegancję i naśmiewamy się z radosnej pewności siebie Musikverein. Pod słowami „Franz Schubert”, a przed datami jego urodzin i śmierci i tytułami utworów, które mamy zagrać, umieszczona jest legenda: *Mitglied des repräsentantenkorpers der Gesellschaft der Musikfreunde in Wien*. Biedny Schubert mógł zostać członkiem Musikverein wyłącznie dlatego, że był amatorem i nie miał w Wiedniu oficjalnej muzycznej posady.

W czasie próby nie wydarza się nic zaskakującego poza jednym momentem, gdy Petra nagle mówi o naszym kompozytorze: „Ależ to psychoterrorysta!” Helen, Billy i ja spoglądamy na siebie i kontynuujemy grę. To wesoła muzyka i tak właśnie ją gramy. Od czasu do czasu myślę o tym, co powiedziała wczoraj Julia, że nie będzie już mogła grać w zespołach. Jak to może być prawdą, skoro dziś wyraźnie słyszę, że wszystko temu przeczy?

Między nami a słońcem musiała przemknąć mała chmura. Na kilka minut jasne niebo robi się szare, a w holu zapada mrok. Ale po chwili światło znów się wlewa, a poważne interludium zostaje pochłonięte przez intensywność finałowej próby.

W ostatniej części *Pstrąga* następuje coś dziwnego, co nie zdarzyło się podczas wcześniejszych prób. Gramy z Helen pierwszy motyw w dwóch frazach po dwa takty każda, ale Julia, ku naszemu zdumieniu, odpowiada



na nie tak, jakby to była pojedyncza czterotaktowa fraza z ciągłym diminuendo. Czy to przemyślała, czy też był to chwilowy impuls? W każdym razie wywołuje to dyskusję i decydujemy, że gdy po raz pierwszy wprowadzamy motyw, lepiej będzie zagrać tak, jak ona chce. Wtedy gdy padają akcenty, a później następuje synkopa, kontrast staje się jeszcze bardziej wyraźny.

Gdyby mogła dokładnie usłyszeć to, co gramy, czy zagrałaby tak jak teraz? I czy my poprawilibyśmy to. retrospektywnie? Znów czuję się nie-swojo, bo przecież coś takiego mogłoby się wydarzyć na scenie za kilka godzin, coś niepokojącego, czemu nie mogliśmy wcześniej zapobiec.

## 5.10

Pomnik Beethovena w arkadzie budynku Musikverein wygląda tak, jakby trząsł się z zimna w ten ciepły wieczór.

Nieco ugrzecznony młody mężczyzna z administracji informuje nas, że koncert jest częścią cyklu muzyki kameralnej, sprzedanego głównie przez subskrypcję, więc możemy się spodziewać dobrej widowni. Prowadzi nas do garderób. Nasza, męska, jest jaskrawa, ale zarazem ponura; cukierkowa ściana w czerwone pasy, szara podłoga, lustro i oprawione kserokopie żółkłych zapisów nutowych. Julia, Petra i Helen są w pokoju obok; jest tam fortepian, portret Fritza Kreislera o krzykliwie czerwonych ustach i ogromny wieszak na płaszcze. Jak piękne ćmy, zielona, niebieska i złota, pojawiają się uśmiechnięta Petra z obnażonymi ramionami, Helen, przyciskająca dłoń do boku szyi, Julia, w tej samej zielonej sukni, w której była tamtego wieczoru w Wigmore Hall. Patrzy na mnie z troską, z najczulszym, najdelikatniejszym odcieniem troski. Czy jestem spokojny? Wszystko będzie dobrze, chociaż czuję się tak, jakby to było rozstanie.

Nalewam sobie wody mineralnej, a Piers pociąga łyk whisky z małej butelczki Helen. Billy jest zajęty atakiem kichania. Wszyscy mamy świadomość, że perfekcyjni wiedeńscy na pewno znają każdą nutę Schuber-



ta. Helen obraca się cicho do fortepianu. Zielona... złota... niebieska... Jak statecznie będziemy wyglądać z Billym wśród tak cudownych istot.

Po drugiej stronie korytarza czekają uszy tych, dla których zagramy. Piers wygląda przez wizjer w głównych drzwiach.

—Pełna sala.

—Jest siódma dwadzieścia osiem — oznajmia Billy.

— Gama — mówi Piers, podnosząc skrzypce do brody — *C-dur*.

— Powoli nasza czwórka wznosi się ponad tę nutę i stopniowo odzyskujemy spokój. Mam zamknięte oczy, ale wiem, że Julia, Petra i Kurt, nieco zaskoczeni naszym rytuałem, wymieniają spojrzenia.

Młody kierownik sceny kiwa na nas i kwartet Maggiore zbiera się przy drzwiach. Kiedy wchodzimy po płytkich drewnianych stopniach na podium, szmer rozmów przechodzi w aplauz. Słyszę skrzypienie starego drewna pod stopami. Spoglądam przed siebie: szare kotary po prawej przesłaniają wieczorne światło, a żyrandol rzuca blask na popiersie Brahmsa; daleko przede mną, na drugim końcu prostokątnej sali, wysokie kolumny o kobiecych kształtach i niewyraźne twarze na balkonie; długie, wąskie balkony po obu stronach są pełne, oprócz kilku miejsc w łoży reżysera. Ciemny parter jest też prawie wypełniony; w drugim rzędzie widzę matkę i ciotkę Julii, i wolne miejsce obok nich. Teraz jeszcze muszę przełotnie spojrzeć na widownię, ale wiem, że nie będę już musiał tego robić, gdy zagramy *Pstrąga*.

Zapada cisza. Przez okno w suficie wpada nieco słonecznego światła, ale o tej porze spływa go jedynie tyle, ile promieniuje z lamp. Kłaniamy się, siadamy, przez kilka sekund jeszcze raz stroimy i Piers niespodziewanie zaczyna; a teraz ja; teraz Helen; i Billy: bzczyimy jak szalone pszczoły na początku *Quartettsatz*.

Szybki, pełny akord; teraz przez chwilę Helen i ja jesteśmy spokojni, podczas gdy Piers i Billy skwierczą i mruczą ponad i poniżej. Autor doskonale nie dokończonych arcydzieł stworzył pierwszą część tak symetryczną i pełną, że nie musi długo trwać, by łączyć się z pozostałymi. Co jeszcze przyniesie dzisiejszy wieczór? Utwór prawie dokończony na życzenie patrona; a potem dzieło, które zaznaczyło koniec jego własnego, nie

dokończonego życia. Gdybyż tylko Schubert, ze swą hojnością, dożył wieku Mozarta.

Powracają pszczoły, bzyząc wściekle, i po trzech ostrych, słodkich ukłuciach jest po wszystkim. Niebiańska zwięzłość! Wstajemy i kłaniamy się, wdzięczni za aplauz. Schodzimy, wchodzimy, schodzimy, wchodzimy, a gdy po raz kolejny opuszczamy scenę, ostatnie oklaski milkną.

— Twoja matka siedzi w drugim rzędzie — mówię do Julii. — I twoja ciotka.

—Dołączę do nich po przerwie.

—Przecież stamtąd nic nie usłyszysz.

—Będę obserwować.

—Piers — odwracam się od Julii.

—Tak?

Pukam go smyczkiem w ramię, zostawiając na jego marynarce dwa równe ślady żywicy. Nie zawraca sobie głowy strzepywaniem ich, ale widzę jego typowy półuśmiech.

— Powodzenia, Michaelu — mówi. — Dobrze poszło. I będzie dobrze.

Teraz, gdy ma się rozpocząć *Pstrąg*, czuję drżenie nerwów. Opuszki palców mojej lewej dłoni zaczynają lekko drżeć, jakby dotykały drutu pod niskim napięciem.

Jednak to mija. Znów jestem sobą. Piers się usuwa. Dołączają do nas Julia i Petra. Wchodzimy, kłaniamy się, rozstawiamy się na scenie i na sali daje się słyszeć pierwszy wspaniały akord kwintetu *Pstrąg*.

## 5.11

Na górze nadal jest jasno; ktoś z przodu wachluje się złotym programem; dźwięki zlewają się w całość tak jak twarze tam, u góry; Helen teraz prowadzi, bo nie może się odwrócić i zobaczyć, co robi Julia; ale wszystko się łączy i kontynuujemy. Motorem jest kontrabas.

Kto jest tak delikatny? To wiolonczela; Billy zamknął oczy. Uszy mnie zawodzą, nie słyszę, ale wiem, że te zręczne palce panują nad utworem. Ich intonacja jest doskonała. Te palce są moje, deska, na której tańczą, jest z hebanu. Ta cisza, którą słyszę... czy właśnie na to Julia jest skazana? Pomocnicze duchy naciskają na mnie; poza zasięgiem mojego wzroku, gdzieś po prawej stronie stoi posąg Carla Källa, który niegdyś królował w moim życiu; na balkonie pani Formby siedzi tuż obok mojego dawnego nauczyciela niemieckiego. Jest tu Schubert i matka Julii. Są tu dla piękna, które my odtwarzamy.

Ułożony w jodełkę parkiet na sali zmienia się w asfalt: czarny heban, biała kość słoniowa; to parking przykryty śniegiem topniejącym w Serpentine. Zwinną rybą o srebrnej łusce wskakuje w mętną płytyczkę. Za każdym razem, gdy się wyłania, jest innego koloru: złota, miedziana, stalowoszara, srebrnoniebieska, szmaragdowa.

Rozpoczyna się ostatnia część, o której Billy mówi, że może ją zagrać tylko w szale. Nigdy za nią nie przepadałem, ale teraz błogosławię Paumgartnera, który błagał Schuberta, by ją dołączył. Jeśli ma to być ostatni utwór, jaki Julia zagra z zespołem, kilka dodatkowych minut znaczy wszystko; powtórka jest wszystkim; zatem ostatnia fraza musi się odcisnąć na zawsze; i ostatnia nuta. To śmierć, odejście; ale czy naprawdę ona już nigdy nie zagra z nikim innym? Zerkam na nią, na połyskujące zjawisko w zieleni przy fortepianie. Nie jestem agentem, a jedynie środkiem, niestałym jak złoto jej włosów, jak błękit jej oczu, jak elektryczne impulsy, które kiedyś współdziałały ze ślimakiem ucha, jak ciało, które zaatakowało samo siebie. Czy zagra jeszcze kiedyś z innymi?

Członek Zarządu Reprezentantów Towarzystwa Przyjaciół Muzyki w Wiedniu był zmarznięty, potem głodny, wreszcie chory; był człowiekiem szczęśliwym, a jednak pełnym smutku. Dziękuję wam, moi ziomkowie, za wysłuchanie, za uwagę i skupienie nad czymś, co jest jedynie opracowaniem pieśni; jeden mój koncert odbył się również pod tymi auspicjami, i pewien jestem, że byłyby i inne, gdyby starczyło czasu. Nie uciekajcie; zaklaszczcie tym muzykom, potem wychylcie toast za swoje zdrowie, dobrzy mieszczanie, i powróćcie, bo po przerwie usłyszycie coś, czego sam z

przyjemnością bym posłuchał; dzięki jelitom, włosiu i drewnu nie będzie to muzyka is niejaca jedynie w moich myślach. To był rok, gdy odwiedziłem grób Haydna; tego roku umarłem, ziemia zabrała moje przeżarte syfilisem ciało, zniszczone przez tyfus wewnętrzności, moje na próżno kochające serce, i wiele razy obróciła się wokół słońca, zanim ludzkie uszy usłyszały mój kwintet na smyczki.

Rozlega się aplauz dla *Pstraga*. Aplauz, a nawet okrzyki. I to od poważnego Wiednia. Może jacyś studenci? Gdzie ja jestem?

— Michaelu. — Reaguję na jej głos, zaniepokojony, nagłący.

Oni stoją, stoją już jakiś czas. Ja nadal siedzę. Wstaję.

Jesteśmy w korytarzu. Nie mogę tam wrócić.

— Piers, czy mógłbyś wziąć jego skrzypce? Michaelu, przytrzymaj się mojego ramienia. Musimy jeszcze raz się uklonić — mówi Julia.

Skrzypiące schody i znowu aplauz. Uśmiechy. Nie mogę utrzymać równowagi. Odwracam się i sam idę w stronę korytarza.

Obejmuje mnie jej ramię. Słyszę głos Piersa, przestraszony, przejmujący kontrolę.

— Myślę, że już wystarczy. On jest chory. Posadźmy go. Dość ukłonów. Niech klaszczą, wszystko jedno... Co się stało, Michaelu? Co się stało, na litość boską? Helen, podaj mu szklanekę wody. Petro, byłaś wspaniałą, dobra robota! Słuchajcie, potrzebujemy kogoś z zarządu, szybko. Gdzie poszedł Wilder? Jak długo trwa ta przeklęta przerwa?

## 5.12

—Łazienka... Piers... Billy... —jedynie tyle mogę wyszeptać.

—Ja cię zaprowadzę — mówi Billy. — Trzymaj się mnie, Michaelu.

—Za parę minut mi przejdzie. Przepraszam, Billy.

—Nie przepraszaj. Oddychaj głęboko. Odpręż się. To jeszcze chwilę potrwa. Helen ma odrobinę whisky.

—Nie mogę już wyjść.

—Możesz. Wyjdiesz. Nie bój się.

—Po prostu nie mogę.

Szare ściany; szare kafelki; na podłodze małe, matowe, szare płytki. Na ścianie szary metalowy kwadrat. Schylam się, by spojrzeć na swoją twarz. Wyglądam jak śmierć.

—Michaelu, nie mamy wiele czasu. Lepiej wyjdź — mówi Billy.

—Billy, proszę.

—Nikt cię do niczego nie zmusi.

Pozwalam, by mnie zaprowadzono do garderoby.

Piers i Kurt rozmawiają z kimś, kto trzyma w ręku kilka kopert i ogromną, oprawioną w skórę książkę, w której mamy się podpisać.

—*Was ist denn los, Herr Weigl, was ist denn los, Herr Tavi-stock?*

—Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, panie Wilder, czy moglibyśmy to załatwić po koncercie? Jeden z naszych kolegów, Michael Holme, tak, nasz drugi skrzypek, on gra w kwintecie... nie, to się wcześniej nie zdarzyło...

Ale się zdarzyło, dzieje się teraz, znów się wydarzy.

Zgiełk; tuzin osób. Ktoś, kogo nie znam; jakaś starsza kobieta, przyzwyczajona do kryzysów, ktoś z zarządu. Moje powtarzane, płynące nazwisko.

Siedzę na krześle. Głowę trzymam w dłoniach. Julia mówi do mnie: pociesz, wiem, ale jej słowa są dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Spoglądam na jej twarz.

—*Wenn ich die Herrschaften bitten darf...* — Herr Wilder patrzy na zegarek.

Kurt jest przerażony. Opiera głowę na szyi swojej wiolonczeli. Billy, Piers, Helen...

—*Bitte, meine Herren...* — mówi Wilder. — Panowie, proszę, gdybyście byli tak dobrzy... panie Holme... jesteśmy już trochę spóźnieni...

Ktoś podaje mi skrzypce. Co mam z nimi zrobić?

— Spójrz na to, Michaelu — Julia wskazuje na ścianę, na jeden z oprawionych manuskryptów.

Odczytuję, że to pieśń Schuberta: *Die Liebe*.

—Zagrajmy ją — mówię.

—Michaelu, to nie pora... — zaczyna.

—Zrób to — mówi Billy, zdejmując szybko nuty ze ściany i kładzie je na fortepianie.

Julia zaczyna grać obie linie, potem tylko bas i linię wokalną. Jest krótka, niesłodka, nagła, nieliryczna, podenerwowana, niepewna.

— Nastrój, Michaelu, szybko. Stań tutaj, to w twoim zakresie — odzywa się Billy.

Szybko stroję skrzypce; gram linię głosu. Nikt nam nie przeszkadza,

— Myślałem, że już z nikim nie zagrasz — mówię do niej.

—Idź teraz na scenę— odpowiada, ściskając mnie za rękę.

Dołączam do pozostałych. Mgiełka rozwiewa się w chwilę strachu.

—Moje nuty... moje nuty... nie mam nut.

—Już są na pulpicie — mówi Helen wyczerpanym głosem. Drzwi się otwierają. Spokojnie, niespiesznie, witani aplauzem, przechodzimy do półkola pięciu krzeseł na scenie.

## 5.13

Gdy gramy *Kwintet*, robi się ciemno, jakby komórki życia umierały. Niebo ponad nami się zachmurza. Ostatni przebłysk dnia gaśnie wraz z wolnym, grobowym *Triem*. Szlachetne, zadumane, smutne, pomaga znieść świat i cały strach, który może przynieść pochmurna noc.

Moje ręce poruszają się, jak poruszały się tamte ręce, pisząc nuty na papierze. Moje serce bije i zatrzymuje się, jak biło i przestawało bić tamto serce. I moje uszy. Czy on nigdy nie słyszał wykonania tego utworu?

Ukochany Schubercie, jestem zagubiony w twoim mieście. Jestem trawiony dawną miłością; dawno zakorzeniona, długo przechowywana, znów nabrała sił. Nie ma dla mnie nadziei. Jestem tam, gdzie byłem cztery tysiące nocy temu; ścieżka zarosła drzewami i krzakami jeżyn.

Zżera mnie daremny żal. Za bardzo się wszystkim przejmuję.



Z jednego miasta gasnącej mocy i upadającej muzyki wyruszam teraz do kolejnego. Musi nastąpić jakaś zmiana w moim stanie. Albo niech znajdę się w strefie, gdzie nadzieja nie jest tylko słowem. Jak mogę pragnąć czegoś, czego nie potrafię pojąć?

## 5.14

O ósmej rano widzę kartkę z faksem wsuniętą pod moje drzwi. To wiadomość z Wenecji, od przyjaciółki Julii. Oddaje nam do użytku swoje małe mieszkanie. Idę na dworzec i kupuję dwa bilety. Po powrocie dzwonię do pokoju Piersa, ale go nie zastaję. Jest za to Helen. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć o wczorajszym wieczorze, oznajmiam jej, że nie polecę z nimi do Wenecji, tylko pojedę pociągiem.

Nie chcę rozmawiać, nie chcę myśleć o wczorajszym wieczorze. Dla widowni, dla każdego po tamtej stronie sceny był on sukcesem, więcej niż sukcesem. Dla mnie — cóż, przetrwałem go; nie była to katastrofa, jaka wydarzyła się dziesięć czy jedenaście lat temu. Ale bez *Die Liebe* i bez pomocy przyjaciół nie wiem, jak bym się pozbierał. Gdy graliśmy *Kwintet smyczkowy*, a burza drugiej części przechodziła obok mnie, wpatrywałem się w miejsce na widowni, gdzie ona miała siedzieć, i znowu dostałem zawrotów głowy.

Co oni o mnie myślą? Co powie Julia, kiedy się spotkamy?

Wczoraj, zanim ktokolwiek zdążył zejść ze sceny, uciekłem; najpierw do hotelu, a potem, obawiając się, że mnie tam znajdą, na ulicę.

—Chcesz pobyć sam? — pyta Helen.

—Chcę po prostu pojechać pociągiem.

—Ale bilet dla ciebie jest już kupiony i nie można go zwrócić.

Proszę, jedź z nami, Michaelu. Usiądę obok ciebie.

—Bilety na pociąg nie są z funduszy kwartetu.

—Bilety?

—Julia też pojedzie.



—I zatrzyma się z nami w *palazzo*?

—Nie, zamieszkamy w dzielnicy SanfElena.

—Ale to przecież na końcu świata!

—Jej przyjaciółka ma wolne mieszkanie; tam się zatrzymamy.

—Michaelu, nie możesz tego zrobić. Powinniśmy trzymać się razem, nasza czwórka. Zawsze tak było. Nie możemy wzgardzić gościnnością, którą przyjęliśmy. Jestem pewna, że Tradonico przyjmie dodatkową osobę.

—Helen, mam inne plany.

Twarz Helen pąsowieje. Już ma coś powiedzieć, ale się powstrzymuje. Przygląda się sobie w lustrze i to jeszcze pogłębia jej złość.

—Byłeś w porządku, zanim znowu ją spotkałeś — stwierdza, nie patrząc na mnie.

—Nie, tak naprawdę nie byłem — odpowiadam po chwili zastanowienia.

—Cóż, powiem im o wszystkim. Zastanawiali się, jak się czujesz. Pukaliśmy do ciebie, ale nie było cię w pokoju.

—Dzięki, Helen. — Kiwam głową. — Nie wiem, co się stało. Sam muszę to sobie wyjaśnić. Nie chcę, żeby to był problem całego kwartetu.

Moja ostatnia uwaga prowokuje wściekłe spojrzenie.

—A dzisiejszy obiad? — proponuje Helen. — A kolacja? Nie ma sensu pytać?

—Nie, wychodzę.

—Masz numer telefonu i adres *palazzo*, prawda? — Helen robi głęboki wdech.

—Tak, skontaktuję się jutro wieczorem. A tu jest numer telefonu i adres tego mieszkania.

—To naprawdę jest koniec świata!

—Tak, z dala od turystów takich jak wy — dodaję z nadzieją, że trochę złagodzę napięcie.

—Turystów? — pyta Helen. — Nie zapominaj, że w Wenecji będziemy pracować. Życie nie kończy się na Musikverein.

Bez względu na to, co myślę, nie sprzeciwiam się temu głośno.

## 5.15

Idę do skrzydła administracyjnego Musikverein, aby przeprosić za wczorajszy wieczór i podpisać stronę w wielkiej księdze gości, która zawiera podpisy wszystkich wykonawców. Uprzejmy sekretarz generalny ubrany w płowy garnitur zaprasza mnie do swego biura i wskazuje fotel. Zapewnia, że takie rzeczy przytrafiają się „nawet największym artystom”; ma nadzieję, że oni sami nie zawinili w przygotowaniach; utrzymuje, że koncert był wielkim sukcesem i że *Londoner Klang* wkrótce stanie się tak sławny jak wiedeńczycy.

Portret Monteverdiego patrzy na nas z góry dość sceptycznie.

— Tyle po Wiedniu — mruczą stare usta. — Widzisz, utknałem tutaj wśród tych czarujących niemieckojęzycznych muzyków i miesiącami nie słyszę nawet słowa po włosku. Przynajmniej twój tononi może tam wrócić. Mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawił w Wenecji.

Biorąc pod uwagę, jak katastrofalna była jego własna ostatnia wyprawa do Wenecji, uważam to za nieuprzejme.

— A, to — mówi signor Monteverdi, czytając w moich myślach. — Nie, to nie było miłe. Ale ty nie podróżujesz z całym swoim ziemskim dobytkiem. A ja, cóż, cieszyłem się, że mogłem wyjechać z Mantui za wszelką cenę.

Uwagę sekretarza generalnego pochłania monitor na jego biurku. Ścisną mi dłoń i życzy powodzenia.

— Oczywiście, Tononi był tam długo po mnie — mruczy Monteverdi.

— Skąd on właściwie był? Z Brescii? Z Bolonii? Zapomniałem.

— Z Bolonii — mówię.

— *Bitte?* — pyta sekretarz generalny, odwracając głowę od ekranu.

— O nie, nic. Bardzo dziękuję. Cieszę się, że podobał się panu koncert. I dziękuję za uprzejmość. — Wychodzę, unikając wzroku Monteverdiego.

## 5.16

Po szybkim posiłku przy najbliższej budce z kiełbaskami spotykam się przed hotelem z Marią, jej mężem Markusem i ich synkiem Peterem, który jest trochę rozkapryszony. Jedziemy do Klosterneuburga po Julię. Pani McNicholl na szczęście nie ma w domu. Wychodzi Julia, ubrana w dżinsy, niesie mały koszyk z przykrywką. Bez słowa podaję jej faks od przyjaciółki i jeden z dwóch biletów. Otwiera usta, by coś powiedzieć, ale rezygnuje.

—Przeczytałem go. Mam nadzieję, że się nie gniewasz — mówię.

—Nie, oczywiście, że nie.

—I zdecydowałem podjąć natychmiastowe kroki.

—Właśnie widzę. W rezultacie i ja muszę ustalić kilka spraw.

—Cóż, lepsze to, niż się wahać. Odjeżdżamy jutro rano o siódmej trzydzięci.

—O co chodzi? — pyta Maria, która podsłuchiwała kilka ostatnich słów.

— To głupota — mówi, najwyraźniej zdenerwowana wyjaśnieniami Julii.

Julia milknie na chwilę. Na pewno zgadza się z Marią i żałuje swojej nagłej decyzji, ale dodaje:

—Mario, jeżeli ty i Markus nie macie nic przeciwko temu, przenocuję dziś u was i jutro rano pojedę taksówką na dworzec. Będę musiała powiedzieć matce, że na kilka dni zatrzymam się u was. Podam ci swój numer w Wenecji i numer mojej przyjaciółki, Jenny, też, na wszelki wypadek.

—Po co to? Przecież nie można z tobą rozmawiać — pyta Maria.

—Michael będzie mi mówił, co usłyszy, a ja odczytam z ruchu warg przynajmniej tyle, żeby zrozumieć i dać ci jakąś odpowiedź.

—Cieszę się, że nie jestem głucha — mówi Maria, instynktownie odwracając się tak, by Julia nie mogła zrozumieć tych brutalnych słów.

Z początku jestem zbyt zszokowany, by się odezwać. Ale gdy już mam coś odpowiedzieć, zmieniam zdanie. Dlaczego miałbym reagować na tę uwagę i uświadamiać ją Julii?

— Wzięłam parę talii kart — mówi Julia, wsiadając do samochodu. — Dokąd jedziemy?

—Co powiesz na Kritzensdorf? — pyta Markus.

—Gdzie?

—Kritzensdorf — powtarzam.

—Och, dobrze! — odpowiada Julia, sięgając do koszyka i wręczając Peterowi czekoladę.

—*Das Weinen hatgeholfen* — mówi Peter nieco spekulacyjnie, niby do siebie, jakby wypróbując międzynarodowe techniki negocjacyjne.

— O co ci chodzi, Peter? — pytam.

— Był bardzo niegrzeczny — tłumaczy Maria. — Miał zostać u kolegi na cały dzień, ale nalegał i płakał, aż zmęczeni ulegliśmy. Złe przygotowanie. Nie masz pojęcia, jakie wyczerpujące potrafią być dzieci, kompletnie wyczerpujące. Niestety, ten, kto przegra w brydża, będzie musiał się nim zajmować.

Peter wygląda przez okno i zaczyna nucić.

—Najwyraźniej dostał pożyteczną nauzkę — mówi Markus.

—Pożyteczną dla kogo? — pyta Maria.

Jest piękny dzień i jego kojąca świeżość wkrótce poprawia nam nastroje. Wszędzie pełno kasztanów i bżów, gdzieniegdzie kwitną akacje, lipy, platan, a nawet wierzby. Trzymamy się z Julią za ręce. Gdybyśmy byli sami, zapytałaby mnie o wczorajszy wieczór, czułaby, że powinna to zrobić, więc cieszę się, że mamy towarzystwo, zwłaszcza że nie jest to nasz ostatni wspólny dzień, a pierwszy z kilku.

Wszystkie niepokoje rozwiewają się w słonecznym świetle. Parkujemy samochód, kupujemy lody dla Petera i schodzimy na porośniętą trawą brzeg Dunaju. Rozkładamy obrus, przebieramy się w stroje kąpielowe; Julia ma jaskrawoczerwony kostium pożyczony od Marii, ja nakładam luźne szorty koloru khaki. Karty, jedzenie, aparat, papierowe serwetki, balsam do opalania i gazeta. Ani odrobiny muzyki. Przepływa wielki biały parowiec. Już jestem w rzece. Wzdłuż brzegu, szczekając, biegnie pies. Wróbel napusza piórka w piaszczystym dole. Peter z motylkami na ramionach wędruje ku kamiennej krawędzi.

— Michaelu, uważaj na niego, niech tylko zmoczy nogi — krzyczy Maria.

Peter grozi, że wypuści się dalej, ale przy takim szybkim prądzie nie jest to bezpieczne, więc mimo płaczu i protestów wyciągam go na brzeg.

—Tym razem płacz nie pomógł — nie mogę się powstrzymać, żeby tego nie powiedzieć.

—Patrz. *Fukik!* — Markus wskazuje do góry, by odwrócić uwagę dziecka.

—*Flugzeug!* — mówi Peter z obrzydzeniem, nie chcąc wracać do dziecięcych zdrobnień, ale przestaje płakać.

—Spójrz na tego śmiesznego ptaszka — wtrąca Maria. — Teraz zagramy w brydża, a ty będziesz bardzo grzeczny i bardzo cichy, kiedy będziemy rozmawiać. Potem, kiedy przestaniemy rozmawiać, jedno z nas zagra z tobą przed następnym rozdaniem. Zgoda? Patrz, to kos.

—*Amsel, Drossel, Fink und Star* — śpiewa uszczęśliwiony Peter.

Julia spogląda na niego, na kosa, na Dunaj i opiera się na łokciach; wygląda tak, że nie sposób jej się oprzeć, i chyba przez chwilę jest szczęśliwa w swoim świecie.

## 5.17

O siódmej dwadzieścia siedem następnego ranka Julia wbiega na peron z walizką i małą torbą podróżną. Macham do niej gorączkowo. Pociąg odjeżdża o siódmej trzydzieści.

Jesteśmy sami w przedziale.

—Dzień dobry — witam ją formalnie.

—Dzień dobry.

—Taki masz nawyk?

—Zaspałam. — Z trudem łapie oddech. — Popatrz, jesteśmy sami. Na zewnątrz pociąg jest pokryty graffiti; to przypomina nowojorskie metro, nie Wiedeń. — Julia sprawdza różne włączniki światła, gałki regulujące ogrzewanie i głośniki. — Przyjemnie tu.

—Szarpnąłem się na bilety w pierwszej klasie. Mam nadzieję, że ta podróż okaże się warta dziesięciu lat oczekiwania.

—Michaelu, nie złość się, ale...

—Nie.

—Proszę.

—Nie.

—Przynajmniej pozwól mi zapłacić za siebie. Nie stać cię na to.

— Ja stawiam, Julio. Zrefundują mi bilet lotniczy. Poza tym ty załatwiłaś nam mieszkanie.

Usadawia się przy oknie naprzeciwko mnie i po chwili wahania mówi:

—Miałam niepokojący sen. Pływałam w Dunaju, a mój ojciec był na tratwie z całą stertą oprawionych w skórę książek, które spadały do wody, a on desperacko usiłował je ratować. Próbowałam do niego podpłynąć, ale wciąż się oddalał. Chciałam zawołać o pomoc, ale nie mogłam. To było naprawdę straszne. Wiedziałam, że to sen, a jednak... cóż, to prawdopodobnie nic nie znaczy. Zobaczę, czy będzie to dobry dzień. — Dwa razy klaszcze w dłonie głośno przy lewym uchu, potem powtarza to przy prawym.

—Co ty wyprawiasz?

—To taki sprawdzian słuchu. Myślę, że to będzie dzień lepszy niż zwykle. Tak się dziś rano spieszyłam, że zapomniałam to zrobić. Ale oczywiście odgłos pociągu może mnie mylić.

—Jestem taki śpiący — mówię. — Całe to napięcie i wczorajszy dzień na słońcu...

—Możesz się położyć. Czy będziemy tu sami przez całą podróż?

—Nie. Tylko do Villach. Na drzwiach jest tabliczka z informacją, że wsiadają tam cztery osoby. Będzie pełen przedział.

—To jeszcze dużo czasu.

—Cztery godziny. Jak tam twój włoski?

—Kiepski, a teraz, kiedy nie słyszę, prawdopodobnie żaloszny.

—Cóż, mój nie istnieje. Co zrobimy?

—Poradzimy sobie — uśmiecha się Julia.

O czym myśli? Tyle ma za sobą, a jednak nie wygląda na nieszczęśliwą. Nie powinna być ze mną, a jest. Nie powinna być szczęśliwa, ale jest...

—Lepiej przejrzę rozmówki — mówię. — „Znam dobrą dyskotekę”. „Czy mógłby pan sprawdzić ciśnienie w oponach?” „Czy tędy dojadę do centrum miasta?”

—Co powiedziałaś? — pyta Julia.

—„Czy tędy dojadę do centrum miasta?” Jak byś to powiedziała po włosku?

—Michaelu, kiedy tak nagle zmieniasz temat, kompletnie się gubię. Poza tym, akurat tego zdania na pewno nie będziemy potrzebowali w Wenecji.

—Tylko sprawdzam. Więc?

—Coś tam, coś tam *nel centro cittd*. Porozmawiajmy o czymś ważniejszym.

—O czym chcesz rozmawiać?

—Michaelu, co się stało?

—Julio, proszę...

—Dlaczego?

—Po prostu nie chcę...

—Ale to było tak samo jak wtedy. Nigdy o tym nie rozmawiałaś, nigdy nie wyjaśniłaś...

—Och, Julio.

—Tak bardzo było mi żal. Oczywiście pomyślałam wtedy o twoim załamaniu. Co miałam pomyśleć?

—To nie było załamanie.

—Nie możesz nazywać rzeczy po imieniu? — woła Julia. Potem, już łagodniej, dodaje: — Zdumiewające, jak to opanowałaś. Wszyscy mówili, że *Kwintet smyczkowy* był wprost cudowny, nawet moja matka. Gdybym tylko mogła go usłyszeć.

Przez chwilę nic nie mówimy.

—To, co zagrałaś, uratowało mnie — wyjaśniam.

—Naprawdę, Michaelu?



—Chcę ci podziękować za *Die Liebe*. Nigdy wcześniej tego nie słyszałem.

—Ani ja. Nie bardzo mi się to podobało. Dość desperacki środek ratunku.

—Ale skuteczny. — Biorę jej dłoń w swoją. — Czy twoja matka zmarła, że nie usiadłaś obok niej podczas przerwy?

—Cóż, nie można było inaczej. Naprawdę zdenerwowała się, że nie spędzę z nią tych kilku dni.

—Narysujmy pod Wiedniem kreskę — mówię. — Podwójną kreskę.

—Mówisz tak, jakby to była wina miasta — zauważa Julia, wysuwając swoją dłoń z mojej. — Jakbyś nienawidził tego miejsca.

—To nieprawda. Może trudno ci w to uwierzyć, ale kocham je bardziej, niż nienawidzę. Ale dzieje się tam ze mną coś, czego nie potrafię wytłumaczyć.

Wśród brutalnych trzasków głośnika słyszę słowa powitania po niemiecku, a potem życzenia miłej podróży po angielsku. Na Julii nie robi to wrażenia. Myślę o uwadze Marii.

—Julio, powiedz, czy bycie niesłyszącą ma jakieś zalety? Myślę, że na przykład można unikać rozmów towarzyskich.

—Przecież ja nie mogę ich unikać, przynajmniej w otoczeniu osób, które nie wiedzą, że jestem głucha. A większość ludzi o tym nie wie.

—Ale ze mnie głupiec.

—Ale z ciebie kto? — pyta Julia rozbawiona.

—Głupio z mojej strony. — Uśmiecha się. — Wiesz, kiedy przestroilem swoje skrzypce o ton, by zagrać tę *Fugę* Bacha, dopóki nie przyzwyczyłem się do czytania nut w określony sposób, moje uszy się buntowały. Musiałem nosić zatyczki do uszu, żeby się ogłuszyć. Ale to były zupełnie wyjątkowe okoliczności.

—Jest kilka zalet — mówi Julia. — W hotelach mogę się cieszyć pokojami z widokiem na ulicę, nie martwiąc się, że obudzi mnie hałas. A kiedy gram, nie słyszę, jak ludzie kaszlą albo rozwijają z szeleszczących papierków pastylki do ssania.

—To prawda — uśmiecham się.

—Nie słyszę telefonów komórkowych. Żadnych trzasków składanych okularów po przeczytaniu programu. O tak, i nie muszę już słuchać, jak nucisz, dzięki Bogu.

—Przekonałaś mnie — mówię ze śmiechem.

—Ale nie słyszę też, jak deszcz uderza o szyby.

Gdybym jej nie znał, nie wyczułbym w jej głosie, jak bardzo jest bolesna ta trywialna strata. Rzuciła tę uwagę prawie od niechcenia.

—To smutne — przyznaję. — Ale gdy graliśmy, krople deszczu nie uderzały o szyby Brahms-Saal... Przeszkadzała ci burza kilka nocy temu? Ja nie mogłem zasnąć.

—Nie — mówi Julia jakby z żalem. — Wiesz, jest jedna wielka zaleta bycia głuchym muzykiem, ale powiem ci o tym innym razem.

—Dlaczego nie teraz? — proszę. Ale Julia milczy, kierując wzrok w stronę okna.

Po obu stronach pociągu ciągną się winnice; migają maki porastające kawałek nieużytków. Gruby mężczyzna w podkoszulce idzie leśną ścieżką wzdłuż torów. Różowy krzak głogu przypomina mi Londyn i park w pobliżu mojego domu.

—Czy masz kłopoty z resztą zespołu? — pyta po chwili.

—Nie wiem. Może powinniśmy byli zamieszkać z nimi w Palazzo Tradonico...

—Tak jest lepiej.

—O, tak... Chodziło mi o to, że po tym, co wydarzyło się w Wiedniu... z poczucia obowiązku, rozumiesz... ale najbardziej chcę być z tobą sam.

—Czy będziecie mieli dużo prób?

—Nie, nie tak dużo. Gramy stary repertuar. Pierwszy występ to przyjęcie urodzinowe wydawane przez jakąś Amerykankę, panią Wessen. Zajął całe pierwsze piętro, Piers nazwał je *piano* coś tam...

—*Piano nobile*.

—Właśnie. Organizuje tam przyjęcia i próbuje przyciągnąć wenecką socjetę; Helen mówi, że oni są jeszcze bardziej łąsi na darmowe okazje niż londyńczycy.

—Co ona robi? Nie zrozumiałam.

—Zaprasza wszystkich znaczących ludzi w Wenecji.

—A jak wy się tam znaleźliście?

—Erica ją zna. Będziemy występować w Scuola Grandę di San Rocco, o czym ci już mówiłem, i jeszcze gdzieś poza Wenecją, Erica przekonała ją, że z nazwą Maggiore jesteśmy idealni na weneckie przyjęcie, a przy tym pani Wessen musi jedynie opłacić nasze honoraria, bez kosztów podróży. Dla nas to też z pewnością korzystny układ. Wiedeń pomimo wszystko był finansowym niewypałem.

Po prawej stronie widać łańcuch niskich niebieskich wzgórz pod błękitnym niebem. Mijamy je powoli, otoczeni stromymi, zielonymi brzegami doliny, gdzie wszystko jest ładnie przemieszane: domki, pola, wzgórza, chmury, konie, krowy, krzewy bzu i złotokapu. To wszystko jest bardzo austriackie, bardzo piękne. Jadę tym pociągiem o dziesięć lat za późno.

Julia zasypia. Przez chwilę przyglądam się jej, szczęśliwy, że po prostu jest, potem wstaję i wychodzę na korytarz. Pogodny Amerykanin i jego żona, oboje koło sześćdziesiątki, stoją przy oknie i rozmawiają. Ona jest w żółtej sukience i ma torebkę z wzorkiem w jagody; on nosi zieloną muszkę, pogniecione spodnie khaki i ma głęboki głos palacza cygar.

—Elizabeth, spójrz, jakie to wszystko zorganizowane!

—Strasznie mnie boli żołądek — mówi ona.

—Niedobrze ci? W takim razie usiądź i odpocznij, Elizabeth. Ona odchodzi; on rozgląda się i uznając, że mówię po angielsku, kontynuuje:

—No, no, no, ależ tu pięknie, i ludzie tu mieszkają. Uwielbiam wieść. Dla mnie to... wyobrażam sobie tych ludzi... to nacjonalizm... jeśli coś gdzieś leży, to sprzątaj. W Nowym Jorku, w New Jersey wszędzie pełno starych lodówek, porzuconych samochodów, gdzie tu są puszki po piwie? Gdzie napisy na ścianach?

—Cóż, trochę tego jest na zewnątrz pociągu — wtrącam.

Czyni gest wielkodusznego przebaczenia.

—Miałem gospodarstwo — mówi sam od siebie — ale je sprzedałem. Potrafię siedzieć na ganku z butelką piwa w dłoni i po prostu obserwować zachód słońca, ale brakowało mi delikatesów i sklepu tytoniowego. To był dla mnie problem.

—To prawda — mówię, nagle przepełniony zachwytem bez wyraźnego powodu.

Za zakrętem pociąg z hałasem wjeżdża do tunelu. Dolina się poszerza; chmury znikają. Wszystko kwitnie: w pełni rozwinięte kasztanowce, pojedyncze maki rozrzucone na polach, a potem całe polećka maków błyszczące czerwienią z oddali, fioletowy łubin, białe polne kwiaty wszelkich rodzajów i bez w każdym odcieniu — od białego po ciemny fiolet. Bardzo często pojawiają się słupy wysokiego napięcia, jak jakieś egzotyczne drzewa iglaste; a młode cielaki o świeżym, jedwabistym futrze piją wodę z szerokiego strumienia.

Wracam do przedziału. Julia już nie śpi. Nie rozmawiamy wiele, ale co chwilę pokazujemy sobie za oknem coś, czym chcemy się podzielić.

—Julio, co jest tą wielką zaletą niesłyszenia? — pytam po chwili.

—Wciąż się nad tym zastanawiasz?

—Trochę.

—Pewnie się domyślasz, jeśli pamiętasz, jak zagrałam *Pstrąga*.

—Kłopot w tym, że nie wiem, o czym mówisz.

—Cóż, jest tak — tłumaczy Julia. — Kiedy idę na koncert albo słucham nagrania, jedyne, co z tego mam, to ogólne wrażenie tego, co się dzieje. Wszystkie subtelności gry innych ludzi są dla mnie niedostępne. Więc kiedy mam zagrać coś sama, zwłaszcza coś, czego wcześniej nie słyszałam, po prostu muszę być oryginalna... oczywiście, sama oryginalność nie wystarczy. Tego nie twierdzę. Ale przynajmniej od tego można zacząć. *Pstrąga* słyszałam dość często, oczywiście zanim wszystko się popsuło, i grałam go. Ale jeśli się czegoś nie ćwiczy, to się zapomina. Wielu muzyków, gdy się ich poprosi o zagranie jakiegoś utworu, idzie kupić płytę kompaktową, zanim spojrzą na partyturę. Ja nie mam takiej opcji. A raczej jest mi ona nieprzydatna.

Kiwam głową. Znów zatapiamy się we własnych myślach. Myślałem, że powie coś o cierpieniu, które jest drogą do zrozumienia świata. A jednak, co dziwne, cieszę się, że powiedziała właśnie to co powiedziała.

Klagenfurt. Duże jezioro. Villach. Nikt tu nie wsiada. Wciąż mamy przedział tylko dla siebie. Granica. Napuchnięty, niezadowolony mężczy-

zna w szarym ubraniu miga odznaką i woła do nas „*Passaporto!*” Patrzę na niego i jednocześnie dostrzegam, że Julia przygląda mi się, jakby chciała przewidzieć moją reakcję.

— Z przyjemnością, *signor* — mruczę słodko.

Widać kredowe klify, wysokie skały, szerokie osypiska kamieni na niższych zboczach i mlecznoniebieski warkocz szerokiego, pra wie wyschniętego koryta rzeki, a na brzegu fabrykę cementu.

Chociaż jesteśmy sami, nie całujemy się; jesteśmy wręcz nie śmiali. Podróż jest właśnie tym, czym miała być. Robi się ciepło i czuję się jak ospała pszczoła.

Jesteśmy już w Veneto. Mijamy położone w cieniu olbrzymiej góry domy o czerwonych dachach i terakotowych ścianach w kolorze ochry. Wzdłuż torów rosną krzaki czarnego bzu, a ogrody są pełne kwitnących irysów i róż.

Jedziemy przez groble, wzdłuż szosy, ponad szarzieloną wodą laguny dostrzegamy już coraz wyraźniejsze piękne wieże, kopuły i fasady. Jesteśmy tu wreszcie, nieważne, że o kilka lat za późno. Stoimy we dwoje na korytarzu i wpatrujemy się w wodę. Wymawiam cicho jej imię, a ona, jakby to czując — a może to przypadek — wymawia moje.

## CZEŚĆ SZÓSTA

### 6.1

Wpół do piątej po południu w zwykły dzień tygodnia to żadna magiczna pora. Stoję na schodach dworca, prawie oparty na ramieniu Julii, poddając się zapachom i dźwiękom Wenecji oraz przyprawiającemu o zawrót głowy widokowi.

Terminal wyrzucił nas wraz z setkami innych przybyszów. Jest nas dość dużo, mimo że nie jest to szczyt sezonu turystycznego.

—Więc to jest Canale Grande?

—Tak, właśnie — mówi Julia z lekkim uśmiechem.

—Czy nie powinniśmy przybyć tu od strony morza?

—Morza?

—I o zachodzie słońca?

—Nie.

—Nie?

—Nie.

Milknę. Vaporetto miękko posuwa się do przodu, objijając się o przystanki; pasażerowie wsiadają i wysiadają. Otacza nas żywiołowa, nieprzerwana fala dźwięków.

Bryza łagodzi upalny dzień. Nad mętną turkusową wodą przelatuje mewka, szybka i pobłyskująca.

Mijamy wznoszące się po obu stronach kanału fantastyczne pałace i kościoły. Ogarniam wzrokiem kasyna, drogowskaz prowadzący do Ghetta, cudowny ogród z wistarią pnącą się na trejażu. Obok przepływa mała łódka robocza z dwojgiem młodych mężczyzn w pomarańczowych koszulkach vaporetto. Przy Cafe d'Oro wsiada elegancka starsza kobieta w naszyjniku z pereł, a za nią następna, pchająca wózek z zakupami. Zielone wodorosty sięgają kamiennych stopni i oblepiają pale do kotwiczenia.

— Jak wyglądałaby Wenecja bez geranium? — mówi Julia, patrząc w górę.

Pochyłam się i całuję ją, a ona odwzajemnia pocałunek, może nie namiętnie, ale swobodnie. Jestem rozradowany i natychmiast zaczynam paplać.

— Gdzie się zatrzymałaś, kiedy byłaś tu ostatnim razem?

—W schronisku młodzieżowym. Nie miałyśmy z Marią dużo pieniędzy.

—Mam nadzieję, że gospościa twojej przyjaciółki mnie zrozumiała. Gdy odebrała telefon, po prostu przeczytałem, co mi napisałaś. Ale jeśli nikt po nas nie wyjdzie...

— Zaczniemy się tym martwić, jeśli tak będzie.

— Czy nasze bagaże są bezpieczne? — pytam. Futerał ze skrzypcami leży pod ławką, z paskiem owiniętym wokół mojej nogi.

—Dokąd ktoś by miał z nimi uciec?

—Patrz, gondola!

— Tak — mówi Julia cierpliwie, biorąc mnie za rękę. — Widzieliśmy ich już tuzin.

—Musimy popłynąć gondolą.

—Michaelu, nie słyszę własnych myśli.

— Cóż, nie musisz na mnie patrzeć — odpowiadam i zatapiam się w przewodniku.

Kamienny Ponte Rialto, drewniany most przy Akademii, wspaniała szara kopuła kościoła Santa Maria della Salute, kolumny i dzwonnica bazyliki Świętego Marka, różowo-białe wykończenie Pałacu Dożów przesuwają się kolejno przed i nad nami. Wszystko jest tak bajeczne, tak przewidywalne, tak cudowne, wszystko dzieje się tak szybko, tak zdumiewająco, że jest w tym coś niepokojącego, prawie żarłocznego. Jak to dobrze, że jesteśmy w otwartym basenie laguny, nie przytłoczeni cudownością.

Po prawej stronie ze zdumieniem rozpoznaję położony na wyspie kościół San Giorgio Maggiore.

— Daleko jeszcze do Sanfeleny? — pytam.

—Tylko kilka przystanków.



—Gdy powiedziałem Helen, gdzie się zatrzymam, wyglądała na zszokowaną, jakby to było zesłanie do Clapham.

—Zesłany na Świętą Helenę.

—Właśnie.

—Lubię SanfElenę — mówi Julia. — Kiedyś zawędrowałam tam przez pomyłkę. Właściwie to jest przedmieście, pełno tam zieleni, spacerujących rodzin i psów. Oczywiście żadnych samochodów i żadnych turystów poza tymi lubiącymi kartograficzne wyzwania, jak Maria i ja. A w pobliżu jest coś, co chcę ci pokazać.

—Co to takiego?

—Zobaczysz.

—Co to jest, zwierzę, roślina czy minerał?

Julia przez chwilę stara się zrozumieć, co powiedziałem, wreszcie mówi:

—Zwierzę, ale prawdopodobnie zrobione z rośliny i minerału.

—To tak jak my wszyscy.

—Tak, to prawda.

—Mogłoby być przyjemnie zatrzymać się w *palazzo*, nie uważasz? Może kiedyś jeszcze będziemy mieli taką okazję? Gdyby nie ty, właśnie leżałbym w wannie i pił szampana.

—Raczej *prosecco*.

—Jak uważasz.

—A gdzie właściwie jest to twoje *palazzo*? — pyta Julia

—Skąd mam wiedzieć? Nie znam Wenecji.

Julia zniecierpliwiona sięga po przewodnik.

—A tak, Palazzo Tradonico. W pobliżu San Polo.

—Cokolwiek to jest.

— To największe *campo* w Wenecji, jeśli nie liczyć placu Świętego Marka — to jedyne *campo* o nazwie *piazza*.

—To dla mnie za mądre.

—Jesteś po prostu śpiący. Cały dzień chce ci się spać.

—To ty przespałaś większość najpiękniejszej podróży na świecie.

—Zdrzemnęłam się tylko na dwadzieścia minut.

—Nie sędzę, bym wybrał się gdzieś bez ciebie. Wenecja jest zbyt skomplikowana.

—Na pewno się wybierzesz. Nie będę jeździła na wasze próby. Dam ci wskazówkę, Michaelu. Nazywaj jedną stronę Canale Grande Marco, a drugą Polo i pamiętaj, czy coś znajduje się po stronie Marco czy Polo. Wtedy będziesz wiedział, czy musisz przepłynąć Canale, czy nie, żeby się tam dostać.

—Dlaczego nie przyjdiesz na nasze próby? Mamy ich tylko parę, trzy czy cztery.

—Po Wiedniu będzie wam lepiej grać beze mnie. I bez mojego przypatrywania się.

Potrząsam głową.

—Wiesz, co to za budynek? — pyta Julia. — Ten z białą fasadą...

—Naprawdę nie jestem ciekawy — mówię ostro.

—To kościół Vivaldiego.

—Och — żałuję swojego wybuchu.

—Nie powinnam była wspominać Wiednia — mówi. — Postaram się więcej tego nie robić.

—To ty masz prawdziwy problem, a ja tylko narzekam.

—To, co ci się przydarzyło, było bardzo prawdziwe — stwierdza Julia.

—Nie jesteś szczęśliwa, że cię tutaj zabrałem? — pytam.

—Dobrze mi z tobą — odpowiada. — To ja sama siebie tu przywizłam. — Patrzy mi w oczy, a ja nagle czuję taką radość, że mógłbym walić w bębny! Dziesięć dni z nią, dziesięć dni, i do tego tutaj.

—Verdi. Wagner — mówi Julia po chwili. Wszystko wokół nas zrobiło się niebieskie i przestronne, a na brzegu zielone. Śledzę jej wzrok biegnący ku popiersiom na słupach w parku.

—Wysiadamy na następnym przystanku.

Stoimy przy relingu, patrząc na las sosnowy, który okala przystań; zastanawiam się, co nam przyniesie Sant'Elena.

## 6.2

Signora Mariani wita nas zdyszana, jakby właśnie zauważyła *vaporetto* i urwała w pół zdania, by przybiec na metalową tratwę, która spełnia funkcję przystanku. Jest siwa, mała i bardzo miła. Myślę, że okazałaby się plotkarką, gdyby którekolwiek z nas mogło z nią plotkować. Gdy idziemy przez sosnowy lasek na właściwą Sant Elene, pozdrawia parę ciekawskich osób wybuchami słów, z których rozumiem jedynie *amici di Signora Fortichiari*. Kłania się sklepikarzowi, pilnuje, żebym nie wdepnął w psią kupę, i od czasu do czasu nieprzekonująco proponuje, że pomoże nam nieść bagaże. Prowadzi nas dość szeroką ulicą do małego podwórka z furtką obrośniętą wistarią. Wyciąga ogromny pęk kluczy i pokazuje nam, jak ich używać przy wejściu na podwórko, przy wejściu do budynku i po wspinaczkę po stromych schodach na trzecie piętro, przy drzwiach do mieszkania.

To piękne i proste wnętrze z drewnianymi podłogami i widokiem na ulicę i ogród, gdzie wysoko nad małą magnolią wiszą na linkach ubrania i bielizna w różnych kolorach, łącznie z bordową bielizną z falbankami należąca, sądząc ze źródła linki, do sąsiadki mieszkającej piętro niżej.

Spoglądamy na siebie zachwyceni. *Signora* Mariani wybuchła konspiracyjnym śmiechem, a potem naglezamyka okiennice. Wskazuje sypialnię z czystą białą pościelą, telefon z automatyczną sekretarką, pralkę, gaśnicę, wazon żółtych kwiatów, a obok niego list na kremowym papierze od *signory* Fortichiari. Później znika w mgnieniu oka i już po chwili słychać trzaśnięcie drzwi i oburzony głos na schodach.

— Przestań, Michaelu — śmieje się Julia, kiedy ciągnę ją do sypialni.

Kąsam ją w ucho.

—Mmm, z meszkiem.

—Nie, Michaelu. Pozwól mi przeczytać kartkę od Jenny.

—Później.

Leżymy na łóżku obok siebie, nadal prawie całkowicie ubrani. Odpowiada mi każdy sposób, w jaki chce się kochać. Dziś pragnie, żeby

wszystko toczyło się powoli, nie narzuca tempa. To dlatego, że tak dużo czasu minęło od ostatniego razu. Tyle się w tym okresie wydarzyło, tyle niespodziewanych przykrości i nadziei, że trzymanie jej znów w ramionach jest czymś, czego ja też nie chcę przeżyć zbyt szybko.

Kusi mnie, żeby otworzyć okiennice, ale Julia kręci głową, kiedy to proponuję. Zadowolamy się światłem, które wpada z innych pokojów. Zdejmuję jej bluzkę i przyciskam do niej swoją twarz. Rano nie miałem czasu się ogolić i Julia trochę narzeka.

— Twoje usta mogłyby być delikatniejsze — mówi.

Wprawdzie nie może odczytać moich słów, ale wyczuwa moje zamiary dotykiem, może powiedzieć głośno, co czuje, co sama zamierza zrobić i co pragnie, żebym ja zrobił. Z początku wydaje się nieśmiała, ale jednak jest śmielsza niż kiedykolwiek wcześniej — jak gdyby ta podróż i ten nieznamy pokój wyzwoliły ją z zahamowań.

Muszę jeszcze wstać, by poszperać w swojej nie rozpakowanej torbie, ale nawet to nie zakłóca rytmu naszego podniecenia. Julia opiera głowę na ramieniu i patrzy na mnie, a kiedy wracam, jest tak, jakby żadna wątpliwość ani myśl nie zmaciły naszej ekstazy.

Potem przynoszę jej list. Siada na brzegu łóżka; włączam światło. Ma poważną minę. Jenny jest uwiązana w domu, bo jej dzieci mają odrę. Nie chce, żeby ktokolwiek tam przychodził, ale proponuje, żeby Julia zjadła z nią pojutrze obiad w Cipriani, razem ze mną, jeśli mam ochotę dołączyć. Zapewniono ją, że ona sama nie może nikogo zarazić.

— Miałbyś ochotę, Michaelu? — pyta Julia z pewnym niepokojem.

— Nie, wolałbym nie — odpowiadam. — I ty też tak wolisz. Nadal myślałem o tym, jak się przed chwilą kochaliśmy, i wiadomość o odrze jest dziwnym intruzem.

Julia kiwa głową.

— Jenny jest moją bardzo dobrą przyjaciółką z czasów szkolnych. Wyszła za weneccjanina jakieś pięć lat temu, a teraz ma dwoje dzieci, dziewczynkę i chłopczyka.

— Jenny z tłustymi czarnymi włosami?

— Tak, ta, która wyrosła na piękność.

—Więc lepiej, żeby jej nie spotykał — mówię, głaszcząc jej szyję i przesuwając delikatnie palce ku jej plecom... — Ciekawe, czy pozostali już przyjechali. Mieli wylądować o szóstej. Jak się dostaną z lotniska na miejsce?

—Łodzią. Michaelu, mam nadzieję, że nie planujesz spotkać się z nimi dziś wieczorem?

— Nie. Ale obiecałem, że do nich zadzwonię. Jutro po południu mamy próbę.

— Co robimy?

— Jestem w twoich rękach.

— Ramionach.

— Ściśle mówiąc. Wyglądasz tak apetycznie. — Julia wydaje się niezadowolona z tych słów. — Skąd ten grymas? Co zrozumiałaś?

—Apatycznie.

—Nie, apetycznie. Przez „e”.

—Tak się nie mówi o ludziach.

—A ja tak mówię... A więc, co robimy dziś wieczorem?

— Moglibyśmy pospacerować po okolicy — proponuje Julia. — Na to właśnie mam ochotę. Mamy jeszcze dosyć czasu.

— Nie dosyć. Wcale nie dosyć.

— Wiesz — mówi, odwracając się i całując mnie w czoło — nigdy razem nie tańczyliśmy. Poszukamy miejsca, gdzie moglibyśmy potańczyć?

— O, nie. Wiesz przecież, że nie umiem. Zupełnie brak mi koordynacji, jeśli chodzi o taniec. Czułbym się niezręcznie, ty czułabyś się niezręcznie i popsułoby to nasz pierwszy wieczór. Chodźmy po prostu na spacer, jak proponowałaś.

Bierzemy prysznic, ubieramy się i wychodzimy. Zmierzcha. W oddali, na Lido, świeci do nas ogromny neon Campari. Boje na wodzie płoną jak świece. Gdy zapada noc, milkniemy. Przez chwilę idziemy wzdłuż nabrzeża, potem czekamy, aż przyplynie następne *vaporetto* i zabierze nas, dokąd zechce.

### 6.3

Wysiadamy parę przystanków przed placem Świętego Marka i zatrzymujemy się na chwilę przed kościołem La Pietà, znanym z koncertów muzyki Vivaldiego. Moje skrzypce na pewno często tu grały. W ciemnej wodzie odbija się oświetlona na biało fasada San Giorgio Maggiore. W tym miejscu narodził się nasz kwartet.

Uzgadniamy, że wrócimy tu jutro, kiedy La Pietà, mamy nadzieję, będzie otwarta. Idziemy na ogromny plac Świętego Marka, a potem spacerujemy małymi bocznymi uliczkami. Julia mówi, że kiedy była tu ostatnim razem, nie zauważyła, że w każdej uliczce pali się w nocy przynajmniej jedno światło. To znaczy, że jeśli chcę coś powiedzieć, zawsze mogę to zrobić. Cieszę się jednak, że nie muszę dużo mówić.

Wracamy na szeroki deptak przylegający do laguny. Docierają do nas, a raczej do mnie, głosy w wielu językach. Nocą, kiedy widać niewiele, dźwięk powinien być najważniejszy. Ale czy ona może słyszeć plusk wody na kamieniach, pisk dziecięcego balonika, szum gołębich skrzydeł, stuk wysokich obcasów na ulicy? Być może głęboki warkot silnika *vaporetto*; może nawet tego nie.

Spacerujemy, trzymając się za ręce. Cytrynowy zapach miesza się z na pół świeżym, na pół słonawym zapachem miasta. Pytam ją, czy jest głodna, ale zaprzecza. A może coś do picia? Tak. Kieliszek *prosecco* w barze. Jest niespokojna, proponuje miejsce na Giudecca. Jestem szczęśliwy, kiedy prowadzi mnie na lądzie, i jeszcze szczęśliwszy, kiedy niesie nas woda.

Bar jest jaskrawo oświetlony. Stolik obok nas zajmuje dwóch francuskich biznesmenów z dzieckiem w wózku, telefonem komórkowym, paczką papierosów i jakimiś czasopismami. Para starszych Amerykanów przygląda się im z ciekawością, zamawiając bezkofeinowe espresso. Kierownik w szarym garniturze krąży, nadzoruje, pomaga, nakłada i zdejmuje okulary, zabiera koszycki z chlebem, które mu się nie podobają. Przynoszą nam *prosecco*, sączymy je i rozmawiamy o niczym, o tym, czy będzie padać i co zrobimy, jeśli zacznie. Mój kwartet i jej rodzina nigdy nie istniały.

Łagodnie wyglądająca kobieta, Angielka, sądząc po akcencie, siedząca przy stoliku za nami, rozmawia z przyjaciółką: „To ten tłum z Tradonico, wiesz...”, zaczyna. Przysłuchuję się, zaintrygowany nazwą hotelu. „Tego się można po nich spodziewać. Oni wykorzystują kobiety do prezentacji tego, co potrafią robić, ubrań, które projektują, biżuterii, którą chcą sprzedać; wykorzystują kobiety jako tło muzyczne... A co się tyczy książki, powiem ci, co myślę: to artykuł z gazety, ale na pewno nie literatura... Nie zostałam zaproszona, ale nie poszłabym, nawet gdybym była... Rzucają orzeszek, a małpy tańczą... Pogardzam nimi”.

Julia przygląda mi się zaciekawiona, ale się nie odwraca.

— Nie warto — mówię cicho, zaskoczony tymi ostrymi uwagami. — Ta kobieta mówi coś o Tradonico. Wydaje mi się, że ma na myśli ludzi z *palazzo*. Dlaczego przyszliśmy właśnie tutaj?

— Byliśmy tu kiedyś z Marią. Uznałam, że to olśniewające miejsce, i chciałam zobaczyć, czy się zmieniło.

Prosimy o rachunek i płacimy, a raczej płaci Julia.

— Ty ziewasz, Michaelu — mówi, gdy czekamy na *vaporetto*.

— Muszę być bardziej zmęczony, niż mi się zdawało. A właściwie to jestem głodny.

Reszta wieczoru przebiega bez wstrząsów i szczęśliwie: kolacja w trattorii, spacer wąskimi uliczkami, późny drink w barze. Jest kobietą, którą kocham, i jesteśmy w Wenecji, więc zakładam, że to właśnie jest szczęście. Płyniemy nocnym promem do mieszkania i zasypiamy niewinnie w swoich ramionach.

## 6.4

Wczoraj zapomniałem zamknąć okiennice, więc światło wlewa się do pokoju. Julia otwiera oczy, jakby czując, że ją obserwuję, i szybko je zamyka, mruczając:

— Pozwól mi spać.



Nie obudziłem się z nią przy boku od tylu lat. Nawet gdy byliśmy studentami w Wiedniu, tylko podczas wycieczek na wieś mogliśmy spędzić razem naprawdę całą noc.

Kiedy wracam z łazienki, jest już w białym szlafroku.

— Dlaczego zawsze nosisz jedwab?

— Jedwab? Naprawdę? — wykrzykuje. Klaszcze w dłonie dwa razy przy każdym uchu.

—Dobry dzień?

—Taki sobie. — Uśmiecha się i wzrusza ramionami.

Przetrząsam kuchnię w poszukiwaniu czegoś na śniadanie i zdaję raport, że nie ma nic oprócz kawy. Czy mam coś kupić? Julia sugeruje, żebym wziął rozmówki i wskazywał na właściwe słowa. Schodzę na dół i wracam z chlebem, dżemem i mlekiem. Kawa już się zaparzyła. Pijąc ją, czujemy się trochę skrepowani. Dzielenie poranka wydaje się większą intymnością, bardziej smacznie niezręczną niż dzielenie nocy.

A przecież w Banff też byliśmy razem, dzień po dniu przez całe tygodnie. Mówiła mi, że pamięta przeciągłe gwizdy pociągów z oddali. Czy teraz słyszy odgłos syren z laguny?

— Dziś rano bawełna — oznajmia Julia, gdy szykujemy się do wyjścia.

—I nawet odrobina szminki!

—Jestem na wakacjach.

—Wzięłaś aparat? — pytam.

— Och, nie potrzebujemy zdjęć — mówi szybko Julia. — Maria robiła jakieś na pikniku... Czy nie powinieneś zadzwonić do Tradonico? Miałeś to zrobić wczoraj wieczorem.

Dzwonię do Palazzo Tradonico i łączę się z Piersem. Mówi, że mamy się spotkać o jedenastej. Z tonu jego głosu wyczuwam, że jest niezadowolony, ale nie wiem, czy powodem jest jego obecne mieszkanie czy to, że zapomniałem wczoraj zadzwonić, czy też jego własne ambiwalentne wspomnienia dotyczące Alexa i Wenecji.

Naturalnie rozmawiali na mój temat i zastanawiam się, czy wystąpią zjednoczeni przeciwko mnie. Julia mówi, żebym się nie martwił i był spokojny, kiedy się z nimi spotkam.

Spacerujemy po naszej wyspie, małym mieście bez korków, wachamy zapach skoszonej trawy, potem dochodzimy do mostu, który prowadzi nas do właściwej Wenecji. Po lewej stronie mijamy zaścianek, prawie sielski: po prawej kanał, na którym ludzie wyładowują z barki błyszczące rury wentylacyjne; trzech mężczyzn krzyczy do siebie, wymieniając więcej informacji niż złości. W poprzek ulicy, nad nami, wisi pranie, a w plastikowych doniczkach kwitnie popularne geranium.

Idziemy wysypanym białym żwirkiem deptakiem ocienionym przez wysokie lipy z ciemnymi pniami i młodymi listkami pełnymi światła. Po obu stronach ciągną się zaniedbane ogrody. Przy końcu deptaka stoi pomnik — Garibaldi i lew otoczeni przez gołębie, złote rybki, żółwie, psy, dzieci, niemowlęta w wózkach i paplające matki: przynajmniej setka powiązanych ze sobą istot. Przystajemy tam na chwilę.

— Musimy pójść do Schiavoni — mówi Julia. — Tam jest to, co chciałam ci pokazać.

Jednak okazuje się, że jest zamknięte.

—Przecież dziś nie jest poniedziałek — stwierdza Julia. Wali pięściami w drzwi wejściowe. Bez odpowiedzi. Dokoła zebrali się inni turyści, wruszają ramionami, komentują, patrzą na zamknięte drzwi ze złością lub obojętnością i odchodzą. Julia jeszcze raz wali w drzwi.

—Julio, daj spokój.

— Nie, nie dam. — Wygląda na niezwykle zdeterminowaną, nawet złą.

—Co szczególnego jest w tym miejscu?

—Wszystko. Och, to takie frustrujące. Żadnej tabliczki, żadnego wyjaśnienia i nikogo nie ma. A do tego w Wiedniu nie udało mi się obejrzeć mojego Vermeera. Masz jakąś kartkę?

Wyjmuję ołówek i kawałek papieru z futerału na skrzypce, a Julia pisze coś na niej, wyróżniając *telefonare* i *pronto* drukowanymi literami, i wrzucają do skrzynki na listy.

—Byłoby straszne, gdyby zamknęli z powodu renowacji — mówi.

—O co ich poprosiłaś?

—Żeby do nas zadzwonili, albo dosięgnie ich mój gniew.

—Przecież ty się nie gniewasz.

—Czyżby? — mówi Julia, jakby do siebie.

—Nawet jeśli zadzwonią, toja nie zrozumiem, a ty nie usłyszysz.

—Podejźmy do mostu, gdy go przekroczyemy.

—Co?

— To znaczy, przekroczyemy most, gdy do niego dojdziemy — dodaje Julia, marszcząc brwi na widok małej niebieskiej łódki kursującej w stronę Rio della Pieta. — Teraz chodźmy do twojego kościoła, to znaczy do Vivaldiego.

## 6.5

Niestety, kościół La Pieta też jest zamknięty. Wchodzę przez zewnętrzne drzwi, ale ogromna szkarłatna kotara i napis w wielu językach bronią dostępu do wnętrza. Czuję, jak mój tononi łka. Tego już za wiele.

Dziewczyna z okrągłą buzią siedzi przy ladzie po prawej stronie wejścia. Sądząc po okładce, czyta jakiś horror.

—Czy możemy wejść? — pytam po angielsku.

—Nie. To niemożliwe. — Uśmiecha się.

—Dlaczego?

—Zamknięte. *Chiuso*. Wiele miesięcy. Tylko modlitwy do Boga.

—Chcemy się pomodlić.

—Niedziela.

—Ale w niedzielę jedziemy do Torcełlo!

—Dziś wieczorem jest koncert; bilet? — Wzrusza ramionami.

—A co grają? — pytam.

—Grają?

—Bach? Mozart?

— Och! — Pokazuje nam program występu miejscowego *ensemble*.

Pierwsza połowa to Monteverdi i Vivaldi, a druga to muzyka współczesna zawierająca utwór z angielskim tytułem jakiegoś współczesnego włoskie-

go kompozytora: „Rzeczy są tym, co jedzą”. Nawet gdybym nie był z Julią, to by nie było w moim guście.

— Ile?

—Trzydzieści pięć tysięcy lirów — mówi dziewczyna.

—Au! — Wyjmuję pieniądze, unikając wzroku Julii. — Za drogo.

*Molto caro* — dodaje, pamiętając zwrot.

Dziewczyna się uśmiecha.

— Jestem muzykiem — mówię, unosząc futerał ze skrzypcami. — Skrzypkiem! Vivaldi! To jego kościół. — Wznoszę ręce w geście uwielbienia. Wydaje się rozbawiona. — Proszę.

Odkłada książkę, wychodzi ze swojej kabiny, rozgląda się, czy nikt nie patrzy, i odsuwa szkarłatną kotarę, byśmy mogli się wślizgnąć.

—Widzisz — mówię do Julii. — Najpierw urok, potem groźby.

—Powtórz to.

—Najpierw urok, potem groźby.

—W Schiavoni nie było kogo zauroczyć — zauważa Julia. Wysoko ponad nami na wspaniałym suficie widać *cartouche* przestrzeni i światła zwieńczony aniołami i muzykami, w centrum cudownie zlewa się błądy błękit, różowa ochra i biel. Ojciec, Syn i Duch Święty pod postacią gołębiczy koronują Dziewicę Maryję.

Gdy przyglądamy się temu zdumieni, sprzed ołtarza wybucha deliryczna kakofonia. Fortepian ustawiony na niskiej scenie i podłączony do wzmacniacza dostał się w ręce szaleńca. Najpierw całe zbocze góry zostaje rozbite w drobny mak, potem z górnych oktaw turla się grupa oszalałych myszy, które u podnóża zostają transmutowane w mrożące krew w żyłach niedźwiedzie. Czy to może jest „Rzeczy są tym, co jedzą?”

Julia też jest zaniepokojona, ale głównie moim zdziwieniem.

Muzyka cichnie, a pianista i inżynier dźwięku dokonują kilku poprawek przed przystąpieniem do dalszej części próby. Potem znów następuje cisza, kłapa fortepianu zostaje zamknięta i na szczęście obaj znikają tak nagle, jak się pojawili.

—Czy to naprawdę było tak okropne? — pyta Julia.

—O tak. Wierz mi. Przez chwilę ci zazdrościłem.

—Zagraj na swoim tononim i odczaruj ten kościół.

—Wyrzucą nas. Nie powinno nas tu być.

— Michaelu, jeśli nie zagrasz tu na skrzypcach, będziesz tego żałował przez całe życie.

—A moje skrzypce nigdy by mi tego nie wybaczyły.

—Sam rozumiesz.

—Ale, Julio...

—Ale co?

—Musisz mi pomóc —mówię, kierując ją w stronę fortepianu.

—Och, nie, Michaelu. Nie nakłonisz mnie do gry. Wiesz, że nie mogę.

—Już wcześniej to grałaś.

Z futerału skrzypiec wyjmuję *Largo* z pierwszej *Sonaty manchesterskiej* Vivaldiego — fotokopię na wspaniałym, szerokim arkuszu A3, rozwijam ją i stawiam na pianinie.

Julia siada. Przez chwilę przegląda nuty, kiwając się lekko z boku na bok. Stroję skrzypce.

— Jesteś tyranem, Michaelu — mówi Julia ze słodyczą i trzeźwością.

Przez chwilę gram swój rytm jako odpowiedź, a ona bez dalszych oporów dołącza do mnie przy kolejnej nucie.

Gramy zachwycająco, ale szybko następuje koniec. Nic piękniejszego nie zostało napisane na instrument, a moje skrzypce wyraźnie czują, że jest to przeznaczone specjalnie dla nich — aby mogły tu zagrać. Zresztą gdzie powinno się to grać, jak nie tutaj? To w tym miejscu Vivaldi udzielał lekcji dziewczynkom z sierocińca, czyniąc z nich najlepszych muzyków w Europie. A ponieważ manuskrypt tego utworu odkryto zaledwie parę lat temu w tej samej bibliotece w Manchesterze, w której i ja tyle się nauczyłem o muzyce, czuję, że został napisany wyłącznie dla mnie.

Nikt nam nie przeszkadza. Kościół jest pusty. Słuchają tylko muzycy u góry ze swoimi violami, trąbkami i fletami.

—Doskonale — mówię natychmiast po zakończeniu. — Zagrajmy jeszcze raz.

—Nie, Michaelu — mówi Julia, zamykając klapę fortepianu. — To było doskonale, a w takim razie z całą pewnością nie można tego powtórzyć.

## 6.6

Gdy idziemy wąskimi alejkami, mijając małe mosty, w stronę Palazzo Tradonico, słyszę dziwny dźwięk uderzania i odbijania; jak się okazuje, to okoliczne dzieci kopią piłkę. Bramka wodna *palazzo* otwiera się na mały kanał. Jego fasada, szara i łuszcząca się, wygląda na mały nieregularny plac; Campiello Tradonico nie leży na żadnym z głównych szlaków turystycznych i dlatego jest idealnym miejscem do gry będącej skrzyżowaniem piłki nożnej i squasha. Kilka czarno-białych piłek pozostało na szpicach sięgających pierwszego piętra, zdobiąc *palazzo* jak gargulce, czy też inne, bardziej tradycyjne architektoniczne ozdoby.

Naciskam dzwonek. Kobięcy głos mówi coś po włosku; odpowiadam: „*Signor Holme, Quartetto Maggiore*”, w wyniku czego następuje gościnne bzyczenie otwieranych drzwi. Wchodzimy do ogromnego, ciemnego, pustego, kamiennego hollu. Nie zapala się żadne pomocne światło, więc po omacku wchodzimy na pierwsze piętro, gdzie natychmiast otwierają się drzwi.

Nastoletnia córka hrabiego Tradonico wita nas, przedstawia się jako Teresa i oznajmia, że pozostali członkowie kwartetu zebraли się w pokoju muzycznym. Wskazuje nam drogę, po czym znika z uśmiechem.

Podłoga głównego holu jest błyszcząca, czarna, przeplatana ochrą. Światło wlewa się tu z obu stron. Sądząc po nędznym wyglądzie zewnętrznym i nieprzyjemnej klatce schodowej, nie spodziewałem się czegoś takiego.

Każdy mijany pokój jest bardziej fantastyczny od poprzedniego; przepełnia je mieszanka doskonałości i zbieranina przedmiotów z różnych stuleci: arrasy, złożone sofy z brokatowymi oparciami, aksamitne krzesła, drzwi z namalowanymi wielbłędami i leopardami, ogromny stół z ozdobnymi nogami i marmurowym blatem, szklany świecznik w kształcie skrzydełek i kwiatów, zegary podtrzymywane przez ziewające niedźwiedzie, szalony melanż chińskich waz, rzeźby przyglądające nam się z każ-



dego zakątka sali i obrazy, od portretów rodzinnych po małe szkice ołówkiem, od mlecznych Madonn po sangwinicznych Judytę i Holofernesa spoglądających ze ściany nad stołem w jadalni.

Z pokoju wychodzi Billy i wita nas ciepło.

—Wszystko w porządku?

—Tak — odpowiadam.

—Na pewno?

—Oczywiście.

—Rozkoszujemy się tym miejscem — mruczy Billy.

—Jest wspaniałe! — zachwyca się Julia.

—Mieszkamy na drugim piętrze, należącym do pani Wessen. Właśnie tutaj odbędzie się koncert. Jest nawet prywatny ogród — mówi Billy, wskazując mały most wznoszący się nad kanałem. — Jest mniejszy niż mój ogród w Leytonstone, ale Piers mówi, że w weneckich warunkach to pole golfowe.

Twarz Julii promienieje na myśl o ucieczce od tych wszystkich wspaniałości do ogrodu.

—Rzucmy okiem — proponuje. — Ale wy pewnie czekacie na Michała? Mogłabym pójść tam sama?

—Och — wzdycha Billy. — To zajmie tylko chwilkę. Chodźmy razem.

Przechodzimy przez mostek i znajdujemy się w innym, odświeżająco prostym świecie, w zakątku z drzewami o małych listkach, z pachnącymi białymi kwiatami, bluszczem, oleandrem i cyprysem. W płytkiej kamiennej sadzawce pływa kilka liści. Znudzony, zmęczony lew z łapami spoczywającymi na tarczy wygrzewa się w słońcu przed fontanną.

Na małym kanale nie ma żadnego ruchu. Wokół panuje zupełna cisza, przerywana tylko pieśniami ptaków i dzwonami z odległego kościoła. Nie słysząc nawet uderzeń piłki. Łamię liść laurowy i podaję Julii do powąchania.

— Słuchajcie — mówi Helen, która bezszelestnie pojawiła się za naszymi plecami. — To wszystko jest bardzo piękne, ale może wrócilibyśmy na próbę. — Nie zwraca się do nikogo z nas bezpośrednio. Gdy przechodzimy obok kanału, wrzuca do niego kilka liści.



W pokoju muzycznym stoi fortepian i klawesyn.

—Wiesz, Julio, powinniśmy zagrać tu tego Vivaldiego — proponuję. —  
To ma większy sens na...

—Nie — odpowiada szybko i stanowczo Julia, zerkając do góry. Podążam za jej wzrokiem i widzę ogromną masę szarej i złotej *stucco putti* ze zwieszającymi się z sufitu małymi nóżkami, rączkami i pupami.

—Czy możemy w końcu zacząć? — mówi Piers zimnym głosem bez słowa powitania.

—Przepraszam wszystkich — odzywa się Julia. —Przyszłam się tylko przywitać. Na pewno będę na koncercie, ale teraz muszę już iść.

—Ależ, Julio — protestuję.

—Muszę zrobić zakupy — mówi. — Mam klucze.

—A co z obiadem?

—Zjesz z przyjaciółmi. Ostatnio spędzasz z nimi za mało czasu. Teraz wybiorę się na przechadzkę i spotkamy się w mieszkaniu o szóstej. Zgadzasz się?

—Cóż, tak, ale...

—Zatem o szóstej. Do widzenia.

—Skończymy za godzinę czy dwie. Dlaczego nie usiądziesz w ogrodzie i nie poczytasz?

Ale zniecierpliwiona Julia już wychodzi. Boję się, że mogłaby się potknąć na ciemnych schodach, więc idę za nią do drzwi.

—Michaelu, wracaj.

—Sprowadzę cię na dół.

—Nie.

—O co ci chodzi?

—O nic.

Na schodach jest za ciemno, żeby rozmawiać.

— Będiesz wiedziała, jak wrócić? — pytam zaniepokojony, stojąc w otwartych drzwiach.

Julia szybko potakuje i przechodzi przez placyk, nie zwracając uwagi na obecność zdumionych małych piłkarzy.

## 6.7

Gdy wracam, Billy nerwowo brzdąka na pianinie.

—Mam nadzieję, że nic się nie stało — mówi Piers obojętnym tonem.

—Nie — mówię niezadowolony z ich, jego i Helen, niegrzecznego zachowania wobec Julii.

—Nie mieliśmy czasu porozmawiać — mówi. — Dzień po koncercie odbyłem krótką rozmowę z Lotharem. Zadzwoił, żeby nam pogratulować. Koncert był oczywiście wielkim sukcesem.

Ostrożnie kiwam głową.

—Powiedziałem mu, że powinien był tam być. Reprezentuje i Julię, i nas, więc powinien zdawać sobie sprawę z tego, że w tej sytuacji mogą wystąpić pewne trudności.

—Myślę, że miał inne spotkania — irytuje mnie ten dziwnie sztywny wywód Piersa.

—Tak właśnie powiedział.

—Cóż, to logiczne, Piers. On wszystko zaaranżował. Nawet odebrał nas z lotniska i zawiózł na pierwszą próbę. Poza tym jego biuro mieści się w Salzburgu, prawda? Nie rozumiem, do czego zmierzasz. Nie mogłem przewidzieć, co się stanie. Skąd on mógłby to wiedzieć? Przecież nawet nie wie, że znam Julię.

—Ani że teraz się z nią spotykasz — dodaje Helen. — Billy, czy mógłbyś?

Billy przestaje brzdąkać.

—Uważam, że Lothar powinien był nam powiedzieć o problemie Julii — odzywa się Helen. — Nie sądzisz? To mogło spowodować katastrofę.

—Jak możesz tak mówić? — wykrzykuję.

—Jak możesz zaprzeczać?

—Helen, myśl logicznie — mówię bardzo daleki od spokoju, który zalecała Julia. — To nie był jej problem, tylko mój. A poza tym ja wam o tym powiedziałem, więc jakie to ma znaczenie, czy Lothar wam powiedział czy nie?

—Wszystkich to zdenerwowało — dodaje Piers.

— Czy ta rozmowa została zaplanowana? — chcę wiedzieć.

— Oczywiście, że nie — zaprzecza Piers. — Chodzi tylko o to, że wszyscy bardzo się martwimy tym, co się stało. Łącznie z Billym, który stara się nic nie mówić.

— Co najpierw ćwiczymy? — pytam, rozglądając się. — Mendelssohna, tak?

— Musimy to omówić — stwierdza Piers, kładąc mi dłoń na ramieniu.

— Jeśli jakiś koncert potrzebował omówienia, to na pewno ten.

Odsuwam jego rękę.

— Nie ma czego omawiać — odpowiadam, starając się zachować spokój. — Julia już z nikim więcej nie zagra. W porządku? Ta część jej życia się skończyła. Nie będziemy już z nią grać, więc dlaczego mam się z tego powodu denerwować? — Robię głęboki wdech i zaczynam jeszcze raz: — Jest mi bardzo, bardzo przykro z powodu tego, co zaszło w Wiedniu. Naprawdę. To było dla mnie straszne, to było straszne dla niej i wiem, że było też straszne dla was. Nie usprawiedliwiam się. To nie powinno było się wydarzyć. Zawiodłem was. Ale dlaczego miałoby się to powtórzyć? Jak możecie być dla niej tacy niewyrozumiali? Wińcie mnie, dobrze, ale dlaczego ją?

Przez kilka chwil panuje cisza. Ani Piers, ani Helen nie wydają się przekonani.

— Masz rację — mówi nagle Piers. — Zostawmy to.

— Właśnie. Mendelssohn — rzuca z ulgą Billy.

Helen nic nie mówi, ale lekko kiwa głową.

— Zatem gama? — pyta Piers.

Gramy powoli i stopniowo, prawie z bólem oddalamy się od spięcia, do którego doszło przed chwilą. Spoglądam w górę i znów widzę dziwną plataninę dzieci na suficie. Wbijam wzrok w podłogę i zatapiam się w wolno rosnących, a potem opadających dźwiękach gamy.

— Jeszcze raz — mówi Billy, gdy dochodzimy do ostatniej nuty i wszyscy bez wahania spełniamy tę bezprecedensową prośbę. Helen i Billy grają spokojnie i gładko, ale Piers jakby zagubił się we własnym świecie, tak jak kiedyś, kiedy dołączyłem do kwartetu.

Po próbie uznajemy, że nie potrzebujemy następnej przed koncertem.

— Może poszlibyśmy jutro wszyscy do San Giorgio Maggiore? — proponuje Helen, znów będąc sobą. — Niczego nie zrobiliśmy razem podczas tej podróży. Możemy poprosić kogoś, żeby zrobił nam wspólne zdjęcie na tle kolumn. Byłoby to dobre zdjęcie reklamowe. Michaelu, nie mów mi, że jutro jesteś zajęty przez cały dzień.

— Myślę, że znalazłbym czas, może koło południa?

— Czy kościół nie będzie wtedy zamknięty? — pyta Billy.

— A może jutro rano? — sugeruje Helen. — Albo nawet dziś po południu?

— Chciałbym się teraz przejść — mówię. — Ale moglibyśmy się tam spotkać koło trzeciej.

— Piers? — pyta Helen.

— Nie, nie jestem wolny.

— Dzisiaj?

— Tak.

— A jutro?

— Też — mówi Piers, bardziej odrętwiały niż zniecierpliwiony.

— Zatem jutro rano? — nalega Helen. Piers kręci głową i wzdycha.

— Jutro też jestem zajęty.

— Przez cały dzień? — pyta Helen. — A co ty, u diabła, robisz? Powiedz, że przyjdiesz, Piers. Będzie fajnie. Widok z wieży jest cudowny.

— Nie chcę jechać na tę wyspę — mówi Piers, wkładając swoje skrzypce do futerału. — Znam widok z tej wieży. Jest wyryty w mojej pamięci. Na litość boską, Helen, nie zgrywaj idiotki. Nie pojedę więcej na tę wyspę, ani dziś, ani jutro, ani nigdy. Nienawidzę Wenecji. Czasami żałuję, że Bóg zasugerował mi stworzenie tego kwartetu.

Piers wychodzi z sali. Patrzymy na siebie oszołomieni jego wybuchem, nie wiedząc, co powiedzieć.

Jemy z Julią kolację przy świecach w naszym mieszkaniu. Ona ugotowała, a ja nakryłem do stołu. Opowiadam jej o wybuchu Piersa i pytam, czemu rano była w takim dziwnym nastroju.

—Czy to przez Helen?

—Nie widzę, co mówisz.

—Tak mi przykro.

—Stół wygląda naprawdę pięknie, Michaelu, ale przy świecach trudno mi odczytać słowa z ruchu ust. O co chodziło z tym księżycem?

—Z księżycem?

—Och, nieważne. A propos, mruga światelko automatycznej sekretarki, więc mamy jakąś wiadomość. Ciekawe, czy to od Jenny.

—Może to ktoś ze Schiavoni.

—Prawda.

—W takim razie będzie mówił po włosku. Jak sobie poradzimy? — pytam.

—Po kolacji wysłuchasz wiadomości i ją zapiszesz, a ja spróbuję się domyślić, o co chodzi.

Wstaję, żeby włączyć światło.

—Proszę... powiedz, czy to naprawdę takie trudne? Bycie tutaj?

—Cieszę się, że tu jestem.

—Miałem na myśli to, co zostawiłaś w Londynie.

—Tęsknię za nimi — mówi Julia — ale tęskniłabym, nawet gdybym została w Wiedniu. Ale nie tylko to. Dziś wypłaciłam trochę pieniędzy z karty i pomyślałam, że na wyciągu będzie napisane, że zrobiłam to w Wenecji. Nie jestem przyzwyczajona do takiego myślenia. Ta konspiracja jest straszna.

Milczy przez chwilę.

—Czy James się kiedyś...

—Domyślił?

—Nie. Czy spał z kimś innym?

Julia zastanawia się, jak — a może czy — odpowiedzieć na to pytanie. Czy uważa, że jest zbyt brutalne? Ale nie chciałem używać słowa wierność.

— Tylko raz, z tego, co wiem — mówi wreszcie. — Kilka lat temu. I to wtedy, kiedy się wydawało, że jesteśmy sobie najbliżsi. To było coś innego. Był w podróży, był samotny i to była tylko jedna noc. Myślę, że teraz nie przespałby się z inną kobietą.

— A jak się o tym dowiedziałaś?

— Powiedział mi. Wtedy wydawało mi się to dziwne. Nadal tak uważam... Ale to nie usprawiedliwia tego, co robię. To o wiele gorsze, bo ja cię kocham. Jak mogłabym mu o tym powiedzieć? Gdy zaczynam o tym myśleć, kręci mi się w głowie. Cały dzień dzwoni mi w uszach... właśnie kupiłam ci prezent urodzinowy. Spóźniony, wiem.

— Naprawdę? Pokaż.

— Wkrótce go dostaniesz. Muszę jeszcze coś zrobić, zanim ci go dam.

— To niesprawiedliwe, że ty możesz tak gwałtownie zmieniać tematy rozmowy, a ja nie — mówię, napełniając kieliszki.

— To marne zadośćuczynienie — stwierdza Julia. — Byłam kiedyś cichą myszką, jak pewnie pamiętasz, ale nie możesz taki być, jeśli jesteś głuchy. Teraz, jeśli czegoś nie rozumiem albo nie chcę zrozumieć, zmieniam temat i każdy musi się do mnie dostosować.

— Nigdy nie byłaś cichą myszką!

— Nie byłam?... Wiesz, chyba powinnam wysłać faks do Jamesa. Jenny ma faks, a jutro się z nią zobaczę.

— Dlaczego nie możesz mu po prostu powiedzieć, że jesteś w Wenecji? Zwłaszcza że i tak może się dowiedzieć.

— Masz rację, czemu nie?

— Chyba że Maria z nim rozmawiała i powiedziała, że jesteś u niej.

— Myślę, że to te *putti* na suficie sali, w której mieliście próbę, wyprwadziły mnie z równowagi — mówi Julia.

— Co masz na myśli?

— Nie widziałam Luke'a już ponad tydzień — wyjaśnia.

— Czy babcia się nim nie zajmuje?

— Tak, jestem pewna, że wcale za mną nie tęskni. Nie mogę tego znieść. Moje biedne dziecko.

Czuję nagły przyływ nienawiści do tego biednego dziecka. Jak mogę z nim rywalizować? Jak w ogóle mogłem pomyśleć o rozdzieleniu ich?

## 6.9

Po kolacji wychodzimy na kawę na pobliski plac ocieniony przez miłorząb, niesplik japoński i lipy. Potem wracamy do domu obrośniętego wistarią; wchodzimy ostrożnie, by nie trzasnąć frontowymi drzwiami.

Julia trzyma mnie w ramionach przez całą noc i od czasu do czasu wymawia moje imię. Nauczyła mnie alfabetu dotyku, więc w ciemności może odczytać z moich palców jedno czy dwa słowa miłości, a nawet śmiać się z moich błędów. Trudno mi zasnąć w jej objęciu. W końcu układamy się tak, że jej głowa opiera się na moim ramieniu, i wtedy zasypiam.

Rano leżę rozleniwiony, z podbródkiem opartym na dłoniach, i przyglądam się, jak Julia się maluje. Wygląda tak pięknie, a w tym mieścieienne światło nawet dodaje jej urody. Pyta mnie nieco rozzłoszczona, czy nie mam nic lepszego do roboty. Dlaczego nie poczytam o Wenecji? Dlaczego nie przestudiuję *Kunst der Fuge*, którą ze sobą przywiozłem? Dlaczego się nie ogolę? Dlaczego nie zrobię czegokolwiek, zamiast obserwować jej poranną toaletę? Ona nie przygląda mi się, kiedy się goleni, i nie potrafi zrozumieć mojej fascynacji.

Ale jak mam nie być zafascynowany? Kochamy się, tu, na krańcu Wenecji. Spacerujemy, trzymając się za ręce. Jesteśmy parą, angielską parą, przyjaciółmi *signory* Fortichiari. Nie mam w Wenecji swojej historii, najwyższej obietnicy. Ona ma wspomnienie wizyty beze mnie, ale SanfElena, pozbawiona napięć i niebezpieczeństw, nie obciążona, prawie nie uczęszczana, nie jest jego częścią.

Wiadomość na sekretarce była rzeczywiście ze Scuola di San Giorgio degli Schiavoni. Stróż zachorował, nie udało mu się szybko znaleźć zastępstwa i dlatego nie mogliśmy wejść, ale znaleziono kogoś nowego i budynek będzie znowu otwarty około wpół do dziesiątej.



Idziemy do Scuoli. Nie ma tłoku. Julia wyjawia mi nazwisko artysty, którego obraz chce mi pokazać: Carpaccio. Gdy moje oczy przyzwyczajają się już do półmroku, widzą, otwieram usta ze zdumienia. Są to najbardziej poruszające obrazy, jakie kiedykolwiek widziałem. Zatrzymujemy się przed pierwszym: odpychający smok zaatakowany przez świętego Jerzego szarpie się rozwścieczony, grot włóczni przeszywa jego paszczę i rozrywa czaszkę. Dokoła rozciąga się pozbawiona roślinności, jałowa ziemia, pełna węży, ropuch, jaszczurek, szczątków ciał, kości, czaszek, trupów. Przedstawiony w rzucie perspektywicznym tułów człowieka bez ręki i nogi, trochę przypominającego samego świętego Jerzego o kręconych włosach, gdyby ten stał się ofiarą smoka, spogląda gdzieś poza obraz. Dziewica z pożartą dolną połową ciała wciąż zachowuje cnotliwy wygląd. Wszystko jest trupio blade i groteskowe; jednak daleko za tym uschłym drzewem i śmiertelną pustynią znajduje się strefa spokojnego piękna: statki unoszące się na wodzie, wysokie drzewa, piękne budynki.

Przesuwamy się w milczeniu od sceny do sceny. Zwyciężony, skurczony smok oczekuje finałowego uderzenia swojego pogromcy; pogańscy monarchowie zostają spektakularnie nawróceni, podczas gdy mała czerwona papużka patrzy przed siebie cynicznym wzrokiem, gryząc listek małej roślinki; dziecko zostaje uratowane przed dziwnym bazyliuszkiem; po drugiej stronie ołtarza łagodny święty Hieronim podróżuje ze swoim jeszcze łagodniejszym lwem, przed którymi bojaźliwi mnisi uciekają jak sklonowane nietoperze; mała czerwona papużka pojawia się jeszcze raz w scenie śmierci świętego Hieronima. I wreszcie najpiękniejszy ze wszystkich obrazów: wiadomość o śmierci Hieronima dociera do świętego Augustyna siedzącego w gabinecie wypełnionym książkami i ozdobionym otwartymi nutami. Augustyn jest sam ze swoim uroczym, kudłatym białym psem; nie ma nic doskonalszego czy bardziej potrzebnego ani w tym pokoju, ani w Wenecji, ani na świecie.

Mały bazgrołek obok, równie zachwycający jak otwarte nuty, stwierdza, że namalował go Vittore Carpaccio. Czy to możliwe? Czy ten, który stworzył smoka, stworzył i ciebie? Pióro uniesione w dłoni twego mistrza, światło proroczej wiedzy na jego twarzy, długi, późny cień zasnuwający

prostą podłogę, a na niej ty, cudowny psiaku. Jakże wilgotny jest twój nos, jak błyszczące są twe uważne oczy. Bez ciebie nie sposób wyobrazić sobie tego obrazu. Chrystus mógłby zniknąć ze swojej niszy i nikt by za nim nie tęsknił.

Grupka młodziutkich francuskich uczniów w żółtych czapczkach dyskutuje na temat obrazów pod kierunkiem sokratycznego nauczyciela. Siedzą na ławkach, rozglądają się, zbierają wokół niektórych scen. „*Chretien... une bête féroce... jeune fille...*” Słyszę w myślach, jak melodię, tamtą rozmowę: „*Fou*”. „*Sour*”. „*Non. Fou*”. „*Non. Souûl*”. Zaczynam się denerwować, ale po chwili się uspokajam. Stajemy z prawej strony, żeby nie zawadzać. Julia trzyma mnie za rękę. Jeden z malców w odpowiedzi na pytanie nieśmiało mówi: *Le chien sait*. I ma rację, pies naprawdę wie, chociaż się z tym nie obnosi jak czerwona papuzka, w której motywy powątpiewam. Jest spokojny z tą wiedzą. Ma w sobie godność, oddanie i ufność w porządek tego świata.

Idziemy do góry, gdzie jesteśmy sami. Całuję ją, a ona odwzajemnia pocałunek czule i namiętnie. Przy oknie stoi ławka. Grucha gołąb, bryza wzburza czerwoną kotarę, z drugiej strony kanału słychać odgłosy pracy: robotnicy odkrywają cegły otynkowanej ściany. My — czy raczej ja usłyszałbym każdy krok na schodach. Całujemy się, siadamy na ławce, dotykam jej ciała i wsuwam dłoń pod sukienkę. Szepczę jej do ucha, co chciałbym zrobić, wiedząc, że tego nie słyszy.

— O Boże — mówi. — Przestańmy natychmiast! Przestańmy!

Słyszę kroki na schodach. Odskakujemy od siebie i zajmujemy się czytaniem przewodnika i podziwianiem paneli na suficie, gdzie różne święte figury zajmują się swoimi świętymi sprawami.

Staruszek, który sztywno i powoli wszedł po schodach, obrzuca nas chłodnym spojrzeniem, a potem bez słowa schodzi z powrotem. Nie mógł wiedzieć, co robimy, ale to wystarcza, by nas uspokoić.

Na dole po raz ostatni przyglądamy się obrazom. Ławki są już pełne, a grupka uczniów gada sobie w najlepsze.

Wchodzimy do bocznego pomieszczenia, jakby zakrystii, gdzie znajdują się kielichy mszalne, ornaty, trzy figurki Madonny z dzieciątkiem i moni-

tor systemu ochrony z biało-niebieskim obrazem pokazujący pustą ławkę, na której chwilę wcześniej siedzieliśmy.

— Chodźmy stąd — mówi Julia przerażona i zarumieniona ze wstydu. Nigdzie nie widać staruszka.

Szybko wychodzimy i giniemy w labiryncie uliczek.

—To straszne, straszne... — odzywa się Julia.

—Już dobrze, Julio...

—To takie tandetne...

—Słuchaj, to tylko staruszek wykonujący swoją pracę.

—Niedobrze mi od tego wszystkiego. — Julia zaczyna płakać.

—Proszę, nie płacz, proszę cię.

—Och, Michaelu...

Obejmuję ją; wbrew moim obawom, nie opiera się.

— Dlaczego mnie zostawiłeś? Nie można tego ciągnąć, niena- widzę tego; a teraz jeszcze Cipriani... James kiedyś się tam zatrzymał... — Rozróżniam niespójne słowa i sam mówię do niej tak samo, czekając, aż przestanie szlochać.

Spacerujemy nad kanałem.

— Jak wyglądam? — pyta, wsiadając na prom, który zabierze ją do hotelu.

—Strasznie.

—Tak myślałam.

— Wcale nie. Wyglądasz pięknie jak zawsze — mówię, zakładając jej za ucho kosmyk włosów. — O wpół do czwartej będę tu na ciebie czekał. Nie smuć się tak. Oboje jesteśmy spięci, to wszystko.

Ale to jest żalosne niedomówienie. Wiem, że stało się coś więcej. Coś się popsuło. Mała brązowa łódka odpływa. W oddali pojawia się duży biały statek. Przejrzyste błękitne niebo, zatłoczona niebieska laguna; aby zapomnieć o tym, co się stało, usiłuję wpisać sobie tę scenę w pamięć, zapamiętując każdy element, niczym współczesny Canaletto: statek wycieczkowy, prom dla samochodów, taksówka wodna, przystanek policji, gondola, parę vaporetti, mała płaska łódka podobna do barki. Ale to bez sensu; tych myśli nie sposób odegnąć. Próbuję wyobrazić sobie siebie bez

niej. Odwracam się i ruszam na plac, a potem idę wąskimi, krętymi ulicami.

Staję na małym mostku nad bocznym kanałem i przyglądam się części przylegającej do lądu z niebieskimi palami zdobionymi złotem. Widzę wodną furtkę do opery. Leżą na niej kawałki skróconej blachy, drewniana paleta, osmalone drzwi, zardzewiały ptak. Graffiti na czarnych ścianach głosi: „*Ti amo. Patricia*”. To feniks, który już raz spłonął i tym razem się nie odrodził. To, co tak bezmyślnie, tak szybko utracono, z pewnością można odzyskać, naprawić, powołać do życia raz jeszcze.

## 6.10

Spostrzegam małą niebieską żabkę z porcelany i kupuję ją dla Julii. O wpół do czwartej spotykamy się tam, gdzie się rozstaliśmy. Wydaje się spokojniejsza. Płyniemy na wyspę Murano, gdzie jemy obrzydliwe morelowe lody i odwiedzamy sklep pełen koszmarnego szkła. Julia mówi, że odra po włosku nazywa się *morbillo*; to ładne słowo. Sugeruję, żeby kupiła Luke'owi plecak Invida. Wreszcie, zupełnie niespodziewanie oznajmia, że Jenny zgodziła się, żebym został w mieszkaniu po jej wyjeździe, i że wyjeżdża we wtorek.

— We wtorek? — mówię, a krew odpływa mi z twarzy. — Dlaczego tak szybko?

Nie mogę jej nakłonić do zmiany decyzji. W dodatku słyszę, że nie może też przyjść na nasz wieczorny koncert. Dlaczego? Czy sprawiły to gipsowe *putti*! Moi koledzy z kwartetu? Potrząsa głową; nie mogę uzyskać odpowiedzi. Musi wysłać faks i zrobi to w drodze do domu. Wcześniej się położy.

Świadomy swego okrucieństwa, opowiadam jej o dźwiękach Wenecji, i widzę, jak jej twarz blednie. Jak może mnie opuścić? Jak? Jak? Spędzimy tu razem tylko cztery dni? A dziś jest drugi z nich.

W trakcie koncertu moje ręce sprawnie poruszają się po gryfie. Wyczerowujemy Haydna i Mendelssohna. Występ zostaje nagrodzony oklaskami; na bis gramy fragment *Kwartetu* Vivaldiego, o który wcześniej poprosiła pani Wessen. Hrabia i hrabina Tradonico grają role współgospodarzy, wspaniali w swojej atencji dla wszystkich, zarówno obcych, jak znajomych; ich spokój jest pogodny, profesjonalny. Zgorzkniały brat hrabiego, rzeźbiarz, z ponurą miną spaceruje wśród gości. Pragnę z nim porozmawiać, ale po chwili rezygnuję. Nie widzę związku między plotkami z baru Giudecca i tym, co tutaj widzę.

Piętnastoletnia Teresa uśmiecha się do nas, a przede wszystkim do swego ulubieńca, Billy'ego. Kropi deszcz, więc nikt nie próbuje wyprawy przez mostek do ogrodu. Na zawieszonych szarozłoty paterach pojawia się *prosecco* i kanapki, co budzi okrzyki zachwytu. Pani Wessen głośno komentuje. Z ulgą przyjmuję fakt, że nikogo tu nie znam, a więc nie jestem nitką w materii towarzystwa. Niewiele rozmawiam z kolegami z kwartetu; ustalamy terminy następnych prób przed kolejnymi weneckimi koncertami i wracam na Sant'Elene.

Wypitóm zbyt dużo *prosecco*; Julia bez wątpienia to wyczuje. Wstępuję do baru, żeby wytrzeźwieć, i wypijam jeszcze więcej, tym razem mocną grappę. Staję się otwarty i gadatliwy, mimo że nie znam języka. Nie zauważam, jak mija północ.

Za okiennicami naszego pokoju jest ciemno. Nie zapalam światła, aby nie przerwać jej snów. Rozbieram się i kładę obok. Mimo wszystkich spieć dzisiejszego dnia odruchowo wtulamy się w siebie.

## 6.11

Dzwoni budzik. Wydaje mi się, że dopiero co zasnąłem. Spoglądam na błyszczące cyfry na zegarku; jest piąta. Julia oczywiście nadal śpi. Ale jeśli ustawiła budzik na tak szaloną godzinę, to chyba chce, by ją obudzić.

Budzę ją, lekko całując w powieki. Trochę narzeka. Delikatnie łaskoczę jej stopy.

—Daj mi spać — mówi.

Włączam światło. Otwiera oczy.

—Wiesz, która jest godzina?

—Nie, jestem taka śpiąca.

—Dlaczego nastawiłaś budzik na piątą?

—A, tak — ziewa. —Nie chciałam przegapić wschodu słońca.

— Wschodu słońca? — pytam zaskoczony. — Chyba mam kaca.

—Ubierz się ciepło, Michaelu.

—Po co?

— Popłyniemy na *vaporetto* do San Marco, później pójdziemy na Fondamente Nuove, a o szóstej mamy łódź do Torcello.

—O, nie.

—O, tak.

—Łodzią o szóstej?

—O szóstej.

— Zatem najpierw kawa. Ja zaparzę. Bez kawy nie zdołam się ruszyć.

—Przegapimy wschód słońca.

—O której godzinie jest wschód słońca?

—Nie jestem pewna.

— Zatem zrezygnujmy z tego, co wątpliwe, zróbmy coś pewnego i napijmy się kawy. — Ale Julia robi tak rozczarowaną minę, że szybko kapituluję.

Między sosnami słychać szelest. Niebo jest ciężkie, przetykane złotem. Ptaki lądują z potwornym hałasem. Prom trzeszczy i kołysze. Słychać odgłos zbliżającej się łódki, prawie pustej, bo dziś jest niedziela i dopiero piąta trzydzieści.

Złote światła błyszczą nad szeroką laguną; hałas silnika wzmagają się i cichnie. Wkrótce jesteśmy na placu Świętego Marka.

—Co teraz? — pytam.

—Teraz spacerujemy po placu i rozkoszujemy się pustką.

—Spacerujemy. Rozkoszujemy się. Rozumiem.



Na placu widać tylko stado gołębi i mężczyznę ze szczotką. Rozkoszuję się tym najlepiej, jak umiem.

Szary kot dołącza do gołębi, jednak nie próbuje na nie napaść, a gołębie nie wydają się zaalarmowane.

—Co to za cytrynowe perfumy, którymi pachniesz? Są wspaniałe.

—To nie są perfumy, Michaelu, tylko woda toaletowa — mówi Julia zirytowana. — I nie cytrynowa, a kwiatowa.

—Przepraszam, przepraszam, przepraszam. W każdym razie jest cudowna. Prawie tak cudowna jak ty.

—Och, zamknij się, Michaelu, albo ja zacznę mówić, że jesteś cudowny.

—Przy gołębiach? A co, nie jestem?

—Tak. Jak sobie życzysz.

—Naprawdę tak pragniesz ciszy?

—Tak.

—A czy mogę nucić?

—Tak.

Po placu spaceruje para Japończyków, tak szalonych jak my. Wyłaniają się z kolumnady i kobieta nakłania zamiatającego mężczyznę, żeby pozwolił jej pozować do zdjęcia z jego miotłą. Zostaje sfotografowana, jak ściska miotłę na tle bazyliki Świętego Marka wśród stada gołębi.

—Gdzie ten wschód słońca? — pytam. Niebo robi się jasne.

—Chyba go nie zobaczymy przez chmury — mówi ze smutkiem Julia.

Nadal jestem oszołomiony. Spacerujemy, dochodząc raz czy dwa do uliczek, które kończą się w kanałach. Pojawia się pomocnik piekarza z tacą, mężczyzna rozstawia wózek z gazetami, gołębie lądują, trzepocząc skrzydłami, na ogromnym placu. Jeździec z brązu obserwuje nas ze swej bezsennej wysokości. Docieramy na Fondamente Nuove, właśnie gdy nasza łódź odpływa.

—Za późno — mówię. — I co teraz?

—Teraz rozkoszujemy się widokiem nieba.

—Dobrze.



Idziemy na most, zatrzymujemy się tam i patrzymy na północ, na wyspę, którą zapamiętaliśmy z powodu lodów morelowych. Nasza łódź właśnie się do niej zbliża.

— Gdybyś się tak nie guzdrał... — mówi Julia.

— Gdybyś ty tyle razy nie skręciła w niewłaściwą uliczkę... — zauważam.

— To ty miałeś patrzeć na mapę.

— Mówiłaś, że znasz tę trasę.

— Cóż, musisz przyznać, że jest piękna.

Przyznaję. Niebo otworzyło się wybuchem bladego złota nad wyspą cementarną i przejrzystym różem nad Murano. Następną łódź mamy za ponad godzinę. Jest za zimno, żeby stać na moście, i zbyt odludnie, żeby czekać na przystanku Torcello, więc siadamy na następnym, gdzie przynajmniej jest jakiś ruch. Kładki piszcza, gdy łódź przybija. Wysiada z niej ksiądz w brązowym habicie, a wsiada kilku marynarzy w niebieskich mundurach. Wstępujemy na kawę, a potem do baru, który właśnie otwarto, gdzie na znak buntu piję grappę.

Julia zachowuje swoje uwagi dla siebie. Dwie minuty przed startem następnej łodzi zamawiam kolejną grappę.

— Jak psia sierść — mówię.

— Nie denerwuj mnie.

— Pozwól mi się tym rozkoszować. Ostatnio dużo się rozkoszuję.

— Michaelu, odpłynę bez ciebie.

— Pamiętasz pociąg? A samolot? Zdążyłaś, to prawda, ale w ostatniej chwili.

Patrzy na mnie wściekła, chwyta kieliszek, sama go wychyla i ciągnie mnie na łódź.

Bale drewna znaczą uliczki laguny jak pęczki szparagów. Cyprysy straszą wyspę zmarłych, pełną sław, podobnie jak wielki cmentarz w Wiedniu. Sztywna piana plami szarą wodę. Spoglądam za siebie na zielono-czarną lamówkę Wenecji. Za wcześnie; za wcześnie; to już niedziela.

Widzimy białą, wysoką latarnię morską i fryz kościoła La Pieta. Przepływamy obok fabryki z rozbitymi oknami i znów jesteśmy na lagunie.

Po lewej mijamy lotnisko. Jaki mały jest ten samolot; ona będzie tam, w powietrzu, już za dwa dni; jej usta, oczy, ramiona, jej nogi i piersi, jej dusza, jej barki, włosy i palce u stóp, jej głos, wszystko będzie szybko ode mnie odpływać; będzie z nią tylko ta niebieska porcelanowa żabka, której jeszcze jej nie dałem.

Czy to odpływ? Mewy siedzą na odsłoniętych błotnych płytyznach laguny otoczonej wieżami. Spójrz, jakiś człowiek siłuje się z palem i czymś białym na płyciźnie po lewej. W co wkłada tyle wysiłku? Czy nas to obchodzi? Mijamy przesmyk między wyspami. Już jesteśmy na miejscu.

Wszyscy wysiedli na Mazzorbo. Co my dwoje robimy o ósmej rano na Torcello? Na dwóch czerwonych ławkach siedzą dwa szare koty w prążki.

Woda w kanale, wzdłuż którego idziemy, jest szara i brudna. Wieje chłodny wiatr. Ptaki słodko śpiewają, w oddali pieją koguty, warczy silnik. Łiiii-łii-łii-łii-łii-łii, stuk-stuk-puk. Julia niczego nie słyszy. Ale widzi winorośl i figi, maki, ciemne róże przed gospodą; widzi szczekającego psa, jego sztywny ogon i wściekłe spojrzenie. Pulchny, dobrze odżywiony pies, czy musisz warczeć? Obwąchujesz nas, biegniesz obok, podskakujesz na Diabelskim Moście. Przepuść nas, pozwól nam podziwiać te drzewa ze srebrno-białymi liśćmi, tę poranną pustkę. Nie martw się; nie zakłócimy spokoju.



W małym kościele Santa Fosca jest spokojnie. Julia klęka w milczeniu, ja siadam. Niski, gruby ksiądz ubrany na czarno wyciera brwi pod grzywką białych włosów. Stary, zmęczony asystent trzyma pomarańczową torbę

i wsypuje do niej z puszek tygodniowe datki. Pieniądze, pieniądze, soczyste liry; spływające jak deszcz monety i charakterystyczny odgłos mieszających się z nimi banknotów; zamykanie puszek, szuranie nóg; przez otwarte drzwi słysząc pieśń ptaka i odległe ciche warczenie silnika.

Ksiądz, kaszląc, klęka w przejściu, tyłem do Chrystusa, obok drewnianej tacy do zbierania pieniędzy. Wstaję niespokojny; po lewej stronie ołtarza Maryja ukoronowana dwunastoma gwiazdkami zrobionymi z miniaturowych żarówek trzyma w ramionach swoje niemowlę. To dobre dziecko, nie grymasi jak inne, wie, że jest światłością świata. Jakiś mężczyzna klęczy z ufnością przed dobrodusznym Bogiem, podnosi głowę do góry i unosi dłonie w modlitwie. Zapala dwie świece i spogląda na mnie. Waham się przez chwilę, po czym też zapalam jedną.

Wychodzimy na zewnątrz i po chwili wchodzimy do katedry.

## 6.13

W wielkiej bożej stodole ważone są dusze. Na kolanach diabła siedzi fałszywy Chrystus, zuchwały i łagodny. Ogromne belki podpierają ściany i przytrzymują dach. Królowa łaski, cała na niebiesko, unosi w górę swe mądre dziecko.

Dzień sądu jest spowity w złoto. Dzikie bestie, słysząc ostatni dźwięk trąby, wypluwają swoje ofiary. Martwi powstają, zrzucając szaty. Potępieni, głaskani przez czerwone płomienie, pełni pokory nie okazują bólu. Robaki wgryzają się w ich pozbawione oczu czaszki.

Zbawieni stoją i uwielbiają Boga. Taki jest ich los w wieczności.

Julia klęka raz jeszcze. Dzwonią dzwony. Ksiądz i jego mała świta, nie więcej niż dziesięć osób, intonują pieśń w przepastnym holu. Zakończ swoje błaganie, okrągły księżę, nie śpiewaj; fałszujesz i twoja pieśń razi moje uszy.

Jestem znudzony i rozdrażniony. Daję znak, że chcę wyjść, ale Julia się nie zgadza. Pozostaję do końca godzinnej mszy, ale jestem nieobecny.

Chleb i wino zostają pobłogosławione. Julia niepewnie przystępuje do komunii. A potem, Bogu niech będą dzięki, możemy wreszcie wyjść.

Widzę, że Julia jest głęboko przejęta. Och, gdybym mógł być tak wzruszony, czuć takie uniesienie, gdybym mógł wierzyć, że mam cel, jakim jest to czyste dobro. Ja też klękam, ale nie przed tym czy tamtym. Nie zostałem jak ona poruszony do głębi. Co jej powiem albo co ona powie, gdy opuścimy to miejsce?

## 6.14

Zanurzamy się w tłum; zimne napoje, koronkowe obrusy, plecaki, szkło z Murano. Przez tę godzinę pustynia zmienia się w targowisko. Kupuję kilka pocztówek. Tato i ciocia Joan lubią dostawać pocztówki z zagranicy. Z poczuciem winy zdaję sobie sprawę, że nie wysłałem ich z Wiednia.

Uciekamy od zgiełku ku kanałom i słonemu powietrzu. Kukułka śpiewa w tonacji E. Musiało padać; pola są mokre. Wzdłuż ścieżki rośnie dziki owies i jęczmień, a na brzegu cytrynowo-zielonego bagniska zbierają się warstwy plastikowych butelek, kanistrów po benzynie i połamanego styropianu.

Julia nie odzywa się już od pięciu minut.

Wręczam jej porcelanową zabkę, błękitną jak lapis szat Madonny z mozaiki.

—Jest śliczna.

—Prawda?

—Dziękuję za cierpliwość w kościele.

—Nie ma za co — mówię onieśmielony. — A gdzie jest mój prezent?

—Zostawiłam go w domu. Jest już gotowy. Pracowałam nad nim wczoraj wieczorem. Poza tym, gdybyś spróbował go teraz rozwinąć, deszcz by go zniszczył.

—Dlaczego tak szybko wyjeżdżasz z Wenecji?

—Muszę. Nie utrudniaj mi tego i o nic nie pytaj.

—Jutro będę musiał przynajmniej godzinę poćwiczyć, a potem mam próbę. Czas mija za szybko.

—Gdybym tylko mogła się rozdzielić.

—Wracasz do Londynu czy do Wiednia?

—Do Londynu.

—I wszystko się skończy?

— Michaelu, jestem tu z tobą szczęśliwa. Ty jesteś ze mną szczęśliwy. Prawda? To cud, że w ogóle tu jesteśmy. Czy to nie wystarczy?

Milknę na chwilę i zastanawiam się nad tym. Tak, to prawda, ale nie, to nie wystarczy.

## 6.15

Siedzimy w ogrodzie przy Palazzo Tradonico na kamiennej ławce obok fontanny. Jest późny poniedziałkowy ranek. Przed jasnym słońcem chroni nas cień nie znanego mi drzewa o błyszczących liściach i małych, mocno pachnących białych kwiatkach. Na moich kolanach leży książka. Wypadła z niej wizytówka wydawcy. Podnoszę ją; nazwa firmy, numer telefonu, cyfrowy adres w *sestiere* San Marco, nazwa ulicy: Calle delia Mandola.

— Co znaczy „Mandola”? — pytam, patrząc na wizytówkę.

— Mandoliny — odpowiada Julia. — A może migdały? Nie, mandoliny.

— Naprawdę?

— Naprawdę? — powtarza z uśmiechem. — Tylko tyle potrafisz powiedzieć.

— Nic nie mogę powiedzieć. Naprawdę nie mogę. Nikt nigdy nie dał mi czegoś tak pięknego. Nawet ty.

Jest to ręcznie robiona książka z małej introligatorni, którą mineliśmy, spacerując po Wenecji pierwszego dnia. Ma podłużny format starego zeszytu nutowego i jasną, marmurkowszara okładkę; zawartość stanowi ponad sto stron ciężkiego papieru, a na każdej jest osiem pustych pięcioli-

nii. Na kilku pierwszych stronach Julia spisała z moich nut ciemnobrazowym atramentem osiemdziesiąt pierwszych taktów *Kunst der Fuge*.

Ani jedna nuta nie jest wykreślona czy poprawiona. Musiała na to poświęcić całe godziny i sporo się natrudzić nad rzadkimi kluczami; strony wydają się tak przejrzyste, tak czytelne.

Na grzbiecie widnieją małe srebrne litery: *Das Grosse Notenbuch des Michael Holme*. Na pierwszej stronie są słowa: „Drogi Michaelu, dziękuję ci za to, że nakłoniłeś mnie do przyjazdu tutaj, i za te dni. Całuję, Julia”.

Opieram głowę na jej ramieniu, a ona przesuwa dłonią po moim czole i włosach.

—Powinieneś już iść. Jest prawie jedenasta.

—Czy zagrasz ją dla mnie? Zostało jeszcze kilka minut.

—Nie, nie mogę.

—Pamiętam, że grałeś kiedyś fragment w Wiedniu.

—To było tylko dla mnie samej. Zaskoczyłeś mnie.

—Zatem?

— Nie czytam dość płynnie tych ozdobników, Michaelu. Nie wzięłeś ze sobą nut, prawda? Tam jest układ na fortepian.

—Nie. Zostały w mieszkaniu. Gdybym wiedział...

—A więc mam wymówkę.

— Może twoje palce jeszcze to pamiętają?

Zgadza się z westchnieniem.

Przechodzimy przez most i idziemy do pokoju muzycznego. Kładę swój prezent na fortepianie i staję obok, by przewracać kartki. Julia gra dwa takty w kluczu basowym, potem przechodzi na klucz wiolinowy i gra dalej z zamkniętymi oczami. Od czasu do czasu jej palce się zatrzymują; otwiera oczy, czyta następny fragment i gra dalej. To, co gra, jest niebiańskie, jest jak wzburzone niebo. Wreszcie, mniej więcej w połowie, unosi dłonie, mówiąc:

—To gdzieś tam, ale gdzie?

—Grasz naprawdę świetnie.

—O nie, nie. Wiem o tym.

—Ja nie wiem.

— Grałam tę fugę tego wieczoru, kiedy usłyszałam ją w twoim wykonaniu w Wigmore Hall. Powinnam ją lepiej pamiętać.

— Zatem dokończysz ją w Londynie?

Waha się. Czy to słowo definiuje jej nie ustatkowane, a może zbyt ustatkowane życie?

—Nie wiem, Michaelu — mówi cicho.

—Być może?

—Być może.

—Obiecuj mi, Julio. To druga połowa prezentu.

—Nie mogę obiecać. To taka inna... sytuacja. Nie wiem nawet, czy będę chciała to tam zagrać.

—Odebrałaś mi pięć dni, Julio. Nie możesz dać mi w zamian chociaż tego?

—Dobrze — mówi wreszcie — ale jest to coś, czego nie zagrałabym dla nikogo oprócz ciebie.

## 6.16

Zabiera moją książkę z fortepianu i idzie do ogrodu.

Po paru minutach wchodzi Helen, Piers i Billy i stroimy instrumenty. Ćwiczymy przed jutrzejszym występem w Scuola Grande di San Rocco. Samolot Julii odlatuje o szóstej trzydzieści wieczorem; nie będę nawet mógł odwiedzić jej na lotnisko.

Wykonamy między innymi *Kwartet c-moll* Brahmsa, który graliśmy kilka miesięcy temu. Teraz gram go lepiej niż wtedy, bo nie potrafię się już nim przejmować. Frustracja nie paraliżuje mnie jak dawniej, a poza tym myślami jestem teraz w ogrodzie po drugiej stronie małego kanału. Jeśli nawet czują moją nieobecność, to nic nie mówią.

Robimy przerwę dużo wcześniej, niż się spodziewałem. Idę do ogrodu, ale Julii tam nie ma. Książka leży na ławce pod drzewem, a na ziemi w pobliżu stoi jej torba.



Spostrzegam kartkę papieru wystającą spomiędzy stron i bioreją do ręki. To faks adresowany do męża jej łatwym do odczytania pochyłym charakterem pisma, prywatna wiadomość, ale moje bezwstydne oczy są chciwe każdej informacji o niej.

Najdroższy Jimbo,  
strasznie tęsknię za Tobą, za Wami. Cieszę się, że wkrótce znów Was zobaczę. Jenny przesyła pozdrowienia. Jest uwiązana w domu przez większość dnia, więc nie spędziłyśmy razem tyle czasu, ile byśmy chciały. Jest jej ciężko; chyba wspomniałam Ci, że jej dzieci chorują na odrę. Wprawdzie ma pomoc, ale one nie chcą jej stracić z oczu. Według niej dzieci spędzają większość czasu, bijąc się, na żarty, choć dość ostro, ale teraz są tak apatyczne, że nie robią nawet tego. Na szczęście nie są w stadium infekowania, więc moi mężczyźni będą bezpieczni. Nie muszę przechodzić kwarentanny jak pudle i pekińczyki mojej matki.

W Wenecji bawię się cudownie. Cieszę się, że tu przyjechałam. Wiedeń stawał się zbyt stresujący, a gdybym pojechała z Marią, jej mężem i ich synkiem do Kärnten, byłoby jeszcze gorzej.

Czuję się taka wypoczęta. Codziennie dużo spaceruję. Potrzebowałam tej przerwy, ale tęsknię za Wami i nie mogę znieść myśli o rozłące przez kolejny tydzień, dlatego wracam wcześniej. Przedwczoraj jadłam z Jenny obiad w Cipriani i pomyślałam o tym, że kiedyś się tam zatrzymałeś i tęskniłeś za mną. Powiedz Luke'owi, że jeśli wybaczy mi tak długi wyjazd, to dostanie dwie niespodzianki, jedną małą i jedną dużą. Mocno ściskam mojego małego benettonowego misia. Chociaż wątpię, czy rozpieszczany przez babcię jeszcze o mnie pamięta.

Wracam jutro (wtorek) lotem Alitalii. Będę na Heathrow o siódmej dwadzieścia pięć wieczorem. Proszę, kochanie, nie zawracaj sobie głowy jazdą na lotnisko, jeśli musisz pracować albo masz coś innego do zrobienia. Wiem, że zawiadamiam Cię o tym dość późno. Przyjadę taksówką. Nie mam dużo bagażu.

Bardzo Cię Kocham i cały czas o Tobie myślę. Mam nadzieję, że się nie przepracowujesz. Tak ciężko jest nie móc do Ciebie zadzwonić. Jednym z najgorszych lęków jest to, że zatracę dźwięk Twojego głosu.

Pozdrawiam gorąco,  
Julia

Zrywam gałązkę białych pachnących kwiatów. Robi mi się niedobrze. Czuję się jak złodziej, który wszedł do swojego domu i spostrzegł, że ktoś ukradł jego rzeczy.

Zmęczony, znudzony lew opiera się na swojej tarczy i ziewa, jakby mówił: „O co tyle hałasu? A czego się spodziewałeś?” Czarny karp spycha na bok pomarańczowego i zaczyna kołować bez celu wokół fontanny.

Przechodzę przez most. Z wnętrza domu dobiega wesoły, energiczny głos Teresy, a później spokojniejszy głos Julii. Słyszę pojedyncze słowa: „Wessen”, „Billy”, „Londra”. Czuję ukłucie w sercu.

Kontynuujemy próbę. Wszystko idzie tak, jak trzeba. Nasz jutrzejszy występ powinien być standardowym sukcesem.

## 6.17

— Co się z tobą dzieje? — pyta Julia. Włącza lampkę nocną i przygląda mi się zszokowana i przestraszona.

Już wcześniej delikatnie ją ugryzłem, w szyję, w barki, w ramię, delikatne skubnięcia, które, nawet nie wiem jak, uwalniają oszałamiający zapach jej ciała; w zgorzknieniu mej namiętności sam nie wiem, co się stało. Czuję, że nie obdarzam jej miłością — nie jestem sobą.

— Jesteś szalony. Spójrz na te ślady.

Myślę: „Biedny Jimbo, co sobie o nich pomyśli, gdy wyjdzie po ciebie na lotnisko? Myślisz, że przyprowadzi ze sobą benettonowego misia, czy będzie już po dobranocce?”

Mój język jest tak samo brutalny jak zęby. Przygląda mi się i krzyczy — z wściekłości, z bólu, z niedowierzania; potem zasłania twarz dłońmi i włosami. Próbuję jej dotknąć. Odpycha moją dłoń.

Zaczyna płakać ze złości. Próbuję ją objąć, ale mnie odpycha. Próbuję coś powiedzieć, ale nie widzi moich słów.

Gwałtownie gasi światło i leży cicho w ciemności. Próbuję wziąć ją za rękę; odpychają. Całuję ją w policzek, w krawędź ust. Zlizuję jej łzy. Powoli się uspokaja. Znow biorę jej dłoń i wypisuję na niej przeprosiny. Po dwóch literach z pięciu rozumie i znow wycofuje swoją dłoń. Co może usprawiedliwić moje ostre słowa?

Co dziwne, szybko zasypia, a ja leżę bezsenne, rozżalony na nią i na świat, w którym jest osadzona, pełen wstydu i żalu za to, co zrobiłem.

Budzę się, gdy obejmuje mnie przez sen, ale wiem, że mi nie wybaczo-  
no. Na jej ramieniu pozostały siniaki. Zrobią się żółte i będą widoczne przez kilka dni. Jak można je usprawiedliwić?

## 6.18

Spacer na końcu świata, miejsce trzęsienia ziemi, samotność; osuwająca się ziemia i potop, pustelnia tego, który znalazł prawdziwy krzyż. W dniu trzęsienia ziemi narodził się słaby ksiądz, którego pisma poginęły, przechodząc z rąk do rąk do biblioteki o zaokrąglonych ścianach. Tam leżały, aż nastąpiła ekstaza nie znana aniołom i gołębiczy. Gdybyśmy byli delfinami, co byśmy grali? Gdybyśmy mieli cztery ręce, czy wyobraźnia Bacha byłaby bujniejsza? Niech nasze kciuki wyrastają w przeciwnym kierunku. Niech nasze zęby zastąpią wielorybie fiszbiny, niech kwitnie nasza planktonowa miłość, beztrudnie pluskajmy się i bawmy.

Żal i smutek łamią serce. Musi już być w 6D, niewidocznym i kołyszącym się na wietrze. Czy wylądowała, czy już wylądowała i właśnie sprawdzają jej dokumenty? Czy ma tyle centymetrów wzrostu, czy to jej znaki szczególne? Czy jej oczy są złote, a włosy błękitne? Urządziła mieszkanie

na szaro. Napisała *die Liebe* w moim notesie. Reklama campari wzywa z Lido i na jego widok śpiewam o pstrągu. Słońce zachodzi nad czerwonymi filarami w kolorze alg, a muzyka płynie po skalnych półkach i ławicach.

*Signora* Mariani może sobie myśleć, co chce. Hrabia Tradonico może doglądać swojego niesplika japońskiego i postawić stracha na wróble, by odstraszyć lawinę. Niech zadymiony Käll utrzyma się na Marsie, a Yuko wylewa łzy na grobie Beethovena. Niech lord posiadłości Rochdale zapakuje swoją trumnę do kajaka i wypłynie na w dół. Niech Zsa-Zsa śpi na poduszce łupacza w futerale wiolonczeli Marii. Niech pani Wessen żyje do tysięcznego księżyca. Niech Ysobel wygładzi swoje czoło. Nie pozwólmy łkać biednej Virginie. Niech wszystko i nic przeminie, bo jak ja sobie teraz poradzę?

Nie można cofnąć czasu ani odzyskać raz utraconego zaufania. Gramy tutaj w źle wróżącej nam szkole, gdzie krzyż mocno wychyla się do przodu, a jednak ludzie nas oklaskują. Gramy w upalnym słońcu; irysy więdną na ogrodzonym polu wielkości jednej szóstej Wenecji. Są tam dwa wielkie białe psy podobne do polarnych niedźwiedzi. Wiśnie są dojrzałe; wchodzę do lasu, całując je i zgryzając je z drzew.

Wyczerpałem swoje środki. Widziałem psa na łodzi, który był wciele niem psa Carpaccia. Widziałem go, był mały, biały, wierny i czujny. Zauważył wartość pereł pewnej kobiety, ocenił smutek nastolatka z plecakiem Invida. W ślimaczej dysleksji pod mostami wiła się litera S, na której cumowała ponura barka, a wesoły pies był jej ozdobą. Jego przednie łapy stały spokojnie. Moja dłoń została wstrzymana wtedy czy później? Każda bestia jest potem smutna, chociaż tak niewiele żałuje.

Spójrz, jak błyskawica wskazuje drogę nad czarną laguną do jasno oświetlonego kościoła, którego dwupostaciowa fasada jest ważna i nie tak ważna zarazem. Jest tam czcionka, którą wyryto i nazwano nasz wspólny los, chociaż ukłoniliśmy się i zwialiśmy. Piers, Helen, Billy, Alex, Michael, Jane, John, Cedric, Peregrine, Anne, Bud, Tod, Chad, James, Sergei, Yuko, Wolf, Rebecca, Pierre: jaki katalog statków i nasion napelni ten regiment, tę firmę, ten flak? Te wyspy są niespokojne i hałaśliwe. Półka zostaje przeniesiona za tę różowo-białą ścianę. Statek wycieczkowy bu-

czy, wróbel ćwierka. Zielona woda laguny, dziecięcy balon, dzwony z brązu. Czyta to z moich ust: jej własne błędą.

TLR

## CZEŚĆ SIÓDMA

### 7.1

—Witajcie w Londynie, witajcie, witajcie, witajcie. Podobno odnieśliście wielki sukces — mówi Erica. — Gratulacje, moje gratulacje, świetna robota! Lothar się wami zachwycił.

—Lothara tam nie było — odpowiadam, odsuwając słuchawkę od ucha.

—Wiem — przyznaje Erica nieco zawstydzona. — Był w Salzburgu, przepraszam, ale ze mnie idiotka!

—Obiad w Sugar Club, Erico?

—Nie, nie, po prostu pomyłka. Mam nadzieję, że Piers nie był urażony. Czasem obraża się w takich sytuacjach. Uważa, że ktoś powinien być na miejscu, rozmawiać z dziennikarzami i wpływowymi ludźmi. Ale koncert został dobrze zrecenzowany, więc musiał być udany. Chciałabym móc tam być, trzymać was wszystkich zawsze małe rączki, zwłaszcza podczas przerwy, ale tak to już jest, tak to już jest. Następnym razem!

—Kto ci o tym powiedział?

—O czym?

—O przerwie?

—Nikt, nikt. Usłyszałam coś tu i tam. Mały ptaszek, poczta pantoflowa... strasznie dramatyczne, muszę przyznać. Czasem taka jest cena fantastycznej gry, cała ta pływająca adrenalina, to znaczy pulsująca.

—Jak bardzo się to różniosło?

—Nie bardzo. Tak naprawdę, powiem ci w zaufaniu, wiem to od Lothara, a on dowiedział się od zarządu Musikverein. Uważali, że muszą mu powiedzieć; a on sam jest wzorem dyskrecji, co oczywiście spowodowało kłopoty z Piersem. Właściwie, *entre nous*, Piers zaczyna mnie męczyć, a słyszę, że i on ma mnie dość. Czy to prawda? — Erica nagle wydaje się bardzo czujna.

—Co chcesz przez to powiedzieć?

—No cóż, wiesz, ta twoja Julia. Powiedzieć czy nie powiedzieć. Lothar nie powiedział, a Piers poczuł się urażony, oszukany. Biedna dziewczyna jest głucha jak pień, z pewnością mamy prawo wiedzieć coś takiego.

Wiesz, jaki jest Piers. Myślisz, że próbuje się mnie pozbyć?

—Nie, nie sądzę, Erico. Jesteś wspaniałym impresariem. Skąd taki pomysł?

—Jestem agentem. Tylko agentem. Nikim więcej. Cóż, jest wiele spraw. Ostatnio *Kunst der Fuge*. Cóż, ja tylko wszystko sonduję — mówi Erica bez artyzmu, a może z artyzmem? — Piers nie jest szczęśliwym króliczkiem. Nigdy nie był, prawda? Chociaż słyszałam, że w Wiedniu po pracy był dość niegrzeczny. A ty byłeś grzeczny?

—Co masz na myśli, mówiąc „grzeczny”?

—Sam to zdefiniuj, spryciarzu, i odpowiedz.

—Nie, ty to zdefiniuj... A przy okazji, Julia nie jest głucha jak pień.

—Nie, nie, oczywiście, że nie, oczywiście, że nie, ale to by tak wspaniale pomogło w promocji. Lothar nie powinien być tego przemilczać. Co się kryje za tym smutnym uśmiechem? Gra jak anioł, ale nie słyszy ani nuty... Przy odpowiednim przygotowaniu można by zapełnić Albert Hall.

—Na litość boską, Erico! Co to ma być? Cyrk?

—To właśnie jest w was najtrudniejsze. — Erica wybiega myślami naprzód. — Jak wypromować kwartet? Kto tworzy kwartet? Jaka jest jego prawdziwa osobowość? Cztery niecharakterystyczne twarze. Gdybym tylko mogła rozszczepić wasze osobowości jak Spice Girls, znalazłoby się mnóstwo możliwych połączeń...

—Erico, naprawdę!

—Och, Michaelu, nie bądź takim sztywniakiem. Myślę tylko o sposobach zarobienia większych pieniędzy. Wiesz, pod tym względem Ysobel ma dużo sprytu. A przy tym jest taka wymagająca pod względem muzycznym, że jej to uchodzi płazem. Cóż, muszę kończyć.

—Popołudniowa drzemka, żeby to odespać?

—Ha! A co ty porabiasz?



—Ćwiczę na altówce. Przyzwyczajam do niej palce po tak długiej przerwie. Tyle że dużo więcej trzeba tu przechodzić. No i oczywiście jest jeszcze vibrato...

—Och, ty sprytna istoto... więc mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy... bądź grzeczny... i walcz o mnie, jeśli Piers będzie mówił złośliwości... pozdrawiam... czeeeść! — śpiewa Erica i szybko odkłada słuchawkę.

## 7.2

Ponownie przeżywam nasz ostatni dzień w Wenecji, Julii i mój.

Ja mam próbę, ona musi zdążyć na samolot. Schodzimy sobie z drogi, bojąc się konfrontacji. Zatapiamy się we wcześniejszą ciemność, tylko gorszą. Julia pakuje się, unikając mego wzroku.

To, co zrobiłem, było niewybaczalne, ale ja też nie jestem w pojedynczym nastroju. Poprzedniej nocy kochaliśmy się bardziej na jej życzenie niż na moje. A zaledwie kilka godzin później taki list do tego drugiego; tak, tak, on jest jej mężem, tak.

— Jak mogłeś przeczytać ten list? Jak mogłeś wmieszać w to Luke'a? Myślałam, że wszystko między nami dzieje się na innej płaszczyźnie.

A skąd to? Czy ja jestem sztaplarką?

— Nie nienawidzę jego. Nie nienawidzę ciebie. Jest mi przykro, że to zrobiłem.

Patrzy na mnie z niedowierzaniem.

— Będę musiała się gdzieś zaszyć i okłamać Jamesa. Już ciebie nie rozumiem, jeśli kiedykolwiek cię rozumiałam. Co znaczą twoje przeprosiny? Nie będę nawet mogła zobaczyć Luke'a.

— Ja też ciebie nie rozumiem... jeśli kiedykolwiek cię rozumiałem. Dlaczego się mną bawisz? Dlaczego zaprosiłaś mnie do siebie, żebym poznał twojego męża? Nadal jestem tym zdumiony. Dlaczego tu ze mną przyjechałaś, skoro wszystko między nami to tylko udawanie?

To *post mortem* zlewa się z tym wcześniejszym, muzycznym. Czyżby w tym konflikcie było więcej stron? Czy to coś więcej niż walka osobowości nauczyciela i ucznia? Depresja uczyniła mnie brutalnym. Poczułem się odcięty, nawet od niej. Mój związek z Carlem też zaczął się prawie jak miłość.

„Nie mogę w tej chwili z nikim się związać” — odpowiada na moje wyznanie — ale czyż mogłem to powiedzieć i więcej nic? Czy czułem się pomniejszony przez tę młodszą kobietę, gardząc własną ignorancją? „Myślałam, że wszystko między nami dzieje się na innej płaszczyźnie”. Nigdy nie uznawałem, nie uznaję tego, co ona uważa za oczywiste.

A teraz mówi mi o nie przeczytanych listach.

—Twoje listy były w Wiedniu, schowane w skrzyni. Znalazłam je w zeszłym tygodniu. To był ogromny szok. Prosiłam ojca, żeby mi ich nie przysyłał. Nie wiedziałam, że je przechowywał; musiały tam trafić z jego dokumentami. Znalazłam je wśród lalek i innych rzeczy, których moja matka nie posortowała ani nie wyrzuciła. Nie przeczytałam ich, nie mogłam. Bałam się, że obudzą się wspomnienia sprzed dziesięciu lat, teraz tylko w połowie prawdziwe.

—I dlatego zdecydowałaś się przyjechać ze mną do Wenecji?

—Nie wiem, tyle się wydarzyło; tak, również dlatego.

—Więc jednak je przeczytałaś.

—Nie, nie przeczytałam; zaczęłam czytać jeden. Wybrałam go na chybił trafił. Nie mogłam kontynuować. Nie.

Jesteśmy sami w tym mieszkaniu, w którym byliśmy tacy szczęśliwi. Pozwala moim dłoniom spocząć na chwilę na swoich ramionach. Zatem je przeczytała, poznała moje żywe wyrzuty sumienia i mój smutek. To jest wciąż prawdziwe.

—Michaelu, nie pisz do mnie.

—Zadzwonisz do mnie, a raczej przefaksujesz? A może wpadniesz?

— Nie wiem. Może. Tak, kiedyś. Teraz mnie zostaw. — Słyszę w tych słowach głos jej ojca, drobne kłamstewko, dzięki któremu łatwiej jest jej się oddalić.

Wychodzi, by wysłać faks. Wraca po godzinie. Niosę jej torby na przystanek. Prosi, żebym nie czekał. Odmawiam. Stoimy tam w milczeniu, aż przyjeżdża łódź, która zabiera ją na Lido, skąd pojedzie prosto na lotnisko. Wsiada szybko, bez żadnego pocałunku, nawet nie po to, by uniknąć sceny.

Idę na próbę. Nadal mieszkam w mieszkaniu na Sant'Elenie. Czytam, spaceruję i robię to co zwykle. Czy to właśnie się dzieje, kiedy twoje życie nie jest w twoich własnych rękach?

Tak, dotarłem tu, gdzie teraz jestem, z innego miejsca. Jestem poddany wyższym mocom — muzyce, kolegom, życiu kogoś, komu będzie lepiej beze mnie. Ale czy mogę teraz służyć muzyce? Czasem moje palce przesuwają się po książce, którą od niej dostałem, jakby czytały nieznaną formę brajla. Również tu, w Londynie, jest talizmanem, który daje mi spokój w tych tygodniach oczekiwania.

### 7.3

Książka w marmurkowszarej okładce leży otwarta na pulpicie w mojej kabinie; gram z niej pierwszy kontrapunkt, tym razem na altówce. Tak się składa, że zapis jest w kluczu wiolinowym, łatwym do odczytania.

Zdaliśmy sobie sprawę, że będziemy potrzebowali nie dwóch, ale trzech altówek do pracy nad *Kunst der Fuge*: zwykłego instrumentu Helen, specjalnej dużej altówki nisko przestrojonej i jednej dla mnie, by zagrać fragmenty poniżej zakresu skrzypiec. Nie mogę pożyczyć altówki Helen, ponieważ tak jak ona, też będę musiał ćwiczyć w domu.

Altówkę, na której gram, pożyczyłem od sprzedawcy. To dziwna przyjemność móc grać na większym instrumencie po tylu latach. Zapomniałem, a właściwie odzwyczaiłem się od takiego wysiłku.

Zaczynamy z pewnym zdziwieniem zdawać sobie sprawę, jak skomplikowane jest to przedsięwzięcie. Co właściwie ma zawierać nasze nagranie? W jakim porządku mają być zagrane różne fugi i kanony? Gdy gramy

tylko w trójkę, kto powinien grać najwyższy głos, Piers czy ja? Które fugi wymagają od Helen niskiego przestrojenia albo wymiany moich skrzypiec na altówkę? Jakie jest najlepsze tempo dla tych utworów, dla których Bach sam go nie określił?

Zdecydowaliśmy zostawić to wszystko Billy'emu. To on ma być naszym badaczem, mózgiem, reżyserem. Jeśli każe nam zagrać coś w nastroju pogrzebowym, to tak zagramy; jeśli szybko i bez zastanowienia, to tak będzie. Najpierw wypróbujemy jego sugestie, a potem możemy poprawiać, dopasowywać czy zmieniać. Wydaje się, że tylko ktoś z instynktem kompozytorskim może nas poprowadzić przez tę muzyczną gęstwinę. Piers to rozumie i akceptuje. Nie zdawałem sobie sprawy, że znów zgłaszał Erice swoje obawy na temat *Kunst der Fuge*.

W nadzwyczaj krótkim czasie — myślę, że pracował nad tym podczas pobytu w Wenecji — Billy przygotował blisko dwudziestostronicowy dokument, w którym zawarł większość naszych możliwych pytań na temat skrótów, kolejności, tempa, zamian, powtórnego strojenia, wariantów odczytania. Mówi w nim o manuskrypcie Bacha, wydanej w 1751 roku i opublikowanej rok po jego śmierci; o wątpliwej kwestii, czy chorał poddyktowany przez kompozytora, kiedy był ślepy i umierający, miał stanowić część utworu, podstawę wielkiej niepełnej „trzytematowej” fugi, która, gdyby była dokończona, z całą pewnością zawierałaby jako czwarty temat główny motyw utworu; o badaniach zamierzonego przez Bacha porządku, wykonanych zarówno na podstawie ogólnych zasad, jak i wytartych numerów stron w istniejących egzemplarzach pierwszego drukowanego wydania; a nawet o kilku tajemniczych sprawach dotyczących numeracji listów pisanych w imieniu Bacha.

Nasz wspaniały Billy ma również program komputerowy, który wygenerował partie dla Piersa, dla Helen i dla mnie w tonacji najdogodniejszej dla naszych instrumentów. Musiało go to kosztować całe godziny.

Nieczęsto ćwiczymy coś, nie przeczytawszy tego wcześniej razem, i na razie zagraliśmy jedynie pierwszy kontrapunkt. Jednak ta praca wymaga — zwłaszcza od Helen (i w mniejszym stopniu ode mnie) — dużo samodzielnej pracy, jeśli mamy zagrać płynnie. Więc po zagraniu pierwszego

utworu z książki Julii i przerwaniu po kolei wszystkich pustych stron, na których widziałem wodę, niebo i kamienie Wenecji, wracam do komputerowo wygenerowanej partii.

Przeglądałam ją godzinami, przygotowując się do naszej pierwszej próby, myśląc o nich i grając je, aż mój umysł i palce przyzwyczajają się do tego, co mam przed oczami i co brzmi w moich uszach.

## 7.4

Napisz do mnie słowa miłości i pociechy. Albo zostaw wiadomość na sekretarce. Albo pojaw się w moich drzwiach. Napisałem do ciebie; wiem, że faks przeszedł.

Jest czerwiec: wiewiórki gryzą niedojrzałe figi, zwiędłe kwiaty kasztanowca leżą zmiecione przy krawężniku.

Nie mam od ciebie żadnej wiadomości. Nie odpowiedziałaś na mój niechciany faks. Nie ma cię w mieście? Pojechałaś gdzieś z mężem, z jego matką i ze swoim dzieckiem? Czy dni tego malca w szarym blezerze i małej zielonej czapeczce są już policzone, przeliterowane i zauważone?

Gdzie się ukrywałaś przez ten tydzień? Czy wróciłaś do Wiednia, do domu matki, i tam spędziłaś dni, które mi zabrałaś? Nie mogę sobie wybaczyć. To nie wszystko, co ci zrobiłem.

Miejskie skwery są już jaskrawe od kwitnących złotokapów, a koło zatopionego ogrodu porośnięty grzybem głóg gęsto obsypały różowe kwiatki. Małe szare potwory maszerują szeregiem.

Uwielbiam biały głóg i fioletowy bez; jednak pewnie wkrótce zastąpią je inne kolory. Spaceruję tu i tam, a ty grasz dla mnie Bacha. Czy miłość jest taka lekka w gamie? Z okien autobusów patrzę na cokoly, kolumny i fasady budynków, widząc je jakby przez filtr: oto co zrobił dla Londynu wielki kamieniarz. Działania te wymagały czasu, ale ich efekty są trwałe.

Koty też widzę, w myślach i na jawie. Pewnej nocy zobaczyłem przy Arsenale kobietę i jednaście kotów, które wołała i karmiła. Rzuciła im z

torebki okruchy, a one mruczały z wdzięczności i pragnienia. Były dra-  
pieżne, chude i wyliniałe, nie jak ukochana Zsa-Zsa.

Powiedziałaś, że mam czekać na twój telefon. Jak długo musi czekać  
ktoś, kto dotknął cię po tylu latach? Patrz na mnie łagodnie tymi niebie-  
skoszarymi oczami. Tak, tak, możesz się uśmiechać, możesz się uśmie-  
chać i śmiać. Bądź rozsądna!

Potem przychodzi mi na myśl podwórko z suszącym się praniem i wista-  
rią, i ten pokój, w którym się kochaliśmy w tamtym tygodniu.

Kładę dłoń na swoim ramieniu w tym miejscu, gdzie spoczywała twoja  
głowa. Potem wymawiam twoje imię raz, dwa, trzy, cztery razy. Czasem  
tak śpię, wspominając cię; czasem zasypiam, dopiero kiedy zaczyna  
świtać.

## 7.5

Oto jestem u jej drzwi. Luke jest w szkole, gospościa walczy z trybem łą-  
czącym w Instytucie Francuskim, a James jest zajęty swoim liczydłem w  
Canary Wharf. Czy usłyszysz dzwonek? Musi istnieć jakiś mechanizm, bo  
podchodzi do drzwi. Próbuję odczytać z jej twarzy, czy cieszy się na mój  
widok. Tak i nie. Ale zaskoczenia nie widać. Wygląda na bardzo zmęczo-  
ną; ma ściągniętą twarz. Czy bardziej brakuje jej snu czy spokoju?

—Nie przeszkadzam?

—Chcę spędzić trochę czasu sama.

—Czy ktoś jest w domu?

—Nie. Czy mogłabym tak z tobą rozmawiać, gdyby był?

—Czy wybaczysz mi, Julio? Nie chciałem powiedzieć tego, co powie-  
działem, ani zrobić tego, co...

— Tak — odpowiada ostro.

—Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

—Powiedziałam, że tak. Nie roztrząsaj tego.



—Nie będę cię pytał, dlaczego nie przyszłaś. Ale czy nie mogłaś napisać?

—Po tym, co się stało, dlaczego miałabym i ciebie oszukiwać?

—Czy pokażesz mi dziś swój pokój muzyczny? — pytam po chwili milczenia.

Patrzy na mnie jakby wyczerpana. Nie mogła się spodziewać tego pytania, ale zachowuje się tak, jakby już nic nie mogło jej zaskoczyć. Potakuje, ale to milcząca zgoda — tak jakby wolny wybór ostatniego posiłku.

Idziemy po schodach do góry. Całe pierwsze piętro to jeden pokój. Obok nie używanego kominka stoi czarny steinway. Przy weneckich oknach biurko z widokiem na ogród. Na biurku moja niebieska żabka przycupnięta na stosie kartek do notatek, zwrócona w stronę nie dokończzonego listu. Odwracam wzrok.

—Ciężko pracujesz?

—Tak. Wiedeń był rozstrzygnięciem wielu spraw.

—Więc teraz będziesz już grała sama?

—Tak.

—Czy nie myślałaś o implancie w uchu?

—O czym ty mówisz? Nie masz o tym pojęcia — mówi coraz bardziej zła. Czy sądziłem kiedyś, że nie ma w niej złości?

Telefon w głębi domu dzwoni cztery razy, potem cichnie.

Widzę na fortepianie otwarte *Wariacje Goldbergowskie*.

— Zatem, skoro wszystko, co mówię, brzmi głupio, może coś zagrasz?

Natychmiast siada do fortepianu, bez protestu ani proszenia, i nie otwierając nut, gra wariację XXV, ale tak, jakby mnie nie było. Kończy, wstaje i zamyka klapę. Stoję z opuszczoną głową i zamkniętymi oczami.

—Gram pierwszy fragment *Kunst der Fuge* — mówię.

—Czy mógłbyś podnieść głowę? Dziękuję. Tak?

—Gram pierwszy fragment *Kunst der Fuge*. Na altówce. Z twojego manuskryptu.

Wydaje się zamyślona, rozproszona. Moje słowa wprowadziły ją w labirynt własnych myśli.



— Czy skopiowałabyś następną fugę do mojej książki? — pytam. Wca-  
le tego nie chcę, ale wydaje mi się, że tylko tak mogę z nią rozmawiać:  
poprzez litanię pytań i grózb.

— Za ciężko pracuję. — Nie rozumiem jej odpowiedzi.

— Chopin? Schumann? — pytam, myśląc o jej koncercie w Wigmore  
Hall.

— I inne rzeczy. — Nie chce tej rozmowy. Wydaje się niespokojna. Jej  
wzrok pada na biurko, gdzie siedzi niebieska żabka.

— Nie mogę bez ciebie zasnąć — mówię.

— Nie mów tak. Każdy w końcu zasypia.

— Więc co mam powiedzieć? — pytam dotknięty. — Jak tam w ogra-  
dzie? Co z twoim szumem w uszach? Jak się ma James? A Buzby? Luke?  
Właśnie, jak się miewa Luke?

— Codziennie rozwija się w akademickim, artystycznym, muzycznym,  
społecznym, duchowym, fizycznym i moralnym sensie — odpowiada ma-  
rzycielsko Julia.

— Doprawdy? — śmieję się. — To bardzo dużo rozwoju jak na tak ma-  
łego chłopca.

— Cytuję to z broszury szkolnej.

Całuję ją w szyję, gdzie nie ma już żadnych śladów.

— Nie, nie. Puść mnie. Nie bądź szalony. Nie chcę.

Podchodzę do okna. Kos skubie coś pod mokrym od deszczu krzakiem  
rododendronu. Być może czuje, że była zbyt surowa, bo zbliża się i bar-  
dzo delikatnie kładzie mi rękę na ramionach.

— Czy nie możemy być tylko przyjaciółmi?

Więc w końcu padają te słowa.

— Nie! — mówię, nie odwracając się. Nie odczyta mojego wzruszenia  
ramion.

— Michaelu, pomyśl choć trochę o mnie. — Wreszcie słyszę swoje  
imię.

Schodzimy na dół. Julia nie proponuje kawy.

— Lepiej już pójdę.

— Tak. Nie chciałam, żebyś tu przychodził — mówi, żałośnie patrząc mi w oczy. — Gdybym cię nie kochała, sprawy byłyby dużo prostsze.

Więc odwiedzi mnie? Czy mogę tu jeszcze przyjść? Bez względu na jej odpowiedź nie uspokoję się. Czy to nie miłość, która potrafi z gładkich rzeczy czynić szorstkie, a z szorstkich gładkie?

Bierze mnie za rękę, ale nie jest to wymuszony ceremoniał. Drzwi się otwierają i zamykają. Spoglądam w dół z najwyższego stopnia. Woda, na pięć stóp głęboka, płynie przez Elgin Crescent, a dalej przez Ladbroke Grove i przez Serpentine do Tamizy; piętrowe czerwone *vaporetti* dyszą jak parowce na Missisipi. Mały biały piesek siedzi na dziobie. Płyn z wiatrem i nie rób scen. Naucz się mądrości od małego pieska, który przypląwa z daleka i wie, że to, co jest, jest, a, o trudniejsza mądrości, tego, czego nie ma, nie ma.

## 7.6

Jesteśmy u Helen na próbie.

—Przechodzę na dietę — oznajmia Billy. — Powiedziano mi, że jestem za gruby.

—Nie! — wykrzykuje Helen. — To oszczerstwo.

—Lekarz mówi — wyjaśnia Billy — że mam dużą nadwagę i niebezpiecznie wysokie ciśnienie oraz że jeśli Kocham Lydię i Jango, to powinienem schudnąć, więc to właśnie będę musiał zrobić. Nie mam wyboru. W zeszłym tygodniu byłem na siłowni trzy razy i czuję, że już straciłem parę kilo.

Helen zaczyna się uśmiechać.

—To zbyt straszne — mówi Billy. — Powiedział „dużą nadwagę”... Nawet nie próbował być taktowny... Czy przejrzelście wszyscy moje notatki?

—Są wspaniałe — oceniam, a Helen i Piers potwierdzają moją opinię. Billy się rozchmurza.

Więc jesteśmy wszyscy razem. Znow mam swoją rodzinę.

— Wpisanie tych wszystkich partii musiało ci zabrać tygodnie — mówię.

—Och, nie. Po prostu zeskanowałem je z partytury, wyczyściłem, przystosowałem dziwny klucz i wydrukowałem. To zdumiewające, co teraz można zrobić. — Jego oczy rozbłyskują na myśl o możliwościach. — Mój program ma ustawienie playbacku zwane *espressivo*; kilka kontrolowanych nieregularności i nie zgadłbyś, że gra komputer, a nie człowiek. Wkrótce już zupełnie nie będzie można tego rozróżnić. Wykonawcy staną się zbędni...

—Myślę, że kompozytorzy nie — odcina się Piers.

—O tak — mówi Billy, radośnie kontemplując swoje własne starzenie się. — Weźmy na przykład fugi; już można komputerowo zrobić z nimi mnóstwo rzeczy. Powiedzmy, że chcesz powtórzyć temat fugi w dwunastym takcie, powiększony, odwrócony i z opóźnieniem o półtora taktu: przyciskasz kilka klawiszy i gotowe.

—Ale gdzie w tym wszystkim miejsce dla wyobraźni? Gdzie jest muzyka? — pytam.

—Och — wzdycha Billy. — To żaden problem. Po prostu wygeneruj mnóstwo kombinacji, spraw, by były harmonicznie spójne, i wypróbuj ich piękno na ludziach. Jestem pewien, że za dwadzieścia lat komputery prześcigną nas w tych próbach. Może nawet będziemy mieli formułę piękna opartą na testowaniu różnych parametrów. Nie będzie, oczywiście, doskonała, ale doskonalsza niż większość z nas.

—Obrzydliwe — mówi Helen. — Mrozące krew w żyłach. Coś jak szachy.

—Jak doskonalsza wersja szachów — Billy wydaje się urażony.

—Cóż — przerywa Piers. — Wracajmy do niedoskonałej teraźniejszości. To wszystko jest fascynujące, Billy, ale czy moglibyśmy zacząć?

—Pomyślałem, że moglibyśmy zacząć od czegoś, co nie wymagałoby od Michaela gry na altówce. To oczywiście nie jest żadne wotum nieufności...

Patrzę na niego uważnie.

— Nie, naprawdę — przekonuje Billy. — To po to, żeby wszystko uprościć, wiesz, uprościć, jak to tylko możliwe. A na początek chyba będzie lepiej, jeśli Helen nie będzie próbowała zagrać na większej altówce zestrojonej. Helen lekko kiwa głową.

— Więc — podsumowuje Billy — to zawęźa nasze możliwości do kontrapunktu piątego albo dziewiątego. Czy ktoś ma swoje preferencje?

— Ty jesteś szefem — wtrąca Piers.

— Och, w porządku — mówi Billy. — Numer pięć. Całość pizzicato.

— Co? — pyta cała nasza trójka prawie jednogłośnie.

Billy jest bardzo zadowolony z tego efektu.

—Co macie do stracenia? To zajmie najwyżej trzy minuty. Dobrze, Michaelu, zaczynaj — oznajmia nieco autorytarnie. — Oto tempo.

—Billy, jesteś stuknięty — mówię.

—Jeszcze nawet nie zagraliśmy gamy — zauważa Helen.

—Zapomniałem o gamie — przyznaje Billy. — Zagrajmy zatem gamę. Gama *d-moll*, pizzicato.

—Nie! — woła Piers, sprowokowany tym świętokradztwem.— Nie możemy zagrać gamy pizzicato. To byłaby trawestacja. Najpierw zagramy ją arco, a potem możesz robić z nami, co chcesz.

Więc najpierw gramy gamę, potem Billy każe nam ją wystukać, co jest dziwne, i wreszcie zaczynamy kontrapunkt piąty. Chociaż nie mamy prawdziwego poczucia długości ciągłych nut i stukane skrzypce brzmią żałośnie w porównaniu z wiolonczelą, kontrapunkt wyłania się z niezwykłą klarownością. Dodatkowo jest to jakby ćwiczenie na intonację. Nigdy nie robiliśmy tego, gdy ćwiczyliśmy pierwszy kontrapunkt na bis. Być może powinniśmy.

Billy przeprowadza nas stopniowo przez poszczególne fragmenty. Kolejny fragment gamy z vibrato, którego zwykle używamy. Trzeci fragment i kolejne wykonujemy prawie bez vibrato, w stylu, w którym, jak uważa Billy, powinniśmy nagrać albo wykonać utwór. Praca idzie wolno, ale jest odkrywczą. Mniej więcej po godzinie przechodzimy do drugiego utworu, który leży w naszym zakresie, i radzimy sobie z nim mniej więcej w ten sam sposób.

Potem nagle kwartet zostaje odmieniony —jego brzmienie, faktura, wygląd. Przechodzimy od razu do utworu, w którym Helen i ja musimy zagrać na głębszych, większych instrumentach. Wyglądamy i czujemy się dziwnie pozbawieni proporcji wobec siebie samych i wobec innych. Gram na pożyczonej altówce, a ona na czymś, co można chyba nazwać altówką tenorową. Wydobywa niezwykły dźwięk, leniwy, warczący, bardzo bogaty i dziwaczny, i nagle cała nasza czwórka śmieje się z radości, tak, z radości, bo świat zewnętrzny skurczył się w niebyt, gdy my kontynuujemy grę.

## 7.7

Przechodzimy od utworu do utworu w kolejności, jaką ustalił Billy. Zaplanowaliśmy sesję od godziny drugiej do szóstej, ale decydujemy się kontynuować po kolacji. Helen i Billy gotują makaron z sosem, a Piers i ja zajmujemy się winem, sałatką i nakryciem do stołu. Billy dzwoni do Lydii, że się spóźni; Piers też gdzieś dzwoni.

Ta przygotowana naprędce kolacja w domu Helen to pierwszy posiłek od miesiąca, który jemy razem, tak jak kiedyś często bywało. Dziwne, że zdarzyło się to właśnie w Londynie, a nie podczas trasy koncertowej. Ani w Wiedniu, ani w Wenecji nie jadaliśmy wspólnie. Tych kilku dni z Julią nie chciałem tracić ani dzielić. A nawet gdy wyjechała, wołałem być sam.

Billy odmawia dokładki. Fakt, że mamy przed sobą kilka następnych godzin grania, wydaje się nie mieć dla niego znaczenia. Wciąż jesteśmy podekscytowani tym, że gramy *Kunst der Fuge* i że czeka nas nagranie, i czujemy ulgę, że instrument Helen, tak nieprawdopodobnie nastrojony, okazał się wszystkim, czego moglibyśmy sobie życzyć; atmosfera przypomina więc bardziej świętowanie niż pracę.

—Dziecko Rebecki będzie miało na imię Hope — mówi Helen.

—Więc to będzie dziewczynka? — pyta Piers.

—Nie, nie są pewni. Nie chcieli się dowiedzieć. Ale i tak nazwą je Hope.

—Głupi ojciec, głupie imię — kwituje Piers. — Nie idę na chrzciny. Stuart to największy nudziarz, jakiego znam.

—Nie możesz zrobić przykrości Rebecce — mówi Helen. — Poza tym on nie jest nudny.

—Jest nudny. Jest jakby nudą z mikrofalówki. Jesteś znudzona na krucha w pół minuty. Nie, na mokro — dodaje Piers, mieląc ogromną ilość pieprzu na swój makaron.

— Czym się zajmuje? — pyta Billy.

— Czymś elektronicznym — mówi Piers. — I wciąż o tym opowiada okropnym nosowym głosem, nawet gdy nikt w pokoju nie ma zielonego pojęcia, o czym on mówi. Pochodzi z Leeds.

—Z Liverpoolu — prostuje Helen.

—Nieważne, w każdym razie z jakiegoś mało ważnego miejsca.

Kiedyś obruszyłem się na taką uwagę, ale to było wieki temu.

—Wymyślili specjalne szampony dla rudych — ciągnie Helen.

—To dobrze — mówi Piers ze świetnie udawanym zainteresowaniem.

— Bardzo dobrze. Opowiedz nam o tym więcej.

—Czy myślicie, że powinniśmy wystąpić kiedyś na scenie z *Kunst der Fuge*? — pyta Billy.

—Och, Billy, daj spokój — mówi Piers.

—Dlaczego? — pytam. — Omówmy to. To lepsze niż omawianie spraw Rebecki i Stuarta, których ani Billy, ani ja nie znamy.

—Nie wiesz, jakie masz szczęście — rzuca Piers.

—Rebecca jest naszą przyjaciółką od dzieciństwa — mówi Helen. — I była pierwszą dziewczyną Piersa.

—Wcale nie — zaprzecza Piers. — Tak czy inaczej, nie mam nic przeciwko Rebecce.

—Tak, uważam, że powinniśmy z tym wystąpić — mówię. — Nasz bis bardzo się spodobał.

—Ale czy widowni to nie znudzi? — pyta Billy. — Cały utwór jest w tej samej tonacji, a przynajmniej każda fuga zaczyna się i kończy w tej samej.



—Tak samo jest w *Wariacjach Goldbergowskich* — mówi Helen. — W każdym razie to tonika. Wszyscy pianiści wypełniają tym sale.

—Ale martwi mnie też tożsamość *Kunst der Fuge* — wtrąca Billy. — Jeśli chodzi o fakturę, jest to utwór popisowy. Z drugiej strony napięcie buduje się w nim stopniowo. Może powinniśmy zagrać p łowę...

—Dlaczego nie napisałeś o tym wszystkim w swoim raporcie, Billy? — pytam.

—Och, nie wiem, myślałem, że moje notatki i tak są już za długie.

—Nie są — mówi Helen.

—Osobiście uważam, i nie ma to nic wspólnego z Ysobel, wytwórną Stratus ani naszym kwartetem — dodaje Billy po chwili wahania — że smyczki idealnie wydobywają prawdziwe piękno fugi, po prostu idealnie. Wytrzymują nuty lepiej niż klawesyn czy fortepian. Lepiej wyrażają indywidualne linie. I w przeciwieństwie do, powiedzmy, instrumentów dętych, pozwalają się zatrzymać, tak jak dzisiaj zrobiliśmy z Piersem pod koniec pierwszego utworu, gdzie cztery części stają się sześcioma. Poza tym Mozart i Beethoven zgadzają się ze mną.

—Och, zgadzają się, doprawdy? — odzywa się Piers. — Kiedy ostatnio korzystałeś z niebiańskiego połączenia?

—Nie było takiej potrzeby. To powszechnie znany fakt, że Mozart instrumentował fugi Bacha na kwartet smyczkowy, a Beethoven zinstrumentował fugę Haendla.

Patrzemy na niego ze zdumieniem.

—To powszechnie znany fakt, tak? — w głosie Piersa brzmi groźba.

—Cóż, może nie we wszystkich kwartetach — mówi Billy z uśmiechem zadowolenia.

—Jeśli to prawda... — zaczyna Helen — to czy nie moglibyśmy zagrać teraz pierwszej połowy *Kunst der Fuge*, a potem, po przerwie, tych instrumentacji Mozarta i Beethovena? Byłby to wspaniały program i jednocześnie zapewniłby widowni różnorodność.

—Tak — mruczy Piers. — Zbudujmy całe nasze życie wokół programów fugalnych.

—Fugi dodają mocy głosom środkowym — zauważa Helen sprytnie.



—Dodają mocy, dodają mocy — wykrzykuje Piers. — Kto rozmawiał z tobą o umocnieniu? Nie, nic nie mów. Przeczuwam sandały.

—Och, Billy — mówi nagle Helen. — Zrobię deser idealny dla ciebie. Zajmie mi to dokładnie trzydzieści sekund.

Podskakuje, idzie do zamrażalnika, potem do mikrofalówki, włącza ją na dziesięć sekund, po czym stawia przed Billym talerz z pięcioma żółtymi czereśniami.

—Co to jest?

—Żółte czereśnie. Prawie żadnych kalorii.

—Ale co z nimi zrobiłaś?

—Zjedz je szybko, pytania później. Szybko.

Billy wkłada jedną do ust i przewraca oczami w ekstazie. Je kolejną i jeszcze jedną, w końcu zjada wszystkie.

—Są wspaniałe — mówi. — Na zewnątrz rozpuszczone, a w środku chrupiący sorbet. Wyjdź za mnie, Helen.

—Już jesteś żonaty.

—No tak. Jak to zrobiłaś?

—Kupiłam je, umyłam, zamroziłam, włożyłam do mikrofalówki. To tyle.

—Jesteś genialna.

—Nazywam je czereśnie mikrosorbet. Myślę o założeniu własnej szkoły kulinarnej.

—To byłoby świetne — mówię. — Szkoła kucharska kwartetu smyczkowego. Helen byłaby dyrektorem, Piers i ja studentami, a Billy świnką morską. Erica nie miałaby wtedy problemu z naszym wizerunkiem reklamowym.

—Dlaczego Erica chce nas reklamować?

—Och, uważa jedynie, że potrzeba nam czegoś, co przybliży nas szerszej publiczności. Trudno jest promować kwartety smyczkowe.

—To cała Erica — mówi Piers. Myślałem o niej. Myślę, że powinniśmy się zastanowić nad znalezieniem innego agenta.

Billy, Helen i ja sprzeciwiamy się, choć w różny sposób.

—Nie byłem zadowolony z tej trasy — wyjaśnia Piers. — Ledwo wyszliśmy na swoje finansowo, i cóż, były też inne sprawy. — Piers unika mego wzroku. — Teraz szykuje się kwintet klarnetowy z Cosmo. Już z nim graliśmy, więc wiemy, że jest w porządku, ale gdybyśmy nie wiedzieli, to co wtedy? Jak możemy ufać naszemu agentowi, jeśli nie informuje nas dokładnie?

—Erica nie wiedziała o Julii — przypominam. — Bądź fair, Piers. Lothar wiedział, ale uznał, że nie może powiedzieć. Jeśli myślisz o pozbyciu się kogoś, to chyba jego. Ale tego nie zrobisz, bo to najlepszy agent w Austrii.

— Poproszę jeszcze parę czereśni — mówi szybko Billy.

Helen przygotowuje więcej deseru własnego pomysłu i tym razem każdy dostaje porcję. Nalewa trochę grappy, którą kupiła w Wenecji, i dobra komitywa się odradza.

Zaczynamy drugą część próby. Ale nie mogę już zapomnieć o świecie na zewnątrz; podczas kilkusekundowych ataków paniki czuję, jakby zamykała się nade mną szara łazienka w Brahms-Saal.

## 7.8

Wracam do domu późno i sprawdzam wiadomości.

— Michaelu, tu James; James Hansen. Muszę z tobą porozmawiać. Proszę, zadzwoń do mnie do biura. — Słysząc szelest przewracanych papierów. Podaje swój numer i dodaje dość ostro: — Byłbym wdzięczny, gdybyś zadzwonił jak najszybciej.

Po tej jest jeszcze jedna wiadomość, ale jej nie rozumiem i muszę jeszcze raz przewinąć taśmę. Coś o nie oddanej książce do biblioteki. Zamykam i otwieram lewą dłoń, która trochę mi dokucza — próba była długa, a ja nie jestem jeszcze przyzwyczajony do altówki.

Dlaczego to on się odezwał, a nie Julia? Dlaczego chce, żebym zadzwonił do niego do biura? Co powiedziała mu Julia?

Moje myśli przerywa telefon. Kto dzwoni o tej porze? Jest już jedenasta.

—Halo? Michael? — słyszę głos ojca.

—Tato? Co się stało? Czy wszystko w porządku?

— Zsa-Zsa zmarła. Dziś po południu. Dzwoniłem do ciebie, ale włączyła się sekretarka. — Głos ojca jest płaczliwy.

—Tak mi przykro, tato.

—Nie wiem, co robić.

—Musiałeś ją uśpić?

— Nie. Położyła się pod stołem, jak zawsze po obiedzie, i godzinę czy dwie później znaleźliśmy ją tam.

— Och, tato. Tak mi przykro. Była wspaniałym kotem.

— Mogła umrzeć na moich kolanach. — Słyszę, że głos ojca się załamuje. — Pamiętam dzień, kiedy twoja mama ją nazwała.

—Jak się ma ciocia Joan?

—Jest zdenerwowana — mówi ojciec, próbując się pozbierać.

Biedna Zsa-Zsa. Stara, wierna, agresywna, podkradająca łososia, despotyczna, sprytna kotka. Miała długie i burzliwe życie.

—Tato, w przyszłym tygodniu przyjadę do was.

—Tak, przyjedź, Michaelu, proszę.

—Tato, przepraszam, że cię nie odwiedzałem... Gdzie planujecie ją pochować?

—To ciekawe, że spytałeś. — Mój ojciec ma już lepszy humor.

— Właśnie o tym rozmawialiśmy. Joan uważa, że powinniśmy poddać ją kremacji, ale ja chciałbym pochować ją w ogrodzie.

—Chyba nie w pobliżu krasnoludka?

—Nie w pobliżu krasnoludka?

—Nie — mówię stanowczo.

—Ale to i tak w ogrodzie Boydów.

—Wiem, ale dwa kroki od naszego i w jego stronę.

—Zatem gdzie sugerujesz?

—Na rabatce.

—Dobrze, pomyślę o tym — mówi ojciec. — Dzięki za telefon, Michaelu. Byłem bardzo zdenerwowany i gdybyś się nie odezwał, to ja na pewno zadzwoniłbym do ciebie mimo późnej pory.

—Ależ to nie ja zadzwoniłem — mówię i urywam. — Wszystko w porządku, tato. Do widzenia. Dobranoc, tato.

— Dobranoc, Michaelu — mówi ojciec i odkłada słuchawkę.

Czuję zmęczenie w umyśle, w dłoni i w sercu. Pograżam się w myślach: O czym chce ze mną rozmawiać jej mąż?

Śnię jednak o Zsa-Zsa. Mówię do niej, leżącej z głową na moim ramieniu: słuchaj, wiem, że to sen, Zsa-Zsa, i że nie żyjesz, ale jeśli się zgodzisz, to chciałbym, żeby trwał; i jakoś mi się to udaje.

## 7.9

Szybko wybieram numer do biura Jamesa Hansena, ale natychmiast odkładam słuchawkę. Po paru minutach znów dzwonię. Jego sekretarka mnie łączy.

—Dzięki za szybki kontakt, Michaelu — mówi. — Za niecały tydzień są urodziny Julii, jak być może wiesz, i urządzam dla niej przyjęcie; pomyślałem, że skoro jesteście takimi dobrymi przyjaciółmi, to może przyśzedłbyś... halo, Michael? Jesteś tam?

—Tak, tak. Dziękuję, Jamesie. Bardzo chętnie przyjdę.

—Zatem w środę koło siódmej. Ale to ma być niespodzianka i będę wdzięczny, jeśli nikomu o tym nie wspomnisz.

—A gdzie to będzie?

—W domu. Sąsiadka przygotowuje kolację, więc mam nadzieję, że uda mi się nie zdradzić przed Julią. Staram się nie zapraszać więcej niż tuzin osób, bo Julii trudno jest skoncentrować się w tłumie; dlatego nie zapraszałem twoich kolegów z kwartetu.

—Przecież ja wszystko rozumiem. Uważam, że to dobry pomysł.

—Mam nadzieję, że pogoda będzie lepsza niż dzisiaj.

—Tak.

—Cóż, bardzo się cieszę, że możesz przyjść. Do zobaczenia za parę dni. Miło było ostatnio cię spotkać.

—Dziękuję. Moje uszanowanie dla Julii.

—Cóż, to będzie musiało poczekać, nie uważasz?

—A tak, oczywiście. Ale jak ci się udało zdobyć mój numer?

—Jak każdemu. Z książki telefonicznej.

— Ależ oczywiście.

Odkładam słuchawkę, oszołomiony ulgą. Tak, pójdę, mówię sobie, będę musiał pójść, bo wszystko inne byłoby niewytłumaczalne. Co powie, kiedy mnie zobaczy? Jaki kupić jej prezent? Czy powiedziała Jamesowi o niebieskiej żabce, którą widział na pewno mnóstwo razy? Nie mogła. Z pewnością bym to wyczuł.

## 7.10

Nadchodzi środa. Prezent zawinięty w papier postawiłem na stoliku przy drzwiach. Cały się trzęsę.

Jednak dziś James nie jest ani zachwycony, ani serdeczny, lecz po prostu uprzejmy i chłodny. Pogoda jest cudowna i goście wychodzą do ogrodu, gdzie kwitną ciemne pnące róże. Kelnerzy nakrywają do stołu, a Julia, która nie ubrała się specjalnie na tę okazję, wygląda ślicznie.

Jak wytłumaczyć jego zachowanie? Czy coś się stało w biurze? Drobną sprzeczką? Gdyby to było coś innego, coś związanego ze mną, czy nie mógł zadzwonić i powiedzieć, że odwołuje zaproszenie? A może ja jestem po prostu na peryferiach jego spraw?

Julia śmieje się, rozmawia, zauważa mnie, ale wygląda na zmartwioną. Luke podchodzi do mnie i chwilę rozmawiamy. Co zjadł potwór, kiedy wyrwano mu wszystkie zęby? Dentystę. Buzby kręci się wokoło i Luke biegnie za nim. Staję z boku i obserwuję.

Po chwili Julia podchodzi do mnie i mówi bez przywitania:

— Michaelu, nie wiem, dlaczego James cię zaprosił, ale myślę, że dowiedział się o nas, nie wiem skąd. Przez kilka ostatnich dni nie był sobą. Jego wzrok spoczywa na nas z daleka.

— Myślę, że nie wiedział w zeszłym tygodniu — mówię. — Jesteś pewna?

Kiwa głową.

—Czy coś mówił?

—Nie, nie wprost.

—Niezbyt wesołe te urodziny.

—To prawda.

—Za parę dni jadę do Rochdale. Pojedź ze mną. Kiedyś mówiłaś, że pojedziesz tam ze mną, że chcesz zobaczyć, gdzie się urodziłem i wychowałem.

—Nie mogę, ani teraz, ani nigdy.

—Julio, nie jest dobrze, prawda? Co się dzieje?

—Nie wiem, co się stanie... Porozmawiam teraz z innymi gośćmi.

—Zostawiłem swój prezent na stole.

—Dziękuję. — Nie może spojrzeć mi w oczy. Co powie, kiedy odkryje, że to dwunastoletnie bonsai, które należy podlewać co dwa dni? Jeśli nie będzie o nie dbała, to z pewnością uschnie.

Czekam, aż wreszcie na mnie spojrzy, i mówię:

—Podam jakąś wymówkę i wyjdę. Ale proszę, odwiedź mnie.

—Tak, tak, przyjdę, tylko zostaw mnie, Michaelu.

—Dobrze. Pożegnaj się z Jamesem.

—Nie, nie rób tego — błaga. — Wmieszaj się w tłum i unikaj go. Nie wiem, skąd on wie. Może powiedziałam coś przez sen, może Sonia coś powiedziała, a może Jenny. Och, jakie to wszystko straszne.

—Julio, oboje jesteśmy przejrzyści.

—Naprawdę?

—Kocham cię. Czy to nie jest dość oczywiste? On nie czyta z ruchu warg, prawda?

—Muszę iść. Ale proszę, nie wychodź natychmiast. Będzie to dziwnie wyglądało. Zatem do widzenia, Michaelu.

Opuszcza mnie. Po kilku minutach towarzyskiej pogawędki z ludźmi, których nigdy nie poznam, żegnam Luke'a i przed wyjściem Jamesa.

—Pożegnałeś się z Julią? — pyta. — Musisz się z nią pożegnać.

—Powiedziałem jej, że wyjdę wcześniej.

—Jaka szkoda. Coś ci wypadło?

—Tak, mam trochę pracy.

—Nad czym pracujesz? — pyta. Czy on się ze mną bawi?

—Nad *Kunst der Fuge*. Mamy jutro ważną próbę i nie jestem dobrze przygotowany.

—Julia to lubi, jak zapewne wiesz. Czasem gra fragmenty. Bardzo subtelna muzyka, nie uważasz?

— Subtelna?

—Tak, dzieje się w niej dużo więcej, niż można dostrzec na pierwszy rzut oka. Oczywiście, nie jestem muzykiem; nie wiem, czy używam właściwych słów... ale Julia mówi, że ogólnie rzecz biorąc, cieszy się, że nie jestem muzykiem. To paradoksalne; gdybym nim był, mógłbym razem z nią grać. Z drugiej strony, gdy straciła słuch, być może nie nakłaniałbym jej do dalszej gry. To oczywiście kwestia hipotetyczna, ale z ulgą rozmawiam o niej z kimś, kto jest w to wprowadzony.

—Tak, tak mi przykro Jamesie. Muszę lecieć. Dziękuję. Świetnie się bawiłem.

Przygląda mi się i wyciąga rękę. Ściskam ją i wychodzę.

## 7.11

Zgodnie z obietnicą wybrałem się do Rochdale. Mój ojciec postarzał się od Bożego Narodzenia.

Jest druga po południu, siedzimy w Owd Betts i jego łyzy kapią na układaną warstwami solę. Na zewnątrz jest pochmurno. Na niebie nad horyzontem widać perliste światło, a na obrzeżach pobłyskiwanie.



— To tylko kot, Stanleyu — mówi ciocia Joan. — To nie Ada. Daj spokój, w swoim czasie widziałeś dość zdychających indyków.

— Ciociu Joan — protestuję.

— To mu dobrze robi — odpowiada oschle ciocia Joan bez serca. — Jest taki od kilku dni. Ani słowem się nie odezwie. To niezdrowe. I nudne. Twój przyjazd dobrze mu robi, kochanie.

— Mam nadzieję. Tato, może weźmiesz małego kotka? Przywiozę ci jednego.

— Nie próbuj tego — mówi twardo ciocia Joan. — Jeśli ja umrę pierwsza, to co się z nim stanie? A jeśli on umrze pierwszy, nie chcę mieć nic do czynienia z kotem.

Milknę, poruszony tą brutalną logiką. Uderza mnie to, że jedną z jej najbardziej godnych podziwu cech jest umiejętność radzenia sobie w momencie śmierci i pomaganie innym w stawieniu jej czoła. Być może to dlatego, że jej mąż był grabarzem w Balderstone.

— A z tobą co znowu? — pyta ciocia Joan. — Opuściła cię?

— Kto? — Odstawiam piwo.

— Kimkolwiek ona jest. Masz minę zbitego psa.

— Ciociu Joan, co właściwie się stało z tą parą, która pojechała do Scunthorpe?

— Cóż, on wziął rozwód i ożenił się z nią oczywiście. Ale biedna żona nigdy nie dostała pełnej sumy z ubezpieczenia sklepu. Ubezpieczalnia kierowcy ciężarówki wypłaciła trochę, a potem odmówiła wypłaty reszty.

Mój ojciec zaczął nucić jedną z bardziej nieprzyzwoitych piosenek Gracie Fields. Ubyło trochę ryby.

— W tamtych czasach nie było żadnego balsamowania — mówi ciocia Joan bez żadnego związku. — Dawali mu kieliszek whisky, kiedy szedł do tego domu, aby ubierać ciało. Żadnego balsamowania. Trzymali je w domu, a potem chowali.

Pojawia się cytrynowo-goździkowy pudding ojca w jeziorku sosu, ku jego oczywistej uciechu. Duch Zsa-Zsa już nie unosi się nad posiłkiem. Ciocia Joan powraca do swej zwykłej mieszanki plotek i żartów i przestaje nas dręczyć.

— Nie zapominaj, Stanleyu — zwraca się nagle do ojca, któremu już trochę poprawił się humor — że życie warte jest narzekania.

Podoba mi się tutaj, mimo że niemal uderzyłem głową o niskie belki, kiedy wchodziliśmy.

Owd Betts, restauracja na wrzosowiskach, na zakręcie drogi, jest dla mnie symbolem przyjaznej nadziei. Za szkolnych czasów wybraliśmy się z kolegą na sponsorowaną wycieczkę z Blackpoolu do Rochdale. Przywieziono nas autobusem, wysadzono na brzegu morza i powiedziano, że do domu mamy wrócić na piechotę. Kiedy smagani strumieniami deszczu, z odciskami, wyczerpani i głodni jak wilki, minęliśmy wreszcie Owd Betts, poczuliśmy pierwszy raz, że zbliżamy się do celu. Pamiętam szok w oczach mamy, gdy dotarłem do domu. Spałem trzy dni.

Myślę o tamtych czasach, tak odległych, gdy moje serce ani nie znało miłości, ani za nią nie tęskniło. Co bym sobie pomyślał, gdyby jakiś intruz zakłócił małżeństwo moich rodziców? James był zręczny; nie wspomniał o Luke'u.

—Zamierzam wrócić pieszo — mówię.

—Dlaczego, Michaelu? — pyta ojciec.

—Chcę zrzucić to piwo.

—Kto nas odwiezie? — dopytuje się ciocia Joan.

— Ty, oczywiście — odpowiadam z uśmiechem. — Ty nas tu przywiozłaś.

— Ale to tak daleko. Zabierze ci to kilka godzin.

—To tylko parę mil. Będę w domu wieczorem. Potrzebne mi to po bycie w Londynie.

—Cóż, nie miej do mnie żalu, jeśli spadniesz z hałdy — mówi ciocia.

Płacę, odprowadzam ich do samochodu i obserwuję, jak rusza dość niepewnie. Ciocia Joan może ma artretyzm, ale bardzo niechętnie odstępuje miejsce za kierownicą.

W pobliżu Owd Betts jest blokada drogi i policja w jasnozielonych kurtkach zawraca wszystkie pojazdy. Mężczyzna na małym jednokonnym wozie protestuje, ale bezskutecznie. Gdzieś musiał się zdarzyć wypadek. Porzucam drogę i wchodzę na wzgórze.

## 7.12

Z góry ledwie widać szczył Owd Betts, małą gospodę, drogę z jaskrami, ostem i zniszczonym przez pogodę pociemniałym żwirowym murem oraz jasnozielone kurtki policjantów.

Milkną odgłosy samochodów, ale mimo szalonego wiatru wciąż słyszę stuk końskich kopyt. Trochę kropi, ale na zachodzie widzę mały przebłysk błękitu.

Powietrze jest rześkie i ostre, a kępy trawy i czarna gleba tworzą subtelną szachownicę. Setki różnych gatunków traw, niektóre o miękkich końcach, niektóre z malutkimi białymi kwiatkami w kształcie gwiazdek; niskie krzaki z zielonymi jeszcze jagodami — wszystko faluje albo opiera się falom i podmuchom wiatru.

Zatrzymuję się w dolinie; kładę się, chociaż ziemia jest wilgotna; wiatr zamiera, horyzont niknie i nie pozostaje nic poza ciszą i niebem.

Gdzieś w oddali ryczy krowa, a potem daje się słyszeć jodłowanie, gwizd radości i energii, który przeradza się w oszalałą pieśń rosnącą wyżej i wyżej, podczas gdy niewidoczny skowronek wzlatuje w szare niebo.

Może zobaczę go, gdy znów będzie leciał w dół, ale musiałbym stać albo uważnie go wypatrywać; wolę leżeć i patrzeć na niebo przez palce.

Teraz widzę dwa, trzy, a teraz, chociaż niebo jest ledwie trochę jaśniejsze, całe legiony skowronków unoszące się z wilgotnej ziemi w lekko-myślnym kontrapunkcie.

Dlaczego skowronek nie może być sam, nie przybrany, z niczym nie porównywany nawet przez tych, którzy najbardziej go kochają?

*Typ mędrca, który zrywa się do lotu,*

*lecz nigdy nie błądzi*

*bez celu;*

*Wierny bliskim miejscom na niebie i ziemi!*

Och, ty ciężko myślący gościu.

*Jak wysoko urodzona dziewica  
W zamkowej wieży,  
Kojąca swą zbolatą od miłos'ci  
Duszę w sekretnej godzinie  
Muzyką słodką jak miłość,  
przepelniającą jej alkową.*

Och, ty tępy przygłupie.

*Wznosi się i zaczyna krążyć,  
Upuszcza srebrny łańcuch dźwięku,  
Z ogniw wielu, nieprzerwany  
W swiergocie, gwizdzie, drganiach, zgiełku...*

Tak, właśnie tak.

## 7.13

Zawiozłem panią Formby do Blackstone Edge i dalej, gdzie droga wcina się w pociemniałą skałę. Kończy się kamienny mur, dalej ciągną się bezkresne wrzosowiska, pylony maszerują daleko w hrabstwo Yorkshire.

Rozmawiamy o muzyce, którą przygotowuję z kwartetem. Kiedy mówię o zaplanowanym nagraniu, jej twarz się rozjaśnia.

Pyta, co tym razem sprowadziło mnie do Rochdale. Wspominam ojca, ciocię Joan i Zsa-Zsa. Poza tym, mówię, nie potrzeba ważnego powodu, żeby przyjechać do domu. Wydaje się nieszczęśliwa i zmieszana, a moje serce drży.

— Michaelu, jeśli chodzi o skrzypce, niestety nie mam dobrych wiadomości. Krew jest gęstsza niż woda i...

Kiwam głową.

—W rzeczy samej, moja krew jest trochę za gęsta. Mam nadciśnienie, chociaż nie rozumiem, dlaczego. Jestem dość spokojną osobą.

—Mam nadzieję, że dobrze się pani czuje.

—Tak, czuję się dobrze, mogłabym dożyć setki. Cóż, tak jak mówiłam, Michaelu, nie przepadam za swoim bratankiem, ale nic na to nie poradzę.

—Obawiałem się tego.

—A mimo to przyjechałeś mnie odwiedzić.

—Ależ oczywiście. A poza tym...

—Tak?

—Parę miesięcy temu poprosiła pani ojca o mój numer, więc spodziewałem się, że ma mi pani coś do powiedzenia.

—Nie miałam odwagi ci powiedzieć — odpowiada po chwili milczenia.

— Jak sobie poradzisz bez skrzypiec?

—Jeszcze tego nie przemyślałem. — Milknę na chwilę. — Kiedy mam je pani oddać?

Wydaje się zaskoczona, jakby nie zrozumiała pytania.

—Pani Formby, musi pani wiedzieć, że mam je tu ze sobą — mówię zdesperowany. — Zawsze je zabieram, kiedy jadę do Rochdale. Są pani własnością, zawsze były. Chciałbym jednak zapytać, czy mógłbym zatrzymać je jeszcze na kilka miesięcy, do zakończenia nagrania. Czy wyświadczyłaby mi pani tę łaskę?

—Ależ fundusz nie jest jeszcze powołany. W każdym razie będzie to dopiero za kilka miesięcy.

— Dziękuję.

— Nie, Michaelu, nie dziękuj mi. To musi być trudne.

Kiwam głową.

— Cóż, lepiej kochać i stracić, niż nie kochać wcale, prawda, pani Formby?

Co ja wygaduję? Dlaczego ona się uśmiecha?

— Jak ćwiczyćcie *Kunst der Fuge*?

Opowiadam jej o tym, jak Billy nad wszystkim pracuje, o altówce Helen i o mojej własnej grze na altówce, o wątpliwościach Piersa, o Ysobel Shingle i o Erice. Słucha uważnie.

— Jak nisko musisz zejść?

— Zwykle do F, ale czasami, w dwóch czy trzech utworach, do E albo D.

— Czy nie mówiłeś mi, że przestroileś najniższą strunę naszych skrzypiec do F podczas recitalu w Wigmore Hall i że udawało ci się grać na niej instynktownie w tym nastrojeniu.

— Tak.

— Dlaczego teraz nie zrobisz tego samego?

Przyglądam się jej. Właśnie. Dlaczego? Właściwie sam o tym myślałem, ale nigdy naprawdę poważnie. Miałoby to swoje zalety; oprócz tych trzech fragmentów, gdzie muszę zejść tak nisko, że potrzebuję altówki, mógłbym przez cały czas grać na skrzypcach. Faktura gry kwartetu byłaby bardziej spójna. Z drugiej strony, byłoby to dość dziwne, grać w nastrojeniu wariacyjnym częściej niż w standardowym, zwłaszcza że mogłoby to rozstroić skrzypce.

Ale teraz najważniejsze jest to, żebym grał na tych skrzypcach, wszystko jedno jak nastrojonych, tyle ile się da podczas tych kilku ostatnich miesięcy.

— Pani Formby, uważam, że to naprawdę dobry pomysł.

— Tak mi przykro, Michaelu. Nie chcę, abys myślał, że nie wiem, co czujesz.

— Nie, pani Formby. Proszę tak nie mówić.

Opowiadam jej o wczorajszym spacerze i o skowronkach. Jej oczy za grubymi szklami okularów rozszerzają się i uśmiechają.

— „Wznosi się i zaczyna krążyć” — deklamuje.

— „Upuszcza srebrny łańcuch dźwięku” — kontynuuję i recytujemy tak co drugą linijkę bez żadnego błędu.

— „Aż jego wietrzne skrzydła znikną w świetle” — mówi wreszcie i wzdycha.

Milknę, a po chwili ona prawie bezgłośnie mruczy ostatni wers.

## 7.14

Jakie zatem są moje aktywa, moje środki? Smyczek jest mój, mam meble, książki, 4000 funtów oszczędności i część obciążonego hipoteką mieszkania. Niestety, nie mam samochodu ani patrona.

Po powrocie do Londynu rozmawiam z Piersem, który sam szuka instrumentu.

Mówi mi o funduszu, który udziela drobnych nisko oprocentowanych pożyczek muzykom pragnącym kupić instrument. Jednak są to za małe kwoty.

Czy mój bank mógłby mi pomóc? Gdybym zapłacił za skrzypce, być może mógłbym je zatrzymać.

Przez ostatnie dwa lata odwiedził wszystkich sprzedawców w Londynie, ale wśród instrumentów, które mu się podobały, nie znalazł takiego, na który byłoby go stać. Teraz bywa na aukcjach instrumentów w nadziei, że szczęście mu dopisze. Mówi, że powinienem zrobić to samo; możemy razem oglądać instrumenty i licytować te, które nam się podobają i na które nas stać. Czy jestem tym zainteresowany? Ale ostrzega, że to może złamać mi serce; jak na razie podobały mu się trzy pary skrzypiec i za każdym razem został przelicytowany.

A może Sanderson mógłby zrobić dla mnie instrument na wzór moich skrzypiec? Tych skrzypiec; tych skrzypiec. Przyzwyczajaj się.

Czas nie będzie mi sprzyjał. W przeciwieństwie do Piersa nie pomnażam tego, co już mam. Pod koniec tego roku zostanę z pustymi rękami.

## 7.15

Jednak idę do banku. Przedstawiam sprawę. Proszą o dokumenty i potwierdzenia. Wracam po dwóch dniach.



Spotykam się z wesołym młodym mężczyzną, z którego słownictwa wyparto pierwszą osobę liczby pojedynczej. Ściska moją dłoń. Proszę usiąść. Nie uznajemy biurek. Kawy? Tak, i cukier proszę. Obserwuję otoczenie i plamki na tęczęwkach jego przyjaznych, a jednak bezlitosnych oczu. Dowiaduję się, że bank zapoznał się z moją sprawą. Bank docenia fakt, że nigdy nie byłem zadłużony. Bank ceni mnie jako stałego klienta. Bank mi nie pomoże.

Dlaczego? Dlaczego? Czyż to nie jest moje narzędzie pracy? Czy nie cenicie mojego słowa ani zaufania?

Pan Morton — tak się chyba nazywa — wyjaśnia, że moje dochody są niskie i niepewne. Nie mam żadnych związków instytucjonalnych. Nie jestem nawet stałym członkiem Camerata Anglica. Bywam tylko wzywany na zastępstwo, gdy zajdzie taka potrzeba. Moje raty hipoteczne są zbyt wysokie. Bank uważa, że połączenie istniejących już rat hipotecznych i szacowanych rat za pożyczkę na dość drogi instrument pozostawiłoby mi bardzo mało pieniędzy na bieżące potrzeby. Tak się składa, że bank robi to głównie w moim interesie.

Ale z pewnością w moim interesie leży spłacenie pożyczki, której mi udziela.

Czy ktoś zapewni nam płatność rat, jeśli pana sytuacja finansowa się pogorszy? Cóż, panie Holme, jest nam przykro, ale nasza polityka. .. Więc to tak? Stracę ich dotyk, ich dźwięk, ich widok? Naprawdę nie mogę znieść tej myśli, panie Morton. Mam je, odkąd pamiętam. Norton.

Bardzo przepraszam, bardzo pana przepraszam. Formularze zgniotły się w moich rękach.

Proszę się uspokoić, panie Holme; spójrzmy na pańskie aktywa. Może zastanowiłby się pan nad sprzedażą mieszkania? Bank ma powiązania z firmą zajmującą się sprzedażą nieruchomości. Bank z przyjemnością by pomógł.

Potrzebuję okna. Gdzie jest?

Jednak bank powinien pana ostrzec, że pańska własność nie jest znaczna, że rynek nieruchomości jest zmienny, i że są z tym związane, jak pan zapewne zdaje sobie sprawę, pewne koszty i prowizje.

A zatem to właśnie muszę zrobić? Czy jest jakieś inne wyjście? Może to wina komputera? Albo głównego biura? Dlaczego w biurze kierownika nie ma żadnego okna? Czy to też polityka? Dlaczego ten przedmiot z drewna tak mnie rozstraja?

A może ktoś potrafi je odtworzyć z drewna zarazem twardego i miękkiego; polakieruje żywicą z lasów weneckich: sandarak, damara, mastykowiec, kalafonia. Nastroi je trzewiami bestii. Trzysta lat potu i łez, rok za każdy dzień, trzysta lat muzyki zaśpiewa przez jego węzowe usta i znowu będą moje; unikat zostanie zreplikowany.

Mogę też chodzić z Piersem na aukcje i wyciągać dłoń z numerkiem — chcę je; albo te; albo tamte.

Pragnę mojego tononiego, ale jest zbyt drogi. Mogę sprzedawać, błagać i pożyczać, ale tyle nie uzbieram.

## 7.16

Mój drogi Michaelu,

powiedziałam, że Cię odwiedzę, ale nie mogę. Już nie mogę znieść tego napięcia. Ostatnio nie mogę nawet grać na fortepianie. Wydaje się, jakby serce przestawało mi bić, kiedy gram.

To wszystko mnie przytłacza. Proszę, nie odpowiadaj na ten list ani nie proś mnie o wyjaśnienie. Nie mogę obiecać, że zawsze będę Cię kochać. Zabrzmiałoby to fałszywie. To żaden fałsz; ale co Tobie albo mnie po tym, że to powiem?

Czuję się więźniem własnego umysłu i swojego pokoju. Widziałeś go już, więc możesz sobie mnie wyobrazić przy biurku albo przy fortepianie. Chciałam, żebyś go zobaczył, ale jesteś tu teraz za bardzo, tak jak w całym moim życiu. Muszę się znowu nauczyć spokoju, dla siebie samej, dla Luke'a i dla Jamesa, który wygląda na zagubionego i zmęczonego. Stałam się przy Tobie niespokojna, niepewna, pełna trwogi i poczucia winy, pełna zarazem radości i bólu. Wszystko to jest jedynie moją własną winą. Nie

pytaj o nic, bo nie potrafię Ci odpowiedzieć. Wiem, że nie mogę się z Tobą zobaczyć ani pogodzić z myślą o takiej możliwości.

Po moich przejściach jak nikt inny powinnam była wiedzieć, że nie da się powtórnie przeżyć życia. Nie powinnam była przyjść wtedy za kulisy. Proszę, wybacz mi i jeśli nie możesz o mnie zapomnieć, tak samo jak ja nie mogę zapomnieć Ciebie, przynajmniej myśl o mnie coraz mniej każdego dnia i każdego roku.

Całuję — tak, wiesz, co czuję. Równie dobrze mogę znowu to napisać

—

Julia

## 7.17

To nieprawda. Ale widziałem, jak list wpada przez klapkę. Ujrzałem jej pochyłe pismo i otworzyłem kopertę.

Winda. Nie. Zatrzymaj się, wezwij go, odnieś list. Wycofaj z poczty, wyciśnij, rozmyśl się.

Julio, przemyśl to raz jeszcze, na litość ludzką i boską, w którą tak wierzysz. Będę na to głuchy, zignoruję to. Co ty na to? Nie przeczytam tego powtórnie, chociaż właśnie to robię. Włączę Schuberta. Kwintet *Pstrąg*, beztroski i giętki, małe rybki wyczarowane z przepastnych głębin. Grałaś to i to, i to. Krztuszę się od tego. Pośpiesznie się gołę. Zacinam się, ale patrz: policzek znów jest gładki, czysty i cały. To nie powinno ani nie musiało się zdarzyć.

Pojadę piętrowym autobusem i znajdę cię tam gdzie kiedyś, na zatłoczonej ulicy. Letnie liście przykrywają Serpentine. Tylko oczyma wyobraźni mogę zobaczyć wodę. Ufam w twoją dobroć. Czy pozwolisz żyć roślinie, którą oddałem ci pod opiekę? Nie wspomniałaś o niej ani słowem.

Anioł Selfridges nie jest dla nas hojny. Czyżbyśmy go obrazili?

Chodnik dookoła mnie jest zaśmiecony czarnymi kawałkami gumy do żucia. To nie jest to miejsce.

Znam twój adres, więc teraz w jasnym świetle dnia stoję u twych drzwi.

## 7.18

Julia staje przede mną z synem u boku. Słyszę jej głos. Same słowa mnie nie obchodzą.

Luke mnie wita, a ja uśmiecham się, nie słysząc i nie rozumiejąc.

—Czy nie powinieneś być w szkole? — pytam.

—Są wakacje.

—Pożyczę na chwilę twoją mamę, Luke. Musimy omówić pewne sprawy muzyczne. Czy jest twoja niania? Dobrze. Obiecuję ją przyprowadzić.

— Cz mogę też pójść? — błaga.

— Nie, Luke — potrząsam głową. — To nudne. Gorsze niż gamy. Ale bardzo ważne.

— Mógłbym się bawić z Buzbym.

— Kochanie, to nie jest dobry pomysł — tłumaczy Julia. Zapomniałam, że muszę wyjść. Wkrótce wrócę. Och, Michaelu, zapomniałam, mam jeszcze twoją płytę.

— Mogę ją odebrać później.

— Nie, lepiej teraz — mówi lekko. Uśmiecha się do Luke'a i wraca po chwili z nagraniem *Kwintetu smyczkowego* Beethovena w białej okładce.

—Julio, zatrzymaj ją. — Ta natarczywość jest daremna.

—Nie, Michaelu — wpycha mi płytę do ręki.

—Wkrótce, to znaczy kiedy? — Luke wdaje się zaniepokojony.

—Za godzinę, kochanie — mówi Julia.

Wchodzimy do parku, gdzie preżą się i krzyczą pawie. Jej wyraz twarzy mówi: zgadzam się na godzinę, nie więcej, i wszystko wyjaśnię. Nie będzie żadnych dramatycznych scen. Siadamy w ogrodzie japońskim, na łagodnym zboczu, w pobliżu wodospadu.

—Powiedz coś, Julio.

Potrząsa głową.

—Powiedz coś. Cokolwiek. Jak mogłaś to zrobić?

—Jak ty mogłeś to zrobić?

—Musiałem cię zobaczyć.

Znowu potrząsa głową.

—Możesz ćwiczyć? — pytam.

—Michaelu, nie chcę cię więcej widzieć.

—Jak tam szum w uszach?

—Nie słyszałeś, co powiedziałam.

—Nie słyszałaś, co ja powiedziałem? Co z twoim szumem w uszach?

Jak się czujesz? Słyszysz lepiej czy gorzej? Czy znowu ze mną zagrasz?

Mam kłopot z tononim. Julio, muszę wiele przemyśleć.

—Michaelu, nie możesz mnie zmusić z powodu swoich kłopotów, abym grała z ludźmi.

—Z ludźmi?

—Z kimkolwiek. Nie, już nigdy nie zagram z nikim innym.

—Co on dla ciebie znaczy? Czy tyle co ja?

—Michaelu, przestań.

—Co się z nami dzieje?

—Z nami? Z nami? Z jakimi nami?

—Julio.

Zamykam oczy. Pochylam głowę. Szumi mi w uszach.

—Nikommu cię nie odbieram — mówię w końcu. — Byłbym szczęśliwy, gdyby chociaż...

—Jedziemy na miesiąc do Bostonu.

—Skąd wiesz, że on wie? — Gładzę dłonią trawę.

—Jest zraniony. Widzę to i nie mogę tego znieść. W najgorsze dni, kiedy ledwie mogłam poznać siebie w lustrze, w jego oczach widziałam, że jestem sobą. Pomógł mi przez to przejść. Umiem go odczytać, Michaelu.

—Jak się dowiedział?

—Michaelu, czy ty nie rozumiesz, że to nie ma żadnego znaczenia? Być może nikt niczego nie powiedział. Ludzie, którzy mieszkają ze sobą przez lata, potrafią wyczuć takie rzeczy. Być może usłyszał fałsz w moim głosie.

—A ty słyszysz fałsz w jego głosie?

—Michaelu!

—Poradzisz sobie beze mnie, Julio. Ja bez ciebie nie.

—Michaelu, nie utrudniaj wszystkiego.

—Czy kiedykolwiek z nim tańczyłaś?

—Tańczyłam? Co to za pytanie? Powiedziałeś „tańczyłaś”?

—Kochasz go?

—Tak. Tak. Tak. Oczywiście, że tak.

—Ale wyszłaś za niego... — urywam.

—Żeby się zemścić?

—Nie to chciałem powiedzieć.

—Właśnie że to. Albo coś w tym sensie. To tylko częściowo prawda.

Spodobał mi się. Nie jest tak niestały jak ja. Nie jest tak humorzasty jak ja. Nie zadaje bezsensownych pytań. Pocieszał mnie. Uszczęśliwił. Nie pozwolił mi zwariować. Dodał odwagi.

—A ja nie mogę? Ja ci tego nie dałem?

—Teraz jego kocham. Nie mogę bez niego żyć. Po co to wyjaśniać? Jest jeszcze Luke. Byłam taka głupia, gorzej, byłam egoistką, byłam taka bezmyślna. Wiesz, Michaelu, nie dam sobie rady. Wygląda, że tak, ale nie. On nigdy nie słyszał, jak jego rodzice rozmawiają ze sobą wieczorem po zgaszeniu światła. Wszystkie dzieci to słyszą. Nienawidzę własnej głuchoty. Gdybym była ślepa, radziłabym sobie lepiej. Gdyby nie muzyka, rozsypałabym się.

Nie nadążam za tym, nie rozumiem. To idzie za daleko w głąb naszych oddzielnych losów.

—Jesteś jedynakiem, tak jak ja; to część tego wszystkiego — mówi już trochę spokojniejszym głosem.

—Częścią czego? Częścią problemu?

—Chcę mieć jeszcze jedno dziecko. Luke potrzebuje kogoś, z kim mógłby mnie dzielić, albo wyrośnie na egoistę, tak jak ja.

—Dlaczego nie zastosować tej samej logiki do Jamesa? Dlaczego on nie potrzebuje kogoś, z kim mógłby cię dzielić?

Nie zadaje sobie trudu, by odpowiedzieć na to pytanie.

—Muszę wracać — stwierdza.

—Więc mamy się już nigdy więcej nie zobaczyć?

—Tak.

—Oczywiście będziesz się za mnie modlić, tak jak to robiłaś na Torcello.

—Tak. Tak. — Płacze, ale nadal musi na mnie patrzeć, by móc odczytać moje słowa.

—Dziwny jest Bóg, który uczynił cię głuchą.

—Co za tania i łatwa myśl.

—Być może. Ale niełatwo ją podważyć.

—I okrutna.

—A myślisz, że jaka ty jesteś? Uważasz, że jestem porcelanową żabką, którą możesz podnieść i roztrzaskać, kiedy przestanie ci się podobać albo gdy zdecydujesz, że jest ci z nią niewygodnie? Jak mogłaś napisać taki list, Julio? Czy nie mogłaś przynajmniej...?

—Proszę wstać z trawy. Proszę wstać. — Poważna mała policjantka robi regularny obchód zakazanych miejsc. Pary się rozpraszają. My też wstajemy.

—Dlaczego? — pytam zdziwiony. — Dlaczego?

—Tam jest tabliczka. NIE WCHODZIĆ NA TRAWĘ. Proszę.

Poza trawnikiem leżą gładkie kamienie otaczające staw.

—A kamienie? — pytam.

—Kamienie? — Policjantka się odwraca.

—Nie ma tabliczki dotyczącej kamieni, prawda?

— Michaelu — mówi Julia, kładąc mi rękę na ramieniu. — Nie kłóć się z nią. Proszę. Chodźmy.

—Dzięki, Julio. Żyję teraz własnym życiem.

—Mówię do pana, zejść z kamieni.

—Jeśli nie ma przepisu, to co znaczą pani krzyki? Co by pani zrobiła, gdybym stanął na kamieniu?

—Spisałabym pana dane — odpowiada, wskazując na mnie palcem.

Odchodzi i znika na ścieżce. Otrzepujemy się i stajemy naprzeciwko siebie. Nie pocałuję jej. Potrzebuję spokoju. Podejdę do brzegu i dotknę gładkich okrągłych kamieni.



Julia raz jeszcze podaje mi płytę. To muzyka, którą kiedyś oboje kochaliśmy. To właśnie straciłem, a potem odzyskałem.

Spoglądam na nią, potem na Julię, i wrzucam przeklętą płytę do stawu.

Tonie. Nie odwracam się, żeby zobaczyć wyraz jej twarzy. Zostawiam ją tak i odchodzę.

## 7.19

Ulice są hałaśliwe. Siedzę w swoim gnieździe ponad światem. Wiatr uderza w szyby, ale oprócz tego nic się nie dzieje.

Mój wzrok pada na jej książkę, na jej nóż do papieru. Nie, zostawię je, po co się mścić na przedmiotach?

Nie ma żadnych wiadomości na sekretarce. Wyłączam ją. Od czasu do czasu dzwoni telefon. Nie odbieram. Ktokolwiek to jest, rezygnuje.

Siedzę i pozwalam niebu ściemnieć.

Na zewnątrz robi się szaro, ale w pokoju jeszcze nie jest zimno. Posiedzę w ciszy z opuszczoną głową. Może, porzuciwszy nadzieję, znajdę spokój.

## 7.20

Telefon dzwoni bez przerwy, doprowadzając mnie do szału. Pozwalam mu dzwonić. Dzwoni dwadzieścia, dwadzieścia pięć razy, a każdy dzwonek wwierca mi się w mózg. Wreszcie podnoszę słuchawkę.

—Tak? Halo.

—Czy to London Bait Company? — mówi kobiecy głos.

—Co?

—Powiedziałam: czy to London Bait Company? Dlaczego nie odbiera pan telefonu? — Jej głos jest ryczący i obrzydliwy.

—Ma pani na myśli *bait* jak „przynęta na ryby”?

—Tak, oczywiście.

—Tak, to London Bait Company. Czego pani sobie życzy? — Mój głos musi się wydawać szalony.

—Haczyków na pstrąga.

—Haczyki na pstrąga? Nie polecam.

—Dlaczegoż by nie?

—Pstrąga lepiej połaskotać.

—Nie prosiłam pana o radę...

—Jestem tu nowy. Jakich dokładnie haczyków na pstrąga pani potrzebuje?

—O co, do cholery, panu chodzi?

—Mamy małe, średnie i duże; o smaku kawy, czekolady i lukrecji; przegowane, z fakturą, bardzo mocne...

—Słuchaj pan, to jest London Bait Company, tak?

— Cóż, nie, tak się składa, że nie, ale sądząc z liczby telefonów, równie dobrze mogłoby być.

— Jak pan śmie mówić do mnie takim tonem?

—Czy mogę pani przypomnieć, że to właśnie pani do mnie zadzwoniła? Kusi mnie, żeby wykręcić 1471, zdobyć pani numer i co noc o północy puszczać pani *Die Forelle*.

—To jest absolutnie nie do zniesienia. Poskarżę się na pana kierownikowi, nie, policji.

—Może pani robić, co się pani cholernie podoba. Proszę tylko przestać tu wydzwaniać. Miałem ciężki dzień, dzień, którego nie życzyłbym nawet pani. Opuściła mnie miłość mojego życia, a policjantka zagroziła, że mnie zaaresztuje, więc pani groźby mnie nie przestraszą. I nie polecałbym haczyków na pstrąga, bo według najnowszych badań, droga pani, 99,93 procent z tych, którzy używali haczyków na pstrąga w 1880 roku, w następstwie tego zmarło.

Po drugiej stronie słuchawki słychać westchnienie i następuje cisza na linii.

Wyłączam dzwonek i siedzę, godzina za godziną, wsłuchując się w ciszę i na nic nie czekając.

TLR

## CZEŚĆ ÓSMA

### 8.1

Jedynie rutyna trzyma mnie przy życiu. Spotykamy się i splatamy nasze cztery głosy. Gram, jestem chwalony przez kolegów, kłaniam się; jedynie smutek pozwala mi podążać czysto po tych liniach. Moje skrzypce wyczuwają, gdy zbaczam z toru, i trzymają mnie na ścieżce, która prowadzi wprost do celu. Zostało nam niewiele miesięcy.

Świt, zmierzch. Grzecznie ćwiczę to, co trzeba. Znów się pojawia szalony fan prześladowający nas swoim uwielbieniem. Czy nic nie można z nim zrobić? Co zamknęło oko Helen? Za kulisami jesteśmy przesłuchiwani i wypytywani. Jestem poza tym wszystkim.

Moje skrzypce, jestem smutny jak wy, a jednak dziękuję księżycowi za te kilka miesięcy łaski. Wasze struny są prawdziwe. Jak uśmiechnie się do was dyplomowany rzeczoznawca budowlany? Da was do oszacowania i podzieli na części pomiędzy swe córki. Wasze złote ziarno zapełni jego konto. Jak gęsta, jak kwaśna musi być krew, jeśli niszczy prawdziwą więź?

Nocą muszę używać alfabetu dla głuchoniemych. Jedna dłoń będzie rozmawiać z drugą i będą się rozumiały. Dotyk namacalny, pełen uczucia, zmysłowy, rozsądny, wrażliwy. Dwa odczucia pozostawiam nie wypowiedziane: czuły i cielesny. Dwa inne mi umykają — zmyślny, rozumny — gdyż nie jestem pewien ich znaczenia; zatem jest ich dziewięć. Co się tyczy sensoryjny, to wątpliwy przypadek i zostawiłbym jeden palec bez odnośnika. Ona potrafi grać obiema dłońmi, czego ja nie potrafię, ale co zainteresuje jej stereorzęski w ich zniszczonej kąpieli?

Wschód księżyca, zachód księżyca. W Bostonie tygodnie płyną w tym samym rytmie. Czy trzeba wyliczać wegetację, jaką Gulf Stream prezentuje placom Londynu? Czy mam poplamić niezmienny kalendarz barwnikami i sokami? Złote łuski kwiatów lipy leżą w kupkach przy krawężniku.

Pola w pobliżu Okrągłego Stawu pokryły się kwitnącą na biało trawą. Wydaje się, że to wszystko wydarzyło się między jednym nowiem a drugim. Ale przecież w sykomorze za mną deszcz stukał, prawie trzaskał. I teraz para zmieszana z pyłkiem kwiatów lipy unosi się z trawy, sięgając najniższych gałęzi.

## 8.2

Jagody głogu są już zielone, dojrzał ognik szkarłatny. Moje stopy straciły równowagę, moje dłonie szukają oparcia. Dni są upalne. Powiedziałem, że nie mógłbym bez ciebie spać, a jednak śpię. Czyż to nie zastanawiające?

Jesteśmy z Piersem w domu aukcyjnym Denton's. Mam obserwować licytację, chociaż jeszcze nie wierzę, że wkrótce sam będę musiał wykonać krok w stronę niewierności. Piers jest obojętny wobec swoich skrzypiec. Ale już widział i słyszał te, które mu się bardzo podobały, pożyczył je z Denton's i grał na nich parę dni. Są koloru przypalonej czerwieni z czarnym ozdobnym kreskowaniem. Niestety — a może na szczęście dla Piersa, bo to zmniejsza ich wartość — nie są dziełem oryginalnego twórcy. Mają wspaniały ton, jak dla mnie odrobinę za bardzo ocieniony bogactwem i rezonansem, ale Piers kocha je z pasją nagłej i możliwej do zrealizowania miłości. Dzięki wszystkim swoim oszczędnościom i pożyczkom prawie może zapłacić przewidywaną cenę. Wie, że musi je mieć, chociaż będzie je spłacał latami.

W katalogu aukcyjnym oznaczone są jako P.J. Rogeri. Henry Cheetham, szef działu instrumentów muzycznych w Denton's, ubrany w zieloną zamaszową marynarkę, dobrze wychowany i dobroduszny, właśnie zaczął Piersa. Monologowi jego rąk towarzyszą oburzone prychnięcia, nerwowe zerkanie na zegarek i władcze omiatanie wzrokiem sali wypełnionej skrzypcami.

—O tak, sprzedawcy mówią, że licytatorzy są w tym interesie dla szybkiego zysku, ale nie widzę jakoś żadnych głodujących sprzedawców, a ty? Jeśli chodzi o nas, to wszystko jest przejrzyste. Cena jest najwyższą ofertą na otwartej aukcji, plus nasza, cóż, dość skromna, jeśli się nad tym zastanowić, prowizja. Zgoda, pobieramy ją od kupującego i sprzedającego, ale wiesz, koszty ogólne i tak dalej. A już na pewno nie wdajemy się w różne machloje jak oni. Sprzedawcy! W porównaniu z nimi jesteśmy cholernymi świętymi!... Zatem powodzenia, Piers, stary druhu, mam nadzieję, że cię nie przelicytują. Przykro mi z powodu ostatniego razu. Mam jednak przecucie, że były ci pisane te skrzypce. Tylko spójrz na ten ślimak, na te słoje, na ten połysk! Jaki ton, jaki timbre. Jakież to wspaniałe skrzypce. Jesteście dla siebie stworzeni. Ach, już druga czterdzieści. Zarejestrowałeś się, prawda? Dobrze... dobrze... naprawdę bardzo dobrze! Piers to profesjonalista, mówię ci w zaufaniu! Naucz cię pociągać za sznurki. Czy raczej za struny? Cha, cha, cha! — I zadowolony z własnego żartu wychodzi majestatycznie z biura, zostawiając Piersa chorego z niepokoju.

—Założę się, że każdemu mówi, że są dla niego stworzone. Założę się, że tak jest.

—Myślę, że to część jego pracy.

—Po czyjej ty, do cholery, jesteś stronie, Michael? — pyta Piers z żalną złośliwością.

—Daj spokój — proszę go, kładąc mu rękę na ramieniu.

—Aukcja za dwadzieścia minut. Jak ja ją przetrwam? Nie mogę się skupić na gazecie, nie chcę o niczym plotkować i nie odważę się wypić drinka.

—A co powiesz na to, żebyśmy nic nie robili? — proponuję.

—Nic? — Piers gapi się na mnie.

—Tak — mówię. — Zejdźmy na dół, usiądźmy i nie róbmy zupełnie nic.

### 8.3

O trzeciej po południu licytator pojawia się na podium w wielkiej sali. Przesuwa prawą ręką po siwiejących blond włosach, stuka w mikrofon ustawiony na pulpicie, kłania się kilku osobom na widowni. Przed nim na podium stoi młody mężczyzna w zielonym fartuchu; wygląda jak syn rzeźnika, myślę zaskoczony. Podnosi wywoływane i sprzedawane przedmioty: na początek kilka książek dotyczących gry na instrumentach smyczkowych; potem smyczki wykończone srebrem, złotem, kością. Syn rzeźnika prezentuje je ostrożnie z obydwu stron. Wzrok licytatora jest omdlewający i czujny, a głos ożywiony i zachęcający. Ubrany jest w ciemnoszary dwurzędowy garnitur. Jego wzrok szybko przemieszcza się od wypełnionej sali do banku telefonów po lewej stronie.

Cena smyczka rośnie szybko od wyjściowej ceny 1500 funtów, o ponad połowę niższej od szacunkowej wartości z katalogu.

—Dwa tysiące dwieście, tutaj... tak, pani przede mną... dwa tysiące czterysta... — Młoda kobieta przy jednym z telefonów kiwa do niego. — Dwa tysiące sześćset... tak. Nie? Nie? Dwa tysiące sześćset po raz pierwszy, po raz drugi. — Lekko stuka młotkiem w pulpit. — Sprzedany za dwa tysiące sześćset funtów, komu...?

—Kupcowi numer dwieście jedenaście — mówi kobieta przy telefonie.

—Numer dwieście jedenaście — powtarza licytator. Upija łyk wody.

—Czy naprawdę chcesz cały czas tu siedzieć? — pytam Piersa.

—Tak.

— Powiedziałeś, że miną dwie godziny, zanim Rogeri trafi pod młotek. Czy to wszystko ciebie interesuje?

— Ja chcę czekać. Ty rób, co chcesz.

Nie bierze udziału w licytacjach. Niczego innego nie chce. Zadręcza się. Obserwuje instrumenty i zwraca mi uwagę na to, że większość jest sprzedawana za ceny niższe od szacunkowych. To mu dobrze wróży; czy ja też tak uważam? Kiwam głową. Nigdy wcześniej nie uczestniczyłem w aukcji, więc sam jestem bardzo zdenerwowany.



Tajemnica, mówi Piers, polega na skalkulowaniu na każdym szczeblu licytacji kosztów całkowitych łącznie z prowizją i podatkiem, ustaleniu maksymalnej możliwej do zapłacenia kwoty i trzymaniu się jej bez względu na to, jak nerwowa jest licytacja albo jak kusząca cena. Piers obrysowuje ołówkiem sumę, powyżej której nie może licytować, i dodatkowo ją podkreśla.

Pokazuje sprzedających, którzy siedzą z przodu. Pomimo przepaści dzielącej ich i licytatorów z przyjemnością nabywają to, czego pragną, na terytorium wroga. Godzinę po rozpoczęciu aukcji wchodzi krucha kobieta w średnim wieku, wdzięcząca się i mocno wymalowana. Reprezentuje jednego z bogatszych sprzedawców. Zarośnięty, cichy człowiek odpowiada na jej błyskotliwe uwagi sztucznym chichotem. Licytuje kilka przedmiotów, kiwając głową, po półgodzinie zabiera siedem reklamówek i przed odejściem jeszcze chwilę kręci się po korytarzu.

Kim są ci wszyscy ludzie? Rozpoznaję kobietę, która jest skrzypaczką amatorem i należy do kierownictwa Wigmore Hall. Widzę siedzącego na uboczu Henry'ego Cheethama. Rozpoznaję kilka twarzy z orkiestry i z grup sesyjnych. Jednak Londyn jest muzycznym wszechświatem, więc nie wiem, kim są pozostali.

Pod młotek pójda teraz altówki i skrzypce.

— Panie i panowie — mówi licytator. — Proszę się zgłaszać, jeśli pojawią się najmniejsze wątpliwości, czy was zauważyłem. Czasem trudno wszystkich dostrzec, a ponowne otwieranie licytacji jest bardzo trudne. Zatem rozpoczynamy tę licytację od dziewiętnastu tysięcy funtów od pana tu, z przodu...

Piers wygląda, jakby miał zwymiotować. Oddycha powoli, żeby się uspokoić. Odpręża się, gdy skrzypce — w cenie wyjściowej takiej samej jak jego wymarzone — są sprzedane tylko nieco drożej. Aukcja rozwija się teraz w szalonym tempie. Zanim się obejrzeliśmy, rogeri już jest na podium.

Kiedy Piers miał je w rękach, czuł się tak, jakby do niego należały. Teraz chłopak w fartuchu prezentuje je wszystkim obecnym.

Czerwonobrazowe słoje płoną spod złotej bazy. Nie wstydzą się swojego „późniejszego włoskiego podpisu” i jest im obojętne, czyją mają się stać własnością. Panowie Denton i Denton sprzedadzą je temu, którego potrzeba jest najsilniejsza, a sakiewka najgłębsza, temu, kto najmniej poważnie obciąży hipoteką swoją przyszłość, temu, kto jest spośród wszystkich najzamożniejszy w funty.

Piers początkowo nie włącza się do licytacji. Cena wyjściowa to 35 000 do 50 000 funtów, dzięki temu błogosławionemu nieoryginalnemu podpisowi. Ale jest już 28 000, cena, za którą inne skrzypce zostały sprzedane.

Następuje przerwa i wreszcie Piers unosi swoją tabliczkę. Licytator oddycha z ulgą.

— Trzydzieści tysięcy dla nowego pana. Mam tu trzydzieści tysięcy. Czy ktoś podejmie trzydzieści tysięcy? — Ktoś za nami unosi rękę, bo tam podąża wzrok licytatora. — Trzydzieści dwa tysiące. Mam trzydzieści dwa tysiące. — Jego wzrok skupia się na Piersie. — Trzydzieści cztery, mam trzydzieści cztery tysiące. — Spogląda na dwóch pozostałych licytujących. — Trzydzieści sześć... trzydzieści osiem... czterdzieści.

Licytator widzi zmieszanie Piersa, jego dłonie ściskające katalog, dostrzega jego oddech, tak nienaturalnie spokojny.

— Na pańską niekorzyść — mówi licytator, wskazując swym długopisem na miejsce, gdzie siedzi Piers. — Czterdzieści tysięcy przeciwko panu; czy będzie pan przebijał? — Piers nie może się odwrócić i spojrzeć w twarz rywalowi, który tak szybko połyka ogromne kęsy jego oszczędności i zarobków. Kiwa głową lekko, spokojnie.

— Czterdzieści dwa tysiące — oznajmia licytator. — Czterdzieści cztery. Czterdzieści sześć. Czterdzieści osiem.

Licytacja zamiera, gdy licytator patrzy wyczekująco na Piersa. Wreszcie Piers kiwa głową.

— Pięćdziesiąt tysięcy — mówi licytator nie zaniepokojony. Pięćdziesiąt dwa. Pięćdziesiąt cztery. Pięćdziesiąt sześć. Pięćdziesiąt osiem.

— Piers! — szepczę zszokowany. O dziesięć tysięcy przekroczył ustaloną przez siebie sumę.

— Czy ktoś przebije pięćdziesiąt osiem? — Licytator czeka. W sali panuje cisza. Teraz już jest jasne, że rywalizują ze sobą dwaj muzycy, nie kupcy, bo obaj przekroczyli racjonalną cenę. Ten kawałek klonu i świerku przed nimi nie jest czymś, co znalazłszy się w ich rękach, ma je opuścić.

Rozlega się ostry dźwięk telefonu komórkowego; wszystkie głowy zwracają się w tamtą stronę. Tabliczka Piersa upada na podłogę. Zaskoczony chłopak w fartuchu wciąż obraca skrzypce w dłoniach. Licytator marszczy brwi. Dźwięk telefonu urywa się tak nagle, jak się zaczął.

—Rozumiem, że zostało to zdetonowane — mówi, wzbudzając wybuchy śmiechu. — Cóż, po tym małym intermezzie kontynuujmy. Pięćdziesiąt osiem. Mam pięćdziesiąt osiem. Czy słyszę z tyłu sześćdziesiąt? Tak? Sześćdziesiąt. Sześćdziesiąt dwa? — Patrzy na Piersa, który siedzi z opuszczonymi ramionami.

— Nie idź dalej, Piers — szepczę. — Na następnej aukcji pojawi się coś innego.

Ale Piers spogląda tam, gdzie stoi syn rzeźnika, i jeszcze raz kiwa głową.

— Sześćdziesiąt dwa. Mam sześćdziesiąt dwa. Sześćdziesiąt cztery? Sześćdziesiąt cztery. Sześćdziesiąt sześć?

Piers jest blady, ale potwierdza.

—Sześćdziesiąt sześć. Czy słyszę sześćdziesiąt osiem? Sześćdziesiąt osiem.

—Cholera — szepcze do siebie Piers.

—Nie rób tego, Piers — mówię, ale on przeszywa mnie wzrokiem.

—Przepraszam, ile pan licytował? Czy słyszę siedemdziesiąt?

—Tak — mówi Piers głośno, po raz pierwszy spokojnym, chociaż udreżonym głosem. Chce ustąpić. Dobrze, niech ten drań je weźmie, Piers. Nie rujnuj się.

—Siedemdziesiąt. Siedemdziesiąt dwa z tyłu? Tak, siedemdziesiąt dwa. Siedemdziesiąt cztery?

Nic nie mówię. Już dość go podkopałem. Piers milczy. Licytator patrzy na niego czujnie, doceniając jego walkę. Nie popędza go. Trzyma długopis w uniesionej dłoni. Piers potwierdza raz jeszcze.

— Siedemdziesiąt cztery. Siedemdziesiąt sześć? Mam siedemdziesiąt sześć. Proszę pana?

— Nie! Nie! — szepczę do Piersa.

Piers kręci głową pokonany.

— Siedemdziesiąt sześć. Inni licytujący? Siedemdziesiąt sześć po raz pierwszy, siedemdziesiąt sześć po raz drugi, sprzedane za siedemdziesiąt sześć funtów kupującemu numer... sto jednaście.

Młotek licytatora opada. W sali wybucha wrzawa. Pojawiają się kolejne skrzypce.

Piers wzdycha przeciągle, jakby płacząco. W jego oczach widać łyż frustracji i rozpacz.

— Artykuł numer jeden-siedem-jeden. Bardzo piękne i rzadkie skrzypce weneckie Anselma Bellosio...

## 8.4

— To kończy dzisiejszą sprzedaż.

Minęło dziesięć minut od sprzedaży rogeriego. Piers nadal siedzi, chociaż wszyscy dokoła wstają.

Wreszcie i my wychodzimy. Młoda kobieta stojąca przy drzwiach przyjmuje gratulacje, ale wydaje się zdruzgotana. To ona zapewne była tym drugim licytującym z tyłu. Spogląda na Piersa i otwiera usta, jakby chciała powiedzieć coś pocieszającego, ale zmienia zdanie.

Piers zatrzymuje się i mówi:

— Proszę mi wybaczyć, że tak długo licytowałem. Tak bardzo ich pragnąłem. Proszę mi wybaczyć. — I wychodzi na korytarz, nie czekając na odpowiedź.

— Drogi chłopie — mówi do niego Henry Cheetham. — Drogi chłopie, cóż mogę powiedzieć? Tak to jest. Ona uważała, że są dla niej stworzone. Tak to już jest; przygnębienie, a potem nagle szaleństwo! To elektryzujące. — Wyjmuje brązową chusteczkę i wyciera coś niewidzialnego na bro-

dzie. — Jeśli mogę cię pocieszyć — dodaje — to jestem pewien, że licytowałyby coraz wyższą cenę. Cóż, to dziwny świat. Ale *nil desperandum* i tak dalej... do zobaczenia, mam nadzieję, na następnej... cześć, Simon. Przepraszam.

Nagle wyobrażam sobie bratanka pani Formby oddającego moje skrzypce pod młotek i czuję nieprzewartą chęć rozkwaszenia jego zadowolonej gęby. Moje serce wali, a pięści zaciskają się na myśl o kimś, kogo właściwie nie znam.

Piers przykłada rękę do czoła.

—Wyjdźmy stąd.

—Zaczekaj na mnie. Wrócę za minutę.

Gdy przeciskam się przez tłum, pozdrawia mnie dziewczyna z Wigmore Hall, którą zauważyłem wcześniej na sali.

—Cześć, Michaelu.

—Cześć, Lucy.

—Ekscytujące, prawda?

Kiwam głową bez słowa.

—Przykro mi z powodu Piersa.

—Mnie też — mówię. — Czy ty też brałaś udział w licytacji?

—Tak, chociaż nie w tym zakresie.

—A dostałaś to, co chciałaś?

—Nie. Ja też nie miałam swojego dnia.

—Pech. Przepraszam, muszę pędzić do łazienki. A przy okazji, Lucy, zastanawiam się, czy mogłabyś coś dla mnie zrobić. Czy mogłabyś zatrzymać dla mnie bilet na koncert Julii Hansen?

—Zrobię to z przyjemnością.

—Nie zapomnisz?

—Nie. Zapiszę sobie. Grałaś z nią w Wiedniu, prawda?

—Tak. Wielkie dzięki, Lucy. Na razie.

—Wiesz, że zmieniła repertuar?

—Naprawdę? To dobrze. Na pewno będzie grała Schuberta zamiast Schumanna.

—Nie. Gra Bacha.

—Bacha?

—Tak.

—Jesteś pewna? — Gapię się na nią.

— Oczywiście, że jestem pewna. Przefaksowała do nas tydzień temu ze Stanów. Mogę ci powiedzieć, że Billy nie był zachwycony. Skoro zaplanowało się grać Schumanna i Chopina, to nie powinno się tak nagle wyśkakiwać z Bachem. Ale, cóż, wyjaśniła swoje powody: zakres oktaw jest mniejszy, bardziej w jej... ty wiesz, prawda?

Waham się, niepewny przez chwilę, co znaczy jej pytanie, potem kiwam głową. Lucy przyjmuje to z ulgą.

—Nie powinnam tego wszystkiego mówić — kontynuuje. — Po prostu założyłam, że wiesz o jej kłopotach, skoro z nią grałeś. Ale mamy to trzymać w ścisłej tajemnicy. Jej agent nalega, żebyśmy nikomu nic nie mówili. Ale czy mogę zapytać cię o coś w zaufaniu? Nie było z nią problemów, gdy graliście w Wiedniu, prawda, Michaelu?

—Nie, żadnych.

—Myślę, że wybrała dziwny utwór, jak na koncert — *Kunst der Fuge*.

—Nie, nie, tylko nie *Kunst der Fuge*! To niemożliwe.

—Cóż, z pewnością nie słyszymy tego zbyt często. Przejrzałam kalendarz. W tym miesiącu nie jest grany nigdzie w Londynie. Właściwie nie pamiętam, kiedy ostatni raz słyszałam to na żywo. Ale nigdy nie wiadomo, co się wydarzy. Nie słyhać o koncercie kontrabasowym przez rok, a tu nagle proszę: trzy koncerty kontrabasowe trzech różnych muzyków w jednym tygodniu. Co z tobą, Michaelu? Dobrze się czujesz? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

—Czuję się świetnie — mówię. — Świetnie.

Idę to toalety. Wchodzę do kabiny, gapię się na drzwi, serce wali mi jak oszalałe.

W domu próbuję ćwiczyć, ale nie mogę. Moje ręce sobie z tym nie radzą. Opuszki palców nie chcą dotykać strun. Zmuszam je, słyszę dźwięk, jeszcze przed opuszczeniem smyczka, ale moje uszy go odrzucają. To wykracza poza zmysły. Ja, który kochałem *Kunst der Fuge*, nie mogę zagrać nawet jego części, nawet dla siebie. Poćwiczę gamy i poczekam, aż mi przejdzie.

Jednak na próbie wciąż czuję buntujące się palce. Gramy gamę, ale nawet te nuty są mi obce. Czy oni tego nie słyszą? Billy mówi, którą fugę mamy zagrać.

Próbuję zestroić strunę, a wszyscy patrzą na mnie rozbawieni. Dźwięk wydaje się to za niski, jak na F, to za wysoki.

—Gotów?

—Tak.

Billy kiwa głową. Wchodzę jako trzeci.

— Co ty grasz, Michaelu? — pyta Piers.

Nie, ja nic nie gram, nic nie gram. To zaczyna działać mi na nerwy. Nie mogę oddychać i czuję, jak unoszą mi się włoski na rękach.

— Na litość boską, co się dzieje? — niepokoi się Helen.

Wszystko się zatrzymało. Dlaczego nie wszedłem? Myślałem, że gram, ale nie.

— Michaelu, weź się w garść — mówi Piers.

Zatraciłem czucie pomiędzy okiem a ręką. Prosty trik, który mogłem wykonać jeszcze w poniedziałek. To młoteczki, nie smyczek, który wydobywa dźwięk ze strun. Widzę w tym właśnie pokoju grającą Julię. Ale nie, ona śpi w Bostonie, dobrze wydana za mąż.

— Spróbujmy jeszcze raz — przynagla Billy.

Wydobywam dźwięk, ale taki dźwięk, który paraliżuje wszystkich w pół nuty.

—Niech cię szlag, Michaelu — mówi Piers. — Mam nadzieję, że to nie będzie powtórka z Wiednia.

—Czy moglibyśmy spróbować najpierw pierwszą fugę? — pyta Billy.

— Żeby się znów przełamać. W końcu znamy ją doskonale.



—Nie, nie tę fugę — proszę. — Tak mi przykro, ja... Za dzień lub dwa nic mi nie będzie.

To właśnie ta fuga zacisnęła mi pętlę na szyi, zaprowadziła mnie do niej i do tamtej nocy. To część prezentu, obietnica, z której ona się nie wywiązała.

— Zatem co mamy robić? — pyta Billy. — Przeciwiczymy coś innego? Nie wiem, czy mamy nuty. Trzeba jeszcze sporo nad tym popracować... Erica mówi, że producent, a może i inżynier dźwięku chcą się wkrótce z nami spotkać. Czasu mamy niewiele. Może powinniśmy grać dalej.

—Nie wiem, czy dzisiaj mogę — tłumaczę. — Wydaje mi się, że mam drobne problemy z tym utworem.

—Nie nazwałbym tego drobnym problemem — mówi Piers. — Jeśli to się utrwali, to sytuacja stanie się nie do zniesienia dla wszystkich.

— Co masz na myśli?

—Uważam, że powinieneś się nad tym poważnie zastanowić. Mamy umowę na nagranie *Kunst der Fuge*. Maggiore nie może dać byle jakiego przedstawienia.

—Zamknij się, Piers — mówi Helen z gniewnymi wypiekami na twarzy. — Nie rzucaj głupich gróźb. Czy myślisz, że Billy, ja albo Michael pozwolimy, aby byle jaki występ zepsuł naszą reputację? Spotkamy się tutaj pojutrze o trzeciej, zgoda? Wyśpij się, Michaelu, jesteś wypalony. Później do ciebie zadzwonię. Musisz nam pozwolić sobie pomóc, jeśli możemy cokolwiek zrobić.

Rozluźniam smyczek. Odkładam skrzypce. Wychodzę szybko, nie patrząc na nikogo. Chcę zasnąć, spać. Muszę przekształcić te łuki w sklepienie niebieskie. Pod gromadką złotych i szarych cherubinów ja też muszę śnić o jakimś udoskonalonym niebie.

Na automatycznej sekretarce mam wiadomość od Helen. Nie odpowiadam. Kartka od Virginie podróżującej z przyjaciółmi. List od Carla Källa. Nie otwieram go. Dlaczego mam stawić czoło całemu światu?

To złe miejsce. Wczoraj w nocy zabito łabędzia na Okrągłym Stawie. Poderżnięto mu gardło. Z pewnością gondola jest jak fortepian, a nogi pawia tak brzydkie jak łabędzia. Jego pokryte krostami ciało leży zachowane w lodzie.

Dlaczego ona sprawia, że dzieje się ze mną coś takiego? Powinienem to wszystko poważnie rozważyć. Gdybym mógł to zagrać, to przecież zostałbym, ze względu na sam utwór, jeśli nie na nas wszystkich. Ale wiem, że dwa takty wystarczą, żebym dostał ataku.

Uspokajam się na swój sposób: spacer po parku, z dala od oranżerii; zagadka szachowa; mędrzec Wodehouse, pełen spokoju Donné; kos na mojej ulicy, nie skowronek ani słowik.

Budzę się na dźwięk pierwszego kontrapunktu; wybija go coraz głośniejszy, bo przecież sama go nie słyszy. Uczyniła mnie zbędnym, zmniejszyła mnie. Wróciły małe szare mundurki, więc i ona wróciła. Dzień po dniu, na każdy sposób — akademicki, artystyczny, muzyczny, społeczny, duchowy, fizyczny, moralny — dzieci z Pembroke School stają się coraz lepsze.

Więcej wiadomości. Wydierają muzykę z życia biednych dzieci. Potwórzcie, dzieci, swoje „CPLG”. Czytać. Pisać. Liczyć. Grać. I jeszcze raz, wszyscy razem: Nie czytać. Nie pisać. Nie liczyć. Nie grać. Uświęcone moce pozbawią was muzyki, jakbyście byli potępieni. Pozostawcie muzykę tym, których stać na luksusy. Za dwadzieścia lat żaden syn rzeźnika nie zostanie skrzypkiem, nie, córka też nie.

Nie mogę tego grać pomimo dwóch dni łaski — tak jak nie zagrałbym na wężu ani na dawnym instrumencie podobnym do oboju, nawet gdybyście dali mi dwa miesiące albo dwadzieścia lat. To, co mną zawładnęło, jest poza moją kontrolą. Myślę o popiskującym dziecku z Pembroke, które pyta: Więc znał pan moją mamę, zanim się urodziłem? Czy był w ogóle taki czas — zanim się urodziłem? Jego oczy wypełniają się łzami na podobną myśl.

Jaka jest różnica między moim życiem a moją miłością? Jedno mnie zawodzi, drugie mnie opuszcza. Luke, Luke, nie zadrezczaj mnie więcej zagadkami. Dlaczego nie jesteś moim synem?

## 8.7

Zimy przeminą, a usta pozostaną nie pocałowane, serca nie pocieszone, dłonie i uszy nie połączone. Nie będzie już żadnej tajemnicy. Rozrywam kopertę Carla. Co w niej znajdę?

Tak, to jest uzupełnienie. Dostał mój list, który uznał za uprzejmy i nieprawdziwy. Rzeczywiście, jego takt uczynił go mniej życzliwym. Doskonale wie, co do niego czułem. Starość, jak zauważa, nie zawsze łączy się z niedołęstwem. Nie powtórzy, że żałuje, ale powie po prostu, że ostatecznie zdecydował, iż kwartet jest naprawdę moim prawdziwym domem. Nawołuje mnie do pozostania tam, gdzie jestem. Być może jego spuścizną dla potomnych będzie linia drugich skrzypeków. Bez wątpienia słyszałem, że Wolf Spitzer jest teraz członkiem Traun Quartet. Ani słowa o stanie zdrowia, planach czy zdarzeniach. Żadnej prośby o odpowiedź. Koniec listu.

Dziwny pocisk, przychodzący właśnie w takiej chwili, kiedy nikt nie pomyślałby — ani ja, ani oni — że czegoś nam brakuje. On zdecydował; dobre sobie. Jeśli chodzi o Wolfa, to oczywiście się cieszę, ale co do siebie — wciąż nie mogę się pogodzić z tym że ten człowiek uważa, iż ma prawo do błogosławienia i osądzania tego, co robię lub czego nie robię.

Późno w nocy budzi mnie pragnienie; nie mogę zasnąć. Przy moim łóżku leży przygotowana przez nią książka z jej dedykacją. Mokrymi palcami przesuwam po swojej partii. Strona po stronie słyszę rozmazane teraz nuty. Pięciolinia się rozmywa, nuty się rozplývają, woda w szklance staje się mętna, brązowa. Wilgoć przesiąka do sąsiednich głosów, na strony jeszcze nie przeczytane i nie rozmazane. Jakby czytając brajla, dotykam palcami swojego imienia, które kiedyś napisałaś; spójrz, już nie mogę go odczytać.

## 8.8

Kiedy im to oznajmiam, pierwsza odzywa się Helen.

— Michaelu, weź tydzień wolnego i wróć. Nie wierzę, że chcesz nas opuścić. Co z naszą solidarnością środka? Nie poradzimy sobie bez ciebie. Wiem, że nie. A co będzie z Bristolem w przyszłym tygodniu? Z wszystkim, co już zaplanowaliśmy? Niedobrze by mi było, gdybym musiała grać z kimś innym.

— Nie mówiłem poważnie, do cholery — wścieka się Piers. — Jesteś szalony, Michaelu, że wzięłeś moje słowa poważnie. Chodziło mi jedynie o to, że nie możemy nagrać złej płyty. Czy grozisz nam odejściem tylko dlatego, że ja coś powiedziałem? Helen robiła mi wyrzuty, zanim rzuciłeś tę bombę. W porządku, coś ci nie wyszło, ale wszystko się unormuje. Najwyraźniej przechodzisz jakiś kryzys. Problemy już się między nami zdarzały. Rozwiązaliśmy je i teraz też rozwiążemy. Nie jesteśmy tacy słabi.

To nie ma sensu; warkocz już rozpleciono. Dokładnie to przemyślałem. Myślcie o Stratusie, mówię do nich, myślcie o Ysobel. Jak często zdarzają się takie okazje? Drugie skrzypce, cóż, już raz je znaleźliście.

Billy jest smutny. Nie mówi wiele. Widzi wyraźniej niż pozostali, że to bez sensu, że sprawy posunęły się za daleko.

— Ostatni dołączył, pierwszy odchodzi — kwituje. — Będziemy za tobą tęsknić, Michaelu.

Wszyscy będą za mną tęsknić, nikt nie życzy mi szczęścia. Dlaczego mieliby mi go życzyć, skoro robię im coś takiego? Omawiamy to bez końca, ale nic się nie zmienia.

Jestem teraz bezużyteczny, mam martwe place. Nie potrafię nawet przetrwać przerwy. Grajcie dalej beze mnie, jak przez minutę wtedy, w tej sali, w której niebawem ona zagra. Strzała trafiła do celu; a raczej służy zabezpieczeniu jej celów. Ale przecież ona musi ocalić własne życie, prawda?

Powiedzcie, że zachorowałem; przekażcie Ericie pozdrowienia. Co się stało, to się nie odstanie. Cierpię przez fugę. Nawet te skrzypce, na których

gram, muszą mnie opuścić. Mijają dni i noce; jestem na pół człowiekiem, na pół drewnem.

## 8.9

Nie, mówi Erica, jak mogłaby teraz mnie reprezentować? Nie ma dla mnie całusów; jest bardzo surowa. Głupia sprawa, szkoda nie do naprawienia; kariera. Znajdą kogoś innego, będą musieli, ty ich zmusiłeś; ale co z tobą? Lubię cię, Michaelu. Jak mogłeś to sobie zrobić?

Helen znowu dzwoni, powstrzymując łzy. Co z moją pracą? Jak związę koniec z końcem? Gdzie jestem zakotwiczony? Może by już z tym skończyć? Ale mam już za sobą wszystkie te rozmyślenia. To prawda, nie jedliśmy razem w Wenecji, ale gdy spacerowaliśmy, widzieliśmy psa Augustyna.

Kiedyś to był kot, wiesz, mówi smutno.

Pies.

Jednak kiedyś kot.

Widziałem psa. Ona widziała psa. To był pies. Nawet kiedyś zobaczyłem go na barce.

Kot był na rysunkach. Sądzę, że są w British Museum.

Nie, to nieprawda. Zatkam sobie uszy. Droga Helen, powiedz, że to nieprawda.

Czemu nie stawisz czoła faktom? Czemu musisz teraz się o to kłócić?

## 8.10

Ze skrzypcami leżącymi obok na poduszce śpię, budzę się i znowu zasypiam. W drzewach za oknem odpoczywają wędrowne ptaki. W czyich rękach zaśpiewają? Jak mógłbym bez nich grać? Jak mam grać z nimi?

Stroje je i znów dobrze brzmią. Nie potrafię ich zatrzymać ani domagać się ich, ani ich znieść.

Spada na mnie burza confetti: papier do faksu, kupki sierści białego psa, śnieg na parkingu, klawisze z kości słoniowej. Julia głuchnie, a ja nie mogę zagrać tego, co ona będzie grała. Jakiej perswazji użyć wobec kogoś, kto stracił wolę? „To utwór, którego nie zagrałabym dla nikogo oprócz ciebie”.

To jest nie tylko w mojej głowie. Rozpada się też to, co trzymam w dłoniach. To już nie tylko szum w uszach. Nuci, dźwięczy, brzęczy. Opuchnięty brzuch ociera się o gryf. Sanderson je obejrzy, zajmie się nimi, oceni ich chorobę, przyprasuje, wyprostuje, wprawi w dobry humor. Mają powód, by się boczyć, to przecież nasze ostatnie wspólne miesiące. Ale skąd ten nagły bunt, właśnie teraz?

## 8.11

Wczoraj zmarła pani Formby.

Dzwoni do mnie ciocia Joan, żeby mi o tym powiedzieć. Okazuje się, że dwa tygodnie temu miała wylew, który odebrał jej mowę. Wczoraj rano nastąpił drugi wylew i pani Formby zmarła w drodze do szpitala.

Cieszę się, że nie była przykuta do łóżka miesiącami czy latami i zachowała pełnię władz umysłowych prawie do samego końca. Jej śmierć była szybka, tak jak śmierć mojej matki.

Żałuję, że nie wiedziałem o jej chorobie. Ciocia Joan i mój ojciec też nie wiedzieli o pierwszym wylewie. Pojechałbym ją odwiedzić i zagrałbym dla niej. Dla niej tononi zaśpiewałby wszędzie — w domu, w szpitalu czy w Blackstone Edge.

Jej tononi. Żal mi skrzypiec i siebie. Już nie lata, ale miesiące dzielą mnie od ich straty.

Nie pójdę na jej pogrzeb, kremację, jak mówi ciocia Joan. Pani Formby nienawidziła pogrzebów; nie miała cierpliwości do wszystkich składają-

cych kondolencje po śmierci jej męża i nigdy nie chodziła na pogrzeby przyjaciół. Dyplomowany rzeczoznawca budowlany na pewno tam będzie, niczym kot z Cheshire marzący o śmietance. Jego potulna żona z pewnością będzie mu towarzyszyć, a ich trzy córki przestaną marudzić, aż do powrotu do domu.

To w jego ręce oddam moje ukochane skrzypce.

Kochałem panią Formby. To ona obudziła we mnie radość płynącą z muzyki. Jej odejście przyniesie mi wiele smutku.

## 8.12

—Proszę bardziej mechanicznie — błaga dyrygent, gdy nagrywamy *Sonata fortepianową* Mozarta przerobioną przez jakiegoś twórczego psychologa w concerto minus piano. Nazywa się: *Bądź swoim własnym maestro*. Młodzi ambitni pianiści zagrajają z akompaniamentem orkiestry. Utwór pozostawia dużo do życzenia: psychol dodał do niego nowe melodie, a trójkąt brzmi tink, tink, tink. Gram z Camerata Anglica i prawie wszyscy się śmiejemy. Teraz tak właśnie zarabiam na chleb: mój smyczek idzie do góry w doskonałym rytmie i intonacji.

Kiedyś myślałem, że uda mi się kupić skrzypce. Teraz, kiedy listy spadają przez otwór w drzwiach, błagam, by nie miały stempli z Rochdale. Proszę o jeden dzień łaski więcej.

Przybywa mi siwych włosów. Te, które zauważam, wyrywam. Doskwierają mi bóle głowy. Zastanawiam się: kot czy pies? Kot czy pies?

Jak Maggiore radzi sobie beze mnie? Jak się pozbierali? Helen nadal czasem do mnie dzwoni, aby zapytać, co u mnie słychać, ale nie nakłania mnie do powrotu.





W Sali Druków British Museum światło dzienne wlewa się przez dach. Dostaję skrzynkę Carpaccia. Jego rysunek jest wyraźny.

Augustyn nie ma brody; zeszyt nutowy jest nie zapisany.

I to kot siedzi na podłodze. Nie, to nie kot, ale jakiś gronostaj albo łasica na smyczy!

Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? Wiele otrzymałem, ale to dotyka nie tylko mnie. Biedny pies będzie płakał z żalu, że był czas, zanim się narodził. Gronostaj! Gronostaj! Gronostaj!

Gronostaju, czyja cię krzywdzę? Czy jesteś biały jak zima? Nie masz końcówki ogona, ale to przecież tylko rysunek: astrolab to O, zeszyt nutowy jest pusty. Czysty, cnotliwy i szlachetny w zimowe miesiące, psujesz się latem i zmieniasz w gronostaja.

Gdzie jest pies, który przyniósł mi ukojenie? Czy musiał zmienić się w kota? Całowaliśmy się na górze, nieświadomi, że nas obserwowano.



Zsa-Zsa zdechła. Umarła stara wdowa, pani Formby. Czy Carl też przemawia jak światło karła zza grobu? Na zewnątrz Sali Druków jest mapa Wenecji. O tym i o innych sprawach muszę ją powiadomić. Chciałaby wiedzieć. Nasze gondole minęły się na Oxford Street. Uniosła woalkę i szybko zniknęła.

Wczoraj wieczorem jej dłonie poruszały się po klawiszach. Co takiego grała, że ukoilo moje sny? Z pewnością Bacha; ale nigdy wcześniej tego nie słyszałem. Ilu komór potrzebuje nasze serce, by móc grać taką muzykę? Czy napisał to tuż przed śmiercią?

## 8.13

Dziwne jest być mężczyzną i nigdy nie nosić w sobie dziecka. Czuć, jak część ciebie się otwiera, jak część ciebie opuszcza cię i płacze, jakby nie była częścią ciebie. Potem nakłada zieloną czapeczkę i szary garniturek i

ma przyjaciół. One wszystkie czekają na schodach Pembridge na kawałki siebie; im wszystkim już się to raz przydarzyło.

To pora kasztanów i ich jeżowych łupin. Liście platanu i lipy unoszą się i wirują. Co mały Luke z Bostonu sądzi o kasztanach? Co sądzi o kasztanach jego Oma z Klosterneuburga stojąca pod krwawym bukiem? Kasztanowce i topole oceniają Dunaj.

Jest trzecia czterdzieści pięć. Wychodzą i zostają ucałowane, ale gdzie jest Luke? Widzę jej zaparkowany samochód. Wysiada i biegnie ku schodom. Luke już tam jest. Ich twarze wyrażają szczęście.

Jest na chodniku przy samochodzie. Nie widzi mnie i nie może mnie usłyszeć. Trzeba to zrekonfigurować. Verdi nie może czytać z ust Wagnera.

Stoję teraz w zasięgu jej wzroku. Zatrzymuje się. Jakże niebieskie są jej czujne, przestraszone oczy.

—Michael.

—Cześć, Julio. Wiesz, ten pies Carpacela...

—Co?

—Wiesz, w Wenecji, w Schiavoni...

—W Wenecji, gdzie?

—W Schiavoni...

—Wsiadaj do samochodu, Luke.

—Ale mam, to Michael, chcę...

—Wsiadaj natychmiast do samochodu.

—Och dobrze, dobrze. Nie wściekaj się.

—O co chodzi? Dlaczego zawracasz nam głowę?

—Chciałem tylko powiedzieć...

—Tak?

— Że ten pies był pierwotnie kotem. Albo gronostajem. To wcale nie był pies. Widziałem rysunek. Rysunek, który on sam wykonał.

— Michaelu, co ty właściwie chcesz powiedzieć?

Chciałbym powiedzieć tak dużo, że nie mówię nic. Maggiore, Formby, Tononi, Augustyn... nazwiska w książce telefonicznej; jak mógłbym złamać jej serce?

—Więc co? Nie stój tak.

—Ja...

—Michaelu, to beznadziejne.

—Myślałem, że powiedziałaś, że zawsze będziesz mnie kochać.

—Nie spodziewałam się, że do tego dojdzie.

—Julio...

—Nie. Luke może cię zobaczyć. Stój tam, gdzie jesteś.

—Dostałem list od Carla Källa.

—Michaelu, przykro mi, nie mogę teraz rozmawiać.

—Bonsai...

—Tak — mówi gorzko. — Tak, ma się dobrze. Bardzo, bardzo dobrze.

Genialny prezent. Chyba powinnam ci podziękować.

—Dlaczego grasz *Kunst der Fuge*? Co usiłujesz zrobić?

—*Kunst der Fuge*? Dlaczego? Dlaczego nie, na litość boską? Ja też ją uwielbiam. Naprawdę muszę już iść, wierz mi. Michaelu, naprzykrzasz mi się. Rozumiesz? Naprzykrzasz się. Proszę, nie stój tu więcej i nie czekaj na mnie. Nie chcę cię widzieć. Nie chcę. Naprawdę nie. Załamie się, jeśli to zrobisz... Jeśli mnie kochasz, to nie chcesz tego. Jeśli mnie nie kochasz, to po prostu odejdz i żyj dalej.

Zakrywa oczy.

— I, na litość boską, nie mów mi, jak jest naprawdę.

## 8.14

Trzy tygodnie minęły, od kiedy ją spotkałem. Usuwałam z pamięci adresy, jeden po drugim.

Nie, niepotrzebna mi ta wizja, poradzę sobie bez tego: pokoje, książki, spotkania, plamki na jej tęczęwkach, zapach jej skóry: niech je wywiozą w sobotni poranek, niech odlecą balonami wypełnionymi helem.

Wreszcie i ja wierzę, że potrafię budować z niczego, chociaż nie ma na czym budować. Zabrało to trochę czasu, bo nadzieja ma żywotne bakterie.

Co do siebie, to myślę, że jeśli opuszczę tę ciemność i pustkę, wszechświat nawet nie kichnie. Będę wolny od snów i myśli, i stanę się swoim własnym maestro. Mój ojciec jednak będzie żałował. Ciocia Joan też. Gdy rozkwita jesień, wokół moich oczu pojawiają się kręgi.

To, czego nie mogę się pozbyć, muszę ukryć głębiej. Wynajmę magazyn na przedmieściach, w którym złożę wszystkie niepożądane przedmioty: zapach, dźwięk, obraz, pragnienia.

Jest sobotni ranek, ale dziś nie pływam. Obserwuję z mostu grę światła na wodzie, patrząc śladem Węży wodnych poza Lido. Czytam pomocne ostrzeżenia: „Uwaga. Płytką woda. Nie skakać z mostu”. Nie, jestem pływakiem, dożyję artretyzmu.

To moje najukochańsze drzewo, platan, całe poskręcane, ze złuszcządzającą się korą. Ale czemu ja się tu przyglądam? Przez wszystkie lata na wrzosowiskach nie znalazłem gniazda skowronka. Również tutaj słyszę nie odgłos kopyt, ale ujadanie. To psi kwartet — mały biały piesek, szeroki, brązowy, kulejący Diabelski Most i lisi intruz. Szczekają, śpiewają, obwąchują. Jakaś kobieta rzuca w nie kapciem, a one ujadając, rozrywają go na strzępy. Nie rozumieją tego, że ktoś kogoś poznał, że jest coś ponad naszym światem i w naszych sercach. Są pełne wdzięku; w ich oczach jest miłość i chłód.

Istnieje sto rodzajów głuchoty. Im bardziej jestem spięty, tym gorzej słyszę. Więc muszę wziąć się w garść.

Skup się na tych kilku rzeczach: chleb, gazety, mleko, jakieś warzywa, jedzenie z mikrofalówki, książka do poczytania wieczorem. Znów czytaj słowa: nie ma już gry w kwartecie, nie trzeba przeglądać nut. Odraczej to, co masz zrobić.

Jednak nastrój skrzypce. Graj gamy. One towarzyszą ci bardziej niż ojciec, matka, przyjaciel czy kochanka. Osad przykrył dni i tygodnie. Graj gamy, to cię uspokoi. Usuń podpórki, znów poczuj drewno.

Czytaj książki, jeźdź autobusami. Spaceruj. Należysz do samotnej większości. Kto z tych siedzących dokoła należy do twego nie wybranego bractwa? Gaduła, śmieszek, milczek, który wydaje się zawstydzony w tłumie?

Konduktor, uczennica szepcząca „*Fou!*”, mężczyzna sprzedający stare kalendarze, sprzedawczyni z włosami czarnymi jak Virginie?

## 8.15

—Te koszulki po prostu znikają ze stołów. Klienci wciąż nie mają ich dość. — Uśmiecha się do mnie.

—Czy są większe w tym ciemnoczerwonym kolorze?

—Rdzawe? Niestety, są tylko te, które leżą na stole. Dziś rano opróżniliśmy zaplecze. — Coś w jej twarzy mnie zatrzymuje.

—Zbyt mało było dużych — mówi. — Źle zrobiono zamówienie. Skarzyliśmy się w centrali.

—A tak, centrala. I komputer.

—Kogoś trzeba winić! — śmieje się.

—Przykro mi, to nie moja wina, komputer się zepsuł.

—Przepraszam, mam przerwę na lunch. To wina centrali.

—Cóż, skoro nie ma rdzawej, wezmę czarną. Przykro mi, ten banknot pięćofuntowy jest podrobiony. To ten komputer.

—Zdziwiłby się pan! — mówi, patrząc na niego uważnie. — Mnóstwo ich dookoła.

Spoglądam podejrzliwie na błyszczące drobne, które mi wydaje.

—Lepiej je nadgryźć — sugeruje, chichocząc. — Mogą być czekoladowe.

—Przykro mi, w soboty nie serwujemy czekoladowych pensów.

—To centrala — mówimy oboje, wybuchając śmiechem.

—O której centrala zwalnia cię dziś wieczorem?

—Mam chłopaka.

—Och — mówię. Cały śmiech opuścił mój głos.

—Słuchaj — dodaje chłodno. — Lepiej już idź.

To nie strach przede mną, ale inny strach, przed kruchością zaufania. Przez chwilę nie będzie się spoufalać z klientami.

—Przepraszam — mówię. — Przepraszam. Jesteś taka miła. Pomyślałem sobie...

—Proszę, idź, proszę.

Nie rozgląda się za przełożonym, ale patrzy na stół z czarnymi i szarymi koszulkami.

## 8.16

O pierwszej trzydzięci w nocy, niespokojny, idę do budek telefonicznych przy śmietnikach. Nawet o tej porze na ulicach kręcą się ludzie. Wybieram numer.

—Halo? — Miękki, słodki głos, lekki irlandzki akcent.

—Halo? Czy mógłbym rozmawiać z Tricią?

—To numer Tricii. W czym mogę pomóc?

—Ja, cóż, zobaczyłem, właśnie zauważyłem twoją wizytówkę w budce telefonicznej, to znaczy jej wizytówkę, i ciekawy jestem, czy będzie wkrótce wolna, za jakieś pół godziny...

—Tak, kochanie, będzie. Gdzie teraz jesteś, skarbie?

—W Bayswater.

—O, to bardzo blisko. Opowiem ci o Tricii. Jest Angielką, ma długie blond włosy, niebieskie oczy, bardzo ładne nogi, gładko ogolone, 90-60-90.

—Ile ma lat?

—Ma... dwadzieścia sześć lat.

—A ile, to znaczy...

—Od czterdziestu do siedemdziesięciu funtów, kochanie.

—Aha. A to obejmuje...

— Na początek masaż, potem seks oralny, potem stosunek — mówi słodko.

Milknę, potem pytam:

— Czy mogę prosić o adres?

—Tak, kochanie. Dwadzieścia dwa Carmarthen Terrace, mieszkanie numer trzy. Naciśnij dzwonek na dole.

—Przepraszam, ja... ja nie wiem, jak to działa. Czy mam ci zapłacić przed?

—Jak sobie życzysz, kochanie — mówi z uśmiechem w głosie. — Nalegam jedynie, żebyśmy się zabezpieczyli.

—Czy ty jesteś Tricia?

—Tak, to ja. Czekam na ciebie, słodziutki. Dzięki za telefon.

## 8.17

Nie czuje tego, co robi, udaje. Ma około trzydziestu pięciu lat, jest atrakcyjna, doświadczona, słodka. Wyrzucam z siebie wszystko to, co w sobie dusiłem miesiącami. Potem zaczynam płakać. Nie wypędza mnie, ale proponuje filiżankę herbaty.

—To coś, na czym ci zależy, kochanie, prawda?

—Nie wiem.

—Nie musisz nic mówić.

Nie mówię. Ona też nie. Spokojnie sączymy herbatę. Dzwoni telefon, a ona mówi:

—Czy chciałbyś wziąć prysznic i się ubrać, kochanie?

—Tak. Tak. Muszę wziąć prysznic.

Różowa łazienka, moje odbicie w lustrze, mały zniszczony miś na parapecie, mdły zapach. Czuję, jak skręcają mi się wnętrzności. Podchodzę do muszli klozetowej; mam torsje, ale nie wymiotuję. Gotuję pod prysznicem swoją skórę, wyparzam ją.

Ubieram się, mruczę podziękowania i chcę wychodzić.

— Jeszcze nie zapłaciłeś, słodziutki.

Płacę, ile chce, i żegnam się. Niedobrze mi na sercu, niedobrze mi do samej głębi serca. Czy przez tę godzinę byłem sobą?



— Nie zgub mojego numeru, słodziutki. Odwiedź mnie jeszcze — zaprasza i oświetla mi schody.

## 8.18

Moja agencja wypełnia mi dni spotkaniami: jingle dla firm reklamowych, tło muzyczne do filmów. Siedzę w studiu nagraniowym w Wembley, rozwiązuję krzyżówkę, czytam gazety. Ludzie słyszeli wiadomość o Maggiore, ale zostawiają mnie w spokoju, Podśluchałem, że raz ktoś wspomniał Julię Hansen, ale reszta zajęta jest generalnym strojeniem.

Lucy z Wigmore Hall dzwoni, żeby mi powiedzieć, że odłożyła dla mnie bilet na recital Julii 30 grudnia. Czy chciałbym dwa bilety? Dziękuję jej, ale mówię, że nie będzie mnie w mieście. Niech ktoś inny go weźmie.

—O, a dokąd jedziesz?

—Nie wiem, chyba do Rochdale. Na Boże Narodzenie.

—Przykro mi, że już nie jesteś z Maggiore.

— Cóż, tak to już jest. Świeże lasy i nowe pastwiska.

—Mam nadzieję, że nie przeszkodziłam, Michaelu.

—Nie. Nie. Wcale nie.

Rozłącza się, a ja zabieram się do sprzątnięcia. Dziś rano opróżniono magazyn, ale są tam jeszcze różne rzeczy zbierające kurz: porcelanowa żabka, wypchany gronostaj. Jestem w autobusie numer 7.

Na tyłach British Museum jest mały dział fotografii. Zdobywam dwie odbitki rysunku; jeden mają przesłać mnie, drugi jej. W wolnej chwili będę badał gronostaja. Niech dzieli moje rozważania.

Uprzejma kobieta w Sali Druków znajduje stary artykuł zawierający dwa utwory, jeden religijny, drugi świecki, stojące otwarte u stóp świętego Augustyna. Przyglądam się im, aż zaczynam je słyszeć w ciszy pokoju. Orkiestruję je tak, jak mi się podoba: smyczki, dęte, głosy, liry.

Ostatnio nie otwieram połowy przychodzących listów. Unikam Holland Parku, gdzie nie wolno dotykać kamieni. Mnoził ma nowe kierownictwo, a ja sam jestem oczyszczony, okrojony. Wszystko przemija, ciało zmienia się w proch.

Śnię o Carlu. Słucha, jak gram jingla do reklamy karmy dla psów. Odchyła głowę w ekstazie.

—Wytrzymaj — radzi. — Zawsze wytrzymuj. Twoja gra, która nigdy zbyt mi się nie podobała, teraz wyciska mi łzy z oczu. Ale wiesz, wolę jednak Bacha.

—To subiektywna ocena — mówię. — Ale jeśli tak, to oto coś dla pana. Wpada w furję.

—To nie Bach, to Bachlein — grzmi. — Daj mi Johanna Sebastiana.

—Nie mogę pochwycić go w palce, *Herr Professor*. Julia McNicholl mi go odebrała.

—Nie będę tego tolerował. — Dostaje apopleksji. — Wyrzucę cię z mojej klasy. Źle zareagowałeś na mój list. To było złe, bardzo złe. Opuścisz Wiedeń natychmiast, kanalizacją miejską.

—Już nigdy więcej nie opuszczę Wiednia...

—Zatem dobrze — mówi smutno. — Zatem dobrze, zadośćuczynić kaprysowi umierającego: zagraj arię na temat karmy dla psów raz jeszcze. I z mniejszym uczuciem. Musimy się nauczyć respektować intencje kompozytora.

—Jak pan sobie życzy, *Herr Professor* — odpowiadam. — Ale czemu zadaje pan sobie trud umierania przede mną?

## 8.19

Dzwoni dzwonek do drzwi. List polecony z Rochdale. Podpisuję. Kładę nie otwarty na stole w kuchni. Te mandarynki są spleśniałe. Muszę wyczyścić tę miskę.

Czy to tak właśnie jest? Stoisz sobie tam, w doku, a gdy sędzia coś intonuje, spostrzegasz, że ciemna, prawie fioletowa szminka kobiety w drugim rzędzie jest rozmazana.

Przyszli przejąć opiekę. Proszę, zostawcie nas na jeden dzień. Niczemu się nie sprzeciwiam. Dziecko śpi. Samo się zbudzi we właściwym czasie.

Czy mam zagrać, zanim was oddam? Czy mamy się pożegnać bez muzyki, tak aby wspomnienie naszego rozstania nie zostało zakłócone dźwiękiem, tak aby Bach nie dołączył do innych strat, do Mozarta, Schuberta, do tego wszystkiego, co trzyma mnie przy życiu?

Co mógłbym zagrać, jeśli nie to, gdzie mógłbym grać, jeśli nie tu? *Tea for two* u Tricii? Arię z reklamy karmy dla psów dla mojego starego zmęczonego nauczyciela? Gagę dla moich dawnych przyjaciół? *Wzlatującego skowronka* ku czci zgaszonego ducha?

Wyjmuję je, stroję, zamykam drzwi kabiny. Gram w ciemności, nie wiedząc, co gram. To wiązanka, improwizacja, jakiej jeszcze nie grałem, bardziej z ich serca niż z mojego. To lament; odnoszę wrażenie, że już zostałem porzucony, że to już nie dla mnie.

Ale teraz wpłynęły w *Largo* Vivaldiego, które grałem tego cudownego dnia, tam, w jego kościele. Gram na nich, one grają we mnie, w ciemności kabiny wiem, że nie będzie następnego razu, że już czas kończyć, że już czas błagać bóstwa opiekuńcze lasów, z których powstały, żeby w przyszłym życiu — a niech żyją kolejnych dwieście siedemdziesiąt lat albo więcej, jeszcze więcej — były traktowane jak skarb i dobrze im się wiodło.

Żegnajcie zatem, moje skrzypce, mój przyjacielu. Kocham was bardziej, niż mogę wyrazić. Jesteśmy jedną istotą, ale teraz musimy się rozstać i już nigdy nie usłyszymy naszej wspólnej mowy. Nie zapomnijcie moich palców ani naszego głosu. Nie będę was słyszał, ale będę o was pamiętał.

## 8.20

Drogi Panie Holme,

jest Pan bez wątpienia świadom śmierci pani Formby (Cecilii Formby). Rozumiem, że był Pan bliskim przyjacielem zmarłej i w imieniu naszej kancelarii składam Panu nasze szczere kondolencje.

Varms & Lunn reprezentują panią Formby od wielu lat i wyznaczyła ona mojego partnera, Williama Sterlinga, i mnie na wykonawców jej testamentu.

Testament pani Formby złożono razem z innymi ważnymi dokumentami w okręgowym Rejestrze Testamentów. Poświadczenie jego autentyczności zostało właśnie wydane.

W kodycyłu do swojego testamentu, sporządzonym przez naszą kancelarię zgodnie z instrukcjami i podpisanym tydzień przed śmiercią, pani Formby zapisała Panu stare włoskie skrzypce (Carlo Tononi, circa 1727) z zastrzeżeniem, że jest Pan zwolniony od podatku.

Rozumiem, że instrument znajduje się obecnie w Pańskim posiadaniu. Może Pan nadal z niego korzystać w imieniu wykonawców testamentu, aż do chwili, gdy prawo ich własności zostanie przeniesione na Pana.

Od śmierci pani Formby minęło kilka tygodni. Informacja o zapisach testamentowych dociera do Pana z pewnym opóźnieniem. Wynika to z tego, że adres Pański, podany w kodycyłu przez panią Formby, jest już nieaktualny.

Pani Formby zostawiła też dla Pana list, który dołączam. Była fizycznie unieruchomiona przez kilka ostatnich dni przed śmiercią, ale jej umysł był trzeźwy, a intencje jasne. Ten list podyktowała mi w szpitalu. Ponieważ jej mowa była nieco niewyraźna, odczytałem go jej, aby się upewnić, że dobrze zapisałem jej intencje. Potem przepisałem go na maszynie, a ona go podpisała.

Gdyby miał Pan jakieś pytania dotyczące spadku albo inne związane ze sprawą, teraz albo w przyszłości, ufam, że nie zawaha się Pan z nami skontaktować.

Z poważaniem,  
Keith Varms

W załączeniu list do pana Michaela Holme'a od pani Formby.

## 8.21

Mój drogi Michaelu,

boję się, że sprawiłam Ci w zeszłym roku wiele cierpienia swoją niepewnością co do losu moich skrzypiec. Jest mi przykro z tego powodu. Wyczułam Twoje zmartwienie, gdy rozmawialiśmy o tej sprawie. Uważam, że zachowałeś się honorowo, nie próbując wpłynąć na moją wcześniejszą decyzję i akceptując ją bez zastrzeżeń.

Byłeś moim prawdziwym przyjacielem, odkąd skończyłeś sześć czy siedem lat, w dobrych i złych chwilach. Chcę sprawić, abyś miał więcej tych dobrych chwil, i jest to najlepszy sposób, jaki przychodzi mi do głowy. Ponadto, nie mogę znieść myśli o tym, że skrzypce znajdują się w obcych rękach, skoro to Ty grałeś na nich przez tyle lat.

Mam nadzieję, że wybaczysz mój podpis. Obawiam się, że już nie nadawałabym się do wysokich trelów Vaughana Williamsa.

Przesyłam Ci pozdrowienia, chociaż zanim je otrzymasz, prochy tego „ja” będą rozrzucone wokół Blackstone Edge i wierz mi, całkiem zadowolone.

Do widzenia, drogi Michaelu, i niech Bóg Cię błogosławi.

Twoja

[nieczytelne]

## 8.22

Nie mnie, ale panią, pani Formby, jeśli pani gdzieś istnieje. Nie mogę zasnąć z wrażenia. Jestem przepelniony niedowierzaniem, a nie ulgą. Nawet nie wyjmuję skrzypiec. To nie może być prawda, a jednak jest. Utraciłem je, a teraz znów odzyskałem.

Twoje słowa tchnęły we mnie życie i odebrały sen. Bramy parku otwierają o brzasku. Metalowoszary świt z odcieniem koralu przegląda się w basenie. Kwiaty w podwodnym ogrodzie przykryto darnią. Odgłos wieiórki, plusk małej kaczuszki, kos skaczący pod żywopłotem przeredzonych lip; to wszystko. Jestem sam ze swoją niespokojną radością.

Pozwól mi złożyć raport z mojego świata. Horyzont poszerzył się, gdy świat się obnażył. Ktoś rozsypał pomarańczową soczewicę na ziemi pod sykomorą. Wokół żeglują i przechadzają się grupy gołębi. Grube czarne kruki obserwują to w milczeniu.

A co się tyczy muzyki, nad Okrągłym Stawem słyhać krzyk szarych gęsi. Lecą nisko, a potem z rozciągniętymi łapami lądują na wodzie. Łabędzie śpią bezpieczne, z głowami schowanymi w pióra.

Co się stało, że pozwoliłaś mi je zatrzymać, kiedy już byłaś bliska śmierci i nie mogłaś nawet wyraźnie mówić? Czy chcesz mi dać tylko skrzypce, czy też ma to być kolejna życiowa lekcja?

## 8.23

W słuchawce słyszę głos przepelniony wstrzymywaną furją.

—Michael Holme?

—Tak.

—Mówi Cedric Glover. Poznaliśmy się w poprzednie święta u mojej ciotki, pani Formby. Jestem jej siostrzeńcem.

—Tak, pamiętam. Pan Glover. Bardzo mi przykro z powodu śmierci pańskiej ciotki...

—Jest panu przykro? Jestem zaskoczony, biorąc pod uwagę, jak dobrze pan na tym wyszedł.

—Ale...

—Moja stara ciotka nie była w pełni władz umysłowych. Mógł pan bez trudu na niej zerować.

—Ależ ja nie wiedziałem, że była chora; nawet jej nie odwiedziłem, czego bardzo żałuję.

—Cóż, ktoś ją jednak odwiedzał. Moja żona była przy niej prawie przez cały czas; zajmowała się nią, jak tylko rodzina potrafi. Nie rozumiem więc, jak jej się udało skontaktować ze swoim adwokatem i sporządzić ten krzywdzący kodycył. Ale ona potrafiła być dość przebiegła.

—Nie miałem z tym nic wspólnego. Jak... jak pan zdobył mój numer?

—Czy naprawdę chce pan pozbawić moje córki wykształcenia? Czy naprawdę uważa pan, że moja ciotka tego właśnie chciała?

—Nie, ja...

—Najuczciwiej byłoby zwrócić skrzypce rodzinie bez sprawy sądowej, którą, mogę pana zapewnić, jestem gotów wnieść.

—Panie Glover, kochałem pańską ciotkę. Nie chcę wywoływać zatar-  
gów...

—Mocno bym panu radził nie zawłaszczać cynicznie i egoistycznie tego, co do pana nie należy, ani ze względów etycznych, ani prawnych. Jasne jest, że w ostatnich dniach była niepoczytalna i jak najbardziej podatna na wszelkie sugestie.

—Panie Glover, ja niczego jej nie sugerowałem. Nawet nie wiedziałem o jej chorobie. Napisała do mnie uprzejmy i jednoznaczny list. Chcę wierzyć w jej słowa.

—Tak, nie wątpię, że tak jest. Czy go podpisała?

—Tak.

—Cóż, jeśli podpisem na kodycyłu można się sugerować, to sam pan rozumie, jak niepewna jest pańska sytuacja. To był bazar lekkomyślnego dziecka. Niech to, jej umysł był w takim stanie, że podała parking jako pańskie miejsce zamieszkania. Parking!

—Panie Glover, proszę tak nie mówić. Była moją przyjaciółką. Jak mam się wyrzec tego, co mi dała?

—Dała? Dała? Obawiam się, że został pan wprowadzony w błąd. Gdy jej umysł był zdrowy, nie miała zamiaru niczego panu dawać. Zamierzała przekazać dochody ze sprzedaży skrzypiec na fundusz dla mnie i moich córek; wiem, że powiedziała panu o tym. Jestem rozsądnym człowiekiem,



panie Holme. Nie aprobuję decyzji mojej ciotki, biorąc pod uwagę wszystko to, co nam zawdzięczała, ale wybaczam jej, bo w tamtej chwili nie wiedziała, co robi. Jednakże muszę panu powiedzieć, że jeżeli nie dojdziemy w tej sprawie do jakiegoś kompromisu, to straci pan zarówno skrzypce, jak i ogromną sumę pieniędzy na koszty sądowe.

Jego słowa to tylko pogrożki, a jednak przepęlnia mnie strach. Są jeszcze jego wredne, przeklęte córki: czy naprawdę mogę je okraść z tego, co im się prawnie należy, i spokojnie żyć? Co będę czuł za każdym razem, gdy uniosę smyczek?

—Zatem co pan proponuje, panie Glover? — pytam cicho. — Co mogę zrobić?

—Sporządziłem umowę dotyczącą darowizny współdziału w skrzypcach... Jeśli pan ją podpisze, będzie można je sprzedać, a dochód sprawiedliwie i równo podzielić.

—Ale ja nie mogę tego zrobić, nie mogę sprzedać moich skrzypiec.

—Pańskich skrzypiec. Widzę, że łatwo się pan przyzwyczaił do ich posiadania.

—Tych skrzypiec. Jej skrzypiec. Jak pan woli. Kocham je. Czy pan tego nie rozumie? Gdybym je oddał dla pieniędzy, to by mnie zabiło.

Milczy przez chwilę, wreszcie zdesperowany mówi:

—Składam ostateczną ofertę, panie Holme, i to jest naprawdę moja ostateczna oferta. Musi pan przynajmniej oddać mojej rodzinie czterdzieści procent wartości skrzypiec, które przywłaszczył pan sobie ze spadku.

—Panie Glover, ja niczego nie przywłaszczyłem...

—A jednak coś pan wziął, i to dużo. Czy ma pan świadomość, co znaczą słowa „zwolniony od podatku”? Znaczą, że podczas gdy większa część spadku, którego wartość ma obejmować również skrzypce, obciążona jest czterdziestoprocentowym podatkiem spadkowym, pan jest z niego zwolniony. Innymi słowy, my płacimy za pana podatek. Ma pan prawny i moralny obowiązek zwrócić nam tę kwotę. Czy naprawdę pan się spodziewa, że sąd uwierzy w to, że moja ciotka chciała, abyśmy pana utrzymywali?

—Nie wiem, nie wiem, w co wierzyć. Nie znam się na tym.

—Cóż, radzę się zastanowić, byle nie za długo. Dzwonię do pana z domu mojej zmarłej ciotki. Ma pan jej numer. Jeśli pan się nie odezwie w ciągu dwudziestu czterech godzin, przekażę sprawę swoim adwokatom. Do widzenia, panie Holme.

Opieram czoło na dłoniach. Nie idę do dźwiękoszczelnej kabiny, gdzie leżą skrzypce. Wchodzę do sypialni i gapię się na sufit. Plamki światła tańczą na ścianie; w oddali przelatuje helikopter. Jestem zbyt zmęczony, żeby zasnąć. Tak czy inaczej, stracę je. Pani Formby, jeśli mnie pani kocha, proszę powiedzieć, co mam zrobić.

## 8.24

Dzwonię do kancelarii Varms & Lunn i rozmawiam z panem Varmsem, którego głos jest bardziej nosowy, niż się spodziewałem. Dziękuję mu i mówię, jak bardzo zaskoczył mnie jego list.

—Pani Formby sądziła, że tak właśnie będzie — mówi.

—Odwiedził ją pan w szpitalu. Czy bardzo cierpiała?

—Nie cierpiała. Nalegała na powrót do domu zaraz po pierwszym wylewie. Zmarła w domu albo być może w karetce, którą wysłano, by ponownie przywieźć ją do szpitala. Jak to bywa w takich wypadkach, odeszła szybko.

—Cieszę się.

—Ale nie za szybko, jeśli pan rozumie, co mam na myśli. Miała czas, by zająć się swoimi sprawami.

—Tak, rozumiem... panie Varms, nie wiem, jak to powiedzieć. Właśnie odebrałem telefon.

—Tak? — Nosowy głos pana Varmsa zaczyna przypominać dźwięk oboju.

—Od jej bratanka, niejakiego pana...

—Glovera. Tak, poznałem tego pana.

—Podczas tej rozmowy powiedział mi, że nie mam prawa do instrumentu. Powiedział wiele rzeczy...

—Panie Holme, trochę się obawiałem, że on może się pokusić o coś takiego, i dlatego właśnie tak sformułowałem list do pana. Zapewniam pana — to znaczy powtórnie pana zapewniam, że jego groźby i żądania są bezpodstawne. Wyrażał je już wobec mnie i z trudem udało mi się go zniechęcić do występowania z nimi przed sądem. Chciał podważyć kodycył, który został sporządzony we właściwy sposób w obecności dwóch niezależnych świadków. Jednym z nich był lekarz pani Formby. Wyjaśniłem panu Gloverowi, jak kosztowne jest to przedsięwzięcie. Tłumaczyłem, że mogłoby ono rozbudzić wątpliwości co do innych części spadku, co znacznie opóźniłoby wydanie poświadczenia autentyczności, zapewniałem, że świadkowie zdecydowanie zaprzeczyliby jego sugestiom i uświa domilem, jak małą szansę wygranej miałby w tej sprawie. Pozwoliłem sobie zapewnić go, że intencje pani Formby zostały ponownie i bez żadnych dwuznaczności wyrażone w jej liście do pana, chociaż zapewniam, że nie pozwoliłem mu przeczytać tego listu, którego treści byłem świadomy tylko dlatego, że pani Formby nie mogła napisać go własnoręcznie.

—Panie Varms, nie miałem o tym wszystkim pojęcia. Był pan bardzo uprzejmy...

—Zapewniam pana, że wcale nie byłem uprzejmy. Wypełniam jedynie obowiązki egzekutora testamentu pani Formby zgodnie z instrukcjami otrzymanymi przy jego sporządzaniu. Czy pan Glover miał jeszcze coś do powiedzenia?

—Powiedział, że powinienem przynajmniej zwrócić podatek, który on zapłacił. Powiedział, że mam prawny i moralny obowiązek...

—Panie Holme, żaden prawny obowiązek nie istnieje. Nie mogę doradzić panu w kwestii moralnej, jeśli można to tak nazwać, ale mogę pana poinformować, że ten majątek jest niemały. Pan Glover jako jedyny spadkobierca otrzyma znaczną sumę pieniędzy, z podatkiem czy bez, a jak można się domyślać z jego stylu konwersacji, sam nie jest biedakiem.

Zaczynam się śmiać, a pan Varms mi wtóruje.

—Więc nie spodobał się panu pan Glover? — pytam.

—Cóż, wyrażał się bardzo niepochlebnie o swoim spadkodawcy, czym nie wzbudził mojej sympatii.

—Mam nadzieję, że nie był grubiański?

—Był niezwykle uprzejmy, a nawet wdzięczny po naszym pierwszym spotkaniu. Z doświadczenia wiem, że tak zachowują się ludzie, którzy grożą innym, mając świadomość, że ich groźby są bezpodstawne. Jest jeszcze jedna rzecz, o której powinienem panu powiedzieć. Nie było intencją pani Formby dać panu pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt procent lub jakiś inny fragment tych skrzypiec. Była, jeżeli mogę tak powiedzieć, osobą przenikliwą i rozumiała, że jakakolwiek pożyczka, którą musiałby pan zaciągnąć, niweczyłaby jej cel, którym było, proszę mi wybaczyć, że tak to sformułuję, zapewnienie panu szczęścia, a nie niepokoju. Spodziewałem się pańskiego telefonu, chociaż, jak pan rozumie, nie mogłem pana uprzedzić o reakcji pana Gioverà. Jeśli będzie jeszcze pana niepokoił, skontaktuję pana z inną kancelarią, ponieważ ja oczywiście nie mogę służyć panu swoją pomocą. Jednak uważam, że nie będzie to konieczne. Podejrzewam, że stanowcza odpowiedź położy kres tym męczącym żądaniom. Pani Formby świadomie dodała ten kodycyl i rozumiała każde jego słowo. Mam nadzieję, że skrzypce sprawią panu radość.

—Dziękuję, panie Varms. Nie wiem, co powiedzieć. Bardzo panu dziękuję.

—Nie ma za co.

—Czy lubi pan muzykę, panie Varms? — pytam, właściwie nie wiedząc czemu.

—O tak, lubię muzykę. — Czuję, że pan Varms chce zakończyć rozmowę. — Czy to wszystko? W razie potrzeby proszę się z nami skontaktować.

—To wszystko. Jeszcze raz dziękuję.

—Do widzenia, panie Holme.

Pani Formby,  
wiem, że Pani nie żyje i nie może Pani tego przeczytać. Żałuję, że nie wiedziałem o Pani chorobie.

Moje życie wypełniła rozpacz. Dziękuję Pani za pamięć o mnie i za wiarę, że chociaż się nie odzywam, wciąż o Pani pamiętam.

Co roku będę przyjeżdżał do Blackstone Edge i zawsze będę zabierał ze sobą Pani skrzypce.

Nigdy nie zapytałem, gdzie ani od kogo je Pani kupiła. Ta historia odeszła razem z Panią.

To niewiele, co kiedykolwiek dla Pani zrobiłem, już się skończyło, ale to, co Pani zrobiła dla mnie, będzie trwało, dopóki ja sam nie odejdę.

Może pamięć o Pani doradzi mi, komu powinienem je powierzyć, kiedy mnie samemu przyjdzie umierać.

Dziękujemy Pani, zarówno ja, przyjaciel, jak i Pani skrzypce, dziękujemy z głębi serca i z głębi duszy.

## 8.26

Pewnej nocy budzę się zlanym zimnym potem, krew pulsuje mi w uszach.

Miałem sen, w którym stałem na przystanku metra Holborn, grając na moim tononim. Na ruchomych schodach były grupki ludzi, znajomych i obcych, którzy podróżowali parami. Syn Billy'ego, Jango, minął mnie, trzymając za rękę panią Formby, która wrzuciła mi do kapelusza monetę. Wiedziałem, że gdzieś tam jest Carl ze swoją protegowaną, Virginie. Ski-  
nął na mnie i coś powiedział. Miał sine usta. Ona wyglądała na szczęśliwą i minęła mnie bez słowa.

Grałem długie wolne akordy na pustych strunach. Kiedy miałem dość kwinty, przechodziłem do sekundy. Matka Julii z tiarą na głowie i pieskiem Carpacela pod pachą zjechała przykuta kajdankami do policjantki z Holland Parku. Chyba złamała jakieś przepisy dotyczące kwarantanny.

Wiedziałem, że to tylko przedstawienie, które mogę przerwać w każdej chwili. Śniłem, ale nie byłem częścią snu.

Ale gdy pary mnie mijały, stawałem się coraz bardziej niespokojny. Miotłem się między nadzieją a strachem, bo myślałem, że zobaczę Julię, i nie wiedziałem, kto będzie stał obok niej. Jednak nie pojawiła się wśród tylu nudnych ludzi z mojej przeszłości, kuzynów, nauczycieli matematyki i kolegów z orkiestry. Poczulem ukłucie w sercu.

Wjechałem schodami do góry, aby ją znaleźć, a później ruszyłem z powrotem na dół. Ale gdy zjeżdżałem, schody robiły się coraz węższe i ciemniejsze; zostałem sam. Wszyscy zniknęli; zostały tylko moje skrzypce, na których grałem bez przerwy. Zapadła cisza. Schody zjeżdżały coraz głębiej, a ja nie mogłem nic zrobić, żeby je zatrzymać. Już nie grałem trzech spokojnych akordów, ale kilka taktów przerażającej muzyki, w której rozpoznałem swój solowy fragment z *Kunst der Fuge*.

Dławiłem się i głośno płakałem. Nie mogłem wydostać się z tego snu i z tych schodów. Skrzypce grały i grały jak opętane i gdyby nie przebijający się przez skorupę snu alarm w samochodzie na rzeczywistej ulicy, zjechałbym na zawsze w nie kończącą się noc.

## 8.27

Nie dramatyzuj. To tylko miłość, nie kończy na. Tak daleko sięga ta słabostka, to uczucie? Nie powstrzyma cię przed zarabianiem na życie. Czy to wszystko warte jest twoich skrzypiec? A co do tych utraconych, pomyśl, gdzie leży ich szczęście. „Na litość boską, Michaelu, czy nie dość ją skrzywdziłeś?”

Niech twoje ciało ożyje, jeśli umysł jest spokojny. Pływaj. Nie, teraz, jak ona, nie radzę sobie w tłumie. Ale przecież grasz na zastępstwie w orkiestrze? A co powiesz na spacer? Spaceruj, ile możesz. Spaceruj w kółko, jeśli nie masz dokąd pójść. Jest piąta rano, ale to londyński, nie wenecki

świt. Nocne marki wymijają się z tymi wstępującymi w dzień. Słyszę za sobą kroki, ale się nie odwracam, a one cichną.

Zajmuję się znów twoimi uczniami. Ale przecież to robię. Godzinami o nich rozmyślam przed, podczas i po ich lekcjach: praca nadgarstka Elizabeth, arpeggio Jamiego, czytanie nut Clive'a. Nie mam zamiaru być niecierpliwy.

— Czemu nie widzę już u ciebie tej ładnej pani, Michaelu? — drwi sobie gówniarz, któremu teraz skrzypce zaczęły się podobać.

—Wiesz, Jamie, ona nie przychodzi tu codziennie.

—Czy muszę przygotować to na następną lekcję?

—Tak — mówię, myśląc o Carlu. — Musisz.

Uśmiecham się do niego, a on zaskoczony odwzajemnia uśmiech.

W te wieczory, gdy nie pracuję, czytam; nie muszę przygotowywać się do prób. To inne życie, z oknami wychodzącymi na północ. Słońce już nie grzeje.

Napotykam wersy, które mgliście pamiętam ze szkoły, sprzed dwudziestu lat:

*Rozstali się — i to na zawsze  
Dla obu niezwrócona strata!  
Nic serc im pustych nie ocala —  
Zostały blizny — stali z dala,  
Jak dwie, rozdarte morzem, skały:  
Dziś wody dzielą je w zalewie;  
Lecz upał, piorun, ni mróz biały  
Nie zatrze śladów, jestem pewien,  
Świadczących, jak bywało drzewiej\*<sup>5</sup>.*

Nie odwiedzam więcej Tricii. Czuję pozbawiony seksu spokój; dostąpiłem tego zaszczytu.

---

<sup>5</sup> \* Fragment poematu *Christabel* S.T. Coleridge'a w przekładzie Stanisława Kryńskiego, w: *Angielscy poeci jezior*. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1963, s. 252.





Drzewa w pobliżu greckiego kościoła są wiecznie zielone. „Uparte”, jak mawiała Virginie.

Dzieci z Archangel Court naciskają wszystkie przyciski windy. Chichocząc, czekają na moją reprimendę i wrzeszczą, widząc, że wcale mi się nie śpieszy.

Dziewczyna z piekarni, zebrawszy się na odwagę, pyta, dlaczego kupuje zawsze siedem croissantów, a potem mówi, że nie powinno się ich mrozić.

Rob wygrał dziesięć funtów w środowym losowaniu loterii i wydał wygraną na następne losy.

Pani Goetz prosi, bym towarzyszył jej do schroniska dla bezdomnych w jakiś wolny sobotni wieczór.

Dave, Wąż wodny, wpada na mnie na Queensway.

— Hej, Mike, gdzieś zniknąłeś?

Przecież nie zniknąłem. Jestem tu, obserwuję świat i jego poczynania.

Pewnego ranka dzwoni telefon.

—Michael Holme?

—Przy telefonie.

—Fisher. Justin Fisher.

To nazwisko, ten głos, to fan przylepa!

—To, co usłyszałem wczoraj, bardzo mnie zaniepokoiło — zaczyna. — Było beznadziejne! Ale po co im to mówić? Taka sieczka z Boccheriniego. Powiedzieli, że pana nie wyrzucili. Była z nimi jakaś młoda kobieta; obawiam się, że nie umywa się do pana. Nie, nie, to nie wystarczy. Proszę pomyśleć, co jest pan winien Sztuce. Mówią, że spędza pan dużo czasu z Camerata Anglica. Ależ naprawdę, nawet sama nazwa, pół włoska, pół łaćcińska!

—Panie Fisher...

—Wczoraj w Emperor Quartet ciągle stroili i przestrajali; całkiem zepsuło mi to nastrój. Oczywiście, są niespokojni. Jak można grać z obolałym kciukiem albo ze zbolałym sercem? Rozmawiałem niedawno z lutni-

stą; powiedział mi, że pana poznał. Trzeba dać mu spokój, powiedział; kwartety są trwalsze niż skrzypkowie, a najtrwalsze są skrzypce. Co za cynizm. Ale taki jest świat. Stale myślę: czy on jest opanowany na zewnątrz, a szalony w środku, czy na odwrót? Nie mogłem wiele sensownego z niego wyciągnąć, więc pomyślałem, że sprawdzę w książce telefonicznej. Proszę powiedzieć, jeśli za długo mówię. Czy pan ziewa?

—Wcale nie. Ja tylko...

—Cóż, tylko to chciałem powiedzieć — ucina. — Nie będę już zabierał pańskiego cennego czasu. Ale jeśli nie zobaczę pana na miejscu tej baby, to zapewniam, że nie będę więcej składał ofiar całopalnych na ołtarzu Maggiore. Proszę wrócić, i to niezwłocznie. Do widzenia.

## 8.29

Czy jestem zatem taki osamotniony? Czas płynie: sekundy, godziny, miesiące. Minał rok od tamtego dnia, gdy ją ujrzałem. Jest grudzień. Spaceruję, ale mniej zauważam pozbawiony liści sezon. W holu Archangel Court pani Goetz ubiera choinkę. Kto wieśa świecidelka na świerku Hansenów? Ona? Ona i on? Oni oboje i Luke?

Ku własnemu zaskoczeniu przyjmuję zaproszenie na przyjęcie Nicholasa Spare'a. Będę mógł wyjść, nie powodując zamieszania. Nikogo z nich tam nie będzie. Piers na pewno nie zostanie zaproszony. Świąteczne pierożki i pozbawione melodii kolędy pasują do mnie tak jak towarzystwo ludzi, których słabo znam. Przynajmniej tyle się zgadza: nie denerwuję się w otoczeniu, w którym i tak jestem spalony.

Nie jest tak zimno, jak powinno być. Przez godzinę, dwie, a może dłużej gram gamy. To pozwala mi się skupić, pociesza, uwalnia od myśli. Czasem nachodzą mnie wspomnienia mojej matki i pierwszego nauczyciela skrzypiec, młodego mężczyzny, który bardzo lubił gamy.

Spotykam sąsiadów w holu i myślę o tym, jakie nieszczęścia skrywają te uśmiechnięte twarze. Jakie szczęście może się kryć za tą smutną miną?

Dlaczego ta pierwsza możliwość jest bardziej prawdopodobna niż druga?  
Czy wymuszony śmiech zmieni moje serce w kamień?

### 8.30

Nicholas Spare przebaczył Piersowi zeszłoroczny wybryk, bo inaczej nie zaprosiłby go na swoje przyjęcie. A Piers też widocznie przebaczył Nicholasowi jego gwałtowny anty-Pstrągizm.

W tym roku mamy białe wino zamiast ponczu z czerwonych owoców. Piers już wygląda na podchmielonego. Zanim zdążyłem cokolwiek pomyśleć, przechodzi przez pokój i prawie przyciska mnie do ściany.

—Michael!

—Drogi chłopcze! — mruczę, żałośnie imitując Nicholasa.

— No, no, bez naśmiewania się z naszego gospodarza. W tym roku jest raczej przygnębiony niż agresywny.

—Och, dlaczego?

—Nie może znaleźć miłości, nawet na Hampstead Heath.

—Aaa, to poważna sprawa. A co u ciebie? Co u was wszystkich?

— Michaelu, wróć.

Wzdycham i przełykam wino.

—No dobrze już, dobrze. Nic więcej na ten temat nie powiem.

Ale co u ciebie? Nikt cię nie widział od wieków. Nikt nie wie, czy w ogóle żyjesz. Dlaczego się ukrywasz? Czy nie mógłbyś się przynajmniej z nami spotkać? Helen jest przygnębiona. Tęskni za tobą. Wszyscy tęsknimy. Przestała dzwonić, kiedy ty przestałeś odpowiadać na jej wiadomości. Zatem, jakie masz nowiny?

—Dobre czy złe?

—Dobre. Złe zachowaj do następnego spotkania.

—Mam skrzypce.

—Och, to cudownie. Jakie?

—Tononi.

—Carlo?

—Tak.

—To takie same jak twoje poprzednie.

—Dlatego że to są właśnie te poprzednie.

—To znaczy kupiłeś je? Jakim cudem było cię na to stać?

—Piers, podarowano mi je.

—Podarowano? Kto? Ta stara prukwa z Yorkshire?

—Nie nazywaj jej tak.

—Wybacz. Wybacz. — Piers unosi ręce, rozlewając trochę wina na koszulę.

—Umarła. Zostawiła mi je.

—O kurczę! — wykrzykuje Piers. — Każdy coś dziedziczy oprócz mnie. Och, nie to chciałem powiedzieć. Bardzo się cieszę. Naprawdę. Za stare prukwy. Niech szybko umierają i zostawiają swoje pieniądze głodującym skrzypkom. — Unosi kieliszek.

Śmieję się i zdradziecko unoszę swój.

—Właściwie nie powinienem się skarżyć — mówi Piers. — Ja też mam skrzypce. A przynajmniej tak sędzę.

—Jakie?

—Eberle. Wyjątkowo ładne.

—Cóż, Piers, moje gratulacje — uśmiecham się. — Tego dnia w Denton's było mi naprawdę przykro. Eberle są neapolitańskie, tak? Czy czeskie? Czy nie było też czeskich eberle?

—Nie mam pojęcia. Te są z Neapolu.

—Och, przy okazji, pani Formby mieszkała w Lancashire, nie w Yorkshire.

—Tak dla wyjaśnienia?

—Właśnie.

—Widzisz? Możemy rozmawiać — śmieje się Piers. — Musisz ich posłuchać, Michaelu. Mają cudowny ton, rozłożony na wszystkie struny, ciepły, ale czysty. Brzmia niesłychanie w *e-moll*, jeśli możesz w to uwierzyć. Co dziwne, są przeciwieństwem rogeriego. Być może tamte były dla mnie zbyt dźwięczne. Zwłaszcza przy nagrywaniu Bacha.

—Zdobyłeś je od kupca czy na aukcji?

—Ani tak, ani tak. To dziwna historia. Właściwie skorzystałem na nie-szczęściu przyjaciela. Znasz Luisa, prawda?

—Nie.

—Naprawdę? — Piers wydaje się zdziwiony. — W każdym razie był zmuszony je sprzedać i zaoferował je mnie, wiedząc, że dzięki temu nie będzie musiał płacić prowizji. Wziął dużą pożyczkę, żeby za nie zapłacić, a z wielu różnych powodów nie radził sobie z płatnościami. Co najgorsze, wyrolowała go Londyńska Orkiestra Symfoniczna.

—Jak to możliwe? — pytam głęboko wdzięczny, że rozmawiamy o nie-znanym Luisie, a nie o nagraniu Bacha.

—Cóż — kontynuuje Piers — stary Luis poszedł na przesłuchanie, do-brze zagrał i zaproponowano mu okres próbny jako numerowi cztery. Chciał się do nich załapać ze względu na tournée po Japonii i kilka zwią-zanych z tym koncertów w Londynie, więc zrezygnował z wielu lukratyw-nych przedsięwzięć. Biedny, niemoralny południowiec zawsze był zako-chany w tej orkiestrze. Tymczasem prawie dwadzieścia cztery godziny przed występem ktoś z zarządu zadzwonił do niego z wiadomością, że w zeszłym tygodniu zatrudnili już kogoś innego, a Luis może dołączyć, jeśli chce. Bez żalu, bez przeprosin — nic.

—Jaki podali powód? — pytam, mimo woli zaciekawiony.

—Najwyraźniej dwóch innych skrzypków było już wcześniej na okresie próbnym, a zarząd musiał wybrać jednego z nich.

—Ale dlaczego w takim razie zaproponowano mu okres próbny? Po co zarezerwowano miejsce na tournée?

—No właśnie. Sam nie wiem. Ich zarząd składa się ze zwykłych muzy-ków, takich jak ty i ja, przekonanych, że świat obchodzi się z nimi brutal-nie.

—Ale dlaczego mimo wszystko nie pojechał, skoro pieniądze były dla niego takie ważne?

—Spytałem go o to samo. Myślę, że ja bym tak zrobił. W końcu każdy świątek ma swoje brudy, i to dużo gorsze. Ale on powiedział, że ma swój honor i nie znienawidzi orkiestry, której brzmienie kocha, odkąd zaczął

grać na małych dziecięcych skrzypcach. Może ma rację. Może gdybyśmy wszyscy mieli więcej dumy, nie traktowano by nas w ten sposób... Och, Bóg wie. To żadna frajda, jak ktoś na ciebie nasra, nawet jeśli to twój ulubieniec. To nie był jedyny zgrzyt, ale przeważył szalę. W każdym razie powiedziałem Luisowi, że eberle bardzo mi się podoba, że kupuję je natychmiast, ale jeśli za pół roku będzie chciał je odkupić, to się zgodzę. Zaczął szlachetnie protestować i coś paplać, ale powiedziałem, żeby się przymknął. Czułbym się jak świnia, nie dając mu takiej szansy. Oczywiście zapomniałem wspomnieć biedakowi o tym, że za pół roku będę do nich zbyt mocno przywiązany, żeby się z nimi rozstać. Przywiązany! Zaczynam mówić jak Helen.

—Piers, trzeba trochę czasu, żeby cię poznać.

—To miła uwaga z ust kogoś, z kim jestem żonaty od sześciu lat.

—Cóż, teraz rozwiedziony.

—Tak.

Przerwa dobiegła końca. Nie majak się wykręcić od tej rozmowy.

— Zatem masz jakichś nowych współmałżonków przywiązanych do ich nowych drugich skrzypiec? — pytam tak swobodnie, jak tylko potrafię. Nie brzmi to jednak swobodnie, tylko chłodno i niesprawiedliwie. Uraza z powodu tego rozwodu doprowadziła ich do oplakiwania, zaręczyn i przyspieszonego ślubu.

Piers bierze głęboki wdech.

—Przesłuchaliśmy kilka osób; tak się składa, że więcej kobiet niż mężczyzn. Myślałem, że Helen nie zechce burzyć równowagi, ale była całkiem zadowolona. Nie chciała, by zastąpił cię inny mężczyzna. Zaczęła na mnie krzyczeć. Nawet zerwała z Hugonem; cóż, za to Bogu niech będą dzięki. Nadal jest bardzo zdenerwowana... oczywiście ze względu na nagranie możemy przesłuchiwać tylko tych, którzy grają również na altówce.

—A Stratus? — pytam, porzucając niewygodny dla mnie temat.

—Cóż, zdecydowali się utrzymać kontrakt. Ale dla mnie jesteś związany z *Kunst der Fuge*, Michaelu. Tak jak my wszyscy. Nie chodzi tylko o to, że jesteś fantastycznym skrzypkiem, ale o to, że jesteś częścią nas. Bóg jeden wie, jak się nam uda wypracować to wrażenie bez ciebie. Każdy in-

ny jest tylko na próbę. Są w porządku, nawet lepiej niż w porządku, ale nie moglibyśmy z nimi ćwiczyć gam.

Czuję, że zbiera mi się na płacz.

— Hej, Michaelu, spokojnie, nie chcę cię zdenerwować dwa razy w jeden wieczór. — Kolejny szeroki gest i więcej rozlanego wina.

Zerkam w bok.

— Jesteś samolubnym draniem — stwierdza nagle Piers.

Milczę. Jakże ich zawiodłem. Jeśli *Kunst der Fuge* się nie uda, czy Helen kiedykolwiek mi wybaczy?

— To jest wciąż możliwe — mówi. — Prawie. Ale nie możemy długo grać bez stałego drugiego skrzypka. I nie możemy trzymać wszystkich w niepewności. To niesprawiedliwe.

—Nie.

—Będziemy musieli podjąć decyzję do końca stycznia.

—Tak. Cóż...

—Michaelu, powiedz mi, czy chodzi tylko o *Kunst der Fuge*? To nie znaczy, że już nie możesz grać, prawda?

—Nie wiem. Naprawdę nie wiem, co to jest. Chciałbym wiedzieć. Spędziłem z wami sześć lat, których nie zamieniłbym na nic innego. Kiedy zobaczyłem cię dzisiaj, chciałem wyjść. Wiedziałem, że nie zdołam uniknąć tematu, ale już to omówiliśmy. Więc proszę, Piers, mówmy o czymś innym.

Patrzy na mnie chłodno.

— Dobra. Syn Billy'ego miał zapalenie opon mózgowych parę tygodni temu.

—Co? Jango?

Piers kiwa głową.

—Nie wierzę. Czy wszystko już w porządku?

— Cóż, byłeś oderwany od świata przez tak długo, że sam już nie wiesz, w co wierzyć, a w co nie. Tak, ma się już dobrze. Jednego dnia był zdrowy, a następnego na łożu śmierci. Billy i Lydia byli potwornie przestraszeni. Jeszcze się nie otrząsnęli. Ale mały gówniarz już czuje się świetnie, jakby to się nigdy nie zdarzyło.



— Piers, wychodzę. Muszę się przejść, odetchnąć świeżym powietrzem. Chyba nie wytrzymam kolęd.

—A kto może to wytrzymać!

—To ja jestem samolubnym, skupionym na sobie draniem.

—Samolubnym? Dlaczego samolubnym? — Piers wydaje się szczerze zdziwiony. Czy sam mnie tak nie nazwał chwilę wcześniej?

—Nie wiem — mówię. — W każdym razie nie sądzę, bym chciał wysłuchiwać kolejnych tragicznych historii. A jak miewa się Billy? To znaczy, poza tym.

—Poza tym, pani Lincoln, jak się pani podobało przedstawienie?

—Daj spokój, Piers.

—Cóż, narzucił nam swój utwór.

—Och. I co?

—Cóż, nie dowiesz się, jaki jest, dopóki do nas nie dołączysz. — Piers lustruje mnie cynicznie. — Chociaż właściwie mogłoby cię to zniechęcić.

—Przecież ja tęsknię za wami — śmieję się. — Tęsknię nawet za fanem przylepą. Kiedy dajecie kolejny koncert? Będę w Rochdale do trzydziestego, a więc najbliższy po moim powrocie.

—Drugiego stycznia, w Purcell Room. Ale czy trzydziestego nie będzie...

—Tak.

—Więc jej nie posłuchasz?

—Nie.

—Co się dzieje w Rochdale trzydziestego?

—Nic.

— Być może sześć lat nie wystarczy, żeby móc kogoś zrozumieć — stwierdza Piers, przyglądając mi się z troską.

Szuuu, szuuu, szumi elektryzujący wiatr w topolach. Łabędzie syczą na mnie, przepływając między krami na Okrągłym Stawie, a niebo jest tak błękitne jak latem.

Wiatr spycha na południowy brzeg tafle lodu, zamrożone i czyste. Ociekają się o siebie, uderzają i łamią. Osiadają na plaży, czyste jak szkło, i skrzypią, gdy wiatr porusza wodę.

Nie, nie skrzypią jak nie naoliwione drzwi; bardziej jak stara łódź. Albo jeszcze zupełnie inaczej. Gdybym nie czytał z ich powierzchni, czy potrafiłbym zinterpretować ich odgłosy? Skrzypienie, pluskanie, przesuwanie, ześlizgiwanie, trzaskanie, wzdychanie; czegoś takiego jeszcze nie słyszałem; cichy dźwięk, spokojny, intymny.

To właśnie tutaj dowiedziałem się, że Julia nie słyszy. Odłamuję sopel; topi się w mojej dłoni. Spotkałem ją zimą i straciłem, zanim nadeszła kolejna zima.

Nie, tego dnia nie będzie mnie tu, w zasięgu dźwięku.

Lód unosi się jak powierzchnia falującego stawu, a łabędzie przepływają lekko po wodzie.

## 8.32

Raz jeszcze jadę na północ ze stacji Euston.

Większość podróży przesypiam. Moim celem jest miejsce, gdzie zgodnie z zapowiedzią pociąg kończy bieg.

Jest chłodny ranek, trzy dni przed Gwiazdką. W Manchesterze daję sobie dzień na odwiedzenie wspomnień, a wieczorem pojadę samochodem do Rochdale.

Zwracam nuty do biblioteki. Zamykam oczy, gdy niewidomy mężczyzna puka laską, badając wygięcie ściany.

W katedrze dotykam jednorożców i smoków wyrzeźbionych na mizerykordiach.

W pobliżu Bridgewater Hall zatrzymuję się przy ogromnym okrągłym kamieniu probierczym i spoglądam na basen utworzony przez kanał poniżej.

Co mnie trzyma w Londynie? Czemu nie wrócić do domu?

Nie trzyma mnie tam teraz nic bliskiego memu sercu. Wszyscy, którzy mnie kochali, zmarli albo są bardzo starzy. Tato i ciocia Joan są w Rochdale. Nawet jeśli w mojej mowie pojawia się czasem jakiś ślad miejscowego akcentu, dopiero tutaj moje uszy mogą się odprężyć, słysząc znajome dźwięki; są w domu z Bacupem i Todmordenem i wszystkimi nazwami, które obcy przekręcają.

Gdybym mieszkał, powiedzmy, w Manchesterze albo w Leeds, albo nawet w Sheffield, mógłbym ich odwiedzać i spędzać z nimi więcej czasu, jeden weekend w miesiącu, może nawet więcej, a nie trzy czy cztery w roku. Mógłbym sprzedać swoje mieszkanie i kupić tutaj coś tańszego. Albo czemu by nie zamieszkać w samym Rochdale, wśród wrzosowisk i bez policjantki, która mówi: nie wchodzić, nie śpiewać, nie krzyczeć z radości czy żalu, nie dotykać kamieni, nie karmić skowronków świątecznym pudlingiem.

Nie, tylko nie Rochdale z kamiennymi murami i klubem niemieckiego krótkowłosego pointera. Nie Rochdale z wyrwanym sercem, klaustrofobicznym ryneczkiem, zamordowanymi ulicami mojego dzieciństwa zduszonymi w slumsy. Nie Rochdale, skąd musiałbym dojeżdżać do miasta, w którym będę pracował.

Ale jaka mogłaby to być praca? Być może wypełniałbym cyrkową arenę magicznym dźwiękiem. Trochę lekcji, coś związanego z moim dawnym college'em... Może założyłbym, jak kiedyś, wędrownie trio? Kim byliby pianista i wiolonczelista? Byłby tylko jeden jedyny utwór, którego nigdy bym nie grał.

Londyn to skrzypcowa dżungla, bogata i kipiąca życiem aż do bólu głowy. Ale przestałem już pływać w Serpentine i czasem nie mogę złapać tchu. To już nie jest mój dom, jeśli kiedykolwiek nim był.

Obejmuję kamień probierczy. Przyciskam do niego czoło i twarz. Nie słyszę żadnej odpowiedzi. Jest bardzo gładki, bardzo zimny i w swoim sercu bardzo stary. Dokoła mnie wirują płatki śniegu.

### 8.33

Święta są ciche. Śnieg pada z przerwami. Zsa-Zsa leży pochowana w ogrodzie, po którym niegdyś się przechadzała. Ojciec ma zmienne nastroje, od niepokoju do radości. Wyjeżdżam na zakupy wypożyczonym białym samochodem i dostaję niechrześcijański mandat. Ciocia Joan przygotowała tradycyjnie obfity posiłek. Rozmawiamy o tym i owym. Nie wspominam, że myślę o przeprowadzce.

Potem jeżdżę wśród padającego śniegu.

Cmentarz jest przykryty bielą; widzę tylko szczyty nagrobków i kwiaty położone kilka godzin temu. Gubię się; nie wiem, czy przeniesiono żywo-płot, czy to śnieg wprowadza mnie w błąd? Ale oto jest: szary nagrobek z wrytym przez przyjaciela męża cioci Joan napisem: „Pamięci Ady Holme, która zasnęła” takiego a takiego dnia i miejscem na jedno albo dwa nazwiska poniżej.

Kładę białą różę na grobie matki.

Śnieg zasypał niektóre drogi, ale droga do Blackstone Edge jest przejezdna. Mijam dom pani Formby i tabliczkę obwieszczającą, że dom jest na sprzedaż.

Kruszę na śnieg trochę ciepłego bożonarodzeniowego puddingu. Wilgotne czarne okruszki przetopią się do czarnej ziemi wrzosowiska. Oczywiście skowronki już dawno odleciały. Śnieg przestał padać, ale chociaż widoczność jest bardzo dobra, nie widzę nawet kruka ani wrony.

Wyjmuję z samochodu skrzypce. Gram fragment *Wzlatującego skowronka*, a potem przestrajam najniższą strunę do F.

Nie jest mi zimno, nie czuję się podenerwowany. Nie jestem w żadnym ciemnym tunelu, tylko na otwartych wrzosowiskach. Gram dla niej wielką

nie dokończoną fugę z *Kunst der Fuge*. Bez wątpienia w oderwaniu od całości nie ma ona sensu, ale jest uzupełnieniem innych części, które słyszę. Gram aż do końca swojej partii i czekam, aż Helen też przestanie grać.

## 8.34

Trzydziestego jadę pociągiem do Londynu. Dzień jest pogodny mimo kilku przypadkowych chmur. Gdy dojeżdżamy do Euston, jest już ciemno. Nie mam bagażu, nie zabrałem nawet swoich skrzypiec.

Prosto z dworca idę do Wigmore Hall. Bilety na wieczorny koncert są wyprzedane.

Młody mężczyzna w kasie mówi, że jest tym zaskoczony ze względu na repertuar. Uważa, że spowodował to inny czynnik.

—Koncert głuchej pianistki, wie pan, tego typu sprawa. Trochę to przykre, że niektórzy nawet nie znają jej nazwiska. Ale proszę, bilety od tygodni wyprzedane. Bardzo mi przykro.

—Gdyby były jakieś zwroty...

—Zwykle mamy kilka, ale to zależy od koncertu. Naprawdę niczego nie mogę obiecać. Kolejka już się ustawiła.

—Czy nie ma odłożonych paru biletów, wie pan, dla patrona, sponsorów czy kogoś takiego?

—Nie, oficjalnie nie robimy tego typu rzeczy.

—Ja też tutaj grałem. Jestem z kwartetu Maggiore.

—Zrobię, co w mojej mocy — odpowiada, wzruszając ramionami.

Do koncertu pozostała godzina. Jestem szósty w kolejce. Ale na piętnaście minut przed koncertem oddano tylko jeden bilet. Hol zapełnia się ludźmi; machają do siebie, rozmawiają, śmieją się, kupują programy, odbierają wcześniej zarezerwowane bilety. Wciąż słyszę jej imię i powtarzane słowo „głucha”, „głucha”.

Wpadam w panikę. Wychodzę z kolejki na zewnątrz. Jest wietrzna, zimna noc. Każdego przechodzącego z programem w rękę, a nawet tych idących tylko na dół do restauracji, pytam, czy ma jeden zbędny bilet.

Na dwie minuty przed koncertem wychodzę z siebie. Rozległy się już dwa dzwonki, a teraz trzeci.

—O cześć, Michaelu, a więc jednak przyszedłeś? Piers powiedział...

—Och, Billy, Billy, stoję tutaj, och, Billy, tak mnie przeraziła wiadomość o Jango.

—Tak, nieźle nas wystraszył. Lydia chciała przyjść na koncert, ale postanowiła z nim zostać. To ona najciężiej to przeżyła. Lepiej już wejdźmy.

—Jej bilet. Masz wolny bilet, Billy?

—Nie, zwróciłem go parę dni temu... To znaczy, że nie masz biletu?

—Nie.

—Weź ten.

—Ależ Billy...

— Weź go. Nie kłóć się, Michaelu, bo żaden z nas nie wejdzie. Za pół minuty zamykają drzwi. Hol jest już prawie pusty. Nie kłóć się, Michaelu. Weź go i idź. Idź.

## 8.35

Siedzę w pierwszym rzędzie na balkonie. Szepty wypełniają salę. Spoglądam w dół na tłum głów. W piątym rzędzie widzę małego chłopca, chyba jedyne tutaj, a obok jego ojca.

Wchodzi i spogląda na nich z uśmiechem. Przez chwilę, dłużej niż tylko chwilę, patrzy na salę, zaniepokojona, poszukująca, a potem siada przy fortepianie.

Gra bez nut, czasem ze wzrokiem utkwionym we własnych dłoniach, czasem z zamkniętymi oczami. Co słyszy, co sobie wyobraża, tego nie wiem.

Jej gra nie jest wymuszona. To niewyobrażalne piękno — czyste, piękne, nieuchronne frazy, jedna za drugą przywołujące się wzajemnie, niepełne, nie kończące się *Kunst der Fuge*. To niebiańska muzyka.

Zaczyna padać deszcz. Rozprasza światło lekkim stukiem.

Po jedenastym kontrapunkcie następuje przerwa.

Teraz przyjdzie chaos: niepewny układ utworów; a tutaj, w foyer, płoteczki i pochwały. Nie mogę tego słuchać.

Przepycham się przez zatłoczony hol na deszcz. Spaceruję ulicami, idę przez ciemny park. Raz jeszcze zatrzymuję się przy Serpentine. Deszcz zmył moje wcześniejsze łzy.

Muzyka, taka muzyka jest wystarczającym darem. Po co prosić o szczęście? Po co mieć nadzieję na życie bez zmartwień? To dosyć, to wystarczające błogosławieństwo: żyć z dnia na dzień, i usłyszeć taką muzykę — tylko czasem nie za wiele, bo dusza mogłaby tego nie wytrzymać.



## Notka od autora

Muzyka jest mi droższa nawet niż mowa. Gdy zdecydowałem, że będę o niej pisać, ogarnął mnie strach. Bardzo powoli oswajałem się z tą myślą.

Pomagali mi w tej pracy przyjaciele i obcy ludzie: muzycy grający na instrumentach smyczkowych, wśród nich członkowie kwartetów; osoby, które mając do czynienia z dawną muzyką, zajmują się problemami strojenia; pianiści i inni muzycy, zarówno wykonawcy, jak i kompozytorzy; znawcy, którzy tworzą, naprawiają i sprzedają instrumenty; ci, którzy pomagają w tworzeniu i propagowaniu muzyki — nauczyciele, krytycy i agenci muzyczni i menedżerowie, dyrektorzy wytwórni płytowych, menedżerowie sal koncertowych i festiwalii; ludzie znający miejsca, o których pisałem, lepiej niż ja sam — londyńczycy, mieszkańcy Rochdale, weneccjanie, wiedeńczycy; specjaliści, którzy poznali świat głuchych zarówno z medycznego, jak i edukacyjnego punktu widzenia, wśród nich przede wszystkim nauczycielka czytania z ruchu warg i jej uczniowie; ludzie, którzy sami doświadczyli głuchoty.

Wiele osób opowiadało mi o świecie moich bohaterów i o nich samych. Grupa przyjaciół wspaniałomyślnie zgodziła się przeczytać pierwszą, wersję rękopisu, co jest zadaniem, którego sam podjąłem się z trudem. Inni wybaczyli mi pominięcie w tekście głosu i postaci z ich życia.

Chciałbym szczególnie podziękować trzem muzykom — pianiście, perkusiście i skrzypkowi, którzy w różny sposób pomogli mi dotrzeć tam, dokąd nie zaprowadziłaby mnie wyobraźnia. To oni pozwolili mi zrozumieć, czym mogłoby być życie na skrzyżowaniu różnych światów: świata pozbawionego dźwięku i świata dźwięku słyszanego, usłyszanego mylnie, na pół usłyszanego i tylko wyobrażonego.